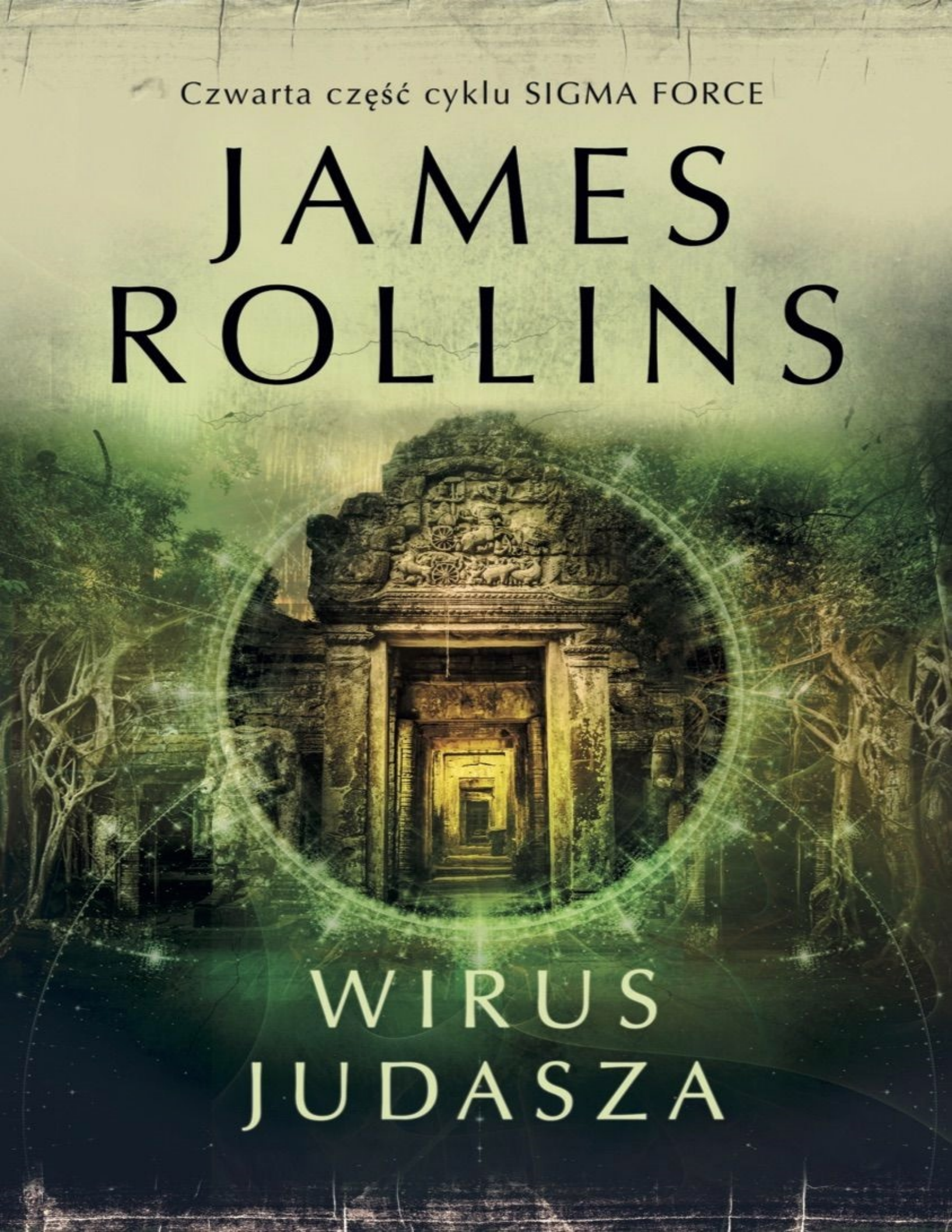


Czwarta część cyklu SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



WIRUS
JUDASZA

O książce

„Matka natura to największa terrorystka, jaką można sobie wyobrazić. Lepiej jej nie wkurzać”.

Zabójstwa w Grecji i we Włoszech

Fale Morza Egejskiego wyrzucają na brzeg zwłoki mężczyzny. W Wenecji zostaje zamordowany kustosz muzeum. Ofiary łączy to, że są archeologami, a powodem, dla którego zginęły, jest mały, na pozór bezwartościowy obelisk.

Znak Trybunału Smoka

W watykańskich archiwach zostaje odkryty symbol sekty, którą – jak się wydawało – już pokonano. Nakreślony wokół pisma „starszego niż sama ludzkość”, wskazuje na związki z Gildią – największym wrogiem Sigmy.

Epidemia w Indonezji

Mieszkańcy Wyspy Bożego Narodzenia zapadają na dziwną chorobę. Wygląda na to, że z dna oceanu wydostało się coś, co zamienia dotąd nieszkodliwe bakterie w śmiertelnościaną broń.

Atak piratów

Uzbrojeni po zęby napastnicy przejmują przekształcony w szpital, wielki statek wycieczkowy. Jak na przypadkowy atak piratów, ich akcja jest zbyt dobrze skoordynowana! Szybko się okazuje, że działają na zlecenie Gildii, która poszukuje leku na tajemniczą chorobę wcale nie po to, by ratować świat.

Tym, jak zwykle, zajmą się agenci Sigmy. A pierwsze, co muszą odkryć, to związek między wybuchem epidemii a niejasnymi losami floty Marca Polo z czasów jego podróży powrotnej do Wenecji.

JAMES
ROLLINS
WIRUS
JUDASZA

Z angielskiego przełożył

PAWEŁ WIECZOREK

Wydanie elektroniczne



JAMES ROLLNS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania płetwonurek i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, Podziemny labirynt. Kolejne m.in. Ekspedycja, Amazonia oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. Burzą piaskową – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy. Obecnie trwają przygotowania do ekranizacji Mapy Trzech Mędrców.

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Cykl SIGMA FORCE

BURZA PIASKOWA
MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCZNIA
KOLONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA
SZÓSTA APOKALIPSA
LABIRYNT KOŚCI

James Rollins, Rebecca Cantrell
Cykl ZAKON SANGWINISTÓW

EWANGELIA KRWI
NIEWINNA KREW
DIABELSKA KREW

Tytuł oryginału:
THE JUDAS STRAIN

Copyright © Jim Czajkowski 2007
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2009

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Mapa: © Steve Perry

Projekt graficzny okładki i serii: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-409-7

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo

dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków
kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Podziękowania

Zapiski historyczne

Rok 1293

KONTAKT

1. Czarna Madonna
2. Krwawe Boże Narodzenie
3. Zasadzka
4. Piractwo morskie
5. Zgubione i odnalezione
6. Zaraza

INKUBACJA

7. O podróży przemilczanej
8. Pacjentka Zero
9. Hagia Sophia
10. Ucieczka z patelni
11. Zbite szkło
12. Zakazana mapa

WYBUCH

13. Królowa czarownica
14. Ruiny Angkor
15. Demony głębin
16. Bayon
17. Tam, dokąd boją się chodzić anioły

18. Brama do piekła

19. Zdrajca

Epilog

Nota od autora

Przypisy

Dla Carlyne McCray,
która czytała wszystkie moje najwcześniejsze bazgroły
i nie śmiała się z nich za bardzo

Podziękowania

Zbyt wiele osób, za mało miejsca.

Po pierwsze, wszystkim w wydawnictwie HarperCollins i każdemu z osobna już dawno winien jestem wyrazy uznania za dziesięć lat pomocy i ciężkiej pracy.

Michaelowi Morrisonowi i Lisie Gallagher dziękuję za wsparcie – minione, obecne i przyszłe.

Dyrektorom artystycznym, Richardowi Aquanowi i Thomasowi Egnerowi, dziękuję za to, że moje książki tak pięknie się wyróżniają. Nie mógłbym być z nich bardziej dumny.

Dyrektorom marketingu, Adrienne DiPietro i Tawii Kowalchuk, dziękuję za nieustanną troskę o to, aby książki szły w kraj... i zostały zauważone!

Najlepszemu zespołowi PR na świecie, Pam Spengler-Jaffee i Buzzy'emu Porterowi, dziękuję, że nie musiałem wyskakiwać nad Alaską z awionetki.

Trójce kobiet, które umieściły mnie na mapie i w księgarniach, Lynn Grady, Liate Stehlik i Debbie Stier, ogromne podziękowania (piszę to, klęcząc).

Niezlomnej sile stojącej za krajową sprzedażą i rachunkami, Carli Parker, Brianowi Groganowi, Brianowi McSharry'emu i Markowi Gustafsonowi,

dziękuję za wszelkie nadprogramowe wysiłki i energię, włożone w umieszczenie moich książek w księgarniach.

Mike'owi Spradlinowi dziękuję zarówno za sprzedaż, jak i za drinki na rumie (bez określania kolejności).

Dziękuję także wielu innym osobom, o których tu nie wspomniałem, a którym jestem nie mniej wdzięczny.

Wychodząc na ostatnią prostą, muszę również wyrazić wdzięczność mojej czarnej koterii, która rozrywa na strzępy każdy rozdział i rekonstruuje go, tworząc coś lepszego: Penny Hill, Steve'owi i Judy Preyom, Chrisowi Crowe, Lee Garrett, Michaelowi Gallowglasowi, Leonardowi Little'owi, Kathy L'Ecluse, Debbie Nelson, Ricie Rippetoe, Dave'owi Murrayowi, Dennisowi Graysonowi, Jane O'Rivie i Caroline Williams. Chciałbym także gorąco podziękować Steve'owi Preyowi za mapę w książce oraz Penny Hill za wszystkie robocze obiady. Dziękuję Cherei McCarter za wspaniałą serię artykułów na temat najnowocześniejszej broni. No i oczywiście także Davidowi Sylvianowi za słuchanie ad nauseam czytanych przeze mnie na głos fragmentów.

Jeszcze raz chciałbym również podziękować czterem osobom, z których każda odgrywa ważną rolę w kolejnych etapach produkcji: mojemu wspaniałemu wydawcy Lyssie Keusch, jej oddanej koleżance May Chen oraz moim nieustraszonym agentom Russowi Galenowi i Danny'emu Barorowi. Jesteście fantastyczni!

Na koniec muszę podkreślić, że wina za wszelkie błędy dotyczące faktów lub szczegółów spada wyłącznie na moje barki.

Zapiski historyczne

W roku 1271 młody, zaledwie siedemnastoletni Wenecjanin Marco Polo wyruszył z ojcem i stryjem w podróż do znajdujących się w Chinach pałaców chana Kubilaja. Podróż trwała dwadzieścia cztery lata i przyniosła opisy egzotycznych krajów, leżących na Wschodzie: niezwykle opowieści o bezkresnych pustyniach i pełnych jadeitu rzekach, o kipiących życiem miastach i olbrzymich flotach statków, o czarnych kamieniach, które mogły płonąć żywym ogniem, o pieniądzach z papieru, niezwyklej bestiiach i przedziwnych roślinach, o kanibalach i tajemniczych szamanach.

Po siedemnastoletniej służbie na dworach Kubilaja i trzyletniej podróży Marco w 1295 roku powrócił do Wenecji. Kiedy podczas walk morskich między Wenecją a Genuą został w 1298 roku uwięziony, jego relację z podróży zapisał współwięzień, pisarz Rustichello z Pizy. Książka została napisana w języku starofrancuskim i pierwotnie nosiła tytuł *Le Divisament dou Monde*. Bardzo szybko została przetłumaczona na wiele języków i trafiła do niemal wszystkich krajów Europy¹. Nawet Krzysztof Kolumb w czasie swojej wyprawy do Nowego Świata miał ją ze sobą.

Podczas podróży na Wschód zdarzył się incydent, o którym Marco Polo nigdy nie chciał opowiedzieć – w swojej książce wspomina o nim jedynie półsłówkami. Kiedy trzech Wenecjanie opuszczali Chiny, chan Kubilaj dał im czternaście ogromnych statków i sześciuset ludzi, ale gdy dotarli do domu, mieli zaledwie dwa statki i towarzyszyło im osiemnastu ludzi.

Los pozostałych statków i marynarzy do dziś pozostaje nieznany. Co mogło być powodem ich utraty – awarie, sztormy czy piraci? Marco Polo nie uchylił rąbka tajemnicy. Faktem jest jednak, że kiedy leżał na łożu śmierci i spytano go, czy chciałby jakoś uzupełnić swoją relację, odparł: „Opowiedziałem tylko połowę z tego, co widziałem”.

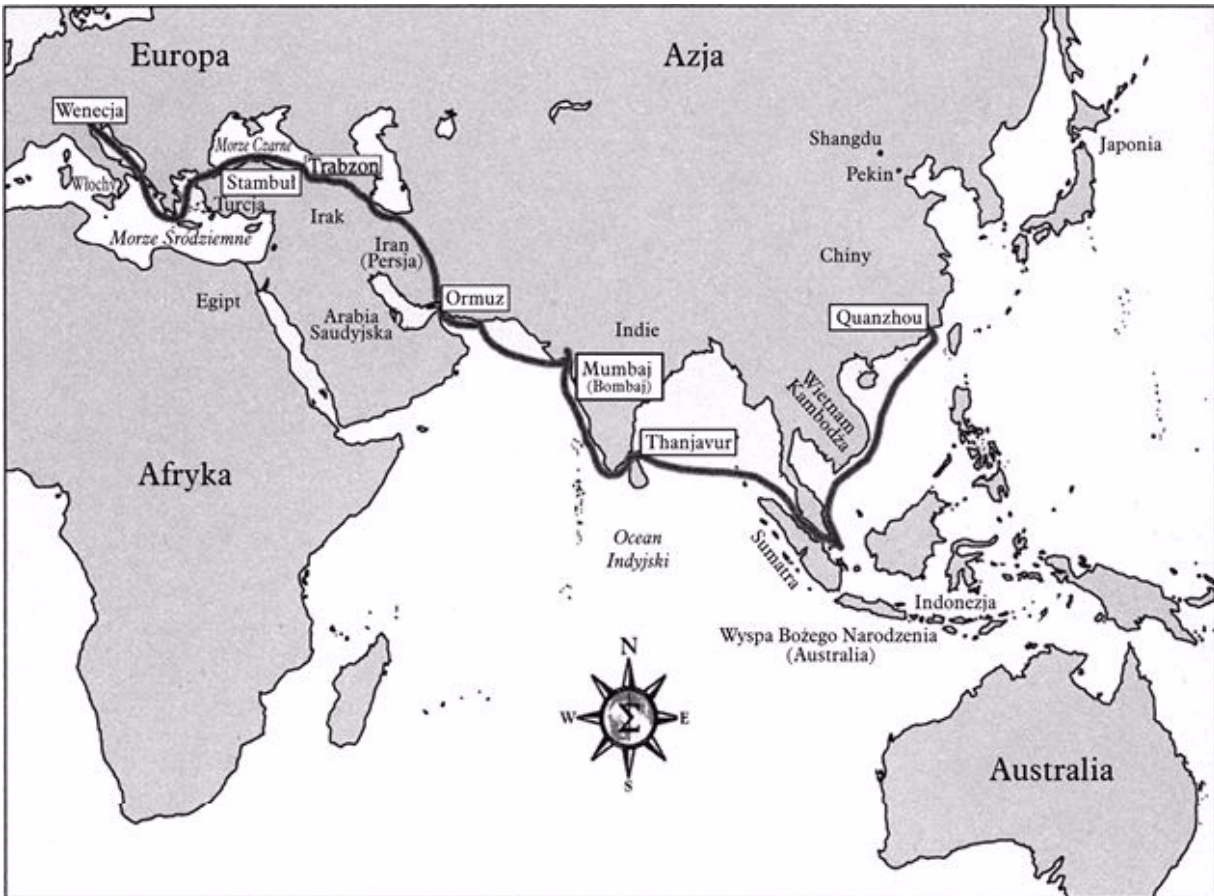
Zaraza przybyła najpierw do miasta Kaffa nad Morzem Czarnym. Mongolscy Tatarzy oblegali tam Genuńczyków – kupców i marynarzy. Mór uderzył w mongolską armię płonącymi wrzodami i krwawymi wybroczynami. Ogarnięci wściekłością mongolscy władcy zaczęli za pomocą katapult obłężniczych przetrzucać ciała swoich zmarłych przez mury i dalej rozsiewali zarazę. W roku inkarnacji Syna Boga, czyli 1347, Genuńczycy uciekli dwunastoma żaglowymi statkami do Włoch i zacumowali w Mesynie, przynosząc „czarną śmierć” na nasze wybrzeża.

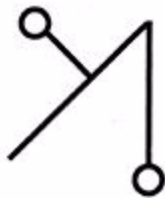
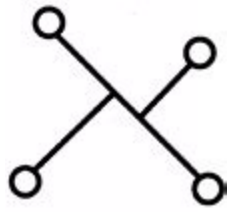
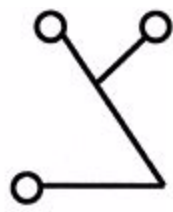
Hrabia M. Giovanni (1356),
cyt. za *Il Apocalypse* (Mediolan: A. Mondadori, 1924, str.
34–35).

Pozostaje zagadką, dlaczego w średniowieczu na pustyni Gobi wybuchła nagle zaraza morowa, która wybiła jedną trzecią ludności świata. Tak samo nikt nie wie, dlaczego tyle epidemii i gryp minionego wieku – SARS, ptasia grypa – pojawiało się najpierw właśnie w Azji. Prawie na pewno wiadomo jednak, że następna pandemia także pojawi się najpierw na Wschodzie.

Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób Stanów
Zjednoczonych,
Compendium of Infections Diseases
(Kompendium chorób zakaźnych), 2006.

Podróż powrotna Marca Polo (1292–1295)





Rok 1293

Głęboka noc

Sumatra, Azja Południowo-Wschodnia

Krzyki zaczynały powoli cichnąć.

W spowitym nocą porcie płonęło dwanaście ognisk.

– Il dio, li perdona... – szepnął stojący u boku Marca ojciec, ale on wiedział, że Bóg nigdy nie wybaczy im tego grzechu.

Przy dwóch wyciągniętych na plażę długich łodziach wiosłowych stała garstka ludzi – jedyni świadkowie płonących na wodach laguny stosów pogrzebowych. Kiedy wzeszedł księżyc, podpalono dwanaście potężnych drewnianych galer wraz z członkami załóg na pokładzie – martwymi i chorymi, którzy jeszcze żyli. Maszty statków oskarżycielsko wyciągały się ku niebu niczym płonące palce. Płatki popiołu spadały na plażę i świadków. W powietrzu rozchodził się smród palonych ludzkich ciał.

– Dwanaście statków... – wymamrotał stryj Maseo, ściskając w dłoni srebrny krucyfiks. – Tyle samo co apostołów naszego Pana...

Wrzaski trawionych ogniem ludzi w końcu ucichły. Do piaszczystego brzegu docierały już tylko trzaski

i ciche buzowanie płomieni. Marco najchętniej odwróciłby się od morza, ale patrzył dalej. Inni klęczeli na piachu, plecami do wody, z twarzami bladymi jak zwietrzała kość.

Wszyscy byli nadzy. Każdy dokładnie obejrzał ciało sąsiada, szukając na nim znaków. Nawet stojąca za parawanem z płótna żaglowego księżniczka miała na sobie jedynie wysadzany klejnotami diadem. Ponieważ ogień oświetlał ją od tyłu, przez materiał widać było jej zgrabną sylwetkę. Nazywała się Kokejin – Błękitna Księżniczka – i miała siedemnaście lat, czyli tyle samo co Marco, kiedy wyruszył z Wenecji. Polowie mieli zadanie bezpiecznie dostarczyć ją do narzeczonego – władcy Persji, wnuka brata chana Kubilaja.

Ale to było w innym życiu.

Czyżby minęły dopiero cztery miesiące od chwili, gdy pod pachami i w pachwinach pierwszego członka załogi pojawiły się obrzęki świadczące o chorobie? Zaraza zaczęła rozprzestrzeniać się jak ogień i błyskawicznie zamieniła sprawnych marynarzy w pozbawione siły szkielety, zmuszając ich do lądowania na wyspie zamieszkaney przez kanibali i przedziwne bestie.

Nawet o tak późnej porze z ciemnej dżungli dochodził łoskot bębnow, tubylcy wiedzieli jednak, że nie powinni zbliżać się do obozu. Jedynym widocznym znakiem, że przybysze znajdują się na granicy obcego terenu, były zwisające z gałęzi czaszki o oczodołach poprzerastanych pnączami – ostrzegające przed wejściem głębiej w dżunglę.

Choroba utrzymywała dzikich na dystans.

Koniec z tym. Ogień pokonał mór, a przy życiu pozostała jedynie garstka szczęśliwców bez czerwonych

obrzęków.

Siedem nocy temu zabrano ostatnich chorych na zakotwiczone z dala od brzegu statki i pozostawiono ich tam z jedzeniem i wodą. Zdrowi zostali na lądzie, wypatrując nowych oznak plagi. Ci, których wygnano na statki, nieustannie krzyczeli, płakali, modlili się lub przeklinali i złorzeczyli. Najgorszy był wybuchający od czasu do czasu przepełniony szaleństwem śmiech.

Znacznie lepsze byłoby poderżnięcie wszystkim zarażonym gardeł, ale ponieważ każdy bał się opryskania krwią chorych, zostali wysłani na statki i uwięzieni na nich razem ze zmarłymi.

Kiedy wieczorem słońce chyliło się ku zachodowi, woda wokół dwóch statków pojaśniała i po chwili dziwny blask zaczął rozplýwać się po czarnej powierzchni jak mleko. Widzieli już ten blask w jeziorach i kanałach otaczających kamienne wieże przeklętego miasta, z którego uciekli.

Choroba próbowała wydostać się z drewnianego więzienia.

Nie pozostawiła im wyboru.

Wszystkie statki – z wyjątkiem jednej galery przeznaczonej do ucieczki – zostały podpalone.

Stryj Marca, Maseo, krążył wśród pozostałych przy życiu ludzi. Dał im znak, aby zakryli swoją nagość, ale płachty płótna i surowej wełny nie mogły ukryć ich straszliwego wstydu.

– Co myśmy uczynili... – jęknął Marco.

– Nie wolno nam o tym mówić – odparł ojciec i podał mu szatę. – Jeśli powiesz choć słowo o zarazie, cały kraj się od nas odwróci. Nie pozwolą nam zawinąć do

żadnego portu. Wypaliliśmy chorobę ogniem, więc pozostaje nam już tylko powrócić do domu.

Kiedy Marco wkładał szatę przez głowę, ojciec zauważył rysunek, jaki syn naszkicował patykiem na piasku. Zacisnął wargi, starł go butem i wbił w syna błagalny wzrok.

– Nigdy, Marco... nigdy...

Ale wspomnień nie da się tak łatwo zetrzeć. Marco służył wielkiemu chanowi jako emisariusz i kartograf, nanosząc na mapy podbite przez niego królestwa.

– Nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co odkryliśmy – dodał ojciec.

Marco bez słowa kiwnął głową. Wolał nie komentować tego, co narysował.

– Città dei Morti – szepnął.

Starszy mężczyzna jeszcze bardziej pobladł.

Marco wiedział, że ojciec boi się nie tylko zarazy.

– Przysięgnij mi, synu.

Marco popatrzył na jego pociętą zmarszczkami twarz. W ciągu ostatnich czterech miesięcy ojciec postarzał się znacznie bardziej niż przez siedemnaście lat pobytu u chana w Shangdu.

– Przysięgnij mi na błogosławionego ducha twojej matki, że nigdy nie powiesz ani słowa o tym, co odkryliśmy i co zrobiliśmy.

Kiedy Marco nic na to nie odpowiedział, ojciec złapał go za ramię i ścisnął mocno.

– Przysięgnij mi, synu. Dla własnego dobra.

Błaganie w jego oczach niemal parzyło. Marco nie mógł odmówić.

– Zachowam milczenie – obiecał w końcu. – Przysięgąm, ojciec.

Podszedł do nich jego stryj.

– Nie powinniśmy byli tam wchodzić, Niccolò – powiedział, patrząc na brata, ale tak naprawdę te oskarżycielskie słowa były skierowane do Marca.

Zapadła cisza ciężka od tajemnic łączących trzech Wenecjan.

Marco wiedział, że stryj ma rację.

Przywołał w pamięci obraz delty rzeki, którą ujrzeli cztery miesiące temu: czarny, szeroko rozlany nurt, a po obu brzegach ciężkie liście i sploty pnączy. Zatrzymali się tam tylko po to, aby dokonać napraw dwóch statków i uzupełnić zapasy słodkiej wody. Nie powinni byli zapuszczać się dalej, ale Marco nie mógł zapomnieć zasłyszanej kiedyś historii o znajdującym się w pobliżu wspaniałym mieście. Ponieważ należało się spodziewać, że naprawy potrwać będą dziesięć dni, wyruszył z czterdziestoma ludźmi chana, aby sprawdzić, co jest za górami. Z grani dostrzegli ukrytą w głębi lasu kamienną wieżę, wznoszącą się wysoko w światło poranka. Marco zawsze był ciekaw nieznanymi rzeczami, a ten obiekt przyciągał go szczególnie silnie.

Powinna go ostrzec cisza panująca w lesie, kiedy maszerowali w kierunku wieży. Nie było słychać bębnow. Nie śpiewały ptaki, nie wrzeszczały małpy. Miasto po prostu czekało.

Wkroczenie na jego teren było fatalną pomyłką.

Kosztowało ich to bardzo dużo.

Teraz patrzyli we trzech, jak ogień dopala galery do linii wodnej. Jeden z masztów przewrócił się niczym ścięte drzewo. Prawie dwadzieścia lat temu ojciec, syn i stryj opuścili włoską ziemię i jako wysłannicy papieża Grzegorza X udali się na Wschód, do mongolskiego

kraju. Przebyli długą drogę, zanim dotarli do pałaców i ogrodów chana w Shangdu, w których utknęli na wiele lat. Zatrzymała ich gościnność chana, tak wielka, że nie mogli opuścić jego dworu, nie obrażając go. Jednak w końcu szczęście sobie o nich przypomniało, i mogli wyruszyć w podróż powrotną do Wenecji, zwolnieni ze służby u wielkiego Kubilaja i poproszeni o zawiezenie panny Kokejin do perskiego narzeczonego.

Gdyby ich flota nie wypłynęła z Shangdu...

– Wkrótce wszędzie słońce – stwierdził ojciec. – Czas wracać do domu.

– Co powiemy Teobaldowi, kiedy dotrzemy do błogosławionych wybrzeży? – spytał Maseo, używając dawnego imienia mężczyzny, który był przyjacielem i patronem rodziny Polów przed wyborem na papieża i przybraniem imienia Grzegorza X.

– Nie wiemy, czy jeszcze żyje – odparł Niccolò. – Nie było nas tak długo...

– A jeśli żyje?

– Powiemy mu, czego się dowiedzieliśmy o Mongołach, o ich zwyczajach i sile. Wszystko, czego kazano nam się dowiedzieć. Ale o zarazie nie musimy mówić. Nie ma o czym, bo już jest po wszystkim.

Maseo westchnął. Jego gniewne spojrzenie jednoznacznie mówiło, co o tym myśli.

Zaraza prawdopodobnie oszczędziła niektórych z tych, którzy się zgubili.

– Już jest po wszystkim – powtórzył z naciskiem Niccolò, jakby słowa mogły sprawić, że to, o czym mówił, stanie się prawdą.

Marco popatrzył na obu starszych mężczyzn – ojca i stryja – których sylwetki, obramowane drobinami

rozżarzonego popiołu i kłębamii dymu, wyraźnie odcinały się od nocnego nieba. Dopóki którykolwiek z nich będzie pamiętał o tym, co się wydarzyło, nie będzie „po wszystkim”.

Wbił wzrok w swoje stopy.

Choć rysunek został starty z piasku, nadal płonął w jego mózgu. Była to mapa narysowana krwią na odpowiednio spreparowanej korze.

W dżungli stały świątynie i strzeliste wieżycy.

Puste – jeśli nie liczyć ciał martwych ludzi.

Ziemia była zasłana truchłami ptaków, które pospadały na kamienne place, jakby zostały strącone podczas lotu. Wszędzie leżały trupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Pola pokrywały ścierwa wołów i dzikich zwierząt. Z gałęzi drzew bezwładnie zwisały zielone żmije, których ciało gotowało się pod łuskami.

Jedynymi istotami, które przeżyły, były mrówki – najróżniejszych rozmiarów i wszelkich możliwych kolorów.

Sunęły falami przez kamienie i ciała, powoli pożerając trupy.

Ale nie tylko mrówki doczekały zachodu słońca.

Po odkryciu, co jego syn zabrał z jednej ze świątyń, Niccolò spalił mapę i rozsypał popiół nad morzem. Zrobił to, zanim na ich statku zachorował pierwszy członek załogi.

– Musimy o tym zapomnieć – powiedział wtedy. – To nie ma nic wspólnego z nami. Niech pochłonie to historia.

Marco zamierzał dotrzymać złożonej przysięgi. W zamyśleniu dotknął jednego ze znaków na piasku.

Nigdy nikomu o tym nie opowie. Ale czy wolno było niszczyć tak ogromną wiedzę?

Gdyby istniał jakiś inny sposób jej zachowania...

– A gdyby to wszystko miało się odrodzić? – spytał Maseo, wyrażając na głos obawy, które przepełniały każdego z nich. – I dotarło do naszych wybrzeży?

– Będzie to oznaczało koniec panowania człowieka na ziemi – odparł gorzko Niccolò i dotknął krucyfiks, wiszącego na nagiej piersi brata. – Ten dominikanin był z nas wszystkich najmądrzejszy. Jego poświęcenie...

Krzyż należał kiedyś do brata Agreera, siostrzeńca papieża Grzegorza X. Mnich oddał życie w przeklętym mieście, aby ich uratować. Zostawili go tam, porzucili – tak jak prosił.

– Czym Bóg doświadczy nas następnym razem? – szepnął Marco, kiedy ostatnie płomienie zgasły na ciemnej wodzie.

Ocean Indyjski

10°44'07.87" S | 105°11'56.52" E

22 maja, godzina 18.32

– Kto jeszcze chce fostera?! – zawołał z dolnego pokładu Gregg Tunis.

Doktor Susan Tunis, która właśnie wchodziła drabinką do nurkowania na pokład rufowy, uśmiechnęła się na dźwięk głosu męża. Rozpięła kamizelkę wypornościową, zdjęła z siebie ciężki zestaw do nurkowania i zniosła go do regału znajdującego się za sterówką. Gdy ustawiała swoją butlę obok innych, rozległ się metaliczny brzęk.

Uwolniona od ciężaru, chwyciła wiszący na ramieniu ręcznik i zaczęła wycierać blond włosy, niemal białe od słońca i soli. Kiedy skończyła, rozpięła suwak skafandra.

BUM-BABADUM... BABADUMMM... zadudniło ze stojącego za jej plecami leżaka.

– Profesorze Applegate, czy pan zawsze musi mnie podglądać, kiedy zdejmuję piankę?

Siwy geolog, na którego kolanach leżała książka o historii marynarki, poprawił okulary na nosie.

– Nie byłbym dżentelmenem, gdybym nie zauważył obecności pięknej młodej kobiety, uwalniającej się ze zbyt sztywnego stroju.

Susan ściągnęła skafander z ramion i zsunęła go do pasa. Pod spodem miała jednoczęściowy kostium.

Wiedziała z doświadczenia, że góra od bikini ma zwyczaj zsuwać się razem ze skafandrem. Choć wcale jej nie przeszkadzało, że emerytowany profesor, starszy od niej o trzydzieści lat, pożera ją wzrokiem, nie zamierzała dawać mu darmowego pokazu.

Jej mąż Gregg wyszedł na pokład z trzema oszronionymi butelkami piwa, które trzymał między palcami prawej dłoni. Na widok żony uśmiechnął się szeroko.

– Zdawało mi się, że cię słyszę.

Miał na sobie białe płócienne spodnie i rozpiętą koszulę. Poznali się z Susan podczas naprawy któregoś ze statków uniwersyteckich w suchym doku, gdy pracował jako mechanik w Darwin Harbor. Przed ośmioma laty. Trzy dni temu świętowali na jachcie piątą rocznicę ślubu – sto mil morskich od atolu Kiritimati, lepiej znanym pod nazwą Wyspy Bożego Narodzenia.

Podał jej butelkę.

– Dopisało ci szczęście z nasłuchem?

Upiła łyk piwa, rozkoszując się chłodnym strumieniem płynu. Ssanie przez wiele godzin słonego ustnika wysuszyło jej usta.

– Jak na razie nie. W dalszym ciągu nie umiem określić powodu tych wypłynięć na brzeg.

Dziesięć dni wcześniej osiemdziesiąt delfinów z występującego jedynie na Oceanie Indyjskim gatunku *Tursiops aduncus* pozwoliło się wyrzucić falom na plażę u wybrzeży Jawy. Prowadzone przez Susan badania dotyczyły długoterminowego wpływu fal emitowanych przez sonary na walenie, co już wiele razy było przyczyną samobójczych wypłynięć na brzeg przedstawicieli różnych gatunków tych ssaków.

Zazwyczaj miała do dyspozycji grupę asystentów, złożoną z absolwentów i studentów ostatniego roku, ale ta wyprawa miała być tylko urlopem spędzonym z mężem i dawnym nauczycielem. Jedynie zbieg okoliczności sprawił, że znaleźli się w okolicy tak liczego wypływania delfinów na brzeg – i tylko dlatego ich pobyt w tym miejscu się przedłużył.

– Czy przyczyną mogłoby być coś innego niż sonar? – spytał Applegate, w zamyśleniu kreśląc palcem kółka na zroszonym szkle butelki. – W tym regionie często dochodzi do mikrotrzęsień ziemi. Może tę samobójczą panikę delfinów wywołało trzęsienie spowodowane subdukcją pod dnem głębiny morskiej?

– Kilka miesięcy temu było tu całkiem niezłe trzęsienie – zauważył Gregg Tunis, który usiadł na leżaku obok profesora i poklepał następny leżak, zachęcając Susan, aby się przysiadła. – Może to wstrząsy wtórne?

Susan nie miała powodu spierać się z tą argumentacją. Liczne trzęsienia ziemi, które wystąpiły w tym regionie w ciągu minionych dwóch lat, poważnie naruszyły strukturę dna, ale Susan nie była do końca przekonana. Jej zdaniem działo się tu coś jeszcze. Rafa pod nimi była nienaturalnie pusta. Wszystkie zamieszkujące ją wcześniej istoty pouciekały do skalnych zagłębień, muszli i dziur w piachu.

Może fauna morska właśnie w ten sposób reaguje na mikrowstrząsy?

Zmarszczyła czoło i usiadła obok męża. Powinna połączyć się z Wyspą Bożego Narodzenia i dowiedzieć, czy ostatnio nie zanotowano jakiejś niezwyklej aktywności sejsmicznej, jednak postanowiła zrobić to

później – najpierw chciała zachęcić Gregga do wejścia do wody.

– Znalazłam coś, co wygląda jak resztki starego wraku... – powiedziała.

Gregg się wyprostował. W Darwin Harbor oprowadzał nurków amatorów po wrakach zatopionych podczas drugiej wojny światowej okrętów wojennych, które leżały na dnie wokół północnych wybrzeży Australii, i wszystkie takie odkrycia bardzo go interesowały.

– Gdzie? – zapytał.

Susan wskazała palcem za siebie.

– Jakieś sto metrów od sterburty. Kilka czarnych belek, wystających z piasku. Prawdopodobnie odsłoniło je trzęsienie ziemi. Nie miałam czasu, aby się im dokładniej przyjrzeć. Uznałam, że zostawię to ekspertowi... – dodała i uszczypnęła Gregga w bok, po czym przytuliła się do niego.

Obserwowali, jak słońce powoli znika w wodzie. To był ich rytuał. Kiedy byli na morzu, zawsze oglądali razem zachód słońca – chyba że szalał sztorm.

Jacht kołysał się delikatnie. W oddali migotały światła tankowca, ale czuli się, jakby byli zupełnie sami.

Ostre szczeknięcie przestraszyło Susan. Nie sądziła, że jest aż tak spięta. Najwyraźniej udzieliło jej się dziwne zachowanie fauny pod nimi.

– Oscar! – zawołał profesor.

Dopiero teraz Susan zauważyła, że nie ma przy nich czwartego członka załogi. Pies ponownie zaszczekał. Należał do profesora, miał już sporo lat i dręczył go artretyzm, więc zazwyczaj najłatwiej było go znaleźć w plamach słońca na pokładzie.

– Zostawię was, turkaweczki, i zobaczę, o co mu chodzi – oznajmił Applegate. – Przyda mi się wycieczka na dziób, zrobię sobie miejsce na jeszcze jednego fostera przed snem.

Wstał z głośnym stęknieniem i ruszył ku dziobowi, zatrzymał się jednak w pół kroku i skierował wzrok ku wschodowi, gdzie niebo mocno pociemniało.

Oscar znowu szczeknął.

Tym razem Applegate go nie uciszył. Odwrócił się do Susan i Gregga.

– Powinniście to zobaczyć – powiedział.

Susan wstała, Gregg również. Dołączyli do profesora.

– Niech to cholera... – jęknął Gregg.

– Chyba już wiemy, co zmusiło delfiny do wyskoczenia na brzeg – stwierdził Applegate.

Szeroki pas wody jarzył się upiorną luminescencją, unoszącą się i opadającą w rytm ruchu fal. Srebrzysty połysk przetaczał się i wirował. Stary pies stał przy relingu i szczekał, a kiedy poświata jeszcze bardziej się zbliżyła, jego szczekanie zamieniło się w cichy warkot.

– Co to jest, do pioruna? – spytał Gregg.

Susan podeszła bliżej.

– Słyszałam o tym zjawisku. Nazywają to „mlecznym morzem”. Na Oceanie Indyjskim statki natykają się na takie luminescencje od czasów Juliusza Verne’a. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku jeden z satelitów sfilmował to zjawisko... obejmowało setki mil kwadratowych. To tutaj nie jest duże.

– A co to właściwie jest? – dopytywał się Gregg. – Czerwony przypływ?

Susan pokręciła głową.

– Nie. Czerwone przypływy to zakwity alg, natomiast świecenie wody powodują bakterie bioluminescencyjne żywiące się algami lub czymś podobnym. Nie ma się czego bać, choć chciałabym...

Pod ich stopami rozległo się głośnie stuknięcie – jakby coś uderzyło w dno jachtu. Oscar znowu się rozszczękał, po czym zaczął biegać wzdłuż relingu, próbując wystawić łeb na zewnątrz.

Podeszli do psa i popatrzyli w dół.

Skraj mętnej wody uderzył o burtę jachtu i jednocześnie z głębin wypłynął potężny kształt – brzuchem do góry, ale ciągle jeszcze wijąc się i szczerząc wielkie zęby. Był to ogromny, ponadsześciometrowy żarłacz tygrysi. Świecąca woda kipiała wokół grubego cielska, bulgocząc głośno.

Ale to nie woda na ciele rekina bulgotała, lecz jego gotująca się skóra. Udręczone zwierzę znowu się zanurzyło, jednak wokół, jak okiem sięgnąć, z mlecznego płynu wypływały kolejne kształty, martwe lub wściekle trzepiące kończynami i ogonami: morświny, żółwie morskie i setki ryb.

Applegate cofnął się od relingu.

– Wygląda na to, że te bakterie znalazły sobie inne pożywienie niż algi...

Gregg odwrócił się do żony.

– Susan...

Nie mogła oderwać oczu od straszliwego widoku. Naukowa ciekawość zwyciężyła przerażenie.

– Susan...

Lekko zirytowana, spojrzała na męża.

– Nurkowałeś w tej wodzie przez cały dzień.

– No i co z tego? Wszyscy byliśmy przez jakiś czas w wodzie. Nawet Oscar.

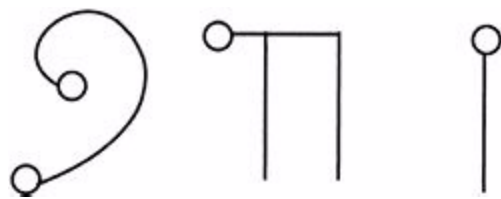
Gregg popatrzył na przedramię Susan, na miejsce, które właśnie drapała. Niepokój w jego wzroku sprawił, że i ona spojrzała na swoją rękę. Skórę pokrywała gruboziarnista wysypka, którą drapanie coraz bardziej zaogniało.

Po chwili na przedramieniu Susan pojawiły się czerwone obrzęki.

– Susan...

– Boże drogi... to jest we mnie.

KONTAKT



1

Czarna Madonna

Wenecja

1 lipca, godzina 10.34 czasu miejscowego

Ścigano go.

Stefano Gallo szedł szybkim krokiem przez otwarty plac. Poranne słońce już prażyło kamienne płyty, którymi wyłożona była piazza, i grupy turystów szukały cienistych miejsc, a kto mógł, pchał się do Bazyliki Świętego Marka. Jednak celem Stefana nie była ta najbardziej okazała budowla Wenecji, której bizantyjską fasadę, potężne konie nad wejściem i bulwiaste kopuły, znał cały świat.

Nawet błogosławione sanktuarium nie mogło mu dać ochrony.

Kiedy mijał bazylikę, przyspieszył kroku. Jego nierówny, nerwowy chód spłoszył gołębice, które rozprysnęły się na boki i zaczęły krążyć nad placem jak potężny wir. Ale Stefano Gallo nie próbował się ukrywać. Nie miałyby to sensu, bo został już odkryty. Kiedy doszedł do skraju placu, ujrzał młodego czarnookiego Egipcjanina o starannie przystrzyżonej brodzie. Ich spojrzenia się spotkały. Mężczyzna był teraz

ubrany w ciemny garnitur, który spływał z jego szerokich ramion niczym gęsty olej. Gdy po raz pierwszy zjawił się u Stefana, twierdził, że studiuje archeologię w Budapeszcie, a przysłał go jego dobry znajomy – stary przyjaciel Stefana i kolega po fachu z Uniwersytetu Ateńskiego.

Przyszedł do Museo Archeologico w poszukiwaniu pewnego niezbyt cennego artefaktu – pochodzącego z jego kraju obelisku. Nieoficjalnie reprezentował rząd, który chciał, aby obelisk wrócił tam, skąd go wywieziono. Pojawił się z dużą sumą pieniędzy – banknotami w plikach oklejonych oryginalnymi bankowymi banderolami. Stefano – jeden z kuratorów muzeum – nie miał siły oprzeć się łapówce, bo rachunki za leczenie żony groziły, że wkrótce będą musieli się wyprowadzić ze swojego niewielkiego mieszkania. Nie uważał przyjęcia tych pieniędzy za przestępstwo, ponieważ rząd Egiptu od dwudziestu lat skupował znajdujące się w prywatnych zbiorach skarby sztuki narodowej i naciskał na muzea na całym świecie, aby zwracały to, co do nich nie należało.

Tak więc zgodził się i obiecał dostarczyć artefakt. Czym był mały, nic nieznaczący kamienny obelisk? Z listu przewozowego wynikało, że od niemal stu lat nie wyjmowano go ze skrzyni, w której przyjechał. Łatwo było się domyślić dlaczego. Krótki opis mówił sam za siebie: „Nieokreślony marmurowy obelisk, wykopany w Tanis, datowany na późny okres dynastyczny (26. dynastia, 615. p.n.e.)”. Trudno było dostrzec w tym obiekcie cokolwiek niezwykłego lub szczególnie intrygującego – zwłaszcza jeżeli nie przeczytało się zbyt dokładnie dołączonej do niego dokumentacji. Co z tego,

że wcześniej znajdował się w zbiorach jednego z muzeów watykańskich – Museo Gregoriano Egiziano?

Nie wiadomo było, dlaczego trafił stamtąd do Wenecji.

Poprzedniego dnia rano kurier przyniósł list, w którym znajdował się wycinek z gazety. Koperta była zalakowana, a na pieczęci widniał znak:

Σ

Sigma.

Stefano nie rozumiał, co on oznacza, ale treść gazetowego wycinka była jasna. Artykuł opublikowano trzy dni temu i pisano w nim o znalezieniu na plaży nad Morzem Egejskim zwłok mężczyzny, wyrzuconych na brzeg podczas szczególnie gwałtownego sztormu. Choć ciało było rozdęte od przebywania przez dłuższy czas w wodzie i mocno nadjedzone przez węgorze, udało się ustalić, że mężczyźnie poderżnięto gardło. Analiza karty dentystycznej pozwoliła określić tożsamość ofiary.

Był to kolega Stefana Gallo z Uniwersytetu Ateńskiego, który rzekomo przysłał do niego Egipcjanina.

Nie żył od wielu tygodni.

Wstrząs zmusił Stefana do natychmiastowego działania.

Przyciskał teraz do piersi ciężki artefakt, owinięty w workowe płótno, z którego wystawały kłujące żdźbła

słomy użytej do pakowania.

Ukradł obelisk z muzealnego magazynu – w pełni świadom, że może to zagrozić jemu samemu, jego żonie i całej rodzinie.

Nie miał jednak wyboru. Poza artykułem w kopercie znajdowała się niepodpisana notatka, nakreślona pospiesznie kobiecą ręką. Było to ostrzeżenie, więc zrobił to, o co go poproszono.

Szedł przez plac, połykając łzy, a z jego gardła wyrывało się ciche łkanie.

Obelisk nie mógł wpaść w ręce Egipcjanina, ale Stefano nie zamierzał dłużej brać tego ciężaru na swoje barki. Żona i córka... wyobraził sobie wzdęte od wody zwłoki przyjaciela. Czy taki sam los czeka jego rodzinę?

Mario, cóż ja uczyniłem?

Tylko jedna osoba mogła zdjąć z niego ten ciężar. Ta, która przysłała list, ostrzeżenie zapieczętowane grecką literą. Na końcu notatki podano miejsce i godzinę.

Był już spóźniony.

Egipcjanin jakimś sposobem odkrył kradzież, musiał wyczuć, że ma zostać oszukany. Przyszedł po swoją własność o świcie i Stefano ledwie zdołał wymknąć się z gabinetu i uciec.

Nie był jednak wystarczająco szybki.

Spojrzał za siebie przez ramię.

Egipcjanin zniknął w tłumie turystów.

Stefano wszedł w cień najwyższej budowli miasta, dzwonnicy Campanile di San Marco. Kiedyś służyła jako wieża obserwacyjna, nadzorowano z niej okoliczne doki i obserwowano port, by chronić go przed wrogami – może tym razem ochroni także i jego.

Jego cel znajdował się po drugiej stronie niewielkiego placu. Był nim Palazzo Ducale, czyli Pałac Dożów, tysiącletnia budowla, która do upadku Republiki Weneckiej w 1797 roku była siedzibą władców. Dwa poziomy gotyckie łuki obiecywały ratunek w cieniu istryjskiego kamienia i różowego werońskiego marmuru.

Stefano mocniej ścisnął cenny przedmiot i szedł dalej, nie zważając na wystające z bruku kamienie.

Czy ktoś czeka na niego i uwolni go od tego brzemienia?

Wszedł w cień, kryjąc się przed blaskiem słońca. W przeszłości Palazzo Ducale nie tylko był siedzibą dożów, ale służył także jako siedziba administracji państwowej, sąd, izba rady miejskiej, a nawet jako więzienie. Za pałacem, po drugiej stronie kanału, wznosił się budynek nowego więzienia połączony z Pałacem Dożów sławnym Mostem Westchnień, którym kiedyś uciekł Casanova – jedyny człowiek, któremu udało się zbiec z pałacowych lochów.

Kiedy Stefano się pochylił, aby przejść pod wystającą loggia, pomodlił się szybko, prosząc ducha Casanovy, aby czuwał nad jego ucieczką. W cieniu pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. Dobrze znał pałac. W labiryncie jego korytarzy – miejscu wymarzonej na potajemną schadzke – łatwo było się ukryć.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

Wszedł do pałacu zachodnim wejściem razem z grupką turystów i wyszedł na dziedziniec z dwoma prastarymi studniami i wspaniałymi marmurowymi schodami – Scala dei Giganti, Schodami Gigantów. Przebiegł przez podwórze, przecisnął się przez lekko

uchylone drzwi, przez które wolno było wchodzić jedynie upoważnionym osobom, i minął pomieszczenia administracyjne. Ostatni był stary gabinet inkwizytora, w którym wiele biednych dusz przeżyło niezwykle bolesne i brutalne przesłuchania. Nie zwalniając kroku, wszedł do sąsiadującej z nim kamiennej izby tortur.

Kiedy gdzieś za jego plecami z głośnym łoskotem zatrzasnęły się drzwi, podskoczył nerwowo i mocniej przycisnął do piersi swój pakunek.

Instrukcja była wyraźna.

Wąskimi, niewidocznymi dla niewtajemniczonego oka schodami ruszył w dół do najgłębszych pałacowych lochów – Pozzi, czyli Studni. Trzymano tutaj najbardziej zatwardziały więźniów.

Właśnie tu miało odbyć się spotkanie.

Przed oczami Stefana znowu pojawił się grecki symbol.

Σ

Co on oznaczał?

Wszedł do mrocznego korytarza, z którego liczne drzwi prowadziły do małych cel z poczerńiałego kamienia, zbyt niskich, aby zamknięty w nich człowiek mógł stać. W tych celach w zimie więźniowie zamarzali, a podczas długiego weneckiego lata umierali z pragnienia.

Stefano włączył ołówkową latarkę.

Najniższy poziom Pozzi wydawał się pusty. Kiedy ruszył dalej, każdy jego krok odbijał się echem od kamiennych ścian i cały czas miał wrażenie, że ktoś za nim idzie. Strach ścisnął mu pierś. Zwolnił. Czyżby się spóźnił? Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, i nagle zatęsknił za słonecznym światłem, od którego wcześniej tak bardzo starał się uciec.

Zatrzymał się.

W celi obok zapaliło się światło.

– Kto tam? Chi è là? – zapytał Stefano.

O kamień skrobnął obcas.

– To ja przesłałam panu wiadomość, signore Gallo – powiedział cichy głos, mówiący po włosku z lekkim obcym akcentem.

Na korytarz wyszła smukła postać z małą latarką w dłoni. Nawet kiedy opuściła promień, blask światła nie pozwalał dostrzec, jak wygląda. Była ubrana w czarną skórę, ciasno opinającą jej piersi i biodra. Rozpoznanie dodatkowo utrudniała chusta na głowie, zawiązana po beduińsku i zasłaniająca twarz. Widać było jedynie oczy, w których odbijał się blask latarki. Kobieta poruszała się z leniwym wdziękiem, który działał uspokajająco na rozdygotanego Stefana.

Wyszła z cienia niczym Czarna Madonna.

– Masz artefakt?

– Tak... mam – wymamrotał i zrobił krok w jej stronę. Wyciągnął do niej obelisk, z którego spadło okrywające go płótno. – Nie chcę mieć z tym więcej do czynienia. Powiedziała pani, że może to zabrać w bezpieczne miejsce.

– Mogę – odparła i dała mu znak, aby postawił obelisk na podłodze między nimi.

Kucnął i postawił egipski zabytek tam, gdzie mu kazano. Obelisk był wykonany z czarnego marmuru i miał kwadratową podstawę o boku dziesięciu centymetrów, z której wychodził wydłużony ostrosłup, kończący się czterdzieści centymetrów wyżej.

Czarna postać uklękała naprzeciwko Stefana i przeciągnęła palcem po matowej powierzchni artefaktu. Marmur został dość niefachowo wykuty, a jego powierzchnia była źle zabezpieczona. Od góry do dołu biegło zygzakowate pęknięcie. Nic dziwnego, że obelisk popadł w zapomnienie.

A jednak z jego powodu poląła się krew.

Kobieta wyciągnęła rękę i skierowała promień latarki Stefana w dół. Potem szybkim ruchem kciuka przesunęła przełącznik swojej latarki i jej białe światło zamieniło się w purpurowe. Natychmiast każda drobina kurzu pobieląła, a białe paski na koszuli Stefana rozjarzyły się oślepiającym blaskiem.

Ultrafiolet.

Powietrze wokół obelisku pojaśniało.

Stefano robił już ten test w pracowni, aby sprawdzić, czy kobieta mówi prawdę, ale pochylił się i zaczął oglądać ściany obelisku.



Jego wszystkie cztery powierzchnie pokrywały linijki jarzącego się białoniebieskiego pisma.

Nie były to hieroglify. Język, w którym używano tych znaków, pochodził jeszcze sprzed epoki starożytnych Egipcjan.

– Czy naprawdę może to być... – zaczął Stefano ze zdumieniem.

Z piętra nad nimi doleciało echo cichych słów. Ze schodów sturlał się kamyk.

Stefano odwrócił się gwałtownie. Przerazenie powróciło, skuwając mu krew w żyłach.

Natychmiast rozpoznał spokojną kadencję dobiegającego z ciemności szeptu.

Egipcjanin.

Odkryto ich.

Wyczuwając zagrożenie, kobieta zgasła latarkę i połknęła ich ciemność.

Kiedy Stefano podniósł swoją, aby poświecić jej w oczy i znaleźć w nich odrobinę nadziei, ujrzał lufę czarnego pistoletu zakończoną tłumikiem. Z rozpaczą zrozumiał, że znowu wyprowadzono go w pole.

– Grazie, Stefano.

W przestrzeń między ostrym kasznięciem pistoletu a płomieniem ognia z lufy wcisnęła się tylko jedna myśl: „Mario, wybacz mi...”.

Watykan

3 lipca, godzina 13.16 czasu miejscowego

Monsignore Vigor Verona niechętnie wspinał się po schodach. Z każdym stopniem wracały niemiłe wspomnienia ognia i dymu, poza tym miał zbyt słabe serce do takich wspinaczek. Wprawdzie dopiero skończył sześćdziesiąt lat, ale czuł się przynajmniej o dziesięć lat starzej. Zatrzymał się na podeście schodów, uniósł głowę i pomasaował dół pleców.

Kręcone schody zostały zamienione w labirynt rusztowań, poprzecinanych podestami. Wiedząc, że to przynosi nieszczęście, Vigor przeszedł pod drabiną malarza i kontynuował wspinaczkę na szczyt Torre dei Venti, Wieży Wiatrów.

Opary świeżej farby wyciskały mu łzy z oczu, ale gorsza była pamięć innych zapachów – fantomów z przeszłości, o której wolałby zapomnieć.

Zwęglone ciało, kwaśny dym, rozżarzony popiół.

Przed dwoma laty pożar zamienił stojącą w sercu Watykanu wieżę w pochodnię i przywrócenie jej do dawnej wspaniałości wymagało wiele pracy. Vigor nie mógł się doczekać, kiedy nastąpi ponowne otwarcie, a wstęgę osobiście przetnie Jego Świątobliwość.

Najbardziej jednak nie mógł się doczekać chwili, gdy ten fragment przeszłości stanie się zamkniętym rozdziałem jego życia.

Niemal w pełni odrestaurowano już sławną Sala della Meridiana, Salę Południkową, w której Galileusz próbował udowodnić, że Ziemia obraca się wokół Słońca. Oczyszczenie fresków z sadzy i popiołu zajęło półtora roku i wymagało benedyktyńskiej pracy dużej grupy konserwatorów oraz historyków sztuki.

Gdybyż wszystko dało się uratować za pomocą pędzla i farby...

Jako nowy prefekt Archivio Segreto Vaticano, Vigor dokładnie wiedział, która część Tajnych Archiwów Watykanu została zniszczona. Tysiące starożytnych ksiąg, iluminowanych tekstów i archiwalnych rejestra – oprawionych w skórę pergaminowych i papierowych dokumentów. W ciągu ostatnich stu lat pomieszczenia w wieży były wykorzystywane jako magazyn głównego archiwum, znajdującego się daleko w dole.

Teraz jednak biblioteka miała znacznie więcej wolnego miejsca.

– Prefetto Verona!

Słyszając ten głos, Vigor gwałtownie powrócił do rzeczywistości. Był to na szczęście tylko jego asystent – młody seminarzysta Claudio, który stał na szczycie schodów i odciągał na bok zasłonę z przezroczystego plastiku, oddzielającą schody od reszty pomieszczenia.

Dotarł na miejsce znacznie szybciej od swojego zwierzchnika i czekał w Sali Południkowej.

Godzinę temu szef zespołu konserwatorów wezwał Vigora do wieży. Wiadomość, jaką przesłał, była bardzo pilna i tajemnicza: PRZYBĄDŹ JAK NAJSZYBCIEJ. DOKONANO STRASZLIWEGO I CUDOWNEGO ODKRYCIA.

Tak więc Vigor natychmiast wyruszył w daleką drogę na szczyt świeżo pomalowanej wieży. Nie przebrał się nawet z czarnej sutanny, którą musiał włożyć rano na spotkanie z watykańskim sekretarzem stanu. Żałował teraz tego pośpiechu, bo jego strój zdecydowanie nie nadawał się do męczącej wspinaczki. Z trudem dotarł na szczyt. Wytarł czoło chustką.

– Tędy, prefetto – powiedział Claudio.

– Grazie, mój chłopcze.

W pomieszczeniu, do którego weszli, było gorąco jak w piecu – jakby kamienie, z których zbudowano wieżę, zatrzymały temperaturę pożaru sprzed dwóch lat. W rzeczywistości rozgrzało je jedynie południowe słońce. Rzym przeżywał szczególnie dokuczliwą falę upałów. Vigor modlił się o choćby najslabszy powiew wiatru, o to, aby Wieża Wiatrów udowodniła, że zasługuje na swoją nazwę.

Zdawał sobie sprawę, że spocił się tak bardzo nie tylko z powodu męczącej wspinaczki i grubego materiału sutanny. Od dnia pożaru unikał wchodzenia na szczyt wieży i kierował pracami na odległość. Nawet teraz stanął plecami do znajdujących się z boku pomieszczeń.

Kiedyś miał innego asystenta.

Jakoba.

Ale ogień strawił nie tylko księgi.

– Tu jesteście! – zadudnił basowy głos.

Szedł ku nim doktor Balthazar Pinosso, nadzorujący restaurację Sali Południkowej. Był wielki jak dąb – miał niemal dwa metry i dziesięć centymetrów wzrostu – i ubrany (jak zawsze w pracy) na białą, łącznie z papierowymi kapciami na nogach. Vigor dobrze go znał – Balthazar był dziekanem wydziału historii sztuki Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, na którym Vigor pracował kiedyś jako kierownik Instytutu Archeologii Chrześcijańskiej.

Wielkolud popatrzył na zegarek i przewrócił oczami.

– Dziękuję za niezwykle szybkie przybycie, prefekcie...

Vigor doceniał tę delikatną uszczypliwość. Odkąd mianowano go nadzorcą archiwów, niewielu ludzi ośmielało się zwracać do niego w ten sposób.

– Gdybym miał takie nogi jak ty, Balthazarze, mógłbym brać po dwa stopnie naraz i byłbym tu znacznie wcześniej niż biedny Claudio.

– W takim razie najlepiej będzie, jeżeli szybko się uwiniemy, żebyś mógł wrócić na czas na popołudniową drzemkę. Nie lubię przeszkadzać w tak pilnych pracach.

Mimo jowialnego zachowania w oczach doktora Pinossa widać było napięcie. Uwadze Vigora nie uszedł także fakt, że odesłał wszystkich ludzi uczestniczących w pracach restauracyjnych. Vigor również dał znak swojemu asystentowi, aby zaczekał na schodach.

– Mógłbyś zostawić nas na chwilę samych, Claudio?

– Oczywiście, prefetto.

Gdy asystent opuścił pomieszczenie, Vigor popatrzył na swojego byłego kolegę.

– Po co ten pośpiech, Balthazarze?

– Chodź, pokażę ci.

Kiedy doktor Pinosso ruszył w głąb okrągłego pomieszczenia, Vigor rozejrzał się i stwierdził, że wewnątrz jest już niemal zupełnie odnowione. Na ścianach i suficie widać było freski Nicolò Circignaniego, ukazujące sceny z Biblii – z unoszącymi się na niebie cherubinami i chmurami. Tylko kilka z nich było jeszcze zasłoniętych pasami jedwabiu i czekało na dokończenie prac. Znajdująca się na podłodze płaskorzeźba przedstawiająca znaki zodiaku została oczyszczona i wypolerowana. Przez niewielki otwór w ścianie przedostawał się do środka cienki promień światła, który dotykał podłogi i oświetlał wykonaną z białego marmuru linię południka, biegnącego przez ciemną podłogę.

Balthazar dotarł do przeciwległej strony sali i rozsunął zasłonę, za którą ukazały się masywne drzwi. Zwęglenie ich zewnętrznej powierzchni sugerowało, że były oryginalne i równie stare, jak sama wieża.

Historyk postukał palcem w jedną z brązowych śrub, którymi skrecono drzwi.

– Odkryliśmy niedawno, że mają środek z brązu. Na szczęście. Dzięki temu to, co było za nimi, nie zostało zniszczone.

– A co tam było? – zapytał Vigor.

Balthazar szeroko otworzył drzwi. Za nimi znajdowała się pozbawiona okna wnęka, w której ledwie zmieściłyby się dwie osoby. Po obu stronach – od podłogi po sufit – ciągnęły się regały, pełne oprawnych w skórę ksiąg. Stęchłe powietrze, które wypłynęło ze środka, bez trudu przebiło się przez zapach świeżej

farby, wyraźnie pokazując, jak łatwo starość może pokonać renowacyjne wysiłki człowieka.

– Zawartość tego magazynku została zinwentaryzowana, kiedy go opróżnialiśmy przed rozpoczęciem prac – wyjaśnił Balthazar. – Nie znaleźliśmy niczego, co miałoby jakieś szczególne znaczenie. Księgi zawierają historyczne teksty z dziedziny astronomii i żeglarstwa i niemal wszystkie się rozpadają. – Wszedł do środka, westchnął głośno i wzruszył ramionami. – Przy takiej liczbie robotników powinienem być ostrożniejszy. Ale skupiałem się na samej Sali Południkowej, poza tym w nocy wejścia pilnował Szwajcar, sądziłem więc, że wszystko jest dobrze zabezpieczone.

Vigor wszedł do wnęki.

– Używaliśmy tego pomieszczenia do przechowywania narzędzi – dodał Balthazar, wskazując palcem dolną półkę regału. – Żeby nie wpadały nam ciągle pod nogi.

Vigor pokręcił głową. Panująca w środku temperatura i ciężar na sercu sprawiały, że czuł się coraz bardziej zmęczony.

– Nic nie rozumiem. Po co mnie wezwalesz?

Z piersi Balthazara wydobyło się coś na kształt grzmotu.

– Tydzień temu jeden ze strażników widział jakiegoś człowieka, który tu węszył – powiedział.

– Dlaczego nie zostałem o tym poinformowany? Skradziono coś?

– Nic. Byłeś wtedy w Mediolanie, a strażnik przegonił intruza. Założyłem, że to zwykły złodziej, który chciał wykorzystać zamieszanie, nieustanne pojawianie się

i znikanie ludzi. Dla bezpieczeństwa kazałem postawić przed salą drugiego strażnika.

Vigor machnął dłonią, aby mówił dalej.

– Dziś rano jeden z pracowników odstawił do tego pomieszczenia lampę. Kiedy potem znowu wszedł do środka, była zapalona. – Balthazar sięgnął za plecy Vigora i zamknął drzwi, odcinając dopływ światła, po czym włączył małą latarkę, którą trzymał w dłoni. Skąpała pomieszczenie w purpurze, a biały kombinezon naukowca rozjarzył się jasnym blaskiem. – Podczas prac konserwatorskich często używamy ultrafioletu, ponieważ pozwala wydobyć szczegóły, których nie widać gołym okiem – dodał historyk i wskazał na podłogę.

Ale Vigor już wcześniej ujrzał rysunek, który wydobyło z mroku światło latarki. Pośrodku podłogi świecił naszkicowany toporną kreską kształt.

Zwinięty smok, trzymający w pysku koniec własnego ogona.

Poczuł, że zaciska mu się gardło. Zatoczył się do tyłu, uwięziony między przerażeniem a niewiarą. W głowie załomotało mu wspomnienie straszliwych krzyków i strumieni krwi.

Balthazar położył mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku? Może powinienem być cię na to jakoś przygotować...

Vigor się odsunął.

– Nie... nic mi nie jest.

Ukląkł, aby dokładniej przyjrzeć się symbolowi, który tak dobrze znał. Był to znak Ordinis Draconis, Najwyższego Cesarskiego Trybunału Smoka.

Balthazar, którego oczy jarzyły się upiornie w ultrafioletowym świetle, również przyglądał mu się uważnie.

To właśnie Trybunał Smoka, rękami zdradzieckiego byłego prefekta tajnych archiwów, nieżyjącego już Alberta, dwa lata temu podpalił wieżę. Vigor miał nadzieję, że cała ta sprawa dawno została zakończona, że zamknęło się nad nią wieko historii, zwłaszcza po odbudowie wieży, która powstała z popiołów niczym feniks.

Co ten znak mógł tu robić?

Rysunek sprawiał wrażenie naszkicowanego w wielkim pośpiechu.

– Przyjrzałem mu się przez lupę – powiedział Balthazar. – Pod warstwą fluoryzującej farby znalazłem resztki jednej z past, których używaliśmy przy restauracji, co oznacza, że symbol został namalowany całkiem niedawno. Według mnie w ciągu ostatniego tygodnia.

– A mówiłeś, że to tylko złodziej... – mruknął Vigor.

– Prawdopodobnie nie był to zwykły złodziej.

Vigor pomasaował sobie kolano. Znak mógł stanowić ostrzeżenie lub informację dla kolejnego ukrytego w Watykanie kreta Trybunału Smoka. Vigor przypomniał sobie treść wiadomości otrzymanej od Balthazara: „Dokonano straszliwego i cudownego odkrycia”. Wpatrując się w smoka, zrozumiał, dlaczego historyk użył określenia „straszliwe”. Spojrzał na niego.

– W swojej wiadomości wspomniałeś także o jakimś cudownym odkryciu.

Doktor Pinosso kiwnął głową, sięgnął za siebie i otworzył drzwi. Kiedy do środka magazynku wpadło

światło, jarzący się smok zniknął.

Vigor powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Popatrz tutaj. – Balthazar ukląkł obok niego. – Gdyby nie smok, nie zauważylibyśmy tego...

Oparł dłoń płasko na podłodze i palcami drugiej przeciągnął po nagim kamieniu.

– Żeby to zobaczyć, potrzebna była lupa. Zauważyłem ten napis, kiedy oglądałem fluoryzujący rysunek. Czekać na ciebie, starałem z rzeźbień część brudu.

Vigor wbił wzrok w podłogę.

– Jakich rzeźbień?

– Pochyl się niżej i pomacaj palcami.

Vigor zrobił, co mu kazano. W kamieniu wyryto niewyraźny napis, który bardziej wyczuwał palcami, niż widział – jak niewidomy czytający brajla.



Nie potrzebował opinii Balthazara, aby wiedzieć, że napis jest bardzo stary. Jako były kierownik Papieskiego Instytutu Archeologii Chrześcijańskiej natychmiast pojął jego wagę.

Konserwator ściszył głos do konspiracyjnego szeptu:

– To naprawdę jest to, o czym myślę?

Vigor usiadł na podłodze i starł brud z palców.

– Pismo starsze od hebrajskiego... – mruknął. – A jeżeli wierzyć przekazom, hebrajski to pierwszy język świata.

– Czemu ten napis znajduje się właśnie tutaj?

Vigor pokręcił głową i nadal wpatrywał się w podłogę, bo w tym momencie pojawiło się kolejne

pytanie. Namalowany na podłodze smok zwijał się wokół napisu, jakby go chronił.

Przypomniał sobie słowa Balthazara sprzed kilku minut: „Gdyby nie smok, nie zauważylibyśmy tego...”. Może smok wcale nie chronił tego napisu, ale miał zwrócić na niego uwagę?

Dla kogo był przeznaczony?

Ponownie poczuł w ramionach ciężar dymiącego, zwęglonego ciała Jakoba, swojego byłego asystenta.

Nagle zrozumiał: wiadomość nie była przeznaczona dla kolejnego agenta Trybunału Smoka – miała przyciągnąć uwagę kogoś związanego z historią Trybunału Smoka, kogoś, kto zrozumie jej znaczenie.

Została zostawiona dla niego.

Dlaczego? I co oznaczała?

Wstał. Znał kogoś, kto mógł mu pomóc. Do tej chwili nie czuł potrzeby utrzymywania kontaktu z tym człowiekiem – zwłaszcza po tym, jak tamten zerwał z jego bratanicą. Ale powodem niechęci Vigora do tego mężczyzny było nie tylko złamane serce dziewczyny – tak samo jak wieża, przypominał mu o krwawej przeszłości, którą wolałby wymazać z pamięci.

Teraz jednak nie miał wyboru.

Znak smoka cały czas płonął mu przed oczami, przekazując straszliwe ostrzeżenie.

Potrzebował pomocy.

Takoma Park, stan Maryland

4 lipca, godzina 23.44 czasu miejscowego

– Gray, mógłbyś wyrzucić śmieci?

– Już idę, mam!

Komandor Gray Pierce wziął ze stolika w salonie kolejną pustą butelkę – jeszcze jeden żołnierz poległy na przyjęciu, zorganizowanym przez ojca z okazji Czwartego Lipca – i włożył ją do plastikowego wiaderka, które trzymał w dłoni.

Popatrzył na zegarek. Zbliżała się północ.

Zabrał ze stolika przy wejściu kolejne dwie butelki i stanął przed otwartymi drzwiami, aby ochłodzić się nieco wpadającym przez siatkowy ekran wiaterek. Noc pachniała jaśminem, aromat kwiatów mieszał się z zapachem dymu z fajerwerków, wystrzelonych przez uczestników przyjęcia odbywającego się w domu obok. Z oddali nadal dolatywały pojedyncze świsty i trzaski wystrzałów. Na podwórku za domem rodziców wył pies, potęgując hałas.

Na frontowej werandzie domu pozostali już tylko nieliczni goście. Jedni huścili się na bujanej kanapie, inni stali oparci o balustradę, ciesząc się chłodną nocą, która zapadła po typowym dla lata w Marylandzie dusznym dniu. Kilka godzin temu obserwowali z werandy fajerwerki, a potem powoli zaczęli się rozchodzić i znikać w ciemnościach nocy. Trzymali się jeszcze tylko najtwardsi, wśród których był także szef Graya, Painter Crowe.

Dyrektor oddziału Sigma stał oparty o słupek werandy i rozmawiał z asystentem matki Graya. Był to posępny młodzieniec z Konga, który otrzymał stypendium na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Painter Crowe pytał go właśnie o sytuację polityczną

w jego kraju. Nawet na przyjęciu starał się trzymać rękę na pulsie świata.

I właśnie dlatego okazał się znakomitym dyrektorem.

Oddział Sigma był tajnym terenowym ramieniem DARPA, Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych Departamentu Obrony. Jego członków wysyłano w różne miejsca świata dla ochrony lub neutralizacji technologii mających istotne znaczenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. W skład oddziału wchodził starannie dobrani żołnierze sił specjalnych, którzy musieli ukończyć studia doktoranckie – dzięki czemu powstał paramilitarny zespół doskonale wykształconych agentów terenowych. Albo – jak lubił żartować Monk, przyjaciel Graya i członek grupy – oddział naukowców-zabójców.

W trakcie przyjęcia dyrektor pozwolił sobie tylko na drobne odprężenie: jedną szklaneczkę szkockiej whisky single malt, którą sączył przez cały wieczór. Kiedy Gray na niego patrzył, stojąc za siatkowymi drzwiami, Crowe skinął mu głową – jakby czuł, że jest obserwowany.

W słabym świetle na werandzie sprawiał wrażenie postaci wykutej z kamienia, ubranej w szare spodnie i świeżo wyprasowaną koszulę. Jego twarde rysy zdradzały indiańskie pochodzenie.

Gray przyglądał się twarzy swojego szefa i wiedząc o presji, pod jaką Painter Crowe się znajdował, szukał pęknięć w jego postawie. Sigma przechodziła właśnie kompleksowy audyt, przeprowadzany przez NSA i DARPA, a w Azji Południowo-Wschodniej szykował się kryzys medyczny. Dobrze, że szef wreszcie opuścił podziemne biura.

Przynajmniej na dzisiejszy wieczór.

Ale Crowe niełatwo zapominał o ciężących na nim obowiązkach.

Jakby zamierzając to udowodnić, przeciągnął się, odepchnął od balustrady i podszedł do drzwi werandy.

– Powinienem już iść – poinformował Graya i popatrzył na zegarek. – Wpadnę do biura i sprawdzę, czy Lisa i Monk bezpiecznie dotarli na miejsce.

Doktor Lisa Cummings i doktor Monk Kokkalis zostali wysłani w teren dla zbadania sytuacji na wyspach indonezyjskich, na których doszło do kryzysu medycznego. Wyruszyli tego dnia rano, jako pracownicy pomocniczy Światowej Organizacji Zdrowia.

Gray wyszedł na zewnątrz i uściśnął szefowi dłoń. Wiedział, że jego zainteresowanie podróżą Lisy i Monka znacznie wykracza poza zwykłą troskę szefa operacji terenowych o swoich podwładnych – niepokoił się o Lisę tak, jak zakochany mężczyzna niepokoi się o kobietę, którą kocha.

– Jestem pewien, że z Lisą wszystko w porządku – zapewnił go, wiedząc, że ostatnio Painter i Lisa prawie się nie rozstawali. – Oczywiście pod warunkiem, że wzięła ze sobą zatyczki do uszu. Chrapanie Monka może obluzować skrzydła samolotu odrzutowego. A jeśli chodzi o jednoosobowy zespół trębaczy... proszę zawiadomić Kat, kiedy dowie się pan czegoś nowego.

Painter uniósł dłoń.

– Przysyłała mi już dziś dwa razy SMS-a, pytając, czy coś mam. – Dopił szkocką. – Zadzwońię do niej, jak tylko zdobędę nowe informacje.

– Monk na pewno byłby panu wdzięczny... zwłaszcza teraz, gdy musi opiekować się dwiema kobietami...

Painter uśmiechnął się z przymusem.

Przed trzema miesiącami w domu Kat i Monka pojawiła się dziewczynka – dwa kilo osiemdziesiąt – której nadano imiona Penelope Anne. Po przydzieleniu nowego zadania Monk zażartował, że cieszy się z ucieczki przed pieluchami i karmieniem o północy, ale Gray czuł, że konieczność pozostawienia żony i córeczki bardzo go martwi.

– Cieszę się, że pan wpadł, dyrektorze. Do zobaczenia rano.

– Proszę przekazać podziękowania rodzicom.

Gray popatrzył na światła rozjaśniające lewą stronę domu, płynące ze znajdującego się za nim starego garażu, do którego przeniósł się ojciec. Z powodu postępującego alzheimera miał coraz większe problemy w kontaktach z ludźmi: zapominał nazwiska, ponownie zadawał pytania, na które już dostał odpowiedź. Wywołana tym frustracja była powodem wielu starć między ojcem a synem. Po kolejnej kłótni ojciec uciekł obrażony do garażu, w którym miał warsztat.

Ostatnio robił to coraz częściej i Gray podejrzewał, że nie tylko ukrywa się tam przed światem, ale chce także cofnąć czas, ochronić to, co pozostało z jego umiejętności, próbuje znaleźć pociechę w zestruganych przez hebel dębowych wiórach albo w dobrze wkręconej śrubie. Choć ojciec starał się tego po sobie nie pokazywać, Gray dostrzegał w jego oczach narastający strach.

– Oczywiście, przekażę – odparł.

Kiedy Painter ich opuścił, to samo postanowili zrobić pozostali goście. Ktoś wszedł do środka, aby pożegnać się z matką, pozostali pożegnali się na zewnątrz. Wkrótce Gray miał werandę tylko dla siebie.

– Gray! – zawołała matka z kuchni. – Śmieci!

Westchnął i podniósł wiadro pełne pustych butelek, puszek i plastikowych kubeczków. Zamierzał pomóc matce posprzątać, a potem chciał pojechać na rowerze do swojego znajdującego się niedaleko mieszkania. Zgasił światło na werandzie, zatrzasnął drzwi i ruszył w kierunku kuchni. Słychać było buczenie zmywarki do naczyń i klekot talerzy w zlewie.

– Mamo, ja dokończę – powiedział, wchodząc do kuchni. – Odpocznij.

Odwróciła się w jego stronę. Miała na sobie granatowe spodnie, białą jedwabną bluzkę i fartuch w kratę. W takich momentach jak ten – kiedy była zmęczona całym wieczorem zabawiania innych – z zaskoczeniem dostrzegał, jak bardzo się postarzała. Kim była ta siwa staruszka w kuchni jego matki?

Rzuciła w niego mokrą ścierką.

– Zajmij się śmieciami, ja nie mam już zbyt wiele do roboty. Idź do ojca i każ mu wracać do domu. Edelmannowie nie są zachwyceni jego nocną pracą. Aha, weź jeszcze wszystko, co zostało z grillowanych kurczaków... mógłbyś zanieść to do lodówki w garażu?

– Będę musiał iść drugi raz – mruknął, po czym jedną ręką złapał dwa worki ze śmieciami, a pod drugą pachę wsadził sobie wiaderko. – Zaraz wracam.

Pchnął biodrem tylne drzwi i wyszedł na mroczne podwórko. Ostrożnie zszedł po schodkach i skierował się do stojącego przy ścianie rzędu pojemników na śmieci. Starał się iść uważnie, żeby butelki w wiaderku nie klekotały. Zdradził go jednak tryskacz.

Potknął się o leżący na ziemi szlauch, a kiedy zamachał rękami, próbując odzyskać równowagę,

butelki wykonały koci koncert.

Szkocki terier sąsiadów natychmiast zaczął szczekać.
Cholera...

– Gray?! – krzyknął ojciec z garażu. – Jeśli to ty, pomóż mi, do cholery!

Zawahał się. Po niedawnej wymianie zdań z ojcem, która omal nie zakończyła się sprawdzaniem, który z nich potrafi głośniej wrzeszczeć, nie miał ochoty na bis. Przez ostatnie kilka lat – po długim okresie niemal całkowitego braku kontaktu – ich stosunki były poprawne, ale miesiąc temu, kiedy wyniki testów sprawności umysłowej ojca znowu zaczęły zjeżdżać po równi pochyłej, w jego zachowaniu pojawiła się dawna niemą ostrość.

– Gray!

– Chwileczkę! – odkrzyknął Gray, wrzucił śmieci do otwartego pojemnika i postawił obok wiaderko z butelkami, po czym zebrał się w sobie i ruszył w stronę garażu.

Jeszcze przed wejściem poczuł zapach trocin i oleju maszynowego, który przypomniał mu znacznie gorsze czasy. „Zaraz wezmę pas, ty gówniany... Zastanowisz się dwa razy, zanim ośmielisz się użyć któregoś z moich narzędzi... Weź dupę w troki, bo inaczej tak cię huknę, że...”.

Ojciec klęczał na podłodze obok gwoździ, które wysypały się ze starej puszkii po kawie, i próbował zebrać je na szufelkę. Na podłodze widać było rozmazaną smugę krwi ściekającej z jego lewej dłoni.

Kiedy Gray wszedł, ojciec wyprostował się szybko.

Jarzeniowe światło podkreślało podobieństwo obu mężczyzn. Spojrzenie niebieskich oczu ojca było tak

samo twarde jak oczu Graya, a ich twarze miały taki sam kanciasty kształt świadczący o walijskim pochodzeniu. Z biegiem lat Gray coraz bardziej upodabniał się do ojca. Nawet w jego włosach – choć wciąż jeszcze były czarne jak węgiel – pojawiały się pierwsze siwe pasemka.

Na widok zakrwawionej dłoni zbliżył się do ojca i dał mu znak, aby podszedł do umywalki.

– Obmyj dłoń – powiedział.

– Nie mów mi, co mam robić!

Gray otworzył usta, zamierzając coś ostro odpowiedzieć, jednak tylko pochylił się, by pomóc ojcu.

– Co się stało?

– Szukałem wkrętów do drewna – odparł ojciec i machnął ręką w stronę stołu warsztatowego.

– Przecież to są gwoździe!

Ojciec spiorunował go wzrokiem.

– Co ty powiesz, Sherlocku.

Spojrzenie ojca było przepełnione złością, ale Gray zrozumiał nagle, że ta złość wcale nie jest skierowana przeciwko niemu.

Zebrał gwoździe do puszki. Ojciec przyglądał się swoim dłoniom.

– Tato?

Starszy mężczyzna ze smutkiem pokręcił głową.

– A niech to cholera... – wymamrotał.

Gray tym razem nie zamierzał się z nim spierać.

Kiedy był dzieckiem, ojciec pracował na teksańskich polach naftowych. Jednak pewnego dnia w wypadku przy pracy stracił nogę od kolana w dół, co sprowadziło go do roli gospodyni domowej. Jego frustracja szczególnie mocno uderzała w Graya: ciągle coś od niego chciał, a on nigdy nie potrafił go zadowolić.

Obserwując ojca, wciąż wpatrującego się w swoje dłonie, doszedł do wniosku, że już od dawna głównym obiektem jego złości był on sam. Tak jak teraz. Nie rozpaczał, że ma nieudanego syna, lecz wściekał się, że Gray nie może być tym, kim on sam chciałby zostać. A teraz choroba odbierała mu z takim trudem wywalczoną tożsamość.

Próbował ubrać w słowa kłębiące się w głowie myśli, ale przerwał mu ryk pędzącego ulicą motocykla. Zapiszczały opony, gwałcąc asfalt rozpaloną gumą.

Wyprostował się i odstawił puszkę z gwoździami. Ojciec rzucił ciche przekleństwo w kierunku chuligana na motorze. Gray wyciągnął rękę i przyciemnił światło w garażu.

– Co ty...

– Nie podnoś się! – polecił mu Gray.

Coś tu było nie tak...

Po chwili ujrzeli motor – potężną yamahe V-max. Maszyna wpadła w ich pole widzenia w chwili, gdy kierowca wprowadził ją w poślizg. Reflektor motocykla był zgaszony i to właśnie zaalarmowało Graya. Kiedy usłyszeli ryk silnika, ulicy nie zalało światło. Z jakiegoś powodu kierowca jechał bez świateł.

Nie zwalniając, yamaha poślizgiem wjechała na podjazd ich domu, na ułamek sekundy znieruchomiała, po czym wystrzeliła do przodu.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął ojciec.

Prowadzący przesadził przy kontrowaniu poślizgu, maszyna podskoczyła na krawężniku i skosem poleciała w bok. Kierowca próbował ją opanować, ale tylny błotnik zahaczył o stopień werandy.

Motor przewrócił się i zaczął sunąć po podjeździe, wystrzeliwując chmurę iskier. Wyrzucony z siedzenia kierowca przeturlał się kilka razy po ziemi i z rozrzuconymi na bok rękami znieruchomiał przy garażu.

Silnik motocykla zakaszłał i zdechł.

Iskry również zgasły.

Powróciła ciemność.

– Jezus Maria! – zawołał ojciec.

Gray ruchem dłoni powstrzymał go przed wyjściem na zewnątrz. Drugą ręką wyciągnął z kabury przy kostce glocka i podszedł do leżącej na ziemi postaci, ubranej od stóp do głów w czerń: czarny skórzany kombinezon, czarny szal i taki sam kask.

Cichy jęk przekazał mu dwie informacje: kierowca motocykla żyje i jest kobietą. Kombinezon leżącej na boku postaci był w wielu miejscach porwany.

Przyciągnięta hałasem w tylnych drzwiach domu pojawiła się matka Graya. Jej sylwetkę oświetlała lampa paląca się na werandzie.

– Co się dzieje?

– Nie podchodź! – syknął Gray.

Zbliżając się ostrożnie do leżącej na ziemi kobiety, zauważył jakiś przedmiot znajdujący się kilka kroków od motocykla. Czarny podłużny kształt wyraźnie odcinał się od betonu. Mogła to być kolumna z czarnego kamienia – pęknięta w wyniku uderzenia. We wnętrzu pęknięcia migotały promienie księżycy odbijające się od metalowego rdzenia.

Ale uwagę Graya przyciągnął inny srebrzysty błysk – na szyi kobiety.

Błysk odbijający się w srebrnym wisiorze w kształcie smoka.

Nie musiał się zastanawiać, co widzi. Taki sam wisior on też miał na szyi. Był to prezent od dawnego wroga: ostrzeżenie i obietnica – na wypadek gdyby ich ścieżki ponownie miały się skrzyżować.

Zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu.

Kobieta jęknęła cicho i przetoczyła się na plecy. Na betonie rozlała się strużka krwi – czarne pasemko, które zaczęło szukać drogi do krótko przystrzyżonego trawnika. Gray zauważył ranę wylotową.

Ktoś strzelił do kobiety od tyłu.

Kiedy podniosła rękę i zdjęła kask, ujrzał znajomą, otoczoną czarnymi włosami twarz, teraz wykrzywioną bólem. Śniada cera i oczy w kształcie migdałów były dowodem zmieszania krwi rasy białej i azjatyckiej.

– Seichan...

Wyciągnęła do niego rękę.

– Komandorze Pierce... pomóż mi...

W jej słowach słyhać było nie tylko cierpienie, ale także coś jeszcze – coś, czego Gray nigdy by się nie spodziewał po swoim bezlitosnym wrogu.

Przerażenie.

2

Krwawe Boże Narodzenie

Wyspa Bożego Narodzenia

5 lipca, godzina 11.02 czasu miejscowego

Kolejny leniwy dzień na plaży...

Monk Kokkalis szedł wąskim pasem piasku za kolegą. Obaj mieli na sobie identyczne antykontaminacyjne skafandry typu Bio-3, ale nie był to najlepszy strój na nadmorską przechadzkę w tropikach. Choć pod spodem Monk miał tylko bokserki, piekł się w szczelnie zamkniętym plastiku i czuł, że długo tego nie wytrzyma. Musiał osłaniać oczy przed blaskiem południowego słońca, a widok wokół był przerażający.

Zatoka przy zachodnim brzegu Wyspy Bożego Narodzenia kipiała od zwierzęcych trucheł, a linię nocnego przypływu znaczyły sterty martwych ryb. Na plaży co kilkadziesiąt metrów leżały ogromne stosy rekinów, delfinów i żółwi – w jednym z nich tkwił nawet kaszalot – ale trudno było stwierdzić, gdzie kończy się jedno zwierzę i zaczyna drugie, bo rozkładające się ciała tworzyły niemal jednolitą śmierdzącą masę. Na plaży i w wodzie widać było także mnóstwo martwych ptaków

morskich – prawdopodobnie zwabionych padliną i zabitych przez tę samą truciznę.

Z pobliskiej wyrwy w skale z rykiem wystrzeliwała raz za razem fontanna brudnej morskiej wody, co wyglądało, jakby ocean wydawał ostatnie tchnienie.

Kuląc się pod bryzgami wody, mężczyźni szli na północ, starając się nie zejść z wąskiego pasa czystego piasku biegnącego między granicą przyprływu a stromymi, porośniętymi krzakami klifami.

– Przypomnij mi, abym nie zamawiał na statku owoców morza – wymamrotał Monk, ciesząc się, że skafander zaopatrzony jest w butlę z powietrzem. Wolał nie wyobrażać sobie smrodu, jaki musiał wisieć nad plażą.

Był zadowolony, że jego partnerka, doktor Lisa Cummings, została na zakotwiczonym po drugiej stronie wyspy statku. Mistress of the Seas unosiła się na wodach zatoki Flying Fish, osłonięta przed przyprawiającym o mdłości fetorem docierającym na wyspę z toksycznej zupy na zachodzie.

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

Kiedy o świcie zjawili się na miejscu katastrofy, trafili w sam środek ewakuacji setek mężczyzn, kobiet i dzieci w różnym stadium skażenia: część oślepla, inni dostali wysypki, a najbardziej chorzy mieli rozległą martwicę skóry, która odrywała się od ciała wielkimi, pokrytymi czyrakami płatami. Choć wskaźniki zatrucia gwałtownie spadały, dla bezpieczeństwa postanowiono ewakuować wszystkich mieszkańców wyspy.

Mistress of the Seas, luksusowy statek wycieczkowy, który odbywał swoją dziewiczą podróż w rejonie wysp indonezyjskich, został opróżniony z pasażerów

i przekształcony w szpital. Utworzono na nim centrum operacyjne zespołu Światowej Organizacji Zdrowia, wezwanego dla ustalenia przyczyny i źródła nagłego zatrucia okolicznych wód.

Właśnie dlatego Monk od rana tkwił na wyspie – badając skutki tragedii, miał określić jej przyczyny. Jego specjalizacja z medycyny sądowej szczególnie predestynowała go do marszu wśród stert martwych zwierząt. Umiejętności Lisy miały być poddane próbie na statku. Operacja została zakwalifikowana do kategorii niskiego ryzyka („jedynie ocena sytuacji”) i miała ułatwić Monkowi powrót do pracy po trzymiesięcznym urlopie rodzinnym.

Nie chciał myśleć o swojej ukochanej córeczce, brodząc przez błoto śmierci, było to jednak ponad jego siły. Znowu ujrzał błękitne oczy Penelope, jej pulchne policzki i aureolę jasnych włosów – główkę tak niepodobną do jego ogolonej na łyso głowy i twarz tak mało przypominającą jego ostre rysy. Jak coś tak pięknego mogło mieć te same geny co on? No cóż, pewnie większy wpływ na wygląd małej miała jej matka...

Nawet tutaj, na tej śmierdzącej plaży, nie mógł się pozbyć ucisku w klatce piersiowej – tęsknoty tak silnej, jakby ich trójkę łączyły więzy podobne do pępowiny. Jeszcze niedawno nie wyobrażał sobie, że można być aż tak szczęśliwym.

Idący z przodu doktor Richard Graff, dobrze zakonserwowany morską solą oceanograf z Uniwersytetu Queenslandzkiego, ukląkł na jedno kolano. Nie miał pojęcia o prawdziwej tożsamości Monka – powiedziano mu jedynie, że WHO zatrudniła go

ze względu na doświadczenie. Postawił plastikową skrzynkę do próbek na skale. Mimo maski widać było, jak bardzo jego brodata twarz jest napięta i skupiona.

Czas zabrać się do pracy.

Zostali tu przywiezieni pontonem przez marynarza Australijskiej Marynarki Królewskiej, który wysadził ich przy brzegu, rzucił kotwicę poza strefą śmierci i czekał na ich powrót. Zaraz potem przypłynął tu kuter australijskiej straży przybrzeżnej, aby nadzorować ewakuację mieszkańców.

Ta znajdująca się na krańcu świata wyspa, położona tysiąc pięćset mil morskich, czyli około dwóch tysięcy siedmiuset kilometrów na północny zachód od Perth, należy do Australii. Została odkryta w Boże Narodzenie 1643 roku przez Anglików i skolonizowana. Chcąc wykorzystać zasoby fosfatów, zbudowali na niej dużą kopalnię, w której zatrudniali robotników kontraktowych ze wszystkich wysp indonezyjskich. Choć kopalnia funkcjonuje do dziś, obecnie głównym przemysłem wyspy jest turystyka. Trzy czwarte jej gęsto porośniętej lasem deszczowym powierzchni zostało uznane za park narodowy.

Minie sporo czasu, zanim znowu pojawią się tu turyści, pomyślał Monk i podszedł do doktora Graffa.

Oceanograf zatoczył krąg dłonią w rękawicy ochronnej.

– Z doniesień miejscowych rybaków wynika, że to się zaczęło nieco ponad cztery tygodnie temu – powiedział.
– W pułapkach na homary znajdowano puste skorupy, z których wypłynęło rozpuszczone mięso. Kiedy rybacy wyciągali z morza sieci, dostawali na dłoniach pęcherzy. Z każdym dniem robiło się gorzej.

– Co tu się stało pana zdaniem? Jakiś toksyczny wyciek?

– Bez wątpienia było to działanie toksycznej substancji, ale nie wyciek.

Oceanograf rozwinął czarną torbę z wyraźnie widocznym znakiem ostrzegającym przed zagrożeniem chemicznym, po czym wskazał na przybój. Woda pieniała się żółtawo i wyglądała jak trująca potrawka z gnijącego mięsa i kości.

– To wszystko robota matki natury – oświadczył.

– Co pan ma na myśli?

– Patrzy pan na śluzorośla, kolego. W ich skład wchodzi Cyanobacteria, przodek współczesnych alg i bakterii. Trzy miliardy lat temu podobne organizmy pokrywały wiele akwenów, a teraz znowu się rozprzestrzeniają. Właśnie dlatego mnie tu wezwano. Badałem podobne wykwity w pobliżu Wielkiej Rify Koralowej, przede wszystkim te, które często nazywa się „ognistym zielskiem”. Chodzi o kolonie alg i cyjanobakterii, które mogą pokryć powierzchnię wielkości boiska piłkarskiego w czasie krótszym niż trwa zjedzenie obiadu. Te cholerne stwory wydzielają dziesięć różnych biotoksyn, wystarczająco silnych, aby na ludzkiej skórze powstały bąble. Po wysuszeniu mogą się rozprzestrzeniać drogą powietrzną... i wtedy działają podobnie do spreju pieprzowego.

Monk spróbował wyobrazić sobie skażenie Settlement, największego skupiska ludności na wyspie, położonego stosunkowo niedaleko brzegu.

– Chce pan powiedzieć, że właśnie coś takiego się tu wydarzyło?

– Albo coś bardzo podobnego. „Ogniste zielsko” i inne cyjanobakterie rozwijają się we wszystkich morzach i oceanach, od norweskich fiordów po Wielką Rafę Koralową. Giną wtedy ryby, korale i morskie ssaki, bo te prastare śluzorośla zabierają im miejsce razem z trującymi meduzami, które też ostatnio bardzo się rozpanoszyły. Wygląda to niemal tak, jakby ewolucja się cofała, a oceany powracały do pierwotnego stanu. Ale winić możemy o to tylko siebie. Spływające do morza nawozy, chemia przemysłowa i ścieki od dziesięcioleci zatruwają delty i ujścia rzek. Niekontrolowane odławianie ryb w ostatnim pięćdziesięcioleciu zmniejszyło populacje niektórych dużych gatunków nawet o dziewięćdziesiąt procent. Zmiany klimatyczne powodują zakwaszanie i ocieplanie się wód, co zmniejsza ich zdolność do magazynowania tlenu, czego efektem jest duszenie się flory i fauny morskiej. Niszczymy oceany w błyskawicznym tempie... w stopniu znacznie przekraczającym ich zdolność regeneracji. – Doktor Graff wzruszył ramionami. – W rezultacie jesteśmy świadkami powrotu mórz i oceanów do stanu sprzed miliona lat, kiedy wypełniały je bakterie, toksyczne algi i gigantyczne meduzy. Takie martwe miejsca jak to znajdują się na całym świecie.

– A co było przyczyną tutejszej katastrofy?

Graff pokręcił głową.

– Nowe, niezidentyfikowane jeszcze śluzorośla. Coś, z czym do tej pory nie mieliśmy do czynienia. Właśnie to mnie najbardziej przeraża. Biotoksyny i neurotoksyny morskie są najsilniejszymi truciznami na Ziemi, tak paskudnymi, że człowiek nie może ich odtworzyć na drodze syntezy. Wiedział pan o tym, że saksytoksyna,

wytwarzana przez bakterie w organizmach niektórych skorupiaków, została uznana przez Narody Zjednoczone za broń masowego rażenia?

Monk skrzywił się i popatrzył na morze.

– Matka natura potrafi być niezłą dziwką.

– To największa terrorystka, jaką można sobie wyobrazić. Lepiej jej nie wkurzać.

Ponieważ wykład z biologii został zakończony, Monk zaczął pomagać oceanografowi zbierać próbki. Bardzo utrudniały mu to plastikowe rękawice skafandra. Dodatkowo przeszkadzała nieczuła lewa dłoń. Stracił ją podczas wykonywania jednego z poprzednich zadań i używał teraz najnowocześniejszej pięciopalcowej protezy, ale tworzywo syntetyczne i bioelektronika nie mogły zastąpić żywego ciała. Zaklął, kiedy trzymana w sztucznej ręce strzykawka upadła na piasek.

– Niech pan uważa – ostrzegł go Graff. – Lepiej będzie, jeśli nie przekłuje pan sobie kombinezonu. Nie tutaj. Wprawdzie wskaźniki toksyczności spadają, ale powinniśmy zachować ostrożność.

Monk westchnął. Najchętniej zdjąłby z siebie ten mały strój i wrócił na pokład. Na statek dostarczono niedawno w pełni wyposażone laboratorium medycyny sądowej. Właśnie w nim powinien teraz być.

Oczywiście potrzebowali próbek. Dużo próbek. Krwi, tkanek, kości. Z ryb, rekinów, kałamarnic, delfinów.

– Dziwne... – mruknął Graff. Wstał i przyjrzał się plaży. – Jednym z najliczniej występujących na tej wyspie gatunków jest *Geocarcoidea natalis*.

– Co to takiego?

– Czerwone kraby lądowe.

Monk również się rozejrzał. Przed przyjazdem przeczytał sobie trochę o faunie i florze Wyspy Bożego Narodzenia i wiedział, że osiągnący wielkość talerza obiadowego czerwony krab lądowy to lokalny gwiazdor. Coroczna migracja tego gatunku była niezwykle zjawiskiem. W listopadzie – miało to jakiś związek z cyklami Księżyca – miliony krabów wpełzały z lasu i rozpoczynały szaleńczy bieg w stronę oceanu, próbując ominąć morskie ptaki i udowodnić swoje prawo do reprodukcji.

– Kraby są padlinożercami, więc taka ilość truchła powinna je tu zwabić tak samo jak morskie ptaki. Nie widzę tu jednak ani jednego kraba... ani żywego, ani martwego.

– Może wyczuły toksynę i wolały pozostać w lesie?

– Gdyby tak było, być może udałoby się nam odkryć pochodzenie toksyny lub bakterię, która ją wytworzyła. Może kraby miały już do czynienia z podobnym zakwitem i są odporne? Tak czy owak, im szybciej wyizolujemy źródło skażenia, tym lepiej.

– Zwłaszcza dla mieszkańców wyspy...

Graff wzruszył ramionami.

– Oczywiście też, choć znacznie ważniejsze jest powstrzymanie tych organizmów przed rozprzestrzenianiem się. – Przyjrzał się żółtawej zupie. – Obawiam się, że to zwiastun tego, czego boją się wszyscy oceanografowie.

Monk popatrzył na niego pytająco.

– Bakteria, która rozpuszcza łuski, potrafi zniszczyć wszelkie przejawy życia w oceanie.

– Naprawdę coś takiego może się zdarzyć?

Graff ukląkł na piasku.

– Może właśnie się zaczęło...

Po tej ponurej przepowiedni przez godzinę zbierali próbki do probówek, torebek i plastikowych kubeczków. Słońce wznosiło się coraz wyżej, coraz jaskrawiej odbijało się od wody i coraz bardziej przypiekało zamknięte w plastiku ciała obu mężczyzn. Monk marzył o chłodnym prysznicu i zimnym drinku z parasolką.

Powoli sunęli wzdłuż plaży. Przy samym klifie natknęli się na wystające z piasku końce spalonych kadzidełek, tworzące coś w rodzaju miniaturowej palisady przed małą buddyjską kapliczką. Figurka Buddy stała pod ręcznie wykonanym daszkiem, pokrytym ptasimi odchodami, rysy twarzy proroka były starte przez wiatr i piasek. Monk zastanawiał się, czy ktoś zapalił te kadzidełka właśnie po to, aby błagać bóstwo o ochronę wyspy przed toksyczną falą.

Kiedy ruszyli dalej, poczuł na plecach zimny dreszcz. Czy ich wysiłki cokolwiek dadzą?

Warkot zbliżającej się motorówki zwrócił jego uwagę na morze. Popatrzył wzdłuż plaży i stwierdził, że obeszli cały cypel. Ich ponton czekał niewidoczny za skałą.

Oślonił oczy dłonią. Czyżby australijski pilot podpływał już do brzegu?

– Jeszcze za wcześnie, aby wracać – stwierdził Graff.

Zza cypla wyprysnął poobdrapywany niebieski ślizgacz i w tym samym momencie usłyszeli odgłos karabinowych strzałów. W tyle motorówki siedziało siedmiu ludzi. Mieli owinięte chustami głowy, a od ich karabinków szturmowych odbijały się słoneczne refleksy.

– Piraci... – jęknął Graff i cofnął się, wpadając na swojego towarzysza.

Jeszcze tylko tego brakowało, pomyślał Monk.

Motorówka skierowała dziób w ich stronę i – podskakując na falach – zaczęła się szybko zbliżać.

Monk złapał Graffa za kołnierz i wciągnął go do cienia.

Plaga piractwa coraz bardziej się rozprzestrzenia, a wody indonezyjskie zawsze były szczególnie lubiane przez morskich łupieżców. Mnóstwo porośniętych bujną tropikalną roślinnością wysp i małych atoli, tysiące ukrytych cumowisk – wszystko to tworzyło idealne warunki dla ich działalności. Po ostatnim tsunami liczba miejscowych morskich rabusiów gwałtownie wzrosła – chcieli wykorzystać panujący chaos i niedobory sił policyjnych.

Wyglądało na to, że zamierzali również wykorzystać i tę tragedię.

Ciężkie i trudne czasy rodzą desperację, ale kto mógł być na tyle zdesperowany, aby ryzykować wpłynięcie na zatrute wody?

Monk zauważył, że piraci w taki sposób owinęli głowy chustami, aby utworzyły coś w rodzaju prymitywnych masek, chroniących przed niebezpiecznymi czynnikami biologicznymi. Czyżby się dowiedzieli, że poziom zatrucia powietrza i wody spada, i dlatego postanowili zaryzykować napad?

Popatrzył w kierunku pontonu, którym przyплыł tu razem z Graffem. Za takiego zodiaca można byłoby na okolicznych wyspach dostać na czarnym rynku parę ładnych groszy – nie wspominając już o drogim sprzęcie badawczym. Ponieważ australijski pilot się nie ostrzeliwał, należało zakładać, że został wyłączony

z akcji. Tylko on miał radio, byli więc odcięci od świata i pozostawieni samym sobie.

Pomyślał o Lisie. Okoliczne wody patrolował kuter australijskiej straży przybrzeżnej, więc wszyscy na pokładzie *Mistress of the Seas* powinni być bezpieczni.

Jednak oni dwaj byli w znacznie gorszej sytuacji.

Klify uniemożliwiały ucieczkę w głąb wyspy, a na plaży nie mieli żadnej osłony.

Zaciągnął Graffa za przewrócony głaz – jedyne miejsce, w którym mogli się ukryć.

Ślizgacz pędził prosto na nich. Po chwili zaterkotał ogień z broni maszynowej i piach pocięły serie pocisków.

Monk i Graff przypadli do ziemi.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o kolejny leniwy dzień na plaży...

Godzina 11.42

Doktor Lisa Cummings wcierała znieczulający krem w poparzone plecy płaczącej dziewczynki. Matka trzymała małą za rękę. Była Malajką i choć jej oczy w kształcie migdałów przepełniał strach, cichym głosem próbowała uspokoić dziecko. Mieszanka lidokainy i prylokainy szybko złagodziła ból i sprawiła, że płacz zamienił się w stłumione chlipnięcia i pociągania nosem.

– Wszystko powinno być dobrze – powiedziała Lisa. Matka dziewczynki pracowała jako kelnerka w jednym

z miejscowych hoteli i znała angielski. – Proszę dopilnować, aby brała antybiotyki trzy razy dziennie.

Kobieta pochyliła głowę.

– Terima kasih. Dziękuję bardzo.

Lisa wskazała jej grupę ludzi w granatowo-białych mundurach – była to załoga Mistress of the Seas.

– Ktoś z nich zaraz znajdzie dla pani i małej kabinę.

Kobieta ponownie podziękowała jej schyleniem głowy, ale Lisa już się odwróciła i z trzaśnięciem zdjęła z rąk chirurgiczne rękawiczki. Jadalnia stała się głównym miejscem selekcji pacjentów. Każda osoba, którą ewakuowano z wyspy, była badana i przydzielana do jednej z dwóch grup: „w stanie krytycznym” albo „nie wymaga intensywnej opieki”. Lisa, która miała dość słabe pojęcie o procedurach medycyny ratunkowej, została skierowana do udzielania pierwszej pomocy. Asystował jej uczeń szkoły pielęgniarstwa z Sydney, chudy młodzieniec hinduskiego pochodzenia o imieniu Jesspal, wolontariusz z zespołu medycznego WHO.

Byli przedziwną parą – jasna blondynka i ciemnowłosy śniady chłopak – ale tworzyli zgrany zespół.

– Jessie, jak stoimy z cefaleksyną?

– Powinno wystarczyć, pani doktor – odparł.

Potrząsnął wielką butlą z antybiotykami, nie przerywając wypełniania dokumentacji. Miał podzielną uwagę i potrafił robić kilka rzeczy jednocześnie.

Lisa podciągnęła zielone chirurgiczne spodnie i rozejrzała się po sali. Nikt nie czekał na szybką pomoc. W pozostałej części jadalni panował przytłumiony chaos, od czasu do czasu przerywany krzykami bólu

i wybuchami płaczu, ale jak na razie była to oaza spokoju.

– Chyba ewakuowano już większość mieszkańców wyspy – stwierdził Jessie. – Słyszałem, że dwie ostatnie łodzie były prawie puste. Docierają już do nas tylko niedobitki z małych, dalej położonych wiosek.

– Dzięki Bogu.

Podczas tego ciągnącego się w nieskończoność poranka musiała zbadać ponad sto pięćdziesiąt osób z oparzeniami, ropną wysypką, atakami kaszlu, dyzenterią czy wymiotami oraz innych przypadków, wśród których był mężczyzna, który tak nieszczęśliwie upadł w dokach, że złamał sobie nadgarstek. A przecież była to jedynie niewielka część tego, co ją jeszcze czekało. Statek przyplłynął w pobliże wyspy w nocy, a o świcie, kiedy Lisa dotarła tu helikopterem, ewakuacja już trwała. Musiała od razu zabrać się do roboty. Maleńka, oddalona od świata Wyspa Bożego Narodzenia była zamieszkiwana przez jakieś dwa tysiące osób i przy oszczędnym gospodarowaniu kwaterami statek mógł przyjąć wszystkich – zwłaszcza że liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła już czterysta i wciąż rosła.

Lisa objęła się ramionami. Wolałaby oczywiście, aby obejmowały ją ramiona Paintera, a do jej karku przyciskał się jego kłujący policzek. Zmęczona zamknęła oczy. Choć był daleko, czerpała siły z jego twardości.

Przy tak wielkiej liczbie przypadków łatwo było ulec chłodnej rutynie i obojętności: opatrunek, leki, następny, następny...

Zachorowania zaczęły się dwa tygodnie temu. Początkowo były to jedynie niewielkie poparzenia

spowodowane bezpośrednim kontaktem z toksycznym czynnikiem, wystarczyły jednak kolejne dwa dni i morze zakipiało śmiertelnością chmurą, wyrzucając wulkan gazu, który zabił dwadzieścia procent populacji wyspy, a pozostałych mieszkańców pozbawił sił.

Choć toksyczna chmura już się rozpuściła, u chorych zaczęły się pojawiać choroby wtórne: grypa, wysoka gorączka, zapalenie opon mózgowych, ślepoty. Szybkość, z jaką się rozprzestrzeniały, była zatrważająca. Wkrótce cały trzeci pokład trzeba było zamienić na oddział kwarantanny.

Kiedy poinformowano ich o kryzysie medycznym na Wyspie Bożego Narodzenia, Lisa poprosiła Paintera o przydział do tego zadania. Poza dyplomem z medycyny miała doktorat z fizjologii oraz duże doświadczenie w pracy w terenie. Przez pięć lat pracowała na statku ratowniczym Deep Fathom, gdzie prowadziła badania związane ze swoim doktoratem.

Jednak nie tylko to skłoniło ją do podjęcia takiej decyzji.

Przez ostatni rok była przykuta do Waszyngtonu i stwierdziła, że życie Paintera powoli ją pożera. Choć fakt, że byli ze sobą, sprawiał jej ogromną przyjemność, czuła, że musi się od tego na jakiś czas oderwać – zarówno dla własnego dobra, jak i dla dobra ich związku. Potrzebowała odrobiny dystansu na bilans i analizę, nie stojąc w cieniu Paintera.

Ale może tak duży dystans nie był konieczny...

Przenikliwy krzyk skierował jej uwagę na podwójne drzwi prowadzące do jadalni. Dwóch marynarzy wносиło właśnie do środka mężczyznę na noszach. Wił się i krzyczał, a jego czerwona jak skorupa ugotowanego

homara skóra odchodziła płatami od ciała. Wyglądał, jakby zanurzono go we wrzątku. Marynarze ponieśli go na OIOM.

Lisa odruchowo zaplanowała leczenie: diazepam plus wlew z morfiny. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że w ten sposób jedynie złagodzi cierpienie pacjenta. Mężczyzna na noszach był już trupem.

– Szykują się kłopoty – mruknął stojący za nią Jessie.

Lisa odwróciła się i ujrzała doktora Gene'a Lindholma, szefa zespołu WHO. Wydawało się, że składa się tylko z rąk i szyi, a jego głowę zwieńczała szopa sterczących we wszystkie strony siwych włosów, co upodabniało go do strusia. Skinął Lisie głową, dając jej znać, że przyszedł do niej.

Po co?

Lisa nie bardzo cenila tego klinicystę po Harvardzie, który dbał przede wszystkim o własne ego. Zaraz po przyjeździe, zamiast zacząć pomagać zapracowanym kolegom i koleżankom, zaszły się gdzieś z właścicielem linii wycieczkowej, do której należał statek – australijskim miliarderem Ryderem Bluntem. Australijczyk lubił mieć oko na swoje interesy, więc uczestniczył w dziewiczym rejsie swojej jednostki i choć mógł opuścić pokład, kiedy statek zarekwirowano, pozostał na miejscu, wykorzystując akcję ratowniczą do celów marketingowych.

Była to również woda na młyn Lindholma.

Współpraca grubych ryb nie objęła oczywiście Monka i Lisy. Szef zespołu WHO miał pretensję o to, że zmuszono go, aby włączył do ekipy parę intruzów. Nie miał wyboru i musiał się zgodzić – ale nie był z tego zadowolony.

– Doktor Cummings... cieszę się, że wreszcie jest pani wolna.

Lisa przygryzła wargę, a Jessie zaśmiał się cicho.

Lindholm popatrzył na swojego ucznia, jakby dopiero teraz uświadomił sobie jego obecność, po czym szybkim ruchem dłoni kazał mu odejść i ponownie skupił się na Lisie.

– Polecono mi, abym informował panią i pani partnera o wszystkim, co dotyczy tej katastrofy. Ponieważ doktor Kokkalis jest w terenie, uznałem, że powinienem powiadomić o tym panią...

Podał jej grubą teczkę z dokumentacją medyczną. Na okładce znajdowało się logo szpitala, który obsługiwał mieszkańców Wyspy Bożego Narodzenia. Ponieważ jego obsadę stanowili lekarze, których wzywano jedynie w razie konieczności, i tylko dwie pełnoetatowe pielęgniarki, szpital bardzo szybko przestał być wydolny i poważniejsze przypadki kierowano do Perth. Jednak kiedy toksyczna fala uderzyła mocniej i przybył statek, szpital na wyspie ewakuowano.

Lisa otworzyła teczkę pacjenta oznaczonego jako N.N. i szybko przejrzała krótką historię jego choroby. Mężczyzna dobiegał siedemdziesiątki i znaleziono go pięć tygodni temu – siedł nagi przez las deszczowy i najwyraźniej cierpiał na demencję. Nie mówił, był bardzo odwodniony i jadł tylko karmiony ręką. Próbowano zidentyfikować go na podstawie odcisków palców i analizy baz danych osób zaginionych, ale niczego nie osiągnięto, więc pozostał N.N.

Uniosła głowę.

– Nie rozumiem... co to ma wspólnego z tym, co się stało tutaj?

Lindholm westchnął i postukał palcem w leżącą przed nią kartkę.

– Pod listą objawów i badań laboratoryjnych. Na dole.

– „Objawy długotrwałego wystawienia organizmu na warunki pogodowe... – przeczytała Lisa. – Oparzenia słoneczne drugiego stopnia na udach, z obrzękami i pęcherzami”. – Uniosła wzrok. Przez cały dzień miała do czynienia z tego typu objawami. – To nie było oparzenie słoneczne – stwierdziła.

– Ale właśnie do takiego wniosku doszli lekarze na wyspie – mruknął Lindholm.

Nie można było mieć o to pretensji do pracującego na wyspie personelu medycznego. Kiedy zajmowali się pacjentem N.N., nikt nie podejrzewał, że szykuje się katastrofa środowiskowa.

Lisa popatrzyła na datę. Było to pięć tygodni temu.

– Moim zdaniem znaleźliśmy pacjenta zero – oświadczył Lindholm. – A przynajmniej jednego z pierwszych.

Lisa zamknęła teczkę.

– Mogę go zobaczyć?

Kiwnął głową.

– To drugi powód mojego przyjścia tutaj – dodał tonem, który zaniepokoił Lisę. Ale zamiast wyjaśnić, o co chodzi, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. – Proszę za mną.

Skierował się w stronę windy i kiedy wsiedli, wcisnął klawisz trzeciego poziomu – pokładu „Promenada”.

– To izolowany oddział? – spytała Lisa.

Lindholm nic na to nie odpowiedział.

Po niecałej minucie wysiedli i znaleźli się w jasnym, sterylnie czystym pomieszczeniu. Lindholm wskazał

Lisie skafander ochronny – podobny do tego, jaki wziął ze sobą Monk.

Wsunęła kończyny w nogawki i rękawy. Kiedy zakładała kaptur i zasuwała zapięcia, poczuła lekki zapach ciała poprzedniego użytkownika kombinezonu.

Gdy już byli gotowi, Lindholm poprowadził ją korytarzem w stronę jednej z kabin. Jej drzwi były otwarte, a w wejściu stało kilku lekarzy.

Kierownik zespołu WHO warknął, aby ich przepuszczono, i jego pracownicy rozproszyli się jak przestraszone króliki. Lindholm wprowadził Lisę do środka małego pomieszczenia bez okna. Stało w nim tylko jedno łóżko.

Leżący pod cienkim prześcieradłem człowiek sprawiał wrażenie martwego, jego skóra była niemal przezroczysta. Jednak prześcieradło unosiło się lekko i opadało, informując, że pacjent – choć bardzo słabo – oddycha. Do jego przedramienia spływał wlewami dożylnymi płyn fizjologiczny.

Lisa spojrzała na twarz chorego. Ktoś go ogolił, ale niezbyt starannie, i z kilku zacięć sączyła się jeszcze krew. Szarosiwe włosy mężczyzny były rozwichrzone, lecz oczy miał otwarte i natychmiast nawiązał z Lisą kontakt wzrokowy.

Przez chwilę miała wrażenie, że chce jej coś powiedzieć. Uniósł lekko dłoń, jednak Lindholm wszedł między nią i pacjenta, po czym odchylił dolną część prześcieradła. Spodziewała się ujrzeć skórę pokrytą strupami, powracającą do normy po oparzeniu słonecznym drugiego stopnia, ale zamiast tego zobaczyła pokryte czarnymi pęcherzami purpurowe siniaki, biegnące od pachwin do palców stóp.

– Gdyby przeczytała pani raport, dowiedziałaby się pani, że te objawy pojawiły się cztery dni temu – powiedział Lindholm. – Personel szpitala podejrzewał tropikalną gangrenę, która często jest efektem oparzeń słonecznych. Ale to raczej...

– Martwicze zapalenie powięzi, prawda?

Lindholm wciągnął powietrze przez nos i opuścił prześcieradło.

– Właśnie.

Martwicze zapalenie powięzi – Fasciitis necroticans – zwane „chorobą zjadającą ciało”, wywołuje najczęściej paciorkowiec grupy A, Streptococcus pyogenes.

– Jaka jest ostateczna diagnoza? – zapytała Lisa. – Zakażenie wtórne, spowodowane wcześniejszymi ranami?

– Sprowadziłem tu naszego bakteriologa. Test barwiący metodą Grama wczoraj wieczorem wykazał znaczny rozrost Propionibacterium.

Lisa zmarszczyła brwi.

– Przecież to nie ma sensu. To zwykła bakteria naskórkowa, niepatogenna. Jest pan pewien, że to nie było jakieś zanieczyszczenie?

– Nie przy tej ilości, jaką znaleźliśmy w wybroczynach. Wyniki barwienia powtarzały się w próbkach z innych tkanek. Podczas powtórnych badań w sąsiednich tkankach zauważono dziwną martwicę... bardzo podobną do martwiczego zapalenia powięzi.

– Co ją powoduje?

– Ukłucie ryby zwanej szkaradnicą, bardzo toksycznej. Wygląda jak kamień, ale na grzbiecie ma kolce połączone z gruczołami wydzielającymi truciznę.

Jedną z najgroźniejszych, jakie zna świat. Sprowadziłem doktora Barnhardta, aby zbadał pacjenta.

– Tego toksykologa?

Lindholm kiwnął głową.

Doktor Barnhardt – ekspert od trucizn i toksyn naturalnych – został sprowadzony drogą lotniczą z Amsterdamu. Painter osobiście zażądał dołączenia go do zespołu WHO.

– Wyniki dostaliśmy godzinę temu. Stwierdził obecność aktywnej trucizny w tkankach pacjenta.

– Nie rozumiem tego. Czy to znaczy, że ten człowiek, wędrując w malignie, ukłuł się kolcem szkaradnicy?

– Nie – odezwał się za plecami Lisy jakiś głos, odpowiadając na jej pytanie.

Odwróciła się. Otwór drzwiowy wypełniała wysoka sylwetka potężnego mężczyzny wciśniętego w za mały na niego skafander ochronny. Gęsta broda upodabniała go do drwala, ale każdy, kto go znał, wiedział, że doktor Henrick Barnhardt ma bardzo błyskotliwy umysł.

– Nie sądzę, aby ten mężczyzna ukłuł się kolcem szkaradnicy... choć wszystkie objawy wskazują na zatrucie jadem tej ryby.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Lisa.

Barnhardt nie odpowiedział na to pytanie, ale zwrócił się do Lindholma.

– Jest tak, jak podejrzewałem, doktorze Lindholm. Pożyczyłem sobie hodowlę bakterii *Propionibacterium* od doktora Millera i przeanalizowałem ją. Nie ma wątpliwości.

Lindholm pobladł.

– O co chodzi? – spytała Lisa.

Toksykolog wyciągnął rękę i poprawił prześcieradło, którym przykryty był pacjent N.N. Jak na takiego wielkoluda zrobił to bardzo delikatnie.

– Ta bakteria... Propionibacterium wytwarza coś w rodzaju zamiennika jadu szkaradnicy i wydziela go w ilościach wystarczających do rozpuszczenia tkanek tego nieszczęśnika.

– To niemożliwe.

Lindholm zaśmiał się cicho.

– Też tak powiedziałem.

– Przecież Propionibacterium nie wytwarza żadnych toksyn – oświadczyła Lisa. – Jest dobrotliwa.

– Nie umiem wyjaśnić, jak ani dlaczego tak się stało – odparł Barnhardt. – Aby powiedzieć na ten temat coś więcej, musiałbym mieć dostęp do mikroskopu skanującego, zapewniam jednak, doktor Cummings, że ta „dobrotliwa” bakteria jakimś sposobem przekształciła się w jedno z najgorszych świństw na tej planecie.

– Jak to?

– Nie sądzę, aby pacjent miał kontakt z czynnikiem zakaźnym. Moim zdaniem początkowo była to część jego zwykłej flory bakteryjnej, ale w którymś momencie coś, na czego działanie został wystawiony, zmieniło biochemię bakterii, przekształciło jej podstawową strukturę genetyczną i sprawiło, że stała się złośliwa. Zamieniła ją w czynnik rozkładający ciało.

Lisa nie mogła zgodzić się z tą opinią. Potrzebowała dowodów.

– Mój partner, doktor Kokkalis, ma w swojej kabinie przenośne laboratorium medycyny sądowej – powiedziała. – Gdyby mógł pan...

Poczuła nagle, że coś dotyka jej dłoni, i odskoczyła. Ale był to tylko leżący na łóżku starzec, który po chwili znowu wyciągnął do niej dłoń. Jego spojrzenie zatrzymało się na twarzy Lisy, a popękane, spierzchnięte wargi zadrżały.

– Sue... Susan... – wymamrotał.

Lisa ujęła jego dłoń. Najwyraźniej majaczył w gorączce, biorąc ją za kogoś innego.

– Susan... gdzie jest Oscar? Słyszę, że szczeka w lesie... – Oczy mężczyzny wywróciły się do góry białkami. – ...szczeka... pomóż mu... tylko nie wchodź do wody...

Lisa poczuła, że palce chorego wiotczeją. Po chwili jego powieki opadły i krótki przeblysłk świadomości się skończył.

Podeszła pielęgniarka i sprawdziła parametry życiowe pacjenta. Znowu stracił przytomność.

Lisa wsunęła dłoń mężczyzny pod prześcieradło.

Lindholm zrobił krok do przodu.

– Laboratorium doktora Kokkalisa... musimy jak najszybciej uzyskać do niego dostęp, aby potwierdzić lub zanegować przypuszczenie doktora Barnhardta.

– Powinniśmy poczekać na powrót Monka – odparła Lisa. – Wolałabym nie ruszać tam niczego sama.

Lindholm popatrzył na nią.

– Trudno – mruknął i odwrócił się, jakby zamierzał odejść. – Pani partner powinien wrócić w ciągu najbliższej godziny. Doktorze Barnhardt, proszę przez ten czas zebrać jak najwięcej próbek.

Holenderski naukowiec kiwnął głową, choć Lisie wydawało się, że gdy szef zespołu WHO odchodził, przewrócił oczami.

Ruszyła za Lindholmem.

– Kiedy doktor Kokkalis wróci, proszę zawiadomić mnie przez pager, ja?! – zawołał za nią Barnhardt.

– Oczywiście – odparła.

Tak samo jak wszystkim pozostałym zależało jej na odkryciu prawdy, obawiała się jednak, że ledwie dotykają powierzchni problemu.

Szykowało się coś naprawdę paskudnego.

Ale co?

Miała nadzieję, że Monk niedługo wróci.

W drzwiach przypomniała sobie ostatnie słowa chorego:

„Tylko nie wchodź do wody...”.

Godzina 11.53

– Będziemy musieli płynąć – stwierdził Monk.

Wciąż ukrywali się za głazem. Przed kilkunastoma sekundami ślizgacz piratów utknął kilkaset metrów od brzegu na podwodnej rafie – jednej z wielu, dzięki którym tej części wyspy nadano nazwę Plagi Smithsona. Morscy rozbójnicy przestali strzelać i – sądząc po wyciu maltretowanego silnika – skoncentrowali się na wyrywaniu swojej łodzi z objęć rafy.

Monk wychylił się zza głazu, aby ocenić sytuację, i gdyby natychmiast się nie schował, straciłby ucho. Tkwili w pułapce i nie mieli dokąd uciec – chyba że chcieliby ruszyć na swoich prześladowców.

Monk odpiął nogawkę skafandra i z kabury umocowanej przy kostce wyjął glocka.

Na widok pistoletu oczy Graffa się rozszerzyły.

– Zamierza pan ich powystrzelać? A może chce pan trafić w bak i wysadzić ich w powietrze?

Monk pokręcił głową i zapiął nogawkę.

– Naoglądał się pan za dużo filmów Bruckheimera. Ta pukawka potrafi tylko sprawić, że będą nisko trzymali głowy. Może wtedy uda nam się jakoś dostać do wody. Tam... – Wyciągnął rękę i wskazał linię głazów, ciągnących się w głąb morza.

Gdyby dopisało im szczęście i dostaliby się na drugą stronę tej zapory, tak aby skały osłaniały ich przed piratami, może udałoby im się obejść cypel. Gdyby znaleźli się za cyplem, zanim piraci uwolnią motorówkę... i gdyby istniała jakaś droga prowadząca do wnętrza wyspy...

Bardzo dużo było tych „gdyby”...

Jedno było pewne: jeżeli zostaną na miejscu jak dwa trzęsące się króliki, ich cierpienia wkrótce zostaną skrócone.

– Będziemy musieli jak najdłużej pozostać pod wodą – ostrzegł swojego towarzysza Monk. – Jeżeli nabierzemy powietrza do kapturów, może uda nam się raz albo dwa wziąć haust.

Mina Graffa świadczyła o tym, że ten pomysł nie bardzo mu się podoba. Choć najsilniejsze uderzenie toksycznej fali mieli już za sobą, zatoka w dalszym ciągu była bardzo niebezpieczna. Nawet piraci nie ryzykowali wejścia do wody. Zamiast zejść z motorówki, odciążyc ją i zepchnąć z rafy, odpychali się długimi tyczkami.

Jeżeli piraci nie chcieli wchodzić do wody...

Monk nagle zwątpił w swój plan. Poza tym nienawidził nurkowania. Należał kiedyś do Zielonych Beretów, a nie do pieprzonych SEAL.

– Co jest? – spytał Graff, widząc wyraz jego twarzy. – Myśli pan, że ten plan nie zadziała, prawda?

– Daj mi się zastanowić! – syknął Monk i opadł na ziemię.

Jego myśli powędrowały ku ołtarzykowi Buddy, obstawionemu spalonymi kadzidełkami. Nie był buddystą, ale jeżeli modlitwa miałyby pomóc...

– Jak ktokolwiek mógł dostać się do tego ołtarzyka? – spytał nagle. – W promieniu wielu kilometrów nie ma żadnej wioski, plażę chroni rafa, a na klify nie da się wejść.

– Co za różnica? – mruknął Graff, kręcąc głową.

– Ktoś zapalił kadzidełka. Chyba wczoraj. Ale na plaży są tylko ślady naszych stóp. Przed ołtarzykiem ktoś klęczał, nie ma jednak śladów stóp ani w kierunku wody, ani wzdłuż plaży. A to oznacza, że przez klify musi prowadzić jakaś ścieżka.

– Albo ktoś spuścił się po linie.

Monk westchnął. Żałował, że nie ma z nim kogoś bardziej optymistycznie nastawionego.

Kiedy silnik motorówki piratów znowu zawył, Graff nerwowo przełknął ślinę. Ich prześladowcy prawie się uwolnili.

– Czy to prawda, że potarcie dłonią brzucha Buddy przynosi szczęście? – spytał.

Monk kiwnął głową.

– Chyba czytałem o tym na karteczce z ciasteczek szczęścia. Mam nadzieję, że Budda czytał tę samą karteczkę – powiedział, po czym uniósł pistolet. – Na mój

znak ruszasz. Będę biegł zaraz za tobą i strzelał do łódki, a ty spróbuj dotrzeć do ołtarzyka i znaleźć ścieżkę.

– Pomodłę się też o to, aby się nie okazało, że wierni spuszcza się na linie.

– Nie mów takich rzeczy, bo zapeszysz!

Graff wstał.

– Zaczynam liczyć – oświadczył Monk i poruszał stopami, aby pobudzić krążenie. – Trzy... dwa... jeden!

Graff wyprysnął zza głazu jak spłoszony zając. Kilkanaście centymetrów za jego stopami od skały odbiła się kula.

Monk zaklął i ruszył za nim.

– Miałeś poczekać na „już”... – syknął i zaczął strzelać do motorówki.

Kule zmusiły piratów do padnięcia na dno łódki. Jeden z nich wyrzucił ręce do góry i wypadł za burtę. Reszta odpowiedziała Monkowi nerwowymi, niezbornymi salwami, wystrzelonymi w panice.

Graff dobiegł do ołtarzyka Buddy i z poślizgiem zatrzymał się na piasku. Minął kadzidełka, odwrócił się, odzyskał równowagę i skoczył za skalny występ.

Monk wylądował na brzuchu w kolczastym krzewie tuż obok niego.

– Udało się! – wysapał Graff.

– I chyba nieźle ich wkurzyliśmy! – dodał Monk.

Wolał nie myśleć o człowieku, który znalazł się w toksycznej zupie.

W tym momencie salwy z karabinów piratów zaczęły walić w klif, rozszarpując zwisające z niego liście i pnącza. Monk i Graff skulili się za kamiennym brzuchem Buddy. Była w tym jednoznaczna symbolika.

Jednak Budda nic więcej nie miał im do zaoferowania.

Monk przyglądał się klifom.

Wydawały się zupełnie nagie i nie do pokonania.

Nie prowadziła przez nie żadna ścieżka.

– Może któryś z nas powinien był potrząść brzuch Buddy, kiedy tu przybiegliśmy – zauważył kwaśno Monk.

– A co z twoją bronią?

– Został mi jeden pocisk. Kiedy go wystrzelę, będę mógł rzucić w nich pistoletem. To zawsze działa.

Głośniejszy ryk silnika poinformował ich, że motorówka wreszcie się uwolniła. Była już między rafą a brzegiem i powoli prześlizgiwała się przez truchła zwierząt.

Wkrótce dojdą do nich ciała dwóch martwych ludzi, pomyślał Monk.

O Buddę załomotała salwa z kilku strzelb. Rozprysły się kolejne pnącza, a obok nich śmignął rykoszet. Rozerwana roślina ukazała wejście do jaskini.

Monk podpełzł bliżej, cały czas kryjąc się w cieniu Buddy. Rozsunął pnącza. Słońce ukazało jeden stopień, potem drugi...

– Tunel! – krzyknął do Graffa. – Twoja teoria z liną jest do kitu!

Odwrócił się. Doktor leżał na boku i przyciskał dłoń do ramienia. Spomiędzy jego palców spływała krew.

Cholera...

Szybko podpełzł do towarzysza.

– Chodź! Nie mamy czasu na opatrywanie twojej rany! Możesz iść?

– Jeszcze nie trafili mnie w nogi... – wykrztusił Graff przez zaciśnięte zęby.

Pomagając sobie, przedarli się przez zasłonę pnączy i wpełzli do tunelu. W środku było przynajmniej o dziesięć stopni zimniej. Monk trzymał Graffa za łokieć. Doktor drżał, ale bez wahania ruszył w ciemność.

Zza ich pleców doleciało szurnięcie dna motorówki o piasek, a potem usłyszeli triumfalne wrzaski piratów, przekonanych, że ich ofiary tkwią w pułapce. Monk parł do przodu, macając wokół siebie w ciemnościach.

Obaj zdawali sobie sprawę, że morscy łupieżcy wkrótce znajdą wejście do tunelu. Będą ich ścigać czy odpłyną?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast, bo w dole zapłonęły światła i ktoś zaczął wydawać przypominające szczeknięcia rozkazy.

Monk przyspieszył kroku.

Wściekłość w głosie piratów była bardzo wyraźna – naprawdę sprawiali wrażenie mocno wkurzonych.

Powoli ciemność zaczęła się zmieniać w szarość i zobaczyli ściany. Przyspieszyli kroku. Graff mamrotał pod nosem coś niezrozumiałego. Modlił się? Klął? Nieważne – grunt, aby zadziałało, pomyślał Monk.

Dotarli na szczyt schodów i po chwili wbiegli do porastającego skraj klifu lasu. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby zauważyć, że strefa śmierci nie ogranicza się do plaży: ziemia między drzewami była pokryta martwymi ptakami. Pod nogami Monk zauważył truchło pteropusa – gigantycznego nietoperza, w niektórych regionach nazywanego latającym lisem. Przypominał miniaturowy samolot myśliwski, który spikował i uderzył dziobem w ziemię.

Ale nie wszyscy mieszkańcy lasu zginęli.

Kilka metrów dalej poszycie kipiało i falowało czerwono. Nie był to zakwit bakterii, lecz kraby. Jak okiem sięgnąć, ziemię pokrywały miliony czerwonych skorupiaków. Nie pozostawiły ani centymetra wolnej przestrzeni, a niektóre czepiały się nawet drzew i pnączy.

A więc to tutaj ukryły się kraby z wyspy...

Monk pamiętał, że te zwierzęta – o ile się ich nie zdenerwuje lub nie pobudzi – przez cały rok zachowują się bardzo spokojnie, ale podczas corocznej migracji należy na nie uważać: ostrymi jak brzytwy szczypcami potrafiły rozpruwać opony samochodów.

Cofnął się o krok.

Kraby były zdecydowanie pobudzone. Właziły na siebie, przesuwały się szybkimi, nerwowymi ruchami i trzaskały szczypcami, pochłaniając wszystko, co znalazły na swojej drodze.

A więc dlatego nie było ich na plaży: po co miałyby tam schodzić, skoro na górze było tak dużo jedzenia?

Nie tylko pożerały martwe ptaki i nietoperze, ale także oddawały się kanibalistycznemu szaleństwu wobec własnych braci i sióstr. Wyczuwając ludzi, natychmiast uniosły szczypce, klekocząc nimi groźnie.

Witamy na imprezie!

Z tunelu doleciały echa podnieconych głosów.

Piraci odkryli przejście wewnątrz klifu.

Graff złapał się za ramię i zrobił krok do przodu. Schowany pod paprocią wielki krab uczepił się jego skafandra i ostrymi jak żyłeczka szczypcami przeciął plastik.

Doktor szybko się cofnął i znów coś wymamrotał – to samo co na schodach. Tym razem Monk zrozumiał, co mówi:

– Naprawdę trzeba było potrzeć brzuch Buddy.

3

Zasadzka

Takoma Park, stan Maryland

5 lipca, godzina 0.25 czasu miejscowego

– Co tu się dzieje?

– Nie wiem, tato – odparł Gray i podbiegł do drzwi garażu, aby je zamknąć. – Ale zamierzam się dowiedzieć.

Zaciągnęli motocykl do środka. Nie chciał, aby maszyna leżała na widoku. Prawdę mówiąc, nie chciał, aby w okolicy domu rodziców pozostał jakikolwiek ślad po Seichan. Nie było co prawda widać tych, którzy do niej strzelali, ale sytuacja mogła się szybko zmienić.

Wrócił do matki. Jako profesor biologii na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona, dobrze wiedziała, jak zatamować krwotok i opatrzyć ranę Seichan.

Ranna kobieta poruszała się na krawędzi dwóch światów – co chwila odzyskiwała przytomność i znów odpływała.

– Wygląda na to, że kula wyszła czysto po drugiej stronie – powiedziała matka. – Straciła jednak mnóstwo krwi. Karetka już jedzie?

Gray przed chwilą wybrał jakiś numer w telefonie komórkowym, ale nie zadzwonił pod 911. Nie można

było zawieźć Seichan do zwykłego szpitala, bo postrzał wywołuje mnóstwo pytań. Musiał ją jednak zabrać z domu rodziców i zapewnić rannej pomoc medyczną.

Na ulicy ktoś coś zawołał, a ktoś inny się roześmiał.

– Karetka już jedzie? – spytała ponownie matka.

Gray kiwnął głową, by uniknąć dalszych pytań, po czym odwrócił się do ojca, który podszedł do nich, wycierając dłonie w robocze dżinsy. Rodzice Graya sądzili, że ich syn jest technikiem laboratoryjnym w firmie badawczej z siedzibą w Dystrykcie Columbi. Zajmował podrzędne stanowisko, ale nie należało się temu dziwić – nie mógł zajść wyżej po wyrzuceniu z Rangersów za uderzenie przełożonego.

Oczywiście to także nie było prawdą, lecz przykrywką.

Rodzice nie mieli pojęcia o jego pracy dla Sigmie i Gray nie zamierzał tego zmieniać. A to oznaczało, że powinien jak najszybciej zostawić ich samych. Musiał znowu być w ruchu.

– Tato, mogę pożyczyć twojego T-birda? Dzisiaj chyba żadna karetka nie dojedzie na czas. Lepiej będzie, jeśli sam zawiozę tę kobietę do szpitala.

Ojciec podejrzliwie zmrużył oczy, ale wskazał palcem drzwi kuchni.

– Kluczyki są na haczyku.

Gray wbiegł schodkami, uchylił siatkowe drzwi, sięgnął do środka i wziął kluczyki. Ojciec miał kabriolet thunderbirda z 1960 roku – pomalował go na czarno, zmienił starą tapicerkę na czerwoną oraz dodał nowy gaźnik firmy Holly, cewkę zapłonową jak miotacz ognia i elektryczne ssanie. Na czas przyjęcia samochód został wystawiony z garażu i zaparkowany przy krawężniku.

Gray podbiegł do samochodu, który miał opuszczony dach, i nie otwierając drzwi, wskoczył do środka. Chwilę potem cofał się z rykiem silnika na podjazd. Kiedy zawadził o krawężnik, podskoczył na fotelu – ojciec najwyraźniej jeszcze nie skończył naprawiać zawieszenia.

Przerzucił dźwignię, zatrzymał samochód i podbiegł do klęczących obok Seichan rodziców. Ojciec próbował ją podnieść.

– Daj, ja to zrobię – powiedział Gray.

– Może nie powinniśmy jej ruszać? – zaproponowała matka. – Nieźle się poobijała.

Ale ojciec ich nie słuchał. Podniósł Seichan i ruszył z nią w stronę samochodu. Może brakowało mu kawałka nogi i niektóre trybiki w jego mózgu się zacinały, jednak nadal był silny jak koń.

– Otwórz drzwi. Położymy ją z tyłu.

Gray wypełnił jego polecenie. Ojciec ostrożnie ułożył Seichan i usiadł tak, że jej głowa opierała się na jego udzie.

– Tato...

Matka usiadła na fotelu pasażera.

– Zamknęłam dom – powiedziała tylko. – Jedziemy.

– Sam sobie poradzę – zaprotestował Gray.

Nie zamierzał jechać do żadnego szpitala. Kiedy kilka minut temu telefonował, dzwonił do centrali, która natychmiast połączyła go z dyrektorem Crowe'em. Dzięki Bogu był w pracy.

Kazano Grayowi jechać do bezpiecznego domu i czekać na zespół medyczny, którego członkowie mieli zbadać Seichan i przejąć ją. Painter Crowe nie zamierzał ryzykować – jeżeli to była pułapka, Gray nie mógł

zaprowadzić napastników do centrali Sigmy. Seichan – skrytobójczyni i terrorystka – była poszukiwana przez Interpol i wiele agencji wywiadowczych na całym świecie. Krążyły plotki, że izraelski Mossad wydał swoim ludziom rozkaz: „Strzelajcie, gdy tylko ją zobaczycie”.

W tym wszystkim nie było miejsca dla rodziców Graya.

Popatrzył w stalowe oczy ojca. Matka skrzyżowała ręce na piersiach i trzymała je splecione, jakby szykowała się do odparcia ataku.

Zapowiadała się niezła bitwa.

– Nie możecie ze mną jechać – powiedział. – To... to niebezpieczne.

– Tutaj wcale nie będzie bezpieczniej – stwierdził ojciec, machając ręką w kierunku garażu. – Kto wie, czy ci bandyci albo handlarze narkotyków, którzy ją postrzelili, nie jadą już do nas.

Nie było czasu na dyskusje. Dyrektor wysłał ekipę, która miała się zająć rodzicami Graya, i należało oczekiwać, że lada chwila się zjawi.

– Mój samochód... moje zasady – zamknął dyskusję ojciec Graya. – A teraz ruszaj, zanim krew zacznie jej się przesączać przez bandażę i zabrudzi mi skórę na siedzeniach.

Seichan jęknęła z bólu i zadrżała. Uniosła dłoń, aby dotknąć bandaża. Ojciec Graya ujął ją, próbując dodać dziewczynie otuchy.

– Jedziemy – powiedział.

Stanowcze brzmienie głosu ojca ostatecznie przełamało opór Graya. Usiadł za kierownicą.

– Zapnijcie pasy – polecił.

Doszedł do wniosku, że im szybciej dowiozą Seichan do bezpiecznego domu, tym lepiej. Później będzie się martwił, co zrobić z rodzicami.

Matka przyjrzała mu się uważnie.

– Nie jesteśmy głupi, synu – powiedziała tajemniczo i odwróciła się.

Gray wrzucił bieg i ruszyli w stronę ulicy. Wjechał na nią ostrym zakrętem.

– Ostrożnie! – jęknął ojciec. – To nowe opony Kelseya! Jeżeli je zniszczysz...

Gray pędził ulicą, nie zwracając uwagi na opony. Szybka jazda poprawiała mu samopoczucie. Ośmiocylindrowy silnik thunderbirda warczał jak dzika bestia i Gray poczuł podziw dla osiągnięcia ojca.

Gdy skręcił w lewo zamiast w prawo, w stronę najbliższego szpitala, matka popatrzyła na niego ze zdziwieniem, ale nic nie powiedziała. Gray pomyślał, że w bezpiecznym domu jakoś wytłumaczy to rodzicom.

Kiedy pędzili przez miasto, słyszeli wybuchy ostatnich fajerwerków. Dzień Niepodległości wprawdzie już się kończył, ale Gray obawiał się, że prawdziwe fajerwerki dopiero przed nimi.

Waszyngton

Godzina 0.55 czasu miejscowego

Dyrektor Painter Crowe szedł korytarzem w stronę swojego gabinetu. Nocna obsada centrum dowodzenia szybko się powiększała. Ogłoszono ogólny alarm. Crowe

już odebrał dwa telefony z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Nie co dzień przejmowali międzynarodowego terrorystę. Na dodatek nie było jakiegoś, ale członka mrocznej organizacji zwanej Gildią.

Konkurując z Sigmą, Gildia polowała na nowe technologie – wojskowe, biologiczne, chemiczne, nuklearne – i kradła je, gdzie tylko mogła. W dzisiejszym świecie największą władzę dawały informacje – większą niż ropa i broń. Gildia sprzedawała swoje zdobycze temu, kto płacił najwięcej: Al-Kaidzie i Hezbollahowi, japońskiemu Aum Shinrikyo, peruwiańskiej Świetlistej Ścieżce. Miała szereg oddzielonych od siebie, rozrzuconych po całym świecie małych komórek i wtyczki w rządach, agencjach wywiadowczych, najważniejszych ośrodkach naukowych, a nawet w międzynarodowych instytucjach badawczych.

Kiedyś miała także swojego człowieka w DARPA.

Painter do dziś czuł ból po trującym ukłuciu, jakim była ta zdrada.

Teraz jednak to oni mieli w swoich rękach agentkę Gildii.

Gdy wszedł do sekretariatu, jego asystent Brant Millford odsunął się od biurka. Siedział na wózku inwalidzkim – kiedy przejeżdżał przez posterunek w Bośni, dokonano zamachu bombowego na jego samochód i odłamek przerwał mu rdzeń kręgowy.

– Dyrektorze, doktor Cummings dzwoni przez telefon satelitarny.

Painter zatrzymał się zaskoczony. Nie spodziewał się tak szybko raportu od Lisy.

Poczuł niepokój.

– Odbiorę u siebie. Dziękuję, Brant.

Wszedł do gabinetu. Na ścianach wisiały trzy wielkie plazmowe ekrany – w tej chwili ciemne, ale należało się spodziewać, że wkrótce zapełnią się spływającymi do centrum dowodzenia danymi. Painter sięgnął po słuchawkę i wcisnął migający przycisk.

Lisa miała dzwonić o świcie, gdy na wyspach indonezyjskich zapada ciemność. Painter zażyczył sobie, aby przed pójściem do łóżka złożyła mu pełny raport z całego dnia. Dałoby mu to także możliwość powiedzenia jej dobranoc.

– Lisa?

Połączenie nie było dobre, na ułamki sekundy zanikało, a w słuchawce trzeszczało.

– Boże, Painter, jak dobrze cię słyszeć! Wiem, że jesteś zajęty, ale Brant wspomniał o kryzysie...

– Nie przejmuj się. To nie kryzys, ale raczej szansa dla nas. – Oparł się o biurko. – Czemu dzwonicz tak wcześnie?

– Przesłałam dużą porcję danych do analizy. Chciałabym, żeby ktoś zweryfikował dane tutejszego toksykologa, doktora Barnhardta.

– Zadbam o to. Ale skąd ten pośpiech? – zapytał, wyczuwając napięcie w jej głosie.

– Sytuacja może być poważniejsza, niż nam się początkowo wydawało.

– Wiem. Słyszałem o skutkach toksycznej chmury, która przeszła nad wyspą.

– To było straszne, jednak może szykować się coś znacznie gorszego. Stwierdziliśmy, że w zakażeniach wtórnych pojawiają się genetyczne zmiany. Wyniki są niepokojące. Uznałam, że najlepiej będzie, jeżeli naukowcy i laboratoria Sigmy jak najszybciej się tym

zajmą, aby można było zacząć działać już w trakcie przeprowadzania przez doktora Barnhardta wstępnych testów.

– Kto mu pomaga? Monk?

– Nie, jest jeszcze w terenie i zbiera próbki. Będziemy potrzebowali wszystkiego, co przyniesie.

– Zaalarmuję Jenningsa z działu badawczo-rozwojowego i każę mu zebrać zespół. Zaraz do niego zadzwonię.

– Dzięki.

Painter nie mógł się pozbyć podświadomego niepokoju. Od początku misji Lisy robił, co mógł, aby zachowywać profesjonalny dystans, ale nie bardzo mu się to udawało. W przypadku Lisy było to niemożliwe. Odchrząknął.

– Jak się trzymasz?

Roześmiała się.

– Wszystko gra, ale kiedy to się skończy, chyba już nigdy nie wsiądę na statek.

– Próbowałem cię ostrzec. Zgłaszanie się na ochotnika nigdy nie popłaca. „Chciałam zrobić coś potrzebnego... mieć swój wkład w coś ważnego...” – powiedział, cytując jej własne słowa. – Widzisz, co z tego masz? Bilet na Statek miłości z piekła.

Znowu się zaśmiała, lecz jej śmiech szybko ucichł, a w głosie dał się słyszeć niepokój.

– Być może to był błąd... mój przyjazd tutaj. Nie jestem oficjalnym pracownikiem Sigmy i pewnie mnie to przerasta...

– Gdybym uważał, że to błąd, nie wyznaczyłbym cię do tej misji. Wykorzystałbym pierwszy lepszy pretekst, żeby cię zatrzymać. Jako dyrektor mam obowiązek

posyłać na misje moich najlepszych ludzi, biorąc więc pod uwagę to, że jesteś lekarzem, masz doktorat z fizjologii i doświadczenie w prowadzeniu badań terenowych... z pewnością wysłałem odpowiednią osobę.

Zapadła długa cisza. Przez chwilę Painter miał wrażenie, że połączenie zostało przerwane.

– Dziękuję... – szepnęła w końcu Lisa.

– Więc mnie nie zawieź. Muszę dbać o swoją reputację.

Lisa znowu parsknęła śmiechem.

– Chyba powinieneś popracować nad puentami swoich motywujących przemów.

– Co powiesz na to: „Uważaj na siebie, miej oczy wokół głowy i wróć jak najszybciej”?

– Znacznie lepiej.

– Wobec tego najlepiej chyba będzie, jeżeli przejdę do sedna. Tęsknię za tobą. Kocham cię. Chcę cię trzymać w ramionach.

Naprawdę za nią tęsknił – aż bolało go w piersi.

– Doskonale – odparła. – Jeszcze trochę praktyki i będziesz umiał zagrzewać do działania całe tłumy.

– Wiem. Ten sam tekst działał dawniej także w przypadku Monka.

Oboje wybuchnęli śmiechem i Painter trochę się uspokoił. Wiedział, że Monk zadba o bezpieczeństwo Lisy.

Zanim zdążył coś dodać, w drzwiach zjawił się jego asystent. Painter dał mu znak, żeby mówił.

– Przepraszam, że przeszkadzam, dyrektorze, ale mam następną rozmowę. Z Rzymu. Od monsignore Verony. Wygląda na to, że to pilne.

Painter zmarszczył czoło.

– Liso...

– Słyszałam. Jesteś zajęty. Pogadam z Monkiem i zorganizujemy razem z Jenningsem konferencję na temat tego, co się u nas dzieje. Wracaj do pracy.

– Pilnuj się.

– Oczywiście. Ja też cię kocham.

Lampka na telefonie zamigotała i zgasła.

Painter wziął głęboki oddech, po czym wcisnął klawisz prywatnego numeru. Czego mógł od niego chcieć monsignore Verona? Wiedział, że komandor Pierce był związany z jego siostrzenicą, ale ta sprawa skończyła się rok temu.

– Monsignore Verona, Painter Crowe przy aparacie.

– Dziękuję za odebranie telefonu, dyrektorze. Od dwóch godzin próbuję się dodzwonić do Graya, ale nie odbiera.

– Przykro mi. Czy mam mu coś przekazać? – zapytał Painter.

Nie zamierzał niczego wyjaśniać. Choć Verona w przeszłości pomagał Sigmie, informacje o tym, co się obecnie działo, były przeznaczone tylko dla wtajemniczonych.

– Mieliśmy w Watykanie pewien incydent... w Tajnych Archiwach – powiedział monsignore. – Wydaje mi się, że to jakiś przekaz lub ostrzeżenie. Prawdopodobnie pozostawiony dla mnie i być może dla komandora Pierce'a.

Painter wstał i obszedł biurko, aby dotrzeć do krzesła.

– Co to za przekaz?

– Ktoś włamał się w zeszłym tygodniu do skarbcza i namalował na podłodze symbol Cesarskiego Trybunału Smoka.

Painter opadł na krzesło. Dwa lata temu Gray i monsignore Verona połączyli siły, aby zniszczyć brutalną sektę Trybunału Smoka. Udało im się to – choć nie bez pomocy ze strony wroga, jednego z agentów Gildii.

Seichan.

A teraz skrytobójczyni Gildii była ich więźniem.

Painter nie wierzył w zbiegi okoliczności i tym razem też nie zamierzał. A kierowanie Sigmą tylko spotęgowało tę jego skłonność do paranoi.

– Udało się komuś rzucić okiem na intruza?

– Przelotnie – odparł Verona. – Przyszedł sam. Ominął wszystkie systemy ochrony Watykanu. Mamy tylko mignięcie cienia z jednej z kamer. To nie był zwykły złodziej. Znam tylko jedną osobę, która mogłaby wejść do środka i wyjść, zarejestrowana przez zaledwie jedną kamerę... i do tego niewyraźnie. Mam na myśli osobę, która uczestniczyła kiedyś w naszych działaniach związanych z Trybunałem Smoka.

Wygląda na to, że monsignore jest tak samo podejrzliwy jak ja, pomyślał Painter.

– A namalowany na podłodze smok to wiadomość – dodał Vigor. – Albo nawet przypomnienie o długu.

– Czyżby monsignore sądził, że to była agentka Gildii o imieniu Seichan? Ta sama, która pomogła wam pokonać Trybunał Smoka?

– Właśnie. Gdybyśmy mogli ją odnaleźć...

Painter zdawał sobie sprawę, że dalsze utrzymywanie tej sprawy w tajemnicy może jedynie

zaszkodzić.

– Seichan jest tutaj – przerwał swojemu rozmówcy. – Mamy ją u siebie w areszcie.

– Co takiego?

Painter w skrócie opowiedział o nieoczekiwanym pojawieniu się Seichan, postrzelonej i najwyraźniej przed kimś uciekającej.

Vigor jedynie przez chwilę był zaskoczony.

– Trzeba ją przesłuchać – stwierdził. – Choćby po to, aby się dowiedzieć, dlaczego namalowała na podłodze smoka.

– Zrobimy to. Opatrzmy ją i dokładnie przepytamy. Za bardzo mocnymi kratami.

– Nie rozumie pan. Chodzi o coś większego. Znacznie większego od Gildii...

– Co monsignore ma na myśli?

– Symbol smoka został namalowany wokół starożytnego napisu w podłodze archiwum. Prawdopodobnie wykonano go w czasach, gdy budowano Watykan, w epoce Galileusza. Przypuszcza się, że wykute w posadzce litery pochodzą z najstarszego na świecie pisma. Starszego niż prahebrajski. I być może starszego niż ludzkość.

W głosie monsignore wyraźnie słychać było niepokój.

– Starszego niż ludzkość? Jak to możliwe?

Kiedy Vigor mu to wyjaśnił, Painter starał się nie okazać szoku ani niedowierzania, ale zakończył rozmowę, mocno marszcząc czoło. To, czego się dowiedział, nie mogło być prawdą, jednak doskonale rozumiał zdenerwowanie watykańskiego dostojnika.

Będą musieli jak najszybciej przepytac Seichan – zanim cokolwiek jej się stanie.

Szybko sprawdził, kiedy do bezpiecznego domu przybędzie zespół ratowniczy, i kazał się połączyć ze stacjonującym w nim agentem.

Kto teraz miał tam służbę?

Kazał Brantowi skontaktować się z ochroną i polecił, aby przesyłano sygnał z kamer obserwacyjnych wokół bezpiecznego domu na monitory w jego gabinecie.

W głowie dudniły mu echem słowa Vigora:

„Te wykute w posadzce litery...
...pochodzą z języka aniołów”.

Pokręcił głową.

To niemożliwe.

Godzina 1.04

Gray na dużej prędkości wjechał Greenwich Parkway do ekskluzywnej dzielnicy Foxhall Village. Na końcu alei skręcił w lewo, w obsadzoną drzewami ulicę. Zdjął nogę z gazu i po chwili ujrzeli piętrowy budynek z czerwonej cegły w stylu Tudorów, z zielonymi okiennicami. Tuż za płotem zaczynał się park Glovera-Archibolda.

Ponieważ samochód miał opuszczony dach, czuło się zapach wilgotnej ziemi.

Lampa na werandzie była zapalona, tak samo światło w górnym oknie w rogu.

Był to znak: „miejsce bezpieczne”.

Kiedy Gray skręcił w podjazd, samochód podskoczył na jakiejś nierówności i Seichan jęknęła głośno.

– Gdzie jesteśmy? – spytała matka.

Gray zahamował pod daszkiem nad znajdującym się z lewej strony bocznym wejściem. Podczas jazdy kilkakrotnie namawiał rodziców, aby wysiedli i wrócili do domu, ale z każdym mijanym szpitalem stawali się coraz bardziej uparci.

– To bezpieczny dom – powiedział Gray. – Pomoc medyczna powinna być już w drodze. Nie wychodźcie z samochodu.

Zgasił silnik i wysiadł.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich potężna, ukryta w cieniu postać. Mężczyzna trzymał dłoń na rękojeści pistoletu tkwiącego w kaburze na biodrze.

– Jesteś Pierce? – spytał, rzucając podejrzliwe spojrzenie na dodatkowych pasażerów.

– Tak, to ja – odparł Gray.

Mężczyzna wyszedł w krąg światła. Był ogromny, miał masywne kończyny i włosy przystrzyżone tuż przy skórze. Założył polowy mundur wojskowy, co nie wydawało się szczególnie dyskretne.

– Jestem Kowalski. Crowe już czeka – powiedział, podnosząc rękę, w której trzymał telefon komórkowy.

Gray wcale nie cieszył się na tę rozmowę – jak miał wyjaśnić, że ujawnił swoją przykrywkę? Tajni agenci raczej nie powinni podczas akcji wlec ze sobą rodziców.

Stojący przed domem strażnik także wydawał się zdumiony obecnością starszej pary. Przez chwilę patrzył na nich ze zmarszczonym czołem, a potem podrapał się w brodę.

– Trzy pięćdziesiąt dwa? – spytał, kiedy Gray go mijał. Gray nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Nie, to trzy dziewięćdziesiąt – odparł za niego ojciec. – Rekonstrukcja V-osiem forda galaxie.

– Niezły wózek.

Najwyraźniej strażnik nie przyglądał się rodzicom Graya, lecz samochodowi.

Seichan zadrżała – może w jakiś sposób wyczuła, że się zatrzymali. Spróbowała usiąść.

– Możesz ją zanieść do środka? – spytał Gray strażnika.

Kiedy brał od niego telefon, dostrzegł na jego prawym bicepsie kotwicę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Gdyby w słowniku pod hasłem jarhead² umieszczano zdjęcie, fotka przyjmującego ich strażnika doskonale by tam pasowała.

Matka otworzyła drzwi pasażera.

– Gdzie pomoc medyczna? – zapytała.

Potężna sylwetka strażnika najwyraźniej nie robiła na niej szczególnego wrażenia. Przycisnęła mocniej torebkę do boku.

Gray uniósł dłoń, prosząc gestem o cierpliwość.

Kowalski wskazał za siebie.

– W kuchni na stole leży zestaw medyczny, proszę pani. Ze strzykawkami z morfiną i solami trzeźwiącymi. Przygotowałem też zestaw opatrunkowy.

Matka popatrzyła na niego nieco przychylniej.

– Dziękuję, młody człowieku – powiedziała, rzuciła miążdzące spojrzenie synowi i ruszyła w kierunku wejścia.

Gray odszedł na bok i przyłożył do ucha telefon.

– Mówi komandor Pierce – powiedział.

– Czy to twoja matka właśnie wysiadła z samochodu?

– zapytał Painter Crowe.

Zaskoczony Gray rozejrzał się wokół i po chwili dostrzegł zamocowaną pod dachem kamerę. Zrobiło mu się gorąco.

– Panie dyrektorze...

– Nieważne. Wyjaśnisz mi to później. Mamy wiadomość z Rzymu związaną z waszym więźniem. Jak ona się czuje?

Gray popatrzył w stronę kabrioletu. Strażnik i Pierce senior zastanawiali się, jak najlepiej przenieść bezwładną Seichan do domu. Pośrodku bandaża na jej brzuchu wykwitła czerwona plama.

– Będzie potrzebowała natychmiastowej pomocy – odparł.

– Nasza ekipa medyczna powinna być lada chwila na miejscu.

Rozległ się odgłos nadjeżdżającego dużego samochodu. Gray odwrócił się w stronę ulicy: z przecznicy skręcała duża czarna furgonetka.

– Chyba już są – stwierdził z ulgą.

Furgonetka dojechała do domu, zahamowała przy krawężniku i stanęła na wysokości podjazdu, blokując go. Nie spodobało się to Grayowi, ale ambulans należał do Sigmy. Był wyposażony podobnie jak ambulans towarzyszący amerykańskiemu prezydentowi – w razie potrzeby można było w nim przeprowadzać zabiegi chirurgiczne.

– Przekaż mi najnowsze dane zaraz po tym, jak ją zbadają – powiedział Painter.

Po chwili odsunęły się boczne drzwi furgonetki i wysiedli z niej trzech mężczyźni oraz kobieta – w chirurgicznych kitlach i kurtkach pilotów

bombowców. Dwóch mężczyzn wyjęło nosze, rozłożyło je i ruszyło za pozostałą dwójką.

Idący przodem mężczyzna wyciągnął do Graya rękę.

– Jestem doktor Amen Nasser – przedstawił się.

Gray ujął jego dłoń i z przyjemnością odwzajemnił chłodny, suchy uścisk. Lekarz nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, ale emanował autorytetem. Jego twarz barwy polerowanego mahoniu była jaśniejsza niż przypominająca miód cera towarzyszącej mu Azjatki.

Kobieta wyraźnie starała się ukryć swoje pochodzenie. Miała włosy ufarbowane na jasny blond i przycięte tuż przy skórze, a jej nadgarstki oplatały tatuaże w celtyckie wzory. Mimo iż kobiecie wdzięki rzadko przemawiały do Graya, w niej było coś uwodzicielskiego. Może szmaragdowe oczy albo sposób jej poruszania się przypominający dzikie zwierzę? Jak większość ludzi Sigmy prawdopodobnie miała za sobą przeszkolenie wojskowe.

Skinęła Grayowi głową, ale się nie przedstawiła.

– Proszę się cofnąć i pozwólc nam pracować – powiedział szef zespołu ratowników z lekkim obcym akcentem. – Przeniesiemy pacjentkę do furgonetki. Za parę minut Anni przekaże wam wyniki badania.

Dwójka mężczyzn z noszami ruszyła w stronę thunderbirda, lekarz poszedł za nimi, natomiast Anni pozostała na miejscu.

Kiedy Gray zszedł na bok, w jego kieszeni zawibrował telefon. Lekarz mówił coś szybko do swoich pomocników i Gray po chwili rozpoznał akcent.

Doktor Amen Nasser był Egipcjaninem.

Godzina 1.08

Painter Crowe stał przed monitorem, który wisiał na wprost biurka. Dwa ekrany po bokach pokazywały obrazy z parteru i pierwszego piętra bezpiecznego domu, a ten, na który patrzył – obrazy z kamery na zewnątrz.

– Odbierz telefon, Gray! – wrzasnął do monitoru.

Sterowanie kamerami odbywało się z biura ochrony, które znajdowało się piętro niżej, i Painter nie mógł zmienić ich ustawienia. Ekran pokazywał tylko kawałek furgonetki i dopiero przed sekundą pojawili się ludzie, którzy z niej wysiedli.

Nie pracowali dla Sigmy.

Painter Crowe znał cały personel.

Samochód należał do Sigmy, ale jego obsada na pewno nie.

Pułapka.

Widoczny na ekranie Gray otworzył telefon i przystawił go do ucha.

– Dyrektorze?

Zanim Crowe zdążył cokolwiek powiedzieć, w powietrze wystrzeliła czyjaś stopa i rozbiła telefon o głowę Graya, który przewrócił się na ziemię.

– Cholera... – zaklął Painter.

Obraz na ekranie zadrżał i ekran poczerniał.

Godzina 1.09

Pierwszy strzał zniszczył kamerę.

Przez dzwonienie w uszach Graya przebiły się kasznięcie wystrzału i huk rozpryskującej się kamery. Odwrócił się w jej stronę.

– Co to ma... – zaczął ojciec Graya, kiedy spadł na niego deszcz plastikowych śmieci. Wciąż siedział w samochodzie, z głową Seichan na kolanach.

Kowalski znajdował się po drugiej stronie auta. Stał bez ruchu jak złapany w światła reflektorów jeleni. Przyciśnięta do jego szyi lufa pistoletu wystarczająco dobitnie informowała, że ma się nie ruszać.

„Sanitariusze” odsunęli nosze – jeden celował do Kowalskiego, drugi dał ojcu Graya znak, że ma wysiąść.

– Stój tam, gdzie stoisz – doleciał zza pleców Graya kobiecy głos.

Zerknął przez ramię. Anni – oddalona na tyle, żeby nie mógł do niej doskoczyć, ale stojąca wystarczająco blisko, by nie spudłować – celowała w niego z czarnego sig sauera.

Popatrzył na kabriolet.

Doktor Nasser trzymał w dłoni taki sam pistolet jak Anni.

Z jakiegoś powodu Gray był przekonany, że z identycznej broni postrzelono Seichan.

Egipcjanin podszedł do thunderbirda od strony, z której siedział ojciec Graya. Spojrzał na nieprzytomną Seichan i ze smutkiem pokręcił głową.

– Wyprowadź starego z samochodu – powiedział do towarzyszącego mu „sanitariusza”. – Sprawdź, czy dziwka ma obelisk, i zabierz ją do furgonetki.

Obelisk?

Gray patrzył, jak mężczyzna wyciąga jego ojca z samochodu. Modlił się, żeby starszy pan nie poczuł przypływu brawury, ale ojciec nie stawiał oporu.

– Nie ma go tu – powiedział po chwili mężczyzna przeszukujący tył samochodu.

Nasser podszedł bliżej i sam rozejrzał się po wnętrzu. Kiedy nie znalazł tego, czego szukał, jedynym objawem jego niezadowolenia była pojedyncza zmarszczka między brwiami.

Odwrócił się do Graya.

– Gdzie to jest?

Gray wbił w niego twarde spojrzenie.

– Gdzie co jest?

Nasser westchnął.

– Na pewno ci to powiedziała, inaczej nie próbowałbyś jej pomóc.

Dał znak mężczyźnie, który przeszukiwał Seichan, i fałszywy sanitariusz przystawił lufę pistoletu do głowy ojca Graya.

– Nie zadaję pytań dwa razy. Ale być może o tym nie wiesz, więc tym razem ci odpuszczę.

Widząc przerażenie w oczach ojca, Gray nerwowo przełknął ślinę.

– Obelisk, o którym wspomniałeś... – zaczął. – Miała go ze sobą, lecz kiedy spadła z motocykla pod domem moich rodziców, pękł. Straciła przytomność, zanim zdążyła cokolwiek o nim powiedzieć. Z tego co wiem, wciąż leży tam, gdzie upadł.

Prawdopodobnie rzeczywiście tak było. Zajmując się Seichan, zupełnie zapomniał o dziwnym przedmiocie, który ze sobą przywiozła.

Nasser utkwiał w Grayu zimny, spokojny wzrok.

– Wydaje mi się, komandorze Pierce, że mówisz prawdę... – mruknął, mimo to dał znak swojemu pomocnikowi.

Huk wystrzału był ogłuszający.

Godzina 1.10

Minutę wcześniej Painter Crowe zauważył jakiś ruch na lewym monitorze. Kamery we wnętrzu domu przez cały czas pracowały.

Za stołem w kuchni kuciała pani Harriet Pierce.

Napastnicy najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z tego, że jeden z pasażerów thunderbirda ukrył się w domu.

Furgonetka przyjechała zaraz po tym, jak matka Graya weszła do środka. Po unieruchomieniu strażnika napastnicy musieli uznać, że mają sytuację pod kontrolą.

Painter Crowe postanowił to wykorzystać.

Kazał włączyć cichy alarm i wbił wzrok w błyskające obok aparatu telefonicznego bursztynowe światelko.

Popatrz na telefon... – błagał w myślach panią Pierce.

Nie wiadomo, czy skłoniło ją do tego migotanie lampki, czy chęć wezwania pomocy, w każdym razie podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

– Niech pani nic nie mówi – powiedział szybko Painter. – Nazywam się Painter Crowe. Widzę panią na monitorze. Jeśli mnie pani rozumie, proszę kiwnąć głową.

Zrobiła, co jej kazał.

– Doskonale. Jedzie do was pomoc, ale nie wiem, czy zdążą na czas. Napastnicy muszą sobie z tego zdawać sprawę. Będą działać szybko i brutalnie, więc pani musi być jeszcze szybsza i bardziej brutalna. Czy to możliwe?

Odpowiedziało mu kolejne kiwnięcie głową.

– Bardzo dobrze. W szufladzie pod telefonem powinien być pistolet.

Godzina 1.11

Strzał był ogłuszający.

Broń nie miała tłumika.

Gray domyślił się tego ułamek sekundy przed tym, zanim głowa celującego do jego ojca napastnika odskoczyła w bok, a połowa czaszki rozprysła się na desce rozdzielczej thunderbirda.

Wiedział, kto strzelił.

Matka.

Urodziła się w Teksasie i wychowywał ją nafciarz, który pracował na tych samych polach naftowych co jej późniejszy mąż. Choć ciągle podpisywała petycje o ograniczenie dostępu do broni, nie bała się brać jej do ręki.

Gray miał nadzieję, że matka odwróci uwagę napastników, i jednocześnie bał się tego. Zanim ciało zastrzelonego mężczyzny dotknęło ziemi, skoczył do tyłu. Jeszcze przed chwilą widział kontur postaci Azjatki na chromie tylnego zderzaka.

Strzał i skok zaskoczył kobietę. Gray wyciągnął rękę i złapał dłoń, w której trzymała sig sauera. Kiedy ich ciała się zetknęły, uderzył obcasem w wewnętrzną stronę jej stopy i gwałtownie szarpnął głowę Azjatki do tyłu.

Pod jego stopą coś chrupnęło.

W tym samym momencie Kowalski walnął łokciem terroryzującego go pistoletem napastnika, złapał go za kark i uderzył twarzą przeciwnika o krawędź drzwi kabrioletu.

– Zjedz trochę blachy, dupku!

„Sanitariusz” zwał się na ziemię jak wór węgla.

Gray mocniej objął dłoń Anni i zaczął ją przesuwając w kierunku Nassera, przyciskając palec Azjatki do spustu. Wyrywała się, więc Egipcjanin zdążył uciec, a pocisk trafił w mur, krzesząc iskry.

Jednak cel został częściowo osiągnięty, bo Nasser zanurkował w rosnące przed domem krzaki i zniknął.

Gray wyrwał kobiecie pistolet i kopniakiem odrzucił ją od siebie. Zatoczyła się, lecz nie upadła. Krwawiła z nosa, jednak ani to, ani uszkodzona stopa nie przeszkodziły jej pobiec do furgonetki.

Po broń.

Gray nie zamierzał dopuścić do premiery filmu Anni znalazła pistolet.

Uniósł zdobycznego siga, ale zanim zdążył wystrzelić, koło nosa śmignęła mu kula z pistoletu Nassera.

Odskoczył do tyłu i schował się pod daszkiem. Kilka razy strzelił na ślepo w krzaki, po czym zaczął się cofać, aż dotknął udami zderzaka thunderbirda. Strzelił jeszcze dwa razy w kierunku furgonetki, jednak Azjatka zniknęła już w środku, a kule odbiły się od karoserii.

Podobnie jak ambulans prezydenta, także i ten pojazd był opancerzony.

– Wszyscy do samochodu! – wrzasnął Gray. – Natychmiast!

W drzwiach kuchni pojawiła się matka z dymiącym pistoletem w dłoni. Przez drugie ramię przerzuciła ręczki torebki – jakby wybierała się po warzywa.

– Chodź, Harriet – powiedział ojciec, wyciągając do niej rękę.

Kowalski skoczył głową do przodu i wylądował na tylnej kanapie. Gray miał nadzieję, że nie zabił przy tym Seichan.

Wsunął się za kierownicę, przekręcił tkwiący w stacyjce kluczyk i silnik ożył z rykiem.

Matka i ojciec wcisnęli się szybko na fotel pasażera.

Gray spojrział w lusterko wsteczne.

Azjatka stała w otwartych drzwiach furgonetki z wyrzutnią raketową na ramieniu.

Ty dziwko, to miał być film Anni znalazła pistolet, a nie Anni znalazła wyrzutnię! – zaklął w duchu Gray.

Wrzucił bieg i nadepnął gaz. Koła zawirowały jak szalone, zadymiała guma i rozległ się przeraźliwy pisk.

Ojciec jęknął. Gray podejrzewał, że nie tyle ze strachu o siebie, co o nowusieńkie opony thunderbirda.

Po chwili koła złapały przyczepność i samochód skoczył do przodu, przewracając starą drewnianą bramę. Gray musiał gwałtownie skręcić, aby ominąć ogromny dąb. Opony pozostawiły na trawniku głębokie ślady, jednak po paru metrach wyjechali na twardszy teren.

Za ich plecami rozległ się syk lecącej rakiety i po sekundzie usłyszeli potężną eksplozję.

Rakieta trafiła w wielkie drzewo, zamieniając je w stos połamanych gałęzi i płatów kory, a w górę wystrzelił słup dymu.

Nie oglądając się, Gray jeszcze mocniej wdepnął pedał gazu.

Thunderbird rozwalił kolejną bramę i wpadł do parku Glovera-Archibolda.

Polowanie się zaczęło.

4

Piractwo morskie

Wyspa Bożego Narodzenia

5 lipca, godzina 12.11 czasu miejscowego

Bokserki i buty.

Była to jedyna ochrona Monka przed kanibalistycznymi krabami.

W dżungli nadal trwało szaleństwo żarłoczności – zwierzęta walczyły ze sobą i rozszarpały się nawzajem. Dziki klekot szczypiec zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Trzymając kombinezon w ręce, Monk podszedł do doktora Graffa. Oceanograf przykucnął na skraju drzew. Również zdjął kombinezon, co nie przyszło mu łatwo z powodu rany ramienia. Miał na sobie tylko szorty i hawajską koszulę.

Zdawało się, że powietrze płynące spod gęstego dachu zieleni płonie, a smród rozkładających się zwierzęcych trucheł był tak przenikliwy, że prawie nie dało się oddychać.

– Czas ruszać – stwierdził Monk, marszcząc nos.

Z tunelu w klifie doleciał wrzask. Stojący przy jego wylocie Graff co chwila wrzucał do środka kamienie,

więc piraci zbliżali się teraz nieco wolniej. Nie wiedzieli, że w pistolecie Monka został tylko jeden pocisk. Ale strach i kamienie nie zatrzymają ich na długo.

Monk przez cały czas zastanawiał się nad dziwną wytrwałością prześladowców. Bieda często odbiera ludziom rozsądek, ale jeżeli morscy łupieżcy zamierzali zabrać im zodiaca, sprzęt i jedzenie, aby sprzedać je na czarnym rynku, nic im w tym nie przeszkadzało. Większość miejscowych piratów – mimo swojej brutalności i bezwzględności – stosowała się do zasady „atakuj, bierz i uciekaj”.

Skąd więc ten upór? Chcą uciszyć ofiary, aby zatrzeć ślady? A może chodziło o coś bardziej osobistego? Monkowi przypomniał się postrzelony przez niego pirat, który wypadł za burtę. Czyżby chodziło o zemstę?

Niezależnie od powodu było oczywiste, że ich prześladowcom chodzi nie tylko o łupy.

Graff się wyprostował. Kiedy wciągnął haust cuchnącego powietrza, zakrztusił się.

– Dokąd pójdziemy?

– Na spotkanie z naszymi przyjaciółmi.

Podeszli do skraju dżungli.

Kilka kroków dalej zaczynało się morze klekoczących szczypcami i zderzających się ze sobą pancierzami krabów. W ciągu ostatnich minut ich liczba wyraźnie się zwiększyła – może przyciągały je ludzkie głosy albo zapach krwi kapiącej z ramienia Graffa.

– Nie da się między nimi przejść – stwierdził oceanograf. – Bez trudu przecinają szczypcami skórzane ubranie. Widziałem też, jak odcinały ludziom palce.

Monk musiał się odsunąć o dwa kroki, aby uniknąć spotkania z parą splecionych w morderczym uścisku

czerwonych stworów, które tak szybko poruszały szczypcami, że ich kontury niemal się rozmazywały.

– Nie mamy wyboru.

– Coś z nimi jest nie tak – mruknął Graff. – Są agresywne w okresie migracji, ale nawet wtedy nie tak bardzo jak te tutaj.

– Będziesz mógł zastanowić się nad tym później – powiedział Monk i wskazał stojące niedaleko wielkie drzewo o nisko zaczynających się grubych gałęziach. – Dasz radę na nie wejść?

Graff przycisnął ranną rękę do brzucha, próbując ją unieruchomić.

– Z twoją pomocą pewnie tak, ale... po co? Nie uda nam się ukryć przed nimi na drzewie.

– Musimy spróbować.

Podeszli do drzewa i Monk pomógł Graffowi wejść na kilka pierwszych gałęzi. Były grube i łatwe do złapania i oceanograf nawet sam bez trudu się na nie wspinał.

Monk zeskoczył z drzewa i wylądował tuż obok kraba, który natychmiast groźnie uniósł szczypce. Nie wychodzi się z imprezy przed końcem, zbeształ go w myślach Monk i kopniakiem odrzucił z powrotem w gąszcz pobratymców.

– Widzisz wyjście z tunelu? – zapytał Graffa.

– Chyba widzę... tak. Nie zostawisz mnie tu, prawda?

– Kiedy zobaczysz piratów, zagwiżdż.

– Co zamierzasz?

– Nie zadawaj tylu pytań! – warknął Monk, ale zaraz zrobiło mu się wstyd. Przecież Graff był cywilem. Potem pomyślał o swojej żonie i córeczce. Nie zamierzał stracić życia z rąk piratów ani pozwolić się rozerwać na strzepy oszalałym krabom.

Ostrożnie podszedł do morza klekoczących czerwonych pancerzy. Uniósł pistolet prawą dłonią i ustabilizował go lewą – tą sztuczną.

Chodźcie... zobaczcie, co dla was przygotowałem...

Gałęzie drzewa zaszeleściły gwałtownie.

– Idą... – szepnął Graff.

Monk wycelował. Miał tylko jedną szansę.

Celował w leżące u podstawy głazu butle z powietrzem, które odczepili od skafandrów. Wcześniej związał leciutkie aluminiowe zbiorniki paskami od kabury i przerzucił je na drugą stronę polany. Butle spadły pomiędzy kraby, miażdżąc dwa z nich i rozpędzając pozostałe.

– Wyszli z tunelu! – zawołał cicho oceanograf.

Monk pociągnął za spust.

Przez ułamek sekundy nic się nie działo, ale potem z jednej butli wystrzelił płomień. Połączone pojemniki zaczęły wirować, podskakiwać i syczeć. Kiedy uderzyły o skałę, pękł zawór drugiej butli. Metalowy pocisk oszalał – wpadł między kraby i rozpoczął jatkę.

Monk wiedział z doświadczenia, że po pojawieniu się zagrożenia pokryta krabami plaża może opróżnić się w kilka sekund. Tutaj wydarzyło się to samo: kraby znajdujące się przy butlach zaczęły wspinać się na inne, wywołując panikę. Strumyk uciekających czerwonych pancerzy błyskawicznie zamienił się w szeroką rzekę.

Kiedy kraby ruszyły w stronę Monka, musiał rzucić się do ucieczki. Wściekle kipiąca czerwona fala płynęła tuż za nim.

Wdrapał się na drzewo, na którym siedział Graff. Jeden z krabów skoczył mu na nogę, Monk uderzył stopą

w pień i krab odpadł, zostawił jednak szczypce, które przebiły but i skórę na pięcie.

Niech to cholera!

Powódź krabów opływała drzewo. Zwierzętami prawdopodobnie kierował instynkt sterujący doroczną migracją, bo uciekały w stronę morza.

Monk dotarł do oceanografa obejmującego ramieniem pień. Graff odwrócił się na chwilę, po czym znowu wbił wzrok w wylot tunelu.

Wokół niego leżało sześciu piratów. Po strzale Monka padli na ziemię i właśnie wstawali, niepewnie rozglądając się dokoła.

Z dżungli wypadła na nich kipiela krabów.

Pierwszy z piratów nie zdążył zareagować. Zanim się zorientował, co mu grozi, kraby zaczęły wpełzać na niego. Krzyknął przeraźliwie i jedna noga ugięła się pod nim.

Monk widział kiedyś, jak jego towarzysz broni został postrzelony w ścięgno Achillesa. Pirat przewrócił się tak samo jak tamten żołnierz.

Cały czas wrzeszcząc, podparł się ręką.

Po kilku sekundach nie było go już widać. Krzyczał, a kraby szły po nim. Na chwilę udało mu się unieść. Chusta, którą miał owiniętą twarz, zniknęła – razem z nosem, wargami i uszami. Na miejscu oczu ziały dwie krwawe dziury. Wrzasnął po raz ostatni i zniknął pod masą krabów.

Pozostali piraci zaczęli uciekać do tunelu. Jeden nie zdążył i część krabów natychmiast skrzyła ku niemu.

Mężczyzna krzyknął i skoczył ze skalnej krawędzi w przepaść.

Z tunelu dolatywało przerażające wycie.

Strumień krabów wlewał się w ciemną czeluść jak woda i polana błyskawicznie zaczęła się opróżniać. Graff patrzył na to zafascynowany. Kiedy Monk go dotknął, cofnął się gwałtownie.

– Musimy iść, zanim te krwiożercze stwory postanowią wrócić do lasu.

Wokół krążyły jeszcze setki krabów, ale teraz dało się między nimi przejść. Dla pewności Monk odłamał długą gałąź i machając nią jak miotłą, odgarniał z drogi czerwone pancerze.

Graff powoli wracał do siebie.

– Chcę... chcę mieć jednego.

– Najemy się ich dosyć na statku.

– Do zbadania. Przeżyły toksyczną chmurę. To może być ważne.

– W porządku – mruknął Monk. – Nie powinniśmy wracać na statek z pustymi rękami, a przecież musieliśmy zostawić wszystkie próbki...

Pochylił się i złapał protetyczną dłoń mniejszego kraba za pancerz od góry. Zadziorne zwierzę zaczęło kierować szczypcę do tyłu, próbując dosięgnąć nimi napastnika. Monk zamachnął się, zamierzając roztrzaskać kraba na pniu drzewa, ale Graff go powstrzymał.

– Nie! Potrzebny mi żywy okaz. Jak powiedziałem, w ich zachowaniu jest coś dziwnego. Trzeba je zbadać.

Monk zacisnął szczęki.

– Jak chcesz, ale jeżeli to sushi wyrwie mi choć kawałek ciała, zapłacisz za to.

Po czterdziestu minutach marszu przez porośnięty lasem płaskowyż zauważyli, że drzewa zaczynają się przerzedzać. U stóp klifu ujrzeli ciągnące się wzdłuż

plaży największe skupisko ludzkich siedzib na wyspie, zwane po prostu Settlement, czyli Osadą. Tuż za zatoką Flying Fish na wodzie unosił się biały pałac – była to Mistress of the Seas. Statek przypominał chmurę na nocnym niebie.

Dom, słodki dom.

Uwagę Monka zwróciła grupka małych łodzi motorowych, wypływających właśnie zza Rocky Point. Było ich kilkanaście i każda zostawiała za sobą białą smugę piany. Płynęły szykiem w kształcie szerokiego V i przypominały eskadrę atakujących myśliwców.

Podobna grupa motorówek pojawiła się po drugiej stronie portu.

Nawet z dużej odległości można było dostrzec kolor i kształt jednostek.

Niebieskie ślizgacze o długim kilu i małym zanurzeniu.

– Następni piraci... – jęknął Graff.

Monk patrzył na zbliżające się do siebie grupy motorówek, które przypominały zaciskające się szczypce – znacznie groźniejsze niż szczypce czerwonego kraba. Ich celem mogła być tylko Mistress of the Seas.

Godzina 13.05

Lisa wpatrywała się w zdjęcie rentgenowskie.

Na stole w kabinie stała podświetlana skrzynka do oglądania klisz, do której przypięte było zdjęcie. Na

łóżku leżała ludzka postać, cała przykryta prześcieradłem.

– Wygląda mi to na gruźlicę – powiedziała Lisa. Na zdjęciu płuc zmarłego widać było liczne gruzelki. – Albo nowotwór.

Obok Lisy stał doktor Henrick Barnhardt, holenderski toksykolog. To on ją wezwał.

– Ja, ale żona pacjenta powiedziała, że jeszcze osiemnaście godzin temu nie miał żadnych objawów niewydolności oddechowej. Nie kaszlał, nie odkrztuszał, nigdy nie palił. I miał tylko dwadzieścia cztery lata.

Lisa się wyprostowała. Byli w kabinie sami.

– Zrobił pan posiew?

– Pobrałem za pomocą igły trochę płynu z mięszu płuca – odparł Barnhardt. – Był serowaty od bakterii. To nie rak płuca, ale ropień.

Lisa przez chwilę patrzyła na niego w zamyśleniu. Stał zgarbiony, jakby rozmiary własnego ciała go krępowały. Zastanawiała się, czemu nie zaprosił na tę rozmowę doktora Lindholma.

– Takie wyniki pasują do gruźlicy – stwierdziła.

Gruźlicę wywołuje bakteria o nazwie *Mycobacterium tuberculosis*. Choć przypadek, z którym mieli do czynienia, był dość nietypowy, wiadomo, że gruźlica często pozostaje w stanie uśpienia albo rozwija się bardzo powoli. Mężczyzna mógł się zetknąć z czynnikiem zakaźnym wiele lat wcześniej, ale kontakt z trującym gazem do tego stopnia obciążył płuca, że choroba ujawniła się w przyspieszonym tempie. Tuż przed śmiercią na pewno zakażał.

Ani ona, ani doktor Barnhardt nie mieli na sobie kombinezonów antykontaminacyjnych.

Dlaczego toksykolog jej nie ostrzegł?

– To nie gruźlica – powiedział lekarz, jakby czytał w jej myślach. – Doktor Miller, nasz specjalista od chorób zakaźnych, zidentyfikował ten drobnoustrój jako szczep *Serratia marcescens*, zupełnie nieszkodliwej bakterii.

Lisa przypomniała sobie ich poprzednią dyskusję na temat pacjenta, u którego zwykła bakteria skórna wydzielala rozkładającą ciało truciznę.

– Tu również mamy do czynienia z dobrotliwą bakterią, która się uzłośliwia – dodał po chwili toksykolog.

– Co pan sugeruje, doktorze Barnhardt?

– Proszę mi mówić Henri. Nie tylko sugeruję. Kilka ostatnich godzin spędziłem na szukaniu podobnych przypadków. Znalazłem dwa. Kobietę z dyzenterią, która dosłownie wyrzucała z siebie błonę śluzową jelit. Było to dziełem *Lactobacillus acidophilus*, bakterii jogurtowej, która w normalnych okolicznościach jest pożytecznym organizmem wewnątrzjelitowym. Drugi przypadek to dziewczynka z niezwykle gwałtownymi atakami padaczki, której płyn mózgowo-rdzeniowy aż kipiał od *Acetobacter aceti*, dobrotliwej bakterii żyjącej w occie. Tym razem jednak zamieniła mózg tej małej w pickle.

Słuchając go, Lisa z coraz większym przerażeniem myślała o implikacjach tych wszystkich faktów.

– Na pewno nie są to jedyne przypadki – zaznaczył Barnhardt. – Musi więc istnieć coś, co sprawia, iż zwykle dobrotliwe bakterie zaczynają nagle działać na szkodę człowieka.

Lisa pokręciła głową.

– Właśnie... zamienia przyjaciela we wroga. A jeżeli się okaże, że to wojna totalna, nasz przeciwnik będzie miał miażdżącą przewagę liczebną.

– Ciało ludzkie składa się ze stu bilionów komórek, ale tylko dziesięć procent należy do nas. Pozostałe dziewięćdziesiąt to bakterie i inne nieszkodliwe organizmy. Współpracujemy z nimi, jeśli jednak równowaga miałyby zostać zachwiana i te wszystkie organizmy obróciłyby się przeciwko nam...

– Musimy to jakoś powstrzymać.

– Właśnie dlatego panią tu zaprosiłem. Jeżeli mamy cokolwiek osiągnąć, będziemy razem z doktorem Millerem potrzebowali dostępu do laboratorium pani partnera. Musimy znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Czy doszło do zmiany chemicznego składu bakterii? Jeżeli tak, jak odwrócić ten proces? I co, jeżeli ta zmieniona bakteria jest zakaźna? Jak się od niej izolować? – Skrzywił się. – Powinniśmy natychmiast przystąpić do pracy.

Lisa spojrzała na zegarek. Monk był już spóźniony o godzinę. Albo zapomniał z powodu pracy o bożym świecie, albo podziwiał wyspę i jej plażę. Teraz jednak nie było czasu na zwiedzanie.

Kiwnęła głową.

– Połączę się z doktorem Kokkalisem przez radio i każę mu jak najszybciej wracać. Ale masz oczywiście rację... musimy zaczynać bez niego.

Ruszyła przodem do laboratorium Monka, które znajdowało się pięć pokładów wyżej. Sigma wynajęła dla niego jedną z największych kabin na statku, jednak mimo to trzeba było odkręcić od podłóg i usunąć część mebli, aby wszystko się zmieściło. Kabina była

wyposażona w szeroki balkon wychodzący na sterburte i Lisa bardzo chciała się na nim znaleźć. Potrzebowała ciepła słońca i dotyku świeżej bryzy na skórze – czegoś, co odegnałoby narastający w niej strach.

Będzie musiała znowu zadzwonić do Paintera – nie mogła brać na siebie całej odpowiedzialności. Chciała także ponownie usłyszeć jego głos.

Wcisnęła przycisk windy.

Niemal w tym samym momencie – zupełnie jakby przycisk podłączono do detonatora – po drugiej stronie statku rozległa się eksplozja. Wybuch musiał nastąpić w pobliżu miejsca, w którym cumowano małe jednostki wożące ludzi między statkiem a brzegiem.

Wypadek?

– Co to było? – spytał Henri.

Po chwili jeszcze głośniejsza eksplozja wstrząsnęła statkiem po ich stronie – niedaleko dziobu. Z oddali doleciały echa krzyków, do których dołączył dobrze znany Lisie odgłos: równomierny terkot ognia z broni automatycznej.

– Zostaliśmy zaatakowani – stwierdziła.

Godzina 13.45

Monk zjeżdżał starą, pordzewiałą ciężarówką po stromym zboczu. Znalazł ją na terenie opuszczonej kopalni fosfatu, spał na krótko i teraz pędzili nieutwardzoną drogą prowadzącą do osiedla na brzegu.

Doktor Richard Graff siedział obok niego, mocno przypięty pasami. Zdrową ręką trzymał się sufitu.

– Zwolnij... – jęknął.

Ale Monk nie posłuchał. Musiał jak najszybciej dotrzeć do brzegu.

Przed odjazdem włamał się do jakiegoś warsztatu na terenie kopalni i spróbował zadzwonić, telefon jednak nie działał. Na szczęście znaleźli apteczkę i Graff miał teraz opatrzone ramię.

Kiedy Monk uruchamiał ciężarówkę, oceanograf bandażował rękę. Potem wyrzucił resztę zawartości apteczki, a w pudełku schował przeznaczonego do badań kraba.

Ostry zakręt zmusił Monka do przyhamowania, mimo to auto przechyliło się w bok i przez chwilę jechało z dwoma uniesionymi kołami. Kiedy ponownie opadły na ziemię, obaj podskoczyli na fotelach.

– Nic nie zdziałyśmy, jeżeli będziemy dachować – powiedział Graff.

Monk zwolnił – nie z powodu uwag towarzysza, ale dlatego, że droga dochodziła do asfaltowego skrzyżowania. Gdyby pojechali prosto, dotarliby do miejsca położonego na południe od zatoki Flying Fish, a gdyby skręcili na północ, dojechaliby do miasteczka, składającego się głównie z hoteli, chińskich restauracji, podupadających barów i innych pułapek na turystów.

Monk obserwował morze za zatoką. Mistress of the Seas była otoczona płonącymi łodziami i zniszczonymi jachtami, wśród których dryfował wrak kutra australijskiej straży przybrzeżnej. W niebo wzbijał się dym. Dookoła – niczym sfera rekinów – krążyły z rykiem silników niebieskie ślizgacze.

Nad statkiem, rozpraszając dym, kołował czerwono-żółty helikopter. Sądząc po błyskach ognia wydobywających się z otwartego luku, nie był ich sprzymierzeńcem.

Już kiedy zjeżdżali z płaskowyzu, widzieli wybuchy i błyski ognia z broni maszynowej oraz słyszeli odgłosy eksplozji.

Na północy, w miasteczku, rozległ się tak głośny wybuch, że szyby w ich pojeździe zadrżały.

– Podstacja Telstra – mruknął Graff. – Odcinają komunikację ze światem.

W Settlement zaczynały płonąć pierwsze domy.

Nie mogli to być zwykli piraci. Atak przygotowano profesjonalnie, po wojskowemu.

Ale kto? I po co?

Monk ponownie wrzucił bieg i pojechali nadmorską drogą w drugą stronę, oddalając się od miasta.

– Dokąd... – zaczął Graff, umilkł jednak, kiedy minęli zakręt i przed nimi ukazał się niewielki hotel, ukryty wśród drzew.

Monk skręcił przy szyldzie z napisem: THE MANGO LODGE AND GRILLE, wjeżdżając na drogę dojazdową. Główny budynek był jednopiętrowy, a wokół niego stało kilka bungalów. Między drzewami migotała woda w basenie.

Miejsce wyglądało na opuszczone.

– Będiesz tu bezpieczny – powiedział Monk.

Zahamował pod patronem hotelu, wielkim mangowcem, i wyskoczył z samochodu.

– Zaczekaj! – zawołał Graff.

Potrzebował chwili, aby otworzyć odporne drzwi. Niemal wypadł z samochodu i pospiesznie ruszył za

Monkiem.

Monk szybkim truchtem biegł do plaży. Jak wszystkie nadmorskie hotele także ten oferował rozmaite rozrywki wodne: nurkowanie z maską oraz pływanie na kajakach i żaglówkach. Za budynkiem znajdowała się wypożyczalnia sprzętu sportowego: drewniana przybudówka pokryta strzechą. Z powodu ewakuacji była zamknięta.

Nie zwalniając kroku, Monk złapał przyrząd służący do czyszczenia basenu i zabrał się do wrywania desek z okiennic i rozbijania szklanych wejściowych drzwi.

Kiedy dołączył do niego Graff, złapał go za koszulę i wciągnął do środka. Nad ich głowami przeleciał helikopter. Leciał tak nisko, że liście palm zafalowały gwałtownie. Po chwili skręcił i ruszył wzdłuż brzegu.

– Nie wychodź na otwartą przestrzeń! – krzyknął Monk do swojego towarzysza.

Przeszukał pierwsze pomieszczenie; było pełne ręczników, okularów przeciwsłonecznych, olejków do opalania i pamiątek, po czym przeszedł dalej przez zasłonięty sznurkami koralików otwór drzwiowy.

Cała tylna ściana przybudówki była obwieszona sprzętem do nurkowania.

Monk zrzucił buty.

Przed prowadzącymi na zewnątrz, podnoszonymi jak roleta drzwiami zobaczył różnego rodzaju pojazdy wodne. Minął kajaki i łodzie wiosłowe i zatrzymał się przed skuterem wodnym. Pojazd stał na specjalnym wózku, który pozwalał łatwo spuszczać skuter na wodę i wyciągać go na brzeg.

– Będę potrzebował twojej pomocy – powiedział Monk do Graffa.

Osiemnaście minut później przetarł łokciem brudne okno przybudówki i zaczął obserwować robiący kolejną rundę helikopter – czekał, aż maszyna zawróci na północ, w stronę zatoki Flying Fish. Z miejsca, w którym się znajdowali, nie można było jej dostrzec – zasłaniał ją Smith Point. Widzieli jedynie unoszący się nad granią dym.

Wreszcie helikopter skręcił i poleciał w kierunku zaatakowanego statku.

– Idziemy! – zakomenderował Monk.

Pochylił się, podciągnął drzwi, po czym je zablokował. Złapali wózek ze skuterem i zaciągnęli go do wody. Dzięki dużym, umożliwiającym jazdę po plaży kółkom poszło im bardzo szybko.

Kiedy Graff ściągał skuter z wózka, Monk włożył kombinezon do nurkowania i zarzucił na wierzch wiatrówkę z logo hotelu na plecach.

– Pozostań w ukryciu – polecił oceanografowi. – Jeżeli uda ci się znaleźć tu jakieś radio czy coś w tym rodzaju, spróbuj porozumieć się z władzami.

– A ty bądź ostrożny – odparł Graff i zaczął ciągnąć pusty wózek do wypożyczalni.

Po chwili Monk pędził w stronę Smith Point. Nie było fali, mógł więc mknąć po wodzie z maksymalną prędkością. Pęd powietrza nadymał jego wiatrówkę jak balon.

Wkrótce wyjechał z za skalnego cypla.

Kotwicząca po drugiej stronie zatoki Mistress of the Seas wyglądała jak oblegany biały zamek. Wokół niej płonęły wraki mniejszych jednostek i rozlany olej napędowy. Wszystkie dźwięki zagłuszał ryk silników pirackich łodzi.

– Polowały na znajdujących się w wodzie ludzi.
– No to do roboty... – mruknął do siebie Monk i jak torpeda rzucił się do przodu.

Godzina 14.08

– Musimy coś zrobić – powiedziała Lisa.
– Na razie siedzmy cicho – odparł Henri Barnhardt.
Tkwili w pustej kabynie przy burcie. Lisa stała przy bulaju, a toksykolog przy drzwiach.

Przed godziną uciekali przez statek, na którym panował straszliwy chaos. Wszystkie korytarze wypełniali członkowie załogi i spanikowani pasażerowie – chorzy i zdrowi. Przeróżliwe trąbienie alarmu zagłuszało odgłosy wybuchów i strzałów. Automatyczny system sterujący – albo działający z rozmysłem człowiek – pozamykał drzwi przeciwpożarowe, co pooddziałało od siebie różne części statku i sprawiło, że Lisa i Henri zostali uwięzieni.

Zamaskowani ludzie z bronią zaczęli wkrótce oczyszczać korytarze z ludzi, strzelając do każdego, kto nie wykonywał poleceń albo wykonywał je zbyt wolno.

Przez długie minuty Lisa i Henri wsłuchiwali się w dolatujące z góry strzały, krzyki i tupoty. Mało brakowało, aby sami również zostali zastrzeleni. Uratowała ich szybka ucieczka przez jedną z sal i jakiś boczny korytarz.

Szybkość przeprowadzenia ataku sugerowała, że napastnikom pomagał ktoś z załogi.

Lisa wyglądała na zewnątrz.

Woda wokół statku płonęła. Kilka minut wcześniej grupa zdesperowanych pasażerów skoczyła z któregoś z pokładów do wody – prawdopodobnie w nadziei, że uda im się dotrzeć do brzegu – jednak uzbrojone ślizgacze natychmiast ich dogoniły i teraz ich ciała pływały między płonącymi śmieciami.

Co się właściwie działo? I dlaczego?

W końcu syrena alarmowa przestała wyć. Zapadła ciężka cisza, powietrze zdawało się gęstnieć z każdą chwilą.

Gdzieś nad ich głowami ktoś pochlipywał i pojękiwał.

Z pobliskiego głośnika zaczął dolatywać monotony głos mówiący po malajsku. Lisa popatrzyła na Henriego, ale toksykolog pokręcił głową – też nic z tego nie rozumiał. Po chwili powtórzono komunikat po chińsku – drugim urzędowym języku na wyspie. Na koniec mężczyzna przeszedł na angielski z bardzo silnym obcym akcentem:

– Statek należy teraz do nas. Każdy pokład jest patrolowany. Kto wyjdzie na korytarz, zostanie zastrzelony. Wykonywać polecenia, a nikomu nic się nie stanie. To wszystko.

Komunikat zakończył się serią głośnych trzasków.

Henri sprawdził, czy drzwi kabiny są zamknięte.

– Statek został porwany. Ktoś musiał to doskonale zaplanować.

Lisa dobrze pamiętała sprawę Achille Lauro – włoskiego statku turystycznego, porwanego w 1985 roku przez palestyńskich terrorystów. A w 2005 roku somalijscy piraci zaatakowali u wybrzeży Afryki inny statek turystyczny.

Odwróciła się i znowu zaczęła wyglądać przez bulaj.

Krążące wokół statku łodzie były obsadzone przez uzbrojonych mężczyzn w maskach. Przypominali piratów, jednak Lisa podejrzewała, że są znacznie groźniejsi.

Może udzieliła się jej paranoja Paintera, ale działania napastników były zbyt dobrze skoordynowane jak na przypadkowy piracki atak.

– Na pewno przeszukają statek i zabiorą wszystko, co nie jest przykręcone – mruknął Henri. – A potem uciekną. Jeżeli uda nam się uniknąć konfrontacji...

Ponownie zatrzeszczał głośnik i we wszystkich kabinach rozległ się kolejny głos. Mówił po angielsku, a komunikat nie był powtarzany ani po malajsku, ani po chińsku.

– W ciągu pięciu minut na mostku ma się zgłosić czworo pasażerów... Mają przyjść, trzymając dłonie splecione palcami na głowie. Jeśli się nie zjawią po upływie tego czasu, będziemy zabijać po dwóch pasażerów statku za każdą minutę spóźnienia. Zaczniemy od dzieci.

Potem wymieniono nazwiska:

DOKTOR GENE LINDHOLM

DOKTOR BENJAMIN MILLER

DOKTOR HENRI BARNHARDT

DOKTOR LISA CUMMINGS.

– Macie pięć minut – powtórzył głos i zamilkł.

– To nie jest zwykłe porwanie – stwierdziła Lisa.

Nie mieli do czynienia z piratami.

Zanim Lisa odwróciła się od bulaja, zauważyła pędzący w ich stronę skuter wodny, ciągnący za sobą wysoki pióropusz wody. Pilot sprawnie manewrował

między pływającymi po wodzie śmieciami, ale był tak mocno pochylony, że jego twarz pozostawała niewidoczna.

Goniły go dwie motorówki przebijające się przez płomienie i dymiące belki, a po chwili do pościgu przyłączył się helikopter. Lisa nie chciała na to patrzeć, jednak czuła się w jakiś sposób zobowiązana. Pilotowi należał się szacunek za tę samobójczą próbę.

Helikopter przechylił się mocno. Jego boczne drzwi były otwarte.

Z wnętrza wystrzeliła smuga dymu.

Pocisk z granatnika.

Mała jednostka eksplodowała w kuli ognia.

Lisa, odrętwiała i wstrząśnięta, odwróciła się do Henriego.

– Chodźmy – powiedziała.

Godzina 14.12

Ściągany w głębinę przez pas balastowy i butle Monk zanurzał się szybko. Nagle błękit wody rozjaśnił błysk wybuchu i nad głową nurka przeleciał fragment rozerwanego skutera, który eksplodował dwa metry dalej.

Monk szarpał się z wiatrówką. Wyjął ustnik, zdjął na chwilę maskę, aby wydmuchać z niej wodę, po czym założył ją ponownie.

Był ciekaw, czy jego sztuczka zadziałała.

Kiedy helikopter zaczął gwałtownie opadać, Monk ujrzał w otwartym włazie mężczyznę celującego do niego z granatnika, więc przewrócił skuter i zanurkował. Impet eksplozji sprawił, że dudniło mu w głowie i dzwoniło w uszach.

Zatoka Flying Fish miała w niektórych miejscach trzydzieści metrów głębokości, ale nie musiał schodzić aż tak głęboko.

Napełnił kamizelkę wypornościową powietrzem i zawisł w wodzie, obserwując dna motorówek, czekających, aż pilot skutera się wynurzy.

Miał nadzieję, iż nikt nie zauważył jego sprzętu do nurkowania. Spojrzał na świecącą tarczę kompasu i ruszył prosto na Mistress of the Seas.

Zawsze marzył o odbyciu pełnomorskiego rejsu.

5

Zgubione i odnalezione

Waszyngton

5 lipca, godzina 1.55 czasu miejscowego

– Dalej nie dam rady jechać – oświadczył Gray.

Przez ostatnie siedem minut thunderbird jechał przez park Glovera-Archibolda starą drogą, z trudem przeciskając się przez krzewy, którymi zarosła. Lewa przednia opona samochodu została przestrzelona, więc jego prowadzenie było nie lada sztuką.

Choć dla większości ludzi Waszyngton jest miastem pełnym historycznych budowli, szerokich alei i muzeów, ma także jedną z najdłuższych stref zieleni miejskiej, składającą się z połączonych parków i obejmującą ponad czterysta hektarów. Park Glovera-Archibolda znajduje się na końcu tego ciągu od strony Potomacu.

Gray starał się oddalić od rzeki, bo jej okolice były zbyt słabo zabudowane. Jadąc biegnącym równoległym do parku zaułkiem, skręcił na północ. Mimo że zgasił reflektory, udało mu się odkryć starą drogę ewakuacyjną wchodzącą między drzewa. Choć thunderbird ledwo jechał, musieli się gdzieś ukryć.

Po kilkuset kolejnych metrach dotarli do kresu podróży.

Znajdowali się u wylotu wąwozu. Po obu stronach wąskiej doliny wznosiły się strome zbocza, połączone nieczynną estakadą kolejową. Gray wjechał pod konstrukcję z zardzewiałego żelaza i desek i zatrzymał się przy jednej z betonowych ścian wspierających estakadę. Cała była pokryta graffiti.

– Wszyscy wysiadać – powiedział. – Dalej idziemy na piechotę.

Po drugiej stronie estakady stał oświetlony księżycowym światłem znak informujący o biegnącej tędy ścieżce turystycznej. Wcinająca się w gęste listowie drożynka wyglądała jak tunel.

W oddali wyły syreny wozów ratowniczych, na niebie migotała pomarańczowa luna. Eksplozja rakiety musiała zapalić jakiś dom.

Między drzewami panował spokój, ale Nasser i jego ludzie mogli być wszędzie.

Grayowi serce waliło jak młot. Nie bał się o siebie, lecz o rodziców. Musiał zawieźć ich w bezpieczne miejsce, jak najdalej od krążącego wokół niebezpieczeństwa. Ale najpierw należało zapewnić Seichan pomoc lekarską.

Nie było to jednak łatwe.

Wiedział, że nie może próbować kontaktować się z Sigmą ani jej szefem przez telefon. Jak dowodził atak przy bezpiecznym domu, kanały komunikacyjne zostały spenetrowane przez przeciwnika, a reguły postępowania były wtedy jasne: należało przestać działać i dobrze się zakopać. Dopóki nie umieści

rodziców w jakimś bezpiecznym miejscu, nie wolno mu wychylać głowy z trawy.

Oznaczało to konieczność poszukania innego sposobu pomocy dla Seichan.

Matka natychmiast wyciągnęła komórkę i Gray musiał wyjąć jej baterię z aparatu.

– Morfina zaczęła już działać – poinformowała go, gdy przyjrzała się rannej.

Podczas krótkiego postoju, jaki wcześniej zrobili, przesiadła się na tylne siedzenie i zrobiła Seichan zastrzyk z morfiny zabranej z apteczki w bezpiecznym domu.

– Jeżeli ma nam się udać, będziemy musieli ją nieść – stwierdził Gray.

– Zajmę się tym – odparł Kowalski.

Ojciec pomógł matce wysiąść, a potem dokładnie obejrzał samochód i zaklął pod nosem. Kowalski wziął Seichan na ręce – nawet w mroku widać było ciemną plamę na opasującym jej brzuch bandażu. Ruch obudził kobietę i kiedy wielkolud wynosił ją z samochodu, uderzyła go w policzek.

– Hej! – zawołał Kowalski i odchylił głowę przed kolejnym uderzeniem.

Seichan zaczęła krzyczeć, mieszając wyrazy angielskie ze słowami pochodzącymi z jakiegoś azjatyckiego dialektu.

– Ucisz ją jakoś – syknął ojciec Graya, z niepokojem spoglądając na ciemny las.

Kowalski spróbował zatkać Seichan usta, ale omal nie stracił przy tym palca.

– Niech cię cholera! – zaklął.

Seichan była coraz bardziej pobudzona. Matka Graya poszukała czegoś w swojej wielkiej torbie.

– Mam jeszcze jedną morfinę – oświadczyła.

Gray pokręcił głową.

– Zaczekaj z tym... – Bał się, że przy tak dużej utracie krwi kolejna dawka narkotyku może spowodować niewydolność oddechową. – Lepsze byłyby sole trzeźwiące.

Matka kiwnęła głową i po paru sekundach wyciągnęła z torby kilka kapsułek. Gray wziął jedną z nich i podszedł do Kowalskiego, który miał krwawą pręgę na policzku.

– Boże, zróbcie coś z nią!

Gray chwycił Seichan za włosy, odgiął jej głowę do tyłu i podstawił pod nos kapsułkę. Szarpała się, ale nie udało jej się odtrącić jego ręki. Po chwili deliryczne wrzaski ucichły zastąpione odgłosami krztuszenia się.

Ranna spróbowała odepchnąć Graya.

– Wystarczy... – wykaszlała i złapała go za nadgarstek.

Był zaskoczony jej siłą. Odsunął rękę z kapsułką.

– Daj mi pooddychać... niech ten kretyn mnie puści.

Gray skinieniem głowy polecił Kowalskiemu, aby postawił ją na ziemi. Na szczęście olbrzym przytrzymał ją, bo przeceniła swoje możliwości i zaczęła osuwać się na ziemię.

Jęknęła i rozejrzała się. Wyraz jej oczu świadczył o dezorientacji i morfinowym ośpieniu. Po chwili skupiła wzrok na Grayu.

– Miałam... Gdzie obelisk?

– Będziemy musieli pojechać po niego później. Kiedy się przewróciłaś, pękł. Zostawiłem go w domu.

Jego słowa sprawiły jej większy ból niż postrzał.

Podeszła do nich matka Graya.

– Mówicie o tej złamanej kamiennej kolumnie? – Poklepała swoją wielką torbę. – Kiedy wróciłam do domu po bandażu, wzięłam ją. Wydawało mi się, że może być cenna.

Seichan z ulgą zamknęła oczy.

– Dzięki Bogu...

– Co jest w tym kamieniu takiego ważnego?

– Może... ocalić świat. Jeżeli nie jest już za późno.

Gray popatrzył na torbę matki, a potem przeniósł wzrok na Seichan.

– O czym ty mówisz?

Ranna z wysiłkiem machnęła ręką. Znowu zaczynała odpływać.

– To zbyt skomplikowane... potrzebuję twojej pomocy... nie mogę... sama... musimy uciekać... – Broda opadła jej na pierś i Seichan straciła przytomność.

Kowalski oparł ją na swoim biodrze.

Gray miał ochotę jeszcze raz użyć soli trzeźwiących, bał się jednak przekroczyć granicę wytrzymałości rannej. Przez bandaż przesączała się świeża krew.

Matka popatrzyła na niknącą w gęstwinie ścieżkę.

– Szpital nie powinien być daleko – stwierdziła.

Przyjechali tu właśnie dlatego, że za parkiem zaczynał się kampus Uniwersytetu Georgetown, na którego terenie znajdował się szpital. Pracowało w nim kilkoro byłych studentów matki.

Gdyby udało im się tam niepostrzeżenie dotrzeć...

Ale chociaż z parku było mnóstwo wyjść, Nasser wiedział, że transportują ciężko ranną kobietę, potrzebującą natychmiastowej pomocy medycznej.

Gray pamiętał oczy tego drania, kiedy rozmawiali o obelisku. Były okrutne, bezlitosne. Prawdopodobnie Egipcjanin uwierzył, że obelisk pozostał przed domem rodziców Graya, pytanie tylko, co było dla niego ważniejsze – zdobycie artefaktu czy zemsta?

Od odpowiedzi na to pytanie zależało ich życie.

Godzina 2.21

Painter chodził po gabinecie, przyciskając do ucha telefon komórkowy.

– Wszyscy nie żyją?

Plazmowy ekran za jego plecami pokazywał trzy płonące domy i kawałek sąsiadującego z nimi parku. Lato było suche, więc drzewa również się zapaliły. Na otoczonym kordonem terenie roило się od wozów strażackich i ambulansów. Stacje telewizyjne rozstawiały anteny satelitarne. W górze krążył policyjny helikopter, przeczesując okolice promieniem reflektora.

Nigdzie nie dostrzeżono ani kabrioletu, którym jechał Gray, ani porwanego ambulansu Sigmy. Szalejący ogień uniemożliwił dalsze poszukiwania.

Jedyna pewna wiadomość była bardzo zła: znaleziono członków prawdziwej załogi ambulansu. Wszystkich zabito strzałami w głowę. Na biurku Paintera leżały cztery teczki. Do świtu będzie musiał wykonać cztery niemiłe telefony i zawiadomić rodziny zastrzelonych.

Do gabinetu wjechał jego asystent na wózku.

– Przepraszam, dyrektorze...

Painter popatrzył na niego pytająco.

– Na trzeciej linii czeka doktor McKnight. Jest przygotowany do konferencji telefonicznej lub wideo.

Painter wskazał palcem ekran.

– Już dość się na to napatrzyłem. Daj mi Seana.

Zdjął z głowy zestaw słuchawkowy i odwrócił się do ekranu, na którym scenerię pożaru zastąpiła twarz przełożonego.

To właśnie Sean McKnight założył Sigmę, jednak jakiś czas temu awansował na stanowisko szefa DARPA. Painter natychmiast do niego zadzwonił, kiedy w życie Graya jak bomba wpadła Seichan. Przede wszystkim chciał, aby Sean poradził mu, co powinien zrobić, ale miał jeszcze jeden powód.

– A więc Gildia znowu jest u naszego progu... – zaczął McKnight.

Przejechał palcami rzednące rude włosy. Były mocno potargane, co sprawiało, że wyglądał, jakby wyrwano go prosto z łóżka. Jednak jego biała koszula była doskonale wyprasowana, a na oparciu krzesła wisiała granatowa marynarka.

– Może nawet gorzej – odparł Painter i postukał w leżącą na biurku teczkę. – Informacje wywiadowcze sugerują, że już przeszła przez nasze drzwi. Czytałeś raport.

– Wiedzieli o bezpiecznym domu. Wiedzieli, że Gray jedzie tam z ich agentem, który postanowił wybrać własną drogę. Chyba mamy przeciek.

– Obawiam się, że nie możemy tego wykluczyć – mruknął Painter i pokręcił głową.

Gdyby okazało się to prawdą, byłaby to katastrofa. Co prawda Gildia już raz zinfiltrowała Sigmę, teraz jednak Painter gotów był przysiąc, że organizacja jest czysta. Po zdemaskowaniu ostatniego kreta wypalił Sigmę do korzeni i zrekonstruował ją od podstaw – z setkami zabezpieczeń i środków przeciwdziałających przeciekom.

Czyżby to wszystko było na nic?

Jeżeli naprawdę tak było, fundamenty Sigmy mogą zostać zakwestionowane, a to oznaczało rozwiązanie organizacji. Służby wywiadowcze działające w ramach nowych struktur bezpieczeństwa kraju już przeprowadzały wewnętrzny audyt – analizę kosztów własnych Sigmy i zysków, jakie organizacja przynosi.

Teraz jednak ponieśli nie tylko finansowe straty.

Przypominały mu o tym cztery teczki leżące na biurku.

– Nie my jedni cierpimy z powodu tej sieci terrorystów do wynajęcia – powiedział Sean. – Dwa miesiące temu MI-6 zlikwidowało komórkę, która zinfiltrowała działającą niedaleko Glasgow grupę o nazwie British Aerospace. Stracili przy tym pięciu agentów. Gildia jest wszędzie i jednocześnie nie ma jej nigdzie. NSA i CIA przez cały czas próbują ustalić, kto jest jej Osamą bin Ladenem. Prawie nic nie wiemy o ich przywódcy i najważniejszych graczach. Nie wiemy też nawet, czy to prawdziwa nazwa tej organizacji. Zaczęto jej używać, bo taki przydomek miał kojarzony z nią pewien oficer SAS. Prawdopodobnie różne komórki ponadawały sobie własne nazwy... początkowo z przekory, a potem na poważnie, jednak nie mamy żadnej pewności. Zbyt mało o nich wiemy.

– Ale teraz jest u nas ich agentka.

Sean westchnął.

– Od lat próbujemy się u nich zahaczyć. Proponowałem różne scenariusze, lecz jeszcze nigdy nie wpadł nam w ręce ich agent. Musimy dobrze zabezpieczyć tę kobietę.

– Gildia zrobi wszystko, żebyśmy nie mieli z niej pożytku. Wyraźnie dali nam to do zrozumienia. Aby ją wyeliminować, zdradzili się nawet, że zinfiltrowali Sigmę. Kosztowny wybór... A potem wysłali do akcji innego superagenta.

– Widziałem zdjęcie tego człowieka zrobione pod bezpiecznym domem i czytałem jego akta – odparł Sean.

Painter też je czytał. Rzeźnik z Kalkuty. Pochodzenie i narodowość nieznane. Z mieszanej rodziny, w przeszłości podawał się za Hindusa, Pakistańczyka, Irakijczyka, Egipcjanina lub Libijczyka.

– Mamy jeden trop – powiedział. – Udało nam się z nagrania wideo wychwycić jego imię. Nasser. Ale to wszystko.

Sean machnął ręką.

– Podczas każdego zamachu zmienia tożsamość. Krwawy ślad, który się za nim ciągnie, prowadzi wokół całego świata, choć najczęściej działał w Afryce Północnej oraz na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Dopiero niedawno zaangażował się bardziej w regionie śródziemnomorskim. W Grecji zabił garotą archeologa, a we Włoszech zastrzelił kuratora muzeum.

– We Włoszech? Gdzie?

– W Wenecji. Ofiarę znaleziono w byłym więzieniu, które mieści się pod Pałacem Dożów. Zabójca został

nagrany przez jedną z kamer nadzorujących plac obok pałacu.

Painter potarł podbródek.

– Jakiś czas temu zadzwonił do mnie monsignore Verona z Watykanu. Zapis tej rozmowy powinien znajdować się w raporcie sytuacyjnym. Bardzo możliwe, że w tym samym czasie we Włoszech była także Seichan.

Sean zmrużył oczy.

– Ciekawe... dwoje skrytobójców przyjeżdża tutaj z Włoch... jedno ściga drugie. Najlepsi ludzie Gildii. Potem Nasser wpycha nam Seichan w ramiona...

A raczej w ramiona Graya, dodał w myśli Painter.

– Musimy ją aresztować. Natychmiast. Nie możemy zrezygnować z takiej okazji – oświadczył Sean.

Painter rozumiał powagę sytuacji, znał jednak także Graya i wiedział, w jaki sposób działa jego umysł. Jeżeli ktokolwiek miał podobny poziom paranoi do niego, to właśnie Gray. Aresztowanie Seichan mogło okazać się problematyczne.

– Komandor Pierce ucieka. Po ataku w bezpiecznym domu na pewno tak samo jak my zakłada istnienie przecieku. Ukryje się razem z nią i nie wysunie nosa z kryjówki, dopóki nie uzna, że jest bezpiecznie.

– Możemy nie mieć zbyt wiele czasu. Mają na karku Rzeźnika z Kalkuty.

– Więc co robimy?

– Musimy jak najszybciej znaleźć komandora Pierce'a i sprowadzić go do nas razem z Seichan. Nie mam wyboru, muszę poszerzyć poszukiwania, włączyć w nie lokalne władze i FBI. Zarządziłem już sprawdzenie szpitali i ośrodków medycznych. Nie możemy pozwolić, aby zapadł się pod ziemię.

– Wolałbym dać mu większe pole manewru... Im więcej światła skierujemy w jego stronę, tym większe prawdopodobieństwo, że ściągnie to uwagę Nassera.

– Jeśli tak się stanie, spróbujemy ująć dwóch agentów Gildii.

Zaskoczony Painter pokręcił głową.

– Chcecie użyć Graya jako przynęty?

Sean patrzył prosto w monitor i Painter widział, jaki jest usztywniony. Przeniósł wzrok na świeżo wyprasowaną koszulę i marynarkę wiszącą na krześle i nagle pojął, że nie jest pierwszą osobą, która chciała być tej nocy wysłuchana przez Seana McKnighta.

– Ta decyzja została podjęta przez Departament Bezpieczeństwa Krajowego i podpisana przez prezydenta. Nie będzie odwołana. – Sean zacisnął szczęki. – Gray i agentka Gildii muszą zostać odnalezieni.

Painter Crowe nic na to nie odpowiedział. Bez względu na to, co się działo, jego obowiązkiem było współpracować. Powoli kiwnął głową.

Znał jednak dobrze Graya i wiedział, że nie da się nikomu schwytać.

Ukryje się bardzo głęboko.

Godzina 3.04

– W holu na dole jest Starbucks – poinformował ich Kowalski. – Może mają otwarte? Ktoś chce coś do picia?

– Nie pokazujemy się – powiedział Gray.

Kowalski wzruszył ramionami.

– To był żart.

Gray go zignorował. Przyglądał się obeliskowi. Siedzieli w poczekalni przed gabinetem dentystycznym. Oświetlone małą lampką pomieszczenie było urządzone w typowy sposób: czasopisma sprzed kilku miesięcy, reprodukcje akwarel, anemiczny fikus pod oknem i zamontowany na ścianie telewizor.

Przed czterdziestoma minutami cała grupa przeszła leśną ścieżką do skraju parku Glovera-Archibolda. Za ulicą zaczynał się kampus Uniwersytetu Georgetown. O tej porze nie jeździły tędy samochody. Przebiegli przez ulicę, ukryli się w cieniu między zabudowaniami i dotarli do aneksu dentystycznego uniwersytetu. Budynek szpitala – jasno oświetlony – znajdował się kawałek dalej. Nie odważyli się jednak do niego zbliżyć.

Zamiast tego podjęli inne działania.

Stojący przy oknie Kowalski zaklął cicho i splótł ramiona na piersi.

– Dlaczego to trwa tyle czasu? – burknął.

Powiedział wcześniej Grayowi, że pływał w marynarce wojennej i został zwerbowany przez Sigmę po operacji w Brazylii, w której uczestniczył – nie jako agent, ale mięśniak. Koniecznie chciał pokazać mu blizny po ranach, jakie odniósł podczas tej misji, ale Gray grzecznie go powstrzymał. Facet najwyraźniej nie wiedział, co to znaczy siedzieć cicho. Nic dziwnego, że kazano mu trzymać straż. W samotności.

Jednak jego gadanina nie przeszła bez echa.

Pod przeciwległą ścianą, na trzech krzesłach, leżał ojciec Graya. Miał zamknięte oczy, lecz nie spał.

– A więc jesteś kimś w rodzaju szpiega przemysłowego... – powiedział w pewnym momencie. –

Wyobrażam sobie, że...

Gray nie miał pojęcia, co miał na myśli, nie był to jednak odpowiedni moment na wyjaśnienia. Im szybciej Seichan zostanie pozszywana, a on pozbędzie się rodziców, tym lepiej dla nich wszystkich.

Powrócił do badania obelisku. Obracał go i dokładnie oglądał każdą powierzchnię. Kamień był podziobany i podrapany, ale niczym specjalnym się nie wyróżniał. Wyglądał jak egipski artefakt, jednak Gray nie znał się na sztuce tego kraju. Być może nawet nie ocenił prawidłowo pochodzenia obelisku, zasugerowany egipskim akcentem zabójcy, który zaatakował ich w bezpiecznym domu.

Zastanowił go jeden szczegół artefaktu.

Obrócił jego odłamany koniec. Wystawał z niego srebrny pręt o grubości małego palca – coś kryło się we wnętrzu obelisku. Po dokładniejszym przyjrzeniu się powierzchni odłamanego fragmentu zauważył w kamieniu starą spoinę, niewidoczną z zewnątrz. Obelisk składał się z dwóch po mistrzowsku sklejonych kawałków marmuru, między którymi coś ukryto.

Jak powiedziała Seichan? „Może... ocalić świat. Jeżeli nie jest już za późno”.

Bez względu na to, co miała na myśli, musiało to być na tyle ważne, że postanowiła skontaktować się z pracownikiem Sigmy – nawet za cenę zdrady Gildii.

Podniósł głowę, słysząc skrzypnięcie drzwi. Z gabinetu wyszła jego matka i zdjęła z twarzy chirurgiczną maskę.

– Ta dziewczyna ma cholerne szczęście – stwierdziła.
– Opanowaliśmy krwotok i podajemy jej krew. Mickie uważa, że się wylize. Właśnie kończy ją opatrywać.

Mickie, czyli doktor Michael Corrin, były asystent matki, rozpoczął studia medyczne w znacznym stopniu dzięki jej rekomendacji. Byli ze sobą dość mocno związani i ufali sobie, więc odebrał jej telefon o północy i zgodził się na potajemne spotkanie. Pospiesznie wykonane USG przyniosło pierwszą tej nocy dobrą wiadomość: kula nie przebiła otrzewnej.

Na czas zabiegu wyproszono Graya z gabinetu. Nie chciał spuszczać Seichan z oczu, ale doktor był nieugięty, więc z braku innego zajęcia zaczął oglądać obelisk.

– Kiedy będzie można ją stąd zabrać? – spytał.

– Mickie twierdzi, że dopiero za kilka godzin – odparła matka.

– Nie mamy tyle czasu.

– Mówiłam mu to.

– Obudziła się już?

– Zaczęła reagować po pierwszej jednostce krwi. Mickie napompował ją antybiotykami i środkami przeciwbólowymi. Już nawet próbowała siadać.

– W takim razie powinniśmy jak najszybciej stąd zniknąć – stwierdził Gray i wstał.

W drzwiach gabinetu omal nie wpadł na doktora Corrina. Byli podobnego wzrostu, ale młody lekarz był chudy jak szczapa i miał płowe włosy. Jego brodę zdobiła cieniutka linia zarostu.

– Wyrwała sobie cewnik i zażądała, aby pan do niej natychmiast przyszedł – powiedział. – I kazała mi przynieść lampę ultravioletową. – Wskazał dłonią zaplecze kliniki. – Mój brat ma taką lampę do plomb. Zaraz wracam.

Seichan siedziała na fotelu dentystycznym, odwrócona plecami do wejścia. Od pasa w górę była

naga i usiłowała włożyć pożyczony T-shirt z logo drużyny Redskins. Pod jej nogami leżał fartuch, jakim osłania się ciało pacjentów podczas zabiegów. Gray nie musiał widzieć jej twarzy, aby zauważyć, ile wysiłku kosztuje ją próba ubrania się. W pewnym momencie musiała chwycić się podłokietnika.

– Pozwól, że ci pomogę – zaproponowała Harriet Pierce. – Nie powinnaś robić tego sama.

Seichan uniosła obronnie rękę.

– Poradzę sobie – burknęła, jednak po chwili westchnęła i poddała się.

Matka Graya pomogła jej naciągnąć T-shirt na nagie piersi i zabandażowany brzuch. Kiedy ranna się odwróciła i zobaczyła Graya, jej twarz stężała. Prawdopodobnie jej zażenowanie nie wynikało z tego, że zobaczył ją półnagą, ale że był świadkiem jej słabości.

Zaciskając zęby, podniosła się powoli, przysiadła na fotelu i zapięła spodnie.

– Muszę porozmawiać z pani synem – powiedziała do Harriet Pierce chrapliwym głosem.

Matka popatrzyła na Graya.

– Sprawdź, co z twoim ojcem – oświadczyła i wyszła.

W głębi korytarza rozległ się stłumiony dźwięk włączonego telewizora. Najwyraźniej Kowalski znalazł pilota.

W drzwiach stanął doktor Corrin z ręczną lampą na ultrafiolet.

– To wszystko, co mamy.

– Wystarczy – odparła Seichan i spróbowała wyciągnąć rękę po lampę, ale zaraz ją cofnęła, bo za mocno drżała.

Gray przełożył obie części obelisku do jednej ręki i wziął od doktora lampę.

– Potrzebujemy minuty.

– Oczywiście – odparł doktor Corrin.

– Komandorze Pierce, przepraszam, że naraziłam twoją rodzinę na niebezpieczeństwo. Nie doceniłam Nassera – powiedziała Seichan. Ostrożnie dotknęła rany.

– Nie zrobię tego ponownie. Sądziłam, że zgubiłam go w Europie.

– Nie zgubiłaś.

Zmrużyła oczy.

– Nie udało mi się to, ponieważ dowództwo Sigmy zostało zinfiltrowane. Gildia posłużyła się wami, aby mnie wyśledzić i zdemaskować. Wina nie leży wyłącznie po mojej stronie. – Dotknęła czoła, jakby o czymś zapomniała, ale Gray podejrzewał, że chce zyskać na czasie, zastanowić się, co powiedzieć. – Musisz mieć do mnie tysiąc pytań.

– Tylko jedno... co się, u diabła, dzieje?

– Chyba musimy zacząć od tego... – Skinęła głową w kierunku obelisku. – Gdybyś mógł postawić go na stoliku na instrumenty...

Gray wykonał jej polecenie, stawiając odłamana część na podstawie.

– Lampa...

Chwilę później, po zgaszeniu światła, Gray pochylił się nad obeliskiem, aby dokładnie przyjrzeć się znakom świecącym na każdym jego boku.



Nie przypominały żadnych hieroglifów ani run, jakie kiedykolwiek widział. Spojrzał na Seichan. Białka jej oczu jarzyły się w ultrafiolecie.

– Patrzysz na anielskie pismo – powiedziała. – To język archaniołów.

Zmarszczył czoło.

– Wiem, że to szalone. Ten napis pochodzi z epoki wczesnego chrześcijaństwa i prastarego hebrajskiego mistycyzmu. Gdybyś chciał dowiedzieć się czegoś więcej...

– Na razie wolałbym się dowiedzieć, co znaczą twoje słowa, że obelisk mógłby uratować świat.

Seichan rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Potrzebuję twojej pomocy, Gray – dodała po chwili.

– Muszę ich powstrzymać, ale nie potrafię dokonać tego sama.

– Czego?

– Trzeba zablokować działania Gildii. To, co zamierzają... – Na jej twarzy znowu pojawił się cień strachu.

Gray zmarszczył brwi. Kiedy po raz pierwszy spotkał się z Seichan, próbowała zdetonować bombę z węglikiem nad Fort Detrick.

Co mogło przerazić kogoś tak obojętnego na ludzkie losy?

– Pomogłam ci w przeszłości – dodała po chwili.

– Tylko po to, abyśmy mogli pokonać wspólnego wroga. I uratować własną skórę.

– Teraz też o to chodzi. O współpracę w celu pokonania wspólnego wroga. Jednak tym razem zagrożone jest nie tylko moje życie, lecz także życie setek milionów ludzi. Atak już się zaczął. Ziarno zostało zasiane. – Popatrzyła na płonące na obelisku napisy. – Wszystko, czego nam potrzeba do powstrzymania Gildii, jest tutaj. Jeżeli rozwiążemy tę zagadkę pierwsi, powróci nadzieja. Dalej nie zajdę sama... potrzebuję świeżego spojrzenia, kogoś z większą wiedzą.

– Sądysz, że we dwoje rozwikłamy zagadkę, której nie rozwiązała dysponująca znacznie lepszymi możliwościami Gildia? Gdybyśmy mogli wprowadzić w to Sigmę...

– Wręczyłbyś wtedy Gildii palmę zwycięstwa. W Sigmie jest kret. Czegokolwiek dowie się Sigma, dowie się tego także Gildia.

– Proponujesz więc, żebyśmy działali sami, tylko we dwoje?

– We troje... jeżeli on zechce.

– Kto?

– Jeśli chodzi o znajomość aniołów i archeologii, jest tylko jeden człowiek, który mógłby nam pomóc.

– Vigor Verona...

Kiwnęła głową.

– Zostawiłam mu wizytówkę... zagadkę, którą powinien niedługo rozwiązać. Jeżeli zechce z nami współpracować, pójdziemy dalej. – Dotknęła obelisku. – Do następnego kroku na anielskiej ścieżce.

– Co masz na myśli?

Pokręciła głową.

– Powiem ci, kiedy się stąd wyniesiemy. Musimy zacząć się ruszać. Każda sekunda pozostawania w tym samym miejscu zwiększa ryzyko.

Sięgnęła po obelisk.

Ale Gray ją ubiegł. Złapał większą część pękniętego artefaktu i uniósł go nad głowę. Miał tego wszystkiego dość.

– Zniszcz go, jeżeli chcesz. I tak nie powiem nic więcej, dopóki stąd nie uciekniemy i nie zgodzisz się mi pomóc.

– Zakładam, że skopiowałaś te napisy, może nawet je sfotografowałaś.

– Oczywiście.

– To świetnie.

Cisnął obeliskiem o podłogę. Kamień rozprysnął się na kilka kawałków. Seichan westchnęła i popatrzyła na Graya z zaskoczeniem – prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z tego, iż w środku artefaktu coś ukryto.

– Co... co ty zrobiłeś?

Gray pochylił się i wyłowił spomiędzy czarnych odłamków jakiś srebrny przedmiot.

Wyprostował się i uniósł go wyżej – był to srebrny krucyfiks.

Oczy Seichan się rozszerzyły. Najwyraźniej rozpoznała ukryty w środku obelisku obiekt. Zapominając o bólu, przysunęła się bliżej.

– Niemożliwe... znalazłeś go.

– Co znalazłem?

– Krzyż brata Agreeera. – Ściszyła głos, równocześnie zła i zawstydzona. – Miałam go przez cały czas...

– Kto to jest brat Agreeer?

– Brat Antonio Agreeer. Spowiednik Marca Polo.

Marca Polo?

– Co tu się dzieje? – zapytał Gray zmęczony zagadkami i połowicznymi wyjaśnieniami.

Wskazała ręką krzesło, na którym leżała jej poszarpana kurtka.

– Musimy stąd zniknąć.

Kiedy ruszyła w stronę kurtki, zastąpił jej drogę.

– Zdecyduj się, do cholery! Nie mam czasu – syknęła i zaczęła przeciskać się obok niego.

Złapał ją za ramię.

– A co miałoby mnie powstrzymać przed oddaniem cię Sigmie?

Wyszarpnęła się. Na jej twarz wypłynęła chyba cała krew, którą jej przetoczono.

– To, że nie jesteś idiotą! Jeżeli Gildia mnie złapie, będzie po mnie. A jeżeli zrobi to twoja Sigma, zostanę zamknięta i stracę możliwość zatrzymania tego, co się dzieje. Dlatego przyszłam z tym do ciebie. Jeśli pomożesz mi przekonać Vigora, zdradzę ci nazwisko kreta w Sigmie. Jeżeli ratowanie ludzkiego życia to dla ciebie za mało, powiem ci coś jeszcze... Może nie zdajesz sobie

z tego sprawy, ale próbują was wykastrować, wywalić na zieloną trawkę, a ponieważ ukrywa się u was kret... drugi kret... wypalą was z korzeniami i zaorają ziemię. To będzie koniec Sigmy. Na zawsze.

Gray słyszał coś na ten temat, pamiętał jednak także inną Seichan – pochyloną nad nim i przystawiającą mu pistolet do twarzy. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, próbowała go zastrzelić. Czy mógł jej ufać?

Zanim ten pat został rozwikłany, z recepcji doleciał głos Kowalskiego:

– Komandorze Pierce! Niech pan przyjdzie i rzuci na to okiem!

Gray zaklął pod nosem. Czemu ten facet tak się wydziera?

Spojrzenia Graya i Seichan ponownie się spotkały. W dalszym ciągu była wściekła, ale nie potrafiła ukryć tego, co pobrzmiwało w jej głosie, kiedy upadła zakrwawiona na podjeździe domu jego rodziców – przerażenia.

Podszedł do krzesła, wziął kurtkę i podał jej.

– Możemy zacząć działać po twojemu, jednak więcej nie obiecuję.

Kiwnęła głową.

– Komandorze! – zawołał znowu Kowalski.

Gray pokręcił głową i wyszedł na korytarz. Przed wejściem do recepcji schował srebrny krucyfiks do kieszeni.

Wszyscy wpatrywali się w ekran. Na górze znajdowało się logo stacji CNN, a na dole przesuwiał się pasek z napisem: NAJNOWSZE WIADOMOŚCI. Obraz na ekranie ukazywał trzy płonące domy stojące na skraju ogarniętego pożarem lasu.

– „...prawdopodobnie podpalenie – mówił spiker. – Powtarzamy: policja poszukuje tego mężczyzny. Nazywa się Grayson Pierce i mieszka w Waszyngtonie”.

W rogu ekranu pojawiła się fotografia Graya w mundurze, z ostrzyżonymi na zapalną włosami, pełnymi złości oczami i zaciśniętymi ustami. Było to zdjęcie, które zrobiono mu po przyjeździe do więzienia w Leavenworth, i wyglądał na nim jak zatwardziały przestępca.

– Chyba właśnie dogoniła cię przeszłość i ugryzła w tyłek – mruknął ojciec.

Gray zignorował go i znowu popatrzył na ekran.

– „Policja chce się z nim skontaktować w celu przesłuchania i prosi wszystkie osoby, które znają miejsce jego pobytu, o natychmiastowe zawiadomienie władz”.

Kowalski podniósł pilota i ściszył telewizor.

Doktor Corrin wstał i odsunął się od ich grupy.

– Skoro tak to wygląda, nie mogę ani chwili dłużej...

Kowalski wycelował w niego pilota.

– Jeśli powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Pomagałeś nam w przestępstwie, więc teraz siedź cicho albo pożegnasz się z dyplomem.

Doktor Corrin zbladł i cofnął się jeszcze o krok.

Matka Graya wyciągnęła rękę, uspokajająco dotknęła ramienia swojego byłego studenta i popatrzyła na Kowalskiego.

– Przestań go straszyć – warknęła.

Wielkolud wzruszył ramionami.

– Ktoś próbuje nas wymacać – stwierdził Gray.

– To przecież bez sensu – powiedziała matka. – W bezpiecznym domu rozmawiałam z dyrektorem

Crowe'em. Wie, że wpadliśmy w pułapkę, więc dlaczego pozwala na takie kłamstwa?

Do poczekalni weszła Seichan.

– Dlatego, że chce mnie dopaść. Nie zamierza ryzykować, że prześlizgnę im się między palcami.

– Masz rację – przyznał Gray. – Zaciskają pętlę. Musimy się stąd wynosić.

Kowalski podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał przez żaluzje.

– Chyba mamy towarzystwo – mruknął.

Gray podszedł do niego. Przez okno widać było zakręt prowadzący do zatoki dla karetek. Wjechały na niego cztery radiowozy – bez sygnału, ale z obracającymi się kogutami.

– Doktorze Corrin, zrobił pan dla nas bardzo dużo, jednak obawiam się, że muszę poprosić o więcej – powiedział Gray. – Czy mógłby pan zawieźć moich rodziców w bezpieczne miejsce?

– Gray... – zaczęła matka.

– Nie spieraj się ze mną – uciął Gray i znowu popatrzył na lekarza.

Corrin powoli kiwnął głową.

– Jestem właścicielem kilku mieszkań do wynajęcia. Jedno z nich, niedaleko Dupont Circle, jest umeblowane, ale puste. Nikt nie wpadnie na pomysł, aby szukać tam pana rodziców.

Brzmiało to całkiem sensownie.

– Mamo... tato... żadnej komunikacji ze światem zewnętrznym ani używania kart kredytowych – ostrzegł Gray. – Kowalski, mógłbyś się nimi zaopiekować?

Wielkolud wyraźnie oklapł.

– Znowu straż...

Gray otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć, ale ubiegła go matka.

– Potrafimy sami o siebie zadbać – oświadczyła. – A Seichan wciąż jest w kiepskiej formie i może ci się przydać dodatkowa para rąk.

– Osiedle ma całodobową ochronę – dodał szybko doktor Corrin. – Ochroniarzy, kamery, ciche alarmy.

Gray podejrzewał, że chodziło mu nie tyle o bezpieczeństwo jego rodziców, co o to, aby Kowalski nie znalazł się w należącym do niego mieszkaniu. Nawet teraz starał się utrzymać bezpieczny dystans.

Matka miała rację. Przy stanie Seichan siła Kowalskiego mogła im się bardzo przydać. W końcu był mięśniakiem Sigmy i powinien zapracować na swoją pensję.

Olbrzym musiał coś wyczytać w twarzy Graya, bo zatarł dłonie.

– Chyba już czas – powiedział. – No to zaczynajmy. Na początek potrzebujemy broni.

– Nie, na początek potrzebujemy samochodu – odparł Gray i ponownie popatrzył na doktora Corrina.

Doktor wyjął z kieszeni kluczyki.

– Parking dla lekarzy, stanowisko sto czwarte. Białe porsche cayenne.

Najwyraźniej był szczęśliwy, że może pozbyć się nowych znajomych.

Jednak nie wszyscy byli zadowoleni z rozstania. Matka objęła Graya.

– Bądź ostrożny – szepnęła mu do ucha. – I nie ufaj jej do końca.

– Nie martw się – odparł.

– Matki zawsze się martwią.

Gray szepnął jej coś do ucha – było to przeznaczone tylko dla niej. Kiwnęła głową, uścisnęła go po raz ostatni i wypuściła z objęć.

Kiedy odwrócił się do ojca, z zaskoczeniem stwierdził, że starszy pan wyciąga do niego rękę. Uścisnął ją. Żadnych obejmowanek – w końcu obaj byli Teksańczykami. Ojciec popatrzył na Kowalskiego.

– Nie pozwól mu na żadne głupoty – powiedział.

– Zrobię, co się da – odparł Kowalski. – Gotowi?

Kiedy Gray się odwracał, ojciec położył mu dłoń na barku i poklepał go lekko. Było to coś w rodzaju oświadczenia: „Kocham cię”.

Zrobiło mu się cieplej wokół serca.

Godzina 3.49

– W dalszym ciągu nic na temat miejsca pobytu komandora Pierce’a – powiedział Brant przez interkom.

Painter siedział za biurkiem. Brak wiadomości przygnębiał go i jednocześnie uspokajał. Nie miał jednak czasu na samoanalizę, bo Brant dodał:

– Właśnie przyjechał doktor Jennings.

– Przyślij go do mnie.

Doktor Malcolm Jennings, kierownik działu badawczo-rozwojowego, zadzwonił pół godziny wcześniej, chcąc się umówić na spotkanie, ale Painter musiał odmówić z powodu kryzysowej sytuacji w bezpiecznym domu. Nawet teraz mógł mu poświęcić jedynie pięć minut.

Otworzyły się drzwi i wszedł Jennings z uniesioną dłonią.

– Wiem, że jesteś zajęty, ale to nie może czekać.

Painter wskazał mu fotel przed biurkiem.

Były patolog sądowy przysiadł na nim. W ręce trzymał teczkę na dokumenty. Zbliżał się do sześćdziesiątki i pracował dla Sigmy, jeszcze zanim Painter Crowe został dyrektorem. Poprawił okulary o szklach pokrytych błękitną warstewką, chroniącą oczy podczas długotrwałej pracy przy komputerze. Okulary, oliwkowa skóra i siwe włosy nadawały mu szacowny, profesorski wygląd. Teraz jednak cera patologa była poszarzała od nocnej pracy, choć w oczach migotało podniecenie.

– Podejrzewam, że chodzi o dane, które Lisa przesłała z Wyspy Bożego Narodzenia – zaczął Painter.

Jennings kiwnął głową i otworzył teczkę. Podał Painterowi dwa zdjęcia ludzkich nóg, najwyraźniej zaatakowanych przez gangrenę.

– To pacjent, u którego zwykle bakterie skórne nagle się uzłośliwiły i zaczęły pożerać tkankę miękką nóg – wyjaśnił. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Painter przyjrzał się zdjęciom, zanim jednak zdążył zadać pytanie, doktor wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Wiem, że początkowo uznaliśmy kryzys w Indonezji za mało ważny incydent, a celem operacji było jedynie zebranie informacji, ale teraz uważam, że musimy podwyższyć status misji. Przyszedłem osobiście, aby złożyć wniosek o wprowadzenie stanu krytycznego poziomu drugiego.

Painter się wyprostował. Taka klasyfikacja oznaczałaby konieczność skierowania do Indonezji

naprawdę dużych sił.

– Potrzebujemy tam znacznie więcej niż dwóch ludzi – dodał Jennings. – Chcę jak najszybciej mieć na miejscu pełen zespół medycyny sądowej... nawet jeśli musielibyśmy skorzystać z pomocy wojska.

– Nie sądzisz, że to zbyt pochopne? Monk i Lisa powinni znaleźć się w bazie... – Painter popatrzył na zegarek – ...za jakieś trzy godziny. Ustalimy dalszą strategię, kiedy będziemy mieli więcej danych.

Jennings zdjął okulary i potarł oko.

– Chyba się nie rozumiemy, dyrektorze. Jeżeli przypuszczenia toksykologa okażą się słuszne, możemy mieć do czynienia z katastrofą ekologiczną zdolną zmienić biosferę Ziemi.

– Nie przesadzasz przypadkiem, Malcolmie? Mamy dopiero wstępne wyniki. – Painter wskazał na zdjęcia. – To może być jednorazowy toksyczny incydent.

– Nawet gdyby tak było, zaleciłbym zbombardowanie wyspy bombami zapalającymi i otoczenie jej szczelnym kordonem na kilka lat. Jeżeli okaże się, że to zagrożenie jest w jakiś sposób przenoszone, mówimy o globalnej degradacji środowiska naturalnego.

Painter popatrzył na niego uważnie. Jennings nigdy nie podnosił fałszywych alarmów.

– Zestawiłem wszystkie konieczne dane i napisałem streszczenie – kontynuował patolog. – Przeczytaj je i zwróć mi. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej.

Położył teczkę na biurku Paintera, który przyciągnął ją do siebie.

– Przeczytam natychmiast i odezwę się do ciebie w ciągu pół godziny.

Jennings kiwnął głową. Zanim się odwrócił, powiedział jeszcze:

– Pamiętaj o jednym... ciągle nie wiemy, co zabiło dinozaury...

Kiedy wyszedł, Painter wbił wzrok w przerażające zdjęcia. Modlił się, aby Jennings się mylił. W zamieszaniu ostatnich godzin prawie zapomniał o tym, co dzieje się na indonezyjskich wyspach.

Prawie.

Przez całą noc jego myśli krążyły wokół Lisy.

Słowa patologa sprawiły, że jego niepokój wzrósł. Nie mógł jednak pozwolić, aby zaczęły nim rządzić emocje. Lisa nie dzwoniła od wielu godzin – prawdopodobnie nie wydarzyło się nic na tyle ważnego, co wymagałoby alarmowego połączenia.

Mimo to wcisnął klawisz interkomu.

– Brant, mógłbyś zadzwonić do Lisy?

– Już się robi.

Painter otworzył teczkę. Kiedy zaczął czytać, z każdym kolejnym zdaniem po kręgosłupie coraz wyżej wspinał mu się lodowaty palec strachu.

Odezwał się Brant.

– Dyrektorze, włącza się tylko automatyczna sekretarka. Zostawić jakąś wiadomość?

Painter popatrzył na zegarek. Lisa nie spodziewała się telefonu i mogła być zajęta. Mimo to musiał wyjaśnić sytuację.

– Poproś doktor Cummings, aby zadzwoniła do mnie jak najszybciej.

– Tak jest, panie dyrektorze.

– Aha... i połącz się z centralą statku.

Było to paranoidalne. Próbował wrócić do czytania raportu, ale miał problemy z koncentracją.

– Panie dyrektorze... – odezwał się po chwili Brant. – Połączyłem się z operatorem pasma morskiego. Mają problemy z utrzymaniem łączności ze statkiem, sygnał satelitarny zanika. Właśnie pracują nad usunięciem usterek.

Painter kiwnął głową. Nie dziwiło go to – kiedy skierowano *Mistress of the Seas* w stronę wyspy, odbywała dziewiczy rejs, który czasami nazywa się „testem w warunkach rzeczywistych”.

– Nie zgłoszono żadnych innych problemów – zakończył Brant.

Painter westchnął. Chyba naprawdę zżerała go paranoja. Pozwolił, aby uczucia wobec Lisy wpływały na jego ocenę sytuacji. Gdyby chodziło o innego agenta, nie zadzwoniłby.

Wrócił do lektury.

Lisa na pewno jest bezpieczna.

Poza tym był z nią Monk. Zadbaj o nią.

6

Zaraza

Na pokładzie Mistress of the Seas
5 lipca, godzina 15.02 czasu miejscowego

Co się, do cholery, działo?

Lisa wraz z trójką naukowców stała w kabinie prezydenckiej. Lokaj w liberii nalewał whisky single malt do wysmukłych szklaneczek, stojących szeregiem na srebrnej tacy. Lisa natychmiast rozpoznała markę: był to bardzo drogi sześćdziesięcioletni Macallan, ulubiony trunek Paintera.

Dłoń lokaja zadrżała i rozlał kilka kropel whisky.

Powodem tego mogła być obecność dwóch zamaskowanych bandytów z karabinkami szturmowymi w dłoniach. Stali na straży przy drzwiach apartamentu. Naprzeciwko wejścia znajdowały się szerokie drzwi balkonowe i balkon – tak szeroki, że bez trudu można byłoby zaparkować na nim autobus. Patrolował go kolejny zamaskowany bandyta.

Kabinę wyposażono w meble z drewna tekowego, tapicerowane skórą. W wielu miejscach stały wazony z miniaturowymi różami, a z ukrytych głośników dolatywał łagodny szept mozartowskiej sonaty.

Naukowcy skupili się pośrodku pomieszczenia. Gdyby zrobiono zdjęcie, można by je opatrzyć podpisem: *Początek uniwersyteckiego przyjęcia.*

Ale uczestnicy żadnego przyjęcia nie mieliby takich przestraszonych twarzy.

Gdy Lisa i Henri Barnhardt postanowili posłuchać rozkazu – zresztą nie mieli innego wyjścia – i przyszli na mostek, był tam już doktor Lindholm próbujący zatrzymać krwotok ze swojego złamanego nosa. Benjamin Miller, ekspert chorób zakaźnych, przybył wkrótce po nich.

Czekający na mostku przywódca piratów miał budowę linebackera drużyny baseballowej i wielkie dłonie. Jego strój składał się z kurtki mundurowej koloru khaki i wetkniętych w cholewki czarnych butów spodni w kamuflujący wzór. Najwyraźniej nie widział potrzeby maskowania się, bo nie zasłonił twarzy. Krótko obcięte włosy i skóra barwy polerowanego brązu nie były w tych okolicach niczym niezwykłym, ale niezwykły był pokrywający całą lewą stronę twarzy tatuaż, wykonany czarnym i zielonym tuszem. Był to maoryski wzór Moko składający się z zakrętasów i rozchodzących się we wszystkie strony linii.

Kiedy się zebrali, kazał im przejść do najbardziej luksusowej kabiny na statku.

Lisa z przyjemnością opuściła mostek. Musiała się tu odbyć regularna bitwa, bo szyby i wszystkie sprzęty były posiekane pociskami. Po podłodze ciągnęła się szeroka krwawa smuga – pewnie wleczono tędy zakrwawione zwłoki.

W kabinie prezydenckiej okazało się, że oprócz nich w sieć złapała się jeszcze jedna osoba.

Obok lokaja stał Ryder Blunt, właściciel linii wycieczkowej, trzymając tacę z kryształowymi szklaneczkami. Ubrany w dżinsy i koszulkę do rugby wyglądał jak młody, wypłowiały od słońca Sean Connery.

Gdy lokaj skończył nalewać, Ryder podszedł do naukowców i zaczął wręczać im drinki.

– Chyba każdemu z nas przyda się ukryte w macallanie ciepło – powiedział i posłał żarzący się ogryzek cygara. – Choćby dla uspokojenia nerwów. Warto by też przetrzebić trochę najlepsze gatunki, zanim ci dranie znajdą moje zapasy.

Jak większość ludzi Lisa doskonale знаła jego życiorys. Australijczyk miał czterdzieści osiem lat i zbił fortunę podczas boomu w Dolinie Krzemowej, tworząc oprogramowanie szyfrujące do materiałów chronionych przez prawa autorskie. Zyski zainwestował w dochodowe nieruchomości i przedsięwzięcia komercyjne – w tym także w linię wycieczkową. Ten wieczny kawaler znany był z licznych ekstrawagancji i niebezpiecznych wyczynów: pływania wśród rekinów, zjeżdżania na nartach w najdzikszych partiach gór czy skakania ze spadochronem z wieżowców w Kuala Lumpur i Hongkongu. Był także bardzo hojny i wspierał wiele akcji charytatywnych.

Pozwolił również zrobić na swoim statku prowizoryczny szpital. Jednak teraz pewnie bardzo tego żałował.

Zaproponował szklaneczkę whisky Lisie, ale odmówiła.

– Daj spokój, skarbie – zamruczał. – Kto wie, kiedy będziemy mieli następną okazję.

W końcu wzięła od niego drinka – przede wszystkim po to, żeby sobie poszedł. Dym z jego cygara kłuł ją w oczy. Upiła małejki łyżeczek bursztynowego napoju i do jej brzucha spłynęła rozżarzona łagodność, która pomogła jej się uspokoić.

Po rozdaniu szklaneczek miliarder opadł na pobliski fotel, oparł łokcie na kolanach i ssąc cygaro, wpatrywał się wściekłym wzrokiem w strażników.

Stojący obok Lisy Henri pierwszy zadał dręczące ich wszystkich pytanie:

– Czego ci ludzie od nas chcą?

Lindholm pociągnął nosem, który zaczynał już sinieć.

– Jesteśmy zakładnikami – mruknął, zerkając na miliardera.

– Może w przypadku sir Rydera to prawda – zgodził się Henri, używając arystokratycznego tytułu Australijczyka. – Dlaczego jednak my? Wszyscy razem wzięci jesteśmy tyle warci, co jego kieszonkowe.

Lisa machnięciem dłoni odegnała od twarzy dym z cygara.

– Kazali przyjść samym naukowcom. Skąd wiedzieli, kogo wezwać?

– Mogli dostać informacje od załogi – powiedział Lindholm i znowu rzucił spojrzenie Ryderowi. – Któryś z jego ludzi pewnie z nimi współpracował.

Ryder musiał go usłyszeć, bo oświadczył:

– Jeżeli kiedykolwiek się dowiem, kto to taki, zawiśnie na rei.

– Chwileczkę... skoro chcieli zebrać naukowców, dlaczego nie kazali przyjść doktorowi Graffowi? – spytał Miller. Odwrócił się do Lisy. – Ani pani partnerowi, doktorowi Kokkalisowi? Dlaczego wezwali tylko nas?

Upił łyk whisky i zmarszczył nos – alkohol okazał się bardzo mocny. W porównaniu z kolegami Miller był bardzo niski – miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, jednak garbienie się spowodowane ciągłym przesiadywaniem nad mikroskopem sprawiało, że wydawał się jeszcze niższy. Ale jeśli ktoś przyjrzał mu się uważnie i zauważył jego gęste kasztanowe włosy i zielone oczy, musiał dojść do wniosku, że wcale nie jest nieatrakcyjny.

– Doktor Miller ma rację – przyznał Henri. – Dlaczego ich nie wezwano?

– Być może dranie wiedzą, że nie ma ich na pokładzie – mruknął Lindholm.

– A może też zostali złapani? – zasugerował Miller, spoglądając przepraszająco na Lisę. – Albo zginęli?

Lisa miała nadzieję, że Monkowi udało się uniknąć pułapki i wzywał teraz pomoc, wołała jednak za bardzo na to nie liczyć. Był spóźniony, jeszcze zanim statek został zaatakowany.

Henri pokręcił głową i jednym haustem wypił swoją whisky.

– Spekulacje na temat losu naszych kolegów nie mają sensu. Ale jeśli porywacze wiedzą, że Monk i Graff są w terenie, prawdopodobnie nie chodzi im tylko o wzięcie zakładników.

– Więc w takim razie o co? – spytał Miller.

Łoskot łopat zbliżającego się helikoptera skierował uwagę wszystkich na otwarte drzwi balkonowe. Maszyna robiła o wiele więcej hałasu niż mały eurocopter, który podczas bitwy o statek wspierał napastników z powietrza. Cała grupa przysunęła się do

drzwi. Ryder wypuścił z płuc wielki kłęb dymu i dołączył do naukowców.

Od morza wiała świeża bryza, przynosząc zapach soli i odrobinę chemicznej goryczy – pochodzącej albo od trucizny, zawartej w toksycznej chmurze, albo od palącej się ropy. Nieopodal unosił się na wodzie zniszczony przez raketę, na wpół zatopiony i cały czas dymiący kuter australijskiej straży przybrzeżnej. Z góry spłynął szary helikopter z wirnikami z przodu i z tyłu. Opadł niemal nad samą wodę, rozgarniając gromadzący się nad nią dym, ruszył w stronę palącego się w kilku miejscach miasteczka, po czym skręcił i przeleciał wzdłuż niego. Jego pasażerowie najwyraźniej byli zadowoleni z tego, co ujrzeli. Po chwili wrócił, wzniósł się i zniknął naukowcom z oczu. Sądząc po odgłosach, wylądował na górnym pokładzie.

Łoskot obracających się łopat zaczął cichnąć.

Lisa poczuła drganie, podłoga pod jej stopami zawibrowała.

– Płyniemy – oświadczył Henri.

Ryder zaklął, nie wyjmując cygara z ust.

Bardzo powoli, niepostrzeżenie jak ruch wskazówek zegara, widok miasteczka zaczął się zmieniać.

– Zabierają statek na morze – stwierdził Miller.

Lindholm przycisnął pięść do piersi.

Lisa poczuła, że ogarnia ją strach. Świadomość bliskości lądu dawała jakie takie poczucie bezpieczeństwa, a teraz zabrano im nawet to. Ale niedługo na pewno coś przecieknie na zewnątrz i wyślą kogoś, by zbadał sytuację. Za trzy godziny miała zadzwonić do Painterera, więc jeżeli nie zgłosi się na czas...

Po kilku minutach wielki statek zaczął oddalać się od wyspy.

Lisa popatrzyła na zegarek, a potem na Rydera.

– Panie Blunt, jak szybko pana statek może płynąć?

Blunt zdusił niedopałek w popielniczce.

– Rekord średniej prędkości pokonywania Atlantyku w rywalizacji Halesa ustanowiony w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku wynosi czterdzieści jeden i trzy dziesiąte węzła.

– A ile może osiągnąć *Mistress*?

Ryder poklepał ścianę.

– To duma floty. Silniki niemieckiej konstrukcji, budowa jednokadłubowa. Czterdzieści siedem węzłów.

Lisa szybko obliczyła to w myślach. Jeżeli nie zadzwoni za trzy godziny, kiedy Painter zacznie się niepokoić? Za cztery, pięć godzin? Pokręciła głową. Prawdopodobnie nie będzie czekał ani minuty dłużej.

– Trzy godziny... – mruknęła pod nosem i znów zwróciła się do właściciela statku: – Jest tu jakaś mapa?

Ryder wskazał ręką przed siebie i ruszył w tamtym kierunku.

– Globus. W bibliotece.

Zaprowadził Lisę do zastawionej tekowymi regałami wnęki, pośrodku której stał drewniany globus. Obróciła go.

– Za trzy godziny zgubimy się między wyspami indonezyjskimi – stwierdziła.

Cały ten region zdominowany przez dwie największe wyspy Jawę i Sumatrę to labirynt niewielkich atoli i wysepek. Jest ich ponad osiemnaście tysięcy i są rozproszone na obszarze zbliżonym wielkością do Stanów Zjednoczonych. Poza Dżakartą i Singapurem

średni poziom technologiczny nie sięga tu zbyt daleko poza okres kamienia łupanego. Na wielu wyspach praktykuje się kanibalizm. Jest tu mnóstwo miejsc, w których doskonale można ukryć pasażerski liniowiec.

– Chyba nie wierzą, że uda im się ukraść statek... – mruknął Lindholm, który również przyczłapał do biblioteki. – Przecież mamy satelity nadzorujące! Nie da się ukryć czegoś tej wielkości!

– Nie wolno panu nie doceniać naszych porywaczy – powiedział Henri. – Najpierw ktoś musi wpaść na pomysł, że powinien nas szukać.

Szybkość i perfekcyjna organizacja ataku oraz współpraca członków załogi z porywaczami świadczyły o tym, że akcja musiała być przygotowywana od tygodni. Ktoś doskonale wiedział, co wydarzy się na Wyspie Bożego Narodzenia. Niezidentyfikowany mężczyzna zaatakowany przez zjadającą ciało bakterię został znaleziony na wyspie pięć tygodni temu.

Czyżby porywacze o tym wiedzieli?

Wszyscy gwałtownie się odwrócili, bo przy drzwiach wejściowych zrobiło się zamieszanie. Do kabiny weszło dwóch mężczyzn – pierwszy siedł przywódca piratów z wytatuowaną twarzą.

Kiedy podeszli bliżej, drugi z przybyszy wystąpił do przodu. Zdjął panamę z szerokim rondem i podał ją do tej pory niewidocznej kobiecie, która wysunęła się zza wytatuowanego pirata. Był ubrany jak na garden party – w elegancki luźny lniany garnitur – a w ręce trzymał laseczkę. Miał dość ekstrawagancką fryzurę – jego włosy sięgały do kołnierzyka koszuli. Smagła cera i blisko osadzone oczy wskazywały, że jest Hindusem albo Pakistańczykiem.

Podszedł do naukowców, postukując laską, choć było oczywiste, że używa jej nie z potrzeby, ale na pokaz. Jego oczy błyszczały fałszywą wesołością.

– *Namaste* – przywitał się w języku hindi i kiwnął głową. – Dziękuję państwu za przybycie na spotkanie. Sir Ryder, doceniam pańską gościnność i możliwość wykorzystania pańskiego statku. Zrobimy wszystko, aby zwrócić go panu w takim samym stanie, w jakim go przejęliśmy.

Ryder nic na to nie odpowiedział.

Przybysz zwrócił się do naukowców:

– To dla nas wielki zaszczyt mieć do czynienia z tak znakomitymi specjalistami ze Światowej Organizacji Zdrowia – powiedział, po czym popatrzył na Lisę. – Nie zapominajmy też o kolegach zajmujących się tajnymi operacjami... Oddział Sigma, prawda?

Zdumienie odebrało Lisie mowę. Skąd ten człowiek...

Mężczyzna skłonił jej się lekko.

– Przykro mi, że pani partner nie może do nas dołączyć, ale chyba miał nieszczęśliwy wypadek... chodzi o tutejsze kraby. Nie znamy jednak szczegółów, bo również straciliśmy kilku ludzi. Tylko jednemu udało się wrócić.

Lisa poczuła, że ogarnia ją przerażenie, ale dłoń Rydera Blunta uspokajająco dotknęła jej ramienia. Miliarder popatrzył twardo w oczy przybysza.

– A kim pan, do cholery, jest? – zapytał.

– Oczywiście... przepraszam. Doktor Devesh Patanjali, kierownik biura nowych nabytków biotechnologicznych. Gildia.

Lisa pamiętała, co Painter opowiadał jej o tej organizacji i krwawym śladzie, jaki zawsze za sobą

pozostawiała.

Patanjali stuknął laską w podłogę, jakby zamykał rozmowę.

– Obawiam się, że nie stać nas na marnotrawstwo czasu i przedstawianie się. Przed jutrzejszym wpłynięciem do portu mamy jeszcze mnóstwo pracy.

– Jakiej pracy? – zapytała Lisa.

– Moja droga, musimy wspólnie uratować świat.

Godzina 15.45

Monk jedną ręką zatkał usta mężczyzny, a palce drugiej, protetycznej, dłoni zacisnął na jego gardle tuż pod linią dolnej szczęki, blokując dopływ krwi do mózgu. Jeniec próbował walczyć, ale mechaniczne palce były tak silne, że mogłyby łupać orzechy. Monk zaczekał, aż pirat przestanie wierzgać nogami, po czym zaciągnął ciało do schowka na szczytce.

Natychmiast wyczuł wibrowanie pod stopami i usłyszał basowy pomruk maszyn. Odetchnął z ulgą – udało mu się na czas dostać na pokład.

Po wybuchu skutera wodnego zdjął butle i pozwolił im opaść na dno, a na statek wspiął się po łańcuchu kotwicy rzuconej od strony morza. Ponieważ uwaga napastników skierowana była na wyspę, tego miejsca słabo strzeżono. Z łańcucha wskoczył do szalupy ratunkowej, a stamtąd dostał się na pokład promenadowy.

Ukrył się w schowku i czekał na pojawienie się pierwszego pirata. Mężczyzna był uzbrojony w karabinek szturmowy Heckler & Koch. Po unieszkodliwieniu go Monk zdjął swój skafander nurkowy i szybko rozebrał bandytę. Luźne spodnie i koszula pasowały jako tako, ale buty były zdecydowanie za małe.

Musiał iść dalej boso. Na szczęście nie z gołymi rękami.

Ciężar karabinka pomagał mu się skoncentrować.

Przed wyjściem na korytarz zasłonił twarz chustą, podobnie jak inni piraci. Znał plan statku, dokładnie go sobie wbił w głowę podczas lotu ze Stanów. Ruszył przejściem biegnącym wzdłuż sterburty. Kiedy przy schodach napotkał kolejnych dwóch piratów, przepchnął się przez nich bez słowa, udając, że się spieszy.

Jeden z piratów zaczął wrzeszczeć i choć Monk nic nie rozumiał, domyślił się, że obrzucono go wyzwiskami. Uniósł rękę na znak, że usłyszał, ale nie zwolnił kroku.

On i Lisa dostali sąsiadujące ze sobą kabiny właśnie w tym korytarzu i to tu zamierzał rozpocząć poszukiwania partnerki. Po drodze natknął się na dwa ciała – obie ofiary zabito strzałami w plecy i pozostawiono tam, gdzie upadły.

Zaczął liczyć drzwi kabin. Zza jednych doleciał płacz, lecz Monk się nie zatrzymał.

Przekręcił gałkę w drzwiach swojej kabiny. Zamknięte. Nie miał karty do zamka, więc przesunął się pod drzwi kabiny Lisy. I tym razem gałka nie dała się przekręcić, jednak za drzwiami ktoś się poruszył.

Dzięki Bogu, Lisa była w środku...

Zastukał lekko w drzwi i przysunął do nich usta.

– Liso... to ja...

Kiedy wizjer w drzwiach pociemniał, Monk zsunął z twarzy chustę i pokazał twarz. Po chwili zachrobotał łańcuch i rygiel odskoczył.

Monk zaciągnął maskę i rozejrzał się po korytarzu.

– Pospiesz się... – wyszeptał.

Drzwi otworzyły się szeroko.

– Liso, musimy... – zaczął Monk, jednocześnie robiąc krok do środka.

Natychmiast dostrzegł pomyłkę i poderwał broń.

Za drzwiami kabiny kucał młody mężczyzna.

– Proszę nie strzelać...

Nie opuszczając broni, Monk rozejrzał się po kabynie. Ktoś ją dokładnie przetrząsnął – wszystkie szuflady były powyciągane, ich zawartość wyrzucono na podłogę, szafy również zostały opróżnione. Ale uwagę Monka przyciągnęło co innego: leżące na łóżku zwłoki. Jeden z piratów. Sądząc po wielkiej plamie krwi wokół głowy, poderżnięto mu gardło.

Monk odwrócił się do młodego człowieka.

– Kim jesteś?

– Szukałem doktor Cummings.

Był to pielęgniarz, który pomagał Lisie.

– Mam na imię Jesspal, proszę pana... Jessie – wymamrotał chłopak.

Monk opuścił broń i wszedł do kabiny.

– Gdzie Lisa?

– Nie mam pojęcia. Byłem właśnie na oddziale selekcji pacjentów – wyjaśnił młodzieniec, dygocząc na całym ciele. – Usłyszałem wybuchy i... czterech członków załogi otworzyło ogień w szpitalu. Zacząłem

uciekać. Doktor Cummings poszła porozmawiać z toksykologiem. Modliłem się do Wisznu, aby udało jej się cało wrócić do kabiny. – Popatrzył na trupa i szybko odwrócił wzrok. – Doktor Cummings zostawiła na oddziale swoją torbę. Wziąłem ją i znalazłem w środku klucz. Ten człowiek tu czekał i kiedy zobaczył, że to nie ona, wściekł się. Kazał mi uklęknąć na podłodze. Miał radio – dodał Jessie i wskazał leżący na podłodze aparat.

– Co się stało z jego szyją?

– Nie mogłem pozwolić, aby powiedział o mnie innym, a doktor Cummings miała w torbie nie tylko klucz do drzwi... – Chłopak wyciągnął zza pasa duży skalpel. – Musiałem...

Monk ścisnął go lekko za ramię.

– Dobrze zrobiłeś, Jessie.

Młody człowiek opadł na drugie łóżko.

– Słyszałem ich komunikat, nadawany przez pokładowy system nagłaśniający. Wzywali lekarzy, w tym także doktor Cummings.

– Gdzie mieli przyjść?

– Na mostek.

– Powtarzali to polecenie?

Jessie przez chwilę patrzył na niego, jakby nie zrozumiał pytania, po czym powoli pokręcił głową.

Oznaczało to, że Lisa musiała od razu pójść na mostek.

Cóż, przynajmniej wiedział już, gdzie powinien jej szukać.

Podszedł do drzwi łączących oba pomieszczenia. Były uchylone. Jeden rzut okiem wystarczył – jego kabina była w podobnym stanie jak kabina Lisy. Zabrano mu też cały sprzęt – z telefonem satelitarnym włącznie.

Obejrzał martwego pirata i z zaskoczeniem stwierdził, że zabity ma ciemną skórę jedynie na twarzy i dłoniach. Reszta była blada, pokryta nielicznymi piegami. A więc nie wyspiarz, lecz najemnik.

Co tu się działo?

Wrócił do swojej kabiny i włożył buty.

– Nie możemy tutaj zostać. Lada chwila ktoś przyjdzie sprawdzić, co się dzieje z naszą Śpiącą Królewną. Musisz ukryć się gdzieś indziej.

– A co pan będzie robił?

– Idę szukać Lisy.

– Pójdę razem z panem – oświadczył Jessie.

Naciągnął na głowę koszulę, najwyraźniej próbując zamaskować nią twarz. Był chudy jak szczapa, ale musiał mieć też mięśnie – w końcu unieszkodliwił dwa razy większego od siebie bandziora.

– Wolę działać sam – odparł Monk.

Jessie wymamrotał coś pod nosem, ale koszula na głowie nie pozwalała go zrozumieć.

– Co mówisz?

– Znam dżiu-dżitsu i karate. Mam czarny pas w każdej z tych sztuk walki.

– Nie interesuje mnie to. Nigdzie nie idziesz.

Pukanie do drzwi sprawiło, że zastygli w bezruchu. Ktoś krzyknął po malajsku, najwyraźniej było to jakieś pytanie. Monk nie rozumiał ani słowa. Uniósł broń – zdecydowanie wolał ten sposób komunikacji z bandytami.

Jessie przesunął się obok, pchnął lufę karabinka Monka w dół i odkrzyknął coś po malajsku. Po krótkiej wymianie zdań przybysz odszedł, najwyraźniej uspokojony.

Pielęgniarz zawadiacko uniósł jedną brew i popatrzył na swojego towarzysza.

– Niech ci będzie, może się jednak przydasz – mruknął Monk.

Godzina 16.20

Uwięzieni naukowcy i Ryder Blunt zostali zaprowadzeni pod bronią na przedni pokład. Wielki helikopter przywiązano do pokładu, jego luki bagażowe były otwarte, a wokół panowała gorączkowa aktywność. Mężczyźni wyładowywali z maszyny ciężkie skrzynie.

Były na nich nazwy różnych firm: SYNBIOTIC, WELCH SCIENTIFIC, GENECORP. Na jednej ze skrzyń namalowano amerykańską flagę z napisem: USAMRIID. Amerykański Wojskowy Instytut Badań Chorób Zakaźnych.

Musiał się w nich znajdować sprzęt medyczny.

Wielkie paki po kolei znikwały w windzie bagażowej.

Lisa spojrzała na Henriego Barnhardta. Toksykolog również dostrzegł napisy na skrzyniach i w zamyśleniu drapał się po brodzie. Wokół jego ust pojawiły się głębokie zmarszczki. Miller i Lindholm mieli szklisty wzrok, a Ryder Blunt próbował w silnych powiewach wiatru zapalić kolejne cygaro.

Stojący pod obracającymi się powoli łopatami wirnika doktor Devesh Patanjali osobiście doglądał rozładunku. Kazał naukowcom przyjść na górę, ale nawet jednym słowem nie nawiązał do swojego

wcześniejszego tajemniczego stwierdzenia, że muszą uratować świat.

Maoryski przywódca piratów stał z boku, trzymając dłoń na tkwiącym w kaburze rewolwerze dużego kalibru. Mrużył oczy i obserwował wszystko jak lustrujący miejsce ostrzału snajper. Było jasne, że niewiele rzeczy mu umknie.

Lisa zastanawiała się, kim jest kobieta towarzysząca doktorowi Patanjali. Miała nieprzeniknioną minę i zdecydowanie była osobą, której Maorys poświęcał najwięcej uwagi.

Kiedy doktor Patanjali wychodził z kabiny prezydenckiej, zwrócił się do niej po imieniu – Surina – muskając przy tym jej policzek ustami. Wygląd kobiety sugerował, że w jej żyłach płynie hinduska krew, a wrażenie to potęgowało jeszcze sari z matowego pomarańczoworóżowego jedwabiu, na które spływał długi warkocz. Po rozpleceniu włosy musiały sięgać ziemi. Jej skóra barwy polerowanego teku była znacznie jaśniejsza niż skóra Patanjalego, co mogło świadczyć o tym, że wśród jej przodków był przedstawiciel rasy białej, ale zaznaczyła swoje hinduskie pochodzenie tradycyjnym *bindi* – ciemnoczerwoną kropką na czole.

Nie wiadomo, czy była siostrą, żoną, czy jedynie towarzyszką Patanjalego. W jej milczeniu czaiło się coś groźnego, podkreślanego jeszcze przez chłód w oczach. Na lewej ręce miała obcisłą czarną rękawiczkę i z daleka jej ramię wyglądało, jakby zanurzono je w czarnym atramencie.

Lisa odwróciła się i popatrzyła przez okno na oddalającą się Wyspę Bożego Narodzenia. Choć płynęli dopiero od kilkunastu minut, wyspa skurczyła się do

zamglonego zielonego konturu, znad którego w niebo wzbijało się pasmo ciemnego dymu. Ale kto je zobaczy? Może jednak, jeżeli ani ona, ani Monk nie zadzwonią, Painter zacznie coś podejrzewać. Jedyne, w czym mogła pokładać nadzieję, to w jego paranoi.

Na szczęście w przypadku Paintera stawianie na paranoję było obstawianiem pewniaka.

Kiedy windy towarowe ruszyły, powiało mocniej. W strumieniu powietrza nad statkiem zebrały się mewy. Gdyby mogła odlecieć tak jak one...

Od strony helikoptera dobiegł krzyk, który sprawił, że oczy wszystkich skierowały się w jego kierunku.

Dwóch mężczyzn w chirurgicznych kitlach wyciągało z tylnej ładowni nosze z leżącym na nich człowiekiem. Doktor Patanjali stał tuż obok, osobiście sprawdzając, czy pacjent jest dobrze przywiązany. Wokół szczelnie zamkniętego namiotu tlenowego umieszczono urządzenia nadzorujące funkcje życiowe. Choć twarz pacjenta była zasłonięta maską tlenową i płataniną rurek, coś w jego sposobie oddychania nasuwało myśl, że jest to kobieta.

Patanjali uniósł laseczkę i sanitariusze popchnęli nosze w kierunku wind, a on sam podszedł do więźniów.

– W ciągu godziny uruchomimy wszystkie laboratoria i gabinety medyczne. Na szczęście doktor Cummings i jej partner zechcieli przywieźć ze sobą kilka instrumentów, których nie mamy. Kto mógłby przypuszczać, że dział badawczo-rozwojowy Departamentu Obrony udoskonalił przenośny mikroskop elektronowy? A także sprzęt do elektroforezy i sekwencer białka? Cóż za szczęśliwy traf, że wszystko to wpadło nam w ręce... – Stuknęła laską i ruszył przed

siebie. – Idziemy. Pokażę wam prawdziwe oblicze tego, co nas atakuje.

Lisie nie potrzeba było innej zachęty, aby za nim poszła. Chciała się dowiedzieć, o co tu tak naprawdę chodzi, i zrozumieć, co kryło się za tajemniczymi słowami Patanjalego: „Moja droga, musimy wspólnie uratować świat”.

Sprowadzono ich trzy pokłady niżej. Po drodze widzieli ludzi w kombinezonach antykontaminacyjnych, poruszających się w chmurach środków dezynfekujących.

Patanjali szedł w kierunku dziobu. Korytarz kończył się dużym kolistym pomieszczeniem, z którego wchodziło się do najdroższych kabin. W jednej z nich znajdowała się część laboratorium medycyny sądowej Monka. Z jakiegoś powodu Patanjali właśnie tu kazał umieścić przywieziony przez helikopter sprzęt.

Wszedł pod zasłonę i dał ręką znak, aby weszli za nim.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył.

Grupa mężczyzn otwierała skrzynie i wyjmowała z nich zabezpieczony słomą i styropianem sprzęt. Jeden z nich rozpakowywał szalki Petriego do wykonywania posiewów. Drzwi laboratorium Monka były otwarte – znajdujący się w środku mężczyzna trzymał w dłoniach podkładkę i najwyraźniej inwentaryzował sprzęt Sigmy.

Patanjali przesunął kartę magnetyczną przez czytnik drzwi znajdującej się obok kabiny i pchnął je.

– Rakao, każ zaprowadzić doktora Millera do pracowni bakteriologicznej – powiedział do maoryskiego pirata. – Doktorze, pozwoliliśmy sobie rozbudować pańską pracownię. Wstawiliśmy nowe

komory inkubacyjne, podłoża anaerobowe i płytki do kultur krwi. Proszę skontaktować się z moją wirolog, doktor Eloise Chénier, i doposażyć laboratorium chorób zakaźnych. Znajdzie ją pan nieco dalej w głębi korytarza.

Maorys dał znak jednemu ze swoich ludzi, żeby odeskortował doktora Millera. Bakteriolog zawahał się i popatrzył na swoich towarzyszy niedoli, ale wciśnięta w plecy lufa odebrała mu chęć do dyskusji.

Kiedy odszedł, Patanjali znowu spojrzał na Maorysa.

– Rakao, mógłbyś zaprowadzić sir Rydera i doktora Lindholma do centrali radiowej? Zaraz do was dołączymy.

– Panie doktorze... – zaczął wytatuowany pirat, któremu najwyraźniej nie spodobało się to polecenie.

– Nic nam się nie stanie – uciął Patanjali, po czym przytrzymał otwarte drzwi kabiny i skinął głową młodej Hindusce, aby weszła do środka. – Sądzę, że doktor Cummings i doktor Barnhardt chętnie wysłuchają, co mam do powiedzenia. Poza tym będzie ze mną Surina.

Lisę i Henriego wepchnięto do kabiny.

Patanjali wszedł za nimi, ale zanim zamknął drzwi, zwrócił się jeszcze raz do maoryskiego pirata:

– Zbierz dzieci. Te, które wybrałem.

Zamknął drzwi, jednak Lisa zdążyła zauważyć, że twarz Maorysa pociemniała, a przypominające mapę nieznanego lądu tatuaże na twarzy poczerniały.

Patanjali podszedł do dwóch zestawionych ze sobą biurków. Stały na nich trzy monitory ciekłokrystaliczne, podłączone do dwóch komputerów. Poza biurkiem i komputerami nie dodano nic więcej do wyposażenia kabiny składającego się z kilku wygodnych kanap,

zwróconych w stronę balkonowych drzwi i zacienionego patio.

Surina podeszła do jednej z nich i przysiadła na podłokietniku. Choć w jej zachowaniu była unizona skromność, w skupionym wzroku i perfekcji ruchów czuć było siłę i groźbę – poza tym przy kostkach nóg miała umocowane dwa sztylety, których rękojeści odsłoniły się, kiedy siadała.

Lisa odwróciła głowę. Przez otwarte drzwi można było zajrzeć do sypialni. Przy łóżku stały dwa wielkie kufry. Musiała to być kabina Devesha Patanjalego. Dlaczego ich tu przyprowadził?

Naciskając kilka klawiszy, Patanjali włączył komputery. Monitory rozjaśniły mroczne pomieszczenie.

– Doktorze Barnhardt... Henri, tak?

Toksykolog bez słowa wzruszył ramionami.

– Henri... muszę pogratulować ci prawidłowej oceny zagrożenia kryjącego się w toksycznej chmurze. W dodatku dokonałeś tego w ciągu niecałej doby, podczas gdy naszym naukowcom zajęło to tygodnie.

Lisa poczuła, że robi się jej zimno. Tygodnie. A więc ci ludzie zdawali sobie sprawę z grożącego wyspie niebezpieczeństwa na długo przed wybuchem kryzysu.

Jaki to miało związek z Gildią?

– Oczywiście nie do końca pochwalamy alarm, który podniosłeś, ostrzegając Waszyngton. Zmusiło to nas do paru improwizacji, na przykład do wykorzystania waszej wiedzy medycznej i połączenia jej z moimi zasobami, ale teraz to nieważne. Jeżeli chcemy osiągnąć sukces, musimy działać bardzo szybko.

– Jaki sukces? – spytała Lisa.

– Pozwól, że ci to pokażę, moja droga... – Patanjali poklepał oparcie jednego z krzeseł, zapraszając ją, aby usiadła.

Lisa nie skorzystała z zaproszenia, jednak zajęty klawiaturą doktor chyba nawet tego nie zauważył. Na środkowym monitorze pojawiły się poskręcane łańcuchy pałeczek.

– Co wiesz o wągliku? – spytał Patanjali.

– *Bacillus anthracis* – odpowiedział zamiast Lisy Henri. – Zazwyczaj zaraża przeżuwacze. Krowy, kozy, owce. Ale może też zarażać ludzi. Często ze skutkiem śmiertelnym.

Była to kliniczna, pozbawiona emocji ocena, jednak toksykolog był wyraźnie spięty.

Patanjali kiwnął głową.

– Gatunki *Bacillus* można znaleźć na całym świecie w glebie. W większości są niegroźne. Tutaj też mamy taki dobrotliwy organizm, *Bacillus cereus*.

Obraz na ekranie się zmienił. Widać było na nim teraz pojedynczą bakterię. DNA pałeczki o cienkiej błonie zewnętrznej zostało zabarwione, dzięki czemu było dobrze widoczne.

– Podobnie jak wiele innych przedstawicieli tego gatunku, można to maleństwo znaleźć w ogródkach na całym świecie. Odżywia się zawartymi w glebie mikroorganizmami i nie szkodzi niczemu większemu od ameby. Ale jego brat, *Bacillus anthracis*... – Patanjali kliknął i obok pierwszego zdjęcia pojawiło się drugie. Obydwa organizmy wyglądały identycznie. – ...to wąglik, jedna z najbardziej śmiertelnych bakterii na naszej planecie. Ma taki sam kod genetyczny jak jej pokojowo nastawiony, żyjący w przydomowych ogródkach brat. –

Patanjali postukał w obraz DNA obu komórek. – Są niemal identyczne, więc dlaczego jedna zabija, a druga jest nieszkodliwa?

Popatrzył przez ramię na naukowców.

Lisa pokręciła głową. Henri również się nie odzywał.

Patanjali kiwnął głową, jakby ich powściągliwość mu się podobała. Postukał w klawisz i bakteria wąglika na ekranie znacznie się powiększyła. W cytoplazmie komórki, oddzielone od głównego splotu DNA, pływały dwie idealnie okrągłe cząstki materiału genetycznego, przypominające wpatrujące się w nich oczy.

– Plazmidy... – mruknął Henri.

Lisa musiała głęboko sięgnąć w zakamarki pamięci. Plazmidy to kółeczka zamknięte cząsteczki DNA znajdujące się w komórce, zdolne do niezależnej replikacji. Występują jedynie w bakteriach i ich rola nie jest dobrze poznana.

– To plazmidy pX zero jeden oraz pX zero dwa, które zamieniają zwykłe gatunki *Bacillus* w morderców – kontynuował Patanjali. – Ale wystarczy je usunąć i wąglik zamieni się w niewinny organizm żyjący w ogródku. Umieszczenie tych plazmidów w dowolnym przedstawicielu *Bacillus* przemienia drobnoustrój w zabójcę.

Odwrócił się i popatrzył na więźniów.

– Tak więc najważniejsze pytanie brzmi: skąd w niewinnych bakteriach wzięły się te śmiercionośne cząsteczki?

– Czy bakterie nie mogą się dzielić plazmidami z innymi bakteriami? – spytała Lisa.

– Mogą, ale moje pytanie dotyczy czegoś innego: w jaki sposób po raz pierwszy dostały się do nich obce

fragmenty materiału genetycznego? I jakie jest ich źródło?

Henri przysunął się do ekranu.

– Pochodzenie plazmidów wciąż pozostaje tajemnicą, choć obecnie uważa się, że zostały przejęte od wirusów – powiedział. – Dokładniej mówiąc, od bakteriofagów, grupy wirusów, która zaraża jedynie bakterie.

– Otóż to! – Patanjali ponownie odwrócił się do ekranu. – Według jednej z teorii wirusowy bakteriofag zakaził kiedyś, w odległej przeszłości, nieszkodliwego *Bacillus* tą śmiertelnoścą parą plazmidów, tworząc w biosferze nowego potwora i zamieniając niewinny ogrodowy drobnoustrój w mordercę. – Stuknął kilka razy w klawisze i ekran poczerniał. – A wąglik wcale nie jest jedyną w ten sposób zarażoną bakterią. Bakteria powodująca dżumę, *Yersinia pestis*, to też przykład działania plazmidów.

Lisie robiło się na przemian zimno i gorąco. Wszystko to ściśle wiązało się z pacjentami, których ostatnio widziała i o których słyszała. Z dziewczynką mającą ataki epilepsji od bakterii octowej, z kobietą, która od bakterii jogurtowej dostała biegunki o gwałtownym przebiegu, oraz z mężczyzną, któremu bakterie skórne zjadały mięśnie nóg.

– Chce pan powiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z podobnym procesem? – spytała.

Patanjali kiwnął głową.

– Cóż... myślę, że tak. Coś wydobyło się z głębin oceanów, coś mającego zdolność przemienienia każdej bakterii w śmiertelnoścą broń.

Lisa przypomniała sobie swoją wcześniejszą rozmowę z Henrim, podczas której stwierdził, że

dziewięćdziesiąt procent komórek ludzkiego ciała składa się z bakterii. Gdyby te organizmy obróciły się przeciwko człowiekowi...

– Badając wąglika i inne toksyczne bakterie, mikrobiologowie doszli do wniosku, że musiał istnieć jakiś starożytny szczep wirusa, który wytworzył najwcześniejszych przodków wąglika i innych chorób zakaźnych. Nadali nawet temu zmieniającemu przyjaciela we wroga wirusowi nazwę: wirus Judasza – powiedział Patanjali.

– Coś mi mówi, że izolowaliście czynnik przyczynowy – mruknął Henri. – Inaczej by was tu nie było, prawda?

– Ma pan rację – przyznał Patanjali.

Nacisnął dwa klawisze i bakterie zniknęły z ekranu. Zastąpił je wirujący obiekt w różnych odcieniach srebra, mający kształt dwudziestościanu. Z każdego styku jego płaskich powierzchni wystawały cienkie wypustki z kolcami na końcu.

W akademii medycznej Lisa widziała wiele podobnych organizmów.

Wirus.

– Odkryliśmy go w próbce cyjanobakterii toksycznego przyływu – dodał Patanjali. – Zamieniał niewinne fosforyzujące bakterie morskie w straszliwych, plujących trucizną zabójców. Niesiony wiatrem, rozprzestrzenił się na wyspie i zaczął zamieniać żyjące na niej bakterie w potwory.

– A teraz to samo dzieje się z organizmami ludzi – powiedział Henri. – Ten wirus sprawia, że ich ciała zwracają się przeciwko nim samym.

Patanjali kiwnął głową i postukał palcem w ekran.

– Ten mikroorganizm potrafi przemieszczać się w biosferze planety i zamieniać neutralne bakterie w śmiertelne, niszczące życie potwory. To bomba neutronowa matki natury, wirusowa eksplozja mogąca zmieść wszystkie wyższe formy życia z powierzchni Ziemi, zastępując je toksyczną zupą, składającą się ze śmiertelnego bakteryjnego śluzu.

– A gdyby się rozprzestrzenił... – Henri zbladł – ...nie moglibyśmy go powstrzymać.

Patanjali wziął do ręki laseczkę.

– Być może. Niestety, dopiero zaczęliśmy analizować ten drobnoustrój. Ale dobra wiadomość jest taka, że nie atakuje komórek ludzkich, jedynie bakterie, stanowi więc dla nas niewielkie zagrożenie. Atakuje komórkę bakteryjną, wykorzystuje ją do zreplikowania się i pozostawia w niej toksyczne plazmidy. Poza komórką jest nietrwały, można go bez większego trudu zabić powszechnie używanymi środkami dezynfekującymi i chronić się przed nim, stosując podstawowe zasady higieny.

Lisa przypomniała sobie ludzi chodzących po statku w chmurach środków dezynfekujących. Odkazali statek.

– Niestety, pozostawia po sobie zabójcę: śmiertelną bakterię, która dzieli się i mnoży, a każda jest nowym potworem dodanym do świata mikroobów i skaża biosferę.

Henri pokręcił głową.

– Jeżeli ten wirus przedostanie się do biosfery... zaatakują nas tysiące różnych chorób. Świat jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widział...

– Sądzymy, że nie jest to pierwszy atak wirusa Judasza – odparł Patanjali. – Istnieją historyczne

doniesienia o podobnej zarazie w tym regionie. Było to ponad tysiąc lat temu. Opowieściom o tej zarazie towarzyszyły dziwne i niepokojące opisy...

– O jakich historycznych doniesieniach pan mówi? – spytała Lisa.

Patanjali zbył jej pytanie machnięciem ręki.

– Nieważne. Naszą misją nie są sprawy dotyczące przeszłości, ale teraźniejszości. Moi pracownicy zorganizowali ewakuację wyspy i przenieśli chorych na statek. Mamy tu rzadką okazję zbadania, jak ta choroba się rozwija, przeanalizowania jej epidemiologii, patologii i skutków fizjologicznych. No i mamy mnóstwo obiektów eksperymentalnych...

Lisa cofnęła się z obrzydzeniem.

Patanjali oparł się na swojej laseczce.

– Rozumiem pani niesmak, doktor Cummings, ale Gildia musiała zacząć działać. Wobec ataku tak złośliwego mikroorganizmu nie mogliśmy sobie pozwolić na załamywanie rąk. Na tak gwałtowny szturm nie wolno reagować w politycznie poprawny sposób, trzeba podejmować twarde decyzje. Czyż w Tuskegee wasz rząd nie pozwalał ludziom zarażonym syfilisem umierać, podczas gdy naukowcy beznamiętnie rejestrowali objawy choroby? Jeśli chcemy przeżyć ten atak, musimy być tak samo zimni i brutalni. Proszę mi uwierzyć: to walka o przetrwanie rasy ludzkiej.

Lisa nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Milczenie, które zapadło po tych słowach, przerwał w końcu Henri.

– On ma rację – powiedział. – Ten wirus to straszliwy zabójca. Przypomnijcie sobie, jak szybko opanowała świat ptasia grypa. Pozostał nam tydzień, może kilka

dni. Jeżeli nie odkryjemy sposobu, jak to powstrzymać, z powierzchni globu zostaną zmiecione wszelkie oznaki życia.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia – stwierdził Patanjali i skłonił się lekko Henriemu, po czym poszukał wzrokiem spojrzenia Lisy. – Kiedy wyjaśnię doktor Cummings jej funkcję w naszym przedsięwzięciu, prawdopodobnie również przyzna nam rację. Najpierw jednak musimy dołączyć do naszych przyjaciół w centrali radiowej. Trzeba ugasić kilka pożarów.

Waszyngton

Godzina 7.02 czasu miejscowego

Painter wpatrywał się w pokazywane przez ekrany wiadomości: Fox, CNN, NBC. Wszystkie stacje donosiły o wybuchu pod Georgetown.

– A więc to fałszywy alarm – powiedział Painter i mocniej przycisnął słuchawkę do ucha. Głos Lisy, który pokonał pół świata, był bardzo słaby. – Przestraszyłaś Jenningsa. Był gotów obrzucić wyspę bombami zapalającymi.

– Przepraszam. To typowe skażenie. Wszystko jest już w porządku... jeśli można powiedzieć, że w porządku jest statek pełen poparzonych ludzi. Chodzi o wykwit sinic z rodzaju *Lyngbya*, które tutaj nazywa się ognistym wodorostem. Atakuje tutejsze wody od lat, wypływa

zjadliwe obłoki i niszczy plaże. Za dzień lub dwa problem powinien zostać rozwiązany i wracamy.

– To pierwsza dobra wiadomość, jaką dziś słyszę – stwierdził Painter.

Słuchał Lisy i równocześnie patrzył na ekrany. Pierwsze pożary za bezpiecznym domem Sigmy zostały ugaszone.

– Wiem, że jesteś zajęty – dodała Lisa. – Złożę następny raport za dwanaście godzin.

– Doskonale. Prześpij się trochę. Wyobrażam sobie, że zachody słońca muszą być tam wspaniałe.

– Są wspaniałe i żałuję, że nie cieszymy się nimi razem...

– Ja również, ale przecież niedługo wrócisz. Teraz muszę zgasić pożar.

Widoczny na ekranie helikopter stacji telewizyjnej odleciał i ukazały się spalone ruiny bezpiecznego domu. Painter czytał już wstępny raport inspektorów. Ślady opon zaprowadziły ich do porzuconego thunderbirda, którym Gray pojawił się na scenie kilka godzin wcześniej. Wyglądało na to, że uciekł do lasu. Co zamierzał?

– Chyba też muszę trochę popracować – powiedziała Lisa.

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie...

– O co chodzi? – zapytał, wyczuwając w jej tonie wahanie.

– O nic – odparła trochę zbyt szybko. – Chyba jestem zmęczona. Wiesz, jaka bywam w tej części miesiąca.

Do gabinetu z plikiem faksów w ręce wjechał asystent. Nagłówek pierwszej kartki brzmiał: POLICJA

WASHINGTON. Kolejny raport z przeszukiwania szpitali. Painter wziął papiery i dokończył rozmowę z Lisą.

– Odpuść trochę. Uważaj na siebie i nie zapominaj o kremie do opalania.

– Nie martw się – odparła.

Połączenie ze statkiem szwankowało, ale mimo to wyraźnie słyszał w jej głosie smutek. On także za nią tęsknił.

– Zobaczymy się wkrótce i porozmawiamy. Teraz idź spać.

Połączenie zostało przerwane. Painter wyjął z ucha słuchawkę i położył przed sobą faksy. Zamierzał je przejrzeć i przekazać Jenningsowi, że sytuacja jest pod kontrolą.

Przynajmniej jedna katastrofa została opanowana.

Na pokładzie Mistress of the Seas Godzina 18.13 czasu miejscowego

Lisa opuściła rękę ze słuchawką. Serce łomotało jej w piersi. Połączenie przerwano na znak Patanjalego. Stał w otwartych drzwiach zaimprovizowanej centrali radiowej oparty na lasce.

Pokręcił głową, demonstrując niezadowolenie.

Lisa poczuła niepokój. Domyślił się? Gdy wstała z krzesła, jeden ze strażników chwycił ją za łokieć.

– Miała się pani trzymać scenariusza, doktor Cummings – powiedział Patanjali zirytowanym tonem. –

Żądanie było proste i wyjaśniono pani konsekwencje złamania reguł.

– Nie rozumiem...

– „Wiesz, jaka bywam w tej części miesiąca” – zacytował ją, po czym odwrócił się i ruszył ku wyjściu. – Pani cykl miesięczny skończył się dziesięć dni temu, doktor Cummings. Czytałem pani akta, a mam fotograficzną pamięć. Lepiej, aby nie próbowała pani ponownie mnie prowokować.

Strażnik wyprowadził ją z centrali.

Przed kabiną czekali inni ważni więźniowie: doktor Lindholm, Ryder Blunt i australijski kapitan w pokrzwawionym mundurze w kolorze khaki. Każdy z nich zadzwonił do swojego przełożonego i przekazał, że na dalekiej wyspie wszystko jest w najlepszym porządku, zdobywając w ten sposób czas dla porywaczy.

Nieco dalej w korytarzu stała czwórka dzieci. Chłopcy i dziewczynki w wieku od sześciu do dziesięciu lat. Życie każdego dziecka zależało od współpracy więźniów. Lisie przypisano ośmioletnią dziewczynkę o wielkich migdałowych oczach, która siedziała przerażona na podłodze i obejmowała rękami kolana. Starszy od niej o dwa lata brat opiekuńczo obejmował ją ramieniem.

Maoryski przywódca podszedł do dziewczynki. W ręce trzymał pistolet.

– Zostaliście ostrzeżeni, że jeżeli w jakikolwiek sposób odstąpicie od scenariusza, poniesiecie surowe konsekwencje – powiedział Patanjali. – Ale ponieważ to pierwsza niesubordynacja doktor Cummings, będę dla niej pobłażliwy.

– Proszę... – jęknęła Lisa.

Patanjali wbił w nią wzrok.

– Pozwolę pani wybrać na miejsce tej dziewczynki inne dziecko. Nie jestem okrutny, tylko praktyczny. Musicie zapamiętać tę lekcję. – Machnął ręką. – Proszę je wybrać.

– Nie mogę...

– Proszę wybrać jedno z nich albo każę zabić wszystkie. Nie możemy pozwolić sobie na niesubordynację...

Na znak wytatuowanego dowódcy strażnik pociągnął Lisę do przodu.

– Proszę wybrać dziecko, doktor Cummings.

Lisa przełknęła łzy. Żadne z dzieci nie znało angielskiego, ale wszystkie widziały jej cierpienie.

– Doktorze... proszę – powiedziała błagalnie. – Popełniłam błąd. Niech pan ukarze mnie...

– Właśnie to robię – odparł. – Musi pani wybrać.

Lisa wpatrywała się w cztery dziecięce buzie. Nie mogła wybrać najmniejszej dziewczynki ani jej brata. Nie miała wyboru. Uniosła drżącą dłoń i wskazała najstarszego chłopca – dziesięciolatka.

Oby Bóg mi wybaczył...

– Bardzo dobrze. Rakao, wiesz, co masz robić.

Maorys podszedł do chłopca, który z nadzieją uniósł głowę.

Lisa jęknęła. Próbowwała zrobić krok naprzód, jednak strażnik mocniej ścisnął ją za łokieć. Osunęła się na kolana.

Rakao uniósł pistolet i wycelował go w głowę chłopca.

– Nie... – jęknęła Lisa.

Maorys pociągnął za spust, ale iglica uderzyła w pustkę i dało się słyszeć jedynie trzaśnięcie kurka,

zwielokrotnione w zamkniętym pomieszczeniu.

Pirat opuścił broń.

W ciszy rozległ się zduszony charkot. Dobiał z drugiej strony sali. Kiedy Lisa spojrzała w tamtą stronę, zobaczyła, że doktor Lindholm osuwa się na kolana. W jego oczach były przerażenie i ból. Trzymał dłonie na gardle, a spomiędzy jego palców leciała krew.

Towarzyszka Patanjalego, Surina, odsunęła się szybko od Lindholma. Miała pochyloną głowę i wyglądała jak służąca, która właśnie podała herbatę i teraz się wycofuje. Jej dłonie były puste, ale nie ulegało wątpliwości, że to ona poderżnęła doktorowi gardło.

Lindholm zwiotczał i upadł na dywan. Krew rozlewała się wokół ciemną plamą i wsiąkała w tkaninę. Palce doktora zacisnęły się na gęstym splocie i znieruchomiały.

– Cholera... – wymamrotał Ryder i odwrócił głowę.

Patanjali podszedł do Lisy.

– Dla... dlacze... go? – wyjąkała.

– Jak powiedziałem, nic nie uchodzi naszej uwadze, doktor Cummings. Z umiejętnościami doktora Lindholma włącznie. A raczej ich brakiem, jeśli chodzi o badania i pracę w terenie. Spełnił swoje zadanie, swoim telefonem zdejmując nam z karku WHO, ale był dla nas jedynie ciężarem. Jego śmierć posłużyła także jako demonstracja... nie tylko tego, jakie konsekwencje będzie mieć niesubordynacja. Czy rozumie pani, o co mi chodzi, doktor Cummings?

Lisa powoli kiwnęła głową. Nie mogła odwrócić wzroku od kałuży krwi na podłodze.

– Doskonale – mruknął Patanjali i odwrócił się do pozostałych. – Niech ta śmierć będzie lekcją dla każdego.

Ilustracją tego, jak poważne stoi przed nami zadanie. Wasze życie zależy od waszej przydatności. Wyniki albo śmierć. Nalegam, abyście przekazali to swoim kolegom... zanim konieczna będzie kolejna demonstracja. A teraz zabierajmy się do pracy. Rakao, zaprowadź każdego na jego miejsce. Ja zajmę się doktor Cummings.

Maorys schował pistolet do kabury i zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom.

Patanjali poprowadził Lisę korytarzem. Minęli czwórkę dzieci, które jeden z podwładnych Rakao miał właśnie odprowadzić do ich kabiny.

Idąca za Patanjalem i Lisą Surina zatrzymała się przy kulącej się pod ramieniem brata dziewczynce. Wyciągnęła w jej stronę pustą dłoń i pstryknęła palcami, w których zmaterializował się cukierek. Podała go przerażonej małej, ale dziewczynka tylko jeszcze mocniej przycisnęła się do brata. Chłopak – najwyraźniej praktyczniej myślący – wysunął rękę i złapał cukierek tak szybkim ruchem, jakby wyjmował go z pułapki na myszy.

Surina lekko musnęła palcami policzek małej, zbierając z niego łzy. Lisie natychmiast przemknęło przez głowę pytanie, czy to właśnie tą dłonią zamordowała Lindholma. Twarz zabójczyni była nieruchoma i obojętna, nie malowały się na niej żadne emocje.

Patanjali zaprowadził Lisę do ostatniej kabiny na tym samym poziomie – dwupokojowego apartamentu – i skierował się do sypialni.

Na łóżku w płątaniu przewodów leżała kobieta o jasnych, przyciętych tuż przy skórze włosach. Była to

pacjentka, którą przywieziono helikopterem. Jej twarz skrywała maska tlenowa.

Dwaj sanitariusze – ci sami, którzy przetransportowali kobietę z helikoptera do kabiny – podłączali ostatnie przewody do urządzeń monitorujących. Lisa rzuciła na nie okiem: elektroencefalograf, elektrokardiograf oraz przepływomierz dopplerowski do pomiaru ciśnienia krwi.

Patanjali uniósł dłoń.

– Doktor Cummings, przedstawiam pani Susan Tunis, biologa morskiego z Queenslandu. To jedna z pierwszych osób, które zetknęły się z wykwitem cyjanobakterii. Sądzę, że już poznała pani jednego z jej towarzyszy, pacjenta N.N. z izolatki.

Lisa stała przy drzwiach, nie bardzo wiedząc, po co została tu przyprowadzona. Nawet jeśli była to jedna z pierwszych ofiar toksycznej chmury, co ona miała z tym wspólnego? Nie była ani bakteriologiem, ani wirusologiem.

– Nie rozumiem... Na pokładzie jest kilku bardziej kompetentnych ode mnie lekarzy.

Patanjali lekceważąco machnął ręką.

– Do zapewniania jej opieki mamy techników.

– Więc dlaczego...

– Doktor Cummings, jest pani doskonałym fizjologiem. W dodatku sprawdziła się pani w przeszłości jako współpracownica Sigmy. Potrzebujemy pani wiedzy i doświadczenia. Chciałbym, aby mi pani asystowała. Tylko w tym przypadku.

– Dlaczego akurat w tym?

– Ponieważ właśnie w nim kryje się klucz do wszystkiego – wyjaśnił Patanjali, uważnie przyglądając się leżącej. – W tej kobiecie kryje się zagadka sięgająca daleko w przeszłość, do czasów Marca Polo... i prowadząca do jeszcze większej tajemnicy.

– Marca Polo? Chodzi o tego podróżnika?

– Ten trop pozostawiamy innym wydziałom Gildii. Nasze badania skupią się na tej kobiecie.

– W dalszym ciągu nic nie rozumiem. Co jest w niej tak ważnego?

– Ta kobieta się zmienia – odparł Patanjali. – Jak bakteria. Rośnie w niej szczep Judasza.

– Przecież pan powiedział, że ten wirus nie atakuje komórek ludzkich.

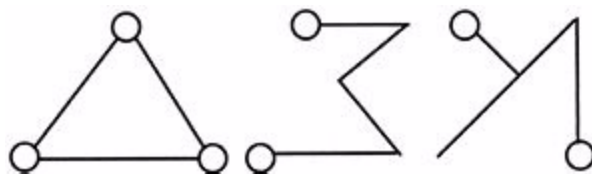
– Nie atakuje, ale robi w nich coś innego.

– Co?

Patanjali wbił w Lisę twarde spojrzenie.

– Inkubuje się.

INKUBACJA



O podróży przemilczanej

Stambuł

6 lipca, godzina 6.41 czasu miejscowego

Zanim minęła doba, Gray i jego dwoje towarzyszy – Seichan i Kowalski – znaleźli się w zupełnie innym świecie.

Z minaretów niezliczonych meczetów Stambułu muezini nawoływali właśnie wiernych do porannej modlitwy. Wschodzące słońce rzucało długie cienie.

Gray czekał razem z Seichan i Kowalskim w restauracji na dachu, skąd rozciągał się wspaniały widok na panoramę miasta. Żadne z ich trójki nie sprawiało wrażenia szczęśliwego. Byli zmęczeni szybkim przekraczaniem stref czasowych i napięci do granic wytrzymałości, choć tępy ból głowy dręczący Graya był raczej związany z jego prywatnym niepokojem. Ścigany przez skrytobójców i własny rząd zaczynał wątpić, czy odpowiednio dobrał sobie partnerów.

Do tego wszystkiego doszło jeszcze tajemnicze wezwanie do Stambułu. Po co? To nie miało najmniejszego sensu. Seichan również sprawiała

wrażenie zaskoczonych. Małą łyżeczką wlewała właśnie miód do herbaty, którą jej podano w tureckiej filiżance ze złotą obwódką. Kelner, ubrany w tradycyjny kaftan wyszywany złotą i niebieską nicią, zaproponował Grayowi dolewkę kawy, ale komandor pokręcił głową – zaczynało mu się już w niej kręcić od nadmiaru kofeiny.

Kowalski – ubrany w dżinsy, czarny T-shirt i obszerną szarą rozpinaną bluzę, od razu przeszedł do deseru. W dłoni trzymał szklaneczkę schłodzonej raki – pędzonej z winogron wódki.

– Smakuje jak lukrecja z asfaltem – burknął, ale nie powstrzymało go to przed wypiciem dwóch szklaneczek. Na stojącym przed nim talerzu leżały oliwki, chleb, ogórki, ser i kilka jajek na twardo, które wziął sobie z bufetu.

Grayowi nie dopisywał apetyt. Był za bardzo zaniepokojony i miał zbyt wiele pytań.

Wstał i podszedł do niewysokiego murku otaczającego taras. Przez cały czas starał się trzymać w cieniu parasola nad stolikiem, bo Stambuł był pod stałym nadzorem satelitów. Zastanawiał się, w ilu agencjach wywiadu przetwarzane są już dane dotyczące jego wyglądu.

Czy Sigma albo Gildia wiedzą, gdzie się znajduje?

Po chwili podeszła do niego Seichan i postawiła filiżankę z herbatą na pokrytym kafelkami szczycie muru. Cały lot przespaała w wygodnym fotelu pierwszej klasy. Odpoczynek doskonale jej zrobił, choć w dalszym ciągu lekko utykała, oszczędzając zraniony bok. W samolocie przebrała się w wygodniejszy strój – włożyła luźne spodnie i wydymającą się jak żagiel bluzę,

pozostała jednak w swoich wysokich motocyklowych butach.

– Dlaczego monsignore Verona nas tu wezwał? – spytała.

– No, no... Znowu ze sobą rozmawiamy?

Od opuszczenia gabinetu lekarskiego w Georgetown odmawiała udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień. Zresztą nie mieli na nie czasu. Podczas ucieczki Seichan przeprowadziła rozmowę telefoniczną z Watykanem. Pozwoliła Grayowi słuchać. Najwyraźniej Vigor spodziewał się jej telefonu i nie zaskoczyło go to, że razem z nią jest Gray.

– Wieść o waszej ucieczce już się rozeszła – powiedział. – Interpol, Europol... wszyscy was szukają. Zakładam, że to ty zostawiłaś mi tę wiadomość w Wieży Wiatrów.

– Znalazłeś napis? – zapytała.

– Znalazłem.

– Rozpoznałeś pismo?

– Oczywiście.

– W takim razie nie mamy zbyt wiele czasu – stwierdziła. – Zagrożonych jest wiele istnień ludzkich. Gdybyś mógł uruchomić swoje znajomości...

– Wiem, co te napisy oznaczają. I wiem, co z tego wynika. Jeżeli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej, spotkajcie się ze mną jutro w hotelu Ararat w Stambule. Będę tam o siódmej rano. W restauracji na dachu.

Po tej rozmowie Seichan pośpiesznie załatwiła ich trójce fałszywe dokumenty i zaplanowała całą podróż. Zapewniła Graya, że Gildia nie ma pojęcia o kontaktach, które wykorzystała.

– To tylko zwrot długów – oświadczyła.

Kiedy odwracała się do niego, jęknęła z bólu i potrąciła łokciem swoją filiżankę. Gray złapał ją, zanim zdążyła zsunąć się z murku. Seichan wbiła w dziewczynę wzrok, marszcząc brwi, a jej twarz spochmurniała. Tego typu rzeczy bardzo rzadko jej się zdarzały.

– Wiem, że niczego ci nie wyjaśniłam – powiedziała. – Zrobię to, kiedy zjawi się monsignore Verona. A co u ciebie? Udało ci się odczytać napis na obelisku?

Wzruszył ramionami, ale nic nie odpowiedział.

– Jak sobie chcesz – mruknęła i wróciła do stolika.

Dostarczyła mu zdjęcia i drukowaną kopię napisu po angielsku. W drodze do Stambułu próbował złamać szyfr, jednak poszczególne symbole miały zbyt wiele zmiennych i potrzebował dodatkowych informacji. Poza tym podejrzewał, że napis brzmi: ROZBIJ MNIE I ZNAJDŹ UKRYTY W ŚRODKU SKARB.

A ten etap mieli już za sobą – skarb został znaleziony.

Dla bezpieczeństwa nosił srebrny krzyż na szyi. Wielokrotnie go oglądał – krucyfiks był zdecydowanie stary i nosił ślady długotrwałego używania, jednak nawet pod szkłem powiększającym nie udało mu się odkryć na nim żadnego napisu, który by potwierdzał szalone twierdzenie Seichan, iż kiedyś należał do spowiednika Marca Polo.

Mimo wczesnej pory miasto kipiało życiem. Na ulicach autobusy współzawodniczyły z samochodami osobowymi i pieszymi, a ryk klaksonów próbował zagłuszyć krzyki ulicznych handlarzy i paplaninę porannych turystów.

Gray uważnie obserwował bezpośrednie sąsiedztwo hotelu, szukając jakiegokolwiek sygnału zagrożenia. Czy

udało im się zgubić Nassera? Seichan najwyraźniej była tego pewna, ale Gray nie zamierzał rezygnować z czujności. Na hotelowym dziedzińcu dwóch mężczyzn – skończywszy poranne modły – wstało z dywaników modlitewnych i wróciło do środka budynku. Na zewnątrz pozostało tylko jakieś dziecko pluskające się w fontannie.

Gray przeniósł wzrok na okoliczne domy. Hotel Ararat stał w samym sercu najstarszej dzielnicy Stambułu – Sultanahmet. Z gęstwiny ciągnących się aż do brzegu morza nisko położonych ulic wyrastały przypominające wyspy stare budynki. Naprzeciwko hotelu w niebo wspinały się wyniosłe minarety Błękitnego Meczetu. Nieco dalej widać było potężny bizantyjski kościół, częściowo ukryty pod rusztowaniami. W głębi, między ogrodami, stał pałac Topkapi.

Gray czuł w tych mistrzowskich dziełach architektury ciężar stuleci. Jego palce machinalnie dotknęły krzyża. On również był fragmentem starożytności, pełnym historycznych znaczeń. Ale co krzyż, który ponoć należał kiedyś do spowiednika Marca Polo, mógł mieć wspólnego z globalnym zagrożeniem, o którym mówiła Seichan?

– Hej, Ali Babo! – zawołał Kowalski. – Jeszcze jednego drinka z lukrecją!

Gray jęknął z dezaprobatą.

– To raki – poprawił Kowalskiego czyjś głos.

Gray się odwrócił. Z cienia wokół schodów prowadzących na górny poziom wyszła znajoma postać.

– Bir sise raki lütfen – powiedział do kelnera monsignore Vigor Verona.

Kelner z uśmiechem kiwnął głową i odszedł.

Vigor podszedł do stolika. Nie miał na szyi koloratki, z czego wynikało, że podróżował incognito. W cywilu wyglądał znacznie młodziej – najwyżej na pięćdziesiąt lat. Odmładzał go także swobodny strój: džinsy, buty do chodzenia po górach, czarna koszula z podwiniętymi rękawami i zarzucony na ramię plecak. Sprawiał wrażenie, że zamierza wspiąć się na górę, od której wziął swoją nazwę hotel – górę Ararat, na której po biblijnym potopie osiadła ponoć arka Noego.

Niewykluczone, że kiedyś rzeczywiście był na jej szczycie.

Zanim mianowano go prefektem Archiwów Watykańskich, był archeologiem biblijnym. Stanowisko to pozwalało mu równocześnie służyć Watykanowi w inny sposób – jako szpieg. Praca archeologa dawała mu możliwość podróżowania i zbierania informacji dla Stolicy Apostolskiej.

Kiedyś pomagał także Sigmie.

Teraz jego wiedza i doświadczenie miały przydać się ponownie.

Usiadł z westchnieniem. Po chwili wrócił kelner i postawił przed nowym gościem filiżankę parującej herbaty.

– Teşekkürler – powiedział Vigor.

Kiedy kelner odszedł, Kowalski wyprostował się na swoim krześle. Patrzył to na oddalający się haftowany kaftan, to na swoją pustą szklaneczkę. Po chwili osunął się na oparcie krzesła i zaklął pod nosem.

– Komandorze Pierce... Seichan. Dziękuję za spełnienie mojego życzenia – zaczął Vigor. – No

i oczywiście panu, panie Kowalski... cieszę się, że pana poznałem.

Kiedy rozmawiali, monsignore ani słowem nie wspominał o swojej siostrzenicy. Był to niezręczny temat. Pierce i Rachel pozostali przyjaciółmi, ale Vigor zawsze był wobec niej bardzo opiekuńczy. Nie było to wcale konieczne – dziewczyna znakomicie sobie radziła jako porucznik carabinieri i nawet ostatnio awansowała.

W końcu Seichan zapytała:

– Monsignore, czemu wezwałeś nas do Stambułu?

Vigor upił łyk herbaty i ostrożnie odstawił filiżankę.

– No tak, chyba powinniśmy jak najszybciej przejść do sedna. Przedtem jednak chciałbym wyjaśnić dwie rzeczy... Po pierwsze: dokądkolwiek zaprowadzi nas ta sprawa, będę z wami. – Spojrzał na Graya, a potem przeniósł wzrok na Seichan. – Po drugie: chcę wiedzieć, jaki to wszystko ma związek z Markiem Polo.

Seichan była wyraźnie zaskoczona.

– Skąd monsignore... Przecież nigdy o nim nie wspomniałam...

Zanim Vigor zdążył jej odpowiedzieć, wrócił kelner. Kowalski popatrzył na niego z nadzieją w oczach i wytrzeszczył je ze zdziwienia, gdy tamten postawił przed nim butelkę raki.

– Zamówiłem panu od razu pół litra – powiedział Vigor.

Kowalski wyciągnął rękę i z wdzięcznością uścisnął mu dłoń.

– Padre, ma pan u mnie wielkiego plusa.

Gray spojrział na swoją towarzyszkę.

– No więc, co to wszystko ma wspólnego z Markiem Polo? – zapytał.

Waszyngton

Godzina 0.00 czasu miejscowego

Czarne bmw zjechało z Dupont Circle i ruszyło obsadzoną wiązami aleją, w której światło ksenonowych żarówek reflektorów rzeźbiło błękitnawy tunel. Po obu jej stronach stały szeregi apartamentowców, tworząc miejski kanion.

Nie mógł się on oczywiście równać z wąwozami w ojczyźnie Nassera – wąwozami, po których skakały kozy i których liczne jaskinie i tunele często udzielały schronienia wędrującym afgańskim plemionom. Jednak Egipt nie był jego prawdziwą ojczyzną. Jego ojciec opuścił Kair, kiedy Nasser miał osiem lat, i po wyzwoleniu Afganistanu spod sowieckiej okupacji dołączył do tych, którzy zamierzali walczyć o czysty islam. Zabrał też ze sobą młodszego brata Nassera i jego siostrę. Nie mieli wyboru, bo w przeddzień wyjazdu udusił ich matkę szalikiem. Nie chciała wyjeżdżać z Egiptu i powiedziała o tym niewłaściwej osobie.

Dzieci zostały zmuszone do patrzenia – na klęczkach – jak oczy ich matki wychodzą z orbit, a język zaczyna puchnąć.

Nasser zapamiętał tę lekcję na zawsze.

Musisz być zimny. W każdej sytuacji.

Światło ksenonowych żarówek skręciło za róg. Siedzący na fotelu pasażera Nasser wskazał frontowe wejście do budynku.

– Stań tam – polecił kierowcy z oklejonym plastrem nosem, złamanym podczas ostatniej nieudanej akcji.

Kiedy podjechali do krawężnika, odwrócił się i popatrzył na tylne fotele. Siedziały na nich dwie postacie.

Annishen, ubrana na czarno, niemal zlewała się ze skórzaną tapicerką. Na ogolonej głowie miała kaptur, który nadawał jej wygląd mniszki. Jej oczy świeciły w ciemności. Obejmowała ramieniem siedzącego obok mężczyznę, który jęczał przez knebel. Cały bok jego twarzy i szyi był czarny od zakrzepłej krwi. W wetkniętych między kolana związanych dłoniach trzymał swoje odcięte ucho.

– To tutaj? – spytał Nasser.

Mężczyzna pokiwał głową i zacisnął powieki.

Nasser przyjrzał się holowi budynku. Za biurkiem siedział nocny portier, a nad drzwiami z kuloodpornego szkła zamontowano kamerę obserwacyjną. Nasser przeciągnął palcem po krawędzi elektronicznego klucza, który trzymał w dłoni – plastikowej karty magnetycznej, którą zabrał swojemu pasażerowi.

Po całym dniu poszukiwań wreszcie trafił na trop Amerykanina i zdrajczyni z Gildii. Minionego wieczoru odwiedził dom w Takoma Park. Znalazł motocykl Seichan, ale obelisku już tam nie było – na podjeździe leżał tylko kawałek egipskiego marmuru.

Jednak w końcu szczęście się do niego uśmiechnęło – w domu odkrył notatnik z nazwiskami i adresami wielu lekarzy.

Resztę dnia zajęło mu odnalezienie właściwego człowieka.

Odwrócił się ponownie do swojego pasażera.

– Dziękuję panu, doktorze Corrin. Doskonale się pan spisał.

Nie musiał dawać Annishen żadnego znaku – ostrze jej sztyletu natychmiast wślizgnęło się między żebra mężczyzny i rozplatało mu serce. Była to technika stosowana przez Mossad, a Nasser zastosował ją tylko raz w życiu.

Zrobił to, kiedy jego ojciec klęczał i modlił się o życie.

Nie była to zemsta dziecka, lecz akt sprawiedliwości.

Otworzył drzwi samochodu. Miał dług wobec ojca – winien był mu wdzięczność za lekcję, jakiej udzielił ośmiolatkowi, klęczącemu przed uduszoną matką.

Lekcja ta pomoże mu także tego wieczoru.

Musisz być zimny. W każdej sytuacji.

Wysiadł i otworzył tylne drzwi. Annishen jak wąż wślizgnęła się z samochodu. Wyglądała olśniewająco w swojej włoskiej marynarce z cielecej skóry i ciemnych zamszowych spodniach. Na jej ubraniu nie było ani kropli krwi, co również dowodziło jej kunsztu.

Nasser objął ją i ruszyli do wejścia budynku.

Przytuliła się do niego.

– Ta noc to dopiero początek – szepnęła.

Wyglądali jak wracający z późnej kolacji kochankowie.

Letnia noc była parna, ale hol apartamentowca miał doskonałą klimatyzację. Wystarczyło jedno przeciągnięcie magnetycznego klucza doktora Corrina i drzwi natychmiast się otworzyły. Portier spojrzął na nich zza biurka.

Nasser skinął mu głową i swobodnym krokiem ruszył w stronę wind. Annishen zachichotała i zagruchała coś do ucha swojemu towarzyszowi, jakby nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie dotrą do mieszkania.

Jednocześnie wsunęła dłoń pod jego kurtkę i ujęła rękojeść glocka.

Otak, na wszelki wypadek...

Portier mruknął: „dobry wieczór” i ponownie skupił się na leżącym przed nim czasopiśmie.

Gdy szli do wind, Nasser z dezaprobatą pokręcił głową. Typowe. To, co w Ameryce uważano za ochronę, było jedynie przedstawieniem.

Przywołał windę.

Po minucie stali już przed apartamentem numer 512. Nasser przeciągnął kartę przez zamek i światelko w drzwiach zamieniło się na zielone.

Popatrzył na Annishen. Widział w jej oczach ogniki podniecenia, wywołane egzekucją sprzed kilku minut.

– Musimy mieć przynajmniej jedno z nich żywe – ostrzegł ją.

Wydęła wargi i wyciągnęła pistolet.

Nasser ostrożnie nacisnął klamkę i powoli zaczął otwierać drzwi – na szczęście dobrze naoliwione zawiasy nie wydały żadnego dźwięku. Bezszelestnie wślizgnął się do marmurowego holu. Ze znajdującej się w głębi sypialni płynęło światło.

Zatrzymał się i zmrużył oczy.

Było zbyt cicho. Nie musiał iść dalej – apartament był pusty.

Mimo to dał Annishen znak, aby poszła w prawo, a sam skierował się na lewo. W kilkanaście sekund sprawdzili całe mieszkanie.

Nikogo w nim nie było.

Stojące w głównej sypialni łóżko było zasłane i wyglądało na nieużywane.

– Doktor nas okłamał – stwierdziła z irytacją Annishen. – Nie ma ich.

Poszukała Nassera, który akurat był w łazience. Klęczał, bo kątem oka dostrzegł coś pod toaletką.

Czerwona buteleczka na lekarstwa. Pusta.

Podniósł ją i spojrział na etykietę. Przy lekarstwie była recepta, a pacjent nazywał się Jackson Pierce.

– Byli tutaj, ale uciekli – mruknął.

Doktor Corrin wcale ich nie okłamał – po prostu powiedział to, co uważał za prawdę.

Nasser ścisnął w dłoni pustą buteleczkę i przełknął wściekłość. Komandor Pierce znowu go przechytrzył. Najpierw z obeliskiem, a teraz po raz drugi, przenosząc rodziców do innego mieszkania.

– Co robimy? – spytała Annishen.

Uniósł buteleczkę i pokazał jej.

Jeszcze mieli szansę.

Stambuł

Godzina 7.30 czasu miejscowego

– Najpierw powiedz, co wiesz o Marcu Polo – zażądała Seichan.

Słońce znajdowało się już na tyle wysoko, że cała podłoga restauracji pokryta była mieszaniną cieni i jaskrawych plam. Przenieśli się do stolika w kącie, osłoniętego wielkim parasolem.

Gray w drodze do Stambułu trochę sobie poczytał na temat Wenecjanina.

– Polo był trzynastowiecznym podróżnikiem – zaczął.
– Wraz z ojcem i stryjem spędził dwadzieścia lat w Chinach jako honorowy gość mongolskiego chana Kubilaja. Po powrocie do Włoch w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym piątym roku opowiedział o swoich podróżach włoskiemu pisarzowi Rustichellowi, który to wszystko spisał. Jego książka pod tytułem Opisanie świata natychmiast stała się w Europie przebojem i wszyscy przekazywali sobie zawarte w niej niezwykle historie: o ogromnych pustyniach w Persji, o kipiących życiem miastach Chin, o dalekich krajach zamieszkałych przez bałwochwalców i czarnoksiężników, o wyspach pełnych kanibali i okropnych bestii. Książka rozpała wyobraźnię ludzi i nawet Krzysztof Kolumb miał przy sobie jej egzemplarz podczas wyprawy do Nowego Świata. Ale co to ma wspólnego z tym, co się dzieje dzisiaj?

– Wszystko – mruknęła Seichan.

Vigor spokojnie popijał herbatę. Kowalski oparł łokieć na stole, a głowę na pięści i choć wyglądał na mocno znudzonego, Gray widział, że jego oczy śledzą odbywającą się między nimi grę. Drugą ręką okruciami herbatników karmił wróble.

– Opowieści Marca Polo wcale nie są tak jednoznaczne, jak sądzi większość ludzi. Nie istnieje manuskrypt książki, jedynie kopie kopii. W każdym nowym tłumaczeniu i kolejnym wydaniu pojawiały się różnice – dodała po chwili Seichan.

– Czytałem o tym – przyznał Gray. – Jest ich tak wiele, że niektórzy się zastanawiają, czy Marco Polo nie był jedynie wymysłem Rustichella.

– Nie był – zapewniła go Seichan.

Vigor kiwnął głową, potwierdzając jej słowa.

– Słyszałem o zarzutach stawianych Marcowi Polo i o lukach w jego opisach Chin. – Uniósł swoją filiżankę. – Na przykład w ogóle nie wspomina, jak namiętnie na Dalekim Wschodzie pijano herbatę, która w Europie nie była wtedy znana. A także o krępowaniu kobietom stóp czy stosowaniu pałeczek. Nie pisze również o Wielkim Murze Chińskim. Są to zdecydowanie rzucające się w oczy luki. Opisuje jednak wiele rzeczy, które już wtedy znano w Chinach: produkcję porcelany, papierowe pieniądze...

– Ale co to ma wspólnego z nami? – spytał Gray.

– We wszystkich wydaniach książki Marca Polo jest jeszcze jedna poważna luka – powiedziała Seichan. – Dotyczy ona jego podróży powrotnej do Włoch. Chan Kubilaj zlecił Polom eskortowanie mongolskiej księżniczki Kokejin, która udawała się do swojego narzeczonego w Persji. Aby ułatwić Wenecjanom wypełnienie tak ważnej misji, wyposażył ich w czternaście wielkich statków i dał ponad sześciuset żołnierzy. Jednak kiedy Polowie dotarli do Persji, mieli tylko dwa statki i osiemnastu ludzi.

– Co się stało z resztą? – zdziwił się Kowalski.

– Marco Polo nigdy tego nikomu nie wyjaśnił. Rustichello w przedmowie do książki wspomina wprawdzie o jakiejś tragedii, do której doszło wśród wysp Azji Południowo-Wschodniej, nigdy jednak nie została ona opisana. Nawet na łożu śmierci Marco Polo nie chciał ujawnić prawdy.

– To fakty czy przypuszczenia? – spytał Gray.

– To tajemnica, która nigdy nie została wyjaśniona – odparł Vigor. – Większość historyków podejrzewa, że

flotę zdziesiątkowali piraci albo jakaś choroba. Pewne jest tylko to, że statki Marca Polo dryfowały przez pięć miesięcy między indonezyjskimi wyspami, ale ocalało jedynie niewielu ludzi.

Seichan popatrzyła na niego.

– Dlaczego tak dramatyczny epizod podróży nie został opisany? Dlaczego Marco Polo zabrał ze sobą do grobu tę tajemnicę?

Gray także nie znał odpowiedzi na to pytanie. Było to rzeczywiście niepokojące i mocno podejrzanе. Zaczęło mu się powoli klarować, dokąd zmierza Seichan.

Twarcz Vigora spochmurniała.

– Wiesz, co się wydarzyło wśród tych wysp, prawda?

Kiwnęła głową.

– Pierwsze wydanie książki Marca Polo ukazało się po francusku, choć jeszcze za jego życia zaczęto publikować książki we włoskim dialekcie. Zainicjował ten ruch inny słynny Włoch żyjący w tej samej epoce.

– Dante Alighieri?

Gray popatrzył na Vigora.

– Tak. Jego Boska komedia była pierwszą książką napisaną po włosku. Dlatego właśnie Francuzi nazwali język włoski la langue de Dante.

Seichan kiwnęła głową.

– Ta wydawnicza rewolucja nie ominęła również Marca Polo. Z zapisów historycznych wynika, że kazał przetłumaczyć francuskojęzyczny egzemplarz swojej książki na włoski, aby mogli się nią cieszyć także jego krajanie. Kazał też zrobić dla siebie osobną tajną kopię, w której opisał, co przydarzyło się flocie chana. Ujawnił swoją ostatnią tajemnicę.

– To niemożliwe... – mruknął Vigor. – Jak taka książka mogłaby do dziś pozostać w ukryciu? Gdzie ją trzymano?

– Na początku w rodzinnej posiadłości Polów, a potem w znacznie bezpieczniejszym miejscu – odparła Seichan.

– Nie możesz mieć na myśli...

– Polowie zostali wysłani w podróż przez papieża. Niektórzy twierdzą, że byli pierwszymi watykańskimi szpiegami, którzy mieli ocenić mongolską potęgę militarną. Można byłoby więc nazwać ich założycielami agencji, dla której kiedyś pracowałeś, monsignore Verona.

Vigor opadł na oparcie krzesła.

– Tajny pamiętnik ukryto w archiwach...

– W dodatku nigdy nie został skatalogowany. Ktoś niezorientowany musiał go uważać za kolejną kopię książki Marca Polo. Trzeba by go przeczytać, aby zauważyć, że pod koniec wpleciono dodatkowy rozdział.

– I Gildia przejęła ten egzemplarz? – spytał Gray. – Dowiedziała się z niego czegoś ważnego?

Kiedy Seichan ponownie kiwnęła głową, zmarszczył czoło.

– W jaki sposób udało jej się go zdobyć?

Seichan zdjęła ciemne okulary i wbiła w niego oskarżycielskie spojrzenie.

– Ty im go dałeś, Gray.

Godzina 7.18

– O czym ty mówisz? – zapytał ze zdumieniem.

Vigor zauważył błysk zadowolenia w oczach Seichan. Najwyraźniej drwienie z ich obu sprawiało jej przyjemność, choć jednocześnie była spięta i blada.

– Zresztą to chyba вина nas wszystkich – dodała po chwili.

Vigor nie zamierzał dać się wciągnąć w tę grę. Poza tym znał już wyjaśnienie tej zagadki.

– Namalowałaś na podłodze symbol Trybunału Smoka – powiedział. – Sądziłem początkowo, że ma to być ostrzeżenie dla mnie, wezwanie do zbadania napisu sporządzonego w języku aniołów...

Kiwnęła głową.

– Chodziło jednak o coś więcej – kontynuował Vigor. Miał na myśli swojego poprzednika na stanowisku prefekta Archiwów Watykańskich, doktora Alberta Menardiego, który potajemnie pracował dla Cesarskiego Trybunału Smoka. Podczas swojej kadencji wyniósł z archiwów wiele ważnych tekstów i przewiózł je do prywatnej biblioteki w szwajcarskim zamku. Gray, Seichan i Vigor zdemaskowali go i zniszczyli komórkę Trybunału Smoka, a zamek został włączony do dóbr rodziny Vigora Verony. – O bibliotekę Alberta. Kiedy policja pozwoliła nam wejść do środka, okazało się, że egzemplarz zniknął.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedziano? – zdziwił się Gray.

Vigor westchnął.

– Uznaliśmy, że to robota miejscowych złodziei... albo wynik korupcji we włoskiej policji – wyjaśnił. – W bibliotece było wiele bezcennych woluminów.

A biorąc pod uwagę zainteresowania Alberta, spora część ksiąg dotyczyła wiedzy tajemnej...

Choć gardził zdrajcą, doceniał jego ogromną wiedzę i błyskotliwość. Jako prefekt archiwów przez trzydzieści lat, Alberto doskonale je znał i na pewno wiedział o istnieniu egzemplarza Opisania świata z dodatkowym rozdziałem.

Co w nim przeczytał? Co sprawiło, że ukradł ten egzemplarz? I co w dodatkowym rozdziale mogło zwrócić uwagę Gildii?

Vigor popatrzył na Seichan.

– Biblioteki nie opróżnili zwykli złodzieje, prawda? To ty powiedziałaś Gildii o skarbach, jakie można w niej znaleźć.

– Nie miałam wyboru. Po tym, jak wam pomogłam, tylko przekazanie biblioteki mogło uratować mi życie. Nie miałam pojęcia, że kryją się w niej takie rzeczy.

Podczas tej wymiany zdań Gray milczał, obserwując swoich partnerów. Vigor miał wrażenie, że niemal widzi obracające się w jego głowie trybiki. Podobnie jak Alberto, również Gray miał błyskotliwy umysł, potrafił kojarzyć z pozoru niezwiązane ze sobą fakty i odkrywać ich nowe konfiguracje. Nic dziwnego, że Seichan właśnie jego poprosiła o pomoc.

– Czytałaś ten dodatkowy tekst? – zapytał Gray. – Prawdziwy opis powrotnej podróży Marca Polo.

W odpowiedzi odsunęła krzesło, pochyliła się i rozpięła lewy but. Z ukrytej w cholewce kieszonki wyjęła trzy kartki, wygładziła je i przesunęła po stole w jego stronę.

– Kiedy zaczęłam się domyślać, co planuje Gildia, zrobiłam sobie kopię tego rozdziału – odparła.

Monsignore i Gray przysunęli się bliżej, a nad nimi pochylił się Kowalski, owiewając ich zapachem anyżku z raki.

Vigor przesunął wzrok po tytule i pierwszych liniijkach tekstu.

ROZDZIAŁ LXII

O podróży przemilczanej i o mapie zakazanej

I oto, co się wydarzyło po upływie miesiąca od zawinięcia do ostatniego portu, kiedy próbowaliśmy odnowić zapas słodkiej wody i naprawić dwa statki. Popłynęliśmy na ląd w małych łodziach, zadziwieni mnogością ptactwa i gęstwiną pnączy. Brakowało nam również solonego mięsa i owoców. Towarzyszyło nam czterdziestu dwóch ludzi Wielkiego Chana, uzbrojonych w oszczepy i łuki, ponieważ okoliczne wyspy są zamieszkane przez bałwochwalców zjadających ciała innych ludzi, i uznaliśmy, iż taka ochrona jest konieczna.

Vigor czytał dalej, natychmiast rozpoznając kadencję i sztywność archaicznej prozy Opisania świata. Czyżby to rzeczywiście były słowa samego Marca Polo? Jeżeli tak, rozdział ten oglądały do tej pory jedynie nieliczne ludzkie oczy. Wolałyby przeczytać oryginał, nie tylko dlatego, że nie do końca ufał tłumaczeniu, ale także dlatego, że kontakt z włoskim dialektem pozwoliłby mu lepiej wczuć się w myśli i uczucia sławnego podróżnika.

Z zakrętu rzeki krzyknął do nas jeden z ludzi Wielkiego Chana i wskazał stromiznę kolejnej szpicy znajdującej się kilka mil dalej w głąb wyspy, w gęstwinie lasu. Nie była to jednak góra, ale wysoka budowla; po chwili dostrzegliśmy kolejne wieże, częściowo skryte we mgle. Mieliśmy przed sobą dziesięć dni oczekiwania na naprawę,

a ludzie Wielkiego Chana chcieli upolować jak najwięcej ptaków i innych stworów dla zdobycia świeżego mięsa, wyruszyliśmy więc dalej w poszukiwaniu budowniczych tych wież, ludzi nikomu nieznanym i nigdy przez nikogo nieopisanym.

Po przeczytaniu pierwszej strony Vigor poczuł kryjącą się za narracją Marca Polo grozę. „W lesie cichły głosy ptaków i innych stworów”, kiedy podróżnik i towarzyszący mu myśliwi podążali prowadzącą przez dżunglę ścieżką „wydeptaną przez budowniczych wież”.

W końcu mgła zaczęła się przejaśniać i cała grupa dotarła do kamiennego miasta.

Las otworzył się nagle przed nami, ukazując wspaniałe miasto o licznych wieżach, pokrytych wyrzeźbionymi w kamieniu twarzami bożków. Nigdy nie odkryłem, jakie diabelskie czary stosowali ci ludzie, ale Bóg uznał, że należy ukarać to miasto i las zarazą. Pierwszym ciałem, jakie znaleźliśmy, było nagie dziecko, którego członki pokrywały sięgające do kości czyraki i wielkie czarne mrówki. Gdziekolwiek spojrzeliśmy, wszędzie leżały trupy. Setki to za mało, by zliczyć ofiary tej rzezi, a śmierć nie poprzestała na ludziach. Ptaki pospadały z nieba, leśne stwory leżały w wielkich stertach, a z gałęzi drzew zwisały martwe węże.

Było to Miasto Umarłych. Bojąc się zarazy, opuściliśmy je w pośpiechu, jednak nasz marsz nie pozostał niezauważony i mieszkańcy tego przeklętego miejsca wyszli z głębin lasu. Ich nagie ciała wcale nie były bardziej zdrowe niż tych, którzy leżeli na kamiennych schodach i placach albo pływali w zielonych fosach. Członki wielu z nich były przegniłe, inni mieli ciała pokryte bąblami i czyrakami, a jeszcze inni wyduęte opuchlizną brzuchy. Niektórzy byli ślepi i z rozpaczą próbowali się czegoś chwycić. Wyglądało to tak, jakby w tę nieszczęsną krainę uderzyło tysiąc plag, legion wszelkiej zarazy.

Wypadali z liściastej gęstwiny z zębami wyszczerzonymi jak dzikie zwierzęta, niosąc odcięte ręce i nogi swoich pobratymców. Niechaj Bóg ma nas w swojej opiece, bo wiele z tych członków było ogryzionych.

Choć słońce grzało coraz mocniej, Vigor się wzdrygnął. Z narastającym przerażeniem czytał, jak grupa podróżników wraz z ludźmi Kubilaja uciekała coraz głębiej w miasto, próbując znaleźć schronienie przed żarłoczną armią. Wenecjanin ze wszystkimi szczegółami opisywał sceny rzezi i kanibalizmu. Kiedy zaczęło się zmierzchać, cała grupa skryła się w jednej z wysokich budowli, pokrytej płaskorzeźbami przedstawiającymi węże i twarze dawno zmarłych królów. Zajęli pozycje obronne, ale byli przekonani, że szybko zostaną pokonani przez coraz liczniejsze zastępy pojawiających się w mieście chorych kanibali.

Gray wymamrotał coś pod nosem i choć nie można było zrozumieć słów, ich ton świadczył o zdumieniu i niedowierzaniu.

Teraz, gdy słońce zaszło, zniknęła resztką naszej nadziei. Każdy po swojemu wznosił modły do nieba. Ludzie Wielkiego Chana palili kawałki drewna i smarowali popiołem twarze. Ja miałem ze sobą swojego spowiednika. Brat Greer klęczał razem ze mną i szeptem powierzał nasze dusze Bogu, dotykając mojego czoła krzyżem. Patrzyłem na twarze otaczających mnie ludzi i myślałem: czyż w chwili próby wszyscy nie jesteśmy tacy sami? Paganie i chrześcijanie. Czyje modlitwy zostały w końcu wysłuchane? Co sprawiło, że pojawiła się ciemna Moc, która nas wszystkich uratowała?

W tym miejscu opowieść się urywała.

Gray odwrócił kartkę, ale na drugiej stronie nic nie było.

Kowalski usiadł i oparł się wygodnie.

– Za mało seksu – mruknął, próbując powstrzymać przystawioną do ust pięścią beknięcie, ale mu się to nie udało.

Gray postukał palcem w nazwisko znajdujące się na ostatniej kartce.

– Autor tego tekstu pisze, że towarzyszył mu brat Agreeer...

Vigor kiwnął głową. On również zwrócił na to uwagę. A więc tekst musiał być fałszywy.

– W drodze do Orientu Polom nie towarzyszyli duchowni – powiedział. – Z egzemplarzy przechowywanych w Watykanie wynika, że choć wraz z nimi wyruszyło w podróż dwóch dominikanów, po kilku dniach wrócili.

Seichan złożyła kartki.

– Marco Polo wyciął tych zakonników ze swojej opowieści tak samo jak ten dodatkowy rozdział – stwierdziła. – W rzeczywistości z Polami wyruszyło w podróż nie dwóch, lecz trzech dominikanów. Jeden na każdego podróżnika... zgodnie z panującym wówczas zwyczajem.

Vigor ponownie kiwnął głową, potwierdzając jej słowa.

– Dwóch z nich uciekło i wróciło – dodała Seichan. – Natomiast obecność trzeciego pozostawała tajemnicą... do dziś.

Gray zdjął z szyi srebrny krzyż i położył go na stole.

– Twierdzisz, że to krzyż brata Agreeera? Ten, o którym jest mowa w opowieści?

– Jestem o tym przekonana – odparła Seichan.

Vigor w milczeniu patrzył na krzyż. Nie miał żadnych ozdób i ornamentów, ale na pewno był bardzo stary. Czy to możliwe? Delikatnie wziął go ze stołu i przyjrzał mu się uważnie. Jeżeli ten krzyż rzeczywiście należał do spowiednika Marca Polo, już samo to, że istniał, nadawało nowe znaczenie przepelnionej grozą opowieści, którą przed chwilą przeczytali.

– Nie rozumiem tylko jednego – powiedział po dłuższej chwili. – Dlaczego Marco Polo pominął brata Agreera w innych wersjach swojej opowieści?

Seichan wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo. Ostatnie kartki książki zostały wyrwane i zastąpione fałszywą kartą, którą wszyto w oprawę, jednak jej wygląd wskazuje, że pochodzi ze znacznie późniejszego okresu.

– Co było na tej karcie? – spytał Vigor.

– Nie widziałam jej, ale wiem, że jakieś rozwlekłe majaki, pełne napomknień o aniołach i biblijnych cytatów. Człowiek, który napisał ten tekst, musiał się bardzo obawiać tego, co znajdowało się na usuniętych stronach. Była tam też informacja o zawartej w księdze mapie, narysowanej własnoręcznie przez Marca Polo. Mapie przynoszącej zło.

– Co się z nią stało?

– Choć bano się owej mapy, ten, kto wydał książkę, nie chciał jej zniszczyć. Została przepisana językiem, który miał ją chronić i uczynić błogosławioną.

– Ukryli mapę w anielskim tekście... – mruknął Gray.

– Ale kto zamienił karty książki? – spytał Vigor.

Seichan pokręciła głową.

– Była niepodpisana, jednak wiele zawartych w niej aluzji sugerowało, że z powodu szalejącej w czternastym wieku czarnej zarazy potomkowie Marca Polo zdecydowali się przekazać mapę papieżowi. Może pomyśleli, że dżuma jest tą samą chorobą, która wybiła mieszkańców Miasta Umarłych, i wreszcie dotarła do Europy, aby zniszczyć resztę świata? Właśnie wtedy włączono księgę do archiwów.

– Ciekawe... – stwierdził Vigor. – Jeżeli masz rację, mogłoby to wyjaśniać, dlaczego mniej więcej w tym czasie zaginął wszelki śluch o rodzinie Polów, a z kościoła w San Lorenzo zniknęło ciało Marca Polo. Wyglądało to tak, jakby ktoś systematycznie usuwał ślady. Czy ktoś określił wiek nowej karty?

– Pochodzi z początku siedemnastego wieku – odparła Seichan.

– Hm... – Vigor zmrużył oczy. – W tym samym czasie Włochy nawiedziła kolejna zaraza...

– Właśnie – przytaknęła Seichan. – I w tym samym czasie Niemiec Johannes Trithemius stworzył pismo anielskie... choć twierdził, że pochodzi ono sprzed pojawienia się człowieka na Ziemi.

Vigor wiedział o tym, bo sam prowadził kiedyś badania nad tym pismem. Jego twórca twierdził, że studiując alfabet tego języka – który rzekomo objawił mu się podczas medytacji – człowiek może komunikować się z aniołami. Zajmował się także kryptografią i tajnymi kodeksami. Sądono, że jego słynny traktat Steganographia dotyczy okultyzmu, ale w rzeczywistości dotyczył angelologii i łamania szyfrów.

– Czy to oznacza, że ukrycie mapy w tekście napisanym anielskim pismem chroniło przed ryzykiem,

jakie za sobą niosła? – zapytał Gray.

– Tak założyła Gildia. Na zamienionej stronie Opisania świata była sugestia, że owa mapa może być wyrzeźbiona na egipskim obelisku, przechowywanym w Muzeum Gregoriańskim w Watykanie. Jednak obelisk zniknął i zaczął krążyć. Szukając tego artefaktu, bawiliśmy się z Nasserem w kotka i myszkę. Ale w końcu udało mi się sprzątnąć mu go sprzed nosa.

– O jakim obelisku mówicie? – spytał Vigor.

Godzina 7.42

Gray opowiedział o egipskim ostrosłupie, w którym ukryty był krzyż brata Agreera, i o namalowanym na nim fluoryzującymi olejkami napisie.

– Tak właśnie wyglądał – powiedział, podając Vigorowi sporządzoną przez siebie kopię.

Monsignore uważnie przyjrzał się skomplikowanej plątaniu znaków i pokręcił głową.

– To nie ma dla mnie żadnego sensu.

– W dodanym do książki tekście wspomina się o kluczu do mapy, pozwalającym ją odczytać. O kluczu w trzech częściach, schowanym w trzech różnych miejscach. Pierwszy z nich dołączono do napisu w pomieszczeniu, w którym pierwotnie ukryty był tajny tekst.

– Czyli w Wieży Wiatrów – mruknął Vigor. – Doskonała kryjówka. W tamtym czasie wieża była

dopiero budowana. Miało się w niej znaleźć obserwatorium watykańskie.

– A z fałszywej karty w księdze Marca wynika, że każdy klucz prowadzi do następnego – dodała Seichan. – Tak więc najpierw musimy odgadnąć pierwszą zagadkę, anielski napis w Watykanie. – Popatrzyła na Vigora. – Mówiłeś, monsignore, że odczytałeś ten tekst. Czy to prawda?

Vigor otworzył usta, chcąc jej odpowiedzieć, ale Gray położył mu dłoń na ramieniu. Nie zamierzał odkrywać przed Seichan wszystkich kart. Chciał zachować w rękawie przynajmniej jednego asa.

– Zanim do tego przejdziemy, wyjaśnij nam, dlaczego jest w to zamieszana Gildia – powiedział do niej. – Co chce uzyskać przez prześledzenie historycznego tropu od Marca Polo po współczesne czasy?

Seichan głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Uważamy, że choroba, z którą zetknął się Marco Polo, znowu się uaktywniła. Została uwolniona z drewna statków Marca, których resztki znaleziono wśród indonezyjskich wysp. Gildia już tam jest i chce pójść tropem naukowym. Natomiast ja i Nasser mieliśmy pójść tropem historycznym. A prawa ręka ma nie wiedzieć, co czyni lewa...

Gray wiedział, na czym polega komórkowa organizacja Gildii – był to schemat, który przejęło wiele organizacji terrorystycznych.

– Zdobyłam nieco informacji na temat tej choroby – dodała Seichan. – I zrozumiałam, że może na zawsze zmienić biosferę naszej planety.

Opowiedziała im o odkryciu przez Gildię wirusa – który nazwano wirusem Judasza – i o jego zdolności

zamieniania dobrotliwych bakterii w zabójców.

– „Legion wszelkiej zarazy” – zacytowała zwrot z księgi Marca Polo. – To właśnie zaatakowało Indonezję. Ale znam ludzi z Gildii i wiem, co zamierzają. Opanowując patogen i rozmnażając go, chcą stworzyć nową broń biologiczną, niewyczerpane źródło śmierci.

Kiedy zaczęła opisywać objawy choroby wywoływanej przez wirus Judasza, Gray ścisnął palcami skraj stołu tak mocno, że zaboląły go kostki.

Zanim udało mu się coś powiedzieć, Vigor odchrząknął i zapytał:

– Jeśli jednak naukowe ramie Gildii zajmuje się wirusem, po co ta historyczna pogoń śladami Marca Polo? Jakie to ma znaczenie?

– „Ciemna Moc, która nas wszystkich uratowała” – odpowiedział Gray cytatem z Marca Polo. – Brzmi to tak, jakby autor książki mówił o lekarstwie.

Seichan kiwnęła głową.

– Cóż... w końcu Marco przeżył. Nawet Gildia nie odważyłaby się uwolnić czegoś takiego, nie mając pewności, że zdoła utrzymać nad tym kontrolę.

– A przynajmniej nie znając źródła pochodzenia tego wirusa.

Vigor popatrzył na miasto.

– Jest więcej pytań bez odpowiedzi. Co się stało z bratem Agreeerem? Co tak bardzo przeraziło papieżstwo?

Ale Graya nurtowała ważniejsza kwestia.

– Gdzie dokładnie w Indonezji doszło do wybuchu epidemii?

– Na odosobnionej wyspie, na szczęście odległej od większych skupisk ludzkich.

– Wyspa Bożego Narodzenia...

Oczy Seichan się rozszerzyły.

Było to wystarczające potwierdzenie.

Gray wstał. Monk i Lisa pojechali na Wyspę Bożego Narodzenia, aby zbadać tę chorobę. Nie mieli pojęcia, z czym przyjdzie im się zmierzyć – ani o zainteresowaniu Gildii tym rejonem. Trzeba zawiadomić Paintera, ale czy alarm nie narazi Monka i Lisy na jeszcze większe niebezpieczeństwo?

– Odkąd Gildia działa w Indonezji? – zapytał.

– Nie wiem.

– Seichan...

Zmrużyła oczy.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Dlaczego o to pytasz?

Co się stało?

Podszedł do kamiennego murku. Potrzebował kilku sekund na zastanowienie.

Jedno było pewne: musi natychmiast zawiadomić Waszyngton.

Waszyngton

Godzina 1.04

Harriet Pierce próbowała uspokoić męża, ale nie było to łatwe, bo zamknął się w łazience. Przycisnęła do pękniętej wargi zwilżoną zimną wodą szmatkę.

– Jack! Otwórz drzwi!

Obudził się dwie godziny temu, rozkojarzony i zdezorientowany. Widywała go już w takim stanie. Jest

to tak zwany zespół zachodu słońca, często występujący u pacjentów z chorobą Alzheimera – stan zwiększonego pobudzenia, pojawiający się po zachodzie słońca, kiedy ciemności sprawiają, że znajome otoczenie staje się obce.

A teraz było jeszcze gorzej, bo znajdowali się daleko od domu.

Na dodatek hotel Phoenix Park był ich drugim miejscem pobytu w ciągu niecałej doby. Niechętnie przeniosła się tu z Jackiem z mieszkania doktora Corrina, ale polecenie Graya było jednoznaczne. Mieli opuścić to mieszkanie zaraz po jego wyjściu, udać się na drugi koniec miasta i zatrzymać w innym hotelu, płacąc gotówką i podając fałszywe nazwisko.

Przenosiny pogorszyły stan Jacka. Przez cały dzień nie brał tegetrolu, skończył mu się też propranolol, regulujący ciśnienie krwi lek o działaniu przeciwlękowym.

Nic więc dziwnego, że kiedy się ocknął, bardzo się przeraził. Był to najgorszy atak od wielu miesięcy.

Harriet obudziły jego pokrzykiwania i miotanie się po pokoju. Zasnęła w fotelu przed telewizorem, nastawionym na Fox News i ściszonym na tyle, aby można było usłyszeć, gdyby znowu mówiono coś o Grayu.

Natychmiast pobiegła do sypialni. Był to błąd, bo pacjenta w takim stanie, w jakim znajdował się Jack, nie wolno zaskakiwać. Machnął ręką, chcąc ją odgonić, i trafił grzbietem dłoni prosto w usta. Minęła minuta lub dwie, zanim się zorientował, z kim ma do czynienia.

Kiedy zobaczył, co zrobił, uciekł do łazienki. Płakał i właśnie dlatego zamknął drzwi.

Mężczyźni w jego rodzinie nigdy nie pozwalali sobie na okazywanie emocji.

– Jack, otwórz drzwi... Nic się nie stało. Zadzwoiłam do najbliższej apteki i podyktowałam im twoją receptę. Wszystko jest w porządku.

Wiedziała, że dzwoniąc do apteki, sporo ryzykuje. Nie mogła jednak zabrać Jacka do szpitala, a musiał jak najszybciej dostać leki. Jego krzyki w każdej chwili mogły ściągnąć uwagę personelu hotelowego, który mógł wezwać policję.

Zaciskając bolące od uderzenia zęby, zadzwoniła do całodobowej apteki, która dostarczała leki do domów, i zamówiła obydwie lekarstwa. Postanowiła, że kiedy tylko pracownik apteki je przywiezie i Jack się nieco uspokoi, zmienią hotel.

Za jej plecami zadzwonił dzwonek.

Dzięki Bogu...

– Jack, to z apteki – powiedziała. – Zaraz wracam.

Podeszła szybko do drzwi, ale zanim sięgnęła do zasuwy, przysunęła oko do judasza. Po drugiej stronie stała czarnowłosa kobieta z przyciętymi na pazia włosami. Miała na sobie białą kurtkę, a w dłoni trzymała papierową torebkę z logo apteki i przyczepionym z boku paragonem.

Po chwili wyciągnęła rękę i dzwonek ponownie zadzwonił. Kiedy i tym razem jej nie otworzono, popatrzyła na zegarek i odwróciła się, zamierzając odejść.

– Proszę poczekać! – zawołała Harriet przez drzwi.

– Jestem z apteki Swan! – odkrzyknęła kobieta.

Harriet podeszła do stojącego przy drzwiach wejściowych telefonu i przez sekundę patrzyła na siebie

w lustrze – miała zapadnięte policzki i wyglądała znacznie starzej. Wcisnęła przycisk na aparacie i połączyła się z recepcją.

– Phoenix Park. Recepcja.

– Mówię z pokoju trzysta trzydzieści cztery. Chciałam potwierdzić dostawę z apteki.

– Tak jest, proszę pani. Trzy minuty temu sprawdziłam upoważnienie. Jakiś problem?

– Nie, chciałam tylko...

Z łazienki doleciał jakiś łoskot, któremu towarzyszyły głośne przekleństwa. Po chwili Jack otworzył drzwi.

– Mogę pani jeszcze w czymś pomóc? – zapytała recepcjonistka.

– Nie. Dziękuję bardzo.

– Harriet! – zawołał Jack.

– Jestem tutaj! – odkrzyknęła.

Dzwonek znowu zadzwonił.

Harriet przekreśliła gałkę i otworzyła drzwi.

Pracownica apteki uniosła głowę i uśmiechnęła się, ale w jej twarzy nie było ciepła. Kiedy Harriet się zorientowała, że to ta sama kobieta, która brała udział w ataku na bezpieczny dom, chciała zatrzaskać drzwi, ale zanim zdążyła to zrobić, tamta otworzyła je szeroko szybkim kopnięciem.

Ich krawędź trafiła Harriet w bark i pchnęła na kafelki podłogi. Upadek był bardzo twardy. Próbowwała zamortyzować go dłonią i jej nadgarstek trzasnął.

Stęknęła z bólu i odtoczyła się na bok.

Jack – w samych bokserkach – wyszedł z łazienki.

– Harriet...

Kobieta przeszła przez próg, uniosła pistolet o grubej lufie i wycelowała go w Jacka.

– Oto twoje lekarstwo – wycedziła.

– Nie... – jęknęła Harriet.

Gdy kobieta pociągnęła za spust, z lufy wystrzelił błysk niebieskiego światła. Jack został trafiony w pierś, która rozjarzyła się wianuszkami płomyków.

Taser.

Jack zacharczał, wyrzucił ręce na boki i zwałił się na plecy.

Po chwili znieruchomiał.

W ciszy, która zapadła w pokoju, rozległ się głos dobiegający z telewizora:

– Policja metropolitalna kontynuuje pościg za Graysonem Pierce'em, poszukiwanym w związku z podpaleniem i wysadzeniem domu w okolicy Waszyngtonu...

Stambuł

Godzina 8.32 czasu miejscowego

Gray zastanawiał się gorączkowo, jak bezpiecznie połączyć się z Waszyngtonem i przekazać wieści dotyczące Wyspy Bożego Narodzenia. Jak skontaktować się z Painterem tak, aby nikt się o tym nie dowiedział? Musiał zakładać, że Gildia monitoruje wszelką komunikację.

– Monsignore, nie wyjaśniłeś nam jeszcze, dlaczego wezwaliśmy nas do Stambułu – powiedziała Seichan. – Twierdzisz, że zrozumiałeś anielski napis...

Zaciekawiony Gray wrócił do stolika i stanął obok nich.

Vigor podniósł plecak z posadzki restauracji i postawił go sobie na kolanach. Przez chwilę macał w środku, wyjął notes i otworzył go. Widniały w nim narysowane ołówkiem anielskie litery.



– To napis z podłogi w Wieży Wiatrów – wyjaśnił. – Każdy znak odpowiada jednemu słowu. Według Trithemiusa, twórcy tego języka, ułożenie odpowiedniej sekwencji umożliwia bezpośrednią komunikację z określonym aniołem.

– Jak międzynarodowa rozmowa telefoniczna – mruknął Kowalski.

Monsignore przerzucił kartkę w notesie.

– A tutaj pod każdym znakiem dopisałem jego nazwę.



Gray pokręcił głową. Nadal nie widział w tym żadnego sensu.

Vigor podkreślił pierwsze litery każdego słowa.

– A-I-G-A-H – przeczytał.

– To imię któregoś z aniołów? – spytał Kowalski.

– Nie, nazwa – odparł Vigor. – Trithemius oparł swój alfabet na języku hebrajskim, ponieważ uważał, że w literach jego alfabetu tkwi szczególna siła. Także i dziś

osoby praktykujące kabałę uważają, że w krzywych alfabecie hebrajskiego tkwi boska wiedza. Trithemius twierdził, że anielskie pismo jest najczystsza formą hebrajskiego.

Gray pochylił się nad notesem.

– A hebrajski czyta się od prawej do lewej... – mruknął.

– H-A-G-I-A – przeczytała ponownie Seichan.

– A hagios to po grecku „święty” – wyjaśnił Vigor.

– Oczywiście! – zawołał Gray.

– Co w tym oczywistego? – zdziwiła się Seichan.

Kowalski – tak samo zdezorientowany jak ona – podrapał się po brodzie.

Vigor wstał i dał im znak, aby popatrzyli na miasto.

– W czasie podróży powrotnej Marco Polo zawitał do Stambułu, który nazywał się wtedy Konstantynopolem. Właśnie tutaj opuścił Azję i wkroczył z powrotem do Europy. To miasto jest bardzo ważnym skrzyżowaniem dróg.

Wskazał jedną z prastarych budowli. Był to potężny kościół o spłaszczonej kopule, częściowo pokryty rusztowaniami.

– Hagia Sophia... – powiedział Gray.

– Tak. Kiedyś największy chrześcijański kościół świata. Sam Marco Polo zachwycił się jego wspaniałą architekturą – dodał Vigor. – Niektórzy sądzą, że Hagia Sofia to Święta Zofia, ale właściwa nazwa tego kościoła brzmi Boża Mądrość albo Anielska Mądrość.

– Więc to tam musimy iść! – zawołała Seichan. – Właśnie tam musi być schowany pierwszy klucz!

Monsignore uśmiechnął się lekko.

– Nie tak szybko, młoda damo...

Ponownie zajrzał do swojego plecaka. Wyjął z niego owinięty materiałem przedmiot, położył go na stole i delikatnie odwinął. Ich oczom ukazała się sztaba złota. Było matowe i wyglądało na bardzo stare. Na jej końcu znajdował się otwór, a powierzchnia była pokryta pochyłym pismem.

– To nie jest anielskie pismo, ale mongolskie – powiedział Vigor. – Tekst brzmi: „Mocą wiecznego Nieba niech święte będzie imię Wielkiego Chana. Oby ten, kto nie darzy Go szacunkiem, został zabity”.

– Co to takiego? – spytał Gray. – Należało do Marca Polo?

– Po chińsku nazywa się paitzu. Po mongolsku gerege. Popatrzeli na niego.

– Dzisiaj nazwalibyśmy to paszportem vipowskim. Podróżnik dysponujący takim paszportem mógł na ziemiach rządzonych przez chana Kubilaja żądać koni, zapasów, ludzi, łodzi... wszystkiego. Odmowa spełnienia jakiegokolwiek jego żądania była karana śmiercią. Chan dawał takie przepustki ambasadorom.

– Fajne – stwierdził Kowalski i gwizdnął, choć jego największy zachwyt wzbudzało chyba samo złoto.

– I Polowie też dostali taki paszport? – spytała Seichan.

– Dostali trzy. Po jednym dla każdego z trójki: Marca, jego ojca i stryja. Kiedy Polowie powrócili do Wenecji, podobno nikt ich nie rozpoznał. Przyplłynęli jednym statkiem, zmęczeni i wychudzeni. Wyglądali jak żebracy. Nikt nie chciał im uwierzyć, kiedy mówili, kim są. Po zejściu na brzeg porozcinali szwy ubrań i wysypali z nich mnóstwo szmaragdów, rubinów, szafirów

i srebra. Wśród kosztowności były także trzy paitzu... Jednak zaraz potem zniknęły. Wszystkie trzy.

– Jest ich tyle samo, co kluczy do mapy – zauważył Gray.

– Gdzie znalazłeś ten złoty paszport? – spytała Seichan. – W którymś z watykańskich muzeów?

– Nie – odparł Vigor. – Odkryłem go pod marmurową płytą, na której zrobiono napis. W tajnej skrytce pod podłogą.

Ukryte w kamieniu jak krzyż brata Agreera, pomyślał Gray.

Seichan zakłęła cicho. Znowu nagroda była przez cały czas tuż pod jej nosem, a ona jej nie dostrzegła.

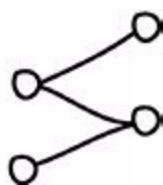
– Przypuszczam, że jest to jedno z paitzu, jakie dostali Polowie – dodał Vigor. – I według mnie pierwszy klucz.

– A więc trop prowadzi do Hagii Sophii...

– ...i wskazuje na drugi klucz – dokończył Vigor. – Jeszcze dwa klucze, dwa paszporty.

– Skąd ta pewność? – spytała Seichan.

Vigor odwrócił sztabkę. Z boku była na niej wyryta pojedyncza anielska litera.



Postukał w nią palcem.

– Oto pierwszy klucz.

Gray popatrzył na wielki kościół. Jeśli właśnie w nim był ukryty drugi klucz, czekało ich szukanie złotej igły w stogu siana, co mogło trwać wiele dni.

– Wysłałem już kogoś na zwiady – powiedział Vigor, jakby wyczuł jego niepokój. – To historyk sztuki z Watykanu, który pomógł mi rozwiązać anielską zagadkę w Wieży Wiatrów.

Gray martwił się o Monka i Lisę. Pomyślał, że jeżeli nie uda mu się w bezpieczny sposób zawiadomić Waszyngtonu, może mógłby pomóc im w inny sposób: pokonując Gildię w wyścigu do nagrody znajdującej się na końcu drogi, którą podążali.

Muszą odnaleźć Miasto Umarłych i odkryć lek na zarazę, zanim zrobi to Gildia.

Przypomniał sobie, co Vigor mówił o Stambule – że był dla Marca Polo skrzyżowaniem. Prawdę mówiąc, starożytne miasto było najważniejszym skrzyżowaniem na świecie od chwili założenia. Na północy leży Morze Czarne, na południu Morze Śródziemne, a oba akweny łączy Bosfor – główna droga handlowa i morska. Co ważniejsze jednak, Stambuł leży na granicy dwóch kontynentów, Europy i Azji.

To samo można byłoby powiedzieć o miejscu miasta w strumieniu czasu.

Jedną nogą stało w przeszłości, drugą w teraźniejszości.

Zawsze na rozstaju dróg.

Zadzwonił telefon. Vigor sięgnął do bocznej kieszeni plecaka i wyjął aparat. Popatrzył na numer dzwoniącego i zmarszczył czoło.

– Z Waszyngtonu – mruknął.

– To na pewno dyrektor Crowe – powiedział Gray. – O niczym mu nie mów – ostrzegł Vigora. – Rozmawiaj jak najkrócej. A po rozmowie powinniśmy wyjąć baterię, aby nie mogli śledzić twojego telefonu.

Monsignore przewrócił oczami i otworzył telefon.

– Pronto – przywitał się. Słuchał przez kilka chwil, a jego czoło coraz bardziej się marszczyło. – Chi parla? – zapytał, a kiedy usłyszał odpowiedź, odwrócił się i podał telefon Grayowi.

– To Painter Crowe?

Vigor pokręcił głową.

– Lepiej porozmawiaj.

Gray wziął telefon i przyłożył go do ucha.

– Tak?

Natychmiast rozpoznał głos o egipskim akcencie.

– Mam twoją matkę i twojego ojca – oświadczył Nasser.

8

Pacjentka Zero

Na pokładzie Mistress of the Seas
6 lipca, godzina 12.42 czasu miejscowego

Monk jechał windą, w uniesionej ręce trzymał tacę z lunchem. Na jego ramieniu wisiał karabinek szturmowy. Z głośników dolatywał któryś z przebojów zespołu ABBA. Jazda z ciasnych kuchni na górny pokład trwała na tyle długo, że kiedy winda dotarła wreszcie na pierwsze piętro, Monk nucił do wtóru dobiegającej z głośników piosenki.

W końcu kabina się otworzyła i mógł uciec przed natrętną melodią. Ruszył w kierunku strażników stojących po obu stronach podwójnych drzwi na końcu korytarza. Zaczął mruzczyć pod nosem, ćwicząc malajski. Jessie zdobył gdzieś brązową farbę, którą pomazał mu twarz i dłonie, aby za bardzo nie różnił się od innych piratów – na przykład tego, którego Jessie zabił w kabine Lisy. Monk oczywiście dyskretnie wyrzucił zwłoki za burzę.

Co z oczu, to z serca.

Podobnie jak inni, owinął sobie również dolną część twarzy chustą.

Przez cały miniony dzień i noc Jessie uczył go najczęściej używanych zwrotów malajskich. Niestety, nie wystarczyło to do przebicia się przez kordon wokół Lisy. Jessie i Monk przeszukali statek i odkryli, że wszyscy naukowcy oraz ich asystenci zostali zapędzeni na jedno piętro, podczas gdy obsługa medyczna w dalszym ciągu opiekowała się zajmującymi większą część statku chorymi.

Prawdopodobnie odkryto, że Lisa jest fizjologiem, bo została odizolowana i otoczona strażnikami. Pilnowali jej wybrani piraci, a nadzorował ich przywódca całej bandy, wytatuowany Maorys Rakao. Pilnowano również centrali radiowej. Jessie dowiedział się tego wszystkiego, kiedy kilka razy wmieszał się między piratów.

Tak więc na razie musieli czekać. Frontalny atak nie wchodził w grę, bo nawet gdyby się udał, dokąd mogliby uciec? Wyskoczyć ze statku pośrodku oceanu przy prędkości trzydziestu węzłów?

Rano Monk przyjrzał się morzu. *Mistress of the Seas* krążyła między indonezyjskimi wyspami po labiryncie małych atoli, wśród tysiąca porośniętych dżunglą skalnych palców wycelowanych w niebo. Jeśli ktokolwiek uciekłby ze statku i dopłynął do którejś z wysepek, bardzo szybko zostałby złapany.

Oczywiście gdyby wcześniej w wodzie nie rozprawiły się z nim rekiny.

Trzeba było czekać.

Nie oznaczało to jednak całkowitej bezczynności.

Mógł na przykład – tak jak teraz – podać lunch.

Był to doskonały plan. Musiał przecież jakoś nawiązać kontakt z Lisą. Musiał jej przekazać, że nie jest sama, oraz – co ważniejsze – skoordynować z nią dalsze

działania, kiedy już będzie gotów. Ponieważ nie miał możliwości porozmawiania z nią, potrzebował pośrednika.

Dotarł do podwójnych drzwi, jeszcze wyżej uniósł tacę i wymamrotał coś, co miało po malajsku znaczyć: „Podano do stołu”.

Jeden ze strażników odwrócił się i walnął kolbą karabinu w drzwi. Zaraz potem zostały otwarte. Znajdujący się za nimi mężczyzna popatrzył na Monka i dał mu znak, że może wejść.

W środku czekał lokaj w liberii. Chciał wziąć tacę, ale Monk odepchnął go ramieniem. Lokaj zamachał rękami i zatoczył się do tyłu, a strażnik przy drzwiach zachichotał.

Monk wszedł do salonu. Chmura dymu unosząca się nad stojącym na balkonie fotelem wskazała mu cel.

Na fotelu siedział Ryder Blunt, ubrany w szlafrok stanowiący wyposażenie najlepszych kabin. Jego gęsta jasna czupryna przypominała mop. Palił grube cygarety i przyglądał się mijanym przez statek wyspom o stromych brzegach.

Wolność była bardzo blisko i jednocześnie nieskończenie daleko.

Ponurą atmosferę panującą na statku pogłębiał jeszcze zbierający się na horyzoncie front czarnych burzowych chmur.

Kiedy Monk podszedł bliżej, miliarder nawet nie raczył na niego spojrzeć. Może był to nawyk bogatych ludzi, którzy nigdy nie dostrzegają służby, a może pogarda wobec podającego lunch pirata. Obok niego stał mały stolik ze srebrną zastawą.

Monk pochylił się i przysunął usta do ucha Blunta.

– Proszę nic nie mówić – szepnął po angielsku. – Jestem Monk Kokkalis z misji amerykańskiej.

Miliarder wydmuchnął dym.

– Partner doktor Cummings... – mruknął. – Sądziłem, że pan nie żyje. Piraci, których za panem posłano...

– Tak... zadławili się krabami.

W otwartych drzwiach stanął lokaj.

Ryder dał mu znak, że może odejść.

– To wszystko, Peter. Dziękuję bardzo.

Monk podniósł jedną ze srebrnych pokryw i pokazał leżące na tacy radia.

– Specjalne danie dla pana i Lisy. – Opuścił pokrywę i podniósł następną. – No i oczywiście deser...

Pod pokrywą leżały dwa małe pistolety.

Miliarder ledwie zauważalnie kiwnął głową.

– Kiedy? – spytał.

– Będziemy koordynować nasze działania przez radio. Kanał ósmy. Piraci go nie używają. – On sam i Jessie używali tej częstotliwości przez cały dzień. – Może pan dostarczyć Lisie broń i radio?

– Zrobię, co się da – odparł Blunt.

– Pod trzecią pokrywą jest pudding – dodał Monk i wrócił do salonu.

Za plecami usłyszał głos zdegrustowanego Blunta:

– Co za obrzydliwość... kto daje do puddingu ryż?

Bogacze są najszczęśliwsi wtedy, kiedy mogą na coś ponarzekać.

Gdy wychodził z kabiny, jeden ze strażników zapytał go o coś po malajsku. W odpowiedzi wsadził palec do nosa i wymamrotał coś niezrozumiałego.

Na szczęście kabina windy czekała na piętrze i jej drzwi natychmiast się otworzyły. Kiedy Monk pospiesznie wszedł do środka, zaczęła się następna piosenka zespołu ABBA.

Zaterkotało radio, które miał przy pasie. Podniósł je do ust.

– Co jest?

– Spotkajmy się w kabinie – powiedział Jessie. – Właśnie tam schodzę.

Miał na myśli pustą kabinę, którą zamienili na swoją bazę.

– Co się stało?

– Coś usłyszałem. Kapitan chce dopłynąć dziś do portu. Podkręcają silniki, żeby dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Przechodzący przez wyspy front burzowy może rozwinąć się w tajfun, więc muszą się spieszyć.

– Zaraz porozmawiamy – odparł Monk, odwiesił radio i zamknął oczy.

Może wreszcie uśmiechnęło się do nich szczęście. Zaczął liczyć w myślach, nucąc przy tym *Take a Chance on Me*. Była to oczywiście piosenka zespołu ABBA.

Godzina 13.02

Lisa przyglądała się pacjentce. Kobieta ubrano w długą niebieską szpitalną koszulę i podłączono do urządzeń monitorujących. W pokoju obok czekało dwóch sanitariuszy.

Lisa poprosiła, żeby ją zostawili sam na sam z chorą.

Stała obok łóżka i walczyła z poczuciem winy.

Znała na pamięć dane pacjentki: rasa biała, metr sześćdziesiąt cztery wzrostu, pięćdziesiąt kilo wagi, oczy niebieskie, blizna po wycięciu wyrostka robaczkowego. Przebyte dawno temu złamanie lewego przedramienia. Zgromadzone przez Gildię informacje wyjaśniały nawet przyczynę złamania – wypadek na deskorolce.

Znała też wyniki badania krwi, moczu i posiewu z kału.

Przy łóżku stał stolik z tacą na instrumenty, na której ułożono narzędzia diagnostyczne: otoskop, oftalmoskop, stetoskop, endoskop. Obok na nocnym stoliku leżały wydruki EKG i EEG z ubiegłej nocy, które Lisa dokładnie przeanalizowała. Poprzedniego dnia przeczytała historię choroby oraz zapoznała się z danymi zgromadzonymi przez wirologów i bakteriologów Gildii.

Pacjentka nie znajdowała się w śpiączce, lecz w stuporze katatonicznym. Wykazywała wyraźne objawy *flexibilitas cerea*, czyli giętkości woskowej. Oznacza to elastyczny opór przy biernym zginaniu kończyny, po którego pokonaniu utrzymuje się ona w nadanej jej pozycji. Jak kończyzna manekina, nawet w bolesnych pozycjach.

Mimo że Lisa wiedziała wszystko o chorej, postanowiła zbadać ją jeszcze raz.

Tym razem jednak nie za pomocą aparatury czy testów laboratoryjnych, ale empatii.

Chciała zobaczyć kryjącego się za liczbami człowieka.

Doktor Susan Tunis była dobrze zapowiadającym się naukowcem, rozpoczynała wspaniałą karierę, miała męża, o jakim marzyła, a jej życie wyglądało bardzo podobnie do życia Lisy. Jej los stanowił przypomnienie,

jak ulotne bywają ludzkie oczekiwania, nadzieje i marzenia.

Lisa ścisnęła leżącą na cienkim kocu dłoń kobiety.

Nie było żadnej reakcji.

Otworzono drzwi prowadzące na korytarz i w sąsiednim pokoju zaczęli się krzątać sanitariusze. Po chwili do pokoju Susan wszedł doktor Patanjali.

Lisa puściła dłoń chorej i odwróciła się do szefa działu medycznego Gildii.

Surina, jego wierny cień, usiadła na krześle w pierwszym pokoju – z dłońmi skromnie splecionymi na kolanach.

Devesh Patanjali zostawił swoją laskę przy drzwiach i podszedł bliżej.

– Widzę, że dobrze się pani zapoznała z naszą Pacjentką Zero.

Lisa nie odpowiedziała. Po raz pierwszy zaczął z nią rozmowę. Wcześniej spędził wiele godzin z Henrim w laboratorium toksykologicznym i Millerem w laboratorium chorób zakaźnych. Nawet jadła sama – w swojej kabinie albo w pomieszczeniu sąsiadującym z pokojem Susan.

– A więc teraz, kiedy ma pani pełny obraz stanu mojej cennej pacjentki, co mogłaby pani na ten temat powiedzieć?

Choć się uśmiechał, za tymi słowami wyczuwało się groźbę.

Zamordowanie Lindholma było jednoznacznym komunikatem: musisz być przydatna. Devesh Patanjali oczekiwał wyników, dostrzeżenia czegoś do tej pory niedostrzeżonego, wyciągnięcia jakichś odkrywczych wniosków – i właśnie temu miało służyć pozostawienie

Lisy sam na sam z pacjentką. Nie chciał, aby się czymkolwiek zasugerowała.

Nie było to oczywiście możliwe – a przynajmniej nie w stu procentach.

Doskonale pamiętała, co powiedział: że wirus inkubuje się w ciele Susan Tunis.

Podeszła do łóżka chorej i odsłoniła jej przedramię. Z historii choroby wynikało, że przedtem całe kończyny pokrywały pęcherze i krwawiąca wysypka, ale teraz skóra była czysta. Wyglądało na to, że szczep Judasza nie tylko się inkubował.

– Ten wirus zaczął leczyć chorą – powiedziała, w pełni świadoma, że jest poddawana testowi. – Najwyraźniej postanowił odwrócić to, co wcześniej zrobił z bakteriami w jej ciele. Z jakiegoś powodu zaczął przywracać śmiertelnośc bakteriom w jej ciele ich pierwotną, dobrotliwą postać.

Patanjali kiwnął głową.

– Usuwa plazmidy, które umieścił w bakteriach. Dlaczego?

Lisa pokręciła głową. Nie była pewna, czy jej domysły są słuszne.

Patanjali znowu się uśmiechnął.

– Nam też zabiło to niezłego klina.

– Mam jedynie hipotezę – dodała Lisa.

Był wyraźnie zdziwiony.

– Naprawdę?

– Zastanowiło mnie, czemu Susan nadal pozostaje w katatonii, mimo że zaczął się proces leczenia. Przyczyny tego typu stuporu mogą być różne: uraz głowy, jakaś choroba naczyniowo-mózgowa, schorzenie

o podłożu metabolicznym, reakcja na narkotyki albo zapalenie mózgu.

Podkreśliła ostatnie dwa słowa.

Zapalenie mózgu.

– Zauważyłam też, że brakuje wyników jednego z badań... badania płynu mózgowo-rdzeniowego. Przypuszczam, że musiało zostać wykonane.

Devesh Patanjali kiwnął głową.

– *Bahut sahi*. Doskonale. Oczywiście, że zostało wykonane.

– I znaleźliście w nim wirusa Judasza?

Kolejne kiwnięcie głową.

– Powiedział pan, że wirus zaraża tylko bakterie, zamieniając je w zabójcze potwory, ale nie może bezpośrednio zaatakować komórek ludzkich. Nie wyklucza to jednak możliwości jego przedostania się do płynu mózgowo-rdzeniowego. Prawdopodobnie to właśnie miał pan na myśli, mówiąc o inkubacji. Wirusa we wnętrzu czaszki.

Patanjali westchnął, ponownie potwierdzając jej słowa.

– Najwyraźniej w jakiś sposób się tam przedostał.

– To nie dotyczy tylko tej jednej pacjentki, prawda?

– Nie, wszystkich ofiar... tych, które przeżyły atak bakteryjny.

Dał jej znak, aby podeszła do komputera, stanął przed nim i zaczął przerzucać pliki.

– Żaden organizm nie robi niczego bez określonego celu – powiedziała Lisa. – Zatrucie przez niego innych mikroorganizmów musi czemuś służyć. Biorąc pod uwagę, jak szerokie spektrum bakterii przemienia,

wybór nie może być przypadkowy. Zaczęłam się zastanawiać, co dzięki temu osiąga...

Patanjali dał jej znak, aby kontynuowała, jednak zachowywał się tak, jakby jej wnioski nie były dla niego niczym nowym. Znowu ją sprawdzał.

Lisa popatrzyła na chorą.

– Co dzięki temu osiąga? – powtórzyła. – Dostęp do zakazanego terytorium, czyli do ludzkiego mózgu. Doktor Barnhardt wspomniał, że dziewięćdziesiąt procent komórek, z których składa się nasze ciało, to przede wszystkim bakterie. Jednym z nielicznych miejsc niemal całkowicie chronionych przez zapaleniami wirusowymi czy bakteryjnymi jest wnętrze naszej czaszki. Mózg jest zawsze utrzymywany w sterylnym stanie. Aby to osiągnąć, ludzki organizm wytworzył barierę krew-mózg. Filtr, który przepuszcza tlen i składniki odżywcze, ale nic poza tym.

– Więc gdyby coś chciało się dostać do środka naszych czaszek...

– Zaatakowałyby barierę krew-mózg. Na przykład zwracając przeciwko nam znajdujące się w naszych organizmach bakterie. Osiągnięte dzięki temu osłabienie organizmu umożliwia wirusowi Judasza przecięnięcie się do płynu mózgowo-rdzeniowego.

– Jest pani zdumiewająca – mruknął Patanjali. – Wiedziałem, że powinienem pozostawić panią przy życiu. Jednak najważniejsze pytanie brzmi inaczej: dlaczego? Dlaczego ten wirus chce się dostać do naszych głów?

– Motylica wątrobowa...

Stwierdzenie to tak bardzo nie pasowało do dotychczasowego tematu rozmowy, że Patanjali drgnął.

– Słucham?

– Motylca wątrobowa to doskonały przykład determinacji natury. Cykl życiowy większości motylic obejmuje trzech gospodarzy. Ludzka motylca wątrobowa składa jaja, które opuszczają ludzki organizm wraz z kałem, spłukiwanym do kanalizacji albo dróg wodnych, a następnie zjadany przez ślimaki. Z jaj wykluwają się larwy, które wydostają się z ciał ślimaków i szukają następnego gospodarza: ryby. Ludzie zjadają ryby, a wtedy larwy dostają się do ludzkiej wątroby, gdzie przybierają dorosłą postać.

– Chce pani powiedzieć, że...

– Wirus Judasza może zachowywać się podobnie. Najbardziej chyba jednak przypomina motyliczkę, *Dicrocoelium dendriticum*. Ona także wykorzystuje trzech gospodarzy: bydło, ślimaki i mrówki. A to, czego dokonuje w stadium mrówkowym, jest naprawdę zadziwiające.

– To znaczy?

– Przebywając w organizmie mrówki, motyliczka opanowuje jej ośrodek nerwowy i zmienia jej zachowanie. Kiedy zachodzi słońce, mrówka wspina się na szczyt źdźbła trawy, zaciska na nim żuchwę i czeka, aż zostanie połknięta przez krowę. Jeżeli tak się nie stanie, o wschodzie słońca wraca do gniazda i powtarza to następnego wieczoru. Motyliczka kieruje nią jak samochodem.

– Sądzi pani, że nasz wirus robi coś podobnego?

– W pewnym sensie. Powiedziałam jednak o tym głównie po to, aby uświadomić panu, jak podstępna potrafi być natura szukająca nowych obszarów do

opanowania. Sterylny mózg człowieka to właśnie taki dziewiczy teren.

– Sądzę, że należy podążyć za tym tokiem myślenia, ale w tej beczce miodu może być też i łyżka dziegciu... – Patanjali odwrócił się do komputera, na którym ładował się film. – Wspomniałem już o tym, że wirus spenetrował płyn mózgowo-rdzeniowy wszystkich osób, które przeżyły pierwszy atak bakteryjny, prawda? A teraz proszę zobaczyć, co się dzieje, kiedy do tego dochodzi.

Wcisnął klawisz odtwarzania.

Film nie miał podkładu dźwiękowego. Ukazywał dwóch ubranych na biało ludzi, próbujących przywiązać do łóżka szarpiącego się nagiego mężczyznę o ogolonej czaszce, od którego głowy i klatki piersiowej odchodziły przewody elektrod. Walczył z pielęgniarkami, szczerząc zęby i tocząc pianę. Choć był bardzo osłabiony chorobą, a całe ciało pokrywały rany i poczerwiałe czyraki, udało mu się wyrwać jedną rękę z pasów. Dłoń o zakrzywionych jak szpony palcach złapała rękę jednego z pielęgniarzy, a pacjent wrzasnął dziko i wbił mu zęby w przedramię.

Film się skończył i Patanjali wyłączył monitor.

– Podobnie zachowuje się wielu pacjentów – powiedział. – Zwłaszcza tych, którzy mieli najwcześniejszy kontakt z wirusem.

– Może to po prostu inna postać katatonii? Stupor katatoniczny jest tylko jedną z możliwych manifestacji. – Lisa popatrzyła na Susan. – Niewykluczone, że przy tej chorobie możliwe jest również pobudzenie katatoniczne, które cechuje się skrajną nadaktywnością, zwierzęcymi wrzaskami i psychotyczną agresywnością.

Patanjali odwrócił się do leżącej na łóżku kobiety.

– Dwie strony tej samej monety... – mruknął.

– Ten mężczyzna na filmie... kto to był? – spytała Lisa.

Patanjali skinął głową w kierunku Susan.

– Jej mąż.

Lisa zeszywniała. Jej mąż...

– Mieli kontakt z wirusem w tym samym czasie. Znalezione ich na jachcie, który utknął na rafie niedaleko Wyspy Bożego Narodzenia. N.N. na dole, ten z chorobą zjadającą ciało, musiał dopłynąć do brzegu. Tych dwoje zabraliśmy z jachtu. Byli bliscy śmierci.

A więc to w ten sposób Gildia dowiedziała się o tej sprawie...

Patanjali znowu popatrzył na Susan Tunis.

– Oczywiście każe nam to postawić pytanie, dlaczego u niego wystąpiło pełne schizofreniczne załamanie, a u niej rany się goją i przez cały czas pozostaje w spokojnej katatonii. Sądzymy, że jeśli poznamy odpowiedź, mamy szansę odkryć lekarstwo.

Lisa nie zamierzała się z nim spierać, choć nie wierzyła, że Gildią kierują altruistyczne pobudki. Poszukiwali leku przeciwko wirusowi wcale nie po to, aby ratować świat. Zamierzali sprzedać szczep Judasza albo wykorzystać go jako broń, przedtem jednak musieli dokładnie go poznać i stworzyć antidotum. Oczywiście Lisa nie wątpiła, że stworzenie leku jest konieczne, pozostawał tylko jeden problem: jak to zrobić, aby nie dowiedziała się o tym Gildia?

Patanjali odwrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

– Zrobiła pani ogromne postępy, doktor Cummings. Gratuluję, ale jutro jest kolejny dzień i potrzebujemy dalszych postępów. Rozumiemy się?

Kiwnęła głową.

– Doskonale. I jeszcze jedno: właściciel statku, sir Ryder Blunt, zaprosił wszystkich do swojego apartamentu na popołudniowy koktajl. Proszę włożyć coś odpowiedniego.

Wyszedł, a Surina podążyła za nim.

Lisa pokręciła głową i odwróciła się do chorej.

– Przykro mi... – szepnęła.

Znowu ogarnęło ją poczucie winy – z powodu tego, co miało nastąpić.

Przypomniała sobie swoje myśli sprzed kilkunastu minut na temat tego, jak bardzo jej życie i życie Susan Tunis biegło równoległymi torami. Spróbowała wyobrazić sobie jej męża i jego oszalałe oczy.

Po raz nie wiadomo który zatęskniła za powrotem do domu, do Painterera.

Rozmawiała z nim rano w ramach kolejnego zaplanowanego raportu. Tym razem nie próbowała podstępować i zgodnie z oczekiwaniami Patanjalego przekazała, że wszystko jest w porządku. Kiedy odsunięto ją od nadajnika, miała w oczach łzy.

Tak bardzo potrzebowała dotyku rąk Painterera...

Istniał tylko jeden sposób, aby mogła do niego wrócić.

Musiała okazać się użyteczna.

Podeszła do tacy z instrumentami diagnostycznymi i wzięła do ręki oftalmoskop. Przed rozpoczęciem przygotowań do koktajlowego przyjęcia zamierzała sprawdzić pewną nieprawidłowość, o której nie powiedziała Patanjalemu.

Waszyngton

Godzina 2.02 czasu miejscowego

Painter zbiegał schodami, przeskakując po dwa stopnie naraz, zbyt niecierpliwy, aby czekać na windę. Zespół medycyny sądowej Sigmy pracował jeszcze w pokoju 334 hotelu Phoenix Park, przeszukując go centymetr po centymetrze. Kiedy Painter wychodził, dwóch agentów FBI spierało się o kompetencje z przedstawicielami lokalnej władzy.

Były to klasyczne zawody, kto dalej nasika.

Tak czy owak, Painter wątpił, czy uda im się znaleźć jakiegokolwiek ślady.

Godzinę temu obudzono go w pokoju dla pracowników w centrum dowodzenia Sigmy, gdzie się na chwilę położył. Wreszcie złapali trop. Sieć śledcza NSA, której zlecił wyłapywać wszystkie informacje, w których pojawiały się znane mu fałszywe nazwiska Graya oraz imiona i nazwiska jego rodziców, przechwyciła zlecenie na dostawę leku na receptę, wystawioną na nazwisko Jacksona Pierce'a. Numer ubezpieczenia społecznego się zgadzał. Był to pierwszy ślad od chwili, gdy Gray i jego grupa uciekli ze zniszczonego bezpiecznego domu.

Painter wysłał do apteki oddział szybkiego reagowania, a sam dołączył do innego, który udał się pod adres dostawy leku, do hotelu Phoenix Park. W aptece potwierdzono złożenie zamówienia, nie umiano jednak powiedzieć nic więcej, bo wysłany do hotelu pracownik jeszcze nie wrócił. Nie można też było złapać go przez telefon. Kierownik zmiany w aptece

zadzwoił nawet do Phoenix Park, ale w pokoju osoby, dla której przeznaczony był lek, nikt nie podniósł słuchawki.

Wyjaśniło się to zaraz po przybyciu Paintera do hotelu. Pokój był pusty. Goście wpisali się do księgi meldunkowej jako Fred i Ginger Rogers. Recepcjonistka powiedziała, że była to para starszych ludzi, którzy zapłacili gotówką. Najwyraźniej Gray już się odłączył od rodziców – gdyby z nimi był, nie pozwoliłby im zamówić lekarstwa.

Co sprawiło, że państwo Pierce zdecydowali się na taki ryzykowny krok? Przecież Harriet była naprawdę bystra. Jack musiał pilnie potrzebować lekarstwa, ale dlaczego nie zostali w hotelu? Czemu znowu zaczęli uciekać? Chcieli zgubić prześladowców? Skierować pościg na fałszywy trop?

Nie, Gray nigdy nie wykorzystałby rodziców w taki sposób. Kazałby im się ukryć i nie pokazywać nikomu. Najwyraźniej coś było nie tak. Zwłaszcza że nie widziano, jak starsza para wychodzi.

Nie udało się też odnaleźć pracownika apteki, który miał dostarczyć lekarstwo.

Painter otworzył drzwi klatki schodowej i wszedł do holu.

Kierownik nocnej zmiany skinął mu głową i powiedział:

– Wyjąłem kasetę z kamery nadzorującej hol. Czeka na pana.

Poszli do biura na zapleczu. Na szafce z aktami stał telewizor z wbudowanym magnetowidem.

Painter popatrzył na zegarek.

– Niech pan przewinie godzinę do tyłu.

Po chwili kierownik znalazł odpowiedni fragment. Ekran ukazywał pusty hol i kobietę siedzącą za ladą recepcji nad jakimiś dokumentami.

– To Louise – powiedział kierownik, stukając w ekran. – Jest tym wszystkim mocno wstrząśnięta.

Painter bez słowa przysunął się bliżej ekranu.

Otworzyły się drzwi holu, do lady recepcji podeszła postać w białym kitlu, pokazała recepcjonistce legitymację i ruszyła w stronę wind. Louise wróciła do pracy.

– Czy recepcjonistka widziała, jak ten człowiek wychodzi?

– Mogę zaraz...

Kiedy na biało ubrana postać stanęła przy windach, Painter zatrzymał taśmę.

Kobieta.

Nie mężczyzna, którego wysłała apteka.

Obraz na ekranie był ziarnisty, ale pozwalał dostrzec azjatyckie rysy kobiety. Painter ją rozpoznał. Widział na filmie, zrobionym w bezpiecznym domu.

Należała do zespołu Nassera.

Wyjął kasetę i odwrócił się.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – oświadczył. – Ani policja, ani FBI.

Kierownik zmiany energicznie pokiwał głową.

Painter ruszył do wyjścia, zaciskając pięści.

Chętnie by w coś uderzył.

Wiedział już, co się wydarzyło.

Nasser przechwycił rodziców Graya.

Wyprzedził ich zaledwie o kilka minut, ale o przegranie tego wyścigu nie mogli oskarżyć kreta. Powód był inny: biurokracja. Sława Seichan jako

terrorystki sprawiła, że wszyscy włączyli się do akcji i deptali sobie po palcach. Kucharek było znacznie więcej niż sześć, w dodatku wszystkie miały przepaski na oczach.

Za to Nasser mógł patrzeć zupełnie swobodnie.

Painter od wielu godzin nadziewał się na urzędnicze barykady, wzniesione dla obrony własnego terenu. Ponieważ w Sigmie trwała teraz kontrola rządowa, do działania postanowiły przystąpić inne agencje. Ta z nich, która złapie agentkę Gildii, wielką rybę wśród planktonu, znacznie się przysłuży ochronie bezpieczeństwa kraju. Tak więc wszelka współpraca zamarła, wszyscy ją tylko pozorowali.

Painter pomyślał, że jeżeli chce dopaść Nassera, musi przeciąć krępujące go więzy. Był na to tylko jeden sposób: do diabła z dyplomacją. Wyjął z kieszeni telefon.

Wcisnął klawisz szybkiego wybierania łączący z centrum dowodzenia.

Odebrał jego asystent.

– Brant, połącz mnie z dyrektorem McKnightem w DARPA. Na bezpiecznej linii.

– Oczywiście, panie dyrektorze, ale najpierw muszę panu coś przekazać... Właśnie miałem do pana dzwonić, bo przed chwilą dział komunikacji przejął dziwne wiadomości o Wyspie Bożego Narodzenia.

– Co się stało?

– Szczegóły nie są znane, ale wygląda na to, że statek turystyczny, który był wykorzystywany do ewakuacji wyspy, został porwany.

– Co?

– Jednemu z naukowców WHO udało się uciec. Użył przenośnego radia i nawiązał kontakt z przepływającym

obok niego tankowcem.

– A Lisa i Monk?

– Nie znamy szczegółów, ale informacje nadchodzą non stop.

– Zaraz przyjeżdżam – oświadczył Painter.

Rozłączył się, schował telefon do kieszeni i przeszedł przez obrotowe drzwi. Serce waliło mu jak oszalałe. Chłodne powietrze nie mogło ostudzić rozpalonej skóry.

Lisa...

Próbował przypomnieć sobie ich ostatnią rozmowę. Miała zmęczony głos, była dość spięta, najwyraźniej brakowało jej snu. Czyżby rozmawiała pod przymusem?

Nie, to zupełnie bez sensu.

Kto miałby czelność porywać statek pasażerski? W epoce nadzoru satelitarnego?

Statku tej wielkości nie da się ukryć.

Na pokładzie Mistress of the Seas Godzina 15.48 czasu miejscowego

Rozciągający się przed statkiem widok sprawił, że Monk rozdziawił usta.

Dobry Boże...

Stał na pokładzie przy prawej burcie statku i czekał na Jessiego. Przed dziobem wyrastała spowita mgłą wyspa. Z oceanu wznosiły się pionowe, zwieńczone poszarpanymi szczytami klify, nie było plaży ani portu. Wyspa wyglądała jak udrapowana pnączami i drzewami

kamienna korona, której czerń nieba nadawała szczególnie tajemniczy i groźny charakter.

Najwyraźniej statek zamierzał schronić się tu przed sztormem. W oddali widać było strugi ciemnego deszczu opadające z nisko wiszących chmur i smagające pokryte białą pianą fale. Wiatr wzmógł się jeszcze i flagi trzepotały jak szalone, a każdy, kogo trafił silniejszy podmuch, omal nie tracił równowagi.

Monk trzymał się jedną ręką relingu i zginając nogi w kolanach, amortyzował coraz częstsze podskoki statku na falach.

Co ten kapitan sobie wyobrażał?

Po chwili zwolnili, ale nie zmienili kursu. Płynęli prosto na niegościnną wyspę. Wyglądała tak samo jak setki innych, które minęli. Czym się od nich różniła?

Dlaczego unikały jej wszystkie łodzie?

Jessie dowiedział się od jednego z kucharzy – tubylca, który rozpoznał to miejsce – kilku szczegółów na jej temat. Nazywano ją Pusat, czyli Pępek. Podobno stąd właśnie pochodzili wszyscy Balińczycy i ich królowa Rangda, a jej demony – morskie potwory wciągające w głębiny niczego niespodziewające się ofiary – po dziś dzień chroniły to miejsce.

Jessie miał jednak inne wyjaśnienie tej zagadki: groźne rafy i niebezpieczne prądy.

A może chodziło o coś całkiem innego?

Z wnętrza przybrzeżnej skały wystrzeliły w ich stronę trzy ślizgacze. Niebieskie, długie, płaskie.

Kolejni piraci.

Nic dziwnego, że nikt nie miał odwagi tędy przepływać.

Obok Monka przebiegło kilku mężczyzn, krzyczących coś po malajsku. Próbował zrozumieć, o czym mówią, ale nie bardzo mu się to udało. Popatrzył na zegarek. Gdzie jest Jessie? Przydałby mu się teraz tłumacz.

Znowu spojrzął na wyspę przed statkiem.

Z czytanych w pracy raportów wiedział, że wyspy indonezyjskie są pełne jaskiń. W ich skład wchodzi ponad osiemnaście tysięcy wysp, wysepek i atoli, z których zamieszkanym jest zaledwie sześć tysięcy – tak więc pozostawało ponad dwanaście tysięcy miejsc mogących służyć piratom jako kryjówek.

Patrzył na zbliżające się motorówki, które rozjechały się na boki i zawróciły, wzbijając w niebo wysokie fontanny wody. Jedna ustawiła się tuż przed dziobem statku, a dwie pozostałe po obu stronach rufy. Po chwili dostosowały się do prędkości statku i zaczęły go eskortować.

Wprowadzały dużego brata do portu.

Kiedy podpłynęli bliżej, w klifie ukazało się wąskie pęknięcie – znajdowało się pod takim kątem, że trudno było je dostrzec z morza. Wydawało się za wąskie dla dużego statku pasażerskiego i przywodziło na myśl przysłowiowe przechodzenie wielbłąda przez ucho igielne.

Gdy dziób statku wsunął się między kamienne ściany, jego prawa burta zawadziła o skałę i statek zadygotał. Monk musiał gwałtownie odskoczyć do tyłu, bo występ skalny zmiażdżył i oderwał wiszące tuż przy nim dwie szalupy ratunkowe, których resztki posypały się do wody.

Statek jęczał i zgrzytał.

Monk wstrzymał oddech, na szczęście przeciskanie się między skałami nie trwało zbyt długo. Po kilku sekundach przesmyk się otworzył, *Mistress of the Seas* wysunęła się z kamiennego wąwozu i wypłynęła na szeroką otwartą lagunę.

Monk wrócił do relingu i rozejrzył się.

Nic dziwnego, że nazywano to miejsce Pępkiem – atol był szczytem krateru dawno wygasłego wulkanu, zalanego przez wodę. Jego poszarpane ściany otaczały lagunę, tworząc widoczną z zewnątrz „koronę”. Od wewnątrz były mniej strome, porośnięte bujną dżunglą, poprzecinane wodospadami i zakończone u podnóża piaszczystymi plażami. Naprzeciwko wejścia do laguny znajdowało się skupisko pokrytych palmowymi liśćmi chat i baraków z desek. Na wodę wychodziły dziesiątki drewnianych i kamiennych pomostów. Przy samym brzegu naprawiano łodzie – niektóre z nich były przerdzewiały niemal na wylot.

Na spotkanie statku wypłynęły kolejne motorówki.

Monk spojrział w górę, bo kiedy wpłynęli do laguny, światło zaczęło nagle przygasać, jakby wiatr nawiał sztormowe chmury.

Ale to nie chmury rzucały cień na lagunę.

Ktoś nieźle się napracował, pomyślał Monk.

Na wylot wulkanicznego stożka zarzucono sieć. Składała się ona z mnóstwa kawałków i sprawiała wrażenie bardzo starej. Część z nich była wykonana z metalu i podtrzymywały je stalowe liny i kratownice, przeciągnięte od jednego skalnego szczytu do następnego, inne zostały zrobione z konopnych lin i sieci, a najstarsze z poskręcanej trawy i słomy. Cała ta konstrukcja przykrywała lagunę niczym zrobiony na

drutach dach, kunsztownie zakamuflowany liśćmi, pnąciami i gałęziami. Dzięki niej wewnątrz atolu nie było widoczne z powietrza i nawet obserwatorom z nisko przelatującego samolotu prawdopodobnie wydawałoby się, że to porośnięta dżunglą wyspa.

Teraz sieć zasłoniła *Mistress of the Seas*, ukrywając ją przed ciekawskimi oczami.

Niedobrze...

Silniki przestały pracować i statek zaczął dryfować. Kiedy rzucono kotwice, Monk poczuł pod stopami szarpnięcie i delikatne drżenie.

Jego uwagę przyciągnęło jakieś zamieszanie w okolicy dziobu.

Powoli ruszył w tamtą stronę. Mijający go piraci wysoko unosili karabinki i radośnie pokrzykiwali.

– To nie może oznaczać nic dobrego... – mruknął pod nosem Monk.

Zachowując bezpieczną odległość, podszedł do zebranego wokół basenu tłumu. Ryczała bahamska muzyka, spuścizna po Bobie Marleyu i jego rastafariańskich gitarowych riffach. Większość piratów trzymała butelki piwa, whisky lub wódki – w zależności od upodobań. Wszystko wskazywało na to, że zaczyna się powitalne przyjęcie połączone z grami i zabawami.

Uwaga piratów koncentrowała się na prawej burcie. Potrząsano triumfalnie karabinkami i pięściami, raz po raz rozlegały się zachęcające okrzyki. Ktoś odkręcił trampolinę i wystawił ją za reling. Z tłumu wyciągnięto mężczyznę ze związanymi za plecami rękami. Był pobity – krwawił z nosa i miał rozcięte wargi.

Pchnięty przez kogoś w tamtą stronę, Monk kątem oka dostrzegł profil więźnia.

O nie...

Jessie bełkotał coś po malajsku, lecz nikt go nie słuchał. Zmuszono go do podejścia do relingu i wejścia na trampolinę. Piraci najwyraźniej zamierzali go ukarać.

Chłopak trząsł się cały, ale doszedł do końca deski.

Monk postąpił krok ku niemu.

Jednak między nim i młodym pielęgniarzem stało zbyt wielu bandytów. Co mógł zrobić? Gdyby próbował się do niego przebić, obaj by zginęli.

Nie powinienem był wciągać dzieciaka w całe to zamieszanie, pomyślał. Rozstali się godzinę temu, bo Jessie zamierzał poszukać mapy tego regionu. Ktoś powinien ją mieć – piraci musieli przecież zdobywać zapasy i prawdopodobnie przywozili je z niezbyt odległej okolicy. Monk nakazał chłopakowi ostrożność, on jednak pomaszerował jak na bal, z rozradowanym spojrzeniem.

To musiało się źle skończyć.

Jessie krzyknął i spadł z trampoliny, twardo uderzając w wodę.

Monk wraz z piratami podszedł do relingu i zatrzymał się w wyjąłym, pohukującym i klnącym tłumie. Dokoła niego robiono zakłady i śmiano się głośno.

Kiedy chłopak się w końcu wynurzył, Monk wypuścił z płuc długo wstrzymywane powietrze. Jessie płynął na plecach, ciężko dysząc i waląc nogami. Dwóch piratów wycelowało do niego z karabinków.

Boże...

Rozpięta nad ich głowami siatka rezonowała, co sprawiało, że odgłosy wystrzałów zabrzmiały bardzo głośno.

W górę trysnęły małe fontanny wody – tuż przy stopach młodego pielęgniarza.

Wokół Monka rozległy się kolejne śmiechy.

Dzieciak kopał i wił się, próbując oddalić się od statku.

Nie miał szans dotrzeć do brzegu.

Jeden z niebieskich ślizgaczy skierował się prosto na niego, ale w ostatnim momencie skręcił w bok, ochlapując pływaka.

Jessie wypluł wodę. Sprawiał wrażenie raczej rozzłoszczonego niż przestraszonego.

Płynął na plecach, kopał wodę, a związanych rąk używał jako steru.

Jednak motorówki były znacznie szybsze.

Po chwili kolejna łódź skręciła w jego stronę.

Siedzący w niej pirat uniósł broń i kiedy motorówka mijala chłopaka, puścił serię między nim a statkiem.

Monk się skulił. Było jasne, że Jessie tym razem nie ma szans.

Jednak kiedy ślizgacz pomknął dalej, chłopak wciąż płynął. Kaszlał i pluł wodą, ale nadal wytrwale kopał nogami.

Piraci wydali okrzyk radości.

Monk z całej siły zaciskał dłoń na relingu.

Czemu ci cholerni idioci przedłużają tę torturę?

To wszystko jest jego winą...

Chłopak płynął teraz na boku, próbując się zorientować, ile mu jeszcze zostało do brzegu.

Motorówka zawróciła.

Jessie przyspieszył i musiał poczuć pod stopami piasek, bo stanął, przebiegł parę kroków, przewrócił się, kawałek popęzł, podniósł się i skoczył do brzegu. Po

chwili biegł przez plażę do dżungli, wysoko unosząc kolana.

Biegnij, biegnij, chłopcze...

Ślizgacze przemknęły wzdłuż brzegu i Jessiego znowu ostrzelano. W górę wypryskiwały fontanny piasku i rozerwane kulami liście. Chłopak zrobił jeszcze kilka kroków i zniknął między drzewami.

Buchnęły radosne okrzyki mieszające się z odgłosami niezadowolenia i pieniądze zaczęły przechodzić z rąk do rąk.

Monk dźgnął palcem swojego sąsiada.

– *Apa?* – spytał.

Ponieważ piraci stanowili zbieraninę tubylców i pościąganych z różnych miejsc najemników, Monk wiedział, że jego „malajski dla początkujących” przejdzie.

Stojący obok niego mężczyzna nie miał kilku zębów, ale z przyjemnością ukazywał w szerokim uśmiechu te, które mu pozostały. Wskazał palcem brzeg i rosnący wyżej las. Nad drzewami widać było smużki dymu.

– *Pemakan daging manusia* – wyjaśnił.

Dzięki, stary.

Pirat musiał się zorientować, że Monk nic nie zrozumiał, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej i dodał:

– *Kanibals*.

Było to jedno z niewielu malajskich słów, które Monk znał. Popatrzył na pustą plażę, a potem na smugi dymu w lesie. Najwyraźniej piraci dzielili wyspę z plemieniem kanibali. Jak dobrzy gospodarze wracający do domu, rzucili swoim służącym kość.

Pirat stojący obok niego coś jeszcze mówił i Monk wyłapywał pojedyncze słowa.

– ...szczęście... w nocy... źle...

Mężczyzna wygiął palce dłoni w szpony i pantomimicznie pokazał, jak wbija w coś pazury i przyciąga do siebie.

– *Iblis*.

Było to malajskie przekleństwo.

Monk słyszał je bardzo często, uznał jednak, że tym razem pirat użył go w jego pierwotnym znaczeniu.

Demon.

– *Raksasa iblis* – powtórzył pirat i dodał szeptem: – Rangda.

Monk zmarszczył czoło. Pamiętał opowieść Jessiego. Było to imię balijskiej królowej czarownicy, której demony straszyły na tutejszych wodach.

– W nocy... – wymamrotał pirat i wskazał na wodę. – *Amat, amat buruk*. Źle, bardzo źle.

Monk westchnął i z niepokojem spojrział w stronę lasu, w którym zniknął Jessie.

Demony i kanibale.

Co będzie dalej? Club Med?

Hagia Sophia

Stambuł

6 lipca, godzina 9.32 czasu miejscowego

– Jeżeli nie wykonasz dokładnie moich poleceń, zabiję twoich rodziców – oświadczył Nasser.

Gray tak mocno ścisnął telefon, że omal go nie zgniótł.

– Jeśli cokolwiek im się stanie...

– Stanie się. Obiecuję. Będę ci przysyłał kawałki.

Pocztą.

Gray odwrócił się plecami do pozostałych. Musiał się skupić.

– Jeżeli spróbujesz skontaktować się z Sigmą, dowiem się o tym i zostaniesz ukarany – dodał Nasser. – Krwią swojej matki.

Żołądek Graya zwinął się w supeł.

– Ty draniu... chcę dowodu, że oboje żyją... i że nic im nie jest...

Nasser nie odpowiedział, jednak po chwili słuchawkę przejęła matka Graya.

– Gray? – zapytała. – Wybacz mi, ale ojciec bardzo potrzebował lekarstwa.

– Nieważne – odparł Gray spokojnym głosem, choć wewnątrz cały dygotał. – Wszystko z tobą w porządku? I z tatą?

– Z nami... tak... Gray...

Zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, wyrwano jej słuchawkę z ręki i na linię powrócił Nasser.

– Twoi rodzice znajdują się pod opieką mojej przyjaciółki Annishen. Poznaliście się chyba w bezpiecznym domu w Waszygtonie.

Gray dobrze pamiętał kobietę z farbowanymi krótkimi włosami i tatuażami.

Azjatka Anni.

– Spotkamy się w Turcji – powiedział Nasser. – Punkt dziewiętnasta. Nie ruszaj się z miejsca, w którym w tej chwili jesteś.

Gray popatrzył na zegarek. Do dziewiętnastej brakowało ponad dziewięciu godzin.

– Moi ludzie są już w Sultanahmet i zbliżają się do ciebie, więc nie próbuj być zbyt sprytny. Śledzimy telefon monsignore Verony, odkąd opuścił Włochy.

Nagły wyjazd Vigora z Watykanu musiał zapalić kilka czerwonych lampek, ale Gray nie mógł mieć do niego o to pretensji, bo monsignore nie działał na tym samym co on poziomie paranoi. Niewielu ludzi mogło mu w tym zakresie dorównać. Poza tym sam także popełnił błąd.

Zostawił rodziców samym sobie.

– Chciałbym teraz porozmawiać z Seichan – oświadczył Nasser.

Gray machnął na nią. Wyciągnęła rękę, aby wziąć od niego telefon, ale nie puścił aparatu. Musiał słyszeć ich rozmowę.

– Czego chcesz, Amenie? – spytała, zwracając się do Nassera po imieniu.

– Ty dziwko... za tę zdradę będziesz cierpieć jak...

– Wiem, wiem, zabijesz mojego psa i skopiesz kota. Wiem, o co ci chodzi, skarbie. – Seichan westchnęła i powietrze wydobywające się z jej ust połaskotało Graya w kark. – Obawiam się jednak, że będziemy musieli się pożegnać. Kiedy przyjedziesz, mnie już dawno tu nie będzie.

Gray popatrzył na nią z niepokojem. Uniosła dłoń i pokręciła głową. Wcale nie zamierzała uciekać.

– Moi ludzie już was otoczyli – ostrzegł ją Nasser. – Jeśli spróbujesz uciec, wpakują ci kulkę między oczy.

– Nie szkodzi – odparła. – Kiedy tylko nasza pogawędka się skończy, znikam z tego cholernego kościoła. – Popatrzyła znacząco na Graya i wskazała palcem Hagię Sophię. – I tak nie zrobiliśmy żadnych postępów. Zbyt wiele tu malowideł. Hagia Sophia jest twoja, kochany. Nie zobaczysz mnie nigdy więcej.

Gray nie bardzo rozumiał, czemu kłamie.

– Nie ujdiesz nawet dziesięciu kroków! – wycedził z wściekłością Nasser. – Obstawilem wszystkie wejścia.

Seichan przewróciła oczami i popatrzyła na Graya.

– Wiem, wiem, Amenie. Ciao, mój drogi. Buziaczki.

Oddała aparat Grayowi, dając mu znak, żeby był ostrożny.

– Co jej powiedziałaś? – warknął do telefonu Nasser. – Właśnie złapała broń i wyszła z kościoła. Co ty i ta dziwka knujecie?

Seichan uśmiechnęła się lekko i kiwnęła głową.

Słuchając potoku przekleństw Nassera, Gray myślał gorączkowo. Musiał odrzucić emocje i poczucie winy

i spróbować zrozumieć intrygę Seichan.

Popatrzył jej w oczy. Gildia może i śledziła telefon Vigora, ale ich triangulacja nie była zbyt dokładna. Twierdząc, że są w Hagii Sofii, Seichan właśnie to sprawdziła. Gildia wiedziała, że są w starej dzielnicy Stambułu, ale nie miała pojęcia, w którym miejscu.

Przynajmniej na razie.

Popatrzył na potężny budynek z gigantyczną kopułą, otoczony czterema minaretami.

– Co robisz w Hagii Sophii? – spytał Nasser.

Gray musiał szybko podjąć decyzję, ile może ujawnić. Musiał być przekonujący, a najbardziej wiarygodnie się wypada, kiedy zdradza się odrobinę prawdy.

– Szukamy klucza Marca Polo – odparł. – Monsignore Verona odszyfrował znajdujący się w Watykanie napis, który doprowadził nas właśnie tutaj.

– Więc Seichan zdradziła ci, czego szukamy... – Kolejne przekleństwo. – Skoro pozwoliłeś jej uciec, będę musiał ci pokazać, jak poważnie traktujemy tę sprawę.

Była to wyraźna groźba skierowana pod adresem jego rodziców.

– Seichan już się nie liczy – powiedział szybko. – Mam to, czego szukasz. Anielski kod z egipskiego obelisku. Kopię.

Kiedy odpowiedziała mu cisza, wyobraził sobie, jak tamten z zadowoleniem uśmiecha się szeroko. Zdobycie anielskiego kodu było dla niego znacznie ważniejsze od ukarania Seichan.

– Bardzo dobrze, komandorze Pierce – powiedział w końcu Nasser. W jego głosie nie było ani śladu napięcia sprzed chwili. – Współpracuj z nami dalej w ten sposób, a twoi rodzice w spokoju dożyją swoich dni.

Spotkamy się w Hagii Sophii punkt dziewiętnasta. Jeśli masz ochotę, nadal szukaj klucza Marca Polo, ale pamiętaj, że przy każdym wyjściu mam snajpera.

Gray z trudem stłumił śmiech.

– Jeżeli zamierzasz zastawić na mnie jakąkolwiek pułapkę, pamiętaj, że co godzina będę kontaktował się z Annishen – dodał Nasser. – Jeśli spóźnię się z telefonem choćby o minutę, zaczniesz od palców stóp twojej matki.

Połączenie zostało przerwane.

Gray zamknął telefon.

– Musimy iść do Hagii Sophii, zanim ludzie Gildii namierzą nasze prawdziwe miejsce pobytu – oświadczył.

Zaczęli szybko zbierać swoje rzeczy.

– To było dość ryzykowne – stwierdził Gray, patrząc na Seichan.

Wzruszyła ramionami.

– Jeżeli chcesz wyjść z tego żywy, nie wolno ci nie doceniać Gildii. Jest potężna, ma wielu sprzymierzeńców, ale nie wolno jej też przeceniać. Wykorzystuje przekonanie przeciwników, że jest wszechmocna, osłabiając w ten sposób morale wroga. Nie wolno się temu poddać. Bądź cały czas skoncentrowany na tym, co robisz. Bądź ostrożny, ale używaj głowy.

– A jeśli się pomyliłaś?

– Na pewno nie.

Gray wziął dwa głębokie oddechy, próbując się uspokoić. Gdyby się pomyliła, zapłaciliby za to jego rodzice.

– Poza tym naprawdę muszę stąd zniknąć i potrzebowałam pretekstu. Was dwóch Nasser zachowa przy życiu, bo jesteście mu potrzebni. Wierzy, że mając

twoich rodziców, będzie cię mógł ujeźdzać jak starą kobyłę. Jednak mnie natychmiast by zastrzelił... jeśli miałabym szczęście. Potrzebowałam strategii, która pozwoliłaby mi ocalić życie i dawała swobodę działania. Może będę miała okazję wam pomóc.

Gray z trudem opanował złość. Zagrożeni byli jego rodzice, nie jej. Ale podjęła tę decyzję z zimną głową i rzeczywiście bardziej mogła się im przydać, pozostając poza zasięgiem Nassera.

Chociaż...

Seichan się odwróciła.

– Będę potrzebowała tego typu – oświadczyła.

– Kogo? Mnie? – zdziwił się Kowalski.

– Jak powiedziałam, Nasser będzie chciał mnie zastrzelić, jak tylko się tu zjawi. Ciebie prawdopodobnie też.

– Dlaczego? – zdziwił się wielkolud. – Nic mu nie zrobiłem.

– Jesteś bezużyteczny.

– Hola!

Zignorowała go.

– Dopóki ma państwa Pierce'ów, nie potrzebuje więcej zakładników. Utrzymywanie cię przy życiu nie ma dla niego sensu.

Gray uniósł dłoń.

– A jeżeli wie, że Kowalski jest z nami?

Seichan wzruszyła ramionami i popatrzyła mu w oczy.

Po chwili zrozumiał, co chce mu przekazać.

Nie przeceniaj Gildii.

Niełatwo było mu przyjąć takie nastawienie, ale nie mógł pozwolić, by strach sparaliżował jego działania.

Biorąc pod uwagę wszystkie aspekty, Seichan miała rację.

Odwrócił się do Kowalskiego.

– Pójdiesz z nią.

– Dobrze go wykorzystam – powiedziała Seichan i poklepała byłego marynarza po plecach.

– Przynajmniej ty uważasz, że mogę być do czegoś przydatny... – mruknął Kowalski.

Ruszyli na dół, Seichan i Gray na końcu. Kiedy dziewczyna próbowała go minąć, złapał ją za ramię.

– Co zamierzasz? Naprawdę chcesz nam pomóc?

– Jeszcze nie wiem...

Popatrzyła mu w oczy. Jej oddech był przyspieszony, a wargi lekko drżały. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale nie miała odwagi.

– O co chodzi? – spytał łagodnie.

Westchnęła.

– Gray... przykro mi... – Odwróciła wzrok. – Twoi rodzice...

W jej oczach ujrział nie tylko niepokój, ale także poczucie winy. Dlaczego? Poczucie winy najczęściej wynika z odpowiedzialności, a przecież Seichan pojawiła się w życiu jego rodziców zupełnie przypadkowo... Skąd więc ten nagły przypływ wyrzutów sumienia?

Analizował różne warianty i możliwości, przypominał sobie swoje ostatnie rozmowy z Nasserem i Seichan. Co mogło ją dręczyć?

Nagle w jego głowie zapaliło się zielone światełko.

Przecież powiedziała mu to przed chwilą.

Nie przeceniaj Gildii.

Zacisnął palce na jej ramieniu, pchnął ją na ścianę i przysunął się tak blisko, że ich usta niemal się zetknęły.

– A niech cię cholera... – wycedził. – W Sigmie nie ma kreta. Nigdy go nie było.

Otworzyła usta, ale nie pozwolił jej nic powiedzieć.

– Nasser ostrzegł mnie, żebym nie kontaktował się z Sigmą. Dlaczego? Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wiem o krecie Gildii w Sigmie, czemu mi więc groził? – Potrząsnął Seichan. – Chyba że tego kreta wcale tam nie ma...

Szarpnęła się i usiłowała odtrącić jego rękę, ale ścisnął ją jeszcze mocniej.

– Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Po zakończeniu tego wszystkiego – odparła i westchnęła z irytacją. – Jednak po porwaniu twoich rodziców doszłam do wniosku, że nie mogę utrzymywać tego dłużej w tajemnicy... jeżeli istnieje jakakolwiek szansa ich uwolnienia. Nie jestem aż tak bezduszna.

Próbowała się odwrócić, ale nie pozwolił jej na to.

– Skoro w Sigmie nie ma kreta, skąd Nasser wiedział o bezpiecznym domu?

– To była pomyłka w mojej kalkulacji. Więcej ci nie powiem. Musisz mi zaufać, że działałam w dobrej wierze.

– Zaufać? Tobie? – prychnął.

Spojrzała na niego z urazą.

– Gdybym od początku miał wsparcie Sigmy...

– Poszedłbyś kiblować, Gray. A ja siedziałabym w sąsiedniej celi, kompletnie bezużyteczna. Musieliśmy wiać jak najszybciej. Dlatego pozwoliłam ci wierzyć w to, w co wierzyłeś.

Przez chwilę obserwował jej twarz, szukając zdradzieckiego drgnięcia, czegoś, co świadczyłoby o tym, że to tylko kolejne kłamstwo. Ale nic takiego nie znalazł. Odwzajemniała jego spojrzenie, patrzyła mu prosto w oczy. Nie próbowała ukrywać, że pozostawiła wiele niedopowiedzeń.

Wyszczrzył zęby jak wilk i w myślach sklął się za to, że nie był ostrożniejszy.

– Powinienem zostawić cię do odstrzału Nasserowi.

– Kto by ci wtedy osłaniał tyły? Kogo tu masz do pomocy? Kowalskiego? Nie możesz na nim polegać. Masz tylko mnie, więc pogódź się z realiami. Możemy się dalej kłócić i marnować czas, jaki pozostał ci na telefon do Sigmy, albo możemy wyjaśnić sobie wszystko później.

– Wskazała głową drzwi. – W holu hotelowym jest telefon. Także dlatego chciałam, aby Nasser sądził, że jesteśmy gdzie indziej. W tej chwili prawdopodobnie ma na podsłuchu wszystkie telefony publiczne w Hagii Sophii, ale ten tutaj powinien być bezpieczny. Musisz się jednak streszczać... mamy coraz mniej czasu.

Gray puścił ją i lekko odepchnął od siebie, pozwalając jej odejść.

Po jej twarzy ponownie przemknął cień urazy.

A czuj się urażona, pomyślał z mściwą satysfakcją.

Gdyby wiedział, że w Sigmie nie ma kreta, skontaktowałby się z Painterem już na samym początku i zorganizował dla ojca i matki bezpieczną kryjówkę.

Seichan przeciągnęła dłonią po twarzy.

– Ja też sądziłam, że twoi rodzice będą bezpieczni – powiedziała ze zmęczeniem w głosie. – Naprawdę.

Miał ochotę rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nie tylko dlatego, że był

wściekły, ale także dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż nie ma prawa wyładowywać złości na Seichan.

To przecież on najbardziej zawinił, pozostawiając rodziców samym sobie.

Waszyngton

Godzina 3.04 czasu miejscowego

– Dyrektorze, mam na bezpiecznej linii rozmowę ze Sztambułu.

Painter uniósł wzrok znad ekranu i spojrzał na szefa zespołu komunikacji. Kto mógł dzwonić ze Sztambułu?

Przez ostatnią godzinę wykłócał się z kierownictwem Narodowego Biura Rozpoznania i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, próbując uzyskać dostęp do ich systemu nadzoru satelitarnego ECHELON i nadać najwyższy priorytet poszukiwaniom wokół Wyspy Bożego Narodzenia. Tak odległe miejsce, w dodatku słabo zaludnione, było zaszeregowane do kategorii niskiego ryzyka i nie nadzorowano go w systemie ciągłym. W końcu udało mu się przekonać Ośrodek Połączonej Obrony w Pine Gap, w Australii, aby skierował na interesującą go okolicę obiektywy jednego ze swoich satelitów. Transmisja miała się zacząć za czternaście minut.

– To komandor Pierce, panie dyrektorze – powiedział szef działu komunikacji.

Painter odwrócił się na krześle i wziął od niego słuchawkę.

Co to miało znaczyć?

– Mówi Crowe. Gdzie jesteś?

Głos Graya był bardzo cichy.

– Nie mam zbyt wiele czasu, dyrektorze, a chcę przekazać sporo informacji.

– Słucham.

– Po pierwsze: moi rodzice zostali porwani przez agenta Gildii.

– Wiemy o tym. Porwał ich Amen Nasser. Trwają już poszukiwania.

Po drugiej stronie zapadła pełna zaskoczenia cisza.

– Musi się pan jak najszybciej skontaktować z Lisą i Monkiem – dodał po chwili Gray. – Są w Indonezji i znajdują się w niebezpieczeństwie.

– O tym też wiemy. Właśnie próbuję doprowadzić do przelotu satelity nad tym regionem. Jeżeli skończyłeś mówić o rzeczach, o których już wiemy, może opowiesz, co się z tobą dzieje?

Gray wziął głęboki wdech i szybko streścił wszystko, co się wydarzyło, odkąd Seichan ponownie pojawiła się w jego życiu. Painter zadał mu kilka pytań i poszczególne kawałki zaczęły do siebie pasować jak elementy puzzli. Czekał na odpowiedź NSA, już wcześniej skojarzył kilka faktów i zaczął podejrzewać, że w wydarzenia rozgrywające się wokół Wyspy Bożego Narodzenia może być zamieszana Gildia. Któż inny mógłby wywieźć mieszkańców wyspy i zniknąć? Gray potwierdził jego przypuszczenia i nawet wyjaśnił, co było tego przyczyną.

Wirus Judasza.

Painter wyciągnął z łóżka i ponownie wezwał do biur działu badawczo-rozwojowego doktora Malcolma

Jenningsa. Jadąc z miejsca porwania do centrali Sigmy, po raz kolejny przeanalizował swoje rozmowy z Lisą. Rozmawiała z nim pod przymusem, więc wszystko, co powiedziała, musiało być wzięte pod lupę. Na przykład stwierdzenie, że choroba, która tak ją zaniepokoiła, okazała się fałszywym alarmem. Dobrze pamiętał słowa Jenningsa, że grozi im zniszczenie środowiska naturalnego całej planety. A także jego ostatnie, mrożące krew w żyłach stwierdzenie: „Ciągle nie wiemy, co zabiło dinozaury...”.

Coś takiego musiało zainteresować Gildię.

Podejrzał też, że nagłe pojawienie się Seichan i zniknięcie Graya może mieć związek z wydarzeniami w Indonezji. Dwie doskonale zorganizowane akcje Gildii, uderzającej w tym samym czasie w dwóch miejscach... Painter nie wierzył w przypadki i wiedział, że obie te sprawy muszą mieć ze sobą coś wspólnego. Nigdy by się jednak nie domyślił, co naprawdę je łączy.

– Marco Polo? – powtórzył z niedowierzaniem, kiedy Gray mu to powiedział.

Gray przytaknął i dodał:

– Gildia działa na dwóch frontach: naukowym, które bada wybuch choroby, szukając źródła i lekarstwa. W tym samym czasie...

– ...historyczny bada trop Marca Polo, również prowadzący do źródła choroby i leku – dokończył Painter.

Było to przerażające, ale logiczne.

– A teraz Nasser wybiera się do Stambułu... – mruknął po chwili Painter.

– Prawdopodobnie już jest w powietrzu.

– Mogę w ciągu kilku godzin zmobilizować znajdujących się tam naszych ludzi i przygotować sprzęt.

– Nie, bo Gildia natychmiast się o tym dowie. Według Seichan Sambuł to jedno z głównych miejsc ich aktywności. Są tu we wszystkich agencjach. Jeżeli zauważą, że mobilizuje pan siły, będą wiedzieli, że ze sobą rozmawialiśmy. Moi rodzice... nie może pan. Będę musiał sam zająć się Nasserem.

– Dużo ryzykujesz. Sigma jest zagrożona. Zrobię, co w mojej mocy, aby nic nie przeciekło, ale ten kret u nas...

– Dyrektorze, w Sigmie nie ma kreta.

Painter potrzebował dłuższej chwili, aby rozważyć, czy Gray może mieć rację.

– Jesteś pewien? – spytał w końcu.

– Wystarczająco, aby stawiać na to życie moich rodziców.

Painter uwierzył. W jednej chwili odpłynęła cała frustracja wywołana międzyagencyjnymi sprzeczkami. Skoro nie mieli kreta...

– Nie mogę ryzykować dłuższego pozostawania na linii – powiedział Gray, którego głos ciągle odpływał. – Muszę ruszać. Podążę tym tropem i zobaczę, dokąd mnie doprowadzi.

Jego głos znowu na chwilę ucichł i Painter sądził, że Gray się rozłączył, ale po kilku sekundach komandor odezwał się ponownie:

– Dyrektorze, proszę odnaleźć moich rodziców.

– Znajdę ich, Gray, możesz być tego pewien. Kiedy już będę ich miał, Vigor dostanie telefon od siostrzenicy.

Rachel zadzwoni trzy razy, a potem się rozłączy. To będzie sygnał, że twoi rodzice są bezpieczni.

– Dziękuję, dyrektorze.

Gdy połączenie zostało przerwane, Painter opadł na oparcie fotela.

– Panie dyrektorze, za dwie minuty będziemy mieli obraz – poinformował go oficer odpowiedzialny za komunikację.

Stambuł

Godzina 10.15 czasu miejscowego

Choć Gray wiedział, że powinien się spieszyć, na widok ogromnego kościoła musiał zwolnić kroku.

– Robi wrażenie, prawda? – powiedział Vigor.

Tę monumentalną bizantyjską budowlę wielu ludzi uważa za ósmy cud świata. Wzniesiona na wzgórzu, na którym znajdowała się przedtem świątynia Apollina, dominuje nad błękitną taflą morza Marmara i dużą częścią Stambułu. Jej najwspanialszy element, potężna bizantyjska kopuła mająca wysokość dwudziestu pięter, błyszczała w porannym słońcu jak polerowana miedź. Od wschodu i zachodu otaczały ją półkopyły i kopuły mniejszych budynków, co sprawiało, że budowla wydawała się znacznie szersza.

Vigor wskazał wielki łuk nad głównym wejściem i rozpoczął kolejny odcinek swojego wykładu o historii.

– To Wrota Królewskie. Kiedy w pięćset trzydziestym siódmym roku cesarz Justynian Pierwszy Wielki

wchodził do kościoła przez tę bramę, zawołał: „Salomonie, prześcignąłem cię!”. Przez te same wrota wszedł w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku, po zdobyciu Konstantynopola, jak wówczas nazywano Stambuł, sułtan Mehmed Zdobywca, twórca imperium osmańskiego, by w imieniu islamu przejąć największy przybytek religijny świata. Historycy twierdzą, że zanim wszedł do środka, na znak pokory posypał głowę ziemią. Świątynia wywarła na nim tak wielkie wrażenie, że jej nie zniszczył, ale zamienił w meczet.

Zatoczył łuk ramieniem, wskazując cztery wysokie jak rakiety kosmiczne minarety, wznoszące się w każdym rogu terenu otaczającego Hagię Sophię.

– Teraz jest tu muzeum – zauważył Gray.

– Tak, od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku – przyznał Vigor i wskazał ustawione przy południowej ścianie rusztowanie. – Od tego czasu niemal bez przerwy trwają tu prace konserwatorskie, i to nie tylko na zewnątrz. Kiedy Mehmed kazał zamienić kościół na meczet, pokryto tynkiem chrześcijańskie mozaiki, bo islam nie pozwala przedstawiać ludzkich postaci. W ostatnich dziesięcioleciach powoli się je odsłania, próbując jednocześnie zachować zabytki dawnej sztuki islamskiej z piętnastego i szesnastego wieku: kaligraficzne teksty i dekoracyjne pulpity. Trzeba było sprowadzić tu specjalistów z wielu dziedzin architektury i sztuki. Konsultowano także wszystko z Watykanem.

Wykorzystując tłumy turystów, poprowadził ich do wejścia.

– Pomyślałem sobie, że też mógłbym ściągnąć tu kogoś znajdującego się na konserwacji dzieł sztuki, kogoś,

z kim kuratorzy Hagii Sophii konsultowali się w przeszłości – dodał.

Gray przypomniał sobie, że monsignore już wcześniej wspomniał o wysłaniu kogoś, aby rozpoczął poszukiwania jeszcze przed ich przybyciem.

Kiedy dotarli do wejścia, zobaczyli, że w otwartych drzwiach stoi potężny brodaty mężczyzna, blokujący strumień turystów. Opierając pięści na biodrach, przypatrywał się przechodzącym obok niego ludziom. Kiedy ujrzał Vigora, uniósł rękę.

Vigor dał mu znak, aby wszedł do środka kościoła.

Gray również chciał jak najszybciej ukryć się w mroku. Nie wiadomo, czy tropiciele Gildii już ich nie namierzyli. Dopóki jego rodzice nie zostaną uwolnieni, nie zamierzał w żaden sposób nadeptywać Nasserowi na odciski, nie chciał też dopuścić do tego, aby przestał wierzyć w słowa Seichan.

Przechodząc przez drzwi, rzucił za siebie okiem, ale nie dostrzegł ani Seichan, ani Kowalskiego. Oboje rozdzielili się natychmiast po opuszczeniu hotelu. Seichan kupiła telefon na kartę i Gray zapamiętał jego numer. Był to teraz jedyny sposób skontaktowania się z nią w razie potrzeby.

– Komandor Gray Pierce – przedstawił go Vigor brodatemu mężczyźnie. – A to mój przyjaciel Balthazar Pinossa, dziekan wydziału historii Uniwersytetu Gregoriańskiego.

Dłoń Graya zniknęła w potężnej łapie Pinosso. Musiał mieć jakieś dwa metry i dziesięć centymetrów wzrostu.

– Balthazar jako jeden z pierwszych odkrył w Wieży Wiatrów wiadomość od Seichan i pomógł mi ją odczytać. Jest zaprzyjaźniony z kuratorem tutejszego muzeum.

– Sporo przed nami pracy – zadudnił barytonem Pinosso i ruszył w stronę głównej nawy. Wskazał przed siebie. – Mamy do przeszukania ogromną powierzchnię.

Odsunął się na bok i oczom przybyszy ukazał się niezwykle widok.

Gray westchnął z podziwu. Vigor poklepał go po ramieniu.

Rozciągała się przed nimi długa beczkowata nawa, wielkością przypominająca halę dworcową. Ku centralnej kopule wspinały się łuki i mniejsze kopuły, a obie strony zamykały ciągnące się w dwóch „piętrach” kolumnady. Jednak to nie konstrukcje z kamienia robiły największe wrażenie, ale gra światła w tym ogromnym wnętrzu. Ściany były pocięte mnóstwem okien, które ciągnęły się także u podstaw kopuł, co pozwalało słońcu odbijać się od szmaragdowego i białego marmuru oraz od złoconych mozaik. Wielkość pustej przestrzeni, niepodpieranej żadnymi kolumnami, wydawała się nieprawdopodobna.

Gray patrzył na to wszystko oszołomiony.

Kiedy dotarli do serca świątyni, spojrział w górę na gigantyczną wklęsłość pod główną kopułą, której zwieńczenie znajdowało się dwadzieścia pięter nad podłogą. Jej żebrowane wnętrze było pokryte złotymi i purpurowymi napisami. Czterdzieści biegnących wokół podstawy kopuły łukowatych okien wpuszczało do środka poranne słońce, co stwarzało iluzję, że kopuła świątyni unosi się w powietrzu.

– Niesamowite – stwierdził z zachwytem Gray.

– Architektoniczna iluzja optyczna – powiedział Balthazar i wskazał w górę. – Widzi pan te żebra przypominające druty w parasolu? Dzięki nim ciężar

kopuły omija okna i jest przenoszony na cztery ukryte w ścianach pendentywy, oparte na potężnych filarach. Dach jest znacznie lżejszy, niż mogłoby się wydawać, ponieważ został wykonany z wydrążonych cegieł wytwarzanych na wyspie Rodos ze specjalnej porowatej gliny. To majstersztyk iluzji. Kamień, światło i powietrze.

Vigor kiwnął głową.

– Marco Polo także był pod wrażeniem. W swojej książce pisze o „widocznej lekkości kopuły i przepychu bezpośrednich oraz pośrednich efektów świetlnych”.

Gray doskonale rozumiał zachwyt sławnego podróżnika. Świadomość, że w miejscu, gdzie właśnie się zatrzymali, stał także kiedyś Marco Polo, była niezwykła – zwłaszcza że choć dzieliły ich wieki, obaj tak samo zachwycili się budowlą i czuli ogromny podziw dla starożytnych budowniczych.

Jedyną skazą wnętrza było czarne rusztowanie pod jedną ze ścian, sięgające od podłogi do samego szczytu kopuły.

Ten widok pozwolił Grayowi otrząsnąć się z zadumy. Popatrzył na zegarek. Nassera należało się spodziewać jeszcze przed zapadnięciem nocy. Mieli mniej niż dzień na znalezienie drugiego klucza.

A jeżeli jego plan się powiedzie...

Tylko od czego powinni zacząć?

Vigor o to samo zapytał swojego przyjaciela:

– Balthazarze, miałeś okazję porozmawiać z pracownikami muzeum? Czy któryś z nich widział tu coś przypominającego anielskie pismo?

Potężny mężczyzna podrapał się po brodzie i westchnął.

– Rozmawiałem z kuratorem i jego ludźmi. Zna Hagie Sophie od krypt po szczyt kopuły, ale twierdzi, że nie ma tu nic, co przypominałoby ten język. Powiedział, że być może... ale chyba to ci się nie spodoba.

– Co? – spytał Vigor.

– Pamiętaj, jak wielkie powierzchnie ścian zostały otynkowane, kiedy zamieniano kościół w meczet. To, czego szukamy, może być ukryte pod tynkiem. Mogło też zostać zapisane na warstwie tynku, który usunięto po przekształceniu budynku w muzeum. – Balthazar wzruszył ramionami. – Całkiem możliwe, że to, czego szukamy, już nie istnieje.

Gray w ogóle nie dopuszczał takiej możliwości. Odszedł na bok, pozwalając obu historykom dyskutować dalej. Musiał się zastanowić. Ponownie popatrzył na zegarek, ale nawet nie zarejestrował, która jest godzina. Ruszył w stronę rusztowania.

Dręczyły go słowa matki: „Wybacz mi, ale ojciec bardzo potrzebował lekarstwa”.

Musiało się stać coś niedobrego. Należało się tego spodziewać przy stanie ojca.

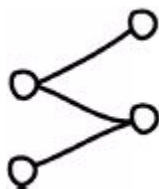
Usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i uniósł wzrok. Starał się oczyścić umysł i opanować swoje obawy. Po głębokim wdechu zaczął powoli wypuszczać powietrze, usuwając ze świadomości rozmowy podziwiających świątynię turystów.

Próbował sobie wyobrazić, jak Hagia Sophia wyglądała w szesnastym wieku. W wyobraźni ponownie nałożył tynk na złote mozaiki. Wymagało to dużego skupienia, ale w końcu stary meczet ożył w jego głowie. Muezini znowu nawoływali z minaretów mieszkańców

pradawnego miasta do modlitwy, a klęczący na dywanikach wierni prostowali się i opadali ku ziemi.

Gdzie w takim miejscu schowano by złoty klucz? Jaką kryjówkę wybrano by dla niego w tej gigantycznej przestrzeni, wśród niezliczonych pokoików, galeryjek i bocznych kaplic?

W wyobraźni zaczął obracać obrazem wnętrza świątyni i przyglądać mu się pod różnymi kątami, machinalnie wodząc przy tym palcem po pokrytej pyłem podłodze. Po chwili uświadomił sobie, że rysuje na niej jeden ze znaków anielskiego pisma – ten sam, który umieszczono z tyłu „paszportu” Marca Polo.



Popatrzył na symbol, nie przerywając obracania w głowie obrazu wnętrza świątyni.

– Wtedy to już był meczet... – mruknął pod nosem.

Dotknął po kolei czterech punktów na rysunku, które Vigor nazwał „znakami diakrytycznymi”.

Cztery kółeczka – cztery minarety.

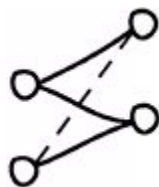
A jeżeli ten symbol jest czymś więcej niż pierwszym kluczem do rozwiązania zagadki zakodowanej mapy? Jeżeli jest również tropem prowadzącym do drugiego klucza? Czy Seichan o tym nie wspomniała? Ale w jaki sposób jeden klucz mógłby wskazać miejsce, w którym znajduje się następny?

Nałożył w wyobraźni schemat Hagii Sophii na symbol w taki sposób, aby w miejscach kółeczek znalazły się

minarety. A jeśli ten znak symbolizował również świątynię? Z kółeczkami oznaczającymi minarety jako punktem zaczepienia?

Gdyby tak rzeczywiście było, gdzie należałoby zacząć szukać?

Dodał do rysunku jeszcze jedną linię.



– Iks określa miejsce – mruknął do siebie.

Godzina 11.02

Vigor ze zdumieniem zobaczył, że Gray pełnie na czworaka po podłodze, przesuając po niej dłonią. Po chwili zauważył to także Balthazar. Podeszli do Graya.

– Co pan robi? – zdziwił się historyk. – Sprawdzanie podłogi dłonią potrwa tygodnie.

Gray usiadł, popatrzył w górę, jakby określał swoją pozycję, po czym znowu zaczął wodzić dłonią po podłodze wzdłuż krawędzi rusztowania.

– Musi być gdzieś tutaj... – wymamrotał.

– Co? – spytał Vigor.

Gray wskazał miejsce, w którym zaczął poszukiwania. Vigor podszedł do niego i popatrzył na rysunek w pyle. Zmarszczył czoło.

– To plan tej świątyni informujący, gdzie powinniśmy szukać następnego tropu – wyjaśnił komandor.

Vigor pomyślał, że pewnie ma rację, i ponownie zaskoczyła go jego wyjątkowa umiejętność kojarzenia i analizowania.

Gray pełził dalej, powoli sprawdzając wybrany kawałek podłogi. Przechodzący obok turyści patrzyli na niego ze zdziwieniem.

Balthazar deptał mu po piętach.

– Sądzi pan, że ktoś wyrył coś w marmurze posadzki anielskim pismem?

Gray musnął barkiem rusztowanie i nagle się zatrzymał. Jego palce wróciły do miejsca, które przed chwilą obmacywał. Pochylił głowę i dmuchnął na podłogową płytę.

– Nie pismem – odparł, sięgając do swojej szyi.

Vigor i Balthazar uklękli obok miejsca, które zaintrygowało Graya. Monsignore pomacał marmur palcami.

W kamieniu można było wyczuć płytkie kontury krzyża, starte przez czas i ludzkie stopy.

Gray zdjął z szyi srebrny krucyfiks brata Agreera i przyłożył go do konturu wyrytego w kamieniu. Pasował idealnie.

– Znaleźliśmy... – szepnął Vigor.

Balthazar trzymał już w ręce mały gumowy młotek, który wyciągnął z za pasa. Postukał nim w płytę. Gray ze zdziwieniem uniósł brwi.

– W taki właśnie sposób znaleźliśmy pustą przestrzeń pod napisem na podłodze w Wieży Wiatrów – wyjaśnił Vigor.

Balthazar centymetr po centymetrze opukiwał kamienną płytę i zmarszczki na jego czole coraz bardziej się pogłębiały.

– Niczego tu nie ma – stwierdził w końcu.

– Jesteś pewien? – spytał Vigor. – Musi być.

– Nie musi – mruknął Gray, po czym położył się na plecach. – Na co patrzy Jezus? – zapytał.

Vigor spojrział na niewyraźną postać Chrystusa na srebrnym krucyfiksie, a potem ponownie skierował wzrok w górę.

– Na kopułę – odpowiedział sam sobie Gray. – Na tę samą kopułę, która tak zachwyciła Marca Polo i której ujęto ciężaru dzięki zastosowaniu wydrążonych cegieł. Gdyby chciano ukryć jakąś rzecz mającą przetrwać wieki...

Vigor popatrzył na niego.

– No tak... Ale o którą cegłę może chodzić?

Balthazar skoczył na równe nogi.

– Mam pomysł! – zawołał.

Pobiegł w głąb nawy, roztrącając po drodze grupę niemieckich turystów.

Vigor podał Grayowi rękę i pomógł mu wstać. Komandor podniósł krzyż i ponownie zawiesił go sobie na szyi.

– Znakomicie, Gray...

– Jeszcze nie znaleźliśmy drugiego złotego paitzu.

– Po co ten pośpiech? Za kilka godzin będzie tu Nasser, więc czemu mamy się trudzić?

– Chcę, aby był z nas zadowolony. Chcę mu udowodnić, że jesteśmy potrzebni. Musi mieć powód do zachowania nas przy życiu.

Vigor wyczuł, że za tymi słowami kryje się coś jeszcze, ale zanim zdążył o cokolwiek zapytać, wrócił Balthazar. Wyciągnął dłoń, w której trzymał coś przypominającego kształtem długopis.

– Pomyślałem, że przy tylu różnych pracach, jakie się tu prowadzi, ktoś na pewno będzie miał wskaźnik laserowy albo poziomnicę laserową. Bardzo się przydają w takich wielkich przestrzeniach.

Ukląkł, postawił wskaźnik na rysunku krzyża i włączył go. Nic się nie wydarzyło, ale kiedy wziął szczyptę pyłu i rzucił go w górę, w powietrzu zapłonęła jasnoczerwona linia.

– Działa – mruknął i spojrzał na rusztowanie. – Ktoś będzie musiał tam wejść i zobaczyć, którą cegłę oświetla ten promień.

Gray kiwnął głową.

– Ja to zrobię – oświadczył.

Balthazar rozejrzał się i z wyraźnym poczuciem winy wręczył Grayowi młotek i dłuto.

– Będzie pan musiał zachować dyskrecję, bo nikomu nie wolno wchodzić na to rusztowanie bez specjalnego zezwolenia, wydanego przez turecki rząd – powiedział. – Ale kurator się zgodził, by jeden z nas wszedł tam na chwilę i zrobił kilka zdjęć. Jednak strażnicy... – Wskazał głową uzbrojonego wartownika przy drabinie. – ... z pewnością najpierw będą strzelać, a dopiero potem pytać. Jeżeli któryś z nich zobaczy, że wnosi pan na górę dłuto...

– Nie tylko nie powinniśmy dać się zastrzelić, ale w ogóle nie możemy zostać odkryci – stwierdził Vigor. – Jeżeli nas stąd wyrzucą... albo wezwą policję...

– W takim razie potrzebujemy czegoś, co odwróci ich uwagę... – powiedział Gray.

Godzina 11.48

Po paru minutach był już w połowie wysokości rusztowania. Kiedy doszedł do kolejnego poziomu, spojrzał na Balthazara, który rozmawiał z kuratorem muzeum. Strażnik odszedł od swojego stanowiska, aby wyraźnie widzieć intruza na górze.

Gray doszedł do okien otaczających podstawę głównej kopuły. Przez łukowate szyby wpadało mnóstwo światła. Za jednym z nich widać było morze Marmara. Nad oknami zrobiło się dość ciemno. Po kolejnych dwóch minutach wspinaczki Gray dotarł do szczytu rusztowania i musiał przykucnąć, aby nie uderzyć głową w sufit.

W dół żebrowanych ścian spływały kaskady kaligraficznego arabskiego pisma. W umieszczonej nad głową Graya rozecie, stanowiącej centralne zwieńczenie kopuły, znajdowała się kunsztowna spirala arabskiego napisu wykonanego ze złotych liter, odbijających się od soczyście purpurowego tła.

Gray zaczął szukać na obwodzie rozety. Z lewej strony migotały oświetlane przez promień laserowego wskaźnika drobiny pyłu. Po chwili dostrzegł jarzące się rubinowo miejsce na purpurowej części tynku. Było na tyle ciemne, że trudno będzie dojrzeć z dołu zrobioną w nim dziurę.

Przynajmniej Gray miał taką nadzieję.

Aby dosięgnąć oświetlanej cegły, musiał opaść na czworaka i podpełznąć do obniżającego się fragmentu sufitu.

Kiedy tam dotarł, zaczął macać tynk. Nie wyczuwał żadnych zagłębień. Nie było napisu anielskim pismem ani jakichkolwiek innych znaków.

Czyżby się pomylił?

Istniał tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Wsunął dłoń pod światło lasera, dając umówiony sygnał Balthazarowi.

Historyk wziął do ręki wskaźnik i skierował jego promień w głąb nawy.

Z miejsca, które wskazywał, natychmiast rozległ się głośny gwizd policyjnego gwizdka, który rozerwał ciszę i odbił się echem po całym wnętrzu świątyni. Zaraz potem rozległy się zdezorientowane krzyki.

Gray popatrzył w tamtą stronę i ujrzał strzelający w górę płomień. To wybuchła zaimprovizowana bomba zapalająca, którą Vigor zrobił z alkoholu używanego do czyszczenia mozaik i włożył do pojemnika na śmieci.

Rozległy się kolejne krzyki.

Gray odwrócił się, aby strażnik nie mógł zobaczyć tego, co zamierzał zrobić. Wyjął z za pasa narzędzia, przyłożył czubek dłuta do miejsca, które wskazywał laserowy promień, i czekał.

Kiedy powietrze przeciął kolejny gwizd, mocno uderzył jeden raz.

Tynk pękł, kawałek wypalanej gliny oderwał się od rozety, uderzył go w pierś, i odbił się od niej. Gray błyskawicznie wyciągnął rękę z dłutem i złapał okruch, po czym wrzucił go za koszulę.

Wbił dłuto w wydrążoną cegłę i pomacał w jej wnętrzu palcem. Było szkliste, jakby powleczone warstewką wody. Macał dalej.

Coś było w środku.

Szybko wyciągnął to coś na zewnątrz. Spodziewał się znaleźć złote paitzu, ale zamiast niego wydostał z cegły dwudziestocentymetrowej długości rurkę z brązu lub innego metalu zatkaną po obu stronach. Także i ją wrzucił za koszulę.

Gdy spojrział w bok, stwierdził, że ogień w koszu na śmieci został już ugaszony.

Zaczął ponownie macać we wnętrzu cegły i po chwili wyczuł palcem wskazującym coś ciężkiego. Wyjęcie zdobyczy zajęło mu zaledwie kilka sekund. Było to drugie paitzu, złoty „paszport”.

Zanim jednak zdążył go schować, ciężki przedmiot wysunął mu się z palców i spadł na podest rusztowania tuż pod jego nogami. Rozległ się odgłos, jakby uderzono w dzwon – kopuła wzmocniła dźwięk.

Cholera...

Kiedy przebrzmiało echo, Gray podniósł paitzu i również ukrył je za koszulą. Na dole rozległy się krzyki, zrobił więc jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy: kopnął młotek, po czym zanurkował za nim, machając rękami jak wiatrak i przeraźliwie krzycząc.

Godzina 11.58

Vigor, który znajdował się w tym momencie przy kolumnadzie na piętrze, z przerażeniem patrzył na spadającego z rusztowania Graya.

O nie...

Kilka chwil przedtem zagwizdał i wrzucił do śmietnika butelkę z kolejną zaimprovizowaną bombą. Potem przeszedł kawałek dalej, znowu zagwizdał i wrzucił gwizdek do doniczki z kwiatem. Był bez koloratki i miał zdezorientowaną, lekko przestraszoną minę. Kiedy wracał do głównej nawy, strażnicy ledwie na niego spojrzeli.

Zaczęli się zbiegać ludzie, a ci, którzy stali tam, gdzie miał spaść Gray, rozpierzchli się na wszystkie strony. Po paru sekundach w marmurową podłogę z hukiem uderzył młotek.

Gray przekręcił się w powietrzu i złapał jedną ręką wystający fragment rusztowania. Zawisł na nim, a jego ciało uderzyło w nie niczym wahadło. Wyrzucił do przodu stopę, aby na coś ją oprzeć. Kiedy mu się to udało, wystarczyły dwa szybkie ruchy ciała i znalazł się z powrotem na podeście. Opadł na plecy, aby pozbierać się po upadku.

Strażnik pilnujący rusztowania coś do niego krzyknął i dał znak jednemu ze swoich kolegów, aby wszedł na górę i sprawdził, jak się czuje niedoszła ofiara.

Gray zaczął się kręcić, trzymając się za lewą rękę i pojękując.

Vigor wrócił do schodów, zszedł na parter i dołączył do Balthazara i kuratora. Strażnik pomógł Grayowi wstać, a potem – podtrzymując go – pomógł mu zejść z rusztowania.

Kiedy Gray znalazł się na dole, miał purpurową z wściekłości twarz. Wskazał młotek, który dostał od Balthazara.

– Dlaczego wasi robotnicy nie sprzątaję po sobie narzędzi?! – rzucił wściekle. – Stałem na tym niechcący i mogłem zginąć!

Kurator, szczupły mężczyzna z niewielkim brzuszkiem, podniósł młotek z posadzki.

– Bardzo pana przepraszam. Co za niedbalstwo... zapewniam, że zajmiemy się tą sprawą. A co z pańskim...

Gray cały czas przyciskał ramię do piersi.

– Prawdopodobnie mam stłuczony bark, a może nawet wybity – odparł ze złością.

– Policja jest już w drodze... wezwaliśmy ich z powodu pożaru – powiedział kurator.

Gray i Vigor spojrzeli na siebie z niepokojem. Monsignore odchrząknął.

– Co to za pożar... pewnie po prostu jakiś nieostrożny turysta wrzucił niedopałek do kosza na śmieci. Albo ktoś zrobił sobie głupi dowcip.

Ale kurator go nie słuchał. Mówił coś po turecku do jednego ze strażników.

Vigor doskonale zrozumiał, co powiedział.

Było to jeszcze gorsze.

– Nie, nie – zaprotestował. – Nasz student wcale nie musi jechać do szpitala. Nie potrzebujemy ambulansu.

– Monsignore ma rację – wtrącił pospiesznie Gray. Poruszył ręką i obrócił ją w barku, krzywiąc się przy tym lekko. – To pewnie tylko stłuczenie. Nic mi nie będzie.

– Nie. Nalegam. Taka jest polityka muzeum – oświadczył kurator. – Jeżeli ktoś dozna na jego terenie

jakiegokolwiek uszczerbku na zdrowiu, wizyta w szpitalu jest obowiązkowa.

Uratował ich Balthazar.

– To bardzo roztropne, ale może macie tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy odpocząć? Czy pańskie biuro nadal jest w piwnicy?

– Tak. Nikt w nim nie będzie panom przeszkadzał. Zajmę się policją i zawiadomię was, kiedy przyjedzie ambulans. Doktorze Pinosso, proszę przyjąć moje przeprosiny. W przeszłości tak szczerze poświęcał mi pan swój czas i wiedzę, że nie mam pojęcia, jak się panu odwdzięczę.

Balthazar poklepał go po ramieniu.

– Nie przejmuj się, Hasanie. Wszystko jest w najlepszym porządku. Po prostu trochę puściły nam nerwy. A ta nauczka przyda się mojemu studentowi... kiedy następnym razem będzie wdrapywał się na jakieś rusztowanie, na pewno nie zapomni o patrzeniu pod nogi.

W oddali rozległ się dźwięk policyjnych syren.

– Proszę tędy – powiedział kurator.

Wkrótce zostali sami w jego gabinecie. Był bardzo skromnie umeblowany. Na tylnej ścianie, nad zagraconym biurkiem, wisiały plany kościoła. Pod prawą ścianą stał szereg metalowych szafek na akta, nad którymi umieszczono fotografię przedstawiającą kuratora podającego rękę prezydentowi Turcji. Na lewej ścianie wisiała stara, bogato ilustrowana mapa Bliskiego Wschodu.

Balthazar zarygłował drzwi.

– Te piwnice to istny labirynt. Możecie się tu ukryć do przybycia Nassera, a ja tymczasem mógłbym pójść na

górze i powiedzieć Hasanowi, że już sobie poszliście.

– Chyba tak właśnie trzeba będzie zrobić – mruknął Vigor i usiadł na kanapie obok Graya, który masował sobie bark. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Znalazłeś coś na górze?

W odpowiedzi Gray rozpiął dół koszuli i wyciągnął sztabkę złota oraz poobijaną rurkę. Gdy potrząsnął koszulą, wypadł zza niej kawałek wypalanej cegły. Pochylił się, podniósł go z podłogi i położył na stole.

Kiedy Vigor odwracał głowę, na okruch cegły padł odblask światła i jego powierzchnia błysnęła. Monsignore wziął go do ręki.

– To kawałek wydrążonej cegły z rozety kopuły – wyjaśnił Gray. – Nie chciałem zostawiać go na górze. I tak nie wszystko poszło jak należy.

Vigor przyjrzał się kawałkowi wypalanej gliny. Z jednej strony pokrywał go purpurowy tynk, ale z drugiej był glazurowany. Na błękitno. Dlaczego ktoś miałby pokrywać glazurą wnętrze cegły?

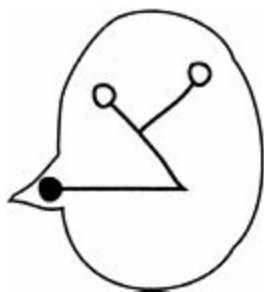
– Widziałeś na górze jakieś napisy w anielskim języku?

– Nie było żadnych napisów. W ogóle nie znalazłem tam niczego niezwykłego.

Balthazar wziął do ręki złote paitzu i obrócił je.

– Za to jest tutaj – stwierdził.

Vigor przysunął się bliżej. Tak jak należało się spodziewać, tył złotej sztabki zdobiła pojedyncza litera anielskiego pisma otoczona kółkiem.



– Drugi klucz... – mruknął Vigor.

– A to co? – spytał Balthazar, dźgając palcem rurkę.

Vigor wziął ją do ręki. Miała grubość kciuka i nie była niczym ozdobiona – z wyjątkiem znaków tego, kto ją wykuł.

– Może to pojemnik na zwój – zasugerował monsignore i spojrzał na jeden z końców rurki, zaplombowany cienką monetą z brązu.

– Będziemy musieli go otworzyć – oświadczył Gray.

Vigorowi nie bardzo się to podobało. Bał się, że uszkodzą stary obiekt. Przed otwarciem należało go sfotografować, zmierzyć i skatalogować.

Gray sięgnął do kieszeni i wyjął z niej scyzoryk. Otworzył małe ostrze, po czym podał nóż Vigorowi.

– Zaczyna nam brakować czasu – dodał.

Monsignore zrobił głęboki wdech i wziął od niego scyzoryk. Wystarczyło raz przyłożyć ostrze i zatyczka została zdjęta – jakby rurkę zaplombowano dopiero wczoraj.

Vigor zrobił miejsce na biurku i przechylił rurkę. Wypadł z niej zwitek białego materiału.

– Zwój – mruknął Gray.

Nie dotykając go, monsignore dokonał wstępnej analizy.

– To nie pergamin ani welin czy papirus...

– A co? – spytał Balthazar.

Vigor bardzo chciał mieć w tej chwili na rękach rękawiczki laboratoryjne, ale ponieważ było to niemożliwe, musiał inaczej zabezpieczyć artefakt. Wziął leżący na biurku ołówek z gumką.

Zwój bez trudu dał się rozwinąć, był delikatny i miękki jak gaza.

– Wygląda jak materiał – stwierdził Gray.

– To jedwab – odparł Vigor, ostrożnie odwijając kolejne centymetry. – Jest wyszywany – powiedział, kiedy zobaczył przeplatające biały materiał cieniutkie czarne nitki.

Czarne kreski nie tworzyły jednak ani rysunku, ani geometrycznego wzoru. Po pasku jedwabiu ciągnęły się zwarte linijki tekstu.

Gray próbował go przeczytać, ale nic nie rozumiał.

– Lingua lombarda! – zawołał z pełnym zdumienia zachwytem Balthazar.

Vigor nie mógł oderwać oczu od tajemniczego pisma.

– To włoski dialekt używany w regionie, z którego pochodził Marco Polo – wyjaśnił, po czym wyciągnął drżącą rękę i trzymając nad tekstem gumkę ołówka, zaczął tłumaczyć pierwszą linijkę: – „Nasze modlitwy zostały wysłuchane w niezwykle sposób...”.

Popatrzył na Graya, który natychmiast domyślił się, o co chodzi.

– To pozostała część opowieści Marca Polo. Od miejsca, w którym kończyła się kopia książki będąca w posiadaniu Gildii – powiedział.

– Tak, to właśnie brakujące strony – przyznał Vigor. – Wyszyte w jedwabiu.

Znowu zaczął tłumaczyć. Kiedy kończyli czytać poprzednią część, Marco Polo został uwięziony wraz ze swoimi ludźmi w Mieście Umarłych, otoczony przez horde kanibali.

Nasze modlitwy zostały wysłuchane w niezwykle sposób. A doszło do tego tak...

Wkrótce nad Miastem Umarłych zapadła noc. Z miejsca, w którym się ukryliśmy, widać było fosy i jeziora, odbijające światła o barwie i połysku pleśni lub grzybów. To, co rozgrywało się na dole, było czymś w rodzaju straszliwej uczty, podczas której umierający jedli martwych.

Nie widzieliśmy żadnej możliwości ratunku.

Jakiż anioł odważyłby się przybyć do tej bluźnierczej krainy?

Potem z ciemnego lasu wyszły trzy postacie. Ich skóra świeciła tak samo jak fosy i jeziora, a przerażający kanibale rozstąpili się przed nimi jak łany zboża rozsuwane na boki przez wiatr. Szli przez miasto bez pośpiechu, ale zdecydowanie. Gdy znaleźli się u stóp wieży, ujrzelśmy, że wyglądają tak samo jak kanibale, którzy nas otoczyli.

A jednak ich ciała świeciły błogosławionym światłem.

Sługa chana w wielkim przerażeniu rzucił broń i ukrył twarz. Troje dziwnych przybyszy weszło do naszej kryjówki i zbliżyło się do nas. Mieli wychudzone i wycieńczone gorączką twarze, ale ich ciała wyglądały na całkowicie zdrowe. Nie były to jednak ciała takie jak u innych ludzi. Zdawało się, że światło wydobywające się z ich skóry wnika do głębi, bo widać było ruchy trzewi i cieniste bicie serca. Przechodząc obok ludzi chana, dotknęli jednego z nich. Sługa chana krzyknął głośno i odskoczył, a w miejscu, gdzie został dotknięty, jego skóra natychmiast dostała pęcherzy i poczerniała.

Brat Greer uniósł swój krzyż, ale ten, który szedł pierwszy, podszedł do niego bez żadnego strachu i dotknął dominikańskiego krucyfiks. Potem zaczął mówić językiem, którego nikt nie pojmował, jednak za pomocą gestów dokładnie nam wyjaśnił, o co im chodzi:

chcieli, abyśmy wypili coś, co znajdowało się w połówce hinduskiego orzecha, którą nam podawali.

Jeden z ludzi chana musiał znać ich dziwny język na tyle, aby móc się porozumieć. Okazało się, że przybysze oferują nam niezwykle lekarstwo, którego spożycie ma zabezpieczyć nas przed szalejącą w tym mieście zarazą.

Niechaj niebiosa wybaczą nam koszt tego wybawienia – tego, że na nie przystaliśmy, i tego, co miało to z nas uczynić...

W tym miejscu tekst się kończył.

Vigor z frustracją opadł na oparcie krzesła.

– Gdzieś musi być coś więcej...

– Pewnie jest ukryte razem z trzecim kluczem – zasugerował Gray.

Vigor kiwnął głową i postukał ołówkiem w pas jedwabiu.

– Jednak i z tego wynika jasno, dlaczego ta historia nigdy nie została opowiedziana.

– To znaczy? – spytał Gray.

– Przypomnij sobie opis tych „dziwnych przybyszy”: „ich ciała świeciły błogosławionym światłem”. Obiecywały wybawienie.

– Píše o nich, jakby to byli aniołowie – wtrącił Balthazar.

– Pogańscy aniołowie – dodał Vigor, kładąc nacisk na pierwsze słowo. – Taka opowieść nie zostałaby w średniowieczu dobrze przyjęta przez Watykan. Pamiętajcie, że ten, kto wyciął te fragmenty z relacji Marca Polo, zrobił to w siedemnastym wieku, po wybuchu kolejnej epidemii we Włoszech. A mimo to Watykan nie zniszczył tego tekstu... tylko po prostu mistycy pokawałkowali go i ukryli. Pozostaje oczywiście

znacznie ważniejsze pytanie: co jeszcze nie zostało powiedziane?

– Jeżeli zamierzamy się tego dowiedzieć, musimy znaleźć trzeci klucz – stwierdził Gray. – Ale gdzie powinniśmy go zacząć szukać? Nie ma tu nigdzie anielskiego pisma.

– Może go nie widać gołym okiem... – mruknął Vigor. Gray kiwnął głową i sięgnął do swojego plecaka.

– Na wypadek gdybyśmy znaleźli kolejne obeliski, wziąłem ze sobą latarkę na ultrafiolet.

Balthazar przyciemnił światło i Gray powiódł promieniem po każdym artefakcie, łącznie z odłamkiem wydrążonej cegły.

– Nic tu nie ma.

Znowu znaleźli się w ślepej uliczce.

Godzina 12.43

– Nie możemy dłużej czekać – stwierdził Gray. – Musimy się gdzieś ukryć. Zbierajmy rzeczy i poszukajmy jakiegoś miejsca na kryjówkę.

Przez ostatnie pięć minut zastanawiali się, gdzie należy szukać trzeciego klucza. Vigor po raz kolejny czytał tekst, próbując znaleźć ukryte w nim informacje, a Balthazar badał wszystkie powierzchnie złotego paitzu. Byli zgodni co do tego, że otaczająca znak kolista linia musi mieć jakieś znaczenie, ale nikt nie potrafił odgadnąć jakie.

Vigor westchnął i zaczął zwijać jedwabny pasek.

– Odpowiedź musi być w tym tekście albo w paitzu. Seichan powiedziała, że w kopii Gildii wspomniano, iż każdy klucz będzie prowadzić do następnego. Musimy tylko odgadnąć to, czego nie dostrzegamy.

Gray wziął do ręki kawałek cegły i postukał w niego paznokciem.

– Czy to, że ten tynk jest purpurowy, może mieć jakieś znaczenie? Mogli go przecież pomalować dowolnym kolorem.

– Purpura to barwa królewskiej władzy lub znak świętości – powiedział Vigor, chowając zwój do metalowej rurki.

Gray kiwnął głową i wsunął fragment cegły do plecaka. Jego kciuk dotknął przy tym wewnętrznej, glazurowanej powierzchni.

– Niebieski... – mruknął. – Błękit i królewska władza. Nagle w jego głowie zapaliło się zielone światełko.

Oczywiście!

Vigor musiał pomyśleć o tym samym, bo gwałtownie się wyprostował.

– Błękitna Księżniczka!

Balthazar podał paitzu Grayowi.

– Mówicie o Kokejin? O młodej mongolskiej księżniczce, która podróżowała razem z Markiem Polo?

Vigor kiwnął głową.

– Nazywano ją Błękitną Księżniczką, ponieważ jej imię oznacza „błękit nieba”.

– Ale jaki to ma związek z naszą sprawą? – spytał Gray.

– Prześledźmy wszystko wstecz – zaproponował Vigor i zaczął odliczać na palcach. – Pierwszy klucz znajdował się w Watykanie, we Włoszech, gdzie Marco

zakończył swoją podróż. To ważny kamień milowy. Cofając się po jego trasie, dotarliśmy do kolejnego kamienia milowego... Sztambułu, w którym Marco opuścił Azję i ponownie znalazł się w Europie.

– A jeśli cofniemy się jeszcze bardziej tą trasą... – zaczął Gray.

– Następnym kamieniem milowym okaże się miejsce, w którym Marco zakończył zleconą mu przez chana Kubilaja misję, czyli Persja, bo właśnie tam miał zawieźć Kokejin.

– Ale gdzie dokładnie?

– Prawdopodobnie chodzi o wyspę Ormuz – odparł Balthazar. – Znajduje się ona u ujścia Zatoki Perskiej, na południu dzisiejszego Iranu.

Wyspa...

Gray wyjął paitzu i powiódł palcem po kolistej linii.

– Czy to mogłaby być uproszczona mapa tej wyspy?

– Sprawdźmy – powiedział Vigor, po czym wstał i podszedł do mapy na ścianie.

Kiedy Gray dołączył do niego, wskazał małą wysepkę leżącą na południu Zatoki Perskiej, niedaleko wybrzeży Iranu. Miała kształt koła z wystającą „łezką”, a jej kontur niemal idealnie pasował do linii, jaką obwiedziono anielską literę znajdującą się na paitzu.

– Chyba znaleźliśmy trzeci klucz... – powiedział Gray.

– Wiemy, dokąd teraz powinniśmy pojechać.

A to oznaczało, że jego plan ciągle jeszcze mógł się udać.

– Ale co z Nasserem? – spytał Vigor.

– Nie zapomniałem o nim – odparł Gray i chwycił go za ramię. – Pierwszy klucz... Chciałbym, żebyś dał go Balthazarowi.

– Dlaczego?

– Jeżeli coś pójdzie nie tak, nie możemy pozwolić, by wpadł w ręce Nassera. Drugi klucz pokażemy mu jako pierwszy. Ten drań nie może się dowiedzieć, że pierwszy klucz znaleźliśmy w Watykanie. Zakładam, że zachowacie to między sobą.

Obaj mężczyźni kiwnęli głowami, jednak Vigor nie był do końca przekonany.

– Przecież kiedy Nasser się tu zjawi, z pewnością przeszuka Balthazara i znajdzie przy nim drugie paitzu.

– Nie znajdzie, jeżeli Balthazar zniknie – oświadczył Gray. – Tak samo jak w przypadku Kowalskiego nie sądzę, aby Nasser wiedział, że twój kolega przyjechał tu z tobą. Dlaczego miałby podejrzewać, że przywiozłeś ze sobą kierownika wydziału historii sztuki? Namierzając twój telefon, dowiedział się jedynie, że sam się z nami spotkałeś. Wykorzystamy to i wyślemy Balthazara do Seichan razem ze wszystkim, co powinna wiedzieć. Potem we trójkę wyruszą na Ormuz. Ich zadaniem będzie odnalezienie trzeciego klucza. Kiedy Nasser się tutaj zjawi, będziemy musieli zatrzymać go jak najdłużej. Oczywiście dla dobra moich rodziców w końcu będziemy musieli wskazać mu właściwy trop.

– Mając nadzieję, że Seichan w tym czasie zdąży odnaleźć trzeci klucz...

– Jeśli jej się to uda, będziemy mieli kartę przetargową.

Cały plan Graya opierał się na jednym wątplym założeniu – że Painter pierwszy znajdzie jego rodziców. No i oczywiście na tym, że on sam nie popełnił żadnego poważnego błędu w swoich kalkulacjach.

Godzina 13.06

Seichan czekała w hotelu, znajdującym się naprzeciwko zachodniego wejścia do Hagii Sophii. Siedziała przy oknie pokoju na czwartym piętrze, opierając policzek na kolbie karabinu Heckler & Koch PSG1, i spoglądała przez lunetkę na plac przed wejściem do świątyni.

Zobaczyła, że przyjechała policja i zaraz potem odjechała.

Co się stało?

Były marynarz leżał na łóżku, pogryzał oliwki i czyścił pięć pistoletów oraz karabinek szturmowy NATO A-91.

Niedawno wrócili z zakupów, które miały poprawić stan ich posiadania.

Podczas pracy Kowalski bez przerwy pogwizdywał i powoli zaczynał działać Seichan na nerwy, ale przynajmniej wiedział, jak obchodzić się z bronią.

Ze swojego miejsca miała doskonały widok na ulicę, park i plac. Obserwowała każdego, kto okazywał zbyt duże zainteresowanie Hagią Sophią – większe niż zwyczajny turysta. Wypatrywała też wszelkich sygnałów mogących świadczyć o tym, że ktoś ma przy sobie ciężką broń.

Jak na razie nikt taki nie wpadł jej w oko.

Obserwowała też wszystkich ludzi wchodzących i wychodzących przez Wrota Królewskie. Tak ustawiła ostrość lunetki, aby wyraźnie widzieć twarze. Sprawdzała też, czy te same twarze nie pojawiają się po

kilka razy, co świadczyłoby o tym, że ludzie Nassera obstawiają świątynię.

Im więcej przeciwników i ich pozycji rozpozna, tym łatwiej będzie jej podjąć odpowiednie działania.

Jak na razie jednak nikt podejrzany się nie pojawiał.

Wydawało jej się to nielogiczne.

Gdzie byli ludzie Nassera? Powinni zjawić się w okolicy Hagii Sophii już jakiś czas temu. Gildia czuła się w Stambule jak u siebie w domu. Czyżby Nasser tym razem operował oddziałem w wersji mini? Pewnie jednemu, dwóm ludziom łatwiej wmieszać się w tłum niż sześciu.

– Coś jest nie tak... – mruknęła.

W co Nasser grał?

Ponownie skupiła się na obserwowaniu okolicy. Z kościoła wyszedł potężny mężczyzna i – nie próbując się ukrywać – zaczął wielkimi krokami iść przez plac. Przyjrzała się jego twarzy.

Wystarczyło jej tylko jedno spojrzenie.

Nie знаła nazwiska tego człowieka, ale już go kiedyś widziała. Przed dwoma laty, gdy spotkał się z Nasserem, z rąk do rąk przeszła gruba koperta. Nasser nie wiedział, że Seichan go wtedy śledziła i obserwowała. Zdjęcia z tego spotkania przechowywała w skrytce szwajcarskiego banku. Było to jej małe zabezpieczenie na deszczowy dzień.

Albo na słoneczny – taki jak dziś.

– Nic dziwnego, że operuje minioddziałem... – mruknęła pod nosem.

Umieścił swojego agenta wewnątrz Hagii Sophii. Nie zapowiadało to nic dobrego.

Brodacz zatrzymał się i wyjął telefon komórkowy.

Prawdopodobnie zamierzał zadzwonić do Nassera i przekazać mu, że zwierzyna siedzi w kościele i jest gotowa do odstrzału.

W tym samym momencie zadzwonił telefon Seichan.

Co się dzieje?

Sięgnęła po aparat, wcisnęła klawisz i przystawiła telefon do ucha.

– Ciao – powiedziała.

– Witam – odezwał się jej rozmówca. – Chciałbym rozmawiać z Seichan. Poproszono mnie, abym zadzwonił pod ten numer i zaaranżował spotkanie. Pewien monsignore i Amerykanin chcieliby, żebyśmy porozmawiali.

Seichan uważnie przyglądała się twarzy mężczyzny stojącego na placu. Z każdym jego słowem, przy którego wypowiedzaniu słyszała to samo w słuchawce, robiło jej się coraz zimniej.

– Mówi Balthazar Pinosso, pracuję dla wydziału historii sztuki Watykanu – dodał po chwili mężczyzna.

Wreszcie mogła dopasować do człowieka Nassera imię i nazwisko. Balthazar Pinosso. Agent Gildii. Powoli wypuściła powietrze przez nos. Nasser umieścił swojego agenta nie w Sigmie, ale w samym Watykanie – i to w jego „wewnętrznym kręgu”.

– Halo? – powtórzył z lekkim niepokojem brodaty mężczyzna.

Seichan mocniej przycisnęła policzek do kolby i zatrzymała broń na celu.

Czas zatamować ten przeciek.

– Kowalski... – szepnęła.

– Tak?

– Gównu zaraz walnie w wentylator.

– Najwyższy czas – odparł.
Pociągnęła za spust.

10

Ucieczka z patelni

Na pokładzie Mistress of the Seas
6 lipca, godzina 19.12 czasu miejscowego

Dzięki Bogu koktajl wreszcie się skończył.

Lisa szybko rozpięła wyszywaną perłami jedwabną mantylkę, którą założyła na czarną suknię koktajlową. Ten zaprojektowany przez Verę Wang zestaw znacznie przekraczał jej możliwości finansowe, ale znalazła go na swoim łóżku, kiedy wróciła do kajuty, aby przygotować się na zorganizowane przez Rydera Blunta przyjęcie.

Doktor Devesh Patanjali musiał osobiście wybrać tę suknię w jednym ze znajdujących się na pokładzie luksusowych butików. Był to dla Lisy wystarczający powód, aby jak najszybciej zedrzeć z siebie tę szmatę. Nie miała najmniejszej ochoty iść na to przyjęcie, jednak Patanjali nie pozostawił jej wyboru.

Wino i szampan płynęły szerokim strumieniem. Kelnerzy w liberiach roznosili na srebrnych tacach przekąski, a bufet zdobiły mrożone tace z obłożonym grzankami kawiozem. Z orkiestry przeżyło jedynie tylu muzyków, że dało się z nich utworzyć kwartet smyczkowy. Grali na balkonie, ale po zachodzie słońca

musieli opuścić swoje stanowiska, bo zaczęło mocno wiać, a z nieba wielkimi, kłującymi kroplami lunął deszcz.

Po przyjęciu burza jeszcze się nasiliła – kiedy Lisa zdejmowała sukienkę, usłyszała kilka grzmotów. Na szczęście statek stał spokojnie, chroniony przez wulkaniczny stożek atolu. Informacja o nadchodzącym tajfunie szybko zakończyła przyjęcie.

Trwało jedynie dwie godziny.

Lisa rozebrała się do biustonosza i majtek, szczęśliwa, że już nie musi nosić eleganckiej sukienki. Przebrała się w dżinsy i niebieską bluzę, po czym podeszła do łóżka, na którym leżała elegancka torebka. Był to kolejny prezent od doktora Patanjalego, caczuszko od Gucciego ze srebrnymi frędzlami. Nawet nie zdjęto z niej metki.

Ten drobiażdżek kosztował ponad sześć tysięcy dolarów.

Jednak w środku znajdowało się coś o znacznie większej wartości – przynajmniej dla niej. Podczas przyjęcia Ryder dyskretnie przekazał jej malutkie radio i pistolet, które czym prędzej schowała do torebki.

Jeszcze wspanialsza była towarzysząca tej przesyłce wiadomość.

Monk żyje i ukrywa się na statku.

Szybko schowała pistolet za paskiem spodni, zakrywając go bluzą. Z radiem w ręce podeszła do drzwi i przystawiła do nich ucho.

Nie ustawiono przy nich strażnika, ale całe skrzydło zostało odcięte posterunkami przy schodach i windach. Patanjali wyznaczył Lisie kabinę znajdującą się w samym środku statku, nie było więc w niej okien.

Leżąca dwie kabiny dalej jej pacjentka przez cały czas była w katatonicznym stuporze.

Lisa włączyła kanał ósmy i założyła na głowę zestaw słuchawkowo-mikrofonowy, po czym wcisnęła przycisk nadawania.

– Monk, jesteś tam? Odbiór.

Po chwili w słuchawce zaskrzeczało i odezwał się znajomy głos:

– Lisa? Dzięki Bogu! A więc Ryderowi udało się przekazać ci radio. Masz broń? Odbiór.

– Mam – odparła, z trudem powstrzymując się przed zarzuceniem go pytaniami. Ale mieli ważniejsze zmartwienia. – Ryder powiedział mi, że masz jakiś plan...

– Plan to może za wiele powiedziane. Chodzi po prostu o to, jak moglibyśmy stąd zwać i uratować tyłek.

– Brzmi wspaniale. Kiedy?

– Za kilka minut skoordynuję działania z Ryderem. Będziemy gotowi o dwudziestej pierwszej zero zero. Ty też bądź wtedy gotowa i pilnuj pistoletu.

Kiedy powiedział, jak zamierza ją uwolnić, podała mu kilka szczegółów, które powinny pomóc w realizacji jego planu, i sprawdziła zegarek.

Pozostały niecałe dwie godziny.

– Mam powiedzieć o tym komuś jeszcze? – spytała.

Zapadła długa cisza.

– Przykro mi, ale nie – odparł po chwili. – Jeżeli mamy mieć jakąkolwiek szansę na ucieczkę, musimy wykorzystać sztorm. Ryder ma w wyrzutni prywatną łódź. Nasz przyjaciel Jessie załatwił mi mapę. Jakieś trzydzieści mil morskich stąd jest mała osada. Musimy się tam dostać i zaalarmować Sigmę.

– Jessie ucieka razem z nami?

Znowu odpowiedziała jej cisza.

– Monk?

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie.

– Złapali go i wyrzucili za burtę.

– Co? Jessie nie żyje?

– Nie wiem. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się spotkamy.

Poczuła ukłucie smutku, mimo że знаła Jessiego jedynie kilka godzin.

– Dwudziesta pierwsza zero zero – powtórzył Monk. – Miej radio przy sobie, ale ukryj je dobrze. Skontaktuję się z tobą. Bez odbioru.

Zdjęła słuchawki i ścisnęła w dłoniach mały aparacik. Dotyk twardego plastiku pozwalał jej się skoncentrować. Jeszcze dwie godziny.

Huknął grzmot.

Przypięła radio wewnątrz kieszeni spodni, złożyła słuchawki i schowała je pod bluzą.

Jeżeli mają uciekać, nie powinna opuszczać statku z pustymi rękami. W pokoju jej pacjentki znajdowały się ogromne ilości danych.

Był tam też komputer. Z nagrywarką DVD.

Podczas przyjęcia rozmawiała z Henrim i doktorem Millerem. Ukradkowymi szeptami przekazali sobie, w jaki sposób Devesh Patanjali i jego ludzie zbierają próbki najróżniejszych bakterii produkowanych przez szczep Judasza i gromadzą je w komorach inkubacyjnych trzymany w zamkniętym laboratorium kierowanym przez wirologa Patanjalego.

– Według mnie eksperymentują z wirusem, oddziałując nim na różne znane patogeny – powiedział

doktor Miller. – Widziałem mnóstwo zaplombowanych płytek, opisanych jako *Bacillus anthracis* oraz *Yersinia pestis*, znikających w zamkniętym laboratorium.

Wąglik i dżuma.

Henri podejrzewał, że Patanjali chce uzyskać superszczep tych śmiertelnych patogenów. Podczas rozmowy ani razu nie padło pytanie – po co?

Było to dla nich wszystkich jasne.

Bioterroryzm.

Lisa spojrzała na zegarek i podeszła do drzwi. Jeżeli świat miał dostać szansę powstrzymania miriadów plag, które Gildia zbierała i wytwarzała, potrzebne mu było jak najwięcej danych pacjentki Lisy. Organizm chorej sam się leczył, pozbywał się toksycznych bakterii, oczyszczał się z nich.

Jak i dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie znajdowała się w ciele Susan Tunis.

Nie mogła uciec ze statku bez danych.

Musi zaryzykować.

Ostrożnie nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i przeszła pięć kroków dzielących ją od salki, w której leżała Susan Tunis. W znajdujących się przed nią pokojach przez cały czas trwała krzątanina. Technicy wychodzili i wchodzili. Radio grało jakąś amerykańską muzykę, ale wokalista śpiewał po chińsku. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekujących i mokrej ziemi.

Lisa spojrzała na uzbrojonego strażnika obchodzącego właśnie stertę skrzynek i niepodłączonego sprzętu. W głębi korytarza słychać było rozmowy pozostałych strażników.

Pochylona, podsunęła się do drzwi, przeciągnęła przez czytnik kartę elektroniczną, którą dostała od Patanjalego, i wślizgnęła się do środka. Jak zwykle Susan pilnowało dwóch sanitariuszy. Najcenniejsza zdobycz Patanjalego ani przez chwilę nie mogła pozostawać bez opieki.

Jeden z mężczyzn siedział na krześle w sąsiadującym z pokojem chorej saloniku z nogami opartymi na kanapie i oglądał jakiś hollywoodzki film ze ściszym głosem. Drugi znajdował się w tym samym pomieszczeniu co pacjentka, sprawdzał najważniejsze dane i zapisywał je na trzymanej w dłoni podkładce.

– Chciałabym zostać na chwilę sama z pacjentką – oświadczyła Lisa.

Obaj mężczyźni byli ogoleni na łyso i ubrani w identyczne szpitalne kitle. Wyglądali jak klony. Lisa nie wiedziała, jak się nazywają, i w myślach nadała im imiona Tweedledee i Tweedledum.

Ale przynajmniej znali angielski.

Sanitariusz wzruszył ramionami, podał jej podkładkę i poszedł do swojego partnera.

Za drzwiami balkonowymi zamigotała błyskawica, a po sekundzie zadudnił grzmot. W nagłym świetle cały świat na zewnątrz – laguna i otaczający ją las – przez chwilę wyglądał jak rzeźbiony, po czym zniknął w ciemnościach.

Ulewa wciąż się nasilała.

Lisa założyła chirurgiczną maskę i rękawiczki i podeszła do pacjentki. Wzięła do ręki oftalmoskop. Zaobserwowała u chorej dziwną zmianę w wyglądzie oczu, o której nie powiedziała Patanjalemu. Przed ucieczką chciała przyjrzeć się temu jeszcze raz.

Odsunęła połą namiotu, pod którym leżała Susan, pochyliła się nad nią i delikatnie uniosła powiekę jej lewego oka. Włączyła światło oftalmoskopu i ustawiła ostrość. Przysunęła się tak blisko, że niemal zetknęły się nosami, i zaczęła oglądać dno oka chorej.

Powierzchnia siatkówki wydawała się w normie: plamka, tarcza nerwu wzrokowego, naczynia krwionośne. Niełatwo było dostrzec tę anomalię, ponieważ nie była to zmiana strukturalna. Lisa zgasła lampkę instrumentu i kontynuowała badanie.

Siatkówka świeciła własnym mlecznym światłem. Tkanka zawierała jakąś fosforyzującą substancję. Początkowo była ona rozmieszczona jedynie wokół tarczy nerwu wzrokowego odchodzącego prosto do mózgu, ale w ciągu ostatnich godzin rozprzestrzeniła się i objęła całą siatkówkę.

Lisa pamiętała z opisów świadków, że kiedy choroba zaatakowała, morze świeciło od fosforyzujących cyjanobakterii.

Teraz tak samo świeciły oczy pacjentki.

Między tymi obydwojma zjawiskami musiał być jakiś związek.

Kilka godzin temu Lisa potajemnie wykonała dodatkową punkcję, aby sprawdzić, czy doszło do zmian w płynie mózgowo-rdzeniowym. Wyniki powinny się już znajdować w stojącym w kącie komputerze.

Skończyła badanie, zdjęła rękawiczki i maskę, po czym podeszła do komputera. Z pokoju obok nie było go widać.

Włączyła menu testów laboratoryjnych. Wyniki analizy płynu mózgowo-rdzeniowego rzeczywiście wróciły już z laboratorium, ale podniesiony był jedynie

poziom białka, poza tym niewiele odbiegało od normy. Przeszła do wyników badania mikroskopowego. W płynie mózgowo-rdzeniowym odkryto i zidentyfikowano cyjanobakterie – tak, jak się tego spodziewała.

Kiedy przed wprowadzeniem do mózgu chorej szczepu Judasza osłabiono barierę krew-mózg, wirus przyniósł ze sobą coś jeszcze.

Jego towarzysz rósł i mnożył się błyskawicznie.

Przewidując takie właśnie wyniki analizy, Lisa zleciła kilka nadprogramowych badań. Cyjanobakteria to jeden z najstarszych szczepów bakteryjnych na Ziemi, ponieważ liczy sobie co najmniej cztery miliardy lat – jej obecność odkryto w pochodzących z tego okresu skamielinach. Jest też jedną z najstarszych form życia na Ziemi. Ma ona pewną wyjątkową cechę: podobnie jak rośliny jest zdolna do fotosyntezy, to znaczy może wytwarzać pożywienie dla siebie ze światła słonecznego i wielu naukowców uważa ją za protoplastę dzisiejszych roślin. Nie to jednak było w tym przypadku najważniejsze. Ta prastara bakteria ma również ogromne zdolności przystosowawcze i udało jej się zaadaptować w każdej niszy środowiskowej: w słonej i słodkiej wodzie, w glebie i w skałach.

A teraz z pomocą wirusa Judasza prawdopodobnie uda jej się także zagnieździć w ludzkim mózgu...

Świecenie w oczach Susan świadczyło o tym, że bakteria dotarła do nich z płynu mózgowo-rdzeniowego wzdłuż nerwu wzrokowego i teraz się tam zagnieździła.

Po co?

Jeden z techników przeprowadził nowy skan mikroskopowy wirusa Judasza. Zaintrygowana Lisa

wyświetliła jego obraz na ekranie i znowu ujrzała potwora: dwudziestościan, z którego każdego rogu wystawała wypustka z kolcem.

Przypomniała sobie swoje wcześniejsze słowa: „Żaden organizm nie robi niczego bez określonego celu. Stara się przeżyć, rozprzestrzeniać, rozwijać”.

Plik zawierał linki do pierwotnych zdjęć wirusa. Otworzyła je.

Stare i nowe. Obok siebie. Były identyczne.

Wyciągnęła dłoń, aby zamknąć pliki, ale nagle jej palec zawisł nad klawiszem.

Nie...

Jej dłoń zaczęła drżeć.

Oczywiście...

Strzeliła kolejna błyskawica i pokój rozświetliło oślepiające światło, a huk grzmotu sprawił, że Lisa podskoczyła. Cały statek zadrżał.

Chyba trafiła w statek, bo światło zamigotało i zgasło.

Kabinę ogarnęła ciemność.

Sanitariusze zaklęli głośno.

Lisa wstała.

Boże...

Po chwili światło ponownie się zapaliło. Komputer pisnął i na ekranie znowu pojawiły się zdjęcia wirusa. Telewizor w pokoju obok zabełkotał i doleciał z niego filmowy dialog.

Lisa znieruchomiała, wpatrując się w leżącą na łóżku kobietę. W krótkiej chwili ciemności dokonała kolejnego odkrycia. Czyżby nikt przedtem nie gasił w tym pokoju światła? A może było to nowe zjawisko?

Jarzyły się nie tylko oczy chorej.

Kiedy zapadły ciemności, można było wyraźnie dostrzec, że świecą się także kończyny Susan i jej twarz. Była to łagodna fosforescencja, której nie dało się zauważyć przy zapalonych lampach.

Cyjanobakteria rozprzestrzeniła się już w całym ciele.

Lisa była tak zaskoczona, że nie od razu zauważyła kolejny dziwny fakt: Susan miała otwarte oczy i wpatrywała się w nią.

Po chwili poruszyły się spieczone wargi i dobiegł z nich słabiutki szept:

– Kim... kim pani jest?

Godzina 20.12

Monk wchodził na górę schodami prowadzącymi z jednego z dolnych pokładów, dokąd się udał, aby sprawdzić dostęp do hangaru, w którym Ryder Blunt trzymał swoją prywatną łódź. Nie było tam strażników, najwyraźniej nikt o nim nie wiedział.

– Mam elektroniczny klucz do bramki – powiedział Ryder, kiedy Monk rozmawiał z nim wcześniej przez radio. – Kiedy tylko się uwolnię, zejść do hangaru, uruchomię łódkę i będę gotów do startu. Możesz sam uwolnić doktor Cummings?

– Mogę – odparł Monk. – Im mniej zamieszania, tym lepiej.

– Wszystko przygotowałeś?

– Chyba tak... Będę gotów za pół godziny.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Monk wszedł na kolejny podest schodów, podszedł do szafy na szcztoki i zabrał koc, poduszkę oraz ubrania, które w niej schował.

Znów zatrzeszczało w jego słuchawce.

– Monk?

– Lisa? – Popatrzył na zegarek. Było jeszcze za wcześnie na umówiony kontakt. – Czy coś się stało?

– Nie, nic. Przynajmniej na razie. Ale musimy zmienić plan. Potrzebujemy miejsca dla jeszcze jednej osoby.

– Dla kogo?

– Mojej pacjentki. Obudziła się.

– Liso...

– Nie wolno nam jej zostawić. To, co się z nią dzieje, ma ogromne znaczenie. Nie możemy ryzykować, że Gildia ją zabierze.

– Może sama iść?

– Jest słaba, ale myślę, że sobie poradzi. Nie mogę stwierdzić nic więcej, bo w pokoju obok siedzą sanitariusze. Jestem teraz u siebie. Zostawiłam ją tam, gdzie leży, nie mówiąc nikomu, że wyszła z katatonii.

– I jesteś pewna, że ona jest taka ważna?

– Oczywiście.

Monk zadał jej jeszcze kilka pytań, ustalili ostatnie szczegóły i rozłączyli się, aby Lisa mogła wszystko przygotować. Zaraz potem znowu połączył się z Bluntem.

– Ryder?

– Słyszałem. Miałem włączone radio.

– Będziemy musieli przyspieszyć akcję.

– Żartujesz chyba! O ile?

Monk odbezpieczył pistolet.

– Właśnie idę na górę, więc bądź gotów.

Godzina 20.16

Kiedy Lisa wróciła do Susan, miała na sobie sweter. Wcześniej poskarżyła się sanitariuszom, że jest jej zimno – była to dobra wymówka, aby pójść na chwilę do kabiny i porozmawiać z Monkiem.

Tweedledee i Tweedledum siedzieli przed telewizorem zapatrzeni w film. Sądząc po odgłosach, trwała ostra strzelanina.

Za chwilę życie miało zacząć naśladować sztukę.

Oczywiście jeśli wszystko pójdzie według planu.

Lisa odwróciła się i ruszyła do pokoju chorej, ale zatrzymała się w pół kroku.

Przy łóżku stał Patanjali i patrzył na leżącą na nim kobietę. Susan miała zamknięte oczy, oddychała równomiernie.

– Doktor Cummings... jak się czuje nasza pacjentka? – spytał, nie odwracając się.

Godzina 20.17

Przy drzwiach windy na poziomie apartamentu prezydenckiego zadzwonił dzwonek i Monk wyszedł na korytarz. Był zmęczony i zirytowany. Niósł naręcze koców i poduszek.

Podszedł do pilnujących podwójnych drzwi strażników, z których jeden siedział na krześle, a drugi stał przy ścianie.

– Start – powiedział do mikrofonu.

Za drzwiami apartamentu rozległ się stłumiony huk wystrzału ze strzelby. To Ryder wyeliminował wartownika po wewnętrznej stronie drzwi.

Strażnik, który stał przy ścianie, odwrócił się w kierunku odgłosu strzału.

Monk natychmiast znalazł się przy nim i uniósł obie ręce. W każdej miał pistolet – jeden owinięty poduszką, a drugi kocem. Przystawił wartownikowi poduszkę do potylicy i pociągnął za spust, a kiedy mężczyzna padał, strzelił jeszcze raz.

Zanim ciało zabitego dotknęło podłogi, odwrócił się do strażnika na krześle, uniósł pistolet owinięty kocem i dwa razy pociągnął za spust.

Godzina 20.19

Lisa weszła do pokoju.

– Doktorze Patanjali... cieszę się, że pana widzę – przywitała go.

Musi się go jakoś pozbyć. Powiedziała Monkowi, że w środku będzie tylko dwóch sanitariuszy.

Patanjali odwrócił się do niej.

– Przyszłam sprawdzić wyniki badania płynu mózgowo-rdzeniowego, które zleciłam, ale przerwa w dostawie prądu wyłączyła komputer – wyjaśniła. – Miałam nadzieję, że uda mi się zobaczyć wyniki badania przed snem.

– Dlaczego nie kazała pani któremuś z moich ludzi przynieść ich z gabinetu doktora Polluma?

– Nikogo tam już nie ma. Może mi pan pomóc?

Patanjali westchnął.

– Oczywiście. Zaraz zadzwonię na dół i każę Pollumowi przesłać pani wydruk.

– Dziękuję.

Skierował się do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze w progu i odwrócił do niej.

Lisa stężała.

– Wyglądała pani bardzo ładnie na przyjęciu.

– Dziękuję...

W końcu wyszedł.

Lisa natychmiast podbiegła do Susan.

– Muszę odłączyć panią od urządzeń monitorujących – szepnęła jej do ucha. – Uciekamy stąd.

Susan kiwnęła głową, a jej wargi się poruszyły, co chyba miało oznaczać: „dziękuję”.

Kiedy Lisa zaczęła odłączać wlew dożylny, zauważyła spływającą po policzku Susan strużkę. Przed wyjściem na rozmowę z Monkiem opowiedziała chorej o losie jej męża. Dzięki uprzejmości Patanjalego mogła przeczytać raport z sekcji jego zwłok.

Ścisnęła ramię Susan.

Dobrze, że Patanjali nie zauważył tych łez, pomyślała.

Godzina 20.25

Pochylając się dla ochrony przed mocno zacinającym deszczem, Monk przebiegł pokładem oświetlanym jedynie przez nieliczne światła. Nad gigantyczną siecią

rozciągniętą na szczycie krateru kłębiły się ciemne chmury. W oddali, niczym armatnie wystrzały nad polem bitwy, co chwila pojawiały się zygzaki błyskawic. Niemal bez przerwy dudniły grzmoty.

Zaraz po pierwszej rozmowie z Lisą Monk dokładnie zbadał fragment pokładu przed pokojem chorej i wszystko zorganizował. Nie zdążył jednak przygotować drugiej pętli. Będzie musiał wciągać kobiety po kolei.

Aby zrobić to naprawdę szybko, potrzebował pomocy.

Po chwili pojawił się Ryder – ubrany podobnie jak on. Uruchomienie motorówki będzie musiało poczekać.

– Tędy! – wrzasnął Monk, przekrzykując deszcz i wiatr.

Za jego plecami zabrzęczało składane metalowe krzeselko, które wiatr przesuwiał po pokładzie. Jeśli chcą uciec przed najsilniejszym uderzeniem tajfunu, będą musieli wydostać się ze statku w ciągu godziny.

Pleciony dach nad ich głowami falował i furkotał.

Doszli do miejsca, w którym Monk przywiązał do relingu linę ze strażacką pętlą zabraną z szafki ze sprzętem ratunkowym.

– Podciągnij ją! – krzyknął do Rydera i wychylił się za burzę.

Szukał wzrokiem balkonu. Krzywizna kadłuba statku zasłaniała mu widok, ale według jego wyliczeń kabina pacjentki Lisy powinna znajdować się dokładnie pod nimi, dwa pokłady niżej.

Właśnie tam miała się zacząć zasadnicza faza operacji.

Jeszcze niżej w delikatnie falujących wodach laguny odbijały się nieliczne światła statku. Wysokie ściany

krateru dobrze go osłaniały. Kiedy Monk wrócił do Rydera, zauważył na wodzie błyski światła. Nie były to odbicia od powierzchni, ale światła pod wodą. Jasne błękity i purpura.

Co to miało znaczyć?

Znowu trzasnęła błyskawica, trafiła w sieć i rozświetliła całą lagunę. Monk skulił się odruchowo. W miejscu uderzenia po stalowych podporach pomknęły fale błękitnej elektryczności. Konstrukcja musiała być uziemiona i działała jak gigantyczny piorunochron.

Ryder podszedł do Monka, wyrzucił pętlę za reling i zaczął ją opuszczać jak doświadczony doker. Po chwili pętla znalazła się na wysokości balkonu dwa pokłady niżej. Bująca się na wietrze jak wahadło.

– Schodzę! – krzyknął mu Monk do ucha. – Zabezpiecz kabinę i natychmiast wracaj. Będziemy musieli wciągnąć obie kobiety.

Ryder kiwnął głową. Monk powtórzył swój plan tylko po to, aby dać mu ostatnią szansę zgłoszenia się na ochotnika do zejścia po linie.

Ale jego towarzysz wcale nie zamierzał się zgłaszać.

Cwaniak, pomyślał Monk. Nic dziwnego, że został miliarderm.

Złapał linę, owinął ją wokół nogi i powoli zaczął się zsuwać, aż dotknął stopą pętli.

Bujając się na wietrze, patrzył na otwarty balkon. Zasłony były do połowy zasunięte, jednak światło w środku pozwoliło mu dostrzec Lisę, którą jakiś wielki mężczyzna przyciskał do drzwi balkonowych i dusił.

Zaczynało się wspaniale.

Godzina 20.32

Lisa zwisała z ramienia Tweedledee, który wyduszał z jej płuc resztki powietrza. Wbijał jej przy tym nochal w szyję i wrzeszczał do ucha:

– Co ty, kurwa mać, zrobiłaś z wlewami, dziwko?!

Kiedy odłączała Susan od rurek i przewodów, skończył się film i Dee postanowił się wysikać. Przeszedł blisko pokoju chorej i zauważył, że czegoś przy jej łóżku brakuje.

Zaczął coś szybko mówić do brata po rosyjsku. Lisa nic z tego nie rozumiała, ale z tonu głosu sanitariusza wynikało, że coś bardzo mu się nie podoba.

Ktoś zastukał w okno balkonowe.

Boże, niech to będzie Monk, modliła się Lisa.

Sięgnęła za siebie i udało jej się dotknąć palcem rygla. Pchnęła go.

Kiedy drzwi za jej plecami się otworzyły, zaczęła wysuwać się na zewnątrz.

Zaskoczony i wytrącony z równowagi Dee zatoczył się do przodu i puścił Lisę. Ale jej także nie udało się utrzymać równowagi i ciężko upadła na plecy.

W otwartych drzwiach pojawiła się czyjaś dłoń, złapała Dee za kołnierz i wyciągnęła go na zewnątrz. Rozległ się stłumiony strzał, po którym nastąpił oddalający się krzyk.

Dee poszedł popływać.

Dum zaczął się cofać do łóżka. Szarpał kaburę pod pachą, zbyt zaskoczony, aby krzyczeć. Lisa próbowała sięgnąć po broń, ale siedziała na niej.

W drzwiach balkonu pojawił się przemoczony do suchej nitki Monk oświetlony kolejną błyskawicą. W ręce trzymał uniesiony pistolet. Wiedział, że huk wystrzału na pewno zostanie usłyszany, ale nie dało się tego uniknąć.

Za Dumem pojawiła się wychudzona ludzka postać.

Była to Susan. Klęczała na łóżku, dygocząc na całym ciele.

Dźgnęła sanitariusza skalpelem, przecinając mu szyję.

Dum złapał się obydwoma rękami za gardło.

Monk skoczył do przodu, złapał go za pasek i jednym szybkim ruchem wyrzucił ze statku.

– Czas, abyś sprawdził, jak się powodzi twojemu bratu...

Tym razem nie było krzyku.

Monk podszedł do łóżka, wycierając dłonie z krwi.

– Kto ma ochotę na wycieczkę? – zapytał.

W pokoju zapanowało gorączkowe zamieszanie.

Lisa podbiegła do drzwi i zaryglowała je szybko, a Monk odłączył ostatnie przewody. Po chwili Susan została oswobodzona.

Lisa ściągnęła sweter i pomogła jej go włożyć. Choć chora niezbyt pewnie trzymała się na nogach, okazała się silniejsza, niż można było się spodziewać po pięciu tygodniach katatonii.

Napędzała ją adrenalina – a może także coś jeszcze.

Błyskawicznie znaleźli się na balkonie, na deszczu i wietrze. Monk złapał bujającą się pętlę, ale kiedy odwrócił się do Susan, wytrzeszczył oczy.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego twoja pacjentka świeci w ciemności? – zapytał Lisę, kiedy już trochę

otrząsnął się z zaskoczenia.

Zawstydzona Susan próbowała niżej obciągnąć rękawy. Wiedziała, co się dzieje z jej ciałem, bo lekarka powiedziała jej o tym.

Lisa dała Monkowi znak, aby się do niej zbliżył.

– Pogadamy o tym później – szepnęła.

Monk zmarszczył czoło, ale bez słowa zaczął się wspinać.

Lisa pomogła wejść Susan w pętlę.

– Utrzymasz się?

– Będę musiała – odparła Susan.

Całe jej ciało dygotało.

Monk i Ryder zaczęli ją wciągać, korzystając z pobliskiego słupka jako oparcia.

Lisa czekała.

Nagle usłyszała głośnie stukanie do drzwi kabiny.

Podeszła bliżej. Z drugiej strony doleciał wściekły wrzask.

Doktor Devesh Patanjali.

Musiał próbować wejść do pokoju, używając karty magnetycznej, ale stwierdził, że drzwi są zaryglowane.

Lisa wróciła do balkonu, wychyliła się na zewnątrz i popatrzyła w górę.

Susan pomagano właśnie przejść przez reling.

– Szybciej! Ktoś idzie! – krzyknęła Lisa, wyciągając zza paska pistolet.

Ale wiatr i kolejny grzmot połknęły jej słowa.

Z kabiny doleciał głośny trzask. Próbowano wyważyć drzwi.

Po chwili huknął strzał ze strzelby.

Monk musiał go usłyszeć, bo w tym samym momencie zrzucona z góry pętla wylądowała w okolicy

ramienia Lisy i uderzyła ją mocno. Lisa zignorowała ból, zaciągnęła zasłony, a potem zasunęła drzwi.

Chciała, aby po wyłamaniu drzwi zobaczyli pusty pokój.

Wiedziała, że ta sztuczka nie zadziała zbyt długo, ale da jej kilka dodatkowych sekund. Cofnęła się, złapała pętlę i wsunęła się w nią. Kiedy to robiła, nagły podmuch wiatru szarpnął sznurem, który uderzył ją w dłoń i wytrącił z niej pistolet.

Broń odfrunęła w bok.

Niech to cholera...

Lisa przytrzymała się pętli, wspięła na balustradę balkonu i odepchnęła nogą.

Poczuła, że lina pod jej pachami się napięła. Zaczęli ją wciągać.

Zakołysała się w kierunku balkonu i w tym samym momencie zasłona się rozsunęła. Strzeliła kolejna błyskawica i na widok lecącej w jego kierunku Lisy twarz Patanjalego za szybą wykrzywiło zdumienie.

Odskoczył do tyłu.

Na jego miejscu natychmiast pojawiła się Surina – w koszuli nocnej, z luźno rozpuszczonymi włosami. Odsunęła drzwi, a drugą ręką sięgnęła za siebie i wyrwała Patanjalemu laskę.

Wahadło, na którego końcu wisiała Lisa, na chwilę się zatrzymało. Wyrzuciła nogę do przodu, chcąc kopnąć zabójczynię, ale Monk i Ryder podciągnęli ją wyżej i stopa trafiła w powietrze.

Lina zaczęła odchyłać się w przeciwnym kierunku.

Surina wyszła na balkon. Wiatr rozwiewał jej włosy, tworząc wokół głowy wirującą koronę. Przekręciła rękojeść laski Patanjalego i machnęła nią do tyłu. Na

środek kabiny pofrunęła pochwa z polerowanego białego drewna, ukazując ukryty w środku laski rapier.

Surina podbiegła do balustrady.

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo, zamieniając ostrze w niebieski ogień.

Bezbronna Lisa znowu bujnęła się w kierunku czekającej na nią zabójczynie.

Godzina 20.46

Monk nie czekał. Kiedy tylko usłyszał pierwszy wystrzał ze strzelby, było dla niego jasne, że Lisa potrzebuje pomocy, zostawił więc Australijczyka samego.

Protetyczną dłonią złapał linę przywiązaną do wkliniwanego między dwa słupki relingu koła ratunkowego. W drugiej ręce trzymał pistolet.

Wyskoczył na tyle daleko za reling, że zobaczył Lisę zbliżającą się do kobiety z rapierem. Wycelował i strzelił, ale silny powiew wiatru zmienił tor pocisku, który wyrwał jedynie kawałek drewna z balustrady balkonu.

Wystarczyło to jednak, aby odwrócić uwagę zabójczynie od ofiary. Natychmiast odskoczyła do tyłu.

Ryder ciągnął Lisę w górę, pokrzykując jak doker.

Ona sama również podciągała się na linie. Nie wisiała już w pętli, ale stała w niej. Znajdowała się teraz kawałek nad drzwiami balkonowymi. Uderzyła ciałem o kadłub statku i mocno się od niego odbiła.

Ryder podciągnął ją o kolejny metr.

Monk wystrzelał cały magazynek, aby odstraszyć atakujących.

Niewiele to jednak dało, bo kobieta z rapierem znów pojawiła się na balkonie i skoczyła na balustradę jak gimnastyczka na równoważnię. Wyciągnęła ostrze pionowo w górę i odbiła się od barierki.

Lisa krzyknęła.

Godzina 20.47

Ostrze minęło obcas buta, przecięło spodnie i głęboko wbiło się w jej łydkę.

Rapier opadł pociągnięty w dół przez siłę grawitacji.

Lisa spojrzała na napastniczkę. Surina z powrotem wylądowała na balkonie i odeszła na sztywnych nogach. Nawet nie popatrzyła w górę.

Ryder wciągnął Lisę wyżej i po chwili krzywizna kadłuba przesłoniła jej balkon.

Ścisnęła linę, drżąc na całym ciele. Po jej nodze spływała krew, wlewając się do buta.

Kątem oka dostrzegła Monka opuszczającego się do niej po linie.

Kilka chwil później złapano ją za ramiona i przeciągnięto przez reling. Upadła na pokład cała rozdygotana. Ryder odwinął z szyi turban, który zsunął mu się z głowy.

– Zaboli – ostrzegł Lisę.

Jego głos brzmiał, jakby dolatywał z bardzo daleka.

Owinął pasem materiału zranioną łydkę Lisy i zasupłał go mocno. Przeszyła ją fala bólu. Jęknęła.

Miliarder pomógł jej wstać.

– Musimy iść. Tamci za chwilę tu będą.

Lisa kiwnęła głową.

– Iść... tak...

Nie był to wprawdzie Szekspir, ale Ryder zrozumiał. Zarzucił ją sobie na ramię, a Monk podtrzymywał Susan. Wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki.

Ruszyli w stronę rufy.

– Dokąd idziemy? – spytała Susan.

– Chyba nie uda nam się dotrzeć do mojej łódki – stwierdził Ryder. – Na pewno obstawili już schody i windy.

Jakby na potwierdzenie jego słów zaczęła wyc syrena. Najpierw gdzieś w głębi statku, a potem na wszystkich pokładach.

Monk wskazał w dół, za reling.

– Wobec tego pozostają nam tylko łodzie dla gości – oświadczył. – Godzinę temu, kiedy sprawdzałem, czy przy twojej łódce nie ma strażników, był tam zacumowany jeden ze ślizgaczy piratów. Nikt go nie pilnował.

– Jest tyle samo pokładów niżej co mój prywatny hangar – powiedział Ryder.

Monk dał im znak, żeby podeszli do relingu, i wychylił się.

– Ale tam możemy dostać się w bardziej bezpośredni sposób.

Wskazał palcem w dół.

Lisa również wychyliła się za reling i zobaczyła zacumowaną niestrzeżoną motorówkę.

– Skaczymy? – spytała go Susan.

Monk przytaknął i popatrzył na nią.

– Umiesz pływać?

– Jestem biologiem morskim – odparła.

Lisa się wzdrygnęła. Znajdowali się dobre piętnaście metrów nad lustrem wody. Od strony dziobu zaczęły dobiegać krzyki. Monk spojrzał na jej nogę.

Kiwnęła głową. Nie miała wyboru.

– Musimy skoczyć razem – stwierdził. – Jeden wielki plusk ściągnie mniej uwagi niż cztery.

Wspięli się na reling i złapali za ręce.

Monk wychylił się do przodu.

– Gotowi?

Potwierdzili.

Lisa czuła się bardzo źle. Ból sprawiał, że widziała w wodzie gwiazdy.

Monk odliczył do trzech i skoczyli.

Lisa, która wiele razy skakała ze skał do morza, zamachała rękami dla utrzymania równowagi. Zetknięcie się z wodą przypominało uderzenie w twardą ziemię i wstrząsnęło całym jej ciałem. Nogi ugięły się pod nią i w tym momencie morze się otworzyło. Zanurzyła się głęboko w ciepłą wodę. Po zimnym deszczu i jeszcze zimniejszym wietrze poczuła się jak w wannie.

Po chwili zanurzenie się spowolniło, hamowane przez rozłożone na boki ramiona.

Zaraz potem zaczęła się wynurzać. Kopała i machała rękami i po kilku sekundach z głośnym westchnieniem przebiła powierzchnię wody. Deszcz siekł lagunę, wiatr szarpał ostrymi porywami.

Zobaczyła pozostałą trójkę. Monk kierował się już w stronę motorówki piratów.

Ryder, który pomagał Susan, spojrział na Lisę.

Dała mu znak, żeby płynął dalej.

Buty i nasączone wodą ubranie utrudniały jej poruszanie się, ale trzymała tempo.

Kiedy Monk dotarł do łodzi, wsunął się na nią szybko. Był nisko pochylony i przez cały czas się rozglądał.

Nikt nie zaczął krzyczeć.

Cały statek wypełniało wycie alarmu. Prawdopodobnie wszyscy pobiegli na górny pokład, gdzie po raz ostatni widziano uciekinierów.

Ryder i Susan dopłynęli do motorówki i Monk pomógł im wspiąć się na pokład.

Lisa pokonywała ostatnie metry.

Prawie dotykała burty, gdy nagle coś uderzyło ją w nogi.

Zaskoczona rozejrzała się po ciemnej wodzie. Po chwili coś musnęło jej biodro. W wodzie mignął zielonkawy płomień i zniknął.

Kiedy złapano ją za ramiona, omal nie wrzasnęła. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest już przy motorówce i Ryder próbuje jej pomóc.

Opadła na dno ślizgacza. Leżące pod nią narzędzia kłuły ją w plecy, nie poruszała się jednak. Oddychała powoli, uspokajając gonitwę serca.

Zawarczał silnik. Ryder rzucił cumy i Monk odpłynął od statku, utrzymując minimalną prędkość, aby odgłos pracy silnika był jak najcichszy.

Lisa usiadła i popatrzyła na miejsce, z którego odpłynęli.

Zobaczyła jakąś postać. Choć twarz znajdowała się w cieniu, Lisa bez trudu wyobraziła sobie znajdujący się na niej tatuaż. Rakao. Maoryski dowódca nie dał się zwieść. Było niewiele możliwości ucieczki ze statku, a on znał je wszystkie.

– Ruszaj, Monk! – krzyknęła. – Cała naprzód!

Silnik zadygotał i ryknął.

Rakao uniósł rękę i Lisa natychmiast pomyślała o jego pistolecie.

– Padnij! – wrzasnęła. – Wszyscy na podłogę!

Błysnął ogień wystrzału i uderzona pociskiem metalowa burta zadzwoniła jak dzwon. Ślizgacz przyspieszył, pozostawiając za sobą spieniony kilwater.

Rakao strzelił ponownie, ale musiał zdawać sobie sprawę, że to tylko marnowanie pocisków. Zaczął coś mówić przez radio.

Za rufy statku wypłynęła druga motorówka. Prawdopodobnie wracała z wioski na plaży. Nagle przyspieszyła i skierowała się ku Rakao.

Musiał ją wezwać.

Na szczęście mieli nad nią sporą przewagę.

Jednak po chwili silnik zakaszłał, rozległ się metaliczny stukot i spod klapy na rufie buchnęła chmura oleistego dymu. Motorówka zadygotała i natychmiast straciła rozpęd.

Lisa podniosła się i rozejrzała. Popatrzyła na rozrzucone na dnie łodzi narzędzia i wepchnięty w kąt poplamiony olejem ręcznik.

Z silnika waliły coraz gęstsze kłęby dymu, a jego ryk zamienił się w terkot.

Ryder zaklął, przeszedł obok Lisy i otworzył klapę, pod którą znajdował się silnik.

Buchnął spod niej kolejny kłęb dymu.

– Ta blaszanka za chwilę wywróci się jajami do góry...

– jęknął Ryder.

Rakao wskoczył do motorówki, którą wezwał, i natychmiast ruszył w pościg.

– Nie mamy wyboru – stwierdził Monk. – Musimy się dostać do brzegu wpływ.

Lisa popatrzyła na plażę, a potem na motorówkę z Rakao.

Może im się uda...

Monk wyduszał z silnika ostatnie rezerwy. Ciemny las zbliżał się do nich powoli. Wydawał się wystarczająco gęsty, aby można było się w nim ukryć.

Pół minuty później silnik ostatecznie wyzionął ducha.

– Płyniemy! – zakomenderował Ryder.

Plaża była oddalona od nich nie więcej niż o pięćdziesiąt metrów.

– Opuścić pokład! – krzyknął Monk.

Wskoczyli do wody, Lisa jako ostatnia.

Motorówka z przywódcą piratów płynęła w ich stronę z dużą prędkością.

Lisa natychmiast przypomniała sobie, co otarło się o nią, kiedy była w wodzie. Teraz jednak znacznie bardziej przerażał ją Rakao. W ciągu wielu lat nurkowania ocierało się o nią wiele rekinów.

Rozpaczliwie kopała nogami, walcząc o każdy metr.

Kiedy odwróciła na chwilę głowę, ujrzała w wodzie dziwne błyski.

Szmaragdowe, rubinowe, szafirowe.

Sunęły w jej kierunku.

Nagle zrozumiała, co musnęło ją w wodzie, zanim wspięła się na pokład motorówki – był to jeden ze sfory

myśliwych, komunikujących się ze sobą za pomocą błysków światła.

– Płyńcie! – krzyknęła i sama także przyspieszyła. Była jednak przekonana, że nie uda im się uciec.

Przywódca sfory podąży za zapachem krwi w wodzie, niemal szybując przez wodę. Jego mięśnie przepompowują wodę, która wystrzeliwuje z tylnej części ciała, z dużą prędkością przemieszczając niemal dwumetrowej długości korpus. Końcówki jego ośmiu ramion stykają się ze sobą, tworząc coś na kształt ostrza strzały. Końce dwóch najdłuższych macek migoczą, jakby zamontowano w nich żaróweczki. Wzdłuż boków zapalają się paski luminescencji, prowadząc resztę sfory.

Wielkie wypukłe oczy jej członków odczytują wiadomości przekazywane błyskami światła przez pobratymców.

Niektóre osobniki odpływają na boki, inne głęboko się zanurzają.

Zapach krwi się nasila.

Płynęła długimi, rytmicznymi ruchami, próbując nie poddawać się panice.

Przed nią rozciągała się plaża – srebrzyste pasmo między czarną wodą i ciemną dżunglą. Zamierzała dotrzeć do niej cała.

Silnik motorówki Rakao ryczał tuż za jej plecami.

Nie uciekała jednak przed łodzią pirata, ale przed sunącymi za nią smugami wodnistego ognia

przyciąganymi krwawiącą raną na łydce.

Cztery metry przed nią Monk i Ryder wychodzili już z wody, ciągnąc między sobą chwiejącą się Susan.

Lisa jeszcze bardziej przyspieszyła.

– Monk! – zawołała.

Przywódca sfory ostatnim ruchem mięśni rzuca się w stronę ofiary, rozkładając macki i rozciągając je na boki. Dwie najdłuższe wystrzeliwują do przodu i przecinają wodę, migocząc żółtymi światłkami, między którymi znajdują się szeregi przyssawek uzbrojonych w chitynowe haczyki.

Godzina 21.05

Monk usłyszał krzyk i spojrzał za siebie.

Płynąca do brzegu Lisa sprawiała wrażenie oszalałej.

Zostały jej zaledwie trzy metry.

Piracka łódź pędziła prosto na nich. Deszcz siekł powierzchnię wody, dziurawiąc ją jak szwajcarski ser. Smugi światła pod wodą gnały prosto na Lisę.

Monk natychmiast przypomniał sobie, co opowiadał mu o tej lagunie szczerbaty pirat.

Demony głębin.

Z powrotem wskoczył do wody. Dno ostro opadało i już po dwóch krokach zanurzył się po pas.

– Lisa! – wrzasnął.

Popatrzyła na niego i nagle zatrzymała się w miejscu. Jej oczy rozszerzyło przerażenie.

– Uciekaj... – wydyszała.

Ruszył w jej stronę z wyciągniętymi ramionami.

– Daj mi rękę!

Było już jednak za późno.

Z wody wystrzeliła płatanina macek, które błyskawicznie otoczyły Lisę. Po chwili została przewrócona i wciągnięta pod wodę. Stwór ukazał się na moment na powierzchni – smukły, pokryty zygzakami światła. Na Monka popatrzyło wielkie czarne oko i zniknęło.

Ramię Lisy się wynurzyło i zaczęło szybko przecinać wodę, jednak po dwóch sekundach zniknęło pod powierzchnią.

Monk zrobił krok do przodu, zamierzając zanurkować, ale powstrzymała go karabinowa salwa. Pociski klepnęły w wodę tuż przed nim i zmusiły go do ucieczki na plażę.

– Tutaj! – wrzasnął Ryder.

Kolejne strzały zaczęły wzbijać gejzery piachu przy nogach Monka.

Nie miał wyboru.

Cofnął się, wpadł w ramiona Rydera, a potem wszyscy troje pobiegli w ciemny las.

Oplątana mackami Lisa starała się jak najdłużej utrzymać powietrze w płucach.

Choć w jej ciało wbiły się gigantyczne haczyki, z przerażenia nie czuła bólu.

Kopała i wiła się jak szalona.

Ciemność przeszywały smugi światła.

Godzina 21.06

Monk pozwolił Ryderowi wciągnąć się głębiej w las. Nic już nie mógł zrobić.

Patrzył przez liście na czarną wodę.

Motorówka piratów zwolniła i w stronę brzegu skierowano lufy karabinów. Rakao stał na dziobie z długim oszczepem w ręce.

Po chwili zamachnął się i wbił go w wodę.

Z miejsca, w które trafił, buchnęły łuki błękitnej elektryczności, rozświetlając noc. Woda zasyczała i zabulgotała wokół broni.

Lisa powoli traciła świadomość. Gdy kałamarnica jeszcze mocniej zacisnęła macki, przeszła ją kolejna fala bólu.

Jednak po chwili ramiona stwora puściły.

Lisa przez cały czas miała otwarte oczy, więc widziała, jak ucieka w głąb laguny. Wyglądał jak szmaragdowa strzała. Za nim podążyły następne.

Kiedy wypłynęła na powierzchnię, złapano ją za włosy.

Zakaszła i straciła przytomność.

Godzina 21.07

Monk obserwował z ukrycia, jak piraci wyciągają Lisę za włosy z wody. Była zupełnie wiotka, jakby jej kości zamieniły się w galaretę, i miała głowę skręconą w nienaturalny sposób.

Rakao odrzucił oszczep na bok.

– To coś w rodzaju elektrycznego ościenia – mruknął Ryder. – Przepędził nim tę bestię w ostatniej chwili.

Rakao przewiesił niedoszłą ofiarę morskiego potwora przez burtę łodzi i nacisnął jej plecy. Z ust i nosa Lisy trysnęły strugi wody.

Po chwili poruszyła ręką.

A więc żyła.

Pirat podniósł ją i rzucił na dno łodzi. Popatrzył w kierunku plaży, a potem w górę, na klify. Nad dachem laguny strzeliła następna błyskawica. Wiatr przyniósł kolejne smagnięcie deszczu, którego fala zalała powierzchnię wody.

Rakao uniósł rękę i palcem zakreślił w powietrzu koło.

Wyrzucając fontannę wody, motorówka zawróciła i pomknęła w kierunku statku.

Zabierali Lisę, ale żyła.

– Dlaczego odpływają? – spytała Susan.

Monk spojrział na nią. Jej twarz i dłonie świeciły teraz dość słabo, ale otaczająca ich ciemność pozwalała bez trudu dostrzec to zjawisko. Przypominało świecący przez chmury księżyc.

– Nie bardzo mamy dokąd uciec, więc zaczną na nas polować jutro rano – wyjaśnił z goryczą Ryder.

Monk wskazał las.

– W takim razie ruszajmy – powiedział, ale zanim zagłębili się w dżunglę, obejrzał się jeszcze za siebie

i zapytał: – Co to za stwory?

– Drapieżne kałamarnice – odparła Susan. – Niektóre gatunki polują całymi stadami i wydzielają światło. Na Pacyfiku zdarzało się, że kałamarnice Humboldta wypływały z głębin i atakowały ludzi. Są też znacznie większe od nich, na przykład *Taningia danae*. Ta laguna musi być miejscem zamieszkania jakiegoś podgatunku, który wypływa na łowy w nocy, kiedy ich komunikacja luminescencyjna działa najlepiej.

Monk przypomniał sobie historię, którą opowiadał mu pirat – o czarownicy i demonach morskich. Przypomniał sobie także jego inną opowieść o tej wyspie.

Uniósł głowę ku poszarpanym szczytom klifu odcinającym się wyraźnie od ciemnego nieba. Przez łoskot grzmotów przebijał odgłos bębnow.

Kanibale.

– Co teraz? – spytał Ryder.

Monk ruszył przodem.

– Czas poznać sąsiadów... zobaczyć, co jedzą.

Godzina 21.12

Lisa wisiała na rękach jednego z piratów, kiedy wchodzili na statek. Była za słaba, aby walczyć, zbyt zmęczona, aby cokolwiek ją obchodziło. Przemoczona do suchej nitki, krwawiąca z nie wiadomo ilu ran, bezwolnie czekała na to, co przyniesie jej los.

Rakao klócił się z Patanjolim po malajsku.

Nic z tego nie pojmowała.

Podejrzewała, że spierali się o to, dlaczego wytatuowany pirat nie podążył do dżungli za Susan Tunis. Zrozumiała tylko jedno słowo.

Kanibale.

Za Rakao i Patanjali stała Surina – osłonięta przed deszczem, wyprostowana, cierpliwa. Wbijała wzrok w Lisę. Jej oczy nie były zimne, ponieważ nawet do tego trzeba umieć okazywać emocje. Były otchłaniami.

W końcu Patanjali odwrócił się i wskazał Lisę.

– Zastrzelcie ją – powiedział po angielsku.

Lisa uniosła głowę i zakaszła.

Postanowiła zaoferować naukowcowi Gildii jedyną rzecz, jaką mógł zechcieć przyjąć.

Może daruje jej za to życie.

– Devesh... – wychrypiała. – Szczep Judasza... wiem, co ten wirus robi.

11

Zbite szkło

Stambuł

6 lipca, godzina 13.55 czasu miejscowego

Szok sprawił, że wszystko zamieniło się w milczący obraz.

Gray patrzył z okna na piętrze Hagii Sophii, jak potylicą Balthazara Pinossa eksploduje fontanną krwi i okruchów kości. Historyk zgiął się w pasie i szeroko rozrzucił ręce na boki. Telefon komórkowy, który jeszcze przed chwilą trzymał przy uchu, wyfrunął mu z palców, uderzył w bruk i przesunął się po nim kilka metrów.

Po chwili ciało potężnego mężczyzny upadło na ziemię.

Vigor westchnął.

– O mój Boże... nie...

Ciszę wypełniły krzyki na placu.

Gray się cofnął. Potrzebował dwóch oddechów, aby pojąć konsekwencje tego, co się przed chwilą stało. Skoro Balthazar został zastrzelony...

– Nasser o nim wiedział – stwierdził Vigor, kończąc jego myśl. – Wiedział, że Balthazar tu jest, i jego

snajperzy go zabili.

Graya niemal sparaliżowało poczucie winy. Wysłał tego człowieka prosto pod lufy karabinów plutonu egzekucyjnego...

Krzyki na zewnątrz robiły się coraz bardziej natarczywe, przenosiły już się do wnętrza sanktuarium. Ludzie w panice uciekali z placu, szukając kryjówki w najbliższym miejscu – w Hagii Sophii.

Przed kilkoma minutami Gray i Vigor weszli na piętro, gdzie panował nieco mniejszy ruch i mogli się łatwiej ukryć. Przed wyjściem Balthazar poinformował kuratora muzeum, że jego goście już wyszli i prosili, aby mu przekazać, że nie potrzebują ambulansu.

– Zaraz zaroj się tu od policji – mruknął Gray. – Musimy się schować.

Vigor złapał go za rękaw.

– Twoi rodzice...

Gray pokręcił głową. Nie miał teraz czasu się nad tym zastanawiać. Nasser ostrzegł go, aby nie próbowali żadnych wybiegów, ale gdyby zaczął teraz mówić o swoich obawach i ryzyku, nie uwolniłby się od presji. Ciężko oddychał i miał lekkie zawroty głowy. Jego rodzice odcierpią również i tę pomyłkę...

Znacznie ważniejsza była jednak odpowiedź na pytanie, skąd Nasser wiedział o Balthazarze.

Palce Vigora, który cały czas wyglądał przez okno, zacisnęły się na jego ramieniu.

– Boże drogi... co ona wyprawia?

Gray popatrzył na plac przed zachodnią ścianą. Wszyscy ludzie, którzy się tam znajdowali, kucali albo leżeli na ziemi – tylko jedna postać biegła wyprostowana. Lekko kuśtykała, chroniąc lewy bok.

Seichan.

Dlaczego chciała do nich dołączyć?

Kiedy już prawie dobiegała do świątyni, za jej stopami wystrzeliły iskry. Ktoś do niej strzelał. Ludzie Nassera. Ale jej nagłe pojawienie się zaskoczyło strzelców. Otrzymali rozkaz, aby nie wypuszczać z budynku Graya ani nikogo z jego grupy, nie spodziewali się jednak, że ktoś będzie chciał wbiec do środka.

Seichan jeszcze raz stanęła do wyścigu ze śmiercią.

Godzina 13.58

Kiedy usłyszała strzały, zaklęła. A więc Nasser umieścił tu snajpera albo nawet dwóch. Zanim weszli do hotelu, nie próbowała ich zlokalizować, ale mieli mnóstwo czasu na dobre zakamuflowanie się. Poza tym nie spodziewała się, że zdrajca będzie w ich grupie. Balthazar bardzo sprytnie pozakładał wnyki.

Przebiegła przez Wrota Królewskie i przykucnęła pod ścianą. Zastanawiała się, czy w środku także są strzelcy.

Zaczęła przepatrywać ogromną nawę. Przestraszeni strzelaniną ludzie kulili się po kątach lub biegali po kościele.

Musiała jak najszybciej odnaleźć Graya i Vigora.

W oddali wyły syreny.

Nagle jakaś ręka złapała ją za koszulę, więc odruchowo wbiła napastnikowi pistolet w zębra.

– Seichan, co się stało?

Był to Gray. Miał bladą, zapadniętą twarz.

– Musimy stąd uciekać... natychmiast. Gdzie jest monsignore?

Gray wskazał pobliskie schody. Vigor stał w półcieniu i przyglądał się tłumowi.

Seichan popchnęła Graya w jego stronę.

Monsignore wpatrywał się w łukowato zwieńczone wrota. Jego oczy były przepełnione bólem.

– Nasser go zastrzelił... – wyszeptał. – Zabił Balthazara.

– Nie – zaprzeczyła Seichan. – Ja to zrobiłam.

Vigor cofnął się o krok.

– Pracował z Nasserem – dodała.

– Jak możesz... – jęknął Vigor.

– Mam zdjęcia Nassera z Balthazarem sprzed dwóch lat. Widać na nich, jak Nasser przekazuje mu pieniądze.

– Wbiła twarde spojrzenie w watykańskiego dostojnika.

– Cały czas z nim współpracował.

Nie wierzyli jej, musiała więc poszukać innych argumentów.

– Monsignore, kto pierwszy zwrócił twoją uwagę na napis w Wieży Wiatrów? – zapytała.

Vigor znowu spojrzał w stronę placu, na którym leżał jego martwy przyjaciel.

– Zanim was w to wciągnęliśmy, jeździliśmy z Nasserem po całych Włoszech, szukając pierwszych fragmentów anielskiej układanki. Nikt nie miał odkryć mojego niewidzialnego znaku w Watykanie aż do chwili, kiedy do ciebie zadzwonię i powiem, żebyś przeszukał skrytkę z lampą na ultrafiolet. Naprawdę sądzisz, że twój przyjaciel natknął się na ten napis przypadkiem?

– Twierdził, że jeden z jego studentów...

– Kłamał. To Nasser mu o tym powiedział. Ten drań podążył tym samym tropem co ja. Użył Balthazara, aby wciągnął cię w grę mającą na celu rozwiązanie zagadki.

Vigor usiadł na schodach i zakrył dłońmi twarz.

Seichan odwróciła się do Graya. Stał oddalony od niej o krok i odtwarzał wydarzenia minionego dnia, konfrontując je z tym, czego się właśnie dowiedział. Popatrzył na nią, wyczuwając jej napięcie.

– W takim razie Nasser wie, że próbowaliśmy go oszukać – stwierdził. – Wie, że mamy pierwszy klucz. Wie wszystko.

– Niekoniecznie – odparła i pociągnęła Vigora za rękę, popychając jednocześnie Graya w głąb świątyni. – Dlatego właśnie musiałam wyłączyć Balthazara z gry. Nie sądzę, aby po wyjściu z Hagii Sophii zdążył porozmawiać z Nasserem. Zdjęłam go, zanim miał okazję wszystko pogorszyć.

– Pogorszyć? – Gray zatrzymał się gwałtownie. – Mogłaś go złapać i wtedy wykorzystalibyśmy tego człowieka przeciwko Nasserowi. Było tysiąc innych możliwości!

– Wszystkie zbyt ryzykowne! – prychnęła Seichan. – Dopuszcz to wreszcie do swojej tępej mózgownicy: zarówno plan Nassera, jak i nasz są rozwalone. Musimy natychmiast zacząć działać.

Twarz Graya pociemniała.

– Kiedy ci dranie się dowiedzą, co zrobiłaś... co zrobiliśmy... Właśnie zabiłaś moich rodziców!

Przerwała mu mocnym uderzeniem w twarz, które odrzuciło go do tyłu. Mimo że zaskoczony, natychmiast złapał ją za kołnierz i zamachnął się pięścią.

– Dzięki zabiciu tego drania mamy małe zamieszanie
– oświadczyła, nie dając się wytrącić z równowagi. –
Musimy je wykorzystać.

– Ale moi rodzice...

– Prawdopodobnie już nie żyją – powiedziała spokojnie.

Dłoń, którą trzymał ją za kołnierz, zadrżała. Jego twarz stężała i poczerwieniała. Wbił w nią wzrok.

– A nawet jeśli żyją, jeżeli Nasser trzyma ich jako dodatkowe zabezpieczenie, mamy tylko jedną szansę...

Ręka Graya oderwała się od jej szyi.

– Potrzebujemy dobrej karty przetargowej, jeśli chcemy ich ocalić.

Widziała, jak wściekłość w jego oczach gaśnie, przyływ zamienia się w odpływ i jej słowa wreszcie do niego docierają.

– Drugi klucz to za mało – dodała i pokręciła głową. – Musimy zamilknąć. Niech monsignore wyjmie baterię ze swojej komórki.

– Jak wtedy Nasser się z nami skontaktuje?

– Czas odebrać mu kontrolę nad tym, co robimy.

– A jeżeli spróbuje do nas zadzwonić?

– Cóż... na pewno będzie wściekły. Może zranić jedno z twoich rodziców albo nawet oboje, ale dopóki nas nie znajdzie, utrzyma przynajmniej jedno z nich przy życiu.

W tym momencie zadzwonił telefon Vigora. Wszyscy wstrzymali oddech. Monsignore wyjął aparat z kieszeni, popatrzył na ekranik, przełknął ślinę i podał telefon Grayowi.

– Nasser.

– O wilku mowa... – mruknęła Seichan. – Musiał do niego zadzwonić jeden ze snajperów. Potrzebował

dalszych instrukcji. Prawdopodobnie tylko dlatego jeszcze nie wdarli się do Hagii Sophii. Śmierć Balthazara ich zaskoczyła. To jedyne okienko, jakie mamy.

Gray w milczeniu wpatrywał się w telefon.

Seichan czekała.

Godzina 14.04

Aparat zawibrował i po chwili ponownie zadzwonił.

Gray niemal czuł emanującą z niego wściekłość, gotową skierować się przeciwko jego matce i ojcu. Rozpaczliwie pragnął odebrać ten telefon – błagać, przeklinać, targować się.

Nie miał jednak czym wyrzeć presji na przeciwniku.

Jeszcze nie w tej chwili.

– Nasser musi być jeszcze w samolocie – mruknął.

– Wyląduje tu dopiero za pięć godzin – powiedziała Seichan.

– Dopóki będzie w powietrzu, nie podejmie żadnej ostatecznej decyzji. Zaczeka z tym, aż stanie na twardym gruncie.

– Ale jeżeli do tej pory nie będzie miał od ciebie wiadomości...

Gray kiwnął głową. Wiedział, że wtedy Nasser na pewno zabije jego rodziców. Nie będzie czekał ani chwili dłużej.

Pięć godzin.

– Potrzebujemy czegoś więcej niż drugiego klucza – stwierdził. – Więcej nawet niż trzeciego.

Seichan popatrzyła na niego.

– Będziemy musieli rozwiązać zagadkę z obelisku – dodał. – I zdobyć mapę Marca Polo.

Nic na to nie odpowiedziała. Nadal czekała.

Następny krok był oczywisty. Gray odwrócił telefon i zaczął wyjmować baterię.

Vigor podszedł do niego i przykrył jego dłoń swoją.

– Jesteś pewien?

Gray uniósł głowę.

– Nie... nie jestem. Niczego nie jestem pewien. – Wysunął dłoń z ręki Vigora i wyciągnął baterię z telefonu, przerywając w połowie ostatni dzwonek. – Ale to wcale nie znaczy, że nie zamierzam działać.

Odwrócił się do Seichan.

– Co teraz?

– Właśnie rzuciłeś rękawicę Nasserowi. Na pewno zaraz zadzwoni do swoich pachołków, więc mamy tylko minutę, może dwie. – Wskazała w głąb świątyni. – Tędy. Kowalski zdobył samochód. Będzie czekał na nas przy wschodnim wyjściu.

Poprowadziła ich wzdłuż nawy. Mijali pozbijanych w ciasne grupki ludzi. Wycie syren przez cały czas się zbliżało. Seichan wyjęła coś z kieszeni.

– Nasser na pewno ma snajperów także przy tym wyjściu – powiedział Gray.

Seichan wyciągnęła do niego rękę.

– To granat oszłamiający. Huk i błysk. Zdetonujemy go w głównej nawie. Kiedy ludzie rzucają się do wyjść, wybiegniemy razem z nimi.

Zmarszczył czoło.

– Jeżeli snajperzy zobaczą kogoś z nas, otworzą ogień do tłumu bez względu na straty – zauważył Vigor, kiedy mijali grupę uczniów.

– Nie ma innej możliwości – odparła Seichan. – Musimy zaryzykować. Ludzie Nassera już mogą wchodzić do...

W tym momencie w środku świątyni rozległ się głośny wystrzał.

Gray poczuł, że coś śmignęło mu koło ucha. Kawałek mozaiki na kolumnie obok niego rozprysnął się na setki złotych fragmentów.

Tłum ogarnęła panika i ludzie zaczęli się rozbiegać we wszystkie strony.

Vigora ktoś potrącił i przewrócił na kolana. Kiedy Gray pomagał mu się podnieść, w marmurową kolumnę uderzył kolejny pocisk. Huk wystrzału odbił się głośnym echem od ścian świątyni.

Pochyleni ruszyli do bocznej nawy i pobiegli wzdłuż niej. Gdy dotarli do połowy, Seichan zaczęła wyciągać zawleczkę z granatu.

Gray złapał ją za rękę.

– Nie rób tego!

– To jedyny sposób. Przed nami może być więcej strzelców. Musimy zrobić zamieszanie, żeby dotrzeć do wyjścia.

Ilu niewinnych ludzi zginie, jeżeli zostaniemy dostrzeżeni? – pomyślał Gray.

– Możemy uciec inną drogą – powiedział.

Cały czas ściskając dłoń Seichan, poprowadził ich grupkę w stronę południowej części budynku.

– Na górę! – zakomenderował, kiedy znaleźli się przy rusztowaniu.

Był tylko jeden problem: strażnik, który nie opuścił swojego stanowiska. Kucał za drewnianym płotkiem, trzymając karabin w pozycji gotowej do strzału.

Gray wyrwał granat z dłoni Seichan, wyciągnął zawleczkę i wrzucił go za płotek.

– Zamknij oczy! – krzyknął do Vigora i pociągnął go na podłogę. – I zakryj uszy!

Seichan kucnęła i objęła głowę ramionami.

Wybuch był jak kopnięcie w brzuch. Choć Gray odwrócił głowę i zamknął oczy, błysk eksplozji przebił się przez powieki.

Kilka sekund i było po wszystkim.

Podniósł Vigora. Słyszał rozlegające się wokół wrzaski, tłumione przez ostatnią falę dudnienia w uszach. Ruszył szybkim krokiem do rusztowania. Tłum podzielił się na dwie części – jedni uciekali do wschodniego wejścia, inni do zachodniego.

Strażnik został wyłączony z akcji – leżał na plecach i jęczał.

Będzie go bolała głowa, ale przeżyje, pomyślał Gray.

Zabrał mu karabin i dał znak Seichan i Vigorowi, żeby zaczęli wchodzić. Musieli się pospieszyć, bo było jasne, że pędzący tłum nie zatrzyma przeciwnika na długo.

– Dokąd idziemy? – spytała Seichan, wdrapując się jednocześnie na rusztowanie. – Jesteśmy tu jak kaczki do odstrzału!

– Wchodź i nie zastanawiaj się!

Ruszyli szybko w górę, po dwa szczeble naraz.

Byli w połowie wysokości, kiedy o konstrukcję zagrzechotała garść pocisków z broni automatycznej. Seria była puszczona bardzo chaotycznie, ale na tyle

celnie, że zostali zmuszeni do ucieczki z zewnątrz rusztowania do jego wnętrza. Pobiegli wyłożonym deskami podestem.

Nisko pochylony Gray biegł przodem.

– Tędy!

Znajdowali się na wysokości, na której kopuła stykała się z główną częścią budynku. Zatrzymali się naprzeciwko wspaniałych, łukowato zwieńczonych okien, którymi wszyscy tak się zachwycali.

Gray uniósł strzelbę i wypalił w okno przy końcu rusztowania. Kiedy na zewnątrz wyprysnęła chmura okruchów szkła, doskoczył do okna i kolbą karabinu zaczął oczyszczać framugę z wystających odłamków.

– Wyłaźcie! – krzyknął do Seichan i Vigora.

Minęli go poganiani kolejną serią z pistoletu maszynowego.

Po chwili wyszedł za nimi na wąską półkę biegnącą wokół kopuły.

Zalało ich światło popołudniowego słońca.

Mieli przed sobą jarzące się szafirem morze Marmara. Za wodą rozciągała się azjatycka część Stambułu – chaotyczna mieszanina starożytności i nowoczesności. Po lewej, w sporej odległości, widać było gigantyczny, mający ponad kilometr długości most Bosforski wznoszący się nad prowadzącą do Morza Czarnego cieśniną.

Uwagę Graya przyciągnęło jednak coś innego. Wskazał w stronę południowej fasady Hagii Sophii, gdzie na zewnątrz budynku również znajdowały się rusztowania.

– Tam!

Ruszył pierwszy wokół kopuły i po kilku metrach zeskoczył z półki na daszek niższego budynku, po czym – trzymając wysoko karabin – zjechał na tyłku do samego rusztowania.

Zahamował, opierając się stopami o metalowe elementy, i spojrzał za siebie. Seichan zbiegała po daszku wielkimi, ślizgającymi się krokami. Vigor był ostrożniejszy – przesuwał się na siedząco, co chwila hamując.

Po chwili dziewczyna stanęła, łapiąc się jakiejś rury. W ręce trzymała telefon i darła się do niego jak opętana.

Gray złapał Vigora i pomógł mu wejść na schodki rusztowania, a potem szybko ruszyli w dół. Na szczęście nie było tu strażnika. Prawdopodobnie odszedł, aby sprawdzić, co się dzieje wewnątrz budynku.

Kiedy zeskoczyli na ziemię, Seichan poprowadziła ich do bocznej uliczki. Zza rogu kontrolowanym poślizgiem wyskoczyła żółta taksówka, przyspieszyła tak gwałtownie, że spod jej opon wystrzelił dym, i ruszyła w ich stronę. Seichan cofnęła się gwałtownie.

Poobijana taksówka w ostatniej chwili obróciła się bokiem i z piskiem opon zahamowała przed nimi.

Kierowca pochylił się do okna pasażera.

– Na co, do cholery, czekacie? Ładować dupska do środka!

Był to Kowalski.

Gray usiadł z przodu, a Seichan i Vigor z tyłu. Trzasnęły drzwi.

Kowalski ruszył, paląc opony.

– To nie jest samochód, z którym cię zostawiłam – zauważyła Seichan.

– Tamten był japońskim gównem, a to peugeot czterysta pięć Mi szesnaście. Wczesne lata dziewięćdziesiąte. Mknie jak strzała.

Chcąc to udowodnić, gwałtownie zwiększył obroty, zredukował bieg i ostro skręcił kierownicą, co sprawiło, że pasażerowie zostali rzućeni w lewo, brawurowo wziął zakręt i dodał gazu, wystrzeliwując naprzód jak rakietę.

– Skąd go masz? – spytała Seichan, poprawiając się w fotelu.

Tuż za nimi rozległ się ryk syreny policyjnej.

– Ukradłeś go... – mruknął Gray.

Kowalski był tak mocno pochylony do przodu, że niemal dotykał nosem kierownicy. Wzruszył ramionami.

– Ty to nazywasz „kradzieżą”, a ja „pożyczką”.

Gray odwrócił głowę. Radiowóz wyraźnie zostawał w tyle.

Były komandos w rajdowym stylu wziął następny zakręt i wszyscy polecili w prawo.

– Ma idealny stosunek ciężaru do mocy, przy wyższych prędkościach układ kierowniczy automatycznie się usztywnia... i ma szyberdach! – Oderwał dłoń od drążka zmiany biegów i wskazał palcem sufit auta. – Fajne, co?

Gray opadł na oparcie fotela.

Po następnych dwóch zakrętach zgubili radiowóz. Minutę później musieli zwolnić, wmieszani w gęsty strumień samochodów wyjeżdżających ze Starego Miasta, zagubieni w morzu taksówek.

Gray w końcu na tyle się uspokoił, aby móc porozmawiać z Seichan.

– Mamy zaledwie pięć godzin – powiedział. – Musimy dostać się na Ormuz.

– Chodzi o wyspę Ormuz – wyjaśnił dziewczynie Vigor. – Znajduje się w cieśninie Ormuz łączącej Zatokę Perską z Zatoką Omańską na Morzu Arabskim.

Seichan przyłożyła dłoń do boku. Wspinaczka na rusztowanie i schodzenie musiały ją sporo kosztować, bo była bardzo blada. Kiwnęła głową.

– Znam to miejsce. Z tej wyspy korzysta mnóstwo przemytników i handlarzy bronią, zatrzymują się na niej w drodze z Omanu do Iranu. Nie powinno być problemów.

– Ile czasu potrwa, zanim tam dotrzemy?

– Trzy godziny. Samolotem i hydroplanem. Znam kogoś, kto nam pomoże.

Gray popatrzył na zegarek. Pozostawi im to dwie godziny na odnalezienie ostatniego klucza i użycie go do rozwiązania zagadki obelisku. Jego serce znów mocniej zabiło. Zamieszanie podczas ucieczki pozwoliło mu odsunąć od siebie strach o rodziców, teraz jednak...

Wyciągnął dłoń do Seichan.

– Potrzebny mi twój telefon.

– Żeby zadzwonić do dowództwa Sigmy?

– Muszę ich poinformować o tym, co się działo.

Seichen chyba wyczuła, że nie tylko o to chodzi, mimo to dała mu telefon.

Po kilku sekundach miał na linii dyrektora Crowe'a. Szybko streścił mu najnowsze wydarzenia – od odkrycia drugiego klucza po ucieczkę.

– A więc to Watykan został zinfiltrowany przez kreta Gildii... – powiedział Painter, którego głos to odpływał, to wracał. – Obawiam się, że nie będę mógł zrobić dla

ciebie zbyt wiele na wyspie. To terytorium Iranu. Mam za mało czasu. Wszystkie agencje wywiadowcze na Bliskim Wschodzie dostałyby szału.

– Wcale nie chcę, aby pan cokolwiek dla mnie robił – odparł Gray. – Proszę tylko... moi rodzice...

– Wiem, Gray. Rozumiem. Znajdziemy ich.

Mimo tej obietnicy w jego głosie słychać było wahanie.

Jeżeli jeszcze żyją...

Arlington, Wirginia

Godzina 8.02 czasu miejscowego

Znowu ich przewieziono w jakieś inne miejsce.

Harriet przytykała do ust męża szklanekę z wodą. Była przywiązana do krzesła.

– Jack, musisz się napić. Przełknij.

Zaczął protestować.

– Niech on wreszcie połknie to lekarstwo albo wsadzę mu je w dupę! – warknęła pilnująca ich kobieta.

Dłonie Harriet drżały.

– Jack, proszę... Pij.

Ubrana na czarno kobieta kilka minut temu odebrała telefon i wezwała pozostałych strażników – nawet tych z ulicy. Harriet wyciągnięto z chłodni, w której siedziała zamknięta przez całą noc. Było to przerażające miejsce. Pojedyncza żarówka oświetlała podwójny szereg haków na mięso zwisających z podsufitowych szyn, a podłogę pokrywały plamy jedynie pobieżnie splukanej krwi.

Wypuszczono ją stamtąd, aby zajęła się mężem, którego trzymano osobno. Przez całą noc drżała o jego życie, bo po porażeniu taserem w hotelu właściwie nie odzyskał przytomności. Kiedy ujrzała go zakneblowanego i przywiązanego do krzesła, przeraziła się nie na żarty, na szczęście poza tym nic złego mu nie zrobiono.

Kiedy ją zobaczył, zaczął się szarpać w więzach, ale chyba tak naprawdę wcale jej nie rozpoznał. Jego rozkojarzenie pogłębiały jeszcze stres, porażenie prądem oraz więzy i knebel w ustach.

– Daj sobie z tym spokój – syknęła Annishen i złapała Harriet za ramię. – Pigułki, które dałaś mu przedtem, też nie poprawiły jego stanu.

– Był bardzo pobudzony... potrzeba mu czasu... – powiedziała Harriet błagalnym tonem. – I stałych dawek leków.

Annishen machnęła ręką.

– No dobrze... jeszcze jedna próba.

Harriet jedną dłonią podtrzymywała głowę męża, a drugą podawała mu wodę. Szarpnął się do tyłu, ale trzymała go mocno.

– Jack, kocham cię. Wypij, proszę... Zrób to dla mnie.

Nakapała mu trochę wody na wargi, co okazało się doskonałym sposobem, bo jego usta natychmiast się rozchyliły i zaczął łapczywie pić. Zdawało się, że woda go uspokaja. Po chwili jego ciało rozluźniło się i zawisł na więzach.

Harriet westchnęła z ulgą.

– Połknął? – spytała Annishen.

– Tak. Powinno go to uspokoić w ciągu godziny.

– Nie mamy godziny.

– Rozumiem, ale...

Harriet domyśliła się, z czego wynika nagle zamieszanie: prawdopodobnie ktoś wpadł na ich trop. Dłuższe przebywanie w jednym miejscu zwiększało ryzyko, a każde kolejne przenosiny sprawiały, że ich trop „stygł”.

– Podnieść go! – rozkazała Annishen strażnikom.

Sama złapała za kołnierz Harriet, postawiła ją na nogi i pchnęła do tylnego wejścia. Była bardzo silna. Jej ludzie rozwiązali Jacka i dwóch goryli o lekko azjatyckich rysach zaczęło go wlec między sobą. Jeden z nich przez cały czas trzymał rękę w kieszeni – lufa znajdującego się w niej pistoletu wbijała się Jackowi w plecy.

Annishen złapała Harriet za łokieć.

– Neeeeee... – jęknął Jack, kiedy pociągnięto go do wyjścia.

– Może trzasnąć go jeszcze raz prądem? – spytał jeden z goryli.

– Proszę, nie... – powiedziała błagalnie Harriet. – Dajcie mi spróbować go uspokoić.

Strażnik zignorował ją, ale Annishen chyba nie miała nic przeciwko temu.

– Jest widno – dodała szybko Harriet. – Jeżeli wyniesiecie go nieprzytomnego...

– Wokół są knajpy – odparł strażnik. – Należę mu wódki na koszulę i nikt nie będzie nic podejrzewał.

Annishen ten pomysł zdecydowanie się nie spodobał. Prawdopodobnie dlatego, że nie ona była jego autorką. Pchnęła Harriet w stronę Jacka.

– Uspokój go albo tak mu przywalę prądem, że zamieni się w zaślinione warzywo!

Harriet podbiegła do męża. Zajęła miejsce jednego ze strażników i objęła Jacka w pasie. Drugą ręką pomasaowała mu klatkę piersiową.

– W porządku, Jack. Wszystko w porządku. Musimy iść.

Popatrzył na nią podejrzliwie, ale wyraz złości w jego oczach złagodniał.

– Chcę... do domu.

– Właśnie tam idziemy... chodź, nie marudź.

Dał się wyprowadzić tylnym wyjściem do wąskiego zaułka, tak małego, że ledwie mieścił się w nim pojemnik, z którego wysypywały się śmieci. Słońce zakłuło Harriet w oczy.

Ruszyli w stronę ulicy.

Okazało się, że spędzili tę noc w nieczynnym sklepie mięsny – jednym z wielu zamkniętych sklepów ciągnących się wzdłuż ulicy. Harriet rozejrzała się, próbując zapamiętać jakieś charakterystyczne miejsca. Na pewno byli w Arlington, bo po porwaniu przekroczyli Potomac.

Tylko gdzie dokładnie?

Pół bloku dalej czekał na nich czarny dodge.

Na ulicach zaczynał się poranny szczyt. W wejściu do pralni samoobsługowej siedziało kilkoro bezdomnych. Obok stał wózek na zakupy pełen wypchanych reklamówek.

Traktując bezdomnych jak powietrze, Annishen poprowadziła całą grupę do dodge'a. Nacisnęła pilota i tylne drzwi odsunęły się automatycznie.

Jack szedł jak kukła, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Harriet czekała, aż znajdą się na wysokości grupy bezdomnych. Jej prawa dłoń przez cały czas leżała na brzuchu męża.

Przepraszam cię, Jack...

Uszczypnęła go przez koszulę.

Jack wyprostował się gwałtownie i cała jego obojętność zniknęła.

– Neeee! – wrzasnął.

Zaczął się szarpać z trzymającymi go gorylami.

– Nie znam was! – krzyczał. – Zostawcie mnie!

Harriet pociągnęła go za rękę.

– Jack... Jack... Jack... uspokój się.

Zamachnął się i uderzył ją mocno w bark.

– Hej! – zawołał jeden z bezdomnych. Był chudy jak szkielet i miał długą, postrzępioną brodę. W dłoni ścisnął papierową torbę z butelką w środku. – Co robicie temu gościowi?

Kilka osób znajdujących się w pralni zaczęło wyglądać przez zaparowane, brudne okna.

Annishen podeszła do Harriet. Uśmiechała się złowrogo i patrzyła jej prosto w oczy. Dłoń trzymała w kieszeni – była to oczywista groźba.

Harriet pomasowała Jackowi brzuch i spojrzała na brodatego bezdomnego.

– To mój mąż – powiedziała. – Ma alzheimera. Zabieramy go do szpitala.

Jej wyjaśnienie uspokoiło mężczyznę.

– Przykro mi to słyszeć, proszę pani.

– Dziękuję – odparła Harriet.

Zaprowadziła Jacka do furgonetki. Szybko wsiedli i drzwi się zamknęły. Annishen usiadła z przodu, a kiedy ruszyli, odwróciła się do Harriet.

– Lepiej będzie, jeśli te lekarstwa zaczną działać, bo następnym razem zostawimy go na jednym z rzeźnickich haków – oświadczyła.

Harriet potulnie kiwnęła głową.

Jeden z mężczyzn zarzucił jej na głowę czarny kaptur. Kiedy to samo zrobiono Jackowi, jęknął głośno. Harriet wyciągnęła rękę i złapała dłoń męża. Nie wiedziała, czy zrobił to świadomie, czy odruchowo, ale jego palce zacisnęły się wokół jej dłoni.

Przepraszam cię, Jack...

Drugą dłoń włożyła do kieszeni bluzy. Pomacała pastylki, których wcale nie dała mężowi. Ani razu. Musiał pozostać pobudzony i wystarczająco zdezorientowany, aby zaczął szaleć.

Powinni zwracać na siebie uwagę... żeby ich zapamiętano.

Zamknęła oczy.

Wybacz mi, Panie...

12

Zakazana mapa

Cieśnina Ormuz

6 lipca, godzina 16.44 czasu miejscowego

Z międzynarodowego lotniska na wyspie Queshm wystartował rosyjski hydroplan Beriew Be-103 i leciał teraz nad akwamarynowymi wodami cieśniny Ormuz.

Gray był pod wrażeniem tej błyskawicznej przesiadki. Ich odrzutowiec ze Stambułu wylądował dziesięć minut przed odlotem hydroplanu, który już na nich czekał zatankowany, z rozgrzаныmi silnikami i powoli obracającymi się śmigłami. Było w nim miejsce na sześć osób (z pilotem włącznie) – trzy szeregi podwójnych foteli.

Ale za to okazał się całkiem szybki.

Przelot nad morzem do wyspy Ormuz miał potrwać dwadzieścia minut. Mieli dobry czas, choć na znalezienie trzeciego klucza i użycie wszystkich trzech paitzu do rozszyfrowania zagadki obelisku pozostawały im tylko dwie godziny.

Gray wykorzystał czas na pokładzie prywatnego odrzutowca, podstawionego dzięki kontaktom Seichan na czarnym rynku, do przestudiowania tajemniczych

napisów na obelisku. Nawet podczas tak krótkiego lotu liczyła się każda minuta. Ponieważ siedział sam w ostatnim rzędzie, miał pełną swobodę. Wyjął notes wypełniony notatkami i przemyśleniami. Próbował już wcześniej podstawić pod znaki z obelisku litery – tak jak to zrobił Vigor z napisem w Watykanie zawierającym słowo HAGIA, ale niewiele mu to dało.

Nawet mimo pomocy Vigora.

Przez jakiś czas pracowali we dwóch. Monsignore miał znacznie większe doświadczenie ze starożytnymi językami, ale w tym przypadku także i ono nie pomogło. Odszyfrowywanie treści utrudniało jeszcze to, że nie mieli pojęcia, od której powierzchni obelisku należy zacząć i w jakim kierunku się posuwać.

Stworzyli razem osiem wariantów.

W końcu Vigor ze znużeniem potarł oczy i stwierdził, że się poddaje.

– Bez trzeciego klucza nigdy tego nie rozszyfrujemy.

Gray nie zamierzał się z tym pogodzić i nawet się trochę o to pospierali. W końcu postanowili popracować osobno – żeby nie tłuc się bez sensu głowami. Gray zdawał sobie sprawę, że jego zbyt gwałtowne reakcje mają związek z obawami o rodziców.

Czuł się, jakby za chwilę miał zwymiotować. Kiedy zamykał oczy, za każdym razem pojawiała się przed nim zmartwiona twarz matki. W oczach ojca widział pretensję.

Odsunął od siebie te obrazy i zajął się szyfrem.

Po raz kolejny przyjrzał się kartkom, na których znaki anielskiego alfabetu zostały zastąpione literami.

| | | | |
|-----|-----|-----|-----|
| △ | △ | △ | △ |
| ⊥Δ | ΣΥ | ⊥Η | ΗΥ |
| ΥΟΘ | ΣΤΘ | ΣΙΘ | ΨΘΤ |
| ΧΣΠ | ΧΣΗ | ΧΤΠ | ΣΣΠ |
| ΗΙΣ | ΠΙ⊥ | ΗΣΥ | ΥΙ⊃ |
| ΓΣ⊃ | ΟΓ⊃ | ΨΓΠ | ΨΓΗ |
| ΟΔΤ | ΨΔΗ | ΗΔΣ | ΙΧ⊃ |
| ΧΣΠ | ΧΣΣ | ΣΣΧ | ΧΣΠ |
| ΗΙΣ | ΗΙΠ | ΗΙΥ | ΗΟΣ |

| | | | |
|-------|-------|-------|-------|
| I | I | I | I |
| C N | B A | C G | M A |
| A S P | Z Z P | B V P | S P Z |
| A Z H | A L M | A Z H | Z L H |
| M V B | H V C | M L Z | A V C |
| T L C | S T C | S T H | S T G |
| S N Z | S N G | G N B | V A C |
| A L H | A L B | B L A | A L H |
| M V B | M V H | M V A | M S B |

Na następnych stronach było siedem wariantów podstawień.

Który z nich był właściwy? Gdzie należało zacząć?

Jego uwagę zwróciło głośnie chrapanie w przodzie samolotu. Kowalski spał. Prawdopodobnie zasnął, zanim koła maszyny oderwały się od pasa startowego.

Siedzący obok niego monsignore zastanawiał się nad pamiętnikiem wyszytym na jedwabiu. Kiedy Kowalski zaczął chrapać, odpiął pas i wrócił na fotel obok Graya. W ręce trzymał zwój.

NieZRęczna cisza przeciągała się coraz bardziej.

Gray zamknął notes.

– Wtedy... przedtem...

– Wiem. – Vigor poklepał go po dłoni. – Wszyscy się martwimy. Chciałbym jednak, żebyś coś przeanalizował i powiedział mi, co o tym sądzisz.

Gray się wyprostował.

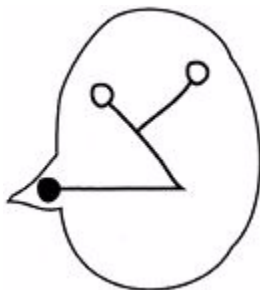
– Jasne.

– Wiem, że chcesz odszyfrować kod obelisku, ale ponieważ za chwilę lądujemy, może dobrze by było,

gdybyśmy się przede wszystkim zastanowili, gdzie powinniśmy zacząć szukać trzeciego klucza.

– Sądziłem, że już to wiemy – mruknął Gray.

Otworzył notes i postukał w symbol anielskiego alfabetu, który znajdował się z tyłu drugiego złotego paitzu.



Gdy porównali go z mapą wyspy, stwierdzili, że zaczerpnięte kółeczko oznacza miejsce, w którym znajdowały się ruiny portugalskiego zamku wzniesionego jakieś sto lat przed ukryciem kluczy Marca Polo. Kiedyś była to potężna warownia. Zbudowano ją przy wąskim przesmyku i otoczono fosą – roztaczał się stąd widok na całe miasto Ormuz i port. Watykańskim mistykiem, zamierzającym ukryć klucz na wieki, takie miejsce z pewnością wydawało się idealne.

– Tak, portugalski zamek, ale tym razem miałem na myśli odpowiedź na pytanie, dlaczego akurat tam szukamy tego klucza? Jeżeli znajdziemy na nie odpowiedź, może uda nam się określić, czego powinniśmy szukać w tych ruinach.

– Rozumiem. Od czego zaczynamy?

Vigor wskazał palcem okienko samolotu. W dole pod nimi widać już było wyspę.

– Miasto Ormuz było kiedyś ważnym portem handlowym, w którym handlowano kamieniami szlachetnymi, przyprawami i niewolnikami. Tak ważnym, że w szesnastym wieku zajęli go Portugalczycy i zbudowali w nim zamek. W czasach Marca Polo to miejsce było na tyle istotne dla chana Kubilaja, że postanowił przysłać tu młodą kobietę ze swojego dworu, aby wyszła za mąż.

– Kokejin, Błękitną Księżniczkę.

– Była to umowa czysto handlowa. Prawda jest taka, że król Persji, któremu została obiecana, zmarł, kiedy Marco Polo i Kokejin byli w drodze. W efekcie wyszła za mąż za jego syna, ale było to także małżeństwo z rozsądku. Błękitna Księżniczka zmarła trzy lata po ślubie. Niektóre źródła twierdzą, że sama zadała sobie śmierć, inne, że umarła z rozpaczy z powodu niespełnionej miłości.

– Nie chcesz chyba powiedzieć...

– Marco nie ożenił się aż do śmierci Kokejin. Kiedy zmarł, w jego pokoju znaleziono dwie rzeczy... Złote paitzu, które dał mu Kubilaj, oraz wysadzany kamieniami szlachetnymi złoty diadem. – Vigor popatrzył znacząco na Graya. – Diadem księżniczki.

Gray się wyprostował. Spróbował wyobrazić sobie wieloletnią wyprawę Marca Polo, podczas której podróżnik badał nieznane krainy. Gdy opuścił pałac chana Kubilaja, był jeszcze stosunkowo młodym człowiekiem – między trzydziestką a czterdziestką. Kiedy Kokejin żegnała swoją ojczyznę, miała siedemnaście lat, a gdy dotarli do Persji – dziewiętnaście. Nietrudno było sobie wyobrazić, że oboje połączyła miłość, która nie mogła się spełnić poza wyspą Ormuz.

Pomasował głowę, próbując usunąć narastający ból. Przypomniawszy sobie cegłę w Hagii Sophii – z glazurą błękitno wewnątrz i tajemnicą ukrytą w kamieniu. Czyżby ta cegła miała symbolizować serce Marca Polo i jego potajemną miłość do Kokejin?

– W takim razie chyba nie zauważyliśmy kolejnego tropu... – Vigor uniósł zwój. – Historię wyszyto na jedwabiu. Dlaczego?

– To materiał z Dalekiego Wschodu, a przecież Marco właśnie po nim podróżował.

– Tak, ale może znaczy to również coś jeszcze?

Gray przypomniał sobie, że jakiś czas temu Vigor przyglądał się pamiętnikowi na jedwabiu przez lupę.

– Co odkryłeś?

Monsignore uniósł zwój.

– Kiedy na tym jedwabiu wyszywano tekst, nie był już nowy. Znalazłem też na nim ślady oleju i plamy.

– A więc użyto kawałka starego materiału.

– Ale do czego był przedtem używany? Z powodu wysokiej ceny jedwabiu jednym z jego najczęstszych zastosowań były całuny dla przedstawicieli królewskich rodów.

Gray powoli zaczynał rozumieć, jaki to może mieć związek z wydrążoną, glazurowaną w środku cegłą.

– Sądzisz, że pochodzi z całunu Kokejin?

– Możliwe. Jeśli mam rację, wiemy już, czego powinniśmy szukać w starym zamku.

– Grobowca Kokejin...

Godzina 16.56

Siedząca obok pilota Seichan miała podczas schodzenia do lądowania doskonały widok na wyspę. Nie była duża, jej średnica nie przekraczała siedmiu kilometrów. Pośrodku pokrywały ją kamieniste i pagórkowate tereny poprzedzielane jedynie wąskimi pasami zieleni. Większa część linii brzegowej składała się z klifów i odizolowanych zatok o poszarpanych skalistych brzegach z mnóstwem jaskiń, z których chętnie korzystali przemytnicy. Na północy wzgórza schodziły ku morzu nieco łagodniej. Było tu więcej terenów zielonych, na których rosły palmy daktylowe i leżały pola uprawne. Tutaj także znajdowała się niewielka osada składająca się głównie z pokrytych strzechami chat.

Z powietrza bez trudu można było dostrzec dowody istnienia znacznie starszego i większego miasta: potężne fundamenty z kamieni przywiezionych ze znajdujących się na wyspie kopalni soli, kilka rozsypanych już budynków, które wyglądały jak sterty gruzu, oraz wysoki minaret używany kiedyś przez Portugalczyków jako latarnia morska.

Nie to jednak było ich celem.

Hydroplan położył się na skrzydło i skręcił nad przesmykiem położonym na północ od dawnego miasta. Tam właśnie znajdowały się pozostałości dawnej twierdzy. Kiedyś oddzielała ją od miasta szeroka fosa, ale dawno temu została zasypana i teraz można było jedynie dostrzec lekko zapadniętą linię biegnącą ze wschodu na zachód.

Gdy hydroplan przelatywał nad ruinami, Seichan przyjrzała się celowi. Potężny fort otaczały wysokie mury, ale zachodnia część dawno przegrała walkę

z morzem – została podmyta i zniszczona przez fale. Wschodnia strona, chroniona przez małą zatokę, ucierpiała znacznie mniej.

Hydroplan przygotował się do lądowania i opadł niżej, muskając powierzchnię wody. W ruinach stały porzuczone armaty, a kolejnych sześć przeciągnięto na plażę – służyły teraz jako pachołki do cumowania. Do jednej z nich przywiązana była mała łódka. Siedział w niej niski człowiek o smagłej skórze, ubrany jedynie w długie szorty.

Kiedy ich zobaczył, zamachał do nich.

Seichan przypuszczała, że to przewodnik, którego zamówiła we wsi. Mając do dyspozycji tylko dwie godziny, potrzebowali kogoś, kto dobrze zna teren.

Hydroplan osiadł na powierzchni morza, wystrzeliwując z tyłu fontannę wody. Impet hamowania rzucił wszystkich na pasy i Seichan jęknęła cicho z bólu. Kiedy się przesiadali, sprawdziła bandaż. Były wilgotne, ale zabarwione jedynie na różowo.

Gdy łódka płynęła w ich kierunku, pilot zawrócił maszynę.

Po chwili włazy zostały otwarte i zaczęli przechodzić z hydroplanu do łódki. Okazało się, że ich przewodnik ma dwanaście lub trzynaście lat, jest chudy jak szczapa i uśmiecha się od ucha do ucha. Nie przejmując się swoimi znacznymi brakami w angielskim, robił wszystko, aby go ćwiczyć.

– Miłe džentelmeni, elegancka panie, ja witać w Ormuz! Moje imię Fee'az!

Pomagając Seichan wsiąść do łódki, Gray uniósł brwi.

– To twój doświadczony przewodnik?

– Skoro nie zamierzasz przetopić żadnego ze swoich złotych paszportów, był najlepszą osobą, którą udało mi się wynająć za pieniądze, jakimi dysponowałam.

Wydała niezłą sumkę na opłacenie chłopaka.

Oczy Graya natychmiast zaczęły skanować zamek. Jego zgarbione ramiona wyraźnie mówiły, jak bardzo się martwi. Starał się nie pokazywać tego po sobie, ale jego dusza była straszliwie rozdarta.

Seichan pokręciła głową i odwróciła się. Nie mogła zrozumieć troski Graya o rodziców, bo swoich nie pamiętała. Pozostało jej tylko jedno wspomnienie: wywlekanej przez drzwi zapłakanej kobiety, która wyciągnęła do niej rękę i zniknęła. Nawet nie miała pewności, czy była to jej matka.

Fee'az podkreślił zaburtowy silniczek, po czym popłynęli w stronę plaży i wznoszących się wysoko ruin. Kowalski ziewał i trzymał dłoń w wodzie, a Vigor patrzył na osadę. Najwyraźniej odbywała się tam jakaś uroczystość, bo słyhać było muzykę.

Gray popatrzył na Seichan. Jego oczy pytały: Jesteś gotowa?

Kiwnęła głową.

Słońce mocno prażyło, więc zdjął kurtkę. Pod nią miał tylko T-shirt w kolorze khaki. Słońce odbiło się od czegoś wiszącego na jego szyi, więc odruchowo wsunął jasny kawałek srebra pod koszulkę.

Był to amulet w kształcie smoka.

Dała mu go Seichan, kiedy ze sobą współpracowali podczas pewnej akcji w przeszłości, ale Gray zachował wisiołek i ciągle go nosił. Zastanawiała się, czemu to robi, i czuła się tym zażenowana. Czyżby sądził, że dała mu ten amulet, ponieważ wydał jej się atrakcyjny?

Powinno ją to bawić, ale z jakiegoś powodu tylko irytowało.

Dno łódki drapnęło o piasek i zostali lekko szarpnięci do przodu.

Po chwili stali na suchym terenie. Wysiedli i zaczęli rozładowywać łódkę.

Seichan rzuciła Kowalskiemu sakwę ze sprzętem – laptopem, wiązką granatów błyskowo-hukowych i sześcioma pudełkami amunicji do czterech pistoletów.

Gray wyciągnął rękę, by pomóc jej wysiąść, ale odepchnęła ją i wyskoczyła na brzeg.

Fee'az przywiązał łódkę do jednej z zardzewiałych armat i machnął ręką, aby szli za nim w stronę prostokątnego otworu w murach fortu. Nieco wyżej w murach znajdowały się wąskie okienka, z których portugalscy strzelcy bronili warowni.

Weszli na pusty podwórzec. Z pęknięć między kamieniami wyrastały chwasty, stojąca na pogiętej podstawie cysterna na wodę czekała, aż siła grawitacji pozwoli jej zwalić się na bruk, a z kawałeczka ziemi wyrastały dwie mizerne palmy daktyłowe. Lekki wiatr przesypywał po kamieniach suchy piasek.

Fee'az uniósł rękę, wskazując główną część zamku. Miała sześć pięter i kończyła się poszarpanymi blankami, spoza których wystawały pordzewiałe wyloty luf armatnich.

– Wszystko pokażę wam! – oznajmił. – Oglądania dużo!

– Czy w zamku jest kaplica? – spytał Vigor.

Fee'az zmarszczył czoło, ale po chwili jego twarz rozpromienił uśmiech.

– Chcecie picia?

– Nie. Chodzi o kościół.

Chłopak uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– O! Jesteście chrześcijanie. Dobrze. Wszystko super. Muzułmanie lubią Biblię. To też święta księga. U nas też święci. Muzułmanowi święci. Ale prorok Mahomet jest mistrz! – dodał i zaśmiał się głupkowato.

Vigor ścisnął go za ramię, bo chłopak musiał zdać egzamin z podwójnej roli – dobrego przewodnika i dobrego muzulmanina.

– Jest tu kościół? – zapytał go ponownie.

Chłopiec energicznie pokiwał głową.

– Pokój krzyży – powiedział i nie przestając wyrzucać z siebie potoku niepoprawnych gramatycznie zdań, poprowadził swoich podopiecznych w stronę ciemnego otworu.

– Chyba powinien przestać pić kawę... – mruknął Kowalski.

Gray się uśmiechnął, co przy jego ponurym nastroju wyglądało, jakby zza chmury wyjrzało słońce.

– Idziemy – zwrócił się do Seichan.

Minął ją tak blisko, że musnął dłonią jej dłoń.

Mało brakowało, a odruchowo by ją ujęła, ale zamiast tego mocno zacisnęła palce. Było w tym coś więcej niż wściekłość na siebie.

Czuła się winna.

Okłamywanie go nie sprawiało jej przyjemności.

Godzina 17.18

– Nie będzie to miłe... – jęknął Kowalski.

Kaplica znajdowała się na pierwszym piętrze, głęboko z tyłu. Po minięciu holu do przejścia niskich korytarzy potrzebowali latarek. Im głębiej wchodzili, tym ciszej się robiło. Powietrze wokół nich coraz bardziej nieruchomiało. Poruszyło się jedynie kilka zagnieżdżonych w szparach szczurów uciekających od światła.

Korytarz kończył się drzwiami tak niskimi, że aby przez nie przejść, trzeba było zgiąć się wpół. Vigor wszedł zaraz za młodocianym przewodnikiem i kiedy się wyprostował, westchnął głośno. Gray wszedł jako następny i natychmiast zaczął wodzić promieniem latarki po ścianach.

Wycięte wysoko w ścianie okno w kształcie krzyża wpuszczało do środka nieco światła, nie było go jednak zbyt wiele. Właściwie nie było to okno, tylko dwie skrzyżowane ze sobą szpary. Na pewno nie przecisnąłby się przez nie człowiek, ale być może wykorzystywano je jako kolejny punkt obronny.

Wpadające przez szpary promienie słońca oświetlały metrowej wysokości kamienny blok, rysując na nim drugi krzyż.

Ołtarz.

Poza tym pomieszczenie było puste.

Ale nie nagie.

Na każdej powierzchni – na wszystkich ścianach, podłodze, suficie, nawet na ołtarzu – powykuwano krzyże. Były ich setki, a może tysiące. Różniły się znacznie wielkością: najmniejsze nie przekraczały rozmiarami znaczka pocztowego, największe, bardzo ozdobne, były wielkości człowieka.

– Nic dziwnego, że nazwali to pomieszczenie pokojem krzyży – mruknął Vigor.

– Ktoś musiał mieć sporo na sumieniu – stwierdził kwaśno Kowalski. – Może izolacja na wyspie nie za dobrze mu służyła.

Gray przyglądał się krzyżom, przez cały czas mając przed oczami krucyfiks wykuty w marmurowej posadzce Hagii Sophii. Zdjął z szyi srebrny krzyż brata Agreeera.

– Teraz tylko musimy znaleźć identyczny.

Vigor poprosił Fee'aza, aby zostawił ich samych.

Chłopak sprawiał wrażenie zdziwionego, więc Vigor pokazał mu krzyż w dłoni Graya.

– Musimy się pomodlić – wyjaśnił. – Wyjdziemy, kiedy skończymy.

Przewodnik pokiwał głową i wyszedł. Właściwie należałoby powiedzieć, że wystrzelił jak z procy – prawdopodobnie nie chciał przebywać w jednym miejscu z ludźmi odprawiającymi chrześcijańską ceremonię religijną. Sądząc po tempie, w jakim się ewakuował, można było zakładać, iż podejrzewał, że w trakcie tej ceremonii będą składane ofiary z niemowląt.

Kiedy zostali sami, Gray poczuł z całą siłą, pod jaką znajdują się presją.

– Jeden z tych krzyży powinien być dokładną kopią krucyfiks brata Agreeera. Musimy go znaleźć – oświadczył.

Rozdzielili się i zaczęli szukać.

Cztery osoby – cztery ściany.

Pozostawały jednak jeszcze podłoga i sufit.

Gray położył krzyż dominikanina na ołtarzu, aby każdy mógł go wziąć do porównania. Potem wyrwał z notesu cztery kartki i zrobił dla wszystkich szkice.

Z każdą minutą uciekającego czasu kątem oka widział, jak krzyż narysowany przez padające przez okno światło coraz dalej przesuwają się po podłodze. Skończył oglądać swoją ścianę, ale niczego nie znalazł. Pocił się jak mysz i ubranie lepiło mu się do ciała. Zaczął sprawdzać podłogę. Pozostali dołączali do niego po kolei. Seichan zajęła się ołtarzem.

Najważniejszy krzyż – słoneczny – przez cały czas sunął po podłodze.

– Na podłodze też nic nie ma – stwierdził Vigor i wstał.

Miał mocno zaczerwienioną twarz, a kiedy się wyprostował, podparł dłońmi dół pleców.

Przykucnięta za ołtarzem Seichan pokręciła głową.

A więc ona również nie miała szczęścia.

Gray spojrzał w górę.

Sufit był dość niski, nie na tyle jednak, żeby można go było dotknąć. Sprawdzenie znajdujących się na nim krzyży wymagałoby podnoszenia się nawzajem.

– Możliwe, że się pomyliłem – mruknął Vigor. – Być może grób Kokejin jest gdzie indziej. Te krzyże mogą być fałszywym tropem.

Gray pokręcił głową. O nie! Stracili już godzinę i nie mieli czasu, aby przeszukiwać całe ruiny. Postawili na kaplicę i nie było odwrotu.

– Jej grób musi być tutaj – powiedział.

Monsignore westchnął.

– Więc pozostaje nam jeszcze sufit do przeszukania.

Gray dał Kowalskiemu znak, aby podniósł Vigora, a sam podszedł do Seichan.

– Jak zwykle od czarnej roboty... – jęknął Kowalski.

– Zaczniemy od krawędzi, a wy obejrzyjcie środek – powiedział monsignore, ignorując jego żale.

Seichan wspięła się na ołtarz.

– Mogę obejrzyć środek bez pomocy – oświadczyła.

Kiedy się wyprostowała, na jej plecach pojawił się świetlisty krzyż. Miała na sobie czarny T-shirt i gdy wyciągnęła do góry ręce, bawełna napięła się na jej piersiach. Mimo wszystkich zmartwień Gray spojrział na nią z uznaniem – i poczuł się z tego powodu winny.

Nie był to dobry czas na takie rzeczy...

– Chyba coś widzę – odezwała się po chwili Seichan, wspięła się na palce i wyciągnęła w górę.

Zaraz jednak syknęła, opadła na pięty i dotknęła dłonią lewego boku. Musiało ją mocno zabołec.

Gray wspiął się na ołtarz.

– Pomogę ci – zaproponował, po czym splótł dłonie, aby stanęła na nich jak na podpórce.

Wzięła do ręki krucyfiks i weszła na jego splecione dłonie.

Kiedy się prostował, dla zachowania równowagi opierała wolną dłoń na czubku jego głowy, a drugą – z krucyfiksem – wyciągnęła do góry. Jej lewy pośladek był przyciśnięty do policzka Graya.

– Myślę, że... pasuje... – wyszeptała po chwili. – Rzeźbienie jest dość głębokie i krzyż pasuje idealnie!

Gray uniósł głowę, ale dostrzegł jedynie piersi Seichan.

– Możesz powiedzieć, na co patrzy Chrystus? – spytał, przypominając sobie Hagię Sophię.

– Na ołtarz – odparła nieco rozkojarzona. – Ten krucyfiks na suficie jest obsadzony w okrągłym kamieniu i kiedy wciskałam krzyż brata Agreera, chyba coś kliknęło. Kamień wygląda, jakby był poluzowany. Może uda mi się go obrócić albo nawet wyjąć.

– Myślę, że sama nie powinnaś tego...

Zazgrzytał kamień o kamień i po chwili rozległ się głośny szczęk, jednak nie dobiegał z góry, lecz z dołu. Gray spojrzął na swoje stopy.

Ołtarz zaczął usuwać mu się spod nóg, zapadać w podłogę.

Seichan spadła mu prosto w ramiona i mocno złapała za szyję.

Kamienny blok uderzył w coś z takim impetem, że Gray musiał przyklęknąć na jedno kolano. Z podłogi oderwała się cegła, odbiła się od kamiennego ołtarza i poleciała w przestrzeń, która się pod nimi otworzyła.

Gray spojrzął w górę. Choć wyglądało to dość groźnie, opadli nie więcej niż trochę ponad metr. Z góry patrzyli na nich Vigor i Kowalski.

– Chyba coś znalazłeś, Indiana. – Były marynarz zaśmiał się i podał mu latarkę.

Gray przewrócił oczami, ale wziął ją od niego. Seichan odsunęła się i zaczęła otrzepywać z pyłu. Kiedy Gray skierował światło latarki w komorę pod podłogą kaplicy, ukazał się ciemny łuk.

Zszedł niżej, a Seichan za nim. Po chwili dołączyli do nich monsignore i Kowalski.

Niewielkie pomieszczenie, zwieńczone klasztornym sklepieniem, było dwa razy mniejsze od znajdującej się nad nimi kaplicy. W tylnej ścianie była nisza również zwieńczona łukiem.

– Loculi – mruknął Vigor. – Grobowiec.

W niszy, na gołym kamieniu, leżał podłużny kształt zakryty fałdami białego materiału.

– Grób Kokejin... – Monsignore westchnął. – Znaleźliśmy go.

Mimo podniecenia podeszli do niszy powoli i ostrożnie. Musieli się upewnić. Vigor zrobił znak krzyża i zaczął odmawiać modlitwę. Potem wyciągnął rękę i dotknął całunu.

– Jeżeli cokolwiek się poruszy, znikam stąd – oświadczył Kowalski.

Vigor z szacunkiem uniósł brzeg materiału.

– Jedwab... – szepnął.

W powietrze wzbił się kłęb kurzu.

Ukazał się szczyt czaszki zwieńczonej złotym diademem. Na rubinach i szafirach zamigotało światło. Błysnęły brylanty.

– Diadem księżniczki... – powiedział Vigor zduszonym głosem. – Marco pewnie chciał go jej oddać. Może nawet zabrał go potajemnie i zabezpieczył, zanim ciało zostało tu złożone...

Gray położył dłoń na jego dłoni.

– Trzecie paitzu...

Ściągnął całun, aby odsłonić całe ciało.

Vigor jęknął i cofnął się o krok, a Gray znieruchomiał.

Pod całunem leżały dwa ciała.

Dwa szkielety obejmujące się w wiecznym uścisku.

Gray przypomniał sobie, jak Vigor mówił, że Marco Polo został pochowany w 1324 roku w kościele w San Lorenzo, ale podczas prowadzonych tam później prac remontowych okazało się, że jego ciało zniknęło.

– A więc znaleźliśmy także grób Marca...

W milczeniu wpatrywali się w leżącą przed nimi parę.

Czego nie mogli mieć za życia, udało im się osiągnąć po śmierci.

Teraz mogli być wreszcie razem.

Na zawsze.

Grayowi przemknęło przez głowę pytanie, czy jemu też uda się kiedykolwiek znaleźć podobną miłość. Widok obejmujących się kochanków sprawił, że znowu zaczął myśleć o rodzicach, którzy przewyciężyli w życiu tak wiele trudności i teraz prowadzili nową walkę – ze zniedołężnieniem i demencją jednego z nich – jednak nigdy z siebie nie zrezygnowali.

Musiał ich uratować.

Waszyngton

Godzina 11.01 czasu miejscowego

Painter żałował, że nie może być na miejscu, ale opóźniłoby to akcję zespołu szybkiego reagowania. Obserwował przekaz nadawany z centrum komunikacyjnego Sigmy – z kamery znajdującej się na hełmie jednego z komandosów.

Dziesięć minut temu udało im się zrobić pierwszy poważny krok naprzód.

Ponieważ Gray wspomniał, że Amen Nasser dzwonił do Vigora Verony, Painter przez cały poranek stawał na głowie, żeby się dowiedzieć, z jakich telefonów na terenie Stanów Zjednoczonych łączono się z monsignore.

Aby zdobyć tego rodzaju informację, musiał potrząsnąć wieloma instancjami, od Kurii Watykańskiej po dyrektora operacyjnego Urzędu Bezpieczeństwa Kraju. Na szczęście – dzięki Seichan – mógł zagrać kartą o zwalczaniu terroryzmu. Ta karta zawsze otwierała zamknięte w innych przypadkach drzwi.

Zajął mu to znacznie więcej czasu, niżby chciał, ale w końcu się dowiedział, skąd dzwoniono. Oddział szturmowy czekał tam teraz na rozkaz ataku.

Pochylił się do mikrofonu.

– Ruszajcie!

Na ekranie rozsunęły się drzwi i podskakujący obraz ukazał budynek.

Ze wszystkich stron nadbiegali nisko pochyleni członkowie oddziału z karabinkami szturmowymi w rękach.

Taran jednym uderzeniem wyłamał drzwi wejściowe.

Ekran poczerniał – to jeden z komandosów wszedł do ciemnego wnętrza. Oddział zaczął się rozpraszać i sprawdzać poszczególne pomieszczenia.

Painter czekał.

Nie mógł wytrzymać w fotelu, więc wstał i oparł się o obudowy urządzeń komunikacyjnych. Wszędzie pełno było techników obserwujących na licznych monitorach przekaz satelitarny z Indonezji. Duże obszary tego regionu pokrywał sztorm o sile huraganu, uniemożliwiający poszukiwania Mistress of the Seas z satelity. Zmuszał też do pozostania na lotniskach australijskie i indonezyjskie samoloty wywiadowcze.

Brak postępów dolewał oliwy do ognia buzującego we wnętrzu Paintera. Jego obawa o Lisę i Monka coraz bardziej się nasilała.

Na szczęście wyłuskali ślad rozmowy telefonicznej.

Painter bardzo potrzebował tego pierwszego sukcesu.

Słyszał w słuchawce rozmowy ludzi z oddziału szturmowego, nakładające się na siebie raporty i nawoływania. Na koniec przez wszystko przebił się jeden głos: żołnierza z kamerą. Stał w pomieszczeniu, które wyglądało jak chłodnia na mięso. Z sufitu zwisały haki.

– Dyrektorze Crowe, zakończyliśmy przeszukanie rzeźni. Celów nie ma. Miejsce zostało opróżnione.

Obraz zadrżał, bo komandos z kamerą się pochylił. Kiedy znowu się wyprostował, wsunął palce w pole widzenia kamery.

Były wilgotne.

– Dyrektorze, mamy krew.

O nie...

Jeden z techników odwrócił się do Paintera, ale musiał w wyrazie jego twarzy dostrzec coś, co mu się nie spodobało, bo szybko odwrócił się ponownie.

Od drzwi doleciał czyjś głos:

– Dyrektorze Crowe...

W progu stała młoda kobieta w granatowym ubraniu. Jej kasztanowe włosy były związane z tyłu i odsłaniały przepełnioną niepokojem twarz.

– Kat...

– Penelope zaopiekowała się ciotka – powiedziała żona Monka. – Nie mogłam dłużej wysiedzieć w domu.

– To dobrze. Przyda nam się twoja pomoc.

Westchnęła i pokiwała głową.

Tylko to im pozostało.

Iść do przodu, nie poddawać się.

Wyspa Ormuz

Godzina 18.04 czasu miejscowego

Vigor wciąż wpatrywał się w splecione ciała.

Marco Polo i księżniczka Kokejin.

Waga tego odkrycia niemal go sparaliżowała, ale jego towarzysze nie byli aż tak poruszeni. Seichan przepchnęła się do przodu i wyciągnęła rękę.

– Trzeci złoty paszport...

Gray całkowicie odsunął całun. Między palcami szkieletów błyszczało złoto.

Obok trzeciego paitzu leżała znajoma metalowa rurka.

Trzeci i ostatni zwój.

Gray delikatnie wyjął oba przedmioty, a potem zdjął z czaszki Kokejin diadem.

– Na nim też może być jakiś znak albo napis – wyjaśnił.

Vigor nie zaprotestował. Z otwartego grobowca i tak szybko by został skradziony.

Weszli z powrotem do kaplicy i zebrali się w kącie.

Gray odwrócił paitzu, aby pokazać narysowany na nim symbol.



– Mamy wszystkie – stwierdziła Seichan.

– Ale jeszcze nie znamy całej historii – odparł Gray, po czym wyjął notes i kiwnął głową Vigorowi. –

Słuchamy.

Monsignore nie dał się prosić. Otworzył rurkę i wyjął z niej zwój.

– Znowu jedwab – powiedział i zaczął ostrożnie rozwijać materiał.

Ostatnia część pamiętnika była znacznie dłuższa i zajęła niemal jedną czwartą długości podłogi kaplicy. Vigor zaczął czytać, na bieżąco tłumacząc tekst. Opowieść mówiła o tym, co się wydarzyło w wieży, w której uwięzieni zostali Marco Polo i jego ludzie, kiedy pojawiły się tam świecące postacie.

Dziwne zjawy wyciągnęły ku nam prymitywny kielich i wyraźnie nalegały, abyśmy go opróżnili. Bylibyśmy wtedy chronieni przed straszliwą zarazą, która zamieniła Miasto Umarłych w Piekło, gdzie ludzie zjadali ciała swoich braci.

Po takiej obietnicy każdy z nas napił się tego, co – przy bliższym przyjrzeniu się i po smaku sądząc – okazało się krwią. Zostaliśmy także nakłonieni do zjedzenia niewielkiej ilości podanego nam na palmowym liściu surowego mięsa, które prawdopodobnie było grasicą. Dopiero po dłuższej chwili przyszło mi do głowy, aby zapytać, jakie było źródło tego pokarmu i napoju. Odpowiedź przybyszy potwierdziła nasze podejrzenia, że zostaliśmy kanibalami, gdyż zarówno krew, jak i grasica pochodziły od człowieka.

Czuliśmy się okropnie, ale okazało się potem, iż rzeczywiście uchroniło nas to od zarazy. Cena wyleczenia była jednak ogromna – nie pozwolono zjeść mięsa ani wypić krwi bratu Agreeerowi. Wskazywano na jego krzyż i jego samego, mruczając przy tym coś niezrozumiałego. Potem pozwolono nam odejść – ale tylko pod warunkiem, że nasz dominikanin zostanie w Mieście Umarłych.

W swej wielkiej dobroćliwości brat Agreeer nalegał, abyśmy uciekali. Płakałem, ale posłuchałem mego spowiednika. Dał mi na koniec swój krzyż, aby powrócił do Stolicy Apostolskiej. Kiedy po raz ostatni

widziałem tego szlachetnego człowieka, odprowadzano go pod eskortą – i podejrzywam, że wiem dokąd...

Nad lasem królowała potężna góra oświetlona pełnią księżyca i pokryta rzeźbami tysięcy gąb demonów.

– Dobry Boże... – jęknął Vigor.

Po chwili przetłumaczył resztę.

Marco Polo opisał następnie, jak po ucieczce z Miasta Umarłych jego flotę zaatakowała zaraza, zmuszając ich do lądowania na nieznannej wyspie. Zdrowi pozostali jedynie ci, którzy spożyli lek przyniesiony przez świecące postacie. Marco wziął z Miasta Umarłych lekarstwo dla ojca i wuja, Kokejin i jej dwóch służących, więc oni również nie zachorowali. Na koniec spalili statki i ciała zmarłych – oraz wielu chorych żywcem.

Vigor zaczął czytać ostatni akapit.

Oby Pan wybaczył mej duszy złamanie obietnicy danej nieżyjącemu ojcu. W tym przerażającym miejscu odkryłem mapę miasta – zniszczyłem ją na żądanie ojca, ale jej nie zapomniałem. Narysowałem ją ponownie, aby ta wiedza nie zaginęła na zawsze. Jeśli ktoś kiedyś przeczyta te słowa, niech pamięta: w tamtym mieście otworzyła się brama wiodąca do Piekła, ale nie wiem, czy kiedykolwiek została zamknięta.

Godzina 18.22

Słuchając zakończenia tej opowieści, Gray przez cały czas robił notatki. Pozwalało mu się to lepiej skupiać na

słowach Vigora i trzymać na dystans przerażenie, które próbowało ścisnąć go za serce.

Z każdym akapitem układanka stawała się wyraźniejsza.

Był głupcem!

Wpatrując się w notes, tak rozkojarzył wzrok, aby obraz się rozmył i pozwolił mu dostrzec ukrytą w kodzie odpowiedź. Informacje zawarte na wszystkich trzech kluczach powinny wystarczyć...

Zaczął przewracać kartki, szukając właściwej. Kiedy ją znalazł, przysunął rysunek do oczu i zaczął wodzić po nim palcem.

Popatrzył na zegarek.

Pół godziny. Czy to wystarczy?

Nieoczekiwanie ciszę przerwał terkot serii z broni maszynowej.

PA-PA-PA-PA-PA-PA-PA!

Skoczył na równe nogi.

Czyżby Nasser już ich wytropił?

Podszedł do wejścia i spojrzał w ciemny korytarz.

– Wszyscy do mnie!

Ktoś biegł w ich stronę, słychać było plaskanie bosych stóp o kamienie. Po chwili rozległ się zdyszany głos:

– Szybko!

Fee'az.

Od strony podwórza dolatywały wściekłe głosy w farsi, języku nowoperskim. Gray złapał chłopaka za chude ramię.

– Szybko! Przemytnicy! – krzyknął Fee'az i nie czekając na nich, pobiegł na tył zamku.

– Łapcie, co możecie, a resztę zostawcie! – zakomenderował Gray.

Pobiegli za swoim małoletnim przewodnikiem.

Chłopak czekał na nich w połowie korytarza i kiedy zobaczył, że go zauważyli, pognał dalej.

Nawet w biegu usta mu się nie zamykały:

– Tyle czasu wam zabrało... modlitwa. Spałem. Pod palmy. – Machnął ręką za siebie. – Nie widzieli mnie. Prawie mnie nadepnęli. Obudziłem się i biegam. Strzelali. Bang-bang! Ale mam szybkie nogi!

Udowadniał to zresztą także i teraz, śmigając przez kolejne korytarze jak wichher.

Ton głosów za ich plecami się zmienił – oznaczało to, że przybysze weszli do środka.

– Tutaj! – zawołał Fee'az i powiódł ich do prowadzących w dół, topornie wyciosanych schodków.

Zeszli do wąskiego, niskiego tunelu, który odchodził na południe.

Fee'az ponownie pobiegł przodem.

Po pięćdziesięciu krokach dotarli do zardzewiałej żelaznej bramy, której poprzeczki dawno powycinano. Przepisnęli się przez nią i znaleźli w niemal całkowicie zasypanej fosie. Granicę zamkowego terenu wyznaczały pokruszone stare mury.

Gray spojrzął za siebie. Tunel musiał kiedyś służyć zamkowi jako odpływ ścieków.

Dając im znak, aby pozostali schyleni, Fee'az poprowadził ich fosą w kierunku wschodniej zatoki. Z wnętrza zamku przez cały czas dobiegały głosy przemytników. Jeszcze nie wiedzieli, że zwierzyna uciekła.

Po dotarciu do brzegu okazało się, że hydroplan nie został zaatakowany.

– Drobne przemytniki – wyjaśnił Fee’az. – Nie ukradną samolota. Tylko trochę uszczypną. – Pokazał kciukiem i palcem wskazującym, jak mało zabiorą, po czym wzruszył ramionami. – Czasem zabijają i wrzucają trupa rekinom, ale nigdy nie biorą coś dużego. Rząd przyśle wtedy większe samoloty i karabiny.

Woleli jednak zbytnio nie ryzykować. Wiosłowali najciszej, jak tylko mogli, i po kilku minutach bez przygód zacumowali przy hydroplanie.

Fee’az machnął ręką, że mogą wsiadać.

– Wróćcie jeszcze! Wróćcie jeszcze raz! – zawołał i każdemu z nich uściśnął dłoń na pożegnanie.

Gray uznał, że za uratowanie ich z opresji chłopakowi należy się premia. Sięgnął do swojego plecaka, wyjął diadem Błękitnej Księżniczki i podał mu go.

Oczy chłopaka rozszerzyły się, kiedy ujrzał skarb. Wziął go i obejrzał, ale po dwóch sekundach oddał Grayowi.

– Nie mogę wziąć.

– Będzie cię to kosztować tylko spełnienie jednej obietnicy – powiedział Gray i zacisnął palce chłopaka na złocie.

Fee’az popatrzył mu w oczy.

– W zamku są dwa szkielety. Pod pokojem krzyży. – Gray wskazał zamek, a potem wzgórze. – Zabierz je stamtąd, wykop głęboką dziurę i pochowaj. Razem.

Chłopak uśmiechnął się, niepewny, czy sobie z niego nie żartują.

– Obiecujesz?

Fee’az kiwnął głową.

– Wezmę braci i wujów do pomocy.

– A więc diadem jest twój.

– Dziękuję panu. Wróćcie do nas – powiedział z powagą chłopak i uścisnął Grayowi dłoń.

Wspięli się do samolotu.

Kilka minut później byli już w powietrzu i lecieli na międzynarodowe lotnisko.

Gray wrócił na tylne fotele i usiadł obok monsignore.

– Dlaczego dałeś mu diadem księżniczki? – spytał Vigor, patrząc na odpływającego łódką chłopaka.

– Żeby pochował Marca i Kokejin.

– Ale takie odkrycie... – jęknął Vigor. – To przecież historia...

– Marco dość już uczynił dla historii ludzkości. Jego ostatnim życzeniem było zostać pochowanym z kobietą, którą kochał. Sądzę, że jesteśmy mu to winni. Poza tym nie potrzebujemy tego diademu.

Vigor zmrużył jedno oko.

– Myślałeś, że na diademie może być jakiś znak czy napis... Dlatego go wziąłeś. – Nagle zrozumiał i jego oczy się rozszerzyły. – Dobry Boże... złamałeś kod...

Gray wyjął notes.

– Jeszcze nie do końca, ale prawie.

– Jak to zrobiłeś?

Seichan, która słyszała tę rozmowę, przysunęła się do nich. Kowalski także odwrócił się w ich stronę.

– Właściwe rozwiązanie przyszło, kiedy odrzuciłem wszystkie dotychczasowe założenia. Szukaliśmy kodu literowego.

– Takiego jak napis w Watykanie, który brzmiał HAGIA, prawda?

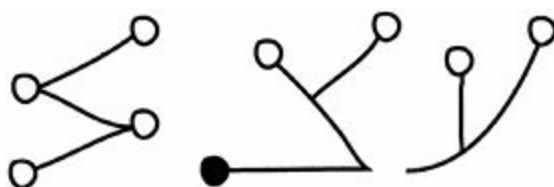
– Właśnie. Moim zdaniem zostało to zrobione specjalnie, aby nas zwieść. Tajemnica obelisku to nie

napis.

– Pokaż – poprosiła Seichan.

– Za chwilę – odparł Gray i popatrzył na zegarek. Zostało mu jedynie osiem minut. – Muszę jeszcze coś rozwikłać. Trzy klucze ustawione w określonej kolejności...

Otworzył notes i postukał palcem w trzy symbole angielskiego języka.

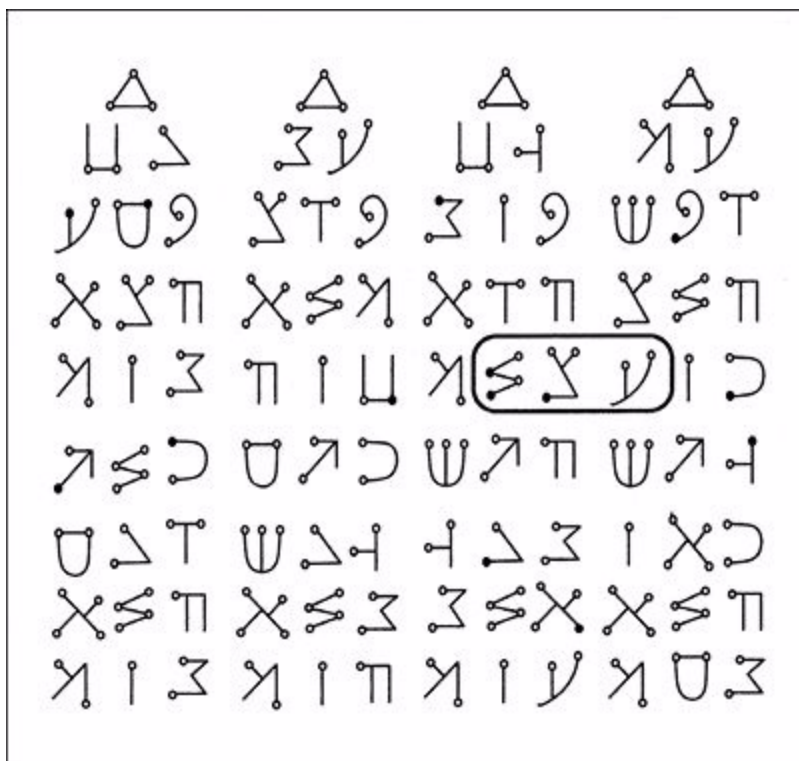


– Napis na obelisku był na wierzchu, więc klucze miały służyć jedynie pokazaniu, jak należy odczytać kod. Obelisk ma cztery strony. Od której zacząć? W jakiej kolejności czytać?

Przerzucił kilka kartek i znalazł tę, na której znajdowała się dostarczona przez Seichan kopia napisu z obelisku.

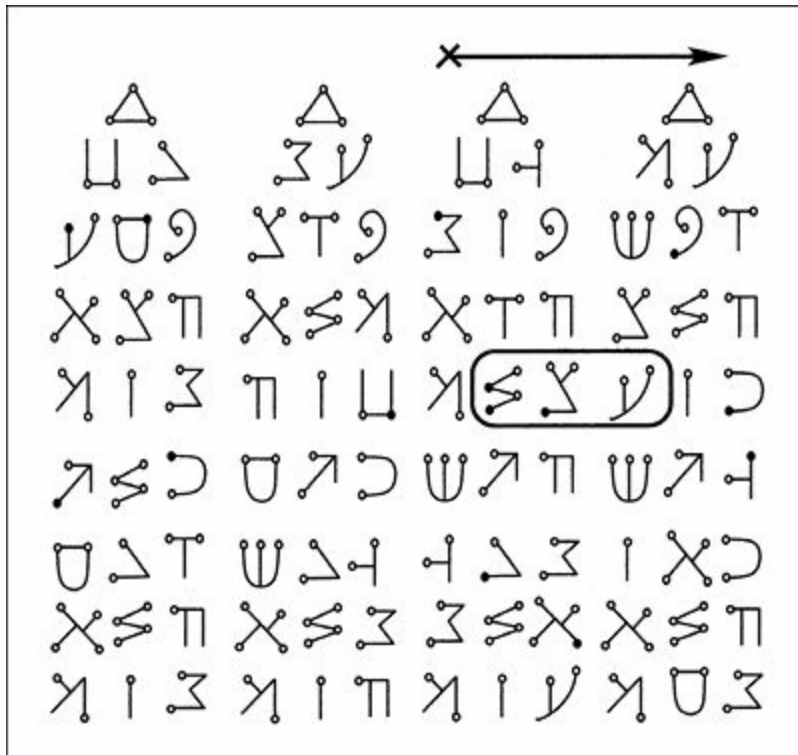
– Ponieważ wyryte na paitzu symbole na pewno są ważne, muszą być gdzieś tu zapisane.

Kiedy znalazł właściwe znaki, otoczył je kółkiem.

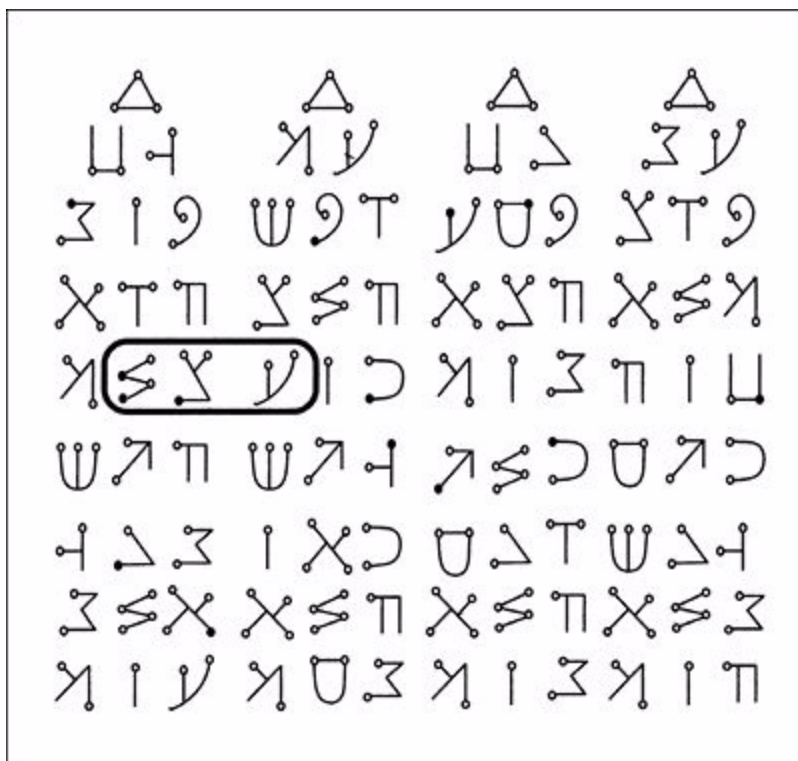


– Sekwencja ta pojawia się tylko raz. Zobaczcie, jak biegnie po ścianach obelisku. Pokazuje, gdzie zacząć czytać i w jakim kierunku.

Dorysował strzałkę.



– Aby dopasować tę sekwencję do znaków na kluczach, trzeba ją zapisać w inny sposób. – Przerzucił kartki, szukając jednego z ośmiu wariantów utworzonych wcześniej razem z Vigorem. Gdy znalazł ten, o który mu chodziło, tu także otoczył trzy znaki kółkiem. – Aby odczytać prawidłowo mapę, należy je ułożyć w ten sposób...



Seichan pochyliła się nad notesem.

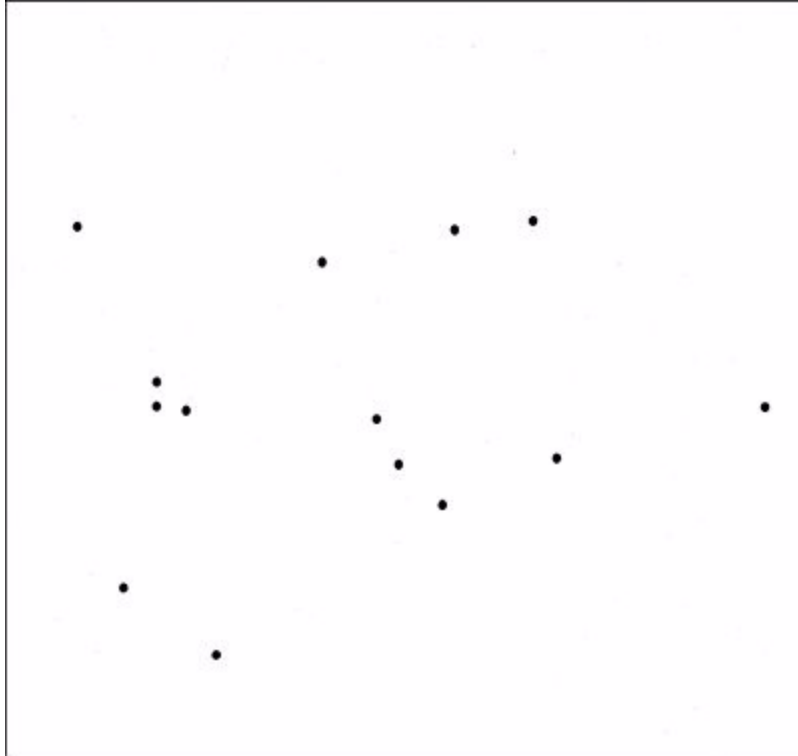
– O jakiej mapie mówisz?

– Zauważyłem to w kaplicy... Popatrzcie.

Zaczął przebijać kartkę czubkiem ołówka, stawiając kropki na następnej stronie notesu.

– Co robisz? – zdziwił się Vigor.

– Niektóre kółeczka na napisie są zacernione. Wiemy z drugiego klucza, że zacernione kółeczko oznacza portugalski zamek. Tak więc pozostałe zacernione kółeczka również muszą mieć jakieś znaczenie. Tylko jakie? Jeżeli przeniesiemy czarne kółeczka na czystą kartkę, otrzymamy coś takiego...



– Teraz jest znacznie lepiej – mruknął z sarkazmem Kowalski.

Gray pomasaował podbródek.

– Coś w tym jest... Czuję to.

– Może powinieneś połączyć te kropki – podsunął drwiąco były marynarz. – Może w ten sposób powstanie wielka świecąca strzała wskazująca nam właściwą drogę?

– A może już czas, żebyś się zamknął? – warknęła Seichan.

Kowalski był świetny jako kierowca, nieźle się sprawdzał w strzelaninie, ale teraz potrzebna była mądra rada, a nie dziecięce zabawy polegające na łączeniu kropek kreskami.

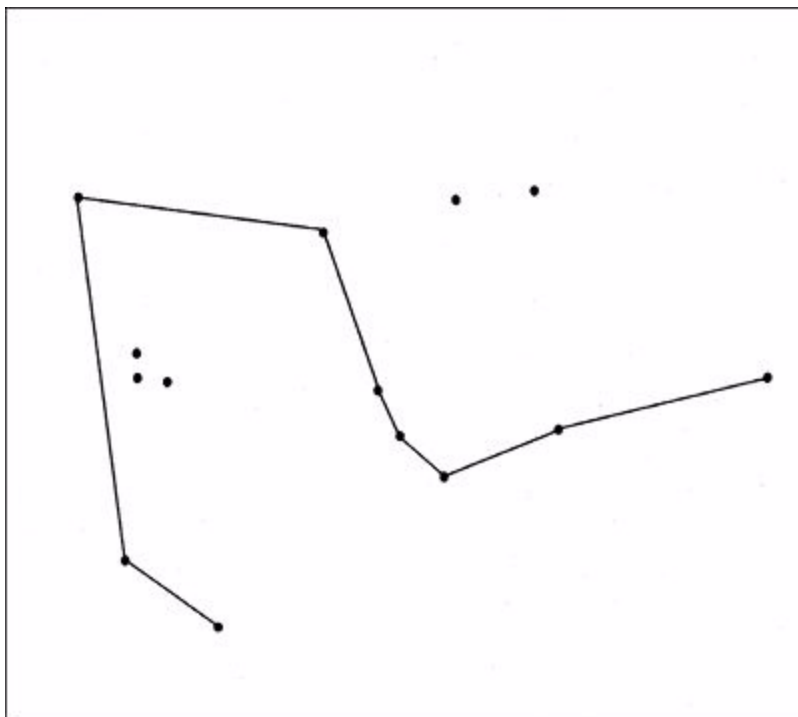
W tym momencie Gray dostrzegł właściwe rozwiązanie. Wyprostował się i ścisnął ołówek.

– Dobry Boże! – zawołał. – On ma rację! – Odwrócił się do Vigora i złapał go za ramię. – Pierwsza wskazówka! Wieża Wiatrów!

Monsignore zmarszczył czoło, ale po chwili zrozumiał, o co mu chodzi.

– W której znajduje się watykańskie obserwatorium astronomiczne... gdzie Galileusz udowodnił, że Ziemia krąży wokół Słońca! – Postukał palcem w kartkę. – To są gwiazdy!

Gray dostrzegł wśród kropek znajomą konstelację i narysował ją.



Vigor również ją rozpoznał.

– To Draco. Gwiazdozbiór Smoka.

– Twierdzicie, że to gwiazdna mapa nawigacyjna? – spytała Seichan.

– Na to wygląda. – Gray podrapał się po głowie gumką ołówka. – Ale jak ma nam wskazać, dokąd powinniśmy się udać?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie.

– Nie może tego zrobić – stwierdził w końcu Gray.

Serce waliło mu w gardle. Kończył im się czas. Czyżby poszedł błędną drogą?

Vigor opadł plecami na oparcie.

– Zaczekajcie... przypominacie sobie opowieść Marca Polo? Ostatni akapit. Nie napisał, że sporządził mapę drogi prowadzącej do miasta, ale mapę samego miasta.

– I co z tego wynika?

Monsignore wziął kartkę i obrócił ją.

– To nie mapa nieba, ale plan Miasta Umarłych. Tak przynajmniej wynika z zapisków Marca. Prawdopodobnie Watykan popełnił ten sam błąd, który my popełniamy teraz. Błędnie zinterpretowano mapę... też sądzono, że to gwiazdna mapa nawigacyjna.

Gray pokręcił głową.

– Zbudowanie miasta na takim samym planie jak gwiazdozbiór Smoka to nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Jeśli się nie mylę, rozmieszczenie kropek poza tą konstelacją również pokrywa się z położeniem prawdziwych gwiazd...

– Wiele starożytnych cywilizacji budowało pomniki i miasta, wzorując się na układzie gwiazd czy nawet je kopiując.

– Tak jak te trzy egipskie piramidy, rzekomo mające odwzorowywać gwiazdy z pasa Oriona? – zapytał Gray.

Seichan odwróciła się do nich gwałtownie.

– Choi mai! – zawołała. – Coś sobie przypominam... słyszałam o podobnym przypadku... o ruinach

w Kambodży. Moja rodzina ma korzenie w tym regionie. W Wietnamie i Kambodży.

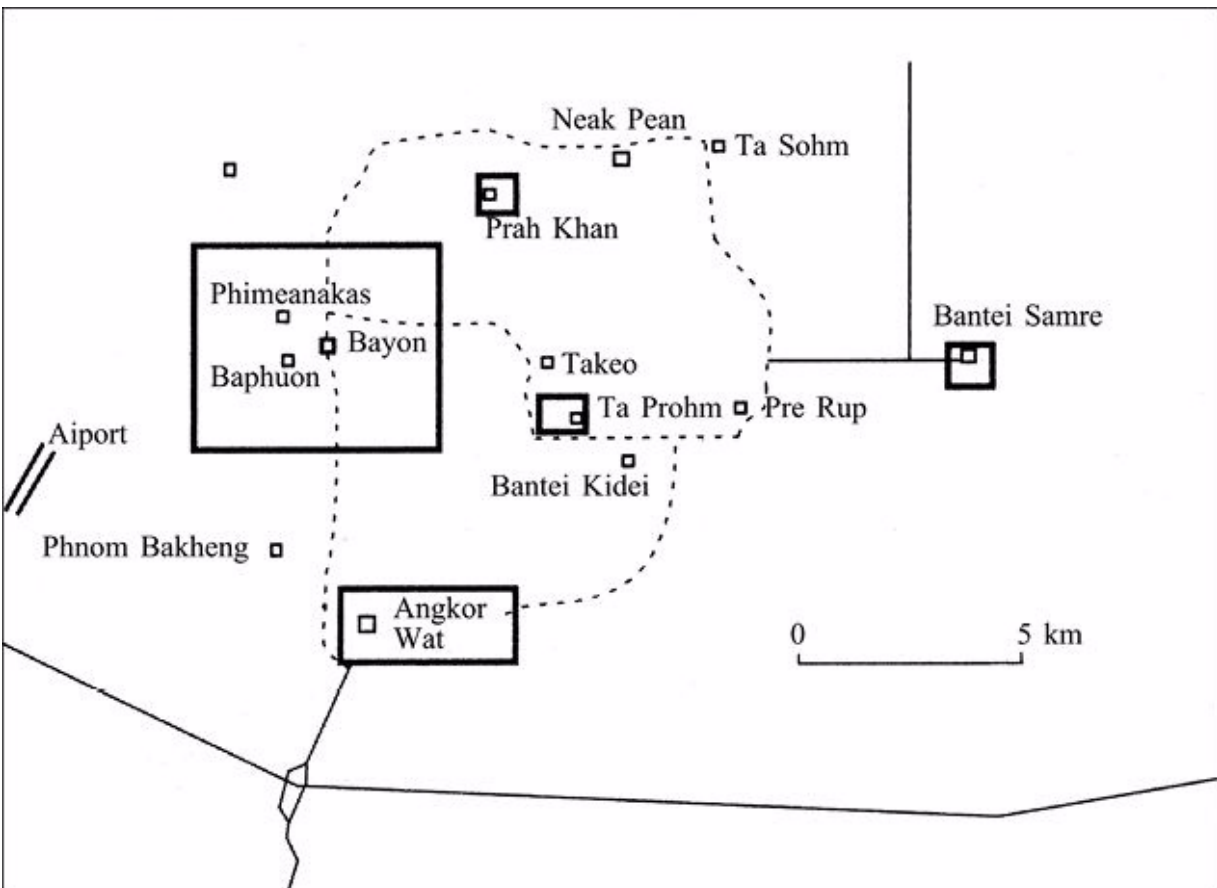
Podeszła szybkim krokiem do plecaka, pogrzebała w nim i wyjęła laptopa.

– Mam tu encyklopedię.

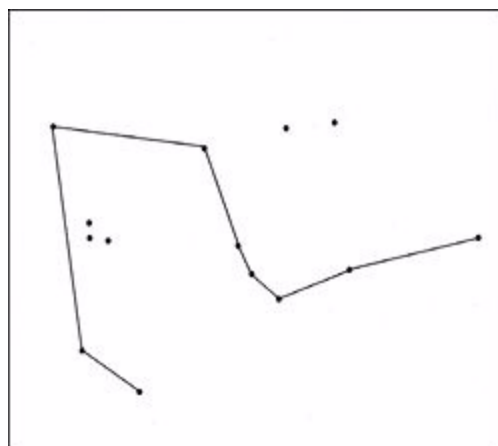
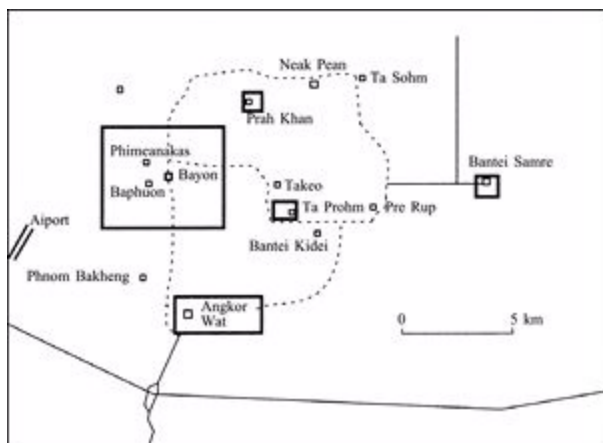
Kucnęła między Grayem a Vigorem i zaczęła szybko stukać w klawisze. Po chwili kliknęła dwa razy i ekran wypełniła mapa.

– To Angkor, kompleks świątyń zbudowany przez kambodżańskich Khmerów w dziewiątym wieku – wyjaśniła.

– Zwróćcie uwagę na rozmieszczenie tych świątyń. Słyszałam, że układają się w „gwiazdny kształt”.



Gray narysował palcem linię łączącą kilka świątyń i postukał w pozostałe, po czym wziął narysowaną przez siebie wcześniej gwiazdną mapę i położył ją obok laptopa.



– Pasuje idealnie! – stwierdził ze zdumieniem Vigor. – To Miasto Umarłych Marca Polo. Starożytne miasto Angkor.

Gray pochylił się i objął Seichan. Zesztywniała, ale mu się nie wyrwała. Był dłużnikiem całej ich trójki – łącznie z Kowalskim, którego kpinki pomogły mu znaleźć rozwiązanie.

Popatrzył na zegarek.

Nie mieli już czasu.

– Twój telefon – powiedział do Vigora i wyciągnął rękę. – Czas zawrzeć układ.

Włożył baterię do aparatu i modląc się w duchu o nieco szczęścia, wybrał otrzymany od Seichan numer Nassera.

Odebrano po pierwszym dzwonku.

– Komandorze Pierce! – warknął wściekły głos.

Gray głęboko zaczerpnął powietrza.

– Mój samolot właśnie schodzi do lądowania – dodał Nasser, nie czekając na odpowiedź. – Pozwolę ci wybrać, które z twoich rodziców ma zginąć pierwsze. Pozwolę ci słuchać ich krzyków. I obiecuję, że to, które zginie najpierw, będzie szczęśliwsze.

Słowa Nassera uspokoiły Graya mimo zawartej w nich groźby. Jeżeli ten drań nie kłamał, oznaczało to, że jego matka i ojciec nadal żyją.

– Chcę ci coś zaproponować za ich życie – powiedział spokojnie.

– Nie masz mi nic do zaoferowania.

– Nawet jeśli powiem, że rozwiązałem zagadkę kodu na obelisku?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

– Nasser, wiem, gdzie leży Miasto Umarłych Marca Polo – oświadczył Gray, ale obawiając się, że nawet to może nie wystarczyć, dodał po chwili: – I wiem, jak wyleczyć chorobę wywołaną przez szczep Judasza.

Cisza w telefonie trwała nadal.

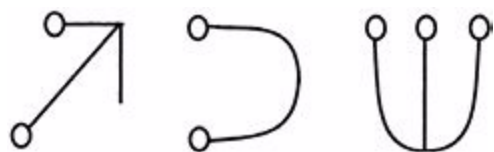
Gray czekał, patrząc na mapę na ekranie laptopa. Czuł, że zbliża się moment, w którym dwa ramiona Gildii – dział podążający tropem naukowym i dział historyczny – zderzą się z hukiem.

Ciekawe, kto zostanie między nimi zgnieciony.

W końcu Nasser zapytał drżącym z wściekłości głosem:

– Czego za to chcesz?

WYBUCH



Królowa czarownica

Wyspa Pusat

7 lipca, godzina 0.00 czasu miejscowego

Łomot bębnow zagłuszał łaskoty grzmotów. Co chwila strzelały błyskawice, wydobywając z dżungli plamy zieleni i czerni i pokrywając drzewa srebrnymi kleksami mokrych liści.

Monk, nagi od pasa w górę, podciągnął Susan za rękę przez stromy zakręt ścieżki. Szli nią od dwóch godzin, od czasu do czasu zatrzymując się, aby kolejna błyskawica pokazała im, gdzie mogą postawić nogę. Ulewa bez trudu przebijała się przez parasol liści i ścieżka szybko zamieniła się w rwący strumień, ale gdyby z niej zeszli, nie przebiliby się przez gęstą płataninę zaopatrzonych w liczne haczyki pnączy i ciężkich liści, kolczaste krzewy, oplątane korzeniami pnie i głębokie błoto.

Metr za metrem parli cały czas w górę.

Pochód zamykał Ryder. Był uzbrojony w ich jedyny pistolet – Sig Sauera P228 kalibru dziewięć milimetrów, ale bez zapasowej amunicji. Dysponowali tylko trzynastoma pociskami znajdującymi się w magazynku.

Nie wyglądało to zbyt dobrze.

Było jasne, że ledwie skończy się burza, w lesie zaroi się od ludzi Rakao. Wyspa była ich bazą operacyjną i czuli się na niej jak w domu. Monk nie miał złudzeń, że jeśli ich złapią, nie pozwolą im ponownie uciec.

Popatrzył za siebie. Weszli już na wysokość mniej więcej stu metrów. Wielki statek stał pośrodku laguny, jakieś czterysta metrów od nich. Gdzieś na pokładzie znajdowała się jego partnerka – wyciągnięta z ciemnej wody, z macek paskudnego morskiego potwora.

Czy jeszcze żyła?

Dopóki nie będzie miał dowodu, że zginęła, nie wolno mu tracić wiary.

Ani w nią, ani w siebie.

Jednak aby cokolwiek zdziałać, potrzebował sojuszników.

Bębny ani na chwilę nie przestawały się odzywać, ich łomot stawał się coraz głośniejszy i bardziej natarczywy, jakby tubylcy próbowali przepędzić w ten sposób tajfun. Uciekinierzy znajdowali się na tyle wysoko, że każde uderzenie wwiercało się im w kości.

Monk precyzyjnie przeszedł przez zasłonę gałęzi i zobaczył migoczące w oddali światło.

Płomień ogniska.

Zrobił dwa kroki i zamarł.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie są sami. Po obu stronach ścieżki w gęstym listowiu stali strażnicy – tak ustawieni, aby ich zauważono. Pólnadzy mężczyźni mieli na głowach szerokie kapelusze z trawy zawiązane pod brodą. Ich twarze były pomalowane mieszanką oleju z popiołem, która zniekształcała rysy. Nosy mieli przebite białymi kłami dzików i poźółkłymi żebrami,

a bicepsy owinięte jaskrawymi piórami i rzemieniami, na które ponawlekane były ślimacze skorupy.

Ryder z wrzaskiem skoczył w ich stronę, machając pistoletem.

Nie zrobiło to na nich najmniejszego wrażenia.

Monk pchnął w dół rękę swojego towarzysza, zrobił krok do przodu i uniósł dłonie wnętrzem do góry.

– Nie denerwuj ich lepiej – szepnął do Rydera.

Jeden z tubylców wszedł na ścieżkę. Miał na sobie napierśnik z powiązanych rzemieniami płytek kostnych, a wokół talii spódniczkę z długich piór. Jego gołe nogi również były pomalowane mieszanką tłuszczu i popiołu. W rękach trzymał naostrzoną kość łopatkową jakiegoś zwierzęcia.

Przynajmniej Monk miał nadzieję, że była to kość zwierzęcia.

Usłyszał za plecami jakiś szelest. Nie zaskoczyło go to – blokowano ścieżkę, którą przyszli. Przed nimi wciąż łomotały bębny. Ognisko pojaśniało.

Mężczyzna stojący przed Monkiem odwrócił się i skierował w stronę ognia.

– Wygląda na to, że zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie – powiedział cicho Monk, objął Susan ramieniem i zaczął iść za tubylcem.

Ryder – nie chowając broni – ruszył za nimi.

Gdyby zrobiło się naprawdę paskudnie, być może będą potrzebować trzynastu pocisków w pistolecie, teraz jednak najlepszym wyjściem było zachowanie spokoju.

Ścieżka kończyła się na krawędzi klifu. W czerwono-czarnej skale wykuto amfiteatralne zagłębienie, które osłonięto grubą warstwą palmowych liści. Spływająca

z przedniego brzegu tego prymitywnego dachu woda tworzyła przezroczystą zasłonę.

Przez deszczowy ekran można było dostrzec dwa szeregi bębniarzy oświetlane przez duże ognisko. Na skalnych ścianach wisiały dwa bębny – tak ogromne, że nawet dorosły mężczyzna miałby trudności z sięgnięciem wyciągniętymi w bok ramionami do ich obu brzegów. Walono w nie pałkami z kości, a każde uderzenie sprawiało, że spływająca z dachu wodna kurtyna dygotała.

Poprowadzono przybyszy dalej.

Przed ogromną jaskinią z bębniarzami przebiegła dzika świnia. Pod występem skalnym zbiły się w ciasną gromadkę inne zwierzęta, próbując chronić się przed deszczem.

Monk przeprowadził Susan przez wodną kurtynę i weszli pod długi dach. Kiedy woda polała mu się na nagą pierś, zadrżał. W środku było ciepło od ogniska, ale było tu także pełno gryzącego dymu, który cienką smugą wydobywał się przez niewielki otwór w dachu.

Wokół ognia zgromadzili się ludzie – jedni stali, inni przykucnęli. Mogło ich być około setki. Półnadzy mężczyźni, kobiety z obnażonymi piersiami. W ścianach znajdowały się zagłębienia, w których widać było kolejne twarze. Stało tam też kilkoro nagich dzieci zapatrzonych w ogień szeroko otwartymi oczami. Jedno z nich trzymało łaciatego prosiaka.

Po kolejnym silnym uderzeniu bębny zamilkły. Cisza, jaka zapadła, miała w sobie coś przerażającego.

Nagle ktoś krzyknął:

– Monk!

Zaskoczony Monk odwrócił się szybko. Za prętami stojącej w kącie pomieszczenia bambusowej klatki zobaczył szczupłą postać w podartej koszuli i zabłoconych, kiedyś białych slipach.

– Jessie?

Młody pielęgniarz żył!

Zanim Monk zdążył się poruszyć, z tłumu wystąpił wysoki mężczyzna, choć w przypadku tego plemienia wysokim należałoby nazwać każdego, kto miał więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Był to starzec z siwą brodą, który wyglądał, jakby pożyczył od kogoś skórę o dwa numery za dużą. Tak samo jak strażnicy ze ścieżki był wysmarowany mieszaniną oleju z popiołem. Jego genitalia okrywała nieforemna tykwa, a we włosach sterczały ustawione pionowo purpurowe pióra – poza tym był nagi.

Wódz.

Monk uznał, że czas dać występ, aby zarobić na kolację – czy może raczej po to, aby samemu nie zostać kolacją.

Teatralnym gestem uniósł rękę.

– Boogla-boogla rah! – zaintonował, po czym napiął mięśnie i zwolnił zapadki zatrzasku na nadgarstku drugiej ręki.

Wyłączenie elektromagnesów sprawiło, że proteza oddzieliła się od przedramienia i upadła w błoto pod jego stopami.

Tłum jęknął.

Wódz cofnął się o krok – mało brakowało, a wpadłby w ognisko.

Monk opuścił rękę i popatrzył na kikut.

Jego sztuczna dłoń nie tylko wyglądała jak prawdziwa; była także cudem techniki, w którym DARPA wykorzystwała nowatorską technologię sterowania kikutem przez nerwy obwodowe kontaktujące się ze sztuczną dłonią za pośrednictwem styków w nadgarstku. W konstrukcji zastosowano również inne najnowsze osiągnięcia bioinżynierii, które pozwalały protezie „czuć” i wykonywać niezwykle precyzyjne ruchy.

Była to jednak tylko połowa jej możliwości.

Na końcu kikuta przedramienia umieszczono podpięty do wiązek nerwowych i mięśni polisyntetyczny mankiet, który stanowił drugą część protezy. Sama dłoń, choć bardzo silna, była niewiele warta bez „mózgu” w nadgarstku.

Monk dotknął palcami styków na końcu kikuta. Była to najciekawsza cecha protezy i demonstrował ją na każdym przyjęciu, dlatego więc nie miał tego zrobić także teraz?

Mankiet i dłoń miały połączenie bezprzewodowe.

Kiedy Monk wystukał na stykach wyćwiczoną sekwencję, leżąca na podłodze chaty dłoń stanęła na palcach i zaczęła maszerować jak pająk.

Wódz kanibali znowu cofnął się gwałtownie – tym razem wpadł w ognisko, sparzył sobie tyłek i odskoczył w bok.

Monk puścił sztuczna dłoń w pogoń za nim.

Stojący wokół tubylcy odsunęli się szybko.

Ryder pociągnął Susan w cień, aby ich towarzysz miał jak najwięcej miejsca na pokaz.

– A teraz, kiedy już przyciągnąłem państwa uwagę...
– zaczął Monk i podszedł do ogniska.

Zakładając, że nikt nie zna angielskiego, mówił, co mu ślina na język przyniosła, gestykułował i raz za razem walił się w pierś. Nie chodziło mu jednak o przestraszenie zabobonnych wyspiarzy. Musiał zdobyć ich przychyłność.

Odwrócił się na pięcie i wskazał Susan.

Na dany przez niego sygnał odwinęła z głowy jego koszulę, a Ryder ściągnął z niej szpitalny strój. Naga jak pozostałe kobiety w chacie wysoko uniosła ręce.

Tyle że – w odróżnieniu od nich – cała się świeciła.

Przez tłum przebiegł pomruk zdumienia.

Nawet Monk patrzył na to szeroko otwartymi oczami. Susan świeciła teraz jaśniej niż wtedy, gdy ją po raz pierwszy ujrzał. Znacznie jaśniej. Coś rozjaśniało jej ciało od środka, sprawiając, że skóra wyglądała, jakby była niemal przezroczysta.

Ryder dał mu znak, aby kontynuował występ.

Otrząsnął się z odrętwienia, podszedł do Susan, upadł przed nią na kolana i wykrzyczał jedyne słowo w języku kanibali, jakie znał – usłyszane od szczerbatego pirata:

– RANGDA!

Było to imię królowej wysp, władczyni demonów.

Demonów, które świeciły tak samo jak Susan.

Skłonił się głęboko i zawołał:

– Niech żyje czarownica Rangda, królowa tych wysp!

Godzina 1.04

Do pokoju Lisy wszedł Patanjali.

Zdawała sobie sprawę, że nie da się już dłużej grać tej komedii. Kiedy wciągano ją z doku przeładunkowego na statek, „omdlała” w ramionach strażnika i osunęła się na pokład.

Rozbiła sobie przy tym wargę, ale musiała być przekonująca. Prawdę mówiąc, nie było to zbyt trudne: z przeciętą rapierem łydką, poharatana w setkach miejsc przez szponiaste przyssawki morskiego stwora, z płucami nadwerężonymi zbyt długim przebywaniem pod wodą trzymała się na nogach jedynie dzięki adrenalinie.

To, że w końcu nie wytrzymała, nie powinno nikogo dziwić. Przez kilka chwil może nawet naprawdę była nieprzytomna.

Natychmiast zaniesiono ją do części naukowej, gdzie zajęli się nią lekarz pokładowy i jeden z członków ekipy WHO. Oczyszczono i zszyto jej rozcięcie na nodze oraz większe rany od macek, po czym założono wlew dożylny i zaczęto podawać płyny, antybiotyki i środki przeciwbólowe. Potem umieszczono ją w jej dawnym pokoju bez okien i balkonu, a przed drzwiami postawiono strażnika. Jej ciało wyglądało jak patchwork wykonany z bandaży i poprzyklejanej plastrami gazy.

Opieka medyczna, jaką otrzymała, nie wynikała z łaski ani ze współczucia. Miała zapewnić spełnienie obietnicy, jaką dała Patanjalemu na pokładzie.

„Szczep Judasza... wiem, co ten wirus robi”.

Po takim oświadczeniu było oczywiste, że Patanjali nie będzie chciał jej stracić – zwłaszcza że jego najcenniejsza pacjentka zniknęła na smaganej sztormem wyspie. Potrzebował Lisy, toteż jak mogła, przeciągała

moment ujawnienia prawdy. Na początek przekazała mu kilka zleceń dla szefów laboratoriów.

Uzasadniła to tym, że chciałyby potwierdzić swoją hipotezę.

W końcu jednak chwila prawdy nadeszła.

– A więc... – zaczął Patanjali. – Wyniki są właśnie przygotowywane do wysłania i najwyższy czas na spóźnioną pogawędkę. Jeżeli nie spodoba mi się to, co usłyszę, zaczniemy powoli odwracać wykonane wcześniej zabiegi. Sądzę, że otwieranie zaszytych ran szczypcami nakłoni panią do współpracy.

Odwrócił się na pięcie i dał znak czekającej przy drzwiach pielęgniarce.

Po kilku sekundach wlew dożylny został odłączony.

Lisa usiadła na łóżku. Pokój zawirował jej przed oczami, ale po chwili obraz się uspokoił.

Grając jak zwykle dżentelmena, Patanjali podał jej szlafrok z logo statku. Lisa wstała. Miała na sobie jedynie cienką szpitalną koszulę, więc z przyjemnością włożyła szlafrok i mocno zawiązała pasek.

– Idziemy, doktor Cummings – powiedział Patanjali i podszedł do drzwi.

Skierował się prosto do oddziału chorób zakaźnych, a za nim poprowadzono Lisę.

Drzwi były otwarte. Ze środka dolatywały czyjeś głosy.

Lisa natychmiast zauważyła dwie znajome twarze: bakteriologa Benjamina Millera i holenderskiego toksykologa Henriego Barnhardta. Obaj klinicyści siedzieli po jednej stronie wąskiego stołu.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Całą tylną ścianę opróżniono z mebli i zastąpiono je sprzętem

laboratoryjnym, w dużej części ukradzionym Monkowi: mikroskopami fluorescencyjnymi, spektrometrami scyntylacyjnymi i auto-gamma, inkubatorami CO₂, wirówkami z chłodzeniem, czytnikami mikroplątek i testów immunoenzymatycznych ELISA oraz kolektorem frakcji, który zajął drugą ścianę.

Nie wszystkie uniwersytety stać było na takie wyposażenie.

Po drugiej stronie stołu stała doktor Eloise Chénier, wirusolog i główna administratorka laboratorium chorób zakaźnych. Długi do kostek kitel laboratoryjny, poprzetykane siwizną włosy i zwisające na szyi na łańcuszku okulary do czytania sprawiały, że zbliżająca się do sześćdziesiątki kobieta wyglądała jak staromodna belferka.

Wskazywała ręką dwa monitory – przez jeden przepływały strumienie danych, a na drugim widać było dzunglę zachodzących na siebie plików. Mówiła po angielsku, ale z silnym francuskim akcentem, i właśnie kończyła coś wyjaśniać Henriemu i Millerowi.

– Oczyszczenie próbki płynu mózgowo-rdzeniowego przez bufony fosforanowe pozwoliło nam uzyskać preparat o znakomitej wiremii, który utrwaliliśmy za pomocą aldehydu glutarowego i zgranulowaliśmy przez wirowanie.

Kiedy zauważyła wchodzących, dała im znak, aby podeszli bliżej.

Patanjali stanął przy niej, a Lisa usiadła obok Henriego. Toksykolog położył jej uspokajająco dłoń na kolanie i popatrzył na nią. W jego oczach kryło się pytanie, czy wszystko w porządku.

Kiwnęła głową, zadowolona, że pozwolono jej usiąść.

– Przeprowadziliśmy wszystkie dodatkowe badania, których pani zażądała, doktor Cummings – zwrócił się do niej Patanjali. – Może nam pani wyjaśnić, do czego były potrzebne?

Wzięła głęboki wdech. Jediną nadzieją na ocalenie było ujawnienie prawdy, potem pozostawała już tylko modlitwa, aby to wystarczyło.

Doskonale pamiętała lekcję Patanjalego: „Bądź potrzebna”.

Zacząła od opisu, w jaki sposób odkryła w siatkówce Susan świecenie.

Twarz Patanjalego przybrała sceptyczny wyraz, więc Lisa zwróciła się do Henriego:

– Udało się wam przeprowadzić próbę fluoryzacji próbki płynu mózgowo-rdzeniowego?

– Tak. Próbka wykazała się niewielkim poziomem fluoryzacji.

Chénier potwierdziła jego słowa.

– Odwirowałam próbkę i rzeczywiście świeciła. Potwierdzono, że to cyjanobakteria.

Miller również kiwnął głową.

Sceptycyzm Patanjalego zamienił się w zainteresowanie. Skupił wzrok na Lisie.

– I na tej podstawie stwierdziła pani, że bakteria przemieściła się z mózgu po nerwie wzrokowym i skolonizowała płyny w oku... Dlatego zleciła pani drugą punkcję?

Kiwnęła głową.

– Nie widzę tu doktora Polluma – zauważyła. – Udało mu się skończyć próbę białkową płaszczą wirusa?

Zleciła także i to badanie. Nie było konieczne, ale dało jej kilka kolejnych godzin.

– Sekundkę – powiedziała Chénier. – Mam tu wyniki.
– Odwróciła się do komputera i zaczęła zamykać kolejne pliki. – Może zainteresuje państwa, że na podstawie prób genetycznych udało nam się zaklasyfikować tego wirusa do rodziny Bunyavirus – dodała po chwili.

Henri zauważył drgnięcie Lisy i wyjaśnił:

– O tym właśnie rozmawialiśmy, zanim przyszlście. Buniawirusy zarażają ptaki i ssaki, wywołując gorączki krwotoczne, ale czynnikiem przenoszącym są zazwyczaj stawonogi. Muchy kęsające, kleszcze, moskity.

Przesunął w jej stronę notes.

Lisa popatrzyła na otwartą kartkę. Henri naszkicował na niej drogę przenoszenia się zakażenia.

Człowiek → Owad (stawonóg) → Człowiek
(zakażony) (nosiciel) (zakażony)

Postukał palcem w środkowe ogniwo.

– Do rozprzestrzenienia się choroby potrzebne są owady. Buniawirusy bardzo rzadko przenoszą się bezpośrednio z człowieka na człowieka.

Lisa pomasowała skronie.

– W odróżnieniu od wirusa Judasza – stwierdziła, po czym wzięła ołówek i zmieniła szkic. – Zamiast wykorzystywać do rozprzestrzeniania się owady, do przenoszenia się z człowieka na człowieka używa komórek bakterii.

Człowiek → Bakteria → Człowiek
(zakażony) (zakażony)

Henri zmarszczył czoło.

– Tak, ale dlaczego...

Przerwał mu odgłos wystrzałów. Wszyscy podskoczyli.

Patanjali wypuścił z dłoni swoją laskę, wymamrotał jakieś przekleństwo, podniósł ją z podłogi i ruszył do drzwi.

– Wszyscy tu zostajecie – warknął.

Nastąpiły kolejne wybuchy, którym towarzyszyły gardłowe wrzaski.

Lisa wstała. Co tu się działo?

Godzina 1.24

Patanjali wziął ze sobą dwóch strażników i szybkim krokiem ruszył do posterunku przy windach. Broń maszynowa odzywała się sporadycznymi salwami, ale w zamkniętej przestrzeni strzały przypominały eksplozje.

Mieszały się z nimi głośnie krzyki.

Patanjali kazał strażnikom iść przodem, ale mimo to zwolnił, kiedy zbliżali się do posterunku. Oddział wartowniczy składał się z sześciu ludzi. Jego dowódca, wysoki Somalijczyk, na widok Patanjalego szybko wrócił na swoje stanowisko.

– Panie doktorze, kilkunastu zarażonych uwolniło się z jednego z oddziałów w głębi – powiedział po malajsku.
– Zaatakowali nas.

Skinął głową w stronę jednego ze swoich żołnierzy, który siedział z boku i obejmował zakrwawione ramię. Poniżej odwiniętego rękawa widać było głębokie ugryzienie.

Patanjali postąpił krok do przodu i wskazał palcem rannego.

– Izolować.

Korytarz za posterunkiem biegł w kierunku rufy statku. Część drzwi do pokoiów była otwarta, część zamknięta. Na korytarzu leżało kilka posiekanych pociskami ciał, krew jeszcze nie wszędzie zdążyła wsiąknąć w wykładzinę podłogową. Najbliższe dwa trupy – otyła naga kobieta i nastolatek bez koszuli – były splecione w uścisku. Oba ciała pokrywały pęcherze i czarne wrzody.

Patanjali z trudem zachowywał spokój i oddychał przez nos.

Najciężej chorych zebrano w części rufowej tego poziomu – aby zespół badawczo-medyczny miał do nich łatwy dostęp – i Patanjali osobiście określił nowe zasady postępowania z nimi. Nie mógł sobie pozwolić na podobne incydenty. Nie teraz, kiedy był taki bliski sukcesu.

– Wezwałem wsparcie – powiedział dowódca warty. – Kiedy zaczęliśmy strzelać, część zarażonych uciekła do otwartych kabin. Będziemy musieli ich stamtąd wykurzyć.

Z głębi korytarza doleciał głośny jęk.

Leżący na podłodze mężczyzna oparł się na łokciu. Jego drugi bark był poszarpany i zakrwawiony. Miał na sobie lekarski kitel. Był to jeden z lekarzy, który trafił na linię ognia.

– Pomóżcie mi... – wycharczał.

Z otwartych drzwi, przy których leżał, wysunęła się czyjaś ręka i złapała go za kołnierz. Po chwili druga ręka chwyciła go za włosy. Kiedy wciągano go do kabiny, lekarz wrzasnął z bólu. Nie wciągnięto go jednak całkowicie do środka – jego gwałtownie kopiące nogi wystawały na zewnątrz.

Dowódca warty popatrzył na Patanjalego. Czekał na rozkaz.

Ale jego szef pokręcił głową.

Krzyki lekarza nagle ucichły, choć jego pięty nadal drgały w agonii.

Patanjali mu nie współczuł. Sam był sobie winien – prawdopodobnie okazał karygodną beztroskę, jeśli chodzi o więzy albo zamek w drzwiach.

Na schodach załomotały buty zbliżającego się wsparcia.

Patanjali odwrócił się i machnął ręką.

– Eksterminować.

– Panie doktorze...

– Cały pokład. Oczyszczyć wszystko. Kabinę po kabinie.

Godzina 1.54

Lisa wsłuchiwała się w strzały i towarzyszące im krzyki.

Nikt się nie odzywał.

W końcu Patanjali wrócił. Nie sprawiał wrażenia specjalnie przejętego – jedynie lekko poczerwieniały mu policzki. Wskazał laską Lisę.

– Proszę ze mną. Chcę, żeby pani coś zobaczyła.

Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Lisa pospieszyła za nim. Minęli posterunek strażniczy i poszli następnym korytarzem.

Widok był tu jak w rzeźni. Ściany były spryskane krwią, a pod nimi leżały trupy poszarpane seriami z broni maszynowej.

Lisa przełknęła ślinę i żółć, która podeszła jej do gardła od smrodu wiszącego w zamkniętej przestrzeni.

Wszystkie drzwi po obu stronach korytarza były otwarte. Zajrzała do kilku pokoi i w każdym z nich ujrzała to samo: martwe ciała, poskręcane i zakrwawione. Niektórzy chorzy zginęli przykuci do łóżek.

Po chwili rozległy się kolejne serie wystrzałów – metodyczne, planowe.

Kilka metrów dalej z jakiegoś pokoju wyszło dwóch żołnierzy. Lufy ich karabinków jeszcze dymiły. Przeszli do następnego pomieszczenia.

– Wyrzyna... wyrzynacie pacjentów... – jęknęła Lisa.

– Jedynie selekcjonujemy. To już drugi taki incydent. Godzinę temu dwoje pacjentów odgryzło sobie palce i wyrwało się z więzów. Zaatakowali lekarza i zabili go. W stanie pobudzenia chorzy bywają bardzo silni. Są też nieczuli na ból, kiedy napędza ich adrenalina.

Lisa przypomniała sobie film ukazujący męża Susan Tunis podczas napadu szału. To samo zaczynało się tutaj.

– Z badań elektroencefalograficznych wynika, że najwyraźniej miała pani rację. Ta patologia przypomina pobudzenie katatoniczne, któremu towarzyszą silne ataki psychotyczne.

Zaterkotały kolejne serie i Lisa odruchowo podskoczyła. Widząc jej reakcję, Patanjali westchnął.

– Robimy to dla bezpieczeństwa nas wszystkich. Zauważyliśmy gwałtowne pogorszenie stanu chorych. Na całym statku. Kończą nam się zapasy, więc musimy być skuteczni. Kiedy pacjent osiąga pewien poziom degeneracji, zaczyna stanowić poważne zagrożenie dla otoczenia i przestaje być przydatny.

Żal w jego głosie był zrozumiały. Gildia wykorzystywała chorych na statku jako pożywkę dla szczepu Judasza, ich ciała były dla Patanjalego jedynie podłożem do namnażania wirusa. Każde pole po skoszeniu jest zaorywane.

– Po co pan mnie tu przyprowadził?

– Aby coś pokazać.

Podszedł do jedynych zamkniętych drzwi. Otworzył je z klucza, pchnął i gestem zaprosił do środka.

Z wnętrza buchnęła fala smrodu.

Lisa przeszła przez próg, niepewna, czego powinna oczekiwać. W padającym z korytarza świetle zobaczyłaabinę podobną do tej, którą sama zajmowała: z kanapą, telewizorem, małą łazienką i łóżkiem w sypialni w głębi.

Patanjali włączył lampy pod sufitem. Świetlówki zamigotały i cicho bucząc, skąpały całe wnętrze swoim specyficznym sinawym światłem.

Lisa złapała się za szyję i zatoczyła krok do tyłu.

Na łóżku leżało ciało głęboko zapadnięte w pościel. Nagie nogi przykute były do słupków łóżka, a ręce do zagłówka. Można było pomyśleć, że w brzuchu tego człowieka wybuchł granat, bo eksplozja wyrwała cały środek ciała. Sufit i ściany były spryskane krwią.

Trzymając dłoń przy ustach, Lisa wślizgnęła się do jedyne go bezpiecznego portu – zamieniła się w chłodnego klinicystę.

Gdzie były narządy wewnętrzne?

– Pacjenci jedli go – wyjaśnił Patanjali. – Chorzy, których umysły uległy rozkładowi.

Lisa znowu się wzdrygnęła. Nagle uświadomiła sobie, że ma bose stopy i jest pod szlafrokiem prawie naga.

– Widywaliśmy coś podobnego już przedtem – ciągnął Patanjali. – U pacjentów w stanie katatonicznego pobudzenia wirus wywołuje szaleńczy apetyt. Chorzy stają się wtedy nienasytzeni. Widzieliśmy, jak jeden z nich tak się obżerał, że pękł mu żołądek, ale nawet to nie powstrzymało go od dalszego pochłaniania jedzenia.

Popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Widzieliście? Gdzie?

– Doktor Cummings, chyba nie sądzi pani, że Susan Tunis była jedynym obiektem naszych badań. Musimy poznać i zrozumieć każdy aspekt tej choroby. Nawet łączący się z nią kanibalizm. Ten niezaspokojony głód jest uderzająco podobny do zespołu Pradera-Williego. Wie pani, o co mi chodzi?

Pokręciła głową.

– To rzadkie schorzenie genetyczne spowodowane zaburzeniem struktury chromosomu piętnastego. Jego efektem jest nieprawidłowa praca podwzgórza

wywołująca nienasycony apetyt. Chorzy nieustannie odczuwają głód. Wielu z nich umiera od pęknięć żołądka spowodowanych obżarstwem.

Ten chłodny kliniczny wywód pozwolił Lisie wziąć się w garść, ale w dalszym ciągu oddychała ciężko.

– Oględziny mózgu jednego z naszych psychotycznych pacjentów wykazały, że doszło do toksycznego uszkodzenia podwzgórza, podobnego do zmian u chorych z zespołem Pradera-Williego. W połączeniu z katatonicznym pobudzeniem i stymulacją adrenaliną... no cóż... – Wskazał łóżko.

Żołądek zwinął jej się w supeł. Kiedy się odwracała, dostrzegła twarz ofiary: wykrzywione w cierpieniu usta, ślepe oczy i wianuszek siwych włosów.

Gdy rozpoznała mężczyznę, z trudem powstrzymała krzyk. Był to pacjent N.N., który cierpiał na chorobę zjadającą ciało. Znała nawet jego nazwisko z historii choroby Susan.

Applegate.

Połączenie nazwiska z aktem kanibalizmu sprawiło, że nie wytrzymała.

Musiała wybiec z kabiny.

Zanim się odwróciła, zauważyła w oczach Patanjalego błysk rozbawienia. Ten drań specjalnie ją tu sprowadził – półnagą i roztrzęsioną – doskonale zdając sobie sprawę z tego, że rozpozna ofiarę. Było w tym coś perfidnie sadystycznego.

– Teraz pani wie, z czym mamy do czynienia – stwierdził. – Proszę sobie wyobrazić coś podobnego na całym świecie, w znacznie większej skali. Właśnie temu zagrożeniu próbuję zapobiec.

Lisa z trudem powstrzymała ostrą ripostę.

Zapobiec...

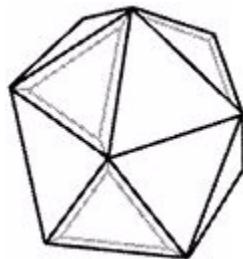
– Stoimy w obliczu pandemii – powiedział Patanjali, kiedy ruszyli w drogę powrotną. – Zanim Światowa Organizacja Zdrowia zareagowała na sytuację na Wyspie Bożego Narodzenia, pierwsi pacjenci zostali przewiezieni samolotami do Perth w Australii. Jeszcze wcześniej odwiedzający Wyspę Bożego Narodzenia turyści rozproszyli się we wszystkie strony świata. Odlecieli do Londynu, San Francisco, Berlina, Kuala Lumpur. Nie wiemy, ile osób podobnie jak doktor Susan Tunis zaraziło się pierwszą falą wirusa, ale ktoś na pewno został zarażony. Bez odpowiednich środków zapobiegawczych, jakie tutaj stosujemy, wirus przez cały czas swobodnie się rozprzestrzenia. Może więc mogłaby pani być nieco bardziej chętna do współpracy...

Kiedy wrócili do laboratorium, przywitały ich pytające spojrzenia, ale Lisa jedynie pokręciła głową i opadła na krzesło.

Doktor Chénier odsunęła się nieco od komputera.

– Kiedy was nie było, ściągnęłam wyniki doktora Polluma. Oto model białka, który pani zamówiła. Z wirusa w toksycznej zupie.

Cofnęła się jeszcze bardziej, aby wszyscy mogli popatrzeć na wirujący kształt.



Był to tworzący powłokę wirusa dwudziestościan foremny: dwadzieścia trójkątów układających się w kulistą bryłę trochę przypominającą piłkę nożną. Niektóre trójkąty były wypukłe – zawierające białka alfa, a inne wklęsłe – z białkami beta. Aby sprawdzić swoją hipotezę, Lisa kazała mapować wszystkie białka.

– Może pani zatrzymać obraz? – spytała.

Chénier kliknęła myszką i poruszający się obiekt znieruchomiał. Lisa wstała.

– Mogłaby pani teraz pokazać mapę białka wirusa pobranego z płynu mózgowo-rdzeniowego Susan Tunis?

Po chwili na drugim ekranie pojawiła się druga wirująca „piłka”. Lisa przysunęła się do ekranu i przyjrzała jej uważnie. Tym razem sama zatrzymała obiekt.



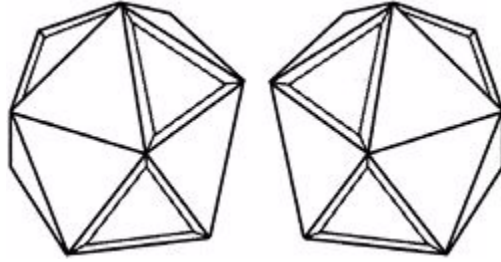
Popatrzyła na obecnych.

Patanjali wzruszył ramionami.

– Są takie same.

Lisa cofnęła się od monitora.

– Proszę wyobrazić je sobie tuż obok siebie.



Henri wstał, szeroko otwierając oczy.

– Nie są takie same!

Lisa kiwnęła głową.

– Właśnie. Są swoimi lustrzanymi odbiciami. To geometryczny izomeryzm. Na pierwszy rzut oka wydają się takie same, ale jedno jest całkowitym przeciwieństwem drugiego.

– Cis i trans – mruknęła Chénier.

Lisa postukała palcem w pierwszy ekran.

– Tutaj jest postać trans, czyli zła. Zakaża nieszkodliwe bakterie i zamienia je w potwory. – Wskazała drugi ekran pokazujący wirusa uzyskanego z płynu mózgowo-rdzeniowego Susan Tunis. – A tu mamy postać cis, czyli dobrego, leczącego wirusa.

– Cis i trans – powtórzył cicho Miller. – Dobro i zło.

Lisa zaczęła wyjaśniać swoją teorię.

– Jak wiemy, wirus trans zakaża bakterie w celu osłabienia bariery krew–mózg i spenetrowania sterylnego terenu wewnątrz ludzkiej czaszki. Przeprowadził nawet ze sobą towarzystwo...

– Cyjanobakterię – dodał Miller. – Świecąca bakterię.

– Zazwyczaj wytwarzane przez bakterię toksyny tak uszkadzają mózg, że dochodzi do katatonicznego pobudzenia połączonego z psychozą. Jednak w przypadku Susan wydarzyło się coś innego. Po dotarciu do płynu mózgowo-rdzeniowego wirus

przemienił się ze złej postaci trans w leczniczą cis. Ten nowy wirus rozprzestrzenił się w organizmie i zaczął odwracać uszkodzenia dokonane przez jego złego bliźniaka, wyleczył chorą i wprowadził ją w głęboki regeneracyjny stupor będący całkowitą odwrotnością maniakalnego podniecenia innych pacjentów.

– Nawet jeśli masz rację, a przypuszczam, że masz, co takiego szczególnego było w biochemii Susan Tunis, że doszło do przemiany wirusa? – spytał Henri.

– Podejrzewam, że w ciągu najbliższych dni lub tygodni podobną transformację zobaczymy także u niektórych innych pacjentów. Susan została zarażona pięć tygodni temu, może więc za wcześnie na ocenę, sądzę jednak, że to przypadkowy wybryk genetyczny. Czy słyszeli państwo o wsi Eyam i o tym, co się tam wydarzyło podczas Wielkiej Zarazy?

Chénier podniosła rękę, jakby siedzieli w szkolnej klasie.

– Ja słyszałam.

Oczywiście, jako ekspert od chorób zakaźnych nie mogła o czymś takim nie wiedzieć, pomyślała Lisa.

– Eyam było małą wioską w Anglii – podjęła. – Kiedy w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym roku dotarła tam dżuma, okazało się, że po roku większość jej mieszkańców wciąż żyje. Wyjaśniła to dopiero współczesna genetyka. Występowała u nich rzadka aberracja dotycząca genu Delta trzydzieści dwa. To odchylenie od normy nie ma żadnych niepożądanych skutków i było przekazywane z pokolenia na pokolenie, a ponieważ z powodu odizolowania wioski od świata często dochodziło tam do kojarzenia krewniaczego, u znacznej części mieszkańców jeszcze się nasiliło.

A kiedy zaatakowała ich dżuma, ta drobna aberracja sprawiła, że okazali się na nią odporni.

– Sugeruje pani, że nasza pacjentka jest nosicielką aberracji genetycznej uodporniającej na szczep Judasza? – spytał Patanjali. – Że w jej organizmie przypadkowo znalazło się białko, które kazało postaci trans wirusa zamienić się w postać cis?

– Może nie całkiem przypadkowo – odparła Lisa. Zadawała sobie to pytanie od chwili, gdy odkryła istnienie przemienionego wirusa. – Jedyne niewielki procent DNA jest aktywny. Dokładnie mówiąc, tylko trzy procent. Pozostałe dziewięćdziesiąt siedem uważa się za genetyczne śmieci. Ale część tego „śmieciowego” DNA wykazuje zadziwiające podobieństwo do kodu wirusowego i obecnie uważa się, że może odgrywać rolę zabezpieczającą przed chorobami, które pojawią się w przyszłości. Na przykład kanibalizmem...

To przedziwne stwierdzenie sprawiło, że wszyscy się do niej odwrócili.

– Markery genetyczne dowodzą, że większość ludzi jest nosicielami specyficznego zestawu genów chroniących przed chorobami, którymi można się zarazić, spożywając ludzkie mięso. Sugeruje to, że być może wszyscy nasi przodkowie byli kanibalami. Może Susan jest nosicielką markera genetycznego, który chroni jej mózg przed atakiem wirusa Judasza? Czegoś, co pochodzi z naszej kolektywnej przeszłości?

– To bardzo ciekawe, doktor Cummings. – Patanjali, najwyraźniej mocno zaintrygowany, kiwał się do przodu i tyłu na palcach stóp. – Niezależnie jednak od tego, czy ta transformacja była przypadkowa, czy została wyzwolona przez genetyczny marker z naszej

przeszłości... nie jest to teraz zbyt istotne. Wiedząc o istnieniu nowego wirusa, będziemy mogli stworzyć antidotum na poprzedniego!

Chénier nie sprawiała wrażenia tak pewnej jak on.

– Prawdopodobnie to możliwe, ale konieczne będą dalsze badania. Na szczęście mamy cały statek chorych, na których będziemy badali schematy terapii. Najpierw jednak potrzebujemy więcej wirusa cis...

– Nie ma obaw – odparł Patanjali. – Rakao i jego ludzie wyruszyli już na polowanie i wkrótce odzyskamy Susan Tunis i pozostałych. A ponieważ tę sprawę mamy załatwioną... – Odwrócił się do Lisy. – Nadszedł czas na omówienie pani kary.

Zza jego pleców wyszła kobieta z torbą lekarską.
Surina.

Godzina 3.14

Monk wspinał się stromą ścieżką, tuż za kanibalem z gołym tyłkiem. Znajdował się mniej więcej w połowie długiego łańcuszka składającego się z kilkudziesięciu wojowników.

Była to jego kanibalistyczna armia.

Deszcz wciąż lał, ale wiatr niemal całkowicie ucichł i jedynie co jakiś czas szarpał roślinnością porastającą szczyty klifu. Monk chciał zacząć akcję, kiedy epicentrum burzy znajdzie się dokładnie nad wyspą. Czekanie było okropne, ale w końcu otworzyło się małe okienko.

Choć ścieżka była wycięta w skale i dobrze chroniona przed wiatrem, kamienie były śliskie od wody i zdradliwe, a od czasu do czasu musieli pełznąć na czworaka.

Monk spojrział za siebie.

Tuż za jego plecami szli Ryder i Jessie. Za nimi ciągnął się sznur tubylców przystrojonych piórami, muszlami, korą, ptasimi szponami i kośćmi.

Podstawową bronią tego zaimprovizowanego oddziału szturmowego były krótkie dzidy, łuki i zaostrzone pałki, ale mniej więcej połowa ludzi miała też broń szturmową starego typu – zarówno rosyjskie AK-47, jak i amerykańskie M-16 – oraz przewieszane wokół talii i przez kark pasy z nabojami i dodatkowymi magazynkami. Najwyraźniej kanibale kupowali od piratów nie tylko dwunożne mięso.

Z punktu, w którym się znajdowali, rozciągał się doskonały widok na lagunę, pośrodku której stał statek. Zamierzali się na niego dostać.

Zahipnotyzowani kanibale byli gotowi spełnić każde życzenie Rangdy.

A królowa chciała dostać statek.

Jej życzenia i rozkazy tłumaczył Jessie. Znał malajski, a ponieważ był to także język handlowy piratów, rozumiała go większość kanibali. Odnosili się teraz do niego z ogromnym szacunkiem – znał przecież język ich królowej i umiał przekazać jej życzenia. Aby go jeszcze bardziej wyróżnić, Rangda złożyła nawet pocałunek na jego policzku.

Nikt nie śmiał mu się przeciwstawić.

Cały ten plan powstał w głowie Monka.

Monk odwrócił się plecami do statku. Laguna była na pewno obserwowana, więc atak łodziami nie wchodził w rachubę. Nie mogli też pokonać dzielącej ich odległości od Mistress wpływ, bo nawet z dużej wysokości w wodzie widać było złowrogie błyski światła. Sztorm wypędził groźne stwory z ich głębinowych kryjówek i krążyły teraz tuż pod powierzchnią w poszukiwaniu łupu.

Pozostawała im tylko jedna droga.

Musieli wspiąć się na dach.

Wkrótce dotarli do potężnych stalowych słupów i grubych lin, na których umocowano sieć.

Monk popatrzył na nią.

Woda przesączała się przez wplecioną w sieć roślinność i ściekała na ziemię.

Tę iluzję trzeba było jednak przez cały czas podtrzymywać i „konserwatorami zieleni” nie mogli być tylko piraci.

Jakby chcąc to potwierdzić, jeden z kanibali wspiął się na najbliższą linę i zniknął po drugiej stronie sieci. Po chwili na ziemię opadła sznurowa drabinka.

Kanibale zaczęli się po niej wspinać.

Monk odwrócił się do Jessiego.

– Możesz wrócić na plażę do Susan. Zabierzemy was stamtąd, kiedy będzie po wszystkim.

Jessie odgarnął z oczu mokre włosy.

– Idę razem z wami. Kto będzie twoim tłumaczem?

Zanim Monk zdążył zaprotestować, chłopak złapał za drabinę i ruszył w górę.

Ryder wszedł następny, a kiedy przeszedł przez sieć, Monk złapał dolny szczebel drabinki i obrzucił wzrokiem swoją armię. Pokryci piórami i uzbrojeni po

zęby żołnierze byli gotowi spełnić każdy rozkaz królowej.

Przez chwilę czuł się nieswojo, że wykorzystuje zabobony, ale jeżeli Lisa miała rację, zagrożone było istnienie całego świata. Nie miał wyboru – musiał korzystać z tego, czym dysponował.

Musieli dotrzeć do statku i uratować Lisę. Nie dopuszczał do siebie myśli, że jego partnerka może nie żyć.

A potem muszą wydostać z wyspy Susan.

Zaczął wspinać się na drabinę.

Po chwili przecisnął się przez łopoczącą na wietrze warstwę kamuflażu. Porywy wiatru były tak silne, że mogły zwać dorosłego mężczyznę. Wciągnął się na wąską deskę przymocowaną do sieci. Była elementem systemu kładek, po których chodzili ludzie konserwujący sieć i w razie potrzeby odświeżający kamuflaż.

Początek oddziału przesuwiał się już na brzuchach po deskach. Deszcz smagał kłującymi falami, a kołyszące siecią podmuchy wiatru sprawiały, że miało się wrażenie lotu na dywanie Aladyna.

Monk spojrział w górę. Pokrywa chmur przerzedziła się nieco i można było dostrzec kilka gwiazd, ale epicentrum burzy okazało się mniejsze, niżby chciał. Ze wszystkich stron dobiegały grzmoty, wokół nieustannie eksplodowały błyskawice.

Poczołgał się dalej. Kiedy oko cyklonu zacznie się odsuwać od wyspy, muszą być już na statku. Dobrze pamiętał uderzenia błyskawic i fontanny iskier wzbijające się nad metalową konstrukcją.

Powoli pełzli do celu.

Monk spojrział w dół. Na szczęście ich podopiecznej nic nie groziło.

Godzina 4.02

Susan – z twarzą posmarowaną popiołem mającym ukryć świecenie skóry – siedziała na głazie w dżungli, niedaleko plaży. Przez godzinę schodziła na brzeg i teraz odpoczywała.

Oczywiście nie sama.

Między drzewami porozstawiani byli członkowie królewskiej eskorty. Przy Susan znajdowała się jedynie kobieta o imieniu Tikal – klęczała przed nią, dotykając czołem błota. Odkąd dotarli na miejsce, w ogóle się nie poruszyła.

Susan próbowała z nią rozmawiać, ale kobieta nie odpowiedziała.

Mogła tylko czekać na powrót swoich towarzyszy. Ubrano ją w skórę dzikiej świni ozdobioną piórami, muszlami i paciorkami z polerowanego kamienia, a na głowę nałożono koronę z kości umocowaną na czole korą. Kości odchodziły prostopadle od głowy, co wyglądało, jakby we włosach Susan wyrósł jakiś makabryczny kwiat. Wręczono jej też długi kij z wypolerowanego drewna, na który nabita była ludzka czaszka.

Paradny strój królowej czarownicy wyspy Pusat.

Ale skóra była ciepła, a eskorta okazała się bardzo przydatna przy schodzeniu. Sporządzono nawet dla niej

daszek z liści palmowych, aby nie zmokła.

Patrzyła w górę, na gigantyczną sieć. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jest zbyt słaba, aby na nią wejść, toteż bez protestu posłuchała Monka, zeszła na brzeg, ukryła się i czekała na wynik ataku.

Należało spodziewać się długiego czekania.

Bardzo długiego.

Powoli zaczęło docierać do niej znaczenie tego wszystkiego, co działo się wokół niej od chwili, gdy obudziła się na pokładzie statku. Przeżyła, ale najbliższe jej osoby nie miały tyle szczęścia.

Gregg...

Oczami wyobraźni zobaczyła krzywy uśmiech i ciemne oczy męża, usłyszała jego głośny śmiech, poczuła piżmowy zapach skóry, a na wargach dotyk ust...

Jak to możliwe, że to wszystko już nigdy nie wróci?

Miała wrażenie, że całe jej ciało – nie tylko na powierzchni, lecz także w głębi – zostało dotkliwie poobijane. Do jej oczu napłynęły świecące łzy i zaczęły spływać po pokrytych popiołem policzkach.

Gregg...

Zaczęła bujać się jak dziecko cierpiące na chorobę sierocą, próbując w ten sposób ukoić żal, ale zalewająca ją fala rozpacz była jak tsunami.

W końcu jednak nawet fala tsunami opada.

Gdy się nieco uspokoiła, wyciągnęła rękę i popatrzyła na swoją rękę świecącą z powodu obecności cyjanobakterii w pocie i porach skóry. Odwróciła dłoń wnętrzem do góry. To światło nie rozgrzewało skóry, tkwiło głębiej.

Co się z nią działo?

Była biologiem morskim i wiedziała wszystko o tym drobnoustroju. Cyjanobakterie, często zwane „sinicami”, są wszechobecne. Tworzą kolonie przybierające najróżniejsze kształty: cienkich włókien, płaskich arkuszy lub pustych kul. Jako przodkowie dzisiejszych roślin stanowiły niezbędne ogniwo ewolucji. We wczesnej historii Ziemi wygenerowały pierwszą tlenową atmosferę planety, tworząc na niej warunki do życia. Od tego czasu przystosowały się do życia w milionach nisz ekologicznych.

Ale co oznaczała kolonizacja ludzkiego ciała? Jaki miała związek z wirusem Judasza? Brakowało w tym logiki.

Wiedziała, że to jeszcze nie koniec.

Czuła, że głęboko w jej wnętrzu dokonuje się przemiana, której nie potrafiła opisać.

Była nie do powstrzymania jak narastający przypływ.

Spojrzała na las rosnący po drugiej stronie laguny, a potem przeniosła wzrok jeszcze dalej, za wyspę.

Godzina 4.18

Rakao obserwował swoją ofiarę z odległości mniej więcej stu metrów. Ukryty pod przeciwdeszczowym poncho przyciskał do oczu gogle noktowizyjne. Liczył czerwone plamki emanujących ciepłem ciał kanibali na skraju plaży. Dysponował siłami dwa razy większymi.

Uniesieniem pięści dał znak swoim ludziom, aby rozproszyli się i utrzymywali dystans. Nakazał im

przemieszczać się wyłącznie wtedy, gdy przetaczał się grzmot, bo tubylcy mieli bardzo wyczułone zmysły.

Nie chciał przedwcześnie spłoszyć zwierzyny.

Przyglądał się siedzącej na głazie kobiecie. Szedł za kanibalami od szczytu klifów do samej laguny i zastanawiał się, gdzie są pozostali. Nie mogli być daleko.

Choć mógł w każdej chwili schwytać Susan Tunis, uzbroił się w cierpliwość. Wiedział, że bardziej przyda mu się jako przynęta.

14

Ruiny Angkor

Siem Reap, Kambodża

7 lipca, godzina 5.02 czasu miejscowego

Sześć godzin podróży przeniosło ich do innego stulecia i tygła kultur. Gray wysiadł jako pierwszy z taksówki, która zatrzymała się w sercu Siem Reap, małego nadrzecznego miasteczka w północno-zachodniej Kambodży wzniesionego między rozległymi polami ryżowymi i ogromnym śródlądowym jeziorem. Ponieważ pozostała jeszcze godzina do świtu, miasteczko spało, dusząc się wilgotnym i ciężkim powietrzem wypełnionym bzykaniem moskitów i migotaniem gazowych lamp. Z pobliskiej rzeki dobiegał cichy rechot żab potęgujący atmosferę senności.

Po płyciznach krążyło kilka płaskich łodzi popychanych drągami. Z każdej wystawały długie tyki z oliwnymi lampami, których światło pomagało rybakom w szerokich kapeluszach z bambusa sprawdzać klatki na kraby i langusty oraz łowić dzidami żaby – zaopatrzenie licznych miejscowych restauracji i kawiarni.

Pozostali członkowie grupy Graya również wysiedli z taksówki, demonstrując różne stadia wyczerpania. Vigor, zgarbiony, z oczami czerwonymi jak u królika, wyglądał, jakby ktoś go uprał i bez wygładzania pozostawił do wyschnięcia. Seichan przeciągała się jak rozespany kot, osłaniając ręką zraniony bok. Podejrzliwie przyjrzała się ich nowej kwaterze. Kowalski drapał się pod pachą i gwizdał pod nosem, co rozwścieczyło jakiegoś psa.

Mieli tu czekać na przybycie Nassera.

Za dwie godziny.

Tuż nad rzeką, za wijącą się drogą dojazdową, stał otynkowany na żółto dwupiętrowy kolonialny hotel pokryty czerwonym kamieniem i otoczony wypielegnowanym francuskim ogrodem. Jego historia była typowa dla tego regionu. Kiedyś nazywał się Grand Hôtel des Ruines i służył brytyjskim oraz francuskim turystom odwiedzającym ruiny kompleksu świątyń Angkor, położone w odległości ośmiu kilometrów od Siem Reap. Przez krwawe i brutalne lata reżimu Czerwonych Khmerów, podczas których wymordowano miliony ludzi – jedną czwartą populacji Kambodży – hotel i miasteczko popadły w ruinę. Takie potworności zawsze niszczą turystykę. Po upadku reżimu ludzie wrócili, a hotel odzyskał dawną świetność i został przemianowany na Grand Hôtel d'Angkor.

Odrestaurowano także samo Siem Reap – choć z nieco mniejszym pietyzmem. Nowe hotele i hostele wyrastały coraz dalej od brzegów rzeki, a wraz z nimi powstawały restauracje, bary, kafejki internetowe, agencje podróży, stragany z owocami i przyprawami

oraz kambodżańskimi rzeźbami, wyrobami ze srebra, pocztówkami, T-shirtami i świecidełkami.

O tak wczesnej porze – jeszcze bez turystów i słońca – to azjatycko-francuskie miasteczko było pełne niezwykłego, tajemniczego uroku. Ulicą prowadzącą do Starego Miasta jechały wozy ciągnięte przez woły, załadowane durianem, pod którego kolczastą skórą kryje się miąższ o wykwintnym smaku. Hotelową werandę sprzątał służący w świeżo wyprasowanej białej marynarce.

Kiedy Gray wszedł na schodki, sprzątacze uśmiechnęli się do niego, przerwał na chwilę pracę i otworzył przed przybyszami drzwi.

Hol był wyłożony marmurem i polerowanym drewnem, a w powietrzu unosił się zapach kunsztownie poukładanych w wazonach i misach róż, orchidei, jaśminu i lotosu. Obok łukowatych schodów czekała otwarta kabina wiekowej windy ozdobiona finezyjnymi splotami wiązek prętów z kutego żelaza.

– Bar Elephant jest za rogiem budynku – poinformowała ich Seichan.

Właśnie tam byli umówieni z Nasserem.

Gray po raz setny spojrzął na zegarek.

– Zamelduję nas – powiedział Vigor.

Kiedy ruszył w stronę recepcji, Gray rozejrzał się po holu. Czy agenci Gildii byli już na miejscu? Pytanie to zadawał sobie od wylądowania w Bangkoku, gdzie zmienili plany i postanowili przyjechać do Siem Reap. Seichan twierdziła, że Gildia ma swoich ludzi w całym tym regionie – aż po Chiny i Koreę Północną.

Gray nie wątpił, że Nasser porozmieszczał agentów operacyjnych na ich drodze z cieśniny Ormuz do

Kambodży. Aby ratować rodziców, musiał wyjawić Nasserowi, że historyczna podróż Marca Polo zakończyła się w ruinach starożytnego miasta Angkor.

Nie wystarczyło to jednak do ich uwolnienia.

Odmówił ujawnienia kolejnej informacji o antidotum na wirusa Judasza. Wymiana tej informacji za państwa Pierce'ów miała nastąpić właśnie teraz – na spotkaniu w pobliżu kompleksu świątyń Angkoru.

Zdawał sobie sprawę, że to pułapka, ale musiał grać na zwłokę. Mógł jedynie zmuszać tamtego do biegu, trzymając przed nim marchewkę – aby Painter Crowe miał jak najwięcej czasu na odnalezienie jego rodziców.

Po rozmowie z Nasserem zaryzykował z aparatu Seichan krótki telefon do dyrektora Crowe'a. Należało się spodziewać, że ich przeciwnik spróbuje objąć podsłuchem wszystkie stacje przekaźnikowe w okolicy, więc musiał się spieszyć. Dyrektor miał jednak dla nich tylko złe wieści: Sigma nie wytropiła żadnych nowych śladów prowadzących do państwa Pierce'ów, nie było też żadnych wiadomości od Lisy i Monka. Jego głos był pełen goryczy i wściekłości.

Ponownie zaproponował przysłanie posiłków, ale do chwili uwolnienia rodziców Gray nie miał odwagi się na to zgodzić. Wierzył Seichan, że Gildia czuje się w tym regionie jak w domu, i musiał utrzymywać Nassera w przekonaniu, że on i jego grupa są odcięci od jakiegokolwiek pomocy.

Mimo ryzyka poprosił jednak Paintera o małe wsparcie. Kiedy już wszystko uzgodnili, pozostawało im tylko jedno: dalsza gra na zwłokę.

Jeszcze dwie godziny.

Za jego plecami brzęknął dzwonek przy windzie i stare żelazne drzwi zaczęły się otwierać ze zgrzytem.

Odwrócił się.

Z kabiny wyszedł Nasser. Był w ciemnym garniturze, bez krawata.

– Chyba możemy przyspieszyć rozpoczęcie naszego spotkania – stwierdził.

Z korytarzy po obu stronach wyszli mężczyźni w mundurach khaki i czarnych beretach. Po chwili obcasy ich butów zastukały o deski werandy. Żołnierze zeszli ze schodów. Choć nie było tego widać, na pewno wszyscy byli uzbrojeni.

Kowalski musiał to wyczuć, bo uniósł rękę.

Seichan pokręciła głową.

– No to się wykąpałam...

Vigor cofnął się i stanął obok Graya.

Nasser podszedł do nich i powiedział:

– Może porozmawiamy o lekarstwie?

Waszyngton

Godzina 18.18 czasu miejscowego

– Z pańskich słów wynika, że komandor Pierce nie ma Gildii nic do zaoferowania – stwierdził doktor Malcolm Jennings. – Nic naprawdę wartościowego.

Painter słuchał, pozwalając szefowi działu badań i rozwoju Sigmy przedstawić jego własny tok rozumowania. Chciał skonfrontować swój sposób

myślenia z wnioskami doktora. Gdy Jennings został wezwany, był już w drodze do jego gabinetu.

– Z opowieści Marca Polo wynika, że on i kilka innych osób z jego otoczenia zostało uodpornionych na szczep Judasza krwią i grasicą – mówił doktor, chodząc tam i z powrotem przed biurkiem Paintera. – Wynika z niej też, że krew i gruczoł pochodziły z ciała człowieka.

– Tak, to był akt kanibalizmu...

– Albo coś w rodzaju prymitywnego szczepienia. Grasica jest głównym źródłem białych krwinek, a krew podstawową drogą ich rozprowadzania. Spożycie tego rodzaju tkanek rzeczywiście może być ekwiwalentem szczepienia.

– Według Graya właśnie to uchroniło Marca Polo i jego towarzyszy przed chorobą.

– Ale to nie wskazuje jeszcze sposobu leczenia – zauważył Jennings. – Skąd pochodziły krew i gruczoł? Na pewno nie od chorego osobnika, bo wywołałyby zakażenie. W tej układance brakuje jednego kawałka. Aby podobne leczenie zadziałało, należałoby pobrać komórki i przeciwciała od kogoś wyleczonego, kogoś, kto przeżył atak wirusa Judasza.

Painter westchnął.

– Nie dostrzegasz w opowieści Marca Polo niczego, co mogłoby dać jakieś wyjaśnienie?

Doktor pokręcił głową.

Tak jak Painter się obawiał, Gray blefował. Było to bardzo niebezpieczne, bo Amen Nasser nie był głupcem. Wkrótce dostrzeże brak realnego rozwiązania. Zagrywka Graya mogła im dać jedynie nieco czasu, ale ponieważ po spóźnionym ataku na sklep mięsny trop prowadzący do państwa Pierce'ów wystygł, ryzyko

wydawało się niepotrzebne. A Jennings potwierdził te obawy.

Niestety.

– Wygląda na to, że opowieść Marca Polo niczego nie wyjaśniła...

– Niekoniecznie – odparł Jennings. – Ale najpierw chciałbym omówić z panem coś innego. W tym właśnie celu do pana szedłem. Być może ma to związek z naszą sprawą. Jeżeli ma pan trochę czasu, coś panu pokażę.

Painter nie miał czasu. Popatrzył na stertę pilnych raportów na biurku. Kat siedziała kilka pokoi dalej i zajmowała się informacjami z wysp indonezyjskich przekazywanymi za pośrednictwem satelity. Ponieważ miała doświadczenie w pracy wywiadowczej, okazała się bardzo przydatna w koordynowaniu obserwacji. Niestety, z powodu wciąż szalejącego sztormu nie udało im się jeszcze zlokalizować statku.

Painter najbardziej pragnął być w tej chwili na miejscu wydarzeń, znał jednak Jenningsa i wiedział, że nie zmarnuje mu czasu drobiazgami.

– Co chciałbyś mi pokazać?

Doktor wskazał jeden z monitorów na ścianie.

– Chciałbym przeprowadzić krótką konferencję z Richardem Graffem. Czekam na mój telefon w Australii.

– Graff? Ten naukowiec, który pracował z Monkiem na Wyspie Bożego Narodzenia?

– Ten sam.

Doktor Graff nawiązał przez radio kontakt z przepływającym obok Wyspy Bożego Narodzenia tankowcem i zawiadomił świat o porwaniu statku pasażerskiego Rydera Blunta. Obecnie przechodził kwarantannę w Perth.

– Czytał pan raport, jaki Graff złożył australijskim władzom? – zapytał Jennings.

Painter kiwnął głową.

– Kiedy już to zrobił, odkrył coś dziwnego...

Dyrektor wskazał ekran monitora.

– Pokaż.

Jennings okrążył biurko i nawiązał połączenie konferencyjne. Monitor pociemniał, zamigotał i po chwili pojawił się na nim Graff. Miał na sobie niebieski szpitalny strój, a jego rękę podtrzymywał temblak. Zamrugał zza okularów do Paintera i Jenningsa.

Doktor przedstawił siebie i swojego szefa jako badaczy związanych z Instytutem Smithsonian, po czym powiedział:

– Czy mógłby pan zademonstrować nam, co odkrył? To, co mi pan wcześniej pokazywał? Sądzę, że mój kolega również powinien to zobaczyć.

– Okaz czeka – odparł Graff i zniknął z ekranu.

Kamera zmieniła ogniskową, obraz się poszerzył i na ekranie ukazał się biały stół.

Ponownie pojawił się Graff – z dużym czerwonym stworzeniem w rękach.

– Czy to krab? – spytał Painter.

– Tak, to Geocarcoidea natalis – odparł naukowiec. – Czerwony krab lądowy z Wyspy Bożego Narodzenia.

Postawił skorupiaka na stole. Jego potężne szczypce były związane gumowymi opaskami.

– Te typki uratowały nam życie na wyspie – dodał.

Painter wstał i podszedł do monitora.

Graff puścił kraba, który natychmiast ruszył przed siebie. Oceanograf okrążył stół, aby go złapać, zanim spadnie.

– Nie bardzo rozumiem, co pan chce nam zademonstrować – powiedział Painter.

– Wydało nam się z doktorem Kokkalisem dziwne, że kraby nie zginęły po kontakcie z toksyczną substancją, najwyraźniej jednak wywarła ona wpływ na ich reakcje. Atakowały się nawzajem i rozrywały na strzępy. Miałem nadzieję, że obserwacja ich zachowania pozwoli mi wyciągnąć jakieś wnioski na temat tego, co się stało na wyspie.

Mówiąc to, dwukrotnie stawiał kraba na stole. Bez względu na to, w jakiej pozycji zwierzę zostało ustawione, natychmiast się odwracało i szło do tego samego rogu stołu.

Graff zademonstrował to jeszcze kilka razy.

– Układ nerwowy kraba lądowego z Wyspy Bożego Narodzenia jest tak zaprogramowany, że o określonej porze roku nakazuje mu odbywać coroczną migrację rozrodczą. Podobnie dzieje się z większością skorupiaków. Jednak kontakt z toksyną najwyraźniej zamienił go w kompas stale wskazujący ten sam kierunek. Puszczony wolno krab zawsze idzie w tę samą stronę.

Podniósł kraba i włożył go do terrarium.

– Kiedy sytuacja na wyspie się uspokoi, chciałbym sprawdzić, czy inne zamieszkujące ją kraby zostały przeprogramowane tak samo jak ten. To fascynująca anomalia, doktorze Jennings. Z przyjemnością podpiszę zgodę na grant, o którym pan wspominał.

– Rzeczywiście fascynująca, doktorze – przyznał Jennings. – Na pewno skontaktujemy się z panem. Dziękujemy, że zechciał nam pan poświęcić swój czas.

Połączenie zostało przerwane i ekran poczerniał, ale doktor nie przestał stukać w klawisze. Na ekranie pojawił się nowy obraz: globus.

– Kiedy dowiedziałem się o tej anomalii, spróbowałem wykorzystać dane zebrane przez Graffa i ustalić kierunek poruszania się kraba – powiedział Jennings. Na globusie pojawiła się przerywana linia. – To, co uzyskałem, nie wydawało mi się istotne... do momentu, gdy przesłał nam pan dane otrzymane od komandora Pierce’a.

Globus obrócił się i powiększył, wypełniając cały ekran.

Obraz pokazywał Azję Południowo-Wschodnią. Rozwijająca się przerywana linia przecięła Indonezję i Zatokę Tajlandzką, po czym wjechała do Kambodży.

Jennings postukał w jedno z miejsc, przez które przebiegała linia.

– Angkor.

Dyrektor się wyprostował.

– Chcesz powiedzieć, że...

– To raczej niezwykły zbieg okoliczności, prawda?

Painter przez długą chwilę wpatrywał się w ekran.

– Jeżeli masz rację, oznacza to, że trop Marca wcale nie kończy się ślepo. Coś tam musi być.

Jennings pokiwał głową.

– Tylko co?

Siem Reap

Godzina 5.32 czasu miejscowego

Vigor po raz kolejny obiecał sobie solennie, że nigdy nie zagra w pokera z Grayem.

Siedzieli w hotelowym barze, o tej porze normalnie zamkniętym, ale Nasser wynajął na ten dzień całe pomieszczenie. Nazwa Elephant Bar wzięła się od dwóch wielkich słoniowych kłów umieszczonych tuż przy wejściu. Wnętrze urządzone rattanowymi meblami obitymi materiałami w zebrze i tygrysie paski.

Gray siedział naprzeciwko Nassera i grał z nim w dziwną grę.

Seichan leżała na kanapie, a Kowalski zajął miejsce przy barze i gapił się na błyszczący jak jubilerska wystawa zestaw butelek. Nie było to jednak zwykłe gapienie się – przez cały czas uważnie obserwował Graya i Nassera w wiszącym na ścianie lustrze.

Więcej nie mógł zrobić.

Ludzie Nassera pilnowali wszystkich wejść i rozstawili się wzdłuż obu dłuższych ścian.

Kiedy Nasser odkładał złote paitzu na stolik, rozległo się ciche szcęknięcie. Przed rozpoczęciem rozmowy o metodach leczenia chciał sprawdzić, czy rzeczywiście ruiny starożytnego miasta Angkor były miejscem, w którym Marco Polo miał pierwszy kontakt z wirusem Judasza. Gray po kolei wszystko mu wyjaśnił – tak, jak wcześniej im wszystkim na pokładzie hydroplanu.

Vigor stał przy stoliku i wpatrywał się w kartki z anielskim pismem, mapą gwiazdną oraz planem ruin. Chciał odtworzyć tok myśli komandora, który pozwolił mu rozwikłać tę zagadkę.

Gdy Gray skończył, Nasser opadł plecami na oparcie fotela.

– A lekarstwo? – zapytał.

Vigor zerknął na niego ukradkiem. Podczas lotu Gray powiedział im, jak interpretuje ostatnią część historii Marca Polo: zaszczepienie poprzez kanibalizm. Było to intrygujące, ale nadal nie ujawniało metody leczenia.

Gdy przesiadali się w Bangkoku, próbował namówić Vigora, aby nie leciał z nimi.

– To zbyt niebezpieczne. Wracaj do Włoch.

Jednak monsignore odmówił. Nawet pomijając fakt, że Nasser kazał im wszystkim przylecieć do Kambodży, miał swoje powody, aby uczestniczyć w dalszych poszukiwaniach. Gdzieś wśród tych ruin zniknął brat Agreeer, poświęcając się dla Marca Polo i jego ludzi, i Vigor bardzo chciał się dowiedzieć, jaki los go spotkał. Miał zresztą jeszcze inny argument.

– Tubylcy, którzy zaoferowali Marcowi Polo lekarstwo, musieli dostrzec w bracie Agreeerze coś szczególnego... – powiedział. – Czemu wybrali właśnie jego? Jeżeli w miejscu, do którego go zabrali, znajduje się odpowiedź na nasze pytania, może przyda się wam kolejny duchowny?

W końcu Gray niechętnie zgodził się na jego dalszy udział w wyprawie.

Ostatniego powodu swojego uporu Vigor nie wymienił. Chodziło o desperację, jaką dostrzegł w oczach komandora. Kiedy Gray zaczął wykladać ostatnie karty, zrobił się zuchwały. Wszedł w pułapkę bez przygotowania strategii zabezpieczającej. Całkowicie oddał swój los w ręce Paintera Crowe'a, ufając, że dyrektor Sigmy wymyśli jakiś sposób uwolnienia jego rodziców i oswobodzenia mu rąk.

Czy był w odpowiedniej formie, aby prowadzić tę grę? Wyglądał, jakby jego błyskotliwy umysł nieco się

stąpił.

– Lek – powtórzył Nasser. – Powiedz, co wiesz na temat leku.

Gray sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego. Nie miał ani kropli potu na czole.

– Podam ci numer skrytki na lotnisku w Bangkoku – oświadczył. – Powiem ci, gdzie znajdziesz klucz, który potwierdzi to, co zamierzam powiedzieć. Schowaliśmy w tej skrytce trzeci i ostatni zwoj. Marco Polo opisuje w nim sposób leczenia, który składa się z dwóch etapów... O pierwszym opowiem ci za darmo.

Nasser przesunął się na fotelu i zmrużył jedno oko.

– Kiedy skończę, na znak dobrej woli wypuścisz jedno z moich rodziców. Oczekuję wiarygodnego potwierdzenia. Jeśli mnie przekonasz, podam ci numer skrytki i zdradzę, gdzie jest klucz do niej. Wtedy będziesz mógł zweryfikować to, co powiedziałem. Czy to ci wystarczy?

– Zależy od tego, co usłyszę.

Gray wpatrywał się w niego bez mrugnięcia okiem, ale Vigor doskonale wiedział, że to jedynie taktyka opóźniająca. Co prawda zwoj rzeczywiście znajdował się w skrytce na lotnisku w Bangkoku, jednak nie było w nim mowy o żadnym drugim etapie leczenia.

Gray westchnął.

– To, co Marco Polo zapisał na trzecim zwoju, brzmi następująco...

Zaczął mówić, a Vigor – słuchając go tylko jednym uchem – nie spuszczał oka z leżących na stole dokumentów. Gray trzymał się prawdy, bo zdawał sobie sprawę, że więcej czasu może kupić faktami niż kłamstwami. Kiedy skończy, Nasser będzie musiał

podzwonić, zorganizować zabranie zwoju ze skrytki i przetłumaczenie go, co mu zajmie nieco czasu. Zwój potwierdzi słowa Graya i wtedy Nasser łatwiej kupi resztę. A jeśli nawet końcowe kłamstwa nie okażą się przekonujące, może zostanie uratowane któreś z jego rodziców.

– Jak widać, kanibalizm posłużył jako szczepienie przeciwko chorobie – dodał. – Ze szczegółami zaczekamy, aż będę pewien, że jedno z moich rodziców jest bezpieczne.

Nasser zastanawiał się przez chwilę.

– A więc potrzebujemy jedynie kogoś, kto przeżył kontakt z wirusem Judasza – stwierdził w końcu. – Stworzymy szczepionkę z jego przeciwciał.

Gray nic na to nie odpowiedział, jedynie wzruszył ramionami. Dalsze informacje muszą poczekać na ujawnienie do momentu uwolnienia jednego z rodziców.

Nasser westchnął, wyjął z kieszeni telefon, otworzył go i wcisnął jakiś klawisz.

– Annishen... wybierz jednego zakładnika.

Słuchał przez chwilę, po czym powiedział:

– Rozumiem... dobrze. Zabij.

Godzina 5.45

Gray skoczył do przodu.

Nie miał żadnego planu awaryjnego, zareagował instynktownie.

Nasser musiał dać znak któremuś ze swoich ludzi, bo niemal w tym samym momencie Graya uderzono czymś twardym w potylicę. Błysnęło mu przed oczami, a potem wszystko pociemniało. Zwalił się na stolik i stoczył na podłogę.

Celowało w niego pięć karabinów.

Kolejne lufy skierowano na Kowalskiego i Seichan.

Vigor stał nieruchomo ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– Annishen, zaczekaj chwilę – rzucił Nasser do telefonu, po czym zasłonił mikrofon dłonią. – Myślę, że to już koniec, komandorze Pierce. Ostatni zwój Marca Polo potwierdza jedynie to, co przekazali mi nasi ludzie z Indonezji. Zespół naukowy doszedł do tego samego wniosku. Potencjalne lekarstwo znajduje się w organizmie osoby wyleczonej. Kogoś, kto świeci... tak określono to w tym przekazie.

Gray pokręcił głową. Nie po to jednak, by zaprzeczyć – krew dudniła mu w uszach i niewiele słyszał. Rozumiał jedynie, że jego plan nie wypalił.

– Wygląda na to, że ścieżka historyczna zatoczyła koło i wróciła do ścieżki naukowej – dodał Nasser. – To koniec drogi. Nie tylko dla nas, ale także dla ciebie oraz dla twojego ojca i matki.

– Dość tego! – rzucił Vigor autorytatywnym tonem.

Wszyscy skierowali na niego wzrok.

– Robisz zbyt wiele założeń, młody człowieku – powiedział, patrząc na Nassera. – Założeń, które nie przyniosą niczego dobrego ani tobie, ani ludziom, z którymi jesteś związany.

– To znaczy, monsignore? – zapytał Nasser.

– Chodzi o lekarstwo. Czy wasi naukowcy je przebadali? – Vigor przerwał na chwilę i pokręcił głową.
– Obawiam się, że nie. Wszystko, co masz, to tylko przypuszczenia nieco wspierane przez opowieść Marca Polo. Daleko jednak temu do pewności. Z przykrością muszę także stwierdzić, że nie da się utrzymać twierdzenia, jakoby ścieżka historyczna się skończyła. Być może połączyła się ze ścieżką naukową, ale moim zdaniem trafniejszym stwierdzeniem byłoby, że obie te ścieżki tylko na chwilę się zeszły. Nie spiesz się z odrzucaniem historii. Marsz po ścieżce historycznej nadal trwa.

Gray próbował analizować jego słowa. Kłamał, blefował czy mówił prawdę?

Nasser westchnął. Najwyraźniej również się nad tym zastanawiał.

– Doceniam pańskie wysiłki, monsignore, ale nie widzę tu niczego, co wymagałoby dalszego zbadania.

– Przy takim podejściu nigdy nie awansujesz wyżej w hierarchii Gildii, Amenie – wtrąciła Seichan. – Zawsze zwalasz odpowiedzialność na innych. Proponuję, abyś wysłuchał monsignore do końca.

W oczach Nassera błysnęła wściekłość, ale popatrzył na Vigora.

– Mapa Marca Polo wskazuje ruiny i kończy się właśnie tutaj – powiedział.

Vigor pochylił się i podniósł kartkę z mapą.

– Cały ten teren obejmuje ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych. Twoim zdaniem to koniec?

Nasser zmrużył oczy.

– Proponuje pan, żebyśmy przeszukali cały teren? Po co? Przecież mamy już lek.

Vigor pokręcił głową.

– Nie ma potrzeby przeszukiwania całego kompleksu. Marco Polo wskazał nam miejsce.

Nasser z wściekłością odwrócił się do Graya, ale monsignore szybko wszedł między nich.

– Komandor Pierce niczego nie ukrył... po prostu o tym nie wiedział.

– Przysięgnij.

Vigor pochylił głowę.

– Przysięgam. Powiem ci wszystko, co wiem, jeżeli dasz słowo, że pozwolisz żyć rodzicom komandora Pierce'a.

Rysy Nassera stwardniały. Najwyraźniej coś podejrzewał.

Vigor uniósł dłoń.

– Nie proszę cię o to, abyś ich uwolnił, chcę jedynie, żebyś mnie wysłuchał... wtedy zrozumiesz, że powinieneś podążać ścieżką historyczną do samego końca.

W postawie Nassera dało się wyczuć wahanie.

– Przejdź ścieżką historyczną do końca i dopiero wtedy podejmij decyzję co do losu państwa Pierce'ów i naszego – dodał po chwili Vigor. – Bez sensu byłoby pozbywać się zakładników przed dowiedzeniem się, co znajduje się na prawdziwym końcu ścieżki.

Nasser opadł na fotel.

– Więc proszę mi pokazać, gdzie jest ten prawdziwy koniec. Proszę mnie przekonać, monsignore.

– Czy jeżeli to zrobię, zachowasz rodziców Graya przy życiu?

Nasser machnął ręką.

– Na razie. Jeśli jednak okaże się, że monsignore kłamie...

– Nie kłamie – zapewnił go Vigor i przykląkł.

Gray zrobił to samo.

Monsignore przysunął się do trzech leżących na stoliku kartek: mapy kompleksu świątyń Angkor, transkryptu napisu z obelisku i kopii ułożonych obok siebie symboli ze złotych kluczy. Wziął do ręki transkrypt.

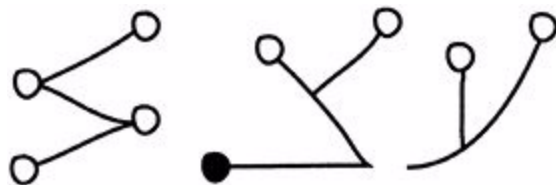


– Jak wyjaśnił nam komandor Pierce, znaki diakrytyczne, czyli zaczernione kółeczka, reprezentują świątynie tworzące kompleks.

Nasser kiwnął głową.

– A tu mamy symbole z trzech kluczy – mówił dalej Vigor. – Proszę porównać je z symbolami z obelisku... to

te obwiedzione czarną linią. Czym się od siebie różnią?



Nasser i Gray pochylił się nad kartkami.

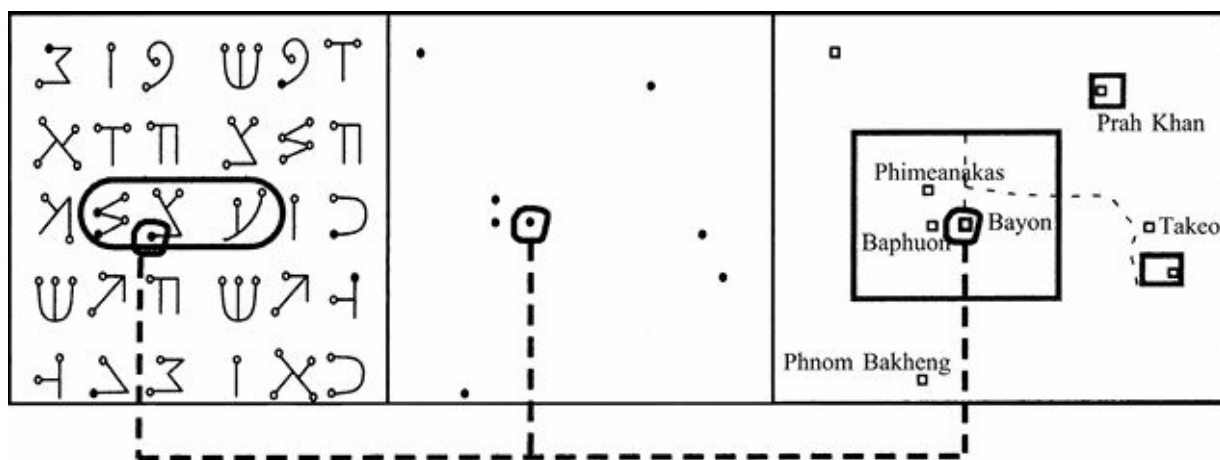
– Na obelisku są trzy zaczernione kółeczka – powiedział Nasser.

– Te kółeczka oznaczają trzy świątynie – odparł Vigor.

– A ile jest zaczernionych kółeczek na symbolach pochodzących z kluczy?

– Tylko jedno – odparł Gray. Teraz i on zrozumiał swój błąd. Był tak pewny rozwiązania zagadki, iż przestał patrzeć krok dalej. – Jedna świątynia. Kółeczko reprezentuje nie tylko portugalski zamek, ale także ruiny w Angkorze!

Przysunął do siebie mapę i zaznaczył świątynię.



Nasser pochylił się jeszcze niżej, aby odczytać jej nazwę.

– Bayon... – Opadł z powrotem na oparcie. – Skąd pewność, że jest tam coś ważnego?

– To ostatnia świątynia wybudowana w tym kompleksie – odparł Vigor. – Powstała mniej więcej w tym samym czasie, kiedy był tu Marco Polo. Może to dość dziwne, ale kiedy skończono ją budować, zakończono również wszystkie inne prace budowlane w okolicy.

– Ale co tam jest?

– Nie mam pojęcia. – Monsignore wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie źródło wirusa Judasza, a może odpowiedź na jakieś inne pytanie. Wiem tylko tyle, że dla Marca Polo to coś było na tyle ważne, iż uznał informację o tym za godną zachowania. Nawet jeśli się mylę, czemu mamy zatrzymywać się kilka kroków przed końcem tropu?

Nasser rozejrzał się po sali.

Kiedy Seichan to zauważyła, zadrżała.

– Amenie, możemy tam być za pół godziny. Warto chyba spróbować.

– Marco Polo zadał sobie sporo trudu, aby zachować informację o lokalizacji świątyni – dodał Vigor. – Watykańscy mistycy z nie mniejszym trudem zapisali to anielskim kodem. Miejscowi uważają, że świątynia kryje w sobie wiele skarbów. Warto to sprawdzić.

Kowalski uniósł rękę.

– A ja muszę się odlać. Natychmiast.

Nasser zmarszczył czoło, ale widać było, że podjął już decyzję.

– Dobrze, pojedziemy do Bayon, jednak jeśli do południa nic nie znajdziemy, wracamy. – Przyłożył telefon do ucha. – Annishen? Wstrzymaj egzekucję.

Gray sięgnął pod stół i z wdzięcznością ścisnął kolano swojego towarzysza.

Vigor popatrzył na niego z miną, która wyraźnie mówiła: „Jeszcze nie stoimy suchą nogą na brzegu”.

– Annishen, tak jak obiecałem monsignore Vigorowi, zachowamy przy życiu tego z rodziców komandora, którego wybrałaś, ale w dalszym ciągu potrzebujemy czegoś, co zachęci go do szczerzej współpracy z nami – powiedział Nasser. – Za każdą godzinę bez zadowalających wyników obcinaj jeden palec któremuś z nich. Ponieważ z powodu nieudolnego blefowania komandora straciliśmy ponad godzinę, pierwszy możesz obciąć już teraz.

Zatrzasnął telefon.

Gray dobrze wiedział, że milczenie byłoby bezpieczniejsze, ale słowa wymknęły mu się, zanim zdążył je powstrzymać:

– Zabiję cię, draniu...

Nasser odwrócił się jakby nigdy nic.

– Chce pan wiedzieć, od kogo Annishen postanowiła zacząć, komandorze? Od pańskiej matki.

Waszyngton

Godzina 18.55 czasu miejscowego

Kiedy zerwano jej z głowy kaptur, Harriet od razu wyczuła, że coś jest źle, bardzo źle.

Wyciągnięto ją z szafy, w której była przetrzymywana, i kazano usiąść na metalowym

krześle. Znajdowali się w starym, nieużywanym magazynie. Ogromna hala miała podłogę i ściany z nagiego betonu. Po suficie biegły stalowe rury, a z pordzewiałych wielokrążków zwisały łańcuchy. W powietrzu unosił się odór oleju napędowego i spalonej gumy.

Rozejrzała się.

Magazyn nie miał okien. Jedynym źródłem światła było parę żarówek wycinających w mroku jasne jeziora. Przy jednej ze ścian znajdowały się stalowe schody, za którymi widać było otwartą kabinę windy towarowej.

Metr w lewo – oparta o stół – stała Annishen z przyciśniętym do ucha telefonem komórkowym. Na stole leżał pistolet, a obok niego nożyce do przecinania prętów i mała lampa lutownicza.

Ciemną halę patrolowało trzech ludzi.

Naprzeciwko Harriet na takim samym krzeselku siedział Jack. Podobnie jak ją, skuto go kajdankami, pilnował go także wartownik z pistoletem w kaburze. Ale Jack nie stanowił zagrożenia – jego głowa zwisała bezwładnie, a z kącika ust spływała strużka śliny. Był bez spodni, z przodu bokserki miał wielką ciemną plamę. Nie wytrzymał i zsiąkł się w spodnie. Lewa noga od kolana w dół odcinała się kolorem od reszty. Była to proteza. Wypadek sprzed lat zabrał mu dużą część męskiej dumy, a choroba dokonała reszty.

Zresztą nie tylko choroba.

Tabletki, których nie dostał, ciążyły Harriet jak wyrzut sumienia.

Do jej oczu napłynęły łzy.

Annishen zakończyła rozmowę, po czym popatrzyła na Harriet i dała znak jednemu ze strażników.

– Rozkujcie ją.

Harriet uniosła dłonie, aby wartownikowi łatwiej było otworzyć kajdanki. Po chwili spadły jej z nadgarstków. Pomasowała je.

Co oni chcą z nią zrobić?

Na sygnał Annishen jeden z wartowników złapał ją za rękę i pociągnął w stronę stolika. Głośny zgrzyt metalowego krzeselka o beton obudził Jacka.

– Harriet... – wymamrotał. – Co się stało?

– Wszystko w porządku, kochanie – odparła. – Śpij dalej.

Annishen podeszła do Jacka.

– Dość się już naspiał. Pigułki, które mu dałaś, wreszcie zaczęły działać, ale teraz powinien na coś popatrzeć. – Ujęła go dłonią pod brodę i podniosła mu głowę. – Przytrzymaj go tak – poleciała wartownikowi.

Jack nie próbował się bronić.

Annishen wróciła do stołu, wycierając o spodnie dłoń, którą jej zaślinił. Skinęła głową strażnikowi, stojącemu obok Harriet. Mężczyzna wyciągnął rękę, złapał ją za lewe przedramię i przycisnął nadgarstek do blatu.

Harriet odruchowo szarpnęła ciałem do tyłu, ale strażnik pociągnął jeszcze mocniej, aż jej pacha zatrzymała się na krawędzi stołu. Czowała na policzku ucisk zimnej lufy pistoletu trzymanego przez trzeciego wartownika.

– Wygląda na to, że będziemy musieli udzielić pani synowi małej lekcji, pani Pierce – oświadczyła Annishen.

Wzięła do ręki lutownicę i nacisnęła przycisk zapalarki. Rozległ się głośny syk i z wylotu wystrzelił błękitny płomień. Odłożyła lutownicę na stół.

– Przyda się do kauteryzacji kikuta – wyjaśniła.

– Co... co zamierzacie zrobić?

Annishen wzięła do ręki nożyce do prętów i rozsunęła ostrza narzędzia.

– Który palec obcinamy pierwszy?

Kambodża

Godzina 6.01 czasu miejscowego

Gray siedział z tyłu białej furgonetki z Seichan przyciśniętą do boku. Z obu stron napierali na nich strażnicy. Nasser, otoczony przez pozostałych wartowników, przyglądał im się z przedniej kanapy.

Kowalski i Vigor jechali w pojeździe za nimi, a z przodu i z tyłu eskortowały ich kolejne dwie furgonetki wiozące ubranych w mundury khaki żołnierzy.

Nasser zorganizował wszystko tak, aby nie groziło mu nawet najmniejsze ryzyko.

Za oknami z mgły powoli wysuwały się wieże Angkor Wat – pięć potężnych budowli kształtem przypominających kolby kukurydzy, oświetlanych pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Angkor Wat to jedna z wielu świątyń rozrzuconych na dwustu pięćdziesięciu kilometrach kwadratowych ruin. Jest z nich wszystkich największa, najlepiej zachowana

i uważa się ją za ikonę Kambodży. Tworzy ją istny labirynt sal, ścian, ząbkowanych wież, płaskorzeźb i rzeźb. Zajmuje dwieście hektarów terenu i jest otoczona szeroką fosą.

Nie ona jednak była ich celem.

Jechali do Angkor Thom, kompleksu położonego półtora kilometra na północ. Jest on mniejszy od Angkor Wat, ale w otoczonych murem ruinach Thom znajduje się świątynia Bayon uważana za serce starożytnego miasta Angkor.

Podskoczyli na kamieniu i cała furgonetka zadygotała.

Gray zobaczył swoje odbicie w lusterku wstecznym – miał szare, zapadnięte policzki, spękane wargi i szczecinę na szczęce i podbródki, która wyglądała jak wielki siniak. Tylko oczy płonęły gorączkowym ogniem podsycanym złością i pragnieniem zemsty.

Seichan wyczuła, że jej towarzysz za chwilę może się zsunąć w otchłań odrętwiałej rozpacz, i złapała go za rękę. Nie był to jednak serdeczny, pocieszający uścisk – wbiła mu paznokcie w skórę, aby się jej nie wyślizgnął, próbując ściągnąć go z krawędzi przepaści.

Nasser zauważył to i wokół jego ust pojawił się cień ironicznego uśmiechu, ale zaraz zniknął.

– Sądziłem, że jesteś trochę sprytniejszy, komandorze – powiedział. – Już cię usidliła?

Gray usiłował skupić na nim wzrok.

– Zamknij się – warknął.

Nasser parsknął śmiechem.

– Nie? Szkoda. Jeśli już ma się przejebane, warto mieć z tego przynajmniej trochę przyjemności.

Seichan puściła dłoń Graya.

– Pieprzę cię, Amen.

– Już nie. Od chwili, gdy wykopałem cię ze swojego łóżka. – Nasser z rozbawieniem spojrział na Graya. – Wiedziałaś, że byliśmy kochankami?

Gray kątem oka zerknął na Seichan. Ten drań na pewno kłamał. Jak mogłaby... z człowiekiem, który kazał torturować jego matkę? Myśl o matce sprawiła, że poczuł ból.

Seichan nie patrzyła na niego – wbijała wzrok w Nassera. Jej dłoń, którą trzymała na kolanie, zwinęła się w pięść.

– Skończyło się jednak – dodał Nasser. – Ta dziwka jest zbyt ambitna. Rywalizowaliśmy ze sobą o awans w hierarchii Gildii, o pokonanie ostatniego stopnia w drodze na szczyt. Różniliśmy się jednak opiniami w pewnych sprawach. Na przykład na temat tego, jak zdobyć ciebie...

Gray przełknął ślinę.

– O czym ty mówisz?

– Seichan postanowiła użyć swoich sztuczek, abyś z własnej woli zechciał współpracować z Gildią i pomógł nam podążyć tropem Marca Polo. Ja wolałem bardziej bezpośrednio podejście. Krew i przymus. Po męsku. Kiedy Gildia nie zgodziła się na jej plan, Seichan wzięła sprawy w swoje ręce. Zamordowała kuratora muzeum w Wenecji, ukradła obelisk i uciekła do Stanów Zjednoczonych.

Seichan skrzyżowała ramiona i popatrzyła na niego z niesmakiem.

– Jesteś wkurzony, że pierwsza zdobyłam nagrodę. Ponownie.

Ukazywało ją to w zupełnie nowym świetle. Ta wcześniejsza przemowa o ocaleniu świata... czy to wszystko mogło być kłamstwem?

– Pojechałem więc za nią – mówił dalej Nasser, ignorując jej słowa. – Wiedziałem, dokąd się uda. Zastawienie pułapki było dziecinnie proste.

– Ale oczywiście nie udało ci się mnie zabić – parsknęła. – Po raz kolejny udowodniłeś swoją niekompetencję.

Nasser wzruszył ramionami.

– Chybiłem o milimetry. A ty w dalszym ciągu trzymasz się swojej strategii, co? Znowu wybrałaś sobie komandora Pierce'a, choć tym razem na sojusznika. Uratował cię, więc sądzisz, że teraz tworzycie parę: ty i on przeciwko całemu światu! – Roześmiał się chrapliwie. – Ale może tylko się nim bawisz?

Chciała coś odpowiedzieć, jednak on odwrócił się już do Graya.

– Jest nie tylko przesadnie ambitna, lecz także bezlitosna. Aby pokonać kolejny stopień w hierarchii, wspięłaby się nawet po trupie własnej babci.

Seichan pochyliła się do przodu. Jej oczy płonęły.

– Nie klęczałam bez słowa, kiedy mordowano moją matkę.

Twarz Nassera stężała.

– Jesteś tchórzem! – syknęła Seichan i opadła na oparcie fotela. – Nawet jak zabijałeś ojca, zrobiłeś to, kiedy był do ciebie odwrócony plecami. Nie umiałeś spojrzeć mu w oczy.

Nasser skoczył na nią, próbując złapać ją za gardło.

Gray odtrącił jego rękę w bok.

Może nie powinien był tego robić...

Nasser się cofnął. Jego oczy przepęłniała nienawiść.

– Warto wiedzieć, z kim idzie się do łóżka – powiedział ponuro do Graya. – Trzeba też uważać, co się tej dziwce mówi.

Przeciwnicy rozeszli się do narożników.

Gray obserwował Seichan i zastanawiał się, czemu ani razu nie zaprzeczyła słowom Nassera. Próbował analizować na nowo wydarzenia minionych dni, ale miał kłopoty z koncentracją i nie bardzo mu to wychodziło.

Trudno było jednak zaprzeczyć faktom. Aby zdobyć obelisk, Seichan rzeczywiście zamordowała weneckiego kuratora. Z zimną krwią. Kiedy rok temu spotkali się po raz pierwszy, jego także próbowała zabić.

W głowie odbijały mu się echem słowa Nassera:

„Warto wiedzieć, z kim idzie się do łóżka”.

Prawda była taka, że teraz już nie miał pojęcia, komu może ufać.

Jedno wiedział na pewno: od tego momentu nie ma już miejsca na pomyłki.

Każdy następny błąd będzie kosztował nie tylko jego życie.

Waszyngton

Godzina 19.05 czasu miejscowego

Harriet próbowała się uwolnić, pochlipując jednocześnie z przerażenia.

– Proszę, nie...

Nadgarstek miała unieruchomiony niczym w imadle w ręce wartownika, a dłoń była rozplaszczona przez jego pięść. Płomień lampy lutowniczej syczał kilka centymetrów dalej.

Annishen trzymała szeroko rozwarte ostrza nożyc do prętów tuż nad dłonią Harriet.

– Ene, due, rike, fake...

Skierowała ostrza w stronę palca serdecznego. Brylant na obrączce ślubnej Harriet migotał pod nagą żarówką.

– Nie...

Nagle rozległ się głośny trzask, który zaskoczył wszystkich.

Harriet podniosła głowę, a Annishen wyprostowała się gwałtownie. Stojący dwa metry dalej strażnik, który trzymał Jacka za głowę, zmuszając go do oglądania makabrycznego spektaklu, wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Z jego nosa leciała krew.

Jack poderwał się z krzesła, jednocześnie odwracając się od strażnika, którego właśnie huknął „z byka” w nos, i wyszarpnął mu broń z kabury.

– Harriet! Na podłogę! – krzyknął i zaraz potem strzelił.

Strażnik, który trzymał pistolet przy policzku Harriet, został trafiony w klatkę piersiową. Impet rzucił go do tyłu, a jego pistolet pomknął po podłodze w ciemność.

Drugi strażnik puścił rękę Harriet i sięgnął po broń.

BANG!

Harriet kątem oka dostrzegła, jak jego policzek i ucho znikają w chmurze krwi i mózgu. Całą uwagę skupiała na Annishen, która zdążyła już wypuścić z rąk nożyce do

prętów, chwyciła leżący na stole pistolet i błyskawicznie odwróciła się do Jacka.

Harriet złapała lampę lutowniczą i przejechała płomieniem po dłoni i przegubie swojej dręczycielki. Annishen wrzasnęła z bólu, a jej broń wystrzeliła. Pocisk uderzył w betonową podłogę i odbił się od niej. Kiedy zapalił się rękaw ubrania Eurazjatki, wypuściła pistolet z ręki i odskoczyła do tyłu.

Jack ponownie strzelił, ale ból jedynie przyspieszył reakcje Annishen

Kopnięciem przewróciła stół i ciągnąc za sobą wąski płomień, uciekła przez tylne drzwi.

Jack strzelił jeszcze dwa razy, aby zniechęcić ją do powrotu, i ruszył do Harriet. Podniósł ją, objął czule i szybkim krokiem zaczęli iść w stronę schodów.

– Musimy się stąd jak najszybciej wydostać – wysapała Harriet. – Strzały...

– Winda towarowa – powiedział.

Podbiegli do otwartej kabiny. Choć Jack mocno kuśtykał, nie opóźniało to ich. Gdy tylko znaleźli się w środku, natychmiast zasunął drzwi i wcisnął przycisk piątego piętra. Było to drugie piętro od góry.

– Najwyższe piętro obstawili wartownikami. Pójdziemy dalej schodami i poszukamy wyjścia pożarowego... telefonu... albo jakiegoś miejsca, w którym będziemy mogli się schować.

Kiedy winda wjeżdżała na górę, pociągnął Harriet w najodleglejszy kąt kabiny. Gdy mijali parter, usłyszeli krzyki. W ciemnościach podskakiwały światła latarek. Było tam przynajmniej dwudziestu ludzi. Musieli znaleźć inną drogę ucieczki albo jakiś sposób wezwania

pomocy. Jeżeli nie uda im się jedno ani drugie, ukryją się gdzieś.

Winda powoli wspinała się w górę.

Jack mocno obejmował żonę.

– W jaki sposób... przecież byłeś tak bardzo...

– Odjechany? – Pokręcił głową. – Boże, Harriet, naprawdę sądzisz, że ze mną jest już tak źle? Wiem, że miałem zły moment w hotelu. Przepraszam, że cię wtedy uderzyłem... – dodał załamującym się głosem.

Przytuliła się do niego, przyjmując przeprosiny.

– Gdy potraktowali cię taserem, wydawało mi się, że twój stan się pogorszył – powiedziała. – Dzięki Bogu...

– Bolało jak jasna cholera, jednak kiedy zauważyłem, że specjalnie nie dajesz mi lekarstwa, pomyślałem, że chyba powinienem odegrać małe przedstawienie i może wtedy stracą czujność.

– Więc przez cały czas udawałeś?

– Tak... ale naprawdę się zlałem – burknął ze złością.

– Nie chcieli mnie zabrać do kibla.

W końcu winda stanęła. Kiedy z niej wyszli, Jack posłał ją do piwnicy.

– Żeby nie wiedzieli, gdzie wysiedliśmy – wyjaśnił.

Ruszyli w ciemność. W wielkim pomieszczeniu stało mnóstwo starych maszyn,

– Powinno tu być dużo kryjówek – stwierdził Jack.

Gdzieś z dołu doleciał jakiś nowy dźwięk.

Było to podniecone, zażarte szczekanie.

– Mają psy... – jęknęła Harriet.

Demony głębin

Wyspa Pusat

7 lipca, godzina 4.45 czasu miejscowego

Przejście po sieci zajęło im zbyt wiele czasu.

Gdy Monk i jego armia pełzli po dachu atolu, epicentrum burzy minęło wyspę. Na wschodzie piętrzyła się czarna, sięgająca nieba ściana chmur.

Wiatr wciąż się nasilał.

Monk czepiał się desek na trzepoczącej wściekle sieci, aż z wysiłku pobielwały mu kostki dłoni. Grzmoty eksplodowały z siłą armatnich wystrzałów, błyskawice rozświetlały niebo zygzakami. Kiedy chmury się rozstały, gwałtownymi uderzeniami zaczął go smagać deszcz.

Spojrzał w dół.

Unosząca się na wodzie Mistress of the Seas jaśniała zapraszająco.

Zrzucone z sieci liny opadły nad lądowiskiem helikopterów na pokładzie słonecznym. Ale helikoptery odleciały, zanim statek wpłynął do laguny.

Pozostawała więc tylko łódź Rydera.

Po chwili spadły kolejne liny i zaczęły kiwać się na wietrze.

Pełznący przed Monkiem Jessie zaczął wykrzykiwać po malajsku jakieś rozkazy. Był oddalony od Monka jedynie o trzydzieści metrów, ale wiatr zagłuszał większość jego słów. Usiadł na sieci, mocno oplatając ją nogami, machał rękami i pokazywał na statek.

Trzech znajdujących się najbliżej tubylców zanurkowało głowami pod spód sieci. Monk zajrzał tam. Cała trójka trzymała się lin i zjeżdżała w dół.

Kiedy kolejni tubylcy zaczęli spuszczać się po linach, Monk popęzł dalej. Dotarł do Jessiego w chwili, gdy linę złapał Ryder.

Nietrudno było zrozumieć jego pośpiech.

W przeciwną stronę sieci uderzyła błyskawica i po metalowej konstrukcji pomknęły błękitne ogniki – na szczęście rozpląły się, zanim zdążyły dotrzeć do tubylczej armii. W powietrzu rozszedł się zapach ozonu.

– Trzymać się z daleka od metalu! – wrzasnął Monk.

Po sekundzie był przy Jessiem.

– Schodź! – polecił mu.

Chłopak kiwnął głową. Kiedy zsuwał się z mostku, w wyspę uderzył sztorm. Młody pielęgniarz został trafiony podmuchem wiatru i zepchnięty z mostka. Stoczył się na luźniejsze miejsce w sieci i przeleciał przez nią.

Monk błyskawicznie wyciągnął rękę i złapał go za kostkę. Protetyczna dłoń zacisnęła się na niej mocno, a bark Monka eksplodował bólem. Chłopak zwisał głową w dół i wyrzucał z siebie litanie przekleństw.

– Lina! – wrzasnął do niego Monk.

Ale najbliższa lina była oddalona od Jessiego o trzy metry.

Monk zaczął bujać nim jak wahadłem. Chłopak natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i jak najdalej wyciągnął ręce. Zabrakło mu niecałe pół metra.

– Rzucę cię! – krzyknął Monk.

– Co?! Nie! – zaprotestował Jessie.

Nie mieli jednak wyboru.

Kiedy Monk się zamachnął, jego bark znowu zapłonął z bólu.

– Jazda! – krzyknął, wyrzucając pielęgniarza w stronę liny.

Jessie wpadł na mokry sznur i próbował go chwycić. Osuwał się, spadał i machał kończynami jak wściekła małpa. W końcu udało mu się owinąć linę wokół nogi i jednocześnie złapać ją ręką. Po chwili przycisnął całe ciało do liny i przytulił do niej policzek jak kochanek.

Monk wrócił na mostek i zaczął pełznąć w stronę wiązki lin. Wiatr szarpał nim wściekle. Za jego plecami strzelił następny piorun.

Rozpłaszczył się jak żaba i przez ramię spojrzął na sieć, która w miejscu uderzenia błyskawicy podskoczyła jak trampolina. Część desek oderwała się i zapaliła, a impet uderzenia wystrzelił je w powietrze. Jeden z tubylców pofrunął w górę, machając rękami jak wiatrak, ale po chwili bezpiecznie wylądował między pobratymcami.

Monk złapał najbliższą linę i ruszył w dół.

Po kilku sekundach znalazł się na smaganym deszczem lądowisku helikopterów.

Tuż za nim spuszczała się reszta armii.

Nisko pochylony Monk pobiegł do schodów, którymi schodziło się z lądowiska. Jessie kierował tubylcami, wskazując to na niego, to na Rydera. Tu właśnie zamierzali się rozdzielić. Monk miał iść po Lisę, a Ryder i Jessie oczyścić drogę i przygotować łódź.

Po chwili ostatni kanibale zjechali na pokład statku.

– Gotowi? – spytał Monk Rydera i Jessiego.

– Jak zawsze – odparł Australijczyk.

Monk powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach oddziału szturmowego uzbrojonego zarówno w siekiery z kości, jak i kałasznikowy. Kolejna błyskawica skąpała przedziwny oddział w białym ogniu. W pomalowanych popiołem twarzach błysnęły oczy.

Monk poczuł, że ogarnia go niepokój, ale postanowił się nim nie przejmować.

To na pewno wina sztormu.

– Znajdźmy Lisę i spadajmy stąd – powiedział.

Godzina 5.02

Lisa została przywiązana do stołu chirurgicznego, który przechylono o czterdzieści pięć stopni, w efekcie czego wisiała na skutych plastikowymi kajdankami nadgarstkach, nie dotykając stopami podłogi. Miała na sobie tylko koszulę szpitalną. Pot przyklejał cienką bawełnę do skóry, a stal stołu ziębiła plecy.

Wisiała tak już od ponad godziny.

Nikogo oprócz niej w pokoju nie było.

Z boku stał mały stolik, na którym ułożono narzędzia stosowane przy sekcji: piły do chrząstek, haki do rozdzielania tkanek, nożyczki, igły, przecinaki kręgosłupa.

Doktor Devesh Patanjali wyjął je z czarnej skórzanej torby, którą przyniosła Surina, i każdy instrument ułożył równo na metalowej tacce. Przy dolnej krawędzi pochylonego stołu wisiało stalowe wiaderko na krew.

Kiedy rozkładał narzędzia, Lisa próbowała go przekonać, że jeszcze może okazać się przydatna. Obiecała, że po złapaniu Susan zrobi wszystko, aby uzyskać z jej krwi i limfy lekarstwo. Czyż nie udowodniła, że potrafi mu pomóc?

Patanjali nadal bez słowa rozkładał narzędzia.

W końcu zaczęła go błagać, aby zrezygnował z tortur, a kiedy odwrócił się do niej plecami, popatrzyła na Surinę. Ale twarz pomocnicy doktora wyglądała jak wykuta w białym marmurze. Jedynym żywszym kolorystycznym akcentem była rubinowa kropka bindi na jej czole przypominająca kroplę krwi.

Zadzwoił telefon i Patanjali odebrał. To, co usłyszał, wyraźnie go podnieciło i zaczął coś szybko mówić po arabsku. Lisa zrozumiała z tego tylko jedno słowo: Angkor. Kiedy rozmowa się skończyła, natychmiast wyszedł. Surina podążyła za nim.

Lisa wisiała na przechylnym stole, nie mając pojęcia, co się dzieje.

Wiedziała jednak, że jej los jest przesądzony.

Wypolerowane instrumenty chirurgiczne błyszcząły złowrogo. Kiedy zmieniała pozycję, przymocowane do stołu wiaderko brzęczało. Niemal z utęsknieniem czekała na powrót Patanjalego, ale kiedy drzwi się

w końcu otworzyły, skuliła się ze strachu. Nie widziała, kto wszedł do pokoju, usłyszała jedynie zgrzyt kółek.

Potem zobaczyła nosze.

Leżał na nich ktoś mały i drobny.

Patanjali tak je przesunął, aby zatrzymały się dokładnie przed Lisą.

– Przepraszam za to małe opóźnienie, doktor Cummings, ale rozmowa telefoniczna zajęła mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Trochę też potrwało, zanim znalazłem odpowiedni obiekt.

– Doktorze... – jęknęła Lisa, patrząc na nosze. – Proszę, tylko nie...

Patanjali pochylił się nad narzędziami. Nie miał na sobie marynarki, na koszulę zarzucił biały kitel.

– Na czym to skończyliśmy naszą rozmowę? – zapytał.

Obok niego stanęła Surina. W jej oczach migotał płomień złości.

– Ma pani rację, doktor Cummings – powiedział po chwili Patanjali. – Kiedy będziemy kończyć badania, pani opinia może okazać się bardzo przydatna, teraz jednak należy się pani kara. Ktoś musi zapłacić daninę krwi, której nie mogę wziąć od pani.

Lisa bez słowa wpatrywała się w leżące na noszach zakneblowane dziecko.

Była to dziewczynka – ta sama, którą Patanjali chciał zabić jakiś czas temu i której w końcu dał spokój, zamiast niej każąc Surinie zamordować doktora Lindholma. Tym razem jednak nie będzie kozła ofiarnego. Patanjali zamierzał zaszlachtować małą, zmuszając Lisę, by na to patrzyła.

Włożył rękawiczki chirurgiczne i wziął do ręki skalpel.

– Pierwsze cięcie zawsze jest najgorsze – mruknął.

Gdy odwrócił się do dziewczynki, w oddali zaterkotała seria z broni maszynowej.

Doktor znieruchomiał.

Po chwili rozległa się kolejna seria, odbijając się echem na piętrze pod nimi.

– Tylko znowu nie to... – Patanjali westchnął z irytacją. – Nie potrafią utrzymać tych ludzi pod kontrolą?

Rozległy się kolejne strzały.

Patanjali rzucił skalpel na tacę z taką siłą, że wszystkie pozostałe instrumenty zagrzechotały, a skalpel odskoczył od tacy i jego ostrze dziobnęło go w palec. Doktor dotknął skaleczonym czubkiem palca ust, stęknął i ruszył do drzwi.

– Surino, popilnuj naszych pacjentów – rzucił przez ramię. – Zaraz wracam.

Kiedy tylko zatrzasnęły się za nim drzwi, Surina doskoczyła do stolika z narzędziami, złapała skalpel i podeszła do związanego dziecka.

– Nie krzywdź jej! – krzyknęła Lisa.

Surina rzuciła na nią okiem, ale widać było, że obchodzi ją tylko przywiązana do noszy dziewczynka. Uniosła skalpel i machnęła nim kilkakrotnie, przecinając więzy małej, a potem wzięła ją na ręce i ruszyła do wyjścia.

Rozległo się ciche trzaśnięcie drzwi i Lisa znów została sama.

Zmarszczyła czoło. Zachowanie Suriny zdziwiło ją już wtedy, gdy Azjatka chciała dać dziewczynce cukierka.

Jednak kiedy był z nią Patanjali, w jej oczach pojawiał się dziki wyraz upodabniający ją do rozzłoszczonej lwicy. Być może Surina lwica pozwalała sobie czasem na współczucie. A może ratując małą, chciała odkupić inne popełnione przez siebie okrucieństwa.

Tak czy owak – poszła sobie, a wraz z nią zniknął „obiekt”.

Lisa wiedziała, że Patanjali po powrocie wpadnie we wściekłość i właśnie na niej rozładuje swoją frustrację i złość.

Zacząła szarpać więzy. Metalowe wiaderko znowu zabrzęczało.

Strzelanina trwała w dalszym ciągu, odgłosy wystrzałów dochodziły teraz ze wszystkich stron statku. Co tam się działo?

Kolejna seria rozległa się w odległości zaledwie kilku metrów od Lisy – i zaraz po niej dał się słyszeć łoskot tłuczonego szkła. Potem zaczęły padać pojedyncze strzały, którym towarzyszyły wściekłe krzyki.

Nagle drzwi do pomieszczenia otworzyły się z gwałtownym trzaskiem.

Lisa znieruchomiała.

W progu stanęła półnaga postać – pomalowana na czarno, z nosem przebitym kłem dzika i głową ozdobioną pióropuszem. Wojownik trzymał w rękach wielki nóż i miał ręce zakrwawione aż po łokcie.

Lisa przycisnęła się do metalowego stołu.

– Tutaj! – zawołał znajomy głos.

Henri.

Za jej plecami o podłogę załomotały obcasy i po chwili między nadgarstki wsunęło się zimne ostrze. Plastikowe więzy pękły i odpadły. Lisa zsunęła się ze

stołu, ale zanim zwała się na podłogę, podtrzymały ją czyjeś silne ręce.

– Jeśli już odpoczęłaś, to może powiemy temu miłemu miejscu „do widzenia”? – wyszeptał jej w ucho ten, kto ją przytrzymał.

– Monk...

Godzina 5.19

Kiedy dwa pokłady wyżej wybuchła strzelanina, Patanjali od razu wiedział, że sytuacja jest poważna. Odgłosy strzałów dobiegały od strony skrzydła naukowego.

Zatrzymał się w połowie zejścia na dolny pokład otoczony strażnikami. Na deskach pokładu było pełno krwi, ale brakowało ciał.

Po chwili zaczęto strzelać nad nimi.

Patanjali wyprostował się i w tej samej chwili – jakby na dany przez niego znak – na całym statku zawyły syreny alarmowe.

Co się działo?

Na wyższych pokładach zaterkotała broń maszynowa – znowu od strony skrzydła naukowego.

– Z powrotem na górę! – wrzasnął Patanjali i wskazał laską schody.

Wartownicy się odwrócili, ale w tym samym momencie w głębi korytarza ukazała się niska postać – półnaga, ozdobiona piórami i kośćmi, pokryta ciemną farbą.

Kanibal z wyspy.

W dłoniach trzymał karabinek szturmowy.

Dowódca wartowników zaklął.

Zaterkotała następna seria. Pociski trafiły w podłogę i ściany. Jeden z wartowników przewrócił się jak znokautowany bokser. Kiedy zwałił się na podłogę, z jego nosa i ust trysnęła krew. Pozostali strażnicy natychmiast padli i odpowiedzieli ogniem. Somalijski wciągnął Patanjalego za siebie, przyklęknął na jedno kolano i również zaczął się ostrzeliwać.

Ale napastnik zniknął.

Po chwili otworzyły się jedne z drzwi, pojawił się w nich kościany topór, wbił głęboko w czaszkę kolejnego z ludzi Patanjalego i drzwi się zatrzasnęły. Wartownik przepełził metr z tkwiącym w głowie ostrzem, po czym opadł na podłogę i znieruchomiał.

Jeden ze strażników puścił serię w drzwi, bez trudu je rozwalając. Znajdujący się na nich napis informował: TYLKO DLA PERSONELU, co oznaczało, że za nimi jest korytarz, było więc jasne, że zabójca zdążył uciec.

Kolejny kanibal.

A więc statek został zaatakowany.

Z różnych miejsc dolatywały odgłosy potyczek, odbijając się głośnym echem od ścian. Somalijski dowódca stał tuż obok Patanjalego, a pozostali strażnicy rozstawili się wokół niego.

– Panie doktorze, musimy zaprowadzić pana w bezpieczne miejsce – powiedział Somalijski.

– Dokąd?

– Gdzieś poza statkiem. Możemy popłynąć do osady na wyspie. Potem zbiorę stu ludzi i wrócimy, aby oczyścić statek.

Patanjali kiwnął głową. Dopóki sytuacja się nie wyjaśni, opuszczenie statku będzie najlepszym wyjściem.

Somalijski poprowadził wszystkich do schodów. Przez cały czas wyły syreny alarmowe i dzwoniły dzwonki. Zbiegli na dół, mijając cztery ciała – wszyscy zabici byli piratami.

Kiedy doszli do poziomu, na którym znajdowały się łodzie kursujące między statkiem a brzegiem, Patanjali zatrzymał się nagle.

– Tak, panie doktorze?

– Mam tu jeszcze jedną sprawę do załatwienia... – odparł Patanjali.

Postanowił nie opuszczać statku bez odwetu. Wrócił na schody.

Ruszył dalej na dół. Do samych trzewi statku.

Znajdowały się tam pomieszczenia, w których trzymał specjalnych mieszkańców.

Przed opuszczeniem statku zamierzał trochę pomieszać szyki napastnikom. Ogień należy zwalczać ogniem.

Wyspa nie była jedynym miejscem, w którym przebywali kanibale.

Godzina 5.22

Susan siedziała na skraju dżungli i patrzyła na Mistress of the Seas. Po wodzie niosło się wycie syren połączone z przytłumionymi odgłosami wystrzałów.

Atak na statek trwał.

Przestraszona Susan przyciskała dłonie do brzucha i modliła się cicho.

Z lasu wokół niej dobiegały ciche szelesty mokrych liści i plaskanie błota. To jej eskorta zacieśniała krąg, szykując się do obrony królowej. Innych tubylców przyciągała ciekawość – chcieli obejrzeć fajerwerki.

Na plaży leżała dłubanka mająca przewieźć ją na łódź Rydera – jeżeli Ryderowi i Monkowi uda się ją zabrać ze statku.

Susan tak mocno zaciskała dłonie, że bolały ją kostki.
Przypłyńcie...

Godzina 5.23

Owinięty w poncho Maorys czekał w ukryciu i obserwował przez lornetkę noktowizyjną, jak jego ludzie podchodzą coraz bliżej.

Wiedział już, gdzie podziali się pozostali uciekinierzy. Kilka minut temu jeden z piratów dostrzegł jakiś podejrzany ruch na górnym pokładzie statku. Choć sam Rakao niczego podejrzanego tam nie zauważył, domyślił się, czemu miały służyć zwisające z sieci liny.

Zaklął.

Atak z dachu laguny...

Mieszkał na tej wyspie od dziesięciu lat i po serii krwawych potyczek udało mu się zostać przywódcą tutejszych piratów, ale miał większe ambicje. Większe niż porwanie statku i handel niewolnikami. Na

splądrowanie czekał cały świat, a Patanjali mógł go poprowadzić do prawdziwego bogactwa – za pośrednictwem organizacji, w której ceniono i nagradzano bezwzględność i okrucieństwo.

Kiedy się zorientował, że wywiedziono go w pole, wpadł we wściekłość, ale szybko ją pohamował. Nigdy nie osiągnąłby swojej obecnej pozycji, gdyby działał pod wpływem emocji – przypominały o tym języki jego poprzedników, które poprzybijał nad wejściem do swojego domu w wiosce.

Kazał radiooperatorowi cofnąć się trzydzieści metrów od brzegu, skontaktować ze statkiem i ostrzec załogę przed atakiem. Jednak zanim statek odpowiedział, zaczęła się strzelanina i rozdzwoniły alarmy. Ostrzeżenie dotarło zbyt późno.

Mimo to nie opuszczał swojej pozycji.

Jeżeli atak na statek się nie powiedzie, radiooperator poinformuje go o tym. Jeżeli się powiedzie, wiadomo było, dokąd skierują się zwycięzcy.

Główna nagroda siedziała na kamieniu między drzewami.

Czekał i obserwował ją ze skraju dżungli.

Nie spodziewał się zbyt długiego czekania.

Godzina 5.33

Monk zbiegał schodami, a Lisa podążała za nim z dwoma naukowcami z WHO – holenderskim toksykologiem i amerykańskim bakteriologiem.

U stóp schodów w rozlewającej się kałuży krwi leżały splecione ze sobą ciała dwóch piratów. Stojący nieopodal wojownik kanibal dał im znak, aby szli dalej.

Tubylcza armia, krążąca po licznych schodach, korytarzach i pokładach, zapewniała im bezpieczne przejście przez statek.

Tu i ówdzie w dalszym ciągu rozlegały się wystrzały.

W końcu syreny i dzwonki alarmowe ucichły.

Monk poprowadził swoich towarzyszy do głównego korytarza od strony sterburty. Znajdowali się na wysokości linii wodnej. Właśnie tu był hangar z prywatną łodzią Rydera.

Zatrzymał się, głęboko zaczerpnął powietrza i rozejrzał się.

Na tym samym poziomie znajdowały się także łodzie do komunikacji z brzegiem, teatr, punkt opieki nad dziećmi, wypożyczalnia wideo i dyskoteka Midnight Blue.

Łódź Rydera była w okolicy dziobu.

– Tędy! – zakomenderował Monk i skręcił w prawo, ale po chwili zatrzymał się i odwrócił. – Nie, tędy!

Ruszyli za nim, pociągając za sobą sznurek tubylców.

Z przodu dał się dostrzec jakiś ruch – z niższego poziomu wychodzili ludzie w obszarpanych mundurach.

Piraci.

Obie grupy zauważyły się jednocześnie.

Monk pchnął Lisę w niszę przy wejściu do najbliższego pomieszczenia.

– Padnij! – krzyknął.

Poukrywali się w otwartych pokojach i za kolumnami, ale po chwili zaczęli strzelać i torować sobie drogę. Trzech piratów padło, a najwyższy z pozostałych

wepchnął towarzyszącego mu szczupłego mężczyznę z powrotem na schody i sam również za nim pobiegł.

Monk poprowadził kanibali do przodu. Jeden z nich odrzucił dymiący karabin i wziął sobie nowy od zabitego pirata. Inny dwoma palcami ścisnął policzek jednego z trupów. Sprawdzał, czy mięso jest delikatne.

– Człowiek, który uciekł, to Patanjali – powiedziała Lisa, dołączając do Monka i wskazując schody. – Tutejszy szef Gildii.

Monk spojrział w stronę ładowni.

– Chyba zamierza ściągnąć wsparcie – mruknął.

Ta myśl kazała mu przyspieszyć kroku. Nie wiadomo, czy piraci sami nie wezwali już wsparcia.

Korytarz zakręcał, dopasowując się do krzywizny dziobu. Kiedy minęli zakręt, ukazał się przed nimi hangar z łodzią Rydera.

Udało się!

Nagle za ich plecami rozległy się dzikie wrzaski.

Ze schodów na śródkręciu wytoczyło się na korytarz kilkanaście postaci. Machały rękami i walczyły ze sobą. Miały na sobie podarte i brudne szpitalne koszule, z ich pokrytych pęcherzami kończyn sączył się krwisty płyn, a popękane wargi były cofnięte jak u szczerzących zęby wściekłych zwierząt. Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów widać było szaleństwo czające się w ich pokrytych zaschniętą ropą oczach.

– Pacjenci... – szepnęła Lisa, złapała Monka za rękę i pociągnęła go do tyłu. – W stanie psychotycznego pobudzenia katatonicznego. Zaatakują każdego. Patanjali musiał ich wypuścić.

– A to drań! – syknął Monk.

Dał znak, aby reszta grupy przeszła za zakręt i schowała się, a sam podbiegł do otwartych drzwi hangaru. Zza zakrętu doleciały kolejne wrzaski.

Po chwili usłyszeli także tupot stóp biegnących w ich stronę ludzi.

Monk uniósł broń, ale zza zakrętu pierwszy wyłonił się Jessie. Kiedy ujrzał Monka, wyraźnie się ucieszył. Za nim biegło dwóch naukowców, Barnhardt i Miller, oraz siedmiu kanibali prowadzących mocno krwawiącego z rany na szyi mężczyznę. Jego zielony kitel informował, że to któryś z lekarzy WHO.

Obie grupy spotkały się przy drzwiach.

– Udało się wam... – wysapał Jessie.

W otwartym wlocie hangaru pojawił się Ryder z własną eskortą kanibali. Śmierdział benzyną i wycierał w szmatę pobrudzone olejem dłonie.

– Co się dzieje?

– Łódka gotowa do rejsu? – spytał Monk.

– Może latać.

Lisa objęła młodego pielęgniarza.

Jessie wskazał krwawiącego mężczyznę.

– Potrzebujemy dla niego pomocy.

Kanibale położyli rannego lekarza na podłodze. Z rany na szyi grubymi strumieniami tryskała krew.

Lisa ukłękła po jego jednej stronie, a Barnhardt i Miller po drugiej. Jessie zdjął koszulę i podał Lisie. Zwinęła ją i przycisnęła do rany.

Mężczyzna zadrżał konwulsyjnie, zakrztusił się krwią i znieruchomiał z otwartymi oczami.

Nie odrywając koszuli od rany, Lisa zbadała puls z drugiej strony szyi.

Pokręciła głową.

Jessie przeciągnął ręką po czole, rozsmarowując sobie na nim krew.

– Został zaatakowany przez jedną z pacjentek – wyjaśnił. – Musieliśmy ją zastrzelić. Ale z dolnych pokładów wychodzą także inni chorzy. Są ich setki.

Przeplatana wrzaskami strzelanina się nasiliła.

– Czas opuścić statek – stwierdził Ryder.

– Ile osób możesz zabrać na swoją łódź? – spytał Monk.

– Mam sześć miejsc... ale chyba możemy wcisnąć jedną albo dwie osoby więcej – odparł Ryder i popatrzył na zebranych wokół ludzi.

Jessie pokręcił głową i cofnął się o krok.

– Ja nie płynę.

Lisa ujęła go za łokieć.

– Jessie...

– Ktoś musi bronić ludzi, którzy zostaną na pokładzie. Przed piratami, przed szaleństwem. Ich jedyną nadzieją jestem ja i tubylcy – odparł chłopak.

Doktor Barnhardt stanął przy nim.

– Pomogę mu – oświadczył. – Spróbujemy zbudować barykadę i zebrać jak najwięcej ludzi. Odwrócimy ich uwagę, aż uciekniecie.

Doktor Miller z wahaniem popatrzył na otwarty właz, a potem na martwego lekarza.

– To są nasi przyjaciele i koledzy – powiedział w końcu. – Nie możemy ich zostawić.

Lisa objęła ich po kolei.

– Henri... – jęknęła.

Toksykolog odwzajemnił uścisk i delikatnie popchnął ją w stronę otwartego włazu.

– Płyn po Susan. Ważniejsze od naszego życia jest zabranie lekarstwa poza zasięg Gildii.

Lisa i Monk ruszyli za Ryderem.

Kiedy weszli do hangaru i Monk zobaczył, co się w nim znajduje, omal się nie potknął.

– Matko Boska...

Godzina 5.43

Patanjali schodził na zasłoniętą ciemnoczerwoną kurtyną scenę teatru osłaniany szerokimi plecami somalijskiego strażnika. Uciekli we dwóch na górę zaraz po tym, jak ich zaatakowano i odepchnięto od łodzi.

Zejsście w dół nie wchodziło w grę.

Wrzaski i wycia kazały im wbiec wyżej. Patanjali otworzył pięć ładowni znajdujących się głęboko w trzewiach statku i wypuścił z nich ponad dwustu chorych, których trzymano dla eksperymentów. Wszyscy byli w stanie katatonicznego pobudzenia, walczyli ze sobą i zjadali się nawzajem – silniejsi pożerali słabszych.

Patanjali postanowił ich uwolnić, aby powstrzymali napastników do chwili jego powrotu z dużym oddziałem wyposażonym w granaty i ciężką broń maszynową. Potem zamierzał wszystkich wyrzucić.

Musiał odzyskać statek.

Na razie jednak wpadł we własną pułapkę.

Aby dojść do łodzi bez schodzenia po głównych schodach, musieli dotrzeć do wejścia przy górnym

balkonie trypoziomowego teatru. Stamtąd wewnętrznymi schodami zeszli na poziom lustra wody.

Dolne wyjście z teatru prowadziło do holu, z którego było już blisko do łodzi. Krótki sprint i będą mogli odpłynąć.

Podpierając się laską, Patanjali zszedł po ostatnich stopniach.

– Proszę zaczekać – powiedział Somalińczyk i ruszył w stronę wyjścia. – Sprawdzę najpierw, czy droga jest czysta.

Uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Po chwili otworzył je szerzej.

– Pusto – oznajmił z ulgą.

Patanjali zrobił krok do przodu, ale nagle się zatrzymał, bo przed nim pojawił się jeden z wystrojonych w pióra tubylców.

W rękach trzymał naciągnięty łuk.

Somalińczyk nacisnął spust.

Trzy pociski trafiły kanibala w pierś. Z głośnym wrzaskiem osunął się na podłogę.

Jednak strzała została już wystrzelona.

Jej grot wbił się w gardło somalijskiego strażnika i wyszedł karkiem jak zakrwawiony język. Mężczyzna zatoczył się i upadł na plecy.

Patanjali podszedł do niego.

– Pomóż... – wycharczał ranny.

Jego oczy były przepełnione bólem. Próbował podeprzeć się jedną ręką, w drugiej nadal ścisnął broń.

Patanjali kopnął go w dłoń, na której się podpierał, i zaskoczony strażnik opadł na plecy. Czubek grotu uderzył w polerowane drewno podłogi. Patanjali ukląkł rannemu na barku i zaczął wyrywać mu pistolet.

Ale Somalijczyk nie zamierzał oddać broni bez walki i mocno zaciskał palce.

– Puszczaj! – syknął Patanjali i przesunął kolano, aby nacisnąć nim tkwiącą w szyi strażnika strzałę.

Ich szarpaninę przerwał głośny trzask.

Drzwi naprzeciwko wejścia do teatru otworzyły się gwałtownie. Patanjali, któremu udało się w końcu wyrwać pistolet, odwrócił się w ich stronę. W otwartych drzwiach stała kobieca postać otoczona pasmami falującego jedwabiu.

– Surina!

Azjatka nie była jednak sama.

Ścigały ją gnane adrenaliną i głodem monstra. Sunęły za nią niczym oszalą fala. Kilka z nich poślizgnęło się i przewróciło na polerowanej podłodze, ale choć natychmiast się poderwały i znowu rzuciły w pogoń, Surinie udało się uciec do połowy teatru.

Na twarzy Patanjalego odmalowała się ulga. Nie chciał być sam.

Surina podbiegła do niego, błyskawicznym ruchem podniosła z podłogi laskę i zrzuciła z klingi drewnianą pochwę.

Patanjali ruszył w stronę otwartych drzwi.

– Tędy! – zawołał do niej.

Przeskoczył nad jęczącym Somalijczykiem zalewającym krwią ciemne drewno podłogi. Kiedy Patanjali lądował za ochroniarzem, poczuł w zgięciach nóg za kolanami ostre ukłucie.

Zrobił krok do przodu, ale okazało się, że jego nogi nie potrafią utrzymać ciężaru ciała. Upadł na kolana i musiał podeprzeć się łokciem. Impet uderzenia o podłogę był tak silny, że wypuścił pistolet. Kątem oka

widział, jak Surina wstaje z przykłąku. Z czubka rapiera skapywała krew.

Poczuł, że nie może się podnieść, nie panował nad nogami. Przez nogawki na wysokości kolan zaczęła przesączać się krew. Po chwili zrozumiał, co się stało. Ta dziwka przecięła mu ścięgna podkolanowe i sparaliżowała go.

Azjatka przefrunęła przez hol i zniknęła w ciemności.

– Surina! – krzyknął i popęzł do pistoletu.

Zanim do niego dotarł, w jego ramię wbiły się zakrwawione palce, zanurzając się głęboko w ciało. Gdzieś z wnętrza mrocznego teatru doleciały przedśmiertne wrzaski ochroniarza. Po chwili Patanjalego także pociągnięto w tamtą stronę. Jego dłonie ślizgały się po podłodze, palce szukały zaczepienia, ostatniej szansy ratunku.

Nie znalazły jej jednak.

Godzina 5.45

Weszli do hangaru z łodzią Rydera, kiedy wrzaski i odgłosy wystrzałów osiągnęły apogeum. Lisa dygotała w podmuchach chłodnej bryzy.

Było to niewielkie, wyłożone stalą pomieszczenie, w którym unosił się odór benzyny i oleju. Pośrodku znajdowała się wyrzutnia przypominająca szyny kolejki górskiej w wesołym miasteczku – pochylone pod sporym kątem i skierowane na otwarty wjazd w burcie. Widać w nim było lagunę smaganą strugami deszczu.

Nie to jednak zwracało uwagę, ale wehikuł, który stał na szynach.

– To wcale nie jest łódź... – wymamrotał oszołomiony Monk.

Ryder oprowadził ich wokół dziwnej maszyny.

– To latająca łódź, kolego. Hydroplan i łódź w jednym. Monk nie mógł oderwać wzroku od niezwykłego pojazdu.

Lisa była nie mniej zdumiona.

Stojąca na szynach „łódka” wyglądała jak nurkujący jastrząb, który dla uzyskania większej szybkości położył po sobie skrzydła. Owiewka kabiny spływała aerodynamiczną krzywą do dziobu. Na rufie znajdowały się dwa wysoko umieszczone śmigła, a o szczyt kabiny opierały się złożone skrzydła kończące się tuż przed śmigłami.

– Została zbudowana w Hamilton Jet w Nowej Zelandii – powiedział Ryder, przeciągnął dłonią po kadłubie i zaprowadził wszystkich do otwartego luku wejściowego. – Nazwałem ją Morską strzałą. Ma podwójne silniki V-dwanaście przepompowujące wodę z dziobu na rufę i wystrzeliwujące ją z dwóch dysz. Kiedy nabierze się prędkości, wystarczy uruchomić hydraulikę, która rozkłada skrzydła, i można wzbić się w powietrze. – Poklepał łódź. – Jest równie szybka na wodzie, jak i nad ziemią. Ustawiłem prędkość lotu na prawie pięćset kilometrów na godzinę.

Wyciągnął dłoń do Lisy i pomógł jej wejść do kabiny. Przypominała wnętrze cessny: dwa fotele dla pilota i drugiego pilota z przodu i cztery siedzenia dla pasażerów z tyłu.

Ryder wszedł za Lisą, minął ją i ulokował się w fotelu pilota. Monk wszedł ostatni i zamknął za sobą właz.

– Zapnijcie się – polecił im Ryder.

Monk zajął miejsce przy samym włazie, aby móc szybko wciągnąć Susan na pokład. Lisa usiadła w fotelu drugiego pilota.

Ryder wcisnął przycisk zwalniający blokadę i Morska strzała zaczęła gładko staczać się po szynach. Po kilku sekundach opadła na wodę i zabujała się lekko.

Rozległ się warkot silników – gardłowy i bulgoczący.

Strzała zaczęła łagodnie sunąć po wodzie. O dach kabiny łomotał deszcz.

– No to jedziemy... – mruknął Ryder i pchnął przepustnicę.

Łódź pokazała, że jest godna swojej nazwy, bo natychmiast ruszyła jak strzała, wciskając wszystkich w fotele.

Monk gwizdnął z uznaniem.

Ryder położył łódź lekko na bok i pomknęli. Kiedy objeżdżali dziób statku, wyglądało to tak, jakby komar krążył przed pyskiem wieloryba.

Lisa wpatrywała się w górujący nad nimi potężny statek.

Nie mogła pozbyć się poczucia winy wobec Jessiego, Henriego i doktora Millera. A także pozostałych. Miała wrażenie, że ucieka z pola walki, porzuca ich wszystkich, aby ratować własną skórę.

Ryder skręcił i skierował dziób do miejsca, w którym miała czekać Susan. Łódź pomknęła w stronę ciemnej dżungli obrzeżonej wąskim paskiem plaży.

Lisa po cichu powtarzała ostatnie słowa Henriego:

„Ważniejsze od naszego życia jest zabranie lekarstwa poza zasięg Gildii”.

Nie wolno im dać się złapać.

Godzina 5.50

Rakao obserwował przez lornetkę noktowizyjną, jak dziwna łódź skręca i kieruje się prosto do miejsca, w którym znajdowali się tubylcy i jego ludzie. W okularach noktowizora pędząca w stronę brzegu jednostka była ciemnoczerwoną smugą ciągnącą się po zimniejszej wodzie.

Dał ludziom znak, aby byli gotowi. Mieli zaatakować na jego pierwszy wystrzał.

Opuścił noktowizor i przystawił do oka lunetkę karabinu. Wyostrzył obraz, aby dobrze widzieć cel – kobietę siedzącą na kamieniu. Była doskonale widoczna.

Dudnienie silników nadpływającej łodzi nasilało się z każdą chwilą.

Kobieta uniosła rękę. Zdawało się, że jej ramię odbija światło księżyca... tyle że na niebie nie było księżyca.

Rakao zadrżał, nie zamierzał jednak pozwolić, aby cokolwiek go rozproszyło. Na rozwiązanie tej zagadki przyjdzie czas później.

Jeden z tubylców zepchnął leżącą na plaży dłubankę na wodę i dał kobiecie znak, aby podeszła do niej. Zrobiła, co jej kazano, weszła do łodzi i usiadła w pobliżu rufy.

Tubylec pochylił się, zamierzając wypchnąć łódkę na wodę.

Dziwna jednostka, która wypłynęła z Mistress of the Seas, zbliżyła się i płynnym ruchem zakręciła, ukazując sterburkę. Boczny luk był otwarty.

Obie łodzie dzieliło od siebie jakieś siedem metrów.

Rakao dostrzegł przykucniętego w środku większej z nich mężczyznę.

Doskonale.

Przesunął nieco lufę karabinu i strzelił.

Godzina 5.51

Na odgłos wystrzału Monk podskoczył.

Kątem oka dostrzegł, że stojący za Susan tubylec zwała się do wody. Padające ciało potrąciło dłubankę i wypchnęło ją w ich kierunku.

Po pierwszym wystrzale gruchnęły następne.

Spomiędzy drzew wytoczył się kolejny tubylec krwawiący z piersi i barku. Wyciągał rękę do Susan, mając nadzieję, że królowa go uratuje, ale w tym momencie huknęła druga salwa i dolna połowa jego twarzy eksplodowała krwawą chmurą.

Upadł na piasek.

Monk uświadomił sobie, że to pułapka – z Susan jako przynętą.

O bok Morskiej strzały znowu załomotał grad pocisków, zmuszając go do schowania się głębiej. Ryder

zaklął paskudnie, a Monk podpełzł do leżącego w głębi kabiny karabinka szturmowego i złapał go.

Kiedy ostrzał łodzi został powstrzymany jednym głośno warkniętym rozkazem, ruszył z powrotem do luku.

W wodzie stał znany mu już mężczyzna z wytatuowaną twarzą. W jednej ręce trzymał dzidę, a w drugiej sig sauera. Celował z niego w tył głowy Susan kulącej się na rufie tubylczej łódki.

Świejące w ciemności oczy kobiety patrzyły błagalnie na Monka.

– Wyłączyć silniki! – wrzasnął po angielsku Rakao. – Wyrzucić broń! Potem jeden po drugim wyłączyć i płynąć do mnie!

Monk odwrócił głowę do wnętrza kabiny.

– Liso, potrzebuję cię tutaj – powiedział cicho. – Ryder, nie gaś silników, a kiedy krzyknę, ruszaj.

Lisa przez chwilę walczyła z pasami, ale w końcu udało jej się z nich uwolnić.

Monk przesunął karabinek szturmowy w taki sposób, aby móc go chwycić za kolbę i wystawić przez otwarty właz.

O kadłub Morskiej strzały uderzył pojedynczy pocisk.

Rakao wrzasnął na zbyt gorliwego strzelca.

We włazie pojawił się Monk. Karabin trzymał w wyciągniętej daleko w bok ręce, a drugą unosił wysoko.

– Co robisz? – szepnęła zdziwiona Lisa.

– Bądź gotowa...

– Na co?

Wyjaśnienia zajęłyby zbyt wiele czasu, więc nic jej nie odpowiedział.

Na widok Monka przywódca piratów wszedł dalej do wody, trzymając lufę pistoletu kilkanaście centymetrów od potylicy Susan. Dziób dłubanki był skierowany w stronę Morskiej strzały, a ciężar siedzącej z tyłu kobiety sprawiał, że lekko unosił się nad wodę.

– Wychodzimy! – zawołał Monk.

Aby udowodnić szczerą swoich zamiarów, odrzucił karabinek w bok. Broń zawirowała w powietrzu i tak jak Monk miał nadzieję, wzrok Rakao natychmiast odruchowo powędrował w jej stronę.

Ułamek sekundy później wyskoczył z łodzi. Skoczył wysoko, jakby chciał pionowo zanurkować, jednak zamiast tego wylądował na dziobie tubylczej dłubanki. Kiedy dziób poszedł pod wodę, rufa zamieniła się w katapultę.

Susan przeleciała nad głową Monka w stronę Morskiej strzały.

Rakao strzelił, ale krawędź łódki uderzyła go w dłoń i pistolet poszybował w powietrze.

Susan z pluskiem wylądowała w wodzie.

Kiedy dłubanka opadła na powierzchnię laguny, Monk rozpląszczył się na jej dnie i podparł na łokciu. Kątem oka dostrzegł znikające we włazie Morskiej strzały stopy Susan wciąganej do środka przez Lisę.

Dobra dziewczynka!

– Ryder! Gazu! – krzyknął.

Ale silniki Strzały perkotały na wolnych obrotach.

W chwili gdy Monk zamierzał krzyknąć ponownie, dłubanka zadygotała.

Do łódki wślizgnął się Rakao i natychmiast zaatakował przeciwnika trzymanym oburącz oszczepem.

Monk zareagował odruchowo, chwytając broń tuż za ostrzem. Palce protezy zacisnęły się na metalu i jego ciałem wstrząsnęło silne uderzenie prądu.

No tak – przecież kiedy Rakao ratował Lisę, też poraził morskiego stwora prądem...

Mięśnie Monka napięły się do granic wytrzymałości. Przez dudnienie w uszach przebił się łoskot kierowanej na Morską strzałę serii z broni maszynowej.

Wiedział, że żyje tylko dlatego, iż proteza częściowo osłoniła ciało. Ale jej plastik zaczynał się już palić.

Co ten Ryder tu jeszcze robi?

Wynoś się stąd, człowieku...

Godzina 5.54

– Zaczekaj! – wrzasnęła Lisa, przekrzykując łomot pocisków o burtę Morskiej strzały.

Leżała obok Susan na podłodze i patrzyła na Rakao próbującego wbić Monkowi w pierś oszczep. Monk walczył, z jego protezy leciał dym.

Tubylcza łódka obracała się, oddalała, zbliżała...

– Teraz! – krzyknęła.

Nad jej głową rozległ się głośny huk. Hydrauliczny mechanizm Morskiej strzały wystrzelił skrzydła, które śmignęły w powietrzu niczym dwa potężne topory. Jedno trafiło Rakao w bark i wyrzuciło go w powietrze. Plasnął o powierzchnię laguny, rozrzucając szeroko ramiona.

Zaskoczyło to piratów i ostrzał na chwilę ustał.

– Monk! – krzyknęła znowu Lisa. – Nad twoją głową!

Był otumaniony, ale usłyszał ten krzyk.

Potrzebował chwili, aby pojąć, o co jej chodzi. Coś było nad jego głową. Skrzydło Morskiej strzały. Choć nogi dygotały mu jak w febrze, zebrał się w sobie i skoczył w górę.

Nie ufał sile zdrowej dłoni, więc złapał za podpórkę skrzydła protezą. Plastikowe palce dymiły, ale mimo to dał im sygnał, aby zacisnęły się mocno.

Leć...

– Leć! – wrzasnęła Lisa, uniosła się z podłogi i oparła o podstawę jednego z foteli.

Poczuła pod brzuchem, że silnik łodzi ożywa. Morska strzała skoczyła naprzód jak dźgnięty ostrogą koń. Ledwie Ryder obrócił łódź rufą do plaży, piraci znowu zaczęli strzelać.

Jeden z pocisków trafił Monka w nogę.

Z łydki trysnęła krew i Monk poczuł piekący ból. Próbował zmienić pozycję, ale noga nadal zwisała pod nienaturalnym kątem. Kula musiała roztrzaskać piszczel.

Na szczęście wciąż się trzymał.

Ryder przyspieszył, aby oddalić się na bezpieczną odległość od plaży.

Może uda im się uciec...

Godzina 5.55

Rakao zakaszłał i uniósł głowę nad powierzchnię wody. Palcami stóp, a potem całymi stopami wyczuł grunt. Stał w wodzie sięgającej mu do połowy piersi.

Ryk silnika kazał mu się odwrócić.

Łódź wroga pędziła po lagunie, ktoś wisiał pod jednym z jej skrzydeł. Rakao ruszył do brzegu. Jego lewa ręka płonęła żywym ogniem, dodatkowo podrażniona przez słoną wodę. Pomacał bolące miejsce i wyczuł wystający spod skóry kawałek kości złamanej uderzeniem skrzydła.

W drugiej ręce ścisnął oszczep.

Na szczęście go nie zgubił.

Mógł się jeszcze przydać.

W wodzie widział błyski ognia na ciałach zbliżających się do niego stworów przyciągniętych kapiącą mu z ramienia krwią. Odwrócony plecami do lądu, powoli, krok po kroku wycofywał się w kierunku plaży. Oszczep przez cały czas trzymał w górze, gotów w każdej chwili uderzyć. Być może prąd również i jego porazi, ale najważniejsze było trzymanie na dystans morskich potworów.

Po chwili woda sięgała mu już tylko do pasa, więc odetchnął z ulgą.

Kiedy znajdzie się na brzegu, zacznie polowanie.

Bez względu na to, w jakim zakątku świata tamci się schowają, znajdzie ich.

Niebo rozjaśniła kolejna błyskawica, oświetlając czarną wodę i to, co się w niej kryło. Wokół nóg Rakao powoli zaciskała się płatanina macek. Najdłuższa jarzyła

się żółto. Cielsko potwora spoczywało na płyciźnie metr dalej. Błyskawica zgasła i po chwili w czarnej wodzie odbijała się tylko przerażona twarz Maorysa.

Dźgnął kałamarnicę oszczepem, jednocześnie przełączając go na pełną moc.

Po wodzie pomknął błękitny płomień. Rakao jęknął z bólu, ale trwało to jedynie ułamek sekundy, bo oszczep w jego ręce pękł na pół. Rozległ się głośny trzask i z broni buchnął kłęb gryzącego dymu. W trakcie szarpaniny z Amerykaninem w oszczepie musiało dojść do spięcia.

Rakao zatoczył się do tyłu, jego złamana ręka płonęła.

Czy ten impuls był wystarczający?

Odpowiedź przyszła natychmiast – po udzie smagnął go ogień, a w ciało wbiły się chitynowe haczyki. Próbował walczyć, ale stwór zaczął go ściągać na głębszą wodę. Przez chwilę na powierzchni pojawił się korpus zwierzęcia i na walczącego o życie człowieka popatrzyło wielkie oko.

Maorys dźgnął w nie. Oszczep nie mógł już porażać prądem, ale nie stracił ostrego czubka. Grot zagłębił się w oko jak w masło. Uścisk macek na nodze zelżał i haczyki puściły.

Rakao zaczął iść do brzegu.

Nieoczekiwanie woda wokół niego zakipiała czerwieniami, błękitami i szmaragdami. W pobliżu pierwszego potwora czaiły się już inne. W gwałtownym migotaniu światełek wyczuwało się wściekłość.

Po chwili ciało jednej z kałamarnic uderzyło Rakao w nogę, a w jego kostkę wgryzły się haczyki macek.

Wiedział, że to koniec.

Napastników było zbyt wielu.

Popatrzył na uciekającą łódź, odrzucił oszczep i sięgnął do wiszącej na ramieniu kabury, którą zawsze nosił. Nie było w niej broni, ale coś innego – dodatkowe zabezpieczenie. Przekręcił wystającą z kabury rączkę w kształcie litery T i uruchomił mechanizm wyzwalający.

Wokół jego pasa owinęła się kolejna macka.

Jeżeli on nie może uciec, nikt inny też nie ucieknie.

W ostatniej chwili wcisnął przycisk.

Z wody, niczym pejczy, wystrzeliły kolejne macki. Rzucały się na niego ze wszystkich stron, darły ubranie i rozszarpywały ciało. Kiedy został wciągnięty pod wodę, poczuł, że odrywają mu ucho.

Słyszał dudniące wysoko niczym grzmoty wybuchy. Przebijały się przez wodę i docierały do głębin, w które wciągały go świecące potwory.

BUMMM-BUMMM-BUMMM...

Godzina 5.57

Lisa pierwsza dostrzegła eksplozje na szczytach klifu. Z początku sądziła, że to błyskawice, ale sekwencja błysków była zbyt regularna.

– Co to? – krzyknął Ryder.

Przykrywająca lagunę sieć zaczęła w różnych miejscach odrywać się od mocowań.

– Ktoś wysadza sieć! – odkrzyknęła Lisa.

Ryder zaklął.

Eksplodzie wciąż trwały. Ich błyski rozjaśniały niebo i rozchodziły się po klifach. Było oczywiste, że jeżeli nie przyspieszą, sieć ich unieruchomi.

– Muszę wzbić się w powietrze! – krzyknął Ryder.

Ciemność na szczycie atolu rozrywały kolejne eksplozje.

Mimo oszołomienia Monk natychmiast zrozumiał, że chodzi o sieć.

Morska strzała przyspieszyła, aby uciec przed wybuchami. Kiedy przekroczyli prędkość konieczną do oderwania się od wody, łódź uniosła się kilka centymetrów nad jej powierzchnią.

Ciężar wiszącego pod skrzydłem Monka uniemożliwiał Morskiej strzale równy lot. Ryder zwolnił i opadł.

Zranioną nogę Monka przeszył ból, ale wciąż trzymał się podpórki. Nawet gdyby chciał, nie mógłby się od niej oderwać. Oszczep Rakao uszkodził elektronikę protezy i kiedy palce zacisnęły się na podpórce skrzydła, sterowanie przestało działać.

Monk wisiał jak kawał wołowiny na rzeźnickim haku.

Rozejrzał się wokół, próbując ocenić zniszczenia spowodowane wybuchami. Bardziej oddalona od nich połowa sieci spadała na wodę, skrapiając ogniem wody laguny.

Z każdym kolejnym wybuchem odrywał się kolejny fragment.

Wąskie pęknięcie w atolu wyglądało jak nitka. Morska strzała musiała tam dotrzeć, zanim eksplozje zatoczą koło i sieć spadnie na wodę. Nie przedstawiało się to zbyt dobrze. Nigdy nie uda się im uciec, jeśli będą wlekli pod skrzydłem pół wołu.

– Możesz schować skrzydła? – spytała Lisa.

Miała nadzieję, że może pozwoli to bez zwalniania wciągnąć Monka do środka.

– Rozłożone muszą być zablokowane! Takie zabezpieczenie!

No tak. Skrzydła nie powinny składać się w locie.

Zobaczyła nagle, że Monk manipuluje przy nadgarstku protezy. Co on robi?

Po chwili zrozumiała.

– Nie! – krzyknęła. – Monk, nie rób tego!

Odwrócił się do niej i popatrzył jej w oczy, po czym pokazał palcem plażę przed nimi. Coś krzyknął, ale kolejna eksplozja zagłuszyła jego słowa.

Znowu zaczął majstrować przy swojej sztucznej dłoni.

Monk... nie...

Cholera jasna, dlaczego nie może odczepić się od tej protezy?

Dźgał palcami plastikowy mankiet, jednak osłona dźwigni służąca do mechanicznego oddzielania protezy od nadgarstka została stopiona.

W końcu klapka puściła.

Dzięki Bogu...

Włożył palec do środka.

– Monk! – krzyknęła znowu Lisa.

Ponownie wskazał plażę. Podpłyń tam. Muszą lecieć bez niego.

Kłęcząca w otwartym włazie, wiatr szarpał jej włosy. W jej oczach widział świadomość przegranej, ale nie było innego wyjścia.

Wsunął palec w otwór i nacisnął przycisk.

Dłoń oddzieliła się od nadgarstka.

Spadł, przekoziółkował po wodzie i pomknął po powierzchni jak rzucony płasko kamień. Kiedy się zanurzył, natychmiast zaczął kopać zdrową nogą, aby wypłynąć na powierzchnię. Druga noga bolała, jakby wbito mu w nią rozżarzony pogrzebacz.

Patrzył, jak Morska strzała pędzi w stronę pęknięcia w atolu, którym będzie mogła uciec na otwarty ocean.

Ryder się nie wahał. Zrozumiał i docenił poświęcenie ich towarzysza.

Kiedy rozległy się ostatnie wybuchy wokół sieci, Monk popatrzył w górę. Sieć opadała na lagunę, okrywając Mistress of the Seas jak płonący całun – od rufy do dziobu.

Po kilku sekundach owinięty był nią cały statek i wyglądał jak delfin schwytany przez kłusowników. Sieć opadała dalej – wkrótce miała również spaść na miejsce, w którym znajdował się Monk. Nie miał szans dotarcia do plaży. Najbliższa łacha znajdowała się w odległości pięciuset metrów od niego.

Morska strzała wznosiła się już w powietrze i mknęła w stronę szczeliny, którą miała uciec.

Uda im się...

Ta myśl z większym spokojem pozwoliła Monkowi przyjmować na siebie ciężar sieci, lin i namokłych wodą sznurów. Po chwili ciężka konstrukcja zaczęła go spychać w dół.

Przebijał się przez nią, próbując wydostać się na powierzchnię, ale przeszkadzała mu w tym strzaskana noga. W dodatku sieć tak się poskładała, że nie mógł znaleźć w niej żadnej większej dziury.

Wpatrywał się w światła statku i żałował tylko jednego – że nie dotrzyma obietnicy...

Przysiągł Kat, że wróci z akcji, i pocałował Penelope, składając jej w duchu tę samą obietnicę.

Wybaczcie mi...

Wyciągnął rękę w górę, modląc się o ratunek.

Po chwili znalazł w splątanej sieci spore oczko i poszerzył je kikutem ręki. Kopał obydwoma nogami, ignorując ból łydki i próbując precyzyjnie się przez otwór.

Nagle coś trąciło jego zranioną nogę, złapało ją za kostkę i pociągnęło mocno. Kość zazgrzytała o kość, a cały kręgosłup przeszył ból. Monk z trudem złapał oddech i spojrzał w dół.

Płynęły ku niemu światła.

Jego ciało obejmowały macki owijające się wokół pasa i piersi. Gumowaty koniec jednej z nich przykleił mu się do twarzy – do ust, które tak niedawno całowały dziecko.

Wszędzie wokół migotały światła. Monk był ściągany coraz głębiej i głębiej...

Spróbował po raz ostatni spojrzeć w górę.

Kiedy światła znajdującego się nad nim statku zgasły i zamknęła się nad nim ciemność, powrócił sercem do

swoich ukochanych kobiet.

Kat.

Penelope.

Kocham was, kocham was, kocham was...

Godzina 6.05

Lisa skuliła się na jednym z tylnych foteli Morskiej strzały i płakała.

Siedząca obok Susan położyła dłoń na jej plecach.

Nikt nic nie mówił.

Ryder walczył z wiatrem, który przeszkadzał mu lecieć nad otwartym oceanem. Wyspa Pusat znikąca powoli za nimi.

Sztorm rzucał maszyną jak liściem. Nie daliby rady pokonać wiatru, więc lecieli razem z nim, prosto na północ.

Nie mieli radia – zniszczyła je jakaś zabłąkana kula.

– Słońce już wschodzi – powiedziała Susan.

Jej słowa przełamały ciszę.

– Może udało mu się dopłynąć do brzegu – mruknął Ryder.

Lisa wyprostowała się i wytarła oczy. Było oczywiste, że Monk nie dopłynął do brzegu. Poświęcił się, aby mogli uciec. Aby ci, którzy pozostawali na pokładzie Mistress of the Seas, mogli się uratować, a świat miał szansę dostać lekarstwo.

Czuła się odrętwiała i zlodowaciała.

– Słońce... – powtórzyła Susan.

Ryder skręcił na wschód, omijając szczyt kolejnej wyspy. Sztorm już się kończył i przez czarne chmury przebijało słońce. Nad horyzontem pojawił się pierwszy skrawek czystego nieba.

Po chwili kabinę zalało światło.

Lisa wpatrywała się w jasność w poszukiwaniu rozgrzeszenia, próbowała znaleźć w słonecznym blasku zapomnienie, wpuścić do duszy nieco światła.

Nagle Susan wydała z siebie przeraźliwy krzyk.

Lisa podskoczyła i odwróciła się do niej. Susan siedziała wyprostowana jak struna i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w słońce.

– Co się stało? – zapytała Lisa.

Susan bezgłośnie poruszyła ustami i Lisa odczytała jej odpowiedź jedynie z ruchu warg.

– Nie wolno im tam jechać.

– Komu? Dokąd?

Nie patrząc w dół, Susan położyła palec na mapie nawigacyjnej, którą trzymała na kolanach.

Lisa przeczytała nazwę wskazanego miejsca.

– Angkor...

16

Bayon

Angkor Thom, Kambodża

7 lipca, godzina 6.35 czasu miejscowego

Gray szedł razem z resztą grupy w stronę potężnej bramy otoczonego murami kompleksu świątyń Angkor Thom. Poranne słońce, wiszące nisko nad horyzontem, rzucało długie cienie. Bzyczały świerszcze, kumkał żabi chór.

O tak wczesnej porze musieli dzielić drogę – a właściwie most – jedynie z garstką turystów i parą mnichów w szatach o barwie szafranu. Most miał długość dużego boiska do piłki nożnej, a po obu jego stronach ciągnęły się szeregi wykutych w kamieniu postaci: po jednej pięćdziesięciu czterech bogów, po drugiej pięćdziesiąt cztery demony. Niżej biegła wyschnięta fosa, w której kiedyś pływały krokodyle, chroniąc potężne miasto i znajdujący się w nim królewski pałac. Głęboki rów, porośnięty wielkimi kępami traw, pełen był pokrytych algami jeziorzek.

Vigor wyciągnął dłoń i położył ją na głowie jednego z mijanych demonów.

– Beton... – mruknął. – Oryginalne głowy zostały niemal całkowicie rozkradzione, część z nich znajduje się w kambodżańskich muzeach.

– Miejmy nadzieję, że nie ukradziono również tego, czego szukamy – powiedziała ponuro Seichan wyprowadzona z równowagi rozmową z Nasserem w furgonetce.

Gray starał się trzymać od niej z daleka. Nie umiał ocenić, które z nich dwojga jest bardziej niebezpieczne.

Czterdziestoosobowy oddział Gildii rozproszył się, okrążając ich grupkę. Nasser szedł metr za Grayem i Vigorem i przez cały czas się rozglądał. Nie zwracano na nich szczególnej uwagi – turystów interesowały przede wszystkim ruiny.

Wznoszący się na końcu mostu dziesięciometrowy mur, zbudowany z bloków laterytu, otaczał zajmujące tysiąc hektarów starożytne miasto. Świątynia Bayon znajdowała się w obrębie murów. Wszędzie wdzierał się las. Mury ocieniały wielkie palmy rzucające ciemny welon na potężną bramę. W zwieńczającej ją kamiennej wieży wykuto cztery gigantyczne twarze spoglądające w cztery strony świata.

Gray przyjrzał się spękanym, pokrytym porostami obliczom. Choć nadgryzł je ząb czasu, ich rysy emanowały spokojem: głęboko osadzone oczy kryły się w cieniu szerokich czół, a grube wargi wyginały się łagodnie.

– To uśmiech Angkoru – powiedział Vigor, widząc zainteresowanie Graya. – Twarz Lokesvary, bodhisattwy współczucia.

Gray pomyślał, że dobrze by było, gdyby nieco współczucia spłynęło na Nassera. Popatrzył na zegarek.

Do pełnej godziny, czyli do momentu, kiedy Nasser rozkaże obciąć kolejny palec jego matce, pozostało jedynie dwadzieścia pięć minut.

Aby go powstrzymać, musieli coś odkryć. Tylko co?

Był w sytuacji człowieka, który musi jednocześnie podążać w dwóch różnych kierunkach. Chciał pędzić przed siebie i odkrywać nowe tropy – i jednocześnie chciał jak najbardziej opóźniać działania Nassera, aby dać więcej czasu Painterowi Crowe'owi.

Wytrącało go to z równowagi, nie pozwalało mu się skupić.

– Patrzcie... słonie! – zawołał nagle podekscytowany Kowalski i wskazał wielką bramę.

Tuż za nią rzeczywiście widać było dwa białoszare indyjskie słonie – ich trąby sięgały do ziemi, a oczy były całkowicie pokryte rojami much. Na jednym z nich w kiwającym się na wszystkie strony kolorowym siodle zwanym howdah sadzano właśnie turystę z wielkim aparatem fotograficznym na szyi. Znajdujący się na stojącym obok słupku napis zachęcał w różnych językach do odbycia przejażdżki na słoniu po Bayon.

– Tylko dziesięć dolarów – powiedział Kowalski.

– Chyba się przejdziemy – stwierdził Gray.

– Jasne, prosto przez gówno słoni... – burknął Kowalski. – Będziecie żałować, że nie wysupłaliście tej dychy.

Gray przewrócił oczami i machnął ręką, nakazując mu wejść za ludźmi Nassera przez bramę.

Za murem zaczynała się prosta jak strzała brukowana droga dla pieszych ocieniona wysokimi drzewami kapokowymi, których poskręcane korzenie

oplatały kamienie i wciskały się pod nie. Wszędzie leżały ich owoce rozgniatane ludzkimi stopami.

Było tu znacznie więcej drzew niemal zupełnie zasłaniających widok.

– Daleko jeszcze? – spytał Nasser, który przez cały czas zachowywał ostrożny dystans i nie wyjmował ręki z kieszeni kurtki.

Vigor wskazał przed siebie.

– Świątynia Bayon znajduje się jakieś półtora kilometra stąd, w głębi dżungli.

Nasser ściągnął brwi i spojrzał na zegarek, a potem na Graya.

Minął ich jeden z tuk-tuków – skrzyżowanie rikszy i motoroweru stanowiące główny środek komunikacji na terenie kompleksu. Dwójka jadących nim turystów zaczęła trzaskać zdjęcia, rozmawiając po niemiecku.

Kowalski rozglądał się dokoła. Coś mu wyraźnie nie pasowało.

– W Angkor Thom mieszkało kiedyś ponad sto tysięcy ludzi – powiedział Vigor.

– Gdzie? – zdziwił się były komandos. – W chatkach na drzewach?

Vigor machnął ręką w stronę dżungli.

– Większość domów, nawet pałac królewski, była z bambusa i drewna, więc pogniły. Zjadła je dżungla. Tylko świątynie są z kamienia, ale kiedyś była to kipiąca życiem metropolia z mnóstwem bazarów, na których sprzedawano ryby i ryż, owoce i przyprawy, a w podmiejskich zagrodach hodowano świnie i kury. Projektanci miasta stworzyli potężny system nawadniający i sieć kanałów. Znajdowało się tu nawet królewskie zoo, w którym odbywały się pokazy cyrkowe.

Angkor Thom było barwnym i hałaśliwym miastem. Podczas świąt niebo rozświetlały fajerwerki, a muzyków było więcej niż wojowników. Grali na cymbałach, ręcznych dzwonkach i talerzach, na harfach i lutniach, a także na trąbach wykonanych z rogów lub muszli.

– Prawdziwa orkiestra... – mruknął Kowalski, na którym ten opis nie wywarł szczególnego wrażenia.

Gray spróbował wyobrazić sobie opisane przez monsignore miasto.

– I co stało się z tymi ludźmi? – spytał wielkolud.

Vigor potarł podbródek.

– Choć sporo wiemy o codziennym życiu mieszkańców starożytnego Angkoru, dokładne dzieje miasta nie są znane. Pisemne dokumenty powstawały na liściach palmowych i były gromadzone w świętych księgach zwanych sastras. Tak samo jak domy, nie przetrwały, toteż historia Angkoru była ustalana na podstawie badań płaskorzeźb na świątyniach. Nic dziwnego, że duża jej część nadal pozostaje tajemnicą. Nie wiadomo na przykład, co się stało z ludnością...

– Sądziłem, że kraj został zaatakowany przez Tajów, którzy zniszczyli starożytną kulturę Khmerów – wtrącił Gray.

– Tak było, ale wielu historyków uważa, że tajska inwazja była sprawą wtórną, a doszło do niej tylko dlatego, że coś nadwreżyło siły khmerskiej ludności. Istnieje teoria, według której Khmerzy osłabli militarnie z powodu przejścia na bardziej pokojową formę buddyzmu. Według innej zużył się gigantyczny system nawadniająco-irygacyjny, co uczyniło miasto podatnym na inwazję. Wiele historycznych dowodów świadczy o tym, że dochodziło tu do regularnych epidemii dżumy.

Gray próbował sobie wyobrazić opisane przez Marca Polo Miasto Umarłych. Szli tymi samymi polami śmierci co on, porośniętymi teraz przez dżunglę. Przyroda powróciła na miejsca, z których ją wyrzucano, i usunęła ślady działalności człowieka.

– Wiemy, że po śmierci Marca Polo miasto nadal istniało – mówił dalej Vigor. – Znany jest szczegółowy opis tego regionu sporządzony przez chińskiego badacza Zhou Daguana, który przejeżdżał tędy sto lat po Marcu Polo. Oznacza to, że lek, jaki zaoferowano Marcowi, pozwolił imperium przeżyć... jednak źródło wirusa również musiało przetrwać i prawdopodobnie wywoływało kolejne wybuchy epidemii, osłabiając kraj. Tajscy najeźdźcy nie oblegali Angkoru, tylko po prostu pozostawili go dżungli... Być może słyszeli złowrogie opowieści i omijali ten region, uważając, że jest przeklęty.

– Sugerujesz, że źródło wirusa cały czas tu jest? – spytała Seichan, która podeszła do nich podczas tego wykładu.

Vigor wzruszył ramionami.

– Odpowiedzi na wszystkie nasze pytania czekają w Bayon – odparł.

Przed nimi wznosiła się otoczona dżunglą góra z piaskowca. Poranne słońce zamieniało jej chropowatą powierzchnię w mozaikę wilgotnych od rosy, błyszczących występów i głębokich cieni. Dokoła najwyższego szczytu stały mniejsze, tworząc z nim całość. Świątynia przypominała kopiec termitów albo źle skonstruowaną piramidę przez stulecia siekaną deszczami, które zamieniły jej gładkie ściany w dziobatą bryłę.

Kiedy słońce zasnuła chmura, cienie się pogłębiły. Z kamiennej masy zaczęły wyłaniać się gigantyczne, tajemniczo uśmiechnięte kamienne twarze i po chwili w każdą stronę świata patrzył milczący ni to bóg, ni człowiek. To, co wydawało się jedną poszarpaną granią, okazało się grupą ciasno ustawionych wież kończących się na różnych poziomach. Każda ściana była ozdobiona kilkumetrowej wysokości podobizną Lokesvary.

– „Oświetlona pełnią księżyca, nad lasem królowała potężna góra pokryta rzeźbami tysięcy gąb demonów” – wyrecytował Vigor.

Gray poczuł na skórze lodowaty dreszcz. Dobrze pamiętał zacytowane przez Vigora słowa z tekstu Marca Polo. Tam właśnie zabierano spowiednika Marca, brata Agreeera – do pokrytej rzeźbami góry. Gray uświadomił sobie, że zwolnił kroku.

Dotarli tu śladami Marca Polo, a teraz mieli podążać za jego spowiednikiem. Dokąd udał się brat Agreeer?

Godzina 6.53

Nikt się nie odzywał. Wszyscy patrzyli na ruiny i Vigor wykorzystał tę chwilę do przyjrzenia się Grayowi i Seichan. Od momentu przybycia do Angkor Thom wyczuwał napięcie, jakie się między nimi pojawiło. Nigdy się ze sobą zbyt nie przyjaźnili, ale zawsze łączyła ich specyficzna, pełna napięcia intymność. W ciągu minionego dnia fizyczny dystans między nimi

znacznie się zmniejszył, co wskazywało na kurczenie się „prywatnej przestrzeni” ich obydwójga.

Vigor wątpił, czy którekolwiek z nich zdaje sobie z tego sprawę.

Jednak gdy wysiedli z furgonetek, doszło między nimi do polaryzacji i bardzo się od siebie odsunęli. Kiedy Seichan się odwracała, Gray obserwował ją ciężkim spojrzeniem, a ona mrużyła oczy i mocniej zaciskała wargi.

Przez cały czas trzymała się blisko Vigora, jakby potrzebowała jego wsparcia, a nie umiała poprosić o nie wprost. Jej spojrzenie nie odrywało się od ruin.

Znajdowali się już na tyle blisko Bayon, że można było dostrzec rozległość świątyni.

Miała pięćdziesiąt cztery wieże o trzech różnych wysokościach.

Ale największe wrażenie robiły twarze.

Było ich ponad dwieście.

Poranne światło przesuwawało się wraz z chmurami i wydawało się, że kamienne twarze żyją, poruszają się i obserwują zbliżających się ludzi.

– Dlaczego jest ich aż tyle? – spytała Seichan.

– Nie wiadomo – odparł Vigor. – Niektórzy twierdzą, że symbolizują czujność, strzegą sekretów. Inni uważają, że świątynia Bayon została zbudowana na starszej budowli. Archeolodzy odkryli w tym kompleksie zamurowane pomieszczenia z kolejnymi twarzami na ścianach... ukrytymi, na zawsze zamkniętymi w ciemności. – Wskazał przed siebie. – Ta świątynia została zbudowana jako ostatnia. Jej otwarcie zakończyło okres trwających wiele wieków prac budowlanych.

– Dlaczego? – spytał Gray.

– Może odkryto coś, co zniechęciło ludzi? Kiedy khmerscy inżynierowie budowali Bayon, zaczęli od głębokich wykopów. Bardzo głębokich. Jedna czwarta tej świątyni znajduje się pod ziemią.

– Pod ziemią?

Vigor kiwnął głową.

– Większość tutejszych świątyń zbudowano na planie mandali. To seria powpisywanych w siebie prostokątów otaczających okrągłą wieżę. Reprezentuje ona magiczną górę hinduskiej mitologii, górę Meru, na której mieszkają bogowie. Częściowe umieszczenie świątyni pod ziemią sprawia, że środkowa wieża przedstawia przenikanie magicznej góry od ziemi ku niebu. Wśród miejscowej ludności krąży mnóstwo historii na temat skarbów i potworności ukrytych na dolnych poziomach świątyni Bayon.

Dotarli do końca ścieżki, za którą otwierał się wielki kamienny plac. Nad nimi wznosił się masyw świątyni. Patrzyły na nich dziesiątki twarzy. Po wszystkich dostępnych poziomach budowli krążyli turyści.

Ruszyli dalej, mijając krótki rząd straganów, w których sprzedawano owoce drzewa chlebowego i tamaryndowca, mango, chińskie daktyle, a nawet melony wielkości piłki tenisowej. Między kramami biegały chude dzieciaki, śmiechem i krzykami przywracając miastu nieco gwaru, jaki musiał tu panować w starożytności. Po drugiej stronie placu na plecionych matach siedziało sześciu mnichów w szafranowych szatach – modlili się z pochylonymi głowami, nic sobie nie robiąc z duszącego dymu porozstawianych wokół nich licznych kadzideł.

Kiedy przechodzili obok nich, Vigor dodał do ich modlitw własną – prośbę o siłę, mądrość i ochronę.

Kowalski zatrzymał się przy jednym ze straganów. Stała w nim stara kobieta o twarzy okrągłej jak księżyc i w piecu węglowym piekła nabite na patyki mięso. Obok kawałków drobiu i wołowiny leżały cząstki zółwi i jaszczurek. Kowalski pociągnął nosem.

– To kraby? – zapytał, pochylając się nad rusztem.

Leżało na nim coś z wieloma odnóżami, poczerniałe i skurczone od ognia.

Kobieta pokiwała głową i uśmiechnęła się szeroko, po czym zaczęła coś szybko mówić po khmersku.

Do Kowalskiego podeszła Seichan i położyła mu dłoń na ramieniu.

– To pieczona tarantula. Bardzo popularne kambodżańskie danie śniadaniowe.

Były marynarz pokręcił głową i odsunął się od straganu.

– Dzięki... chyba pozostanę przy pączkach.

Z ruin wyskoczył makak, złapał leżącą na straganie kolbę kukurydzy i przemknął obok nich. Kowalski wzdrygnął się i tak gwałtownie cofnął, że wpadł na Graya.

Komandor złapał go za łokieć, po czym szybko spojrzał na Nassera.

– To tylko małpa – powiedział.

Kowalski strącił jego dłoń.

– Nie lubię małp... miałem z nimi złe doświadczenia. Nie chcę o tym mówić – burknął i ruszył dalej.

Vigor poprowadził ich do wschodniego wejścia świątyni. Kamienna droga już dawno zamieniła się w labirynt powyrywanych kamiennych bloków,

oplecionych wciskającymi się wszędzie korzeniami gigantycznych palm daktylowych i drzew kapokowych. Weszli do budowli wejściem prowadzącym na pierwszy poziom – cały czas uważnie obserwowani przez kamienne bodhisattwy.

Po chwili znaleźli się na otoczonym galeriami podwórku. Jego mury zdobiły skomplikowane płaskorzeźby, które zajmowały całą powierzchnię i były ułożone w poziome pasy; każdy z nich przedstawiał jakąś scenę z codziennego życia: ciągnącego sieci rybaka, zbierającego ryż wieśniaka, dwa walczące koguty, kobietę smażącą coś na węglu drzewnym podobnie jak staruszka w straganie przed wejściem – dowodząc, jak mocno przeszłość splata się tu z terażniejszością.

– Od którego miejsca zaczniemy? – spytał Gray zniechęcony perspektywą przeszukiwania czterech hektarów, jakie zajmowała świątynia.

Vigor doskonale go rozumiał. Samo zwiedzenie ogromnego labiryntu niskich przejść, pełnych łuków kolumnad, ciemnych galerii, rozświetlanych słońcem podwórek i przypominających groty pomieszczeń zajęłoby im mnóstwo czasu.

Bez trudu można było się tu zgubić.

Chyba Nasser również to wyczuwał, bo dał znak części swoich ludzi, aby ciaśniej otoczyli grupę Graya. Kilku innym kazał iść przodem, zajmując pozycje na podwórzu i obstawić wszystkie wejścia.

Vigor czuł zaciskającą mu się na szyi pętlę, ale nie mieli wyboru. Wskazał przed siebie.

– Z mapy wynika, że poziom wyżej jest kolejne prostokątne podwórze, bardzo podobne do tego. Wydaje

mi się jednak, że powinniśmy iść od razu na poziom trzeci. Do centralnego sanktuarium.

Ruszyli dalej. Kiedy mijali płaskorzeźbę na północnej ścianie, znacznie większą od pozostałych, monsignore zatrzymał się na chwilę.

Płaskorzeźba przedstawiała dwie siły – boską i demoniczną – te same, których liczne kamienne wyobrażenia umieszczono wzdłuż drogi prowadzącej do Angkoru. Dwie grupy postaci przeciągały linę – wielkiego węża. Między nimi znajdowała się osadzona na grzbiecie żółwia góra, wokół której wąż był owinięty.

– Co ta płaskorzeźba przedstawia? – zapytał Gray.

– Jeden z głównych hinduskich mitów o Stworzeniu, ubijanie oceanu mleka – odparł Vigor. – Po tej stronie są dewowie, czyli bogowie, a po tej demoniczni asurowie. Wielki wąż Vasuki służy do obracania magicznej góry. Kręcą nim tam i z powrotem, zamieniając kosmiczny ocean w mleczną pianę. Miano z niej wydobyć dzban eliksiru nieśmiertelności, amritu. Żółw znajdujący się pod górą jest wcieleniem boga Wisznu, który pomaga bogom i demonom, utrzymując górę na powierzchni oceanu. – Wskazał centralną wieżę Bayonu. – Podobno to właśnie jest ta góra. A przynajmniej jej reprezentacja na Ziemi.

Gray popatrzył na piętnastopiętrową wieżę, a potem znowu na płaskorzeźbę. Przeciągnął palcem po konturach góry.

– I co się potem stało? Wydobyto ten eliksir?

Vigor pokręcił głową.

– Nie, bo pojawiły się komplikacje. Wąż Vasuki dostał mdłości i zwymiotował straszliwą truciznę, która omal nie przyprawiła bogów i demony o śmierć. Uratował ich

wszystkich Wisznu, wypijając truciznę, ale podczas jej neutralizowania zrobił się niebieski i dlatego przedstawia się go z niebieską szycją. Ubijanie trwało dalej i w końcu wydobyto z mlecznej piany nie tylko eliksir nieśmiertelności, ale także niebiańskie tancerki zwane asparami. Tak więc wszystko skończyło się dobrze.

Dał znak, aby szli dalej, ale Gray nadal wpatrywał się w płaskorzeźbę.

Podszedł do niego Nasser.

– Czas się skończył – oświadczył, stukając telefonem w zegarek. – Doznałeś jakiegoś nagłego objawienia?

Widać było, że przepełnia go ponura radość. Dręczenie Graya sprawiało mu wyraźną przyjemność i Vigor przygotował się do interwencji, gdyby jego towarzysz ponownie nie wytrzymał i rzucił się na tamtego.

– Tak – powiedział nieoczekiwanie Gray.

Nasser gwałtownie wciągnął powietrze.

Gray położył dłoń na płaskorzeźbie.

– To nie jest mit o stworzeniu, ale opowieść o wirusie Judasza – oświadczył.

– O czym ty mówisz? – spytał zaskoczony Nasser.

Vigor najchętniej zadałby Grayowi to samo pytanie.

– Wiemy, że w Indonezji epidemia rozpoczęła się od pojawienia się w morzu świecących bakterii – odparł Gray. – Świadkowie twierdzili, że woda była spieniona i przypominała wzburzone mleko.

Vigor obszedł go, aby jeszcze raz spojrzeć na płaskorzeźbę nowymi oczami. Stał przed nią, opierając dłonie na biodrach.

Podeszła do nich Seichan. Kowalski wolał pozostać przed płaskorzeźbą przedstawiającą kobiety z nagimi piersiami.

– Uwolniona została straszliwa trucizna, która zagroziła wszystkiemu, co żyje... niezależnie od tego, czy było dobre, czy złe – mówił dalej Gray.

Seichan kiwnęła głową.

– Jak toksyczna bakteria zbierająca pokos śmierci – mruknęła.

Nasser nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Według mitu świat uratował Wisznu – dodał Gray. – Wypił truciznę, zneutralizował ją i zrobił się niebieski...

– Pewnie wyglądał wtedy, jakby świecił – wtrącił Vigor.

– Podobnie jak dziwni przybysze, których opisał Marco Polo. Jak pacjentka, o której nam mówiłeś, Nasserze. Wszyscy świecili na niebiesko.

– To zbyt duża zbieżność, aby mogła być przypadkowa – stwierdził Vigor. – A przecież wiadomo, że wiele starożytnych mitów jest opisem czegoś, co wydarzyło się naprawdę.

Gray znowu popatrzył na Nassera.

– Jeśli mam rację, jest to pierwsza wskazówka, że znajdujemy się na właściwym tropie. Informacja, że jeszcze trochę zostało nam do odkrycia.

Nasser zmrużył oczy.

– Może masz rację, komandorze Pierce. Cóż... zyskałeś następną godzinę.

Gray z trudem powstrzymał westchnienie ulgi.

– Chodźmy dalej – powiedział Nasser.

Monsignore pierwszy ruszył do pogrążonych w cieniu stromych schodów. Gray jeszcze przez chwilę

przyglądał się płaskorzeźbie. Ponownie powiódł palcem po konturze góry.

Zanim Vigor wszedł na schody, odwrócił się jeszcze do Graya i ich spojrzenia się spotkały. Dostrzegł, że Gray prawie niezauważalnie pokręcił głową.

Czyżby czegoś nie ujawnił Nasserowi?

Na twarzy Graya malowało się coś, co go mocno zaniepokoiło.

Strach.

Wyspa Natuna Besar

Godzina 7.32 czasu miejscowego

– Nie wolno im tam jechać... – jęknęła Susan.

Leżała na tylnych fotelach Morskiej strzały, co chwila tracąc i odzyskując przytomność. Była na skraju powrotu do katatonicznego stuporu. Szarpała folię termoizolacyjną, próbując ją z siebie ściągnąć.

– Leż spokojnie – powiedziała Lisa. – Ryder zaraz wróci.

Morska strzała podskakiwała na wodzie. Zacumowali w osłoniętej od wiatru zatoczce małej wyspy znajdującej się gdzieś u wybrzeży Borneo. Z niskich chmur nieustannie lał deszcz, ale mroczna wściekłość tajfunu odpłynęła w dal. Nadal dudniły grzmoty, jednak teraz dochodziły jak zza grubej zasłony.

Lisa, wciąż odrętwiała z bólu po śmierci Monka, patrzyła na zewnątrz przez owiewkę. Mogła zareagować szybciej... Albo coś wymyślić.

Z podpórki skrzydła niczym wyrzut sumienia zwisała proteza Monka. Ryderowi nie udało jej się zdjąć.

Dlaczego go jeszcze nie ma? Zatankował Morską strzałę i z garścią dolarów, które trzymał w skrytce na pokładzie, poszedł szukać telefonu.

Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Położona nieopodal wioska była opustoszała, tajfun zerwał dachy z wielu domów, wszędzie leżały poprzewracane palmy i poniszczone łodzie. W dystrybutorach paliwa nie było prądu i Ryder musiał własnoręcznie przepompowywać benzynę – mimo że przypominający zmokłego psa obsługujący stację mężczyzna w klapkach i szortach do kolan dostał gruby zwitek banknotów. Potem obaj odjechali motorem w stronę lotniska, przy którym miał być telefon.

Tropikalna wysepka Natuna Besar była wykorzystywana przez miłośników nurkowania i wędkowania. Kiedy zbliżał się sztorm, została ewakuowana i teraz sprawiała wrażenie zupełnie opustoszałej.

Przed wylądowaniem w porcie oblecieli ją i niemal wszędzie było ciemno.

– Ktoś tam musi mieć telefon satelitarny – stwierdził Ryder, kiedy zobaczył maleńkie lotnisko. – Albo będzie wiedział, jak naprawić nasze radio.

Potrzebowali paliwa, więc zdecydowali się wylądować.

W mroku kabiny twarz Susan świeciła błękitnym światłem, które zdawało się wypływać głęboko spod skóry, z kości. Po przyłożeniu dłoni do jej spoconego czoła Lisa poczuła pieczenie.

Oderwała rękę od skóry Susan. W dalszym ciągu piekła.

Co to miało znaczyć?

Opłukała dłoń wodą i wytarła ją. Pieczenie osłabło.

Popatrzyła na świecąca twarz Susan. Spowodowane kontaktem z jej skórą pieczenie było nowym zjawiskiem. Cyjanobakteria musiała zacząć wytwarzać jakąś żrącą substancję chemiczną. Piekła skórę tych, którzy jej dotykali, ale sama Susan była na nią odporna.

Co się działo?

Jakby czytając w jej myślach, Susan wyjęła rękę spod folii i wyciągnęła dłoń w stronę plamy słońca wpadającej przez okienko. W jaśniejszym świetle jarzenie się ciała przestało być widoczne.

Zdawało się, że kontakt ze światłem słonecznym ją uspokajał.

Światło słoneczne jako środek uspokajający?

Chyba raczej nie.

Lisa przeciągnęła palcem po oświetlonym fragmencie skóry Susan. Efekt był piorunujący – miała wrażenie, jakby dotknęła rozpalonego żelaza. Choć natychmiast zmoczyła palce wodą, wyskoczyły na niej bąble.

– To światło... – wymamrotała.

Przypomniała sobie, jak zachowywała się Susan, kiedy zobaczyła wschodzące słońce. Cyjanobakterie mają pewną niezwykłą cechę – jako prekursor współczesnych roślin zawierają chloroplasty, mikroskopowe „maszyny”, przemieniające światło słoneczne w energię. Wraz ze wschodem słońca cyjanobakteria się uaktywniła, energetyzując jednocześnie w jakiś sposób ciało Susan.

Po co?

Popatrzyła na leżącą na podłodze mapę nawigacyjną. Doskonale pamiętała, jak Susan bez patrzenia wskazała Angkor.

Dlaczego właśnie Angkor?

Próbowała wmówić sobie, że to przypadek, ale coraz mniej w to wierzyła. Kiedy wisiała przypięta do chirurgicznego stołu, słyszała rozmowę telefoniczną Patanjalego, z której zrozumiała tylko jedno słowo.

Angkor.

A jeżeli to nie był zbieg okoliczności?

Co jeszcze w takim razie wiedziała Susan?

Być może istniał sposób, by się tego dowiedzieć. Przysunęła się do Susan, objęła ją za ramiona i przesunęła w stronę światła wpadającego przez przednią szybę kabiny.

Kiedy twarz Susan znalazła się w jasnej plamie, chora zadrżała. Zamrugła gwałtownie, a jej źrenice skierowały się ku światłu. Nie skurczyły się jednak, ale rozszerzyły, jakby chciały wchłonąć więcej jasności.

Po chwili głowa chorej opadła.

– Liso... – jęknęła Susan.

– Jestem tutaj.

– Muszę... się tam dostać... zanim będzie za późno...

– Dokąd?

Angkor...

– Nie ma czasu – powiedziała cicho Susan.

Próbowała odwrócić oczy od światła, jakby nagle zaczęła się go bać. Była przerażona – i chyba nie tylko tym, co ich czekało. Była przerażona także tym, co działo się z jej ciałem. Choć wiedziała, co to takiego, nie mogła tego powstrzymać.

Lisa wysunęła ją z kręgu światła.

Susan natychmiast się uspokoiła i złapała ją za nadgarstek. Teraz, kiedy leżała w cieniu, jej dotyk był gorący, ale nie parzył.

– Ja... nie jestem lekarstwem – wyszeptała. – Wiem, co myślicie, ale nie jestem... jeszcze nie.

– O czym ty mówisz?

– Muszę się tam dostać. Czuję to w kościach. To jak pamięć czegoś ukrytego tuż poza granicą przypomnienia. Wiem, że się nie mylę, choć nie umiem tego wyjaśnić.

Lisa przypomniała sobie dyskusję o śmieciowym DNA, o znajdujących się w naszych genach starych sekwencjach wirusowych, o tkwiącej w naszym kodzie genetycznym kolektywnej historii genetycznej. Czyżby cyjanobakteria budziła coś w Susan?

Chora ukryła rękę w cieniu i rogiem folii zasłoniła sobie twarz. Czyżby też o tym wiedziała?

– Nie jestem gotowa... – powiedziała słabym głosem, ściskając dłoń nadgarstek Lisy. – Zawieź mnie tam... Albo świat zginie...

Rozległo się głośne pukanie i za szybą owiewki pojawiła się twarz Rydera.

Lisa zwolniła zamek wjazdu. Miliarder był przemoczony do suchej nitki, ale uśmiechał się tak radośnie, jakby wygrał na loterii.

– Znalazłem telefon satelitarny! – zawołał. – Co prawda naładowany tylko na dwadzieścia pięć procent i kosztował równowartość domku w Sydney Harbor, ale co tam!

Wzięła od niego aparat.

Ryder wrócił na fotel pilota, a ona usiadła obok. Mimo ich niewesołej sytuacji i okropnej pogody

wyglądał, jakby właśnie wrócił z pełnej fascynujących przygód wyprawy. Jego oczy błyszcząły z podniecenia, jednak malowały się w nich także powaga i twardość. Dzikie przygody mogły go bawić, ale nie osiąga się sukcesu bez pragmatyzmu.

– Sygnał będzie mocniejszy, kiedy oddalimy się od klifów – powiedział i włączył pompy pędników.

Rozległ się cichy bulgot i po chwili oddalili się od skalistego brzegu.

Lisa opowiedziała mu, co się dzieje z Susan.

„Nie jestem lekarstwem... jeszcze”.

– Angkor znajduje się jakieś dziewięćset kilometrów na północ. Możemy tam dolecieć za półtorej godziny – oświadczył.

Lisa wzięła do ręki telefon.

Musiała powiedzieć o tym jeszcze jednej osobie.

Waszyngton

Godzina 20.44 czasu miejscowego

– Lisa?! – krzyknął Painter do mikrofonu. Sygnał był bardzo słaby, jednak można się było porozumieć. Poczł zalewającą go falę radości i ulgi. Stał za biurkiem, wyprostowany jak struna. – Nic ci nie jest?

– Nie... jak na razie. Ale nie mam zbyt wiele czasu. Zaraz rozładuje mi się telefon.

– Mów – powiedział zaniepokojony tonem jej głosu.

Szybko streściła mu ostatnie wydarzenia. Przedstawiała tylko suche fakty – jakby przekazywała

komuś informację, że właśnie zdiagnozowano u niego śmiertelną chorobę. Nie udało jej się jednak całkowicie powstrzymać drżenia głosu. Painter bardzo chciał być teraz przy niej, przytulić ją i przejąć od niej wszystkie lęki.

Po wysłuchaniu opowieści o chorobie, szaleństwie i kanibalizmie opadł na fotel. Zadał kilka pytań, aby uzupełnić luki w relacji Lisy. Kiedy podała mu współrzędne wyspy Pusat, natychmiast przekazał je swojemu asystentowi. Stacjonujący w Darwin australijscy komandosi z oddziału zwalczania terroryzmu i specjalnych operacji ratunkowych czekali tylko na sygnał. Zanim ta rozmowa dobiegnie końca, w powietrzu będą odrzutowce.

– Czy wirus już się rozprzestrzenił? – zapytała Lisa.

Painter nie miał dla niej dobrych wieści. Zaobserwowano pierwsze przypadki infekcji w Perth, Londynie i Bombaju i należało się spodziewać, że wkrótce zaczną chorować ludzie w innych miejscach świata.

– Bardzo potrzebujemy tej kobiety – stwierdził na koniec. – Doktor Jennings uważa, że skoro przeżyła tę chorobę, jest kluczem do stworzenia leku.

– Owszem, Susan Tunis jest kluczem, ale nie lekiem... jeszcze nie.

– Co masz na myśli?

Choć jej westchnienie przebiegło pół świata, wyraźnie je usłyszał.

– Nie dostrzegamy w tym wszystkim czegoś ważnego. Czegoś związanego z pewnym miejscem w Kambodży.

– Mówisz o Angkorze?

– Tak. Skąd wiesz?

Opowiedział jej o wzmożonej aktywności Gildii na ścieżce historycznej i o tym, dokąd ten trop ich zaprowadził.

– Gray już tam jest? – spytała Lisa, po czym mruknęła: – Nie wolno im tam jechać – co zabrzmiało, jakby kogoś cytowała. – Czy można go jeszcze w jakiś sposób odwołać?

– Dlaczego?

– Nie... wiem... – Jej głos zaczął uciekać. – Cyjanobakteria robi coś z mózgiem Susan. Energetyzuje go, używając światła słonecznego. Chyba bardzo chce się dostać do Angkoru.

– Jak kraby...

– Słucham?

Painter powiedział jej, co wydedukowali na podstawie zachowania krabów z Wyspy Bożego Narodzenia.

Natychmiast zrozumiała implikacje tego faktu.

– Prawdopodobnie Susan została przeprogramowana w taki sam sposób. Kieruje nią wywołany chemicznie odruch migracyjny.

– Jeżeli tak, jej chęć dotarcia do Angkoru może być tylko ślepym popędem. Nie ma powodu, abyś również tam jechała. Niech Gray rozegra to po swoim.

Lisa znowu westchnęła.

– Chyba masz rację... U niższych form życia, takich jak kraby, może to być ślepy instynkt. Jak wszystkie stawonogi, kraby mają jedynie rudymmentarny...

Kiedy przerwała, Painter przestraszył się, że zostali rozłączeni.

– Lisa?

Odezwała się dopiero po kilku sekundach:

– Wydaje mi się jednak, że powinnam ją tam zawieźć.

Wiedział, że lada chwila mogą stracić łączność. Musi powiedzieć Lisie, że jeśli zamierza lecieć do Angkoru, ma trzymać się z dala od kłopotów.

– Wylądujcie na jeziorze obok ruin. Tonle Sap. Jest tam pływająca wioska. Znajdź telefon i skontaktuj się ze mną, ale nie wychodź z ukrycia. Przyślę tam naszych ludzi.

Jej następne słowa były ledwo słyszalne – chciała chyba powiedzieć, że zrobi wszystko, co w jej mocy.

– Liso, jak sądzisz, o co tu może chodzić? – zapytał.

– Nie... jestem pew... na... motylca wątro... bowa... wirus musi...

Połączenie zostało przerwane.

Painter jeszcze kilka razy zawołał „Liso!”, ale nie odpowiedziała.

Zapukano do drzwi i do gabinetu wpadła Kat. Jej oczy błyszczały, a policzki były zaczerwienione.

– Słyszałam! To była doktor Cummings, prawda?

Painter wbił w nią wzrok. Jej twarz i cała postać były jednym wielkim pytaniem. Lisa powiedziała mu o Monku na samym początku. Mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami, chcąc jak najszybciej zrzucić z siebie ten ciężar. Painter poskładał kawałki informacji, ale kiedy zobaczył przed sobą żonę Monka, pełną nadziei i miłości, nie potrafił powiedzieć jej strasznej prawdy.

Wstał i obszedł stół.

Kat cofnęła się o krok, jakby mogła uciec przed tym, co miała usłyszeć.

– O nie... – jęknęła.

Chwyciła się krzesła, ale okazało się niewystarczającym oparciem. Opadła na jedno kolano, a potem na oba i zakryła twarz dłońmi.

Painter ukląkł obok niej.

Nie miał słów, mógł ją jedynie objąć.

Zastanawiał się, ile jeszcze osób odda życie, zanim ta sprawa się zakończy.

Godzina 20.55

Harriet czekała na męża u stóp schodów prowadzących na najwyższe piętro. Stała w drzwiach klatki schodowej, a Jack przygotowywał fałszywe tropy dla ścigających ich psów. Jeszcze kilka minut temu robili to razem: rozkładali kawałki jego koszuli na dwóch niższych piętrach – wrzucali je do zamkniętych gabinetów, wciskali w sterty śmieci, wieszali na metalowych szafkach.

Jack zawsze polował – na kaczki, bażanty, przepiórki, jelenie – i przed amputacją nogi miał wiele psów, więc doskonale się na nich znał.

Cały czas miał trzy pociski w pistolecie, który odebrał wartownikowi. Harriet próbowała przekonać samą siebie, że na pewno uda im się uciec i wszystko dobrze się skończy, ale dochodzące z dołu szczekanie było deprymujące.

Annishen systematycznie sprawdzała piętro po piętrze. Doskonale wiedziała, że zbiegowie są teraz na

górze, i od czasu do czasu wykrzykiwała pod ich adresem jakieś drwiące uwagi.

Wszystkie wyjścia zostały obstawione, a sąsiednie budynki znajdowały się zbyt daleko, aby mogli na nie przeskoczyć. Nigdzie w pobliżu nie było widać świateł i okoliczne domy wyglądały na opuszczone. Nikt nie usłyszałby wołania o pomoc. Podczas ucieczki podnosili słuchawki wiszących na ścianach telefonów, ale żaden nie działał.

Pozostało im jedynie to, co uciekającym przed pożarem desperatom: droga na górę. Ale mieli przed sobą już tylko jedno piętro i dach.

Usłyszała szuranie i z mroku wyszedł Jack. Miał na sobie same bokserki, a w ręce ścisnął pistolet. Dokuśtykał do żony.

– Co ty tu jeszcze robisz? – zapytał ze złością. Jego twarz błyszczała od potu. Harriet wiedziała, że taki sposób mówienia to jedynie próba ukrycia niepokoju o nią. – Powiedziałem ci przecież, żebyś szła na górę.

– Nie bez ciebie.

Westchnął i objął ją ramieniem.

– W takim razie chodźmy.

Weszli na ostatnie piętro wąskimi schodkami. Pół piętra niżej blokował je wielki pojemnik na śmieci, więc mieli nadzieję, że nikt nie wejdzie tędy z dołu.

Przez jakiś czas powinni być bezpieczni.

Jednak po chwili usłyszeli basowy warkot, który od razu rozwiął tę nadzieję. Zza pojemnika doleciało drapanie pazurów.

Zamarli.

– Co tam czujesz? – zapytał męski głos.

Na schodach zatupały czyjeś stopy i zapaliła się latarka.

Harriet i Jack odsunęli się pod ściany.

Złowrogi warkot się nasilił.

– Ruszaj na górę – polecił mężczyzna psu. – Przeciśnij się obok tego pojemnika.

Jack pchnął Harriet w górę schodów. Poruszali się na paluszkach.

Warkot ucichł i zamienił się w głośnie węszenie, do którego dołączyło drapanie pazurami w posadzkę.

– Ty idź tędy i wypłosz ich z kryjówki – powiedział męski głos. – Ja pójde naokoło.

Z klatki schodowej wyszedł uzbrojony strażnik, szukając innej drogi na górę. Po chwili zatrzeszczało radio i mężczyzna zaczął coś mówić – najwyraźniej składał raport.

Posyłał psy na ostatnie piętro.

Ledwie Jack i Harriet ruszyli do drzwi na następnym podeście, za ich plecami rozległo się głośnie szczekanie – triumfalne i jednocześnie wściekłe.

Coś wielkiego pędziło po schodach.

– Uciekaj, Harriet!

Udało jej się dobiec do następnego podestu. Drzwi prowadzące na piętro miała metr przed sobą. Jack potknął się i zsunął z dwóch schodów. Pistolet wypadł mu z ręki i wylądował pod nogami Harriet. Podniosła go szybko. Kiedy się prostowała, dostrzegła za okienkiem w drzwiach światło.

Podskakiwały za nimi promienie latarek.

– Przeszukajmy ten poziom i schodźmy na dół! – krzyknęła Annishen. – Wykurzcie ich stamtąd!

Jack pełzł po schodach w górę. Tuż pod nim zza zakrętu wystrzelił wielki cień i rozległ się basowy warkot.

Harriet uniosła pistolet, ale się zawahała. Gdyby strzeliła, Annishen natychmiast by ich zlokalizowała.

Ogromny pies skoczył na Jacka.

Kambodża, Angkor Thom Godzina 7.58 czasu miejscowego

Gray obchodził ołtarz, a Seichan stała parę kroków z boku.

Krążyli prawie przez dwadzieścia minut, zanim odkryli drogę prowadzącą do centralnego sanktuarium na trzecim poziomie świątyni. Cały kompleks, zajmujący jakieś cztery hektary terenu, był plątaniną ciemnych galerii, zalanych słońcem podwórek, wąskich przejść i nieoczekiwanych otchłani. Niskie sufity sprawiały, że choć przez cały czas się schylali, co chwila ktoś w coś uderzał. Niektóre korytarze były tak wąskie, że musieli iść gęsiego, czasami nawet bokiem, a wiele z nich kończyło się ślepo.

Kiedy dotarli do sanktuarium, byli cali zakurzeni i złani potem. Temperatura gwałtownie wzrosła, a wilgoć prawie uniemożliwiała oddychanie.

Dotarli jednak do celu.

– Niczego tu nie ma – stwierdził Nasser.

Seichan знаła go dobrze i wiedziała, że szybko się zniechęca. Wątpiła, czy starczy mu cierpliwości do

południa. Jeżeli wkrótce nie dokonają jakiegoś znaczącego postępu, zakończy to wszystko w ciągu godziny. Każę zabić rodziców Graya i zlikwidować ich grupę, po czym ruszy dalej.

Brakowało mu wyobraźni.

Właśnie dlatego był takim nudnym kochankiem.

Gray po raz trzeci okrążał ołtarz. Był cały pokryty kurzem i brudem, włosy kleiły mu się do czoła, kilka kosmyków odstawało. Na kołnierzyku miał zaschniętą krew – w miejscu, gdzie w hotelu jeden z ludzi Nassera uderzył go pistoletem.

Ani razu nie spojrział w jej stronę.

Złościło ją to – przede wszystkim dlatego, że raniło, a nienawidziła być raniona. Spróbowała schować się w przestrzeń wypełnioną chłodną obojętnością, w którą kiedyś wchodziła bez trudu i która pozwalała zachować spokój. Był to pewien szczególny rodzaj odrętwienia, które pozwalało jej robić niemal wszystko. A sypianie z Nasserem nie należało w jej życiu do najtrudniejszych czynności.

Aby zająć myśli czymś innym, skupiła się na pilnujących ich ludziach, narzuciła sobie zadanie do wykonania, kazała myślom krążyć wokół planu ucieczki.

Strażnikami byli głównie miejscowi – dawni Czerwoni Khmerzy zwerbowani przez Gildię po upadku Pol Pota. Gdyby doszło do starcia, walczyliby do ostatniej kropli krwi. Obstawili wszystkie cztery wyjścia wychodzące na cztery strony świata, a pozostali rozproszyli się po ruinach, zniechęcając turystów do zwiedzania zabytku.

– Czytałem, że stał tu kiedyś wielki posąg Buddy – powiedział monsignore i wskazał ręką dwie prostokątne

kamienne płyty ułożone jedna na drugiej. – Ale kiedy wprowadzono hinduizm, wrzucono go do wielkiej studni, którą po drodze mijaliśmy.

Jedyną ozdobą pomieszczenia były cztery twarze bodhisattwy Lokesvary. Były zwrócone do środka pomieszczenia, patrzyły na stojącego tu niegdyś Buddę.

Kowalski niemal przystawił nos do jednej z nich i spojrzał w górę.

Centralna wieża świątyni wznosiła się nad ołtarzem na wysokość mniej więcej czterdziestu metrów. Przez jej środek biegł przypominający komin pionowy tunel, którym do środka wpadało światło.

– To musi być gdzieś tutaj – mruknął Gray i zatrzymał się. – Musi być stąd jakaś droga prowadząca na dół.

– Dokąd? – spytał Nasser.

Gray skinieniem głowy wskazał Vigora.

– Monsignore wspomniał, że fundamenty wieży znajdują się głęboko pod ziemią. Musimy się tam jakoś dostać. Podejrzewam, że warto zajrzeć pod ołtarz.

– Czemu uważasz, że to takie ważne? – spytał Vigor.

Gray otarł pot z czoła. Najwyraźniej się zastanawiał, ile ze swoich domysłów może zdradzić.

Nasser chyba to wyczuł, bo popatrzył na niego groźnie.

– Minęła kolejna pełna godzina – oświadczył i postukał palcem w zegarek. – Tik-tak, komandorze.

Gray westchnął.

– Ta płaskorzeźba, którą widzieliśmy na dole... ubijanie mleka. Ważny jest każdy element tej legendy. Wąż, spienione morze, trucizna. Ale jeden element nie pasował do pozostałych...

– Który? – spytał Nasser.

– Żółw – odparł po chwili wahania Gray.

Monsignore podrapał się po brodzie.

– Żółw reprezentuje boga Wisznu, jego inkarnację – mruknął w zamyśleniu. – Podpiera górę Meru, aby nie zatoneła w oceanie.

– Na płaskorzeźbie żółw znajdował się pod górą. Dlaczego właśnie żółw? – spytał Gray. Pochylił się i na zakurzonej ołtarzu naszkicował kontur góry, a potem dorysował pod nią żółwia. – Co ci to przypomina?



Vigor pochylił się nad szkicem.

– Jaskinię wykopaną pod górą.

Gray popatrzył na snop światła nad ołtarzem.

– A ta wieża reprezentuje górę.

Podeszła do nich Seichan.

– Sądzisz, że pod wieżą jest jaskinia? – zapytała. – Pod jej wkopanymi w ziemię fundamentami?

– Istnieje tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć... powinniśmy zejść aż do fundamentów i poszukać wejścia do jaskini – odparł Gray, nie patrząc na nią.

– Co miałyby być tak ważnego w tej jaskini? – warknął Nasser.

– Stamtąd może pochodzić wirus Judasza – wyjaśnił Vigor. – Może robotnicy dostali się do niej, gdy

przekopywano świątynię, i uwolnili go?

– Kiedy ludzie wkraczali na niezamieszkane tereny, na świecie pojawiło się wiele nowych czynników chorobotwórczych – stwierdził z westchnieniem Gray. – Żółta febra, malaria, śpiączka afrykańska. Wirus HIV także pojawił się w wyniku budowy drogi w odległej części Afryki i rozproszył po całym świecie, choć przedtem występował jedynie u nielicznych małp. Może i tu coś zostało uwolnione...

Potarł podbródek i spokojnie popatrzył na Nassera.

Zbyt spokojnie.

Seichan czuła, że coś ukrywa. Ponownie przyjrzała się jego rysunkowi. Góra i skorupa przedstawiały wieżę i jaskinię... i co jeszcze?

Po chwili dotarło to do niej.

Żółw.

Oczywiście...

Uniosła wzrok i popatrzyła na Graya.

Musiał wyczuć, o czym myśli, bo odwrócił się do niej. Zorientował się, że zrozumiała, i spojrzeniem poprosił ją, aby zachowała milczenie.

Cofnęła się o krok i skrzyżowała ramiona na piersiach.

Nasser wciągnął powietrze przez nos i kiwnął głową.

– Musimy przebić sobie drogę na dół.

– Miałem nadzieję, że znajdziemy jakieś przejście – mruknął Gray.

– Szkoda czasu na szukanie – odparł Nasser. – Po prostu wysadzimy je sobie.

– Nie jestem pewien, czy to dobre rozwiązanie – wtrącił Vigor. – Jeżeli na dole znajduje się źródło wirusa Judasza, może tam być bardzo toksycznie...

– Dlatego najpierw pošę tam was – ošwiadczył Nasser.

Jak kanarki w kopalni.

Seichan znowu skrzyłowała spojrzeie z Grayem. Oboje wiedzieli, że na dole jest coś o znacznie większym znaczeniu niż źródło wirusa Judasza.

Skorupa żółwia mogła reprezentować jaskinię – ale żółw reprezentował boga Wisznu, co sugerowało, że pod świątynią Bayon znajduje się nie tylko jaskinia. Prawdopodobnie czekało tam na nich coś, czego nikt się nie spodziewał.

Gray zrobił krok w kierunku Nassera.

– Czy okazaliśmy wystarczającą chęć współpracy, aby można było oszczędzić moją matkę przez następną godzinę?

Nasser wzruszył ramionami i podszedł do słupa światła, gdzie mógł być lepszy zasięg.

– W takim razie chyba powinienem się pospieszyć – stwierdził, otwierając kłapkę telefonu. – Pełna godzina już minęła, a Annishen nie należy do zbyt cierpliwych osób...

Waszyngton

Godzina 21.20 czasu miejscowego

Harriet zamarła.

Pies skoczył na rozciągniętego na schodach Jacka. W ciemności nie dało się określić jego rasy, widać było jednak, że jest wielki i muskularny. Pitbull albo

rottweiler. Jack przetoczył się na plecy i próbował go kopnąć, ale pies był szybszy. Zawarczał i wbił głęboko kły w jego kostkę.

Jack zgiął nogę w kolanie, a drugą kopnął zwierzę w klatkę piersiową.

Pies poleciał w dół schodów, odbijając się ciężko od krawędzi stopni i cały czas wpijając kły w protezę Jacka.

Harriet pomogła mężowi dokuśtykać do półpiętra.

Pies uderzył o ścianę i poderwał się. Nie zamierzał wypuszczać z paszczy przesyconej zapachem człowieka protezy. Wściekły i zdezorientowany targał łbem na boki, rozpryskując ślinę i machając sztuczną nogą jak maczugą.

Harriet pomogła Jackowi wycofać się na następne półpiętro. Kiedy mijali zamknięte drzwi, zajrzała przez znajdujące się w nich okienko. Na górnym piętrze w dalszym ciągu kręcili się ludzie z latarkami. Pozostawała im tylko jedna możliwość.

Dach.

Pies przez cały czas szarpał protezę.

Jack opierał się na ramieniu Harriet, podskakując na jednej nodze. Powoli zbliżali się do metalowych drzwi prowadzących na dach. Były zamknięte na łańcuch, jednak ktoś, kto wcześniej chciał wyjść na dach, odgiął ich dolny róg – prawdopodobnie łomem. Dziura była na tyle duża, że mogli się przez nią przecisnąć.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Jack zaparł drzwi kawałem metalowej rury. Wiedzieli, że ta blokada zbyt długo nie wytrzyma, ale nie miało to większego znaczenia, bo na dach można było się dostać kilkoma innymi wyjściami.

– Tędy – powiedział Jack, wskazując kierunek.

Ruszyli w stronę starej instalacji grzewczo-klimatyzacyjnej, z której rozkradziono połowę części. W jej obudowie było miejsce akurat na dwie osoby.

Nie zapewniało im to jednak bezpieczeństwa.

Psy natychmiast wyczują ich zapach.

Usiedli na starej papie na zewnątrz klimatyzatora. Na niebie świeciły gwiazdy, chmury odsłoniły też cienki sierp księżyca. Wysoko nad nimi przelatywał mrugający światełkami samolot.

Jack objął żonę.

– Kocham cię – powiedział cicho.

Harriet nigdy w to nie wątpiła, ale nawet teraz powiedział to tak, jakby stwierdzał oczywisty fakt. Tak, jak się stwierdza, że Ziemia jest okrągła.

Przytuliła się do niego.

– Ja też cię kocham, Jack.

Nie wiedzieli, ile im zostało czasu, ale poszukiwania w dole musiały się kiedyś skończyć i Annishen domyślił się, że są na dachu.

Czekali w milczeniu i choć nie padło ani jedno słowo, oboje wiedzieli, że się ze sobą żegnają.

Tam, dokąd boją się chodzić anioły

Angkor Thom, Kambodża

7 lipca, godzina 9.55 czasu miejscowego

Gray oparł się o ceglana ścianę przypominającego jaskinię pomieszczenia.

Przed wąskim wejściem trzymało straż kilkunastu ludzi z bronią w ręce. Nasser kazał całej grupie wejść do środka, a sam zajął się organizowaniem materiału wybuchowego do wysadzenia ołtarza.

Gray spojrział na zegarek. Tkwili tu już od godziny.

Najwyraźniej coś zdenerwowało Nassera i raczej nie było to opóźnienie w dostawie materiałów wybuchowych. Kiedy uwięził ich w ceglanej celi, pobiegł dokądś z telefonem przy uchu. Mówił coś o statku – rozmowa musiała dotyczyć naukowej części operacji Gildii.

Widocznie coś poszło nie tak.

Ale co to oznaczało dla nich?

Odepchnął się od ściany i zaczął chodzić po pomieszczeniu.

Seichan siedziała na kamiennej ławie obok Vigora, a Kowalski stał w pobliżu wejścia. Jeden z wartowników

celował do niego z karabinu, ale olbrzym nie zwracał na to uwagi.

– Właśnie widziałem gościa z wielkim młotem – mruknął, kiedy Gray podszedł do niego.

– Lada chwila będą gotowi – stwierdził Vigor i wstał z ławy.

– Co im zajęło tyle czasu?

– Płacenie łapówek – odparła Seichan. – Ludzie Nassera opróżniają ruiny z turystów. Wygląda na to, że Gildia wynajęła całą świątynię, aby dokończyć przyjęcie we własnym gronie. To bardzo biedna okolica i niewiele trzeba, aby miejscowe władze na chwilę przymknęły oko na to czy tamto.

Nietrudno się było tego domyślić, bo strażnicy już od pewnego czasu w ogóle nie ukrywali, że są uzbrojeni.

Vigor położył dłoń na kolumnie przy wejściu.

– Musiał przekonać Gildię o potrzebie dalszego badania ścieżki historycznej...

Jednak Gray podejrzewał, że chodzi o coś więcej. Nasser za bardzo się zdenerwował rozmową telefoniczną na temat statku. Jeżeli coś złego przytrafiło się znajdującym się na nim naukowcom Gildii, tym ważniejsza okaże się strona historyczna.

Chwilę później jego podejrzenia zostały potwierdzone.

Nasser precyzyjnie przeliczył się między wartownikami. Wściekłość sprzed godziny zastąpiła zwykła zimna przebiegłość.

– Jesteśmy gotowi do działania. Ale zanim zaczniemy, chciałbym zauważyć, że minęła kolejna pełna godzina.

– Byliśmy przez cały czas zamknięci – odparł Vigor. – Nie może pan od nas oczekiwać, abyśmy w takich

warunkach zdobywali nowe informacje.

Nasser uniósł brew.

– To nie mój problem, ale Annishen robi się coraz bardziej niecierpliwa. Chyba potrzebuje rozrywki.

– Proszę... – jęknął Gray.

W oczach Nassera zamigotało rozbawienie.

– Nie bądź palantem, Amenie – wycedziła Seichan. – Jeżeli rzeczywiście zamierzasz to zrobić, po prostu zrób to.

Gray zacisnął pięść, z trudem pohamowując chęć odwrócenia się i uderzenia jej. Jeszcze nie nadszedł czas na walkę.

Czoło Nassera się zachmurzyło. Uniósł dłoń i potarł je, próbując się uspokoić, po czym odwrócił się i bez słowa ruszył do wyjścia.

– Nasser! – krzyknął Gray.

– Jeżeli również i ta godzina nie przyniesie żadnych efektów, każę obciąć twojej matce znacznie więcej niż palec – oświadczył Nasser, nie odwracając się. – Najwyższy czas mocniej cię przypiec, komandorze.

Dał wartownikom znak, aby wyprowadzili więźniów.

Kiedy Seichan mijała Graya, trąciła go lekko w ramię.

– Sprawdzalam go – powiedziała cicho, nie zatrzymując się.

Przyspieszył kroku, żeby się z nią zrównać.

– Blefował... jestem tego pewna – dodała, nie odwracając głowy w jego stronę.

Zagryzł usta, z trudem powstrzymując wybuch. Nie miała prawa ryzykować życia jego rodziców.

Zerknęła na niego kątem oka i grzbietem dłoni musnęła jego rękę.

– Może powinieneś się zastanowić, dlaczego blefował?

Było to dobre pytanie. Wyciągnął palec, chcąc dotknąć jej nadgarstka i dać znak, że docenia tę uwagę, ale zdążyła już odejść.

Nasser zaprowadził ich do centralnego sanktuarium. Zespół burzący wykonał tu kawał ciężkiej roboty. W podwójnej płycie z piaskowca wywiercono otwory, z których wychodziły przewody zbiegające się w gruby warkocz. Przy każdym z czterech wejść stał wartownik z gaśnicą na plecach.

Czyżby zamierzali tu coś palić lub gasić?

Nasser rozmawiał z bardzo niskim, przypominającym karła mężczyzną, który miał na sobie pełną narzędzi kamizelkę, a na ramieniu zwój przewodu – prawdopodobnie był głównym saperem. Po chwili karzeł kiwnął głową.

– Jesteśmy gotowi – oświadczył Nasser.

Wyprowadzono więźniów zachodnim wyjściem i ustawiono ich za rogiem.

– Eksplozja może spowodować, że wszystko zwali się nam na głowy – mruknął Vigor.

– Wiemy o tym, monsignore – odparł Nasser, po czym przyłożył radio do ust i wydał jakiś rozkaz.

Chwilę później rozległo się basowe tąpnięcie przypominające grzmot. Poczuli potężną falę uderzeniową, błysnęło i przez pomieszczenie przetoczyła się chmura ostrego, kwaśnego smrodu, gryzącego w nosie i gardle.

Vigor zakaszłał, a Gray zamachał dłonią przed twarzą.

– Co to było? – spytał Kowalski i splunął, próbując pozbyć się paskudnego smaku.

Nasser nie odpowiedział i ruszył za jednym ze swoich ludzi. Mężczyzna nasunął na twarz maskę i uruchomił gaśnicę. Z końcówki rury wystrzeliła gęsta mgła, opryskując podłogę, ściany i sufit. Wąski korytarz wypełnił się chmurą proszku, który pokrywał każdy centymetr powierzchni.

Nasser wprowadził więźniów z powrotem do wejścia.

Do środka wchodzili kolejni ludzie z gaśnicami. Wydobywająca się z nich gęsta mgła sprawiała, że po chwili w pomieszczeniu niczego nie można było dostrzec.

Po niecałej minucie opryskiwanie zostało zakończone i pył zaczął osiadać. Choć w powietrzu unosiła się jeszcze lekka mgielka, widać było wpadające z zewnątrz światło słoneczne.

– To środek zobojętniający – wyjaśnił Nasser i starł pył z twarzy.

– Co zobojętnia? – spytał Gray.

– Kwas. Materiał kruszący zawiera ładunek uwalniający kwas korodujący. Wynaleziony przez Chińczyków podczas budowy Tamy Trzech Przełomów. Minimum wstrząsu, maksimum zniszczenia.

Kiedy Gray wszedł do sanktuarium, szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Wszystkie ściany pokrywał biały proszek, a rysy twarzy czterech bodhisattw wyglądały, jakby się rozpuściły. To, co jeszcze niedawno było twarzami, zamieniło się w płaty żużla. Podłogi sprawiały wrażenie, że obrobiono je piaskarką.

Oświetlany z góry centralny ołtarz niemal zupełnie zapadł się w podłogę.

A więc w dole również musiało być jakieś pomieszczenie.

Do sali wszedł kolejny członek ekipy burzącej – z wielkim młotem. Nasser dał mu znak, aby podszedł bliżej. Za nim pojawił się drugi z wiertarką udarową.

Pierwszy robotnik zamachnął się młotem i uderzył w środek płyty. W miejscu uderzenia wystrzelił snop iskier i potężny piaskowiec ustąpił.

Kawały ołtarza zaczęły się zapadać jeszcze głębiej.

Godzina 10.20

Susan krzyknęła i tak wygięła się do przodu, że mało brakowało, a spadłaby z siedzenia.

Lisa, przypięta do fotela drugiego pilota, natychmiast odwróciła się w jej kierunku. Jeszcze przed chwilą obserwowała powierzchnię wielkiego jeziora, nad którą krążyła Morska strzała, przygotowując się do lądowania. Przy jego brzegu znajdowała się pływająca wioska – mieszanina wietnamskich dżonek i łodzi mieszkalnych.

Tam właśnie Painter kazał im się ukryć. Wioskę dzieliło od Angkoru nieco ponad trzydzieści kilometrów.

Lisa odpięła pasy, po czym ruszyła do wrzeszczącej i szarpiącej się wściekle Susan.

– Za późno! – krzyczała chora. – Spóźniliśmy się!

Lisa poprawiła folię, którą Susan była owinięta, i spróbowała ją zmusić do położenia się. Przez całą

podróż spokojnie spała. Co się nagle mogło stać?

Chora wyciągnęła rękę i złapała Lisę za ramię. Jej dotknięcie parzyło, paliło włoski na skórze.

Lisa wyszarpnęła rękę.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała.

Susan usiadła. Szaleństwo w jej oczach zaczęło gasnąć, ale w dalszym ciągu drżała na całym ciele. Przełknęła ślinę.

– Musimy się tam dostać – oświadczyła.

– Zaraz lądujemy – powiedziała Lisa.

Morska strzała zaczęła opuszczać dziób.

– Nie!!! – krzyknęła Susan i znowu wyciągnęła rękę, schowała ją jednak pod folię, kiedy zauważyła, że Lisa się cofnęła. Popatrzyła jej w oczy. – Jesteśmy za daleko. Wiem, jak to brzmi, ale pozostało już tylko parę minut. Najwyżej dziesięć, piętnaście.

– Na co?

Lisie przypomniała się rozmowa z Painterem i to, co mówił o krabach z Wyspy Bożego Narodzenia – o chemicznie wywołanych zmianach neurologicznych wzbudzających niepowstrzymany pęd migracyjny. Co te same związki chemiczne mogły spowodować w znacznie bardziej skomplikowanym mózgu człowieka? Czy można było ufać reakcjom Susan?

– Jeżeli się tam natychmiast nie dostanę... – jęknęła chora, kręcąc głową. – Oni coś otworzyli... wiem... czuję to głęboko w środku. Jeżeli nie dotrę tam na czas, nie będzie ratunku...

Lisa popatrzyła na Rydera.

Jezioro w dole rosło szybko.

– Nie prosiłam się o to... – wymamrotała Susan.

W jej głosie słychać było głębokie cierpienie, a na twarzy malowały się strach, żal i rozpacz. Straciła męża i cały świat, w którym do tej pory żyła.

Złożyła dłonie.

– Przecież nie jestem krabem. Nie widzisz tego?

Lisa odwróciła się do Rydera.

– Zwiększ wysokość! – krzyknęła.

– Co?

Uniosła kciuk.

– Nie ląduj! Musimy dostać się bliżej ruin! – Złapała się oparcia fotela i podpełzła do przodu. – Przez Siem Reap płynie rzeka!

Opadła na fotel drugiego pilota. Podczas lotu dokładnie przeanalizowała mapę i wiedziała, że do miasta mają jeszcze około dziesięciu kilometrów.

Ostrzeżenie Susan dudniło jej w uszach.

„Pozostało już tylko parę minut. Najwyżej dziesięć, piętnaście”.

Czy zdążą dotrzeć wystarczająco blisko? Czują, że ogarnia ją coraz większy niepokój. Dopiero po chwili zrozumiała, co było jego przyczyną.

W jej głowie rozjarzyły się ostatnie słowa Susan: „Nie jestem krabem”.

Susan nie wiedziała, co się dzieje z krabami na Wyspie Bożego Narodzenia. Lisa nie rozmawiała o tym nawet z Ryderem. Ale może – choć w katatonii – usłyszała coś z jej telefonicznej rozmowy z Painterem?

Rozłożyła mapę.

Potrzebowali miejsca do lądowania położonego jak najbliżej świątyni – rzeki albo jeziora.

– Może tutaj! – zawołała, podsuwając mapę Ryderowi.

– O co chodzi, skarbie? – zapytał.

Postukała w mapę.

– Możesz tu wylądować?

– Oszalałaś?

Być może powinna odpowiedzieć twierdząco.

Po chwili Ryder uśmiechnął się szeroko.

– A co mi tam! Spróbujmy! – Wyciągnął rękę i poklepał ją po udzie. – Podoba mi się twoje podejście do tego wszystkiego. I ty sama też.

Lisa opadła na oparcie fotela. Kiedy Painter się o tym dowie...

Waszyngton

Godzina 23.22 czasu miejscowego

– Panie dyrektorze, sygnał GPS, który kazał pan śledzić, schodzi z kursu – powiedział technik.

Painter odwrócił się do niego.

Od jakiegoś czasu koordynował działania z australijskim oddziałem antyterrorystycznym i specjalnym oddziałem ratunkowym. Oba oddziały piętnaście minut temu dotarły na wyspę Pusat, kierując się podanymi przez Lisę współrzędnymi. Pierwsze informacje były bardzo niepokojące. Mistress of the Seas płonęła, oplątana siecią i stalowymi linami. Statek miał prawie czterdzieści pięć stopni przechyłu, a na pokładzie wciąż trwała walka z pożarem.

Kat siedziała obok Paintera – ze słuchawkami na uszach, które przytrzymała obydwoma rękami. Oświadczyła, że nie pójdzie do domu, dopóki nie upewni

się co do losu męża. Miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy, ale nie traciła nadziei. Może Monkowi jakimś sposobem udało się uratować.

Technik wskazał ekran, na którym widać było płaskowyż w północno-zachodniej części Kambodży. Znajdowało się na nim wielkie jezioro. Po ekranie sunęła linia malutkich kropeczek pokazująca przemieszczanie się Morskiej strzały.

Jeszcze przed chwilą hydroplan krążył przy brzegu – teraz jednak oddalał się od jeziora.

– Dokąd oni lecą? – spytał Painter.

Patrzył jeszcze przez kilka sekund na ekran, przeciągając palcem po trajektorii pojazdu – celem Morskiej strzały było miasto Angkor.

Co oni wyprawiali?

Nagle jego uwagę zwróciło jakieś zamieszanie przy drzwiach. Do pokoju wjechał jego asystent i tak gwałtownie zahamował wózkiem, że koła zapiszczały na linoleum.

– Panie dyrektorze, próbowałem się z panem porozumieć, ale nie mogłem... – wysapał. – Pomyślałem, że pewnie konferuje pan z Australią.

Wziął leżący na kolanach faks i podał mu go.

Painter rzucił szybko okiem na tekst, po czym ruszył do drzwi. Zanim wyszedł, zatrzymał się jeszcze i odwrócił do Kat.

– Poradzę sobie – uspokoiła go.

Popatrzył na mapę Kambodży i sunące w kierunku Angkoru punkciki.

Liso, mam nadzieję, że wiesz, co robisz, pomyślał ponuro.

Wypadł z pokoju i pobiegł do swojego gabinetu.

Kambodża, Angkor

Godzina 10.25 czasu miejscowego

– Trzymajcie się! – ostrzegł ich Ryder.

Lisa wpiła się dłońmi w podłokietniki.

Przed nimi rosły wieże Angkor Wat. Nie kierowali się jednak na główną świątynię.

Ryder zanurkował w stronę pasa wody ciągnącego się wzdłuż jednego z boków budowli. Cała fosa miała mniej więcej sześć i pół kilometra długości, a jej dwa proste odcinki o długości ponad półtora kilometra każdy biegły po obu stronach świątyni.

Był tylko jeden problem.

– Most! – krzyknęła Lisa.

– Coś takiego nazywasz mostem? – zdziwił się Ryder.

Trzymał w zębach cygaro, wypuszczając dym kącikiem ust. Było to jedyne cygaro, jakie znajdowało się na pokładzie – przeznaczone właśnie na takie okazje, bo przecież nawet skazaniec ma prawo do ostatniego szluga.

Leciał nad samą fosą, tuż nad mostkiem.

Kiedy go mijali, Lisa wstrzymała oddech, a przechodzący nim turyści rozpierzchli się na wszystkie strony.

Zaraz za mostkiem Ryder opuścił dziób Morskiej strzały i musnął powierzchnię wody, wyrzucając do tyłu wysoką fontannę. Kiedy samolot zamienił się w łódź, prędkość niewiele zmalała. Siła bezwładności pchała ich ku załamaniu fosy, ale płynęli zbyt szybko, aby móc wejść w zakręt.

Pędzili prosto na stromy brzeg.

Ryder chwycił wystającą z podłogi dźwignię.

– Trzymajcie się mocno! To się nazywa manewr Hamiltona!

Wydmuchnął kłęb dymu i pociągnął dźwignię.

Morska strzała zawirowała, jakby znajdowali się na lodzie, i obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Ryknęły silniki i pędniki plunęły wodą, gwałtownie spowalniając jednostkę.

Lisa siedziała skulona, spodziewając się nieuniknionego zderzenia z brzegiem.

Ryder obrócił ster i ustawił Strzałę bokiem do brzegu. Kadłub wzbil wysoką falę, która odbiła się od stromizny i sprawiła, że łódź tylko lekko dotknęła brzegu, po czym się zatrzymała.

Ryder westchnął, wypuścił długi strumień dymu i wyłączył silniki.

– Fajna zabawa!

Lisa szybko odpięła pasy i ruszyła do Susan.

– Pospiesz się! – ponagliła ją chora.

Lisa pomogła jej rozpiąć pas, a Ryder otworzył właz.

– Wiesz, co masz robić? – spytała go Lisa, kiedy brnęli przez płytką wodę do brzegu.

Ze wszystkich stron dobiegały krzyki przestraszonych turystów.

– Mówiłaś mi to już chyba szesnaście razy. Mam znaleźć jakiś telefon i zadzwonić do twojego szefa.

Wspięli się na brzeg, do biegnącej wzdłuż fosy drogi. Susan przez cały czas była owinięta termoizolacyjną folią, założyła też okulary przeciwsłoneczne.

Ludzie zaczęli pokazywać ich sobie palcami.

Ryder zatrzymał motocykl ciągnący mały zadaszony wózek. Używając znanego na całym świecie języka,

wyciągnął zwitek pieniędzy. Prowadzący pojazd tubylec gwałtownie skręcił i ruszył w ich stronę.

Ryder pomógł Lisie i Susan wsiąść do wózka.

– Jedźcie prosto do świątyni, ale bądźcie ostrożne.

– A ty jak najszybciej skontaktuj się z Painterem.

Machnął ręką, żeby jechały.

Po chwili Lisa zobaczyła, że okrążają go policjanci na motocyklach.

Nikt nie zwracał uwagi na tuk-tuka.

Susan mocniej zacisnęła owijający ją kokon.

– Szybciej...

Godzina 10.35

Gray klęczał na ziemi i zaglądał przez krawędź do okrągłego szybu. Z głębokości mniej więcej dwunastu metrów patrzyły na niego kamienne oczy. W wielkim bloku piaskowca wykuto kolejną twarz bodhisattwy. Prostokątny snop światła, wpadający przez otwór w szczycie wieży świątyni, pełen drobinek kurzu, oblewał leżącą poziomo kamienną twarz ciepłymi żólciami.

Tajemniczy uśmiech zapraszał.

Z krawędzi szybu zrzucono speleologiczną drabinę wykonaną ze stalowej linki i aluminiowych szczebelków. Rozwinęła się z głośnym terkotem i po chwili metalowa konstrukcja uderzyła o dno kamiennej jamy. Od góry przytrzymały ją wbite w resztki ołtarza haki.

Nasser podszedł do Graya.

– Pójdiesz pierwszy. Za tobą będzie szedł jeden z moich ludzi, a twoi zostaną na górze.

Gray starł z dłoni pył, wstał i podszedł do drabinki. Opierający się o ścianę Vigor miał kwaśną minę – był archeologiem i wszystko, co tu się działo, uważał za świętokradztwo.

Stojący obok niego Kowalski i Seichan z rezygnacją czekali na swój los.

Gray skinął im głową i zaczął schodzić. Spodziewał się, że powietrze będzie zapyłone, ale było czyste i raczej wilgotne. Do głębokości dziesięciu metrów schodził dwumetrowej średnicy studnią wyłożoną kamiennymi blokami. Na ostatnich trzech metrach ściany ostrym skosem odchodziły na boki, tworząc okrągłą jaskinię o średnicy jakichś dwunastu metrów.

– Idź tak, żeby było cię widać! – krzyknął Nasser.

Gray uniósł głowę i popatrzył na wycelowany w niego krąg luf, a potem na schodzącego za nim najemnika. Po chwili zeskoczył z drabinki i wylądował przy kamiennej twarzy bodhisattwy.

Rozejrzał się. Sklepienie jaskini wspierały cztery równomiernie rozstawione potężne kolumny, które prawdopodobnie były elementami nośnymi wieńczącej świątynię wieży. Przypuszczenie to potwierdzał fakt, że pod stopami nie było kamiennych bloków – podłoga została wycięta w litym wapieniu. Była to podstawa góry, fundament świątyni Bayon.

Pobrzękiwanie drabinki ponownie zwróciło uwagę Graya na zbliżającego się najemnika. Przez chwilę się zastanawiał, czy się na niego nie rzucić i nie zabrać mu broni, ale nic by to nie dało, bo przecież Nasser miał jego

rodziców i przyjaciół. Podszedł do wykutej w podłodze twarzy i obejrzał ją dokładnie. Tak samo jak w przypadku pozostałych, również i tę wyrzeźbiono w ogromnym bloku piaskowca.

Na pierwszy rzut oka nie różniła się niczym od twarzy, które widzieli w innych częściach świątyni: miała tak samo uniesione kąciki ust, tak samo szerokie czoło i nos, tak samo głęboko osadzone złowrogie oczy.

Żołnierz zeskoczył z drabinki, podeszwy jego butów łupnęły o posadzkę.

Kiedy Gray się prostował, kątem oka dostrzegł nowy szczegół w kamiennej twarzy.

W jej oczach było coś dziwnego – w miejscu źrenic znajdowały się ciemne kręgi, których nie rozświetlało nawet światło słoneczne.

Aby przyjrzeć się temu bliżej, Gray musiał pochylić się nad rzeźbą. Sprawdził „źrenicę” palcem.

– Co robisz? – zawołał z góry Nasser.

– Tu są otwory! Zostały wywiercone w miejscach, gdzie powinny być źrenice. Według mnie przechodzą na wylot.

Po zniszczeniu ołtarza światło dotarło do twarzy bodhisattwy – czy to możliwe, żeby wnikało jeszcze głębiej?

Wpełzł na kamienną twarz i rozpląszczył się na niej. Zasłonił sobie jedno oko i spróbował zajrzeć w źrenicę kamiennego boga. Jego wzrok potrzebował kilku sekund, aby się zaadaptować.

Po chwili dostrzegł w dole tafłę wody oświetlaną światłem wpadającym przez drugą źrenicę boga. W wyobraźni natychmiast ujrzał jaskinię ukształtowaną jak skorupa żółwia.

– Co widzisz? – zapytał Nasser.

Gray odturlał się na bok.

– Jaskinię! Pod kamienną twarzą!

Tak samo jak poprzednia, również i ta płaskorzeźba pilnowała ukrytego wejścia.

Gray przypomniał sobie wcześniejsze słowa Vigora: „Niektórzy uważają, że te twarze symbolizują czujność, strzegą sekretów”.

Jednocześnie przypomniał sobie znacznie starsze słowa – zawarte w ostatniej linijce napisanego przez Marca Polo tekstu.

Słowa te mogły zmrozić krew w żyłach:

„W tamtym mieście otworzyła się brama do Piekła, ale nie wiem, czy została kiedykolwiek zamknięta”.

Spojrzał w górę, na wysadzony ołtarz.

Została zamknięta, Marco.

Ale teraz zamierzali ją znowu otworzyć.

Godzina 10.36

Tuk-tuk zatrzymał się na końcu utwardzonej drogi i Lisa wysiadła.

Nieco dalej znajdował się kamienny plac. Wiele kamiennych bloków było powyrywanych przez korzenie gigantycznych drzew. Za placem wznosiła się otoczona dżunglą świątynia Bayon – poszarpany kompleks wież ozdobionych pokruszonymi kamiennymi twarzami częściowo pokrytymi warstwą porostów.

Na placu było niewielu turystów. Do ich tuk-tuka podeszła para Japończyków, najwyraźniej zamierzając przejąć go po poprzednich pasażerach. Mężczyzna skłonił się Lisie, uniósł rękę w kierunku świątyni i zaczął mówić coś po japońsku.

Lisa pokręciła głową, że nie rozumie.

Mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem i powiedział po angielsku:

– Zamknięte.

Zamknięte?

Pomogła wysiąść Susan przez cały czas owiniętej folią. Z twarzy chorej widać było tylko okulary słoneczne. Kiedy ją podtrzymywała, czuła drżenie jej ciała.

Japoński turysta wskazał tuk-tuka, pytając na migi, czy jeszcze będą z niego korzystać. Lisa pokręciła głową i obie pokuśtykały labiryntem kamiennych bloków. Nawet z tej odległości można było dostrzec mężczyzn kręcących się po świątyni: opierali się o ściany, blokowali wejścia, patrolowali korytarze. Wszyscy mieli na sobie mundury w kolorze khaki i czarne berety.

Kambodżańska armia?

Susan ciągnęła Lisę do przodu, kierując się w stronę wschodniej bramy. Pilnowało jej dwóch mężczyzn w beretach, z karabinami na ramionach. Twarz mężczyzny stojącego z lewej strony, Kambodżanina, była z jednej strony pocięta głębokimi bliznami. Drugi, podobnie ubrany, rasy białej, miał ogorzałą cerę i rzadką, rosnącą kępkami brodę. Wzrok obydwu wartowników był twardy jak stal.

Nie byli to żołnierze kambodżańskiej armii, ale najemnicy.

– Gildia... – szepnęła Lisa, przypominając sobie, co Painter mówił na temat Graya.

Już tu są.

Szarpnęła Susan, próbując ją zmusić do zatrzymania się, ale ona wyrwała się i szła dalej.

– Nie możemy oddać cię Gildii...

Zwłaszcza teraz, kiedy Monk poświęcił własne życie, żeby cię uwolnić.

– Nie ma wyboru... muszę... bez lekarstwa wszystko będzie stracone. – Głos Susan był przytłumiony folią, ale wyraźnie słyszalny. – Trzeba wytworzyć lekarstwo.

Lisa nie spierała się z nią. Dobrze pamiętała ostrzeżenie Patanjalego i słowa Paintera. Zaraza już się rozprzestrzeniała i świat potrzebował antidotum. Musiało zostać stworzone, nawet gdyby miało trafić do rąk Gildii. Potem będzie można zająć się resztą.

– Jesteś pewna, że nie ma innego sposobu? – spytała Lisa.

– Dałabym wszystko za to, żeby był – odparła drżącym z niepokoju głosem Susan. – Może już jest za późno.

Delikatnie odsunęła dłoń Lisy i zataczając się, ruszyła dalej.

Lisa poszła za nią.

Po chwili znalazły się przy bramie. Lisa nie wiedziała, co zrobić, aby je wpuszczono, ale Susan najwyraźniej miała jakiś plan.

Zrzuciła chroniącą ją folię. W słońcu jej skóra nie różniła się niczym od skóry przeciętnego człowieka, może była jedynie nieco bledsza. Chora zdjęła okulary i spojrzała prosto w słońce.

Kiedy jego promienie dotknęły jej źrenic i pomknęły nerwem wzrokowym do mózgu, Susan zadrżała.

Okazało się to jednak niewystarczające.

Rozerwała guziki bluzki i ściągnęła ją z siebie, aby wystawić więcej skóry na działanie słońca. Rozpięła spodnie, a ponieważ długotrwała katatonia bardzo wychudziła ciało, natychmiast opadły. Podeszła do strażników ubrana tylko w biustonosz i majtki.

Stojący przy bramie mężczyźni zagroźli jej drogę i Kambodżanin warknął:

– D'tay! Bpel k'raowee!

Susan zignorowała go i szła dalej.

Drugi z wartowników złapał ją za ramię i jego twarz natychmiast stężała z przerażenia. Cofnął dłoń – była czerwona, jakby oblano ją wrzawką, a z czubków palców kapłała krew. Zrobił dwa kroki do tyłu i uderzył plecami o mur.

Kambodżanin poderwał karabin i wycelował go w potylicę Susan.

– Nie strzelaj! – krzyknęła Lisa.

Wartownik odwrócił się do niej.

– Zaprowadź nas... – Urwała, próbując przypomnieć sobie nazwisko, które wymienił Painter. – Zaprowadź nas do Amena Nassera.

Godzina 10.48

– Spójrz na to! – zawołał Vigor ze zdumieniem.

Gray stał kilka metrów z tyłu i przyglądał się jednej z kolumn. Nie były to właściwie kolumny, ale poukładane jeden na drugim kamienne okrągłaki o średnicy mniej więcej metra i grubości trzydziestu centymetrów. Na ich powierzchni można było wyczuć palcami głębokie pęknięcia.

Kowalski i Seichan znajdowali się w środku pomieszczenia, przy kamiennej twarzy. Patrzyli, jak ludzie Nassera przygotowują kamienny blok do wysadzenia.

Kiedy zawyło diamentowe wiertło, zamknięte pomieszczenie wypełniło się rozrywającym uszy piskiem. W kamiennej twarzy powstawał kolejny otwór o średnicy nieco ponad dwóch centymetrów i głębokości trzydziestu. Wkładano w nie ładunki – miało ich być dwa razy więcej, niż użyto do wysadzenia ołtarza. Z krawędzi szybu zwisały liny, na których spuszczano sprzęt i materiały wybuchowe.

Pracujących oświetlało jasne światło słoneczne.

Vigor nie mógł spokojnie oglądać okaleczania zabytku. Stał odwrócony plecami do środka pomieszczenia i przyglądał się ścianie. Ponieważ było przy niej bardzo ciemno, dano mu latarkę, aby szukał wejścia do podziemnej jaskini. Niechętnie pomagał Nasserowi, ale miał nadzieję, że jeśli znajdzie prowadzącą na dół drogę, pozwoli to zmniejszyć stopień zniszczenia świątyni.

Nie dano mu jednak zbyt dużo czasu.

Dziesięć minut.

Podczas gdy jego ludzie pracowali, Nasser wyszedł z szybu. Sprawdził, czy telefon łapie sygnał, po czym

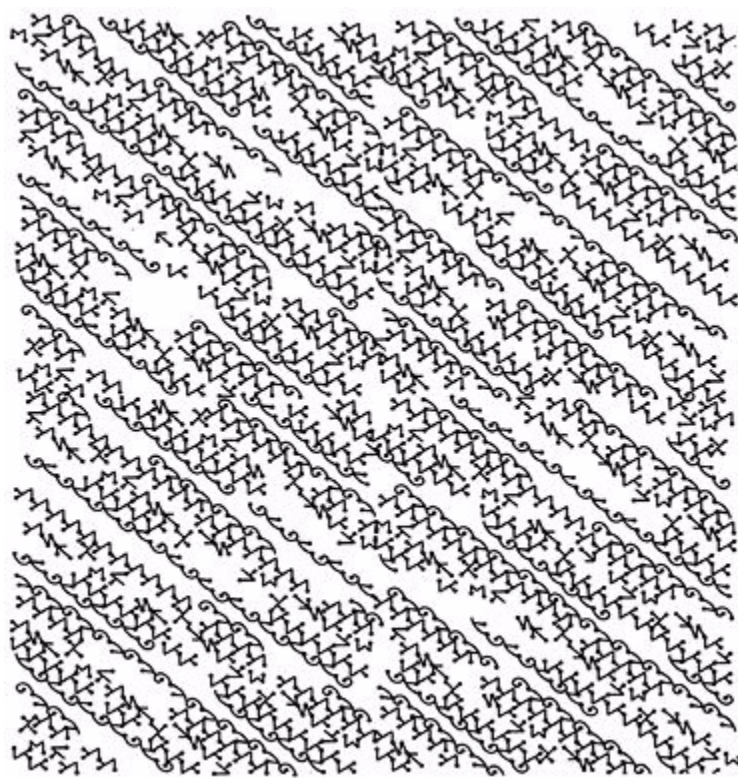
ruszył na górę, dając polecenie, że kiedy wróci, wszystko ma być przygotowane.

Gray podszedł do monsignore.

– No i co? Znalazłeś drzwi? – zapytał.

– Nie – odparł Vigor, który zdążył już obejść całą jaskinię. Najwyraźniej droga na dół prowadziła tylko przez twarz Lokesvary. – Ale odkryłem to...

Zaczekał, aż minie ich patrolujący teren wartownik, po czym przystawił latarkę do ściany w taki sposób, żeby świeciła w górę. Płaszczyzna, która pojawiła się w świetle, wyglądała jak poorana. Przypominało to nieco płaskorzeźby, nie były to jednak postacie, ale szeregi powyginanych i splecionych ze sobą linii.



– Co to? – spytał Gray, wyciągając dłoń, aby pomacać ścianę.

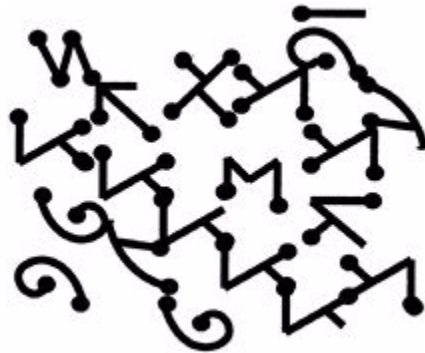
Podeszli do nich Seichan i Kowalski.

Vigor przekręcił główkę latarki, poszerzając snop światła.

– Z początku sądziłem, że to dekoracje. Te znaki pokrywają całe ściany – dodał i powiódł wokół ręką. – Wszystkie powierzchnie.

– Ale co to takiego, do diabła? – mruknął Kowalski.

– Na pewno nie ma nic wspólnego z diabłem – odparł Vigor. – Przyjrzyjcie się temu dokładnie.



Gray przysunął nos do ściany i zaczął wodzić palcem po wzorkach.

– To ciągi symboli z języka aniołów... – mruknął po chwili.

Seichan przysunęła się do niego.

– Przecież to niemożliwe. Anielskie pismo zostało stworzone w szesnastym wieku.

– Właśnie... przez Johannes Trithemiusa – potwierdził Vigor.

– Więc skąd się tu wzięło? – spytał Gray.

– Nie mam pojęcia. Może dawno temu Watykan posłał kogoś do Kambodży, żeby podobnie jak my prześledził drogę Marca Polo? Może ten ktoś przywiózł kopię tych naściennych napisów, a Trithemius jakoś do

nich dotarł i na ich podstawie stworzył swój alfabet? Może znał opowieść Marca Polo o świecących jak anioły postaciach i uznał, że to pismo również pochodzi od aniołów?

– Ale nie wierzysz w tę wersję? – spytał Gray i odszedł kilka kroków od ściany, przez cały czas uważnie jej się przyglądając.

– Trithemius twierdził, że anielskie pismo ukazało mu się po wielu tygodniach postu i medytacji – odparł Vigor. – Moim zdaniem to prawda.

Seichan prychnęła.

– I przypadkiem przyśniły mu się symbole, które wyglądają dokładnie tak samo jak te napisy?

– Tak właśnie uważam. Pamiętasz, jak mówiłem, że anielskie pismo jest bardzo podobne do hebrajskiego? Trithemius twierdził, że to najczystsza postać tego alfabetu.

Seichan pokręciła głową.

– Co wiesz o żydowskiej kabale? – spytał ją Vigor.

– Tylko tyle, że ma jakiś związek z religią.

– Tak. Ludzie praktykujący kabałę, studiując hebrajską Biblię, szukają mistycznej wiedzy o boskiej naturze wszechświata. Wierzą, że w kształtach i krzywiznach hebrajskiego alfabetu ukryta jest boska mądrość i medytowanie nad nim pozwoli człowiekowi lepiej zrozumieć wszechświat.

– Chcesz powiedzieć, że medytując, Trithemius wymyślił jakąś czystsza formę hebrajskiego? Stworzył ten sam język... – poklepała dłonią ścianę – ...który tu widzimy? Język prowadzący do głęboko ukrytej wiedzy, zastrzeżonej jedynie dla wtajemniczonych?

Gray odchrząknął.

– Według mnie kluczem do wszystkiego jest tu określenie „głęboko ukryta”. – Dał znak Seichan, aby odsunęła się od ściany i podeszła do niego. – Co widzisz? Popatrz na cały schemat. Nie wydaje ci się znajomy?

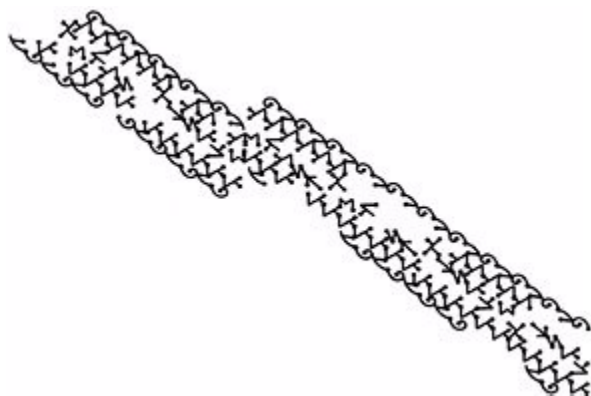
Przyglądała się ścianie przez kilkanaście sekund.

– Czy ja wiem? Czego mam szukać?

Gray westchnął, podszedł do ściany i przeciągnął palcem po kaskadzie znaków.

– Popatrz, jak te symbole opadają spiralą połamanych helis... Spróbuj sobie wyobrazić, jak wyglądałby cały obraz.

Seichan zmrużyła oczy.



– Przypomina mi to...

– Wyobraź sobie, że te pasma ciągną się na boki. Czy nie wyglądałyby wtedy jak podwójna helisa DNA? Jak mapa genetyczna?

– Napisana anielskim alfabetem?

– Kto wie? Porównano kiedyś schematy w kodzie DNA ze schematami występującymi w ludzkich językach. Zgodnie z prawem Zipfa we wszystkich używanych przez ludzi językach kryje się specyficzny schemat powtarzalności słów. Dotyczy to zarówno słów

często powtarzanych, takich jak „nie” czy „to”, jak i używanych bardzo rzadko... na przykład „mrównik” czy „elipsoidalny”. Jeżeli przedstawi się graficznie ważność słów wyznaczoną na podstawie częstotliwości ich używania, zawsze otrzyma się linię prostą. Dotyczy to zarówno języka angielskiego, jak i rosyjskiego czy chińskiego. Wszystkie ludzkie języki mają taki sam linearny układ ważność–częstotliwość.

– A kod DNA? – spytał Vigor.

– Tworzy dokładnie ten sam układ. Nawet nasze śmieciowe DNA uważane przez większość naukowców za bezużyteczny odpad. Badanie porównawcze powtórzono i wyniki się potwierdziły. Z jakiegoś powodu w naszym kodzie genetycznym ukryty został także język. Nie wiemy, co mówi, ale... – Gray wskazał na ścianę – ...to właśnie może być jego pisemna postać.

Vigor przeciągnął dłonią po żłobieniach na ścianie.

– Zastanawiające... Czy Trithemius mógł wpaść na trop tego języka podczas medytacji? – Wyprostował się uderzony nagle nową myślą. – Biorąc pod uwagę podobieństwo pisma starohebrajskiego do anielskiego, może warto rozważyć hipotezę, że najwcześniejsze języki pisane pochodzą z naszej pamięci genetycznej? Może ten język jest Słowem Bożym zawierającym najcenniejszą część tego, co tkwi w każdym z nas...

Przesunął światło latarki po ścianach ogromnego pomieszczenia.

– Tak czy owak, niewątpliwie jest to anielskie pismo. Co może oznaczać?

– Według mnie to plan – odparł Gray.

– Czego? – spytała Seichan.

– Może żółwia? – prychnął Kowalski.

Monsignore skrzywił się z niesmakiem, ale Gray i Seichan z zaskoczeniem popatrzyli na byłego komandosa.

– Co jest? – spytał Vigor, czując, że coś mu umknęło.

Gray ściszył głos i powiedział:

– Być może on ma rację...

– Naprawdę? – zdziwił się Kowalski.

– Skorupa żółwia przedstawia jaskinię, ale gdzie znajduje się sam żółw? – zapytał Gray. – Jeżeli wierzyć legendzie, jest on wcieleniem Wisznu. Mamy tu na ścianie zapis tajemnej wiedzy dotyczącej czegoś znacznie istotniejszego od wirusowej choroby. Według mnie chodzi o jakiś ważny proces biologiczny... być może niedokończony.

Vigor ponownie przyjrzał się rysunkom, jakby szukał w nich potwierdzenia tych słów, przerwał mu jednak dobiegający z góry hałas.

Przesunęli się bliżej środka pomieszczenia. Prawdopodobnie zespół burzący zbliżał się do końca pracy, bo połączono wszystkie przewody i doprowadzono je do detonatora, który miał umożliwić wysadzenie ładunków ze szczytu szybu.

Po drabince schodziła kobieta. Oświetlające słońce jaskrawe promienie słońca nie pozwalały dostrzec jej twarzy, ale Gray rozpoznał ją po sposobie poruszania się.

– Lisa?

Przy krawędzi szybu pojawił się Nasser z drugą kobietą – półnagą i rozgorączkowaną. Zachowywała się, jakby chciała skoczyć w dół, przytrzymało ją jednak czterech żołnierzy.

Dobry Boże...

Kobieta świeciła.

– Zakryjcie oczy! – krzyknęła do nich. – Zasłońcie je!

Vigor popatrzył na nią zdezorientowany, ale Gray natychmiast odszedł na bok, złapał płachtę, którą przynieśli ludzie Nassera, i zarzucił ją na twarz rzeźby, aby światło słońca nie wpadało do znajdującej się pod nimi jaskini.

Kobieta zwała się na podłogę jak marionetka, której przecięto sznurki.

Lisa zeskoczyła z ostatniego szczebla drabinki i podeszła do stojącej na środku pomieszczenia grupy.

– Przepraszam was...

Godzina 11.05

Dziesięć minut później ostatni z ludzi Nassera wspiął się po drabince. W grupę Graya przez cały czas celował krąg karabinowych luf. Po chwili ostatnia torba ze sprzętem zniknęła za krawędzią szybu, wciągnięta na górę, i pozostała już tylko jedna lina.

– Dlaczego nas stąd nie zabierają? – spytała Lisa.

– Chyba właśnie staliśmy się niepotrzebni – odparł Gray.

– Nie miałam wyboru – powiedziała przepraszająco Lisa.

Wyjaśniła już im powód swojego nagłego pojawienia się. Musiała zaryzykować i podjąć próbę stworzenia antidotum... nawet jeżeli oznaczałoby to przekazanie go Gildii.

– Monk... oddał za to życie... – chlipnęła.

Gray objął ją i przytulił.

– Nie – powiedział. Jeszcze nie potrafił pogodzić się z tym faktem. – Nie, Monk mógł się uratować. Pozwolił wam tu przylecieć, a dopóki żyjemy, dopóty jest nadzieja.

Nasser wrócił do skraju szybu.

– Prawie skończyliśmy – oznajmił. – Według monsignore Vigora ścieżki naukowa i historyczna schodzą się w tych ruinach. Wygląda na to, że miał rację. Połączyliśmy właśnie wysiłki dwóch działów Gildii... Osoba, która przeżyła zakażenie, przybyła do źródła wirusa Judasza.

– Możesz jeszcze potrzebować naszej pomocy! – zawołał Gray.

– Jestem pewien, że sami sobie poradzimy. Nasza organizacja dysponuje wystarczającymi możliwościami, aby dopasować ostatnie kawałki układanki. Udało nam się dotrzeć aż tutaj, choć zaczynaliśmy od kilku słów w starożytnym języku. Od tekstu, do którego dotarliśmy dzięki tobie, komandorze.

Gray zacisnął dłoń. Powinien był spalić bibliotekę Trybunału Smoka, kiedy miał okazję.

– Oczywiście sukces zawdzięczamy także późniejszym działaniom Gildii... zatrudnieniu archeologów morskich i wykorzystaniu monitoringu satelitarne, dzięki któremu odkryliśmy u wybrzeży Sumatry jeden z zatoniętych statków Marca Polo.

Gray potrzebował dłuższej chwili, aby zrozumieć, o czym Nasser mówi.

– Odnależliście jeden ze statków Marca Polo?

– Nie tylko. Jedna z belek kila, obłożona izolującą gliną, wykazywała pewną aktywność biologiczną. Nie dało się jednak ocenić możliwości zawartego w niej materiału bez próby in vitro.

Jeżeli mówił prawdę, oznaczało to, że wybuch epidemii na Wyspie Bożego Narodzenia nie był przypadkowy.

– Z rozmysłem zatruliście Wyspę Bożego Narodzenia?
– zapytał Gray.

Popatrzył na Seichan, oczekując potwierdzenia albo zaprzeczenia, ale nie chciała mu spojrzeć w oczy.

– Z obserwacji prądów i schematów pływów morskich wynikało, że wystarczy u wybrzeży wyspy wrzucić belkę do wody i czekać. Kiedy na scenie pojawiła się doktor Tunis i jej grupa, zbieraliśmy próbki. Zostali naszymi pierwszymi obiektami doświadczalnymi. Dokładnie tak, jak przewidzieliśmy, prądy zniosły wszystko do wyspy. To był doskonale umiejscowiony lokalny eksperyment.

– A po pojawieniu się statku turystycznego Gildia dostrzegła okazję zebrania tego, co zasiała... – mruknęła Lisa pod nosem.

– Teraz już wiesz, dlaczego musiałam ich powstrzymać – powiedziała stojąca za plecami Graya Seichan.

Nie udało jej się to jednak – ani jej samej, ani całej ich grupie.

Godzina 11.11

Susan miała wrażenie, że pływa we mgle.

W jej głowie tańczył ogień.

Gdy wystawiła ciało na działanie słońca, przekroczyła kolejną granicę. Czuła dokonujące się wewnątrz jej czaszki zmiany. Nie była już w pełni sobą – albo była sobą bardziej niż kiedykolwiek do tej pory.

Jej umysł zerwał się z pęt i odtwarzał wspomnienia całego życia. Z zakamarków, które od dawna wydawały się zapomniane i niedostępne, zaczęła wypływać przeszłość. Dzień po dniu, godzina po godzinie splatały się ze sobą i łączyły w jedno. Przeszłość ożywała nie fragmentami, ale jako spójna całość – w pełnym wymiarze.

Widziała wszystko jak jeden obraz – od momentu narodzin po chwilę obecną. Czuła dotyk powietrza na nagiej skórze – każdy jego powiew był zapisany w pamięci.

Wszystko zawierało się w zawieszonym w powietrzu migoczącym bąblu.

Nie była jednak jeszcze gotowa do niego wejść.

Najpierw musiała pójść gdzie indziej.

Na dół.

Mocno zaciskała oczy, jej wnętrze wypełniało palące przerażenie.

Unosiła się na granicy przeszłości i teraźniejszości, każdy jej oddech gromadził kolejne sekundy, a do oceanu, którym było jej życie, wpadały rozlegające się tuż obok słowa:

„...wystarczy u wybrzeży wyspy wrzucić belkę do wody i czekać. Kiedy na scenie pojawiła się doktor Tunis i jej grupa... zostali naszymi pierwszymi obiektami doświadczalnymi...”.

Nie!

Jej życie zawisło w niekończącej się chwili między dwoma oddechami. Znowu znalazła się w wodzie i widziała wystający z piasku palec wiekowego drewna. Myśli z tamtej chwili powróciły, jakby wszystko odbywało się ponownie. Podejrzewała wtedy, że belka została wypchnięta spod piasku w wyniku trzęsienia dna morskiego.

Teraz знаła prawdziwą przyczynę.

Belkę umieszczono tu specjalnie.

Miała zacząć zabijać.

Pamiętała, jak nie mogła się doczekać, aż opowie o swoim odkryciu mężowi, który uwielbiał myszkować we wrakach.

Jego wspomnienie wypełniło jej zmysły.

Gregg.

Teraz znała prawdę.

Wiedziała już, dlaczego umarł.

Ta prawda paliła jak ogień.

Godzina 11.12

Lisa oparła się o Graya i popatrzyła w górę, na karabiny. Nasser nadal coś mówił, ale nie słyszała go, przepełniona poczuciem winy.

Nagle Gray drgnął.

Ten nieoczekiwany ruch przywrócił Lisę do rzeczywistości.

Zobaczyła, że Susan powoli unosi głowę. Włosy zsunęły jej się z twarzy, ukazując maskę furii. Jej strażnik patrzył na Nassera i niczego nie zauważył. Oczy Susan płonęły, a skóra pojaśniała, jakby ogień w jej wnętrzu rozgorzał jeszcze silniej.

Nasser musiał coś wyczuć, bo zaczął się odwracać.

Nikt nie zdążył zauważyć, jak Susan to zrobiła, ale w następnej sekundzie jej ciało owinęło się wokół niego, nogi i ręce objęły go ciasno, a policzek przycisnął do jego twarzy.

Zawył jak potępieniec.

Spomiędzy splecionych ciał buchnął dym.

Jeden ze strażników uderzył Susan kolbą karabinu w plecy.

Upadła na podłogę i jej głowa przetoczyła się bezwładnie.

Nasser kopnął leżącą tak mocno, że przeturlała się przez krawędź szybu.

– O nie! – krzyknęła Lisa.

Susan zaplątała się w zwisającą z góry linę. Odruchowo wyciągnęła rękę, jednak nie miała siły jej złapać i zaczęła się zsuwać. Wydalany przez skórę kwas zapalił się w słońcu i w linie rozpoczęła się jakaś reakcja chemiczna, bo dymiła i topiła się, a Susan nadal spadała.

Nikt nie miał odwagi jej złapać.

Gray ściągnął płachtę z oczu kamiennej twarzy i rzucił jeden róg Kowalskiemu.

Przepalona lina pękła i nieprzytomna Susan poleciała w dół jak worek kamieni.

Gray i Kowalski złapali ją na płachtę, ale impet wyrwał im ją z rąk i Susan uderzyła w podłogę. Przeciągnęli ją na materiale w cień, tak że z góry

widoczne były jedynie jej nogi. Gray ciężko opadł obok niej.

Nasser klęczał i wciąż wrzeszczał. Jego policzek dymił, a nagie ramiona wyglądały jak przypalony befsztyk – krwawiły, z pęknięć sączył się płyn.

– Dajcie mi tę dziwkę! – ryknął.

– Skręciła sobie kark! – krzyknął Gray. – Nie żyje!

– W takim razie wszyscy zginiecie! Wysadzić to!

Gray dał znak swoim towarzyszom.

– Cofnijcie się... zejście z widoku.

Rozpierzchli się pod ściany. Z góry zaczęto strzelać, ale detonator stał zbyt daleko i nie mogli go dosięgnąć.

Gray przeciągnął bezwładną Susan bliżej ściany.

– Schowajcie się za kolumnami! Może trochę nas ochronią! Skulcie się i osłońcie głowy!

Ukryli się za kamiennymi wspornikami.

Cztery kolumny – sześć osób.

Gray wziął ze sobą Susan.

Lisa przyłączyła się do Vigora, który przycisnął ją do podłogi i przykrył własnym ciałem.

Położyła dłoń na potężnej kolumnie. Zastanawiała się, czy wytrzyma wybuch.

– Czy to nas ochroni? – spytała Vigora.

Popatrzył na nią, ale nic jej nie odpowiedział.

Po raz pierwszy w życiu pragnęła, aby ksiądz ją okłamał.

Brama do piekła

Kambodża, Angkor Thom

7 lipca, godzina 11.17 czasu miejscowego

Gray mocno obejmował owiniętą płachtą, drżącą na całym ciele Susan.

Kiedy uderzyła w podłogę, stuknęła w nią mocno głową, ale nic więcej jej się nie stało. Na szczęście Nasser nie zażądał dowodu, że naprawdę skręciła sobie kark.

Gray miał nadzieję, że uda mu się użyć Susan jako karty przetargowej, jednak na razie nie mógł tego zrobić.

Nasser wciąż wrzeszczał jak opętany. Sądząc po barwie ran, w wielu miejscach miał oparzenia trzeciego stopnia i najwyraźniej zamierzał się zemścić. Ale prawdopodobnie oddział burzący nie był jeszcze całkiem gotowy, dzięki czemu egzekucja została na chwilę wstrzymana.

Gray przesunął Susan dalej za kolumnę. Musiał ją uratować – nawet jeżeli miałyby się okazać, że nie może być źródłem lekarstwa. Naciągnął płachtę głębiej na jej głowę. Kiedy to robił, materiał na chwilę się rozchylił i ukazał fragment lekko świecącej nagiej skóry. Blask

słabł – prawdopodobnie dlatego, że Susan znajdowała się w mroku – ale w dalszym ciągu był wyraźny. Gray przez chwilę obserwował to przedziwne zjawisko, a potem poprawił płachtę. Gdy uniósł głowę, jego wzrok padł na ścianę obok.

W świetle emanującym z ciała Susan pasma anielskiego pisma zaczęły fluoryzować. Emitowane przez cyjanobakterię fale musiały znajdować się blisko ultrafioletu, co rozjarzyło zawarty w napisach związek.

Gray przypomniał sobie egipski obelisk – umieszczony na nim napis również świecił pod wpływem ultrafioletu i wyglądał, jakby był miniaturą ścian tego pomieszczenia. Czyżby Johannes Trithemius podczas medytacji miał objawienie i zobaczył to, co ich teraz otaczało?

Rozchylił płachtę owijającą Susan i zaświeciły się kolejne fragmenty ściany. Wyglądało to tak, jakby ktoś podpalił rozlany olej.

Spojrzał w górę. Z lewej strony, na skraju pola widzenia, zauważył ciemną plamę. Czarna skała w morzu jarzących się symboli. Zastanowił go regularny kształt tego ciemnego miejsca.

Czy to nie był przypadkiem...

Przekręcił Susan, aby odsłonić więcej jej skóry. Niestety, świeciła już zbyt słabo i światło nie dotarło do interesującego go miejsca. Postanowił ją przenieść, ale bezwładne ciało okazało się dla niego zbyt ciężkie.

– Kowalski! – zawołał. – Gdzie jesteś?

– Chowam się za kolumną, tak jak kazałeś! – odezwał się głos z prawej strony.

– Potrzebuję cię tutaj!

– A co z bombą?

– Zapomnij o bombie! Dawaj tu dupsko!
Olbrzym zaklął i ruszył do niego.

– Dlaczego zawsze musi być jakaś bomba... –
mamrotał pod nosem.

Po chwili wślizgnął się za kolumnę niczym
baseballista na bazę.

Gray skinieniem głowy wskazał mu Susan.

– Pomóż mi ją przenieść na tamtą stronę.

Kowalski westchnął, ale nic nie powiedział. Zaczęli
sunąć wzdłuż ściany jak sanitariusze pod ostrzałem.
Z każdym ich krokiem zapalał się kolejny fragment
tekstu, a poprzedni gasł.

Seichan ukrywała się za następną kolumną. Kiedy się
zbliżyli, podeszła do nich zainteresowana ich
gorączkowymi działaniami.

– Co ro... o mój Boże!

Opuścili Susan na podłogę i niemal całą odsłonili.
Napisy dokoła nich zapłonęły – z wyjątkiem kawałka
o regularnym kształcie.

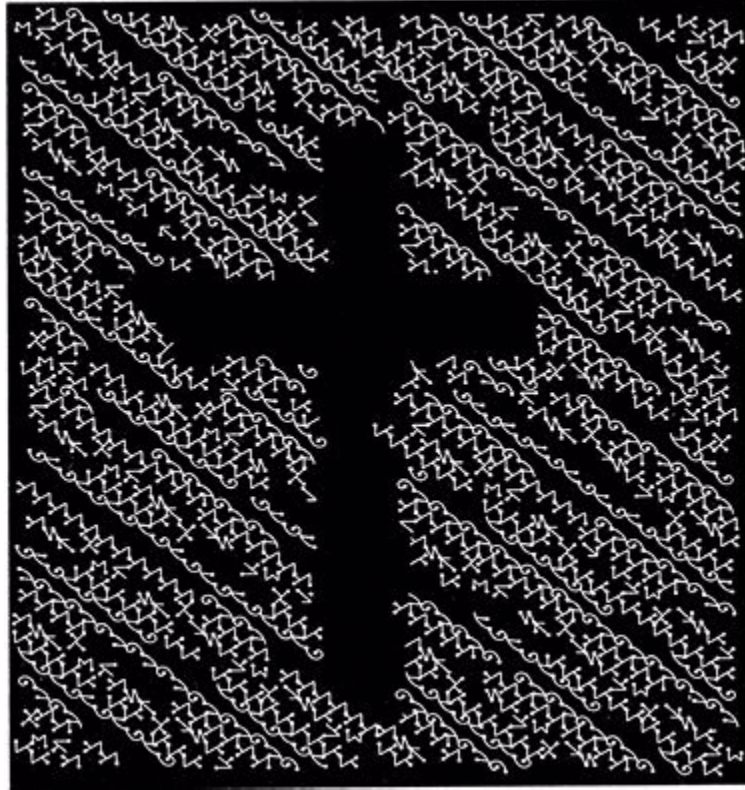
– Vigor! – krzyknął Gray.

Monsignore musiał od początku ich obserwować, bo
natychmiast odkrzyknął:

– Idę!

Lisa również ruszyła w ich stronę.

Wbili wzrok w ciemny kształt.



– Brat Greer... – mruknął Vigor. – Musiał przetrzeć ścianę, aby zostawić ten znak.

– Ale co ten znak oznacza? – spytała Seichan.

– Wskazuje drogę do ukrytych drzwi – odparł Gray. – Prowadzących do znajdującej się pod nami jaskini.

Pokręcił głową, dając im do zrozumienia, że muszą się spieszyć. Jeżeli szybko nie znajdą drzwi i nie ukryją Susan przed Gildią, nie tylko oni zginą. Lisa z pewnością nie przesadzała, kiedy mówiła, że zaraza się już rozprzestrzenia.

– Lepiej zacznijcie się modlić! – krzyknął z góry Nasser.

Kowalski odsunął Vigora i Graya, podszedł do ściany i mocno pchnął środek krzyża.

Umieszczone na obrotowym zawiasie kamienne drzwi się otworzyły i za nimi ukazał się ciemny

korytarz.

– Nie zawsze musi to być fizyka kwantowa – stwierdził olbrzym. – Czasami drzwi to zwykłe drzwi.

Zaczęli wchodzić do korytarza. Gray i Kowalski znowu ponieśli Susan na płachcie. Seichan i Lisa, które weszły ostatnie, zamknęły drzwi.

W dół prowadziły wykute w podstawie góry schodki.

Nikt nie miał wątpliwości, dokąd ich zawiodą.

Rozległa się stłumiona eksplozja przypominająca pojedyncze uderzenie grzmotu.

Gray posłał milczącą modlitwę bratu Agreeerowi.

W przeszłości uratował Marca Polo, a teraz ich.

Udało im się uciec, ale co z tego? Było jasne, że kiedy Nasser zauważy zniknięcie więźniów, będzie miał na kogo skierować swoją wściekłość.

Waszyngton

Godzina 0.18 czasu miejscowego

Harriet przysypiała w ramionach męża – zmęczenie w końcu wzięło górę nad strachem. Było ciepło, księżyc powoli wędrował po nocnym niebie nad ich głowami. Przez pierwszą godzinę słuchała krzyków i szczekania, a potem zobojętniała. Czas ciągnął się powoli, ale minęło go wystarczająco dużo, aby w chwili, gdy z drugiego końca dachu doleciał pierwszy krzyk, stwierdziła, że spała.

– Przyszli – powiedział niemal z ulgą Jack.

Przesunął się i dał Harriet znak, żeby weszła do obudowy klimatyzatora. Schowała się w środku i wyciągnęła rękę do męża.

Nie ujął jej dłoni, tylko podniósł oderwane drzwiczki.

– Jack?

Wstawił drzwiczki na miejsce i zatrzasnął je.

– Nie... – jęknęła.

Przysunął usta do kilkucentymetrowej przestrzeni między metalowymi szczelkami.

– Nie protestuj. Mogę ich odciągnąć i zyskać dla ciebie czas. Daj mi przynajmniej to...

Popatrzyli sobie w oczy.

Harriet wiedziała, o co mu chodzi. Przez długi czas uważał się za niepełnowartościowego mężczyznę i nie chciał tak umrzeć. Ale dla niej zawsze był stuprocentowym mężczyzną.

Mimo to nie mogła mu odebrać tej szansy.

Miał to być jej ostatni prezent dla niego.

Wysunęła palce przez szczelbę i Jack dotknął ich delikatnie.

Krzyki zaczęły się zbliżać.

Nie mieli więcej czasu.

Odwrócił się i przepelzł do biegnącej wzdłuż jednej strony dachu podwyższonej ściany. Ścisnął w dłoni pistolet i odkuśtykał w bok.

Harriet odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Zasłoniła twarz dłońmi.

Po chwili rozległ się triumfalny krzyk, a potem usłyszała huk wystrzałów.

Nie musiała ich liczyć – wiedziała, że mąż miał tylko trzy pociski.

Ktoś odpowiedział na jego strzały ogniem. Pociski z wizgiem odbiły się od metalu. Jack musiał się gdzieś schować, bo znowu strzelił.

Ostatnia kula.

– Nigdy nie znajdziecie mojej żony! – krzyknął. – Jest poza waszym zasięgiem!

– Jeżeli psy jej nie znajdą, wywabią ją twoje wrzaski!
– odkrzyknęła Annishen.

Znajdowała się bardzo blisko kryjówki Harriet, bo widać było jej buty.

Zacząła mówić do radia, kładąc swoim ludziom otoczyć Jacka.

Nagle odwróciła się, bo gdzieś z boku dobiegł nowy odgłos przypominający szum silnego wiatru.

Nad budynkiem pojawił się wojskowy śmigłowiec i o dach załomotała seria z pokładowego karabinu maszynowego. Ludzie Annishen zaczęli wrzeszczeć, zatupotały podeszwy. Kryjówkę Harriet minął biegnący mężczyzna, ale nie uciekł daleko, bo został trafiony w nogi i runął na twarz.

Na otaczających magazyn ulicach zawyły syreny.

Głos z megafonu w śmigłowcu kazał wszystkim rzucić broń.

Annishen kucnęła i przygotowała się do ucieczki. Harriet odsunęła się odruchowo i uderzyła łokciem w metalową obudowę klimatyzatora.

Eurazjatka drgnęła i przekrzywiła głowę, po czym wsunęła lufę pistoletu między szczeble drzwiczek.

– Pani Pierce... Chyba czas powiedzieć sobie do...

Nieoczekiwany bliski wystrzał sprawił, że Harriet zadygotała.

Ciało Annishen uderzyło w drzwiczki i osunęło się.

Została trafiona w głowę.

Kiedy upadła, do kryjówki Harriet przykuśtykał Jack i odrzucił dymiący pistolet.

Wykorzystał ostatni strzał.

Harriet wypchnęła drzwiczki z obudowy klimatyzatora, przeszła nad nogami Annishen i wpadła mężowi w ramiona. Oboje osunęli się na dach.

– Nigdy więcej mnie nie zostawiaj, Jack...

– Nie zostawię – odparł i objął ją mocno.

Ze śmigłowca zaczęli się na linach spuszczać komandosi. Kilku z nich otoczyło Jacka i Harriet, a pozostali oczyszczali dach. Na dole wyły syreny. Z wnętrza magazynu dolatywały strzały i krzyki.

Ktoś podszedł do nich i ukląkł.

Harriet z zaskoczeniem ujrzała znajomą twarz.

– Dyrektor Crowe?

– Kiedy zacznie mi pani mówić po imieniu, pani Pierce?

– Jak nas...

– Ktoś narobił niedawno przed masarnią sporego zamieszania – odparł Painter Crowe ze zmęczonym uśmiechem. – Zachowywał się na tyle niezwykle, że go zapamiętano. Zaczęliśmy przeszukiwać ulicę i trzy kwadranse temu jeden z policjantów zauważył dżentelmena z wózkiem na zakupy. Ten człowiek rozpoznał panią na zdjęciu i był na tyle podejrzliwy, że zapisał numery i markę samochodu, którym was zabrano. Reszta to sprawa techniczna, przepraszam jednak, że nie mogliśmy przybyć wcześniej.

Jack potarł dłonią oko i odwrócił głowę, aby nikt nie zauważył jego łez.

– Nie mogliście wybrać lepszego momentu. Jestem panu winien wielką butelkę tej whisky single malt, którą pan tak lubi.

Harriet objęła męża. Miał problemy z pamiętaniem imion, ale nigdy nie zapominał, czego ktoś lubi się napić.

Painter wstał.

– Chętnie skorzystam, jednak teraz muszę wykonać ważny telefon – odparł. – Jeżeli nie jest jeszcze za późno... – dodał pod nosem, ale Harriet wyraźnie to usłyszała.

Angkor, Kambodża

Godzina 11.22 czasu miejscowego

Lisa podążała za Vigorem, przytrzymując się dłonią wilgotnej ściany i nisko pochylając głowę. W powietrzu pachniało pleśnią – jak w lesie wokół stert gnijących liści. Choć zapach lekko drażnił nozdrza, nie był nieprzyjemny.

Szli w stronę płynącego z dołu światła.

Po kilku minutach schody się skończyły i weszli do wielkiej jaskini. Ich kroki głośnym echem odbijały się od ścian. Pokryte pojedynczymi stalaktytami sklepienie znajdowało się na wysokości mniej więcej pięciu pięter. Jaskinia była owalna i w najszerszym miejscu miała jakieś dwadzieścia metrów. Wejście obramowywał łuk ukształtowany w naturalny sposób z warstewek wapienia naniesionego w ciągu stuleci przez spływającą wodę. Na drugim końcu jaskini widać było podobny łuk.

– Rzeczywiście przypomina skorupę żółwia – stwierdził Vigor. – Te łuki wyglądają jak jej dwa zakończenia.

– Ale które jest które? – zapytał Kowalski. – Włazimy żółwiowi do gardła czy do tyłka?

Kiedy się rozejrzał, gwizdnął cicho przez zęby.

Pośrodku jaskini znajdowało się otoczone kamiennym obramowaniem okrągłe czarne jeziorko błyszczące jak lustro. Jego powierzchni, dokładnie pośrodku, dotykały dwa pionowe promienie światła wpadające przez otwory w oczach kamiennej twarzy na górze.

W miejscach, gdzie światło dotykało wody, była mętna, jakby zamieniała się w mleko – świecące mleko.

Mleczny blask migotał, rozpływał się na boki i wyglądał jak żywa istota.

Zresztą była to żywa istota.

– Światło energetyzuje cyjanobakterie znajdujące się w wodzie – wyjaśniła Lisa.

Z góry, prawdopodobnie z oczu kamiennej twarzy, spadło kilka kropel jakiegoś płynu. Kiedy trafiły w wodę, rozległ się cichy syk i mleko pociemniało.

– Kwas – mruknął Gray. – Z bomby. Skapuje przez dziury w oczach płaskorzeźby. Nie wiem, ile czasu ludziom Nassera zajmie jego zobojętnianie, ale na razie sklepienie się trzyma. Zaraz jednak zjawią się tu z młotami i wiertarkami i w końcu się przebiją.

– Więc co robimy? – spytała Seichan.

– Spadamy – odparł Kowalski.

– Mogłabyś sprawdzić drugi łuk? – zwrócił się Gray do Lisy. – Może jest tam drugie wyjście? Jak powiedział monsignore, żółw ma otwory na łeb i ogon.

– Wydaje mi się, że powinnam zostać z Susan. Moje doświadczenie medyczne...

Chora jęknęła i spróbowała unieść rękę.

Lisa podeszła do niej.

– W dalszym ciągu jest naszą jedyną nadzieją na ratunek – dodała.

– Ja mogę iść – zaofiarowała się Seichan.

– Znajdź jakąś drogę ucieczki – polecił jej Gray, ale miał minę, jakby nie do końca wiedział, czy może jej zaufać.

Odeszła bez słowa.

– Wygląda to jak stary lej krasowy – powiedział Gray, patrząc na jeziorko. – Widziałem takie same na Florydzie i w Meksyku. Skały zatkały dziurę, która kiedyś wychodziła na powierzchnię.

Lisa podniosła leżącą przy ścianie grudkę i zgmiotła ją w palcach.

– Skamieniałe odchody nietoperzy. Chyba masz rację... kiedyś ta jaskinia musiała być otwarta.

Wytarła palce i popatrzyła na Susan, układając w głowie ostatnie brakujące elementy.

– Starożytni Khmerzy musieli znaleźć ten otwór, zauważyli, że się świeci, wyobrazili sobie, że jest to dom boga, i włączyli go do konstrukcji świątyni – stwierdził Vigor.

– Nie wiedzieli, co czynią – mruknęła Lisa. – Wkroczyli w coś, co powinni byli zostawić w spokoju. Naruszyli ekosystem i uwolnili wirusa. Jeżeli ludzkość za bardzo się rozpycha, przyroda czasami daje jej prztyczka.

Kawałek dalej z brzegu jeziorka wchodził w wodę mały występ skalny. Gdyby nie otaczała go mlecznobiała

woda, nie byłby widoczny w ciemności.

Po chwili dostrzegli coś jeszcze.

– Czy to kości? – spytał Kowalski, patrząc w wodę.

Zatrzymali się.

Lisa podeszła do skraju wody. Łagodne światło pozwalało zajrzeć dość głęboko. Kamienny brzeg opadał łagodnie, ale po jakichś dziesięciu metrach dno ostro schodziło w głąb jeziora.

Na płyciźnie, w mniejszych i większych stertach, leżały kości: drobne i kruche czaszki ptaków, małe klatki piersiowe małą, jakiś szkielet z poskręcanyimi rogami, wyglądająca jak biały głąz potężna czaszka słonia z jednym kłem. Widać było także kości udowe i długie piszczele, większe klatki piersiowe i czaszki, czaszki, czaszki...

Ludzkie.

Jezioro było jednym wielkim cmentarzyskiem.

Cała grupa ruszyła dalej w pełnym zdumienia milczeniu.

Woda świeciła coraz intensywniej i coraz trudniej było im oddychać. Wszystko wyglądało bardzo podobnie jak u wybrzeży Wyspy Bożego Narodzenia.

Biotoksyny.

Kowalski skrzywił się, jakby poczuł łajno.

Unoszący się w powietrzu ostry zapach pobudził Susan niczym sole trzeźwiące. Zamrugła i otworzyła oczy. Nadal była oszołomiona, ale poznała Lisę.

Spróbowała usiąść.

Gray i Kowalski opuścili ją na ziemię i pomasowali dłonie.

Lisa usiadła obok i poprawiła płachtę, którą Susan była owinięta.

Kiedy podszedł do nich Kowalski, chora chciała się odsunąć.

– Nie bój się. To przyjaciele – powiedziała Lisa.

Przedstawiła jej wszystkich i Susan powoli zaczęła się uspokajać. Kiedy jednak spojrzała Lisie przez ramię i zobaczyła zasnuwające się mlekiem jezioro, tak gwałtownie odskoczyła do tyłu, że uderzyła plecami w ścianę i odbiła się od niej.

– Nie wolno wam tu przebywać! – wyrzuciła z siebie.

– Bez jaj – mruknął Kowalski.

– Będzie tak samo jak na Wyspie Bożego Narodzenia – oświadczyła Susan. – Albo nawet sto razy gorzej... to zamknięta jaskinia... wszyscy zostaniecie zarażeni...

Lisa nie miała co do tego wątpliwości. Już swędziała ją skóra.

Susan na tyle odzyskała siły, że mogła wstać, choć musiała oprzeć się o ścianę.

– Powinniście stąd uciekać. Tylko ja mogę tu być. Muszę tu być.

– Aby wytworzyć lekarstwo? – spytała Lisa.

Chora kiwnęła głową.

– Muszę mieć jeszcze jeden kontakt z wirusem, z jego źródłem. Nie potrafię wyjaśnić, skąd to wiem, ale tak właśnie ma być. – Przyłożyła dłoń do głowy. – To tak, jakbym jedną nogą stała w przeszłości, a drugą tutaj. Czuję gwałtowny przepływ różnych myśli i zjawisk i nie mogę tego wyłączyć. Czuję też, że to z każdą chwilą narasta...

W jej oczach znowu zapłonął strach.

Ten opis przypominał autyzm – jednostkę chorobową, w której mózg traci zdolność blokowania bodźców czuciowych. Niektórzy cierpiący na autyzm

ludzie nazywani są „genialnymi idiotami” – ponieważ mimo ogólnego niedorozwoju umysłowego w pewnym bardzo wąskim zakresie przejawiają niezwykle zdolności wynikające właśnie ze zmian w ich mózgu. Lisa próbowała sobie wyobrazić, jakie patologiczne procesy fizjologiczne zachodzą w mózgu Susan – zanurzoną w dziwnej biotoksynie i energetyzowaną przez wytwarzającą tę toksynę bakterię. Ponieważ ludzie wykorzystują jedynie niewielką część potencjału nerwowego mózgu, dostarczenie mu tego rodzaju energii mogło otwierać niezwykle możliwości. Zastanawiała się, jak wyglądałby elektroencefalogram chorej.

Susan niepewnym krokiem podeszła do skraju wody.

– Mamy tylko tę jedną szansę.

– Dlaczego tylko jedną? – spytał Gray.

– Kiedy masa bakterii znajdujących się w wodzie osiągnie wartość krytyczną i wybuchnie, skumulowana w jeziorzku energia zostanie wyczerpana. Ponowna kumulacja energii potrwa trzy lata.

– Skąd to wiesz?

Susan spojrzała na Lisę, jakby prosiła ją o pomoc.

– Po prostu wie – odparła Lisa. – Jest w jakiś sposób związana z tym miejscem. Susan, to właśnie dlatego tak bardzo chciałaś się tu dostać?

Chora kiwnęła głową.

– Po wystawieniu wody na działanie światła słonecznego w jeziorzku dojdzie do wybuchu. Gdybym nie zdążyła...

– Świat byłby przez trzy lata bezbronny. Nie byłoby lekarstwa – dokończyła Lisa.

Wolała sobie nie wyobrażać, co by się wtedy działo.

Te smętne rozważania przerwał powrót Seichan.

– Znalazłam drzwi – wysapała.

– Więc uciekajcie! – krzyknęła Susan. – Natychmiast!
Seichan pokręciła głową.

– Nie mogłam ich otworzyć.

– Próbowalaś je pchać? – spytał Kowalski.

– Robiłam, co mogłam.

Były komandos pokręcił głową.

– Cóż... nie mam więcej pytań.

– Nad ich zwieńczeniem jest wyryty krzyż – dodała Seichan. – I jakiś napis, ale nie mogłam go przeczytać, bo było za ciemno. Może znajduje się w nim jakaś wskazówka.

– Mam latarkę – powiedział Vigor. – Pójdę tam z Seichan.

– Pospieszcie się – mruknął Gray.

Powietrze robiło się coraz ostrzejsze. Mleczne światło w jeziorze wciąż się rozprzestrzeniało i powoli zbliżało się do brzegów.

– Muszę pójść nad wodę – oświadczyła Susan.

Ruszyli w stronę ciemnego półwyspu.

– Wspomniałaś o ekosystemie, który ktoś naruszył... – powiedział idący obok Lisy Gray. – Mogłabyś mi wyjaśnić, co tu się dzieje?

– Nie wiem jeszcze wszystkiego, ale wydaje mi się, że znam najważniejsze postacie dramatu.

Gray popatrzył na nią i kiwnął głową, by mówiła dalej.

Wskazała świecącą się wodę.

– Wszystko zaczęło się tutaj, tu powstał najstarszy organizm, jaki uczestniczy w tym procesie. Cyjanobakteria. Prekursor współczesnych roślin.

Cyjanobakterie spenetrowały każdą niszę ekologiczną: skały, piaski, wody, organizmy żywe... – Skinęła w stronę Susan. – Ale nie wybiegajmy zbyt daleko do przodu. Zacznijmy tutaj.

– W tej jaskini, tak?

– Właśnie – odparła. – Cyjanobakteria jakimś sposobem dostała się do tego leju krasowego, ale do życia potrzebne jest jej słońce, a większa część tej jaskini do tej pory pozostawała w ciemności. Prawdopodobnie kiedyś otwór na górze był mniejszy. Aby żyć, musiała znaleźć inne źródło energii, inne pożywienie, a jest bardzo pomysłowa, gdy chodzi o przystosowanie się do otoczenia. W dżungli było mnóstwo pokarmu, trzeba było tylko wymyślić jakiś sposób dostania się tam. Natura potrafi tworzyć bardzo dziwne powiązania...

Opowiedziała Grayowi tę samą historię co doktorowi Patanjalemu: o motyliczce *Dicrocoelium dendriticum*, w której cyklu życiowym musi być trzech gospodarzy – bydło, ślimak i mrówka.

– W stadium mrówkowym motyliczka zmusza owada do wspięcia się na źdźbło trawy, zaciśnięcia na nim zuchwy i czekania, aż zostanie zjedzony przez krowę. Niezwykłe, prawda? To, co się dzieje tutaj, jest równie niezwykłe.

Przedstawiła mu również opinię Henriego Barnhardta, który zaklasyfikował wirusa Judasza do rodziny buniawirusów, oraz jego szkic ukazujący wzajemne powiązania między kolejnymi żywicielami.

Człowiek → Owad (stawonóg) → Człowiek

– Myliliśmy się jednak – dodała. – Wirus skorzystał z pomysłu motyliczki. Także i w tym przypadku mamy do czynienia z trzema gospodarzami.

– Cyjanobakteria jest pierwszym, ale kto drugim?

Lisa kopnęła grudkę wyschniętych odchodów nietoperza.

– Potrzebowała jakiegoś sposobu, dzięki któremu mogłaby stąd uciec. Ponieważ dzieliła tę jaskinię z nietoperzami, skorzystała z ich skrzydeł.

– Skąd wiesz?

– Buniawirusy najbardziej lubią stawonogi, czyli owady i skorupiaki, ale ich pewne szczepy spotyka się także w organizmach myszy i nietoperzy.

– Sądzisz, że szczep Judasza to zmutowany wirus nietoperzy?

– Tak. Zmutowany przez neurotoksyny cyjanobakterii.

– W jakim celu?

– Po to, aby nietoperze straciły orientację i rozleciały się po świecie, roznosząc wirusa atakującego biosferę poprzez swoją bakterię. Po to, aby zamienić każdego nietoperza w małą bombę biologiczną zatruwającą każde miejsce, na którym zwierzę przysiadzie. Jeżeli Susan ma rację, to jeziorko wysyła takie bomby biologiczne co trzy lata, aby środowisko naturalne miało czas się zregenerować.

– Ale co ta cyjanobakteria ma z tego, że choroba zabija ptaki i zwierzęta na zewnątrz?

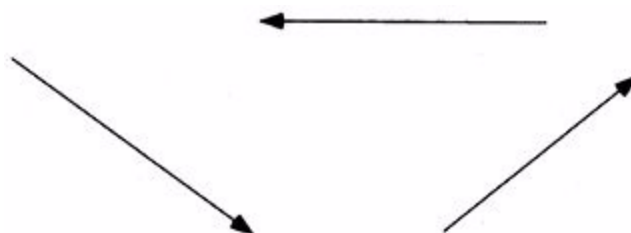
– Może wtedy przenieść się do organizmu trzeciego gospodarza, kolejnego współnika. Najczęściej są to stawonogi. Owady i skorupiaki. Tak się składa, że są one padlinożercami. Obierają martwe ciała do kości,

a zmusza je do tego nasz wirus, wzbudzając w nich nienasyconą żarłoczność... – Wspomnienie kanibalistycznych aktów na statku sprawiło, że jej głos lekko się załamał. – Potem przeprogramowuje swojego gospodarza w taki sposób, że zwierzę musi tu wrócić, przynosząc ze sobą pokarm. Nie ma wyboru... podobnie jak w przypadku motyliczki i mrówki. To przymus neurologiczny, niezwykle silnie odczuwana potrzeba migracji.

– Jak u Susan... – mruknął Gray.

Było to ponure porównanie.

Lisa wyobraziła sobie, jak można by graficznie przedstawić cykl życiowy cyjanobakterii, który właśnie opisała. Nie był to linearny wykres, ale trójkąt.



Cyjanobakteria

– Z Susan jest inaczej – odparła. – Człowiek nigdy nie miał uczestniczyć w tym cyklu, ale ponieważ tak samo jak nietoperz należymy do ssaków, jesteśmy podatni na tego wirusa i jego toksyny. Kiedy więc Khmerzy odkryli tę jaskinię, staliśmy się częścią owego cyklu i zajęliśmy miejsce nietoperzy, rozprzestrzeniając wirusa Judasza nie przy użyciu skrzydeł, ale nóg. Ludzie byli zarażani co trzy lata, co wyzwalало epidemie o różnym zasięgu.

– Więc dlaczego przeżyli?

– Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Nasze układy nerwowe są nieporównanie bardziej skomplikowane od układów kraba czy nietoperza. Nie tylko cyjanobakteria ma ogromne zdolności przystosowawcze, człowiek też. Kto wie, co się może wydarzyć, kiedy te toksyny trafią do bardziej rozwiniętego układu nerwowego.

Kiedy dotarli do występu lądu i Lisa uniosła głowę, zauważyła, że coś się dzieje przy suficie jaskini. Z otworów w źrenicach kamiennej twarzy wystrzeliwały smugi dymu oświetlane jaskrawym światłem słonecznym.

– Środek zobojętniający... – stwierdził Gray. – Nasser kończy dezaktywację górnej komory. Nie mamy już czasu.

Godzina 11.39

Monsignore klęczał na szczycie schodków przy małych drzwiczkach, a Seichan przyświecała mu latarką. Kamienną płytę otaczał łuk z wapienia – częściowo ukształtowany w sposób naturalny, a częściowo wykonany przez człowieka.

Nad drzwiami osadzony był medalion z brązu, w którym odcisnięto krzyż. Vigor czuł, że to również jest dziełem brata Agreera.

Napis pod krzyżem potwierdzał to przypuszczenie.

Powiódł palcami po kamiennych drzwiczkach. Na masywnej kamiennej płycie wygrawerowano tekst. Nie

w języku anielskim, lecz po włosku. Był to testament brata Agreera.

Roku Pańskiego 1296 przekazuję temu kamieniowi swoją ostatnią modlitwę. Kiedy tu przybyłem, została rzucona na mnie klątwa, która sprawiła mi wielkie cierpienie, wskrzeszono mnie jednak ze śmiertelnego snu niczym Łazarza. Nie pojmuję, jak to się stało, ale zostałem oszczędzony i w dziwny sposób naznaczony gorejącą jasnością skóry. Zaopiekowałem się wtedy duszami tych, którzy przeżyli tę straszną zarazę. Teraz jednak ogarnęły mnie skrupuły. Woda w dole znowu zaczyna się gotować piekielnym ogniem. Wiem, że do końca życia kierować mną będzie ta sama siła, która mnie wskrzesiła. Z wielkim trudem przekonałem ludzi o konieczności wykonania tej pieczęci i sam nadzorowałem jej budowę. Odejdę, modląc się tylko o jedno: aby te drzwi pozostały na zawsze zamknięte Krzyżem Pańskim. Jeśli ktokolwiek ośmieli się je otworzyć, niech to będzie człowiek silny w duchu Pana.

Vigor dotknął podpisu na dole.

BRAT ANTONIO AGREER.

– Kiedy Marco Polo odjechał, wystawili brata Agreera na działanie wirusa, ale przeżył – mruknęła Seichan. – Tak samo jak tamta kobieta na dole.

– Może świecący się ludzie wiedzieli, że tak będzie. Może właśnie dlatego go wybrali. Spójrz jednak na datę: tysiąc dwieście dziewięćdziesiąty szósty. Żył tu przez trzy lata... tyle, ile według Susan dzieli kolejne wybuchy jeziora – stwierdził Vigor.

Seichan wskazała drzwi.

– Pod podpisem jest coś jeszcze...

– To cytat z Biblii – odparł Vigor. – Ewangelia według Mateusza, rozdział dwudziesty ósmy: „A oto powstało

wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim”³.

– Chyba niewiele nam to pomoże.

Monsignore spojrział na wyrzeźbiony w brązowym medalionie krzyż, pomodlił się cicho i przeżegnał.

Zanim skończył, poczuł pod nogami drżenie. Gdzieś za nimi rozległ się łoskot głazów, jakby jaskinia miała się zaraz zawalić.

– Czekaj tutaj! – zawołała Seichan i ruszyła w tamtą stronę.

Ogarnęła go lodowata cisza i głęboka ciemność. Choć nie było już nic widać, Vigorowi napis pod testamentem brata Agreera wciąż jarzył się przed oczami.

„A oto powstało wielkie trzęsienie ziemi...”.

Godzina 11.52

Gray klęczał nad Lisą i czekał, aż dygot i dudnienie ucichną. Kowalski osłaniał ją z drugiej strony. Jeden ze stalaktytów oderwał się od sklepienia i spadł do jeziora. Z miejsca, w którym się oderwał, rozeszła się na boki siatka pęknięć, która po chwili objęła cały sufit.

Susan przykucnęła na kamiennym występie wbijającym się jak grot strzały w jezioro. Woda wokół niego drżała i falowała, a nad nią unosiły się opary kwasu nasycające powietrze wirusem Judasza.

Nad ich głowami co chwila rozlegały się kolejne eksplozje.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Lisa.

– Bomba Nassera!

Nieco wcześniej Gray przyjrzał się dokładnie wspierającym konstrukcję świątyni kolumnom. Były pełne spękań powstałych w wyniku setek lat erozji i ruchów podłoża. Prawdopodobnie wybuch bomby jeszcze bardziej naruszył ich spójność. Unoszące się w powietrzu opary kwasu wnikały w pęknięcia i atakowały kamień od wewnątrz.

– Musiała się zawalić jedna z kolumn podporowych – stwierdził. – Razem z nią runęła pewnie część świątyni.

Nad nimi zapanowała cisza, co prawdopodobnie oznaczało, że resztki budowli przestały się walić. Ale jak długo ta stabilizacja się utrzyma? Gray odwrócił się do Susan, która powoli wstała. Spojrzała za siebie, jakby miała ochotę wrócić na brzeg, nie zrobiła tego jednak. Ruszyła dalej ku środkowi jeziora.

Zdawało się, że podwójny snop światła słonecznego za jej plecami świeci jeszcze jaśniej.

– Długo jeszcze te ruiny wytrzymają? – spytała z niepokojem Lisa.

– Zobaczymy – mruknął Gray.

Było jednak dla niego jasne, że jeżeli pęknie następna kolumna, ciężar świątyni spłaszczy ich jak naleśnik. Pomógł Lisie wstać. Musieli uciekać. Woda mogła w każdej chwili eksplodować.

Jezioro jarzyło się od brzegu do brzegu. W miejscu, w którym jego powierzchni dotykał podwójny promień światła, woda kipiała.

Musieli uciekać.

Susan dotarła do końca skalnego występu i usiadła, obejmując jedno kolano. Siedziała plecami do nich – być

może bała się, że gdyby ich widziała, mogłaby zmienić zdanie.

Gray zakaszłał gwałtownie. Paliły go płuca i czuł kwas na języku. Nie mogli dłużej czekać.

Nie mieli wyboru – ale Susan też nie miała wyboru.

Gray i Lisa ruszyli w stronę łukowatego sklepienia na końcu jaskini. Z naprzeciwka zbliżało się podskakujące światełko – to wracała Seichan. Sama. Gdzie był Vigor?

Nad ich głowami znowu rozległ się trzask skały.

Zaczęła pękać zamykająca jaskinię kamienna płyta, na której wyrzeźbiona była twarz boga. Przez powiększające się szczeliny wpadła do środka słoneczna jaskrawość. Do jeziora potoczył się wielki kawał kamienia i Susan ochlapała fontanna wody. W górę wystrzeliwały białe gejzery, jakby pod powierzchnią jeziora wybuchały bomby głębinowe.

Dobiegły ich triumfalne okrzyki.

– Muszą tam być! – wrzasnął Nasser.

Ale nie on był teraz największym zagrożeniem.

Po chwili słońce z pełną siłą uderzyło w wodę, która zamieniła się w kipiel. Uniosły się z niej chmury gazu i wody.

Nigdy nie uda im się dotrzeć do schodów.

Gray cofnął się, pociągając za sobą Lisę i Kowalskiego.

– Padnij! – krzyknął do Seichan.

Sam również to zrobił. Złapał płachtę, na której wcześniej nieśli Susan, po czym zarzucił ją na siebie, Lisę i Kowalskiego, którzy także padli na ziemię.

– Przyciśnijcie brzegi do kamienia!

Przez materiał płachty słychać było wściekłe kipienie, do którego dołączyło basowe tąpnięcie – jakby cała woda

w jeziorku uniosła się nad dnem, a potem opadła. Woda opryskała Grayowi stopy.

Powietrze pod płachtą zamieniło się w płynny ogień.

Tulili się do siebie, ciężko dyszeli i kasłali.

– Susan... – wysapała w końcu Lisa.

Godzina 12.00

Susan krzyczała.

Jednak tego krzyku nie wytwarzały drgania strun głosowych, nie wydobywał się z płuc – ale z samego dna duszy.

Jej umysł, pobudzony przez światło słoneczne, wciąż wszystko rejestrował, każdy detal: ogień w płucach, żar w oczach i ból zdzieranej żywcem skóry. Nie mogła od tego uciec i wypalała się od środka, wyrzucając z siebie płacz w stronę niebios.

Czy ktokolwiek jej tam słuchał?

Wyrzuciwszy z siebie wszystko, wreszcie znalazła ulgę.

Opadła na kamienne podłoże.

Jej serce skurczyło się po raz ostatni i wycisnęło z niej resztkę energii.

Godzina 12.01

– Co z Susan? – spytała szeptem Lisa.

Gray zaryzykował i wyjrzał spod płachty. Jeziorko w dalszym ciągu kipiało, powietrze nad nim migotało oleiście.

Większa część gazu wydostawała się jednak górą – wpadał do głównej wieży świątyni, zamieniając ją w komin.

Tylko dlatego przeżyli.

Gdyby jaskinia nadal była zamknięta...

Susan leżała na plecach, nieruchoma jak kamienna figura. Z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy oddycha. Nie można było nawet dokładnie dostrzec całej jej postaci.

Nie leżała jednak w słońcu, więc zauważyli, że jej ciało już nie świeci.

Co to oznaczało?

Z górnych pomieszczeń świątyni dolatywały krzyki, a o sufit uderzały kamienie.

– Musimy się stąd jak najszybciej wydostać – oświadczył Gray.

– A co z Susan?

– Myślę, że była wystarczająco długo wystawiona na działanie wirusa. Miejmy nadzieję, że to, co miało się stać w jej ciele, już się stało. – Gray ukląkł i gwałtownie zakaszał. Wszyscy potrzebowali lekarstwa. Popatrzył na Kowalskiego. – Zaprowadź Lisę do schodów.

– A ty? – spytała.

– Idę po Susan.

Próbowała się zorientować, w jakim stanie jest Susan, ale unoszący się w powietrzu gaz bardzo to utrudniał, bo musiała zasłonić usta i zmrużyć oczy. Jeziorko w dalszym ciągu kipiało, wyrzucając kłęby trucizny.

– Nie uda ci się.

– Muszę.

– Nie rusza się i chyba nie oddycha. Obawiam się, że nie wytrzymała wybuchu.

– Nie jest ważne, czy żyje – odparł Gray, przypominając sobie, jak Marco Polo wypił ludzką krew i zjadł ludzkie mięso, aby przeżyć. – Potrzebujemy jej ciała.

Były to okrutne słowa, ale Lisa nic na to nie odpowiedziała.

– Muszę zabrać tę płachtę – dodał Gray.

– Nie ma sprawy – mruknął Kowalski.

Gray owinął się płachtą i ruszył po Susan.

Kolejny gład uderzył w sklepienie jaskini.

Gray pochylił głowę i wyprysnął jak sprinter.

Trzydzieści metrów.

Tam i z powrotem.

Kilka metrów przed brzegiem jeziora wpadł w gęstą chmurę toksycznych oparów. Choć wstrzymał oddech, miał wrażenie, że zderzył się ze ścianą ognia. Oczy zapiekły jak polane kwasem, a łzawienie sprawiało, że widział wszystko jak przez warstwę wody. Zacisnął powieki, jeszcze szczelniej owinął się płachtą i szedł dalej na ślepo, licząc kroki.

Po trzydziestu zaryzykował krótkie spojrzenie.

Powitało go piekło.

Udało mu się dostrzec wyciągniętą rękę. Zrobił następny krok, pochylił się i złapał dłoń Susan. Na szczęście już nie świeciła ani nie parzyła. Nie mógł jej jednak podnieść, więc zaczął wlec po skale. Płachta plątała mu się między nogami, co bardzo go spowalniało, więc zdecydował się ją odrzucić.

Zanim pozbył się krępującego mu ruchy materiału, wciągnął powietrze.

Zmusiło go to do przyklęknięcia na jedno kolano.

Jego klatka piersiowa skurczyła się gwałtownie, a gardło zacisnęło w proteście.

Czuł się jak połykacz ognia.

Wstał i znowu zaczął ciągnąć Susan.

Palila go skóra, jakby smagano ją nabitym stalowymi ćwiekami biczem.

Nie uda mu się uciec.

Wszędzie płomienie i ból.

Potknął się i ponownie musiał przyklęknąć.

Zaczął znowu wstawać, lecz nie bardzo mu się to udało.

– Trzymam cię – szepnął mu ktoś do ucha.

Seichan.

Podtrzymała go i jednocześnie ciągnęła. Jego stopy wlokły się bezwładnie po kamiennym podłożu.

Zakaszła, chciał coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko zduszony charkot.

Zrozumiała jednak, że pyta o Lisę.

– Kowalski ją wziął – odparła.

– Jestem tutaj, szefie – rozległ się za plecami Graya basowy głos. – To był bieg... przyłożenie może ci nie za bardzo wyszło, ale w końcu po co ma się drużynę?

Z każdym metrem, jaki oddalał ich od jeziora, Gray odyskiwał wzrok. Po kilku krokach stanął na własnych nogach.

Mimo to Seichan nadal go podpierała.

– Dziękuję... – wycharczał.

Jej policzek był pokryty pęcherzami, a jedno oko miała tak zapuchnięte, że nic nim nie widziała.

– Zabierajmy się stąd w cholerę – powiedziała.

Jej głos zabrzmiał, jakby nie czuła ulgi, ale była wściekła.

– Amen, siostró – poparł ją Kowalski.

Gray spojrział w górę. Coś wpadło do jaskini przez dziurę w suficie – była to zawieszona na linie pękata torba kiwająca się na boki jak robak na haczyku.

– Bomba... – wymamrotał Gray.

– Co? – spytał Kowalski.

– Bomba – powtórzył głośniejszym głosem Gray.

Najwyraźniej Nasser jeszcze z nimi nie skończył.

– A niech to... – jęknął Kowalski. – Dlaczego ktoś ciągle próbuje mnie wysadzić?

Godzina 12.10

Z jaskini doleciały do nich krzyki.

Lisa najchętniej dołączyłaby do reszty grupy, ale monsignore również potrzebował pomocy.

Jego twarz spływała potem. Popatrzył na schody, a potem na Lisę.

– Kręć dalej! – zawołał. – Sądząc po tych krzykach, powinniśmy się pospieszyć.

Obracali znajdującym się w skale medalionem z brązu, który okazał się główką wielkiej śruby. Wykręcili ją już ponad pół metra z kamiennego łuku nad drzwiczkami, na których brat Agreeer wykuł swój testament.

Vigor myślał głośno, mrużąc pod nosem:

– „Albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim”. Próbowałem obrócić te drzwi, ale potem przypomniałem sobie ostatni wers: „Jeśli ktokolwiek ośmieli się je otworzyć, niech to będzie człowiek silny w duchu Pana”. Powinienem był zwrócić na to uwagę na samym początku.

Na schodach rozległ się tupot stóp.

– Bomba... drzwi... szybko! – wrzasnął Kowalski.

Ciężka śruba wypadła z gniazda i z metalicznym łoskotem uderzyła o kamienne podłoże.

Były komandos, który niósł przerzuconą przez ramię bezwładną Susan, natychmiast wbiegł na szczyt schodów.

– Co tak długo robiliście? – spytał zdziwiony.

– Czekaliśmy na ciebie – odparł Vigor i pchnął kamienną płytę.

Drzwi przewróciły się i zalało ich światło słoneczne. Niemal całkowicie oślepiąca Lisa przepchnęła się przez wyjście, aby zrobić miejsce następnym.

– Seichan twierdziła, że próbowała popchnąć te drzwi – mruknął Kowalski. – Ale te jej chude ramionka...

Lisa rozejrzała się i zobaczyła, że znaleźli się w głębokiej kamiennej studni o średnicy trzech metrów. Jej pionowe ściany miały wysokość przynajmniej dwóch pięter i nie było w nich żadnych schodków.

Kowalski opuścił Susan na ziemię.

– Pani doktor, ona chyba nie oddycha.

Lisa przysunęła się do Susan, uklękła i zbadała jej puls. Choć go nie wyczuła, nie zamierzała się poddawać.

– Niech ktoś mi pomoże!

Następni precyzyjnie przeszli przez drzwi Gray i Seichan przytuleni do siebie jak kochankowie.

– Liso, ona nie żyje... – powiedział Gray.

– Nie, nie...

– Pomogę ci – zaofiarowała się Seichan.

Kiedy podchodziła, Lisa zobaczyła, że przez jej bluzkę i spodnie przesącza się krew. Świeża krew.

– Nic mi nie jest – burknęła Seichan, kiedy zauważyła jej spojrzenie.

Gray dał znak, aby zachowywali się jak najciszej i odsunęli od otworu drzwiowego. Miał pokrytą pęcherzami twarz, w niektórych miejscach zeszła mu skóra. Białka jego oczu zamieniły się w krwawe kręgi.

Lisa przystąpiła do masażu serca, a Seichan robiła Susan sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Vigor nakreślił nad leżącą znak krzyża.

– Oby to nie było ostatnie namaszczenie – mruknęła pod nosem Lisa.

Vigor pokręcił głową.

– To jedynie modlitwa za...

W tym momencie wybuchła bomba i ziemia pod ich stopami zadrżała konwulsyjnie. Z dołu wystrzeliła chmura powietrza pełnego żrących oparów.

Lisa pochyliła się nad Susan.

Większa część chmury pomknęła studnią w górę.

– Nie było najgorzej – stwierdził Kowalski.

Ale Gray nie przestawał patrzeć w górę.

Nie przerywając masażu serca Susan, Lisa również spojrzała w tym samym kierunku.

Z lewej strony widać było połowę środkowej wieży świątyni, z której spoglądały na nich wykute w kamieniu twarze. Wyraźnie drżały.

– Wali się! – krzyknął Gray.

Godzina 12.16

Nasser uciekał z sześcioma ludźmi przez podwórze na drugim piętrze. Każdy krok sprawiał mu straszliwy ból. Całe jego ciało płonęło, jakby ta piekielna kobieta w dalszym ciągu go obejmowała. Miał jednak w tej chwili pilniejsze sprawy na głowie.

Spojrzał za siebie i skulił się za murkiem.

Wieża świątyni Bayon zadrżała, a potem implodowała i na mniej więcej jednej czwartej całej wysokości zapadła się w siebie. Wraz z nią zapadło się sto twarzy bodhisattw, wygrywając pogrzebowego marsza. Nad zawałoną konstrukcją uniosła się chmura pyłu, a w dół zaczęły staczać się kolejne kamienie.

Szef oddziału burzącego ostrzegł go, że coś takiego może się zdarzyć, ale Nasser nie zamierzał dopuścić do tego, aby komandor Pierce uciekł z nagrodą.

Kiedy kucał za murkiem, zauważył drugą chmurę pyłu, bardziej z boku. Skręcała się i wiła jak sygnał dymny.

Zmrużył oczy.

Czyżby znajdowało się tam drugie wyjście z jaskini?

Godzina 12.17

Gray krztusił się pyłem i prawie nic nie widział. Wieża zawałiła się aż do fundamentów, zgniatając znajdującą się na dole jaskinię. Ze studni wystrzeliła w niebo fala kwaśnego dymu i pyłu.

Przetarł oczy i zajrzał w otwór drzwiowy. Strome schody zasypały ogromne głazy, sufit jaskini był zawalony.

Oparł się o ścianę i znowu spojrział w górę. Ściana studni od północnej strony była niebezpiecznie przechylona. Mieli szczęście, że nie zawaliła się im na głowy. Kilka kamieni wystawało ze ścian jak krzywe zęby.

Rozległo się głośnie kasłanie.

Pył już nieco opadł i mogli dostrzec, kto kaszle.

Była to Susan.

Zasłoniła usta dłonią i kaszlała tak gwałtownie, jakby miała koklusz.

Lisa pomogła jej usiąść.

Witamy ponownie wśród żywych.

Może wreszcie ich zła passa się skończyła.

Najwyraźniej jednak nie.

– Kogo my tu mamy? – krzyknął z góry Nasser. – Znaleźliśmy w beczce stadko ryb...

W dół skierowały się lufy karabinów.

Gray przesunął się po ścianie i zderzył z Kowalskim.

– I co teraz, szefie? – zapytał były komandos.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił czyjś telefon na górze studni. Gray dobrze znał ten dzwonek. Nasser sięgnął do kieszeni i wyjął aparat Vigora, który zabrał mu w hotelu. Zostali tam bardzo dokładnie zrewidowani.

Sprawdził, kto dzwoni.

– Rachel Verona... – Wyciągnął rękę z telefonem w dół. – Pańska siostrzenica, monsignore. Chce się pan z nią pożegnać?

Telefon zadzwonił po raz trzeci i zamilkł.

– Chyba nie... – mruknął Nasser. – Szkoda.

Gray zamknął oczy i wstrzymał oddech.

– A może pan, komandorze Pierce, zechciałby zadzwonić do mojej przyjaciółki Annishen? Obiecałem, że przed śmiercią usłyszysz pan krzyki swoich rodziców...

Gray sięgnął pod kurtkę Kowalskiego. Telefon od siostrzenicy Vigora był sygnałem, że jego rodzice zostali uwolnieni.

Albo nie żyją.

W każdym razie Nasser nie miał już nad nimi żadnej władzy.

Zacisnął palce na rękojeści pistoletu tkwiącego za paskiem byłego komandosa. Jakiś czas temu mało brakowało, a przestraszony przez małpę Kowalski by go użył, na szczęście Gray zdążył go powstrzymać.

Wyciągnął dyskretnie pistolet i trzymał go przy ziemi.

– A może lepiej będzie, jeśli ci nie powiem, jaki los spotkał twoich rodziców? – dodał Nasser. – Będziesz miał się nad czym zastanawiać aż do śmierci.

– A może ty pierwszy umrzesz? – zapytał Gray, zrobił krok do przodu, uniósł pistolet i strzelił dwa razy.

Trafił Nassera w ramię i w pierś. Impet wystrzału obrócił go o ćwierć obrotu wokół własnej osi i przerzucił przez krawędź studni. Machając rękami jak wiatrak, poleciał w dół, opryskując ściany krwią.

Gray nie przestał strzelać. Trafił trzech kolejnych ludzi, a reszta uciekła. Kiedy za jego plecami Nasser zwalił się na kamienną podłogę, usłyszał trzask kości i przeraźliwe wycie.

Wciąż trzymając broń gotową do strzału, Gray obserwował krawędź studni. Jego australijski pistolet

marki Metal Storm kalibru dziewięć mm wyglądał jak zwykły pistolet, ale miał cztery lufy zamiast jednej. W każdej z nich znajdowały się pociski wystrzeliwane odpalaniem za pomocą impulsu elektrycznego ładunkiem gazowym. Całość sterowana była komputerem. Konstrukcja ta nie ma żadnych części mechanicznych, które mogłyby się zaciąć, jedynym elementem ruchomym jest w niej pocisk. Pozwala to osiągnąć wysoką szybkostrzelność oraz umożliwia wystrzeliwanie kilku pocisków jednocześnie.

– Liso, zabierz Nasserowi telefon Vigora i połącz się z Painterem! – krzyknął.

Nie spuszczając wzroku z krawędzi studni, popatrzył na ich prześladowcę. Nasser leżał na plecach z podwiniętą pod siebie złamaną w barku ręką. Z ust z bulgotem wylewała mu się krew – miał płuca przebite przez połamane żebra. Żył jednak, a jego oczy przepełniały przerażenie i konsternacja.

Umieraj, draniu!

Po paru sekundach Nasser spełnił to życzenie.

– Skąd masz ten pistolet? – zapytała Seichan.

– Zorganizował mi go Painter. Nie chciałem, aby kogoś tu przysyłał, ale poprosiłem o przemycenie do łazienki w barze Elephant pistoletu i przyklejenie go za spłuczką. Wiedziałem, że Nasser będzie wobec mnie bardzo podejrzliwy i może nawet zrewiduje kilka razy, ale Kowalskiego...

– Pamiętam, w barze. Zanim wyszliśmy, nasz duży przyjaciel stwierdził, że musi się odlać.

– Wiedziałem, że przed spotkaniem zostaniemy zrewidowani, a to był najprostszy sposób zdobycia broni.

– Ten facet powinien obejrzeć sobie parę razy Ojca chrzestnego – mruknął Kowalski.

– Mam Paintera na linii! – zawołała Lisa.

– Moi rodzice? Są...

– Tak, są bezpieczni. Nic im się nie stało.

Gray odetchnął.

– Powiedz Painterowi, żeby kazał zarządzić kwarantannę na terenie piętnastu kilometrów wokół ruin.

Szczep Judasza wydostawał się z jeziora przez dwanaście minut, zanim bomba Nassera zniszczyła jaskinię i samego wirusa. Nie wiadomo, jak dużo dostało się go do atmosfery.

Gray popatrzył na Susan. Siedziała skulona w otworze drzwiowym, a nad nią stał Kowalski. Czy udało jej się zrobić to, co zamierzała? Czy wysiłki ich wszystkich przyniosły pożądany efekt, czy też poszły na marne?

– Oddziały kwarantannowe są już w drodze – oświadczyła Lisa.

Z uniesionym wysoko pistoletem Gray popatrzył w górę studni. Po ruinach świątyni w dalszym ciągu krążyła armia Gildii.

– Powiedz Painterowi, że przyda nam się tu trochę ludzi do pomocy.

– Mówi, że są już w drodze – poinformowała go po chwili Lisa. – Spójrz w górę.

Na niebie pojawiły się ptaki o długich skrzydłach. Zlatywały się ze wszystkich stron. Przypominały jastrzębie – jastrzębie z karabinami maszynowymi.

Gray wyciągnął rękę.

– Wydawało mi się, że nie mieliśmy organizować wojskowej akcji na terenie kompleksu – powiedział po chwili do aparatu.

– Nie uważam wysokości dwunastu tysięcy metrów za akcję „na terenie kompleksu”, a poza tym to ja jestem szefem, komandorze.

Oddział spływał z nieba, ustawiając się w szyk szturmowy. Każdy żołnierz miał przypiętą do pleców lotnię, która przypominała skrzydła samolotu myśliwskiego i pozwalała opadać na ziemię z dużych wysokości.

Na znak dowódcy wszyscy pociągnęli za specjalne rączki i skrzydła odpadły, a zamiast nich rozwinęły się spadochrony. Żołnierze szerokim wachlarzem zaczęli pokonywać ostatni odcinek drogi.

Sądząc po głośnym tupaniu na górze, ludzie Gildii rzucili się do ucieczki.

Jednak nie wszyscy spanikowali.

Rozległ się terkot broni maszynowej – najpierw były to pojedyncze serie, ale zaraz zamieniły się w gwałtowną kanonadę. Strzelanina trwała przez pełną minutę. Po chwili nad studnią przemknął jeden z atakujących żołnierzy. Strzelał w locie. Po nim przeleciał następny – z podkulonymi nogami, co oznaczało, że zamierza lądować. Sekundę później ruiny zaroily się od lądujących spadochroniarzy.

Nad skrajem studni pojawiła się czyjaś sylwetka.

Mało brakowało, a Gray by strzelił, na szczęście zauważył insygnia żołnierza.

Siły powietrzne Stanów Zjednoczonych.

– Wszystko u was gra? – zapytał żołnierz z australijskim akcentem i odpiął spadochron.

Lisa wysunęła się zza Vigora.

– Ryder! – krzyknęła zdumiona.

Australijczyk uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ten twój facet... Painter... to niesamowity gość! Pozwolił mi się przejechać. Nie jest to co prawda pełzanie razem z kanibalami po podłączonej do prądu sieci, ale... – Urwał i odwrócił się. – Co jest?

Ktoś coś krzyknął, Ryder machnął mu ręką i znowu spojrzał w dół.

– Trzymajcie się! Drabiny już jadą!

Odtoczył się na bok i zniknął.

Gray w dalszym ciągu obserwował skraj studni.

Po chwili przyłożył do ucha telefon.

– Dyrektorze?

– Tak?

– Dziękuję, że mnie pan nie posłuchał.

– Od tego jestem – odparł Painter.

19

Zdrajca

Bangkok, Tajlandia

14 lipca, godzina 10.34 czasu miejscowego

Minął tydzień. Lisa stała przy oknie pokoju prywatnego szpitala pod Bangkokiem. Wysoki mur skrywał przed oczami ciekawskich nie tylko niewielki piętrowy budynek, ale także piękny ogród, pełen melonowych drzew, kwitnących kwiatów lotosu, migoczących fontann i pomników Buddy w szafranowych szatach, przed którymi unosiły się cienkie nitki dymu z kadzidełek zapalonych podczas porannych modlitw.

Tego dnia o świcie Lisa również się modliła.

Za Monka.

Okno było otwarte, po raz pierwszy od tygodnia nie zakrywały go okiennice. Kwarantanna dobiegła końca. Lisa głęboko wciągnęła powietrze przesycone zapachem jaśminu i kwiatu pomarańczy. Zza murów dobiegały odgłosy wiejskiego życia: pomruki bawołów, paplanina przechodzących przed bramą starszych kobiet, ciężkie stąpanie słonia ciągnącego pień drzewa i radosny dziecięcy śmiech.

Życie...

Mało brakowało, a wszyscy by je stracili.

– Kiedy stoisz przed oknem, słońce prześwituje ci przez szpitalną koszulę – powiedział czyjś głos za jej plecami. – Ten widok pozostawia bardzo niewiele dla wyobraźni. Choć nie powiem, żebym się skarżył...

O framugę drzwi opierał się Painter, w ręce trzymał bukiet ulubionych kwiatów Lisy – żółtych róż. Po tygodniowym pobycie w tropikach był lekko opalony i jego błękitne oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

– Myślałam, że wrócisz dopiero późnym wieczorem.

Wszedł do środka. W odróżnieniu od sterylnych sal większości szpitali pokoje dla pacjentów w tym prywatnym ośrodku były wyposażone w luksusowe meble z drewna tekowego. W salce Lisy stało także kilka wazonów z kwiatami oraz dwie szklane kule z wielobarwnymi złotymi rybkami.

– Spotkanie z premierem Kambodży zostało przeniesione na przyszły tydzień, ale prawdopodobnie okaże się niepotrzebne – powiedział Painter. – Kwarantanna u nich zakończy się za dwa, trzy dni.

Samoloty do opryskiwania roślin rozpyliły wszędzie środki dezynfekujące, szczególnie obficie opryskano ruiny Angkoru. W obozach, w których odbywali kwarantannę mieszkańcy okolicznych wiosek, kilka osób zachorowało, ale wszyscy dobrze reagowali na leczenie.

Lekarstwo działało.

Susan znajdowała się w innym skrzydle tego samego szpitala, pod ścisłą strażą, jednak na szczęście okazało się to niepotrzebne. Przeszła piekło, ale wytworzyła

antidotum. Dokładne badania wykazały, że w jej organizmie nie ma wirusa – ani w postaci cis, ani trans. Zniknął całkowicie.

W jej ciele znajdował się lek.

Nie był to enzym, przeciwciało czy krwinka, ale bakteria. Ta sama cyjanobakteria, która wywołała świecenie skóry.

Ponowne wystawienie na działanie toksyny przemieniło ją i odwróciło cykl życiowy. Podobnie jak dzieje się w przypadku bakterii probiotycznych w jogurcie, jej spożycie lub wszczepienie zmuszało organizm do wytwarzania związków, które nie tylko niszczyły wszystkie toksyczne bakterie wytwarzane przez wirusa Judasza, ale także trawiły jego samego.

Lek wywoływał objawy przypominające łagodną grypę i uodparniał chorego na ponowne zakażenie. Na osoby zdrowe bakteria działała jak szczepionka. W dodatku okazała się bardzo łatwa w hodowli, co pozwoliło szybko rozprowadzić ją po laboratoriach na całym świecie. Wytworzono ogromne zapasy, dzięki czemu pandemia została błyskawicznie opanowana, nie trzeba się też było obawiać jej kolejnego wybuchu.

– A co z Wyspą Bożego Narodzenia? – spytała Lisa.

Painter wyjął z wazonu więdnące kwiaty i wstawił róże, które przyniósł.

– Wszystko w porządku. Przejrzałem dokumenty, które twój przyjaciel Jessie wyniósł ze statku. Wygląda na to, że opuszczając wyspę, Gildia wyrzuciła do wody od nawietrznego brzegu duży ładunek wybielacza. Oczywiście nie z altruistycznych pobudek... chcieli zniszczyć znajdującego się w wodzie wirusa, aby nie znalazła go żadna z rywalizujących z nimi organizacji.

– Sądzisz, że to go całkowicie zlikwidowało?

Painter wzruszył ramionami i usiadł obok niej na łóżku, po czym ujął jej dłoń.

– Trudno powiedzieć. Przez wyspę przewalił się tajfun. Międzynarodowe ekipy oceanografów pod kierownictwem doktora Graffa cały czas monitorują okoliczne wody. Uznałem, że zasłużył na to stanowisko.

Ścisnęła jego rękę, bo wzmianka o Graffie przywołała wspomnienie Monka. Westchnęła i wbiła wzrok w rybki w kulistym akwarium.

Painter uwolnił dłoń, objął Lisę ramieniem i przyciągnął ją do siebie. Domyślał się, co zaprzęta jej głowę.

– Na pewno już wiesz, że rozmawialiśmy ze wszystkimi, którzy przeżyli na Mistress of the Seas...

Bez słowa objęła go w talii. Czowała, że wiadomość, jaką usłyszy, nie będzie przyjemna.

Wyspa ciągle jeszcze była objęta kwarantanną. Kiedy statek wycieczkowy Rydera Blunta został ogarnięty pożarem i zaczął tonąć, australijscy komandosi przeprowadzili jego ewakuację. Większość tego, co stworzyła Gildia, leżało teraz trzysta metrów pod powierzchnią morza, w bezpośrednim sąsiedztwie kryjówek drapieżnych kałamarnic. Ich obecność sprawiała, że każda próba zanurkowania do wraku była bardzo niebezpieczna. Naukowcy sklasyfikowali je jako nowy gatunek z rodzaju Taningia. Dla uczczenia pamięci męża Susan nazwano go Taningia tunis.

Lisa rozmawiała wczoraj przez telefon z Henrim i Jessiem, którzy przebywali w obozie dla uchodźców na wyspie Pusat. Z pomocą kanibali udało im się uratować większość pacjentów i pracowników WHO. Chorzy

znajdowali się teraz w szpitalu i na razie stan większości się poprawiał. Nie dotyczyło to oczywiście tych, którzy popadli w kompletne szaleństwo – wszystko wskazywało na to, że w ich przypadku uszkodzenia mózgu są trwałe. Jednak większość najciężiej chorych poszła na dno razem ze statkiem. Mistress of the Seas nie opuścił żywy ani jeden członek Gildii.

Nie – chyba jednak komuś się to udało.

Jessie opowiedział Lisie o pewnym epizodzie z ewakuacji. Kiedy w którymś momencie dotarł do zamkniętej na kłódkę komórki, usłyszał dobiegający ze środka płacz dzieci. Wyłamał kłódkę i zabrał dzieci z tonącego statku, a one opowiedziały mu historię o dziwnym aniele, który je zamknął w tej komórce, żeby nikt nie mógł ich skrzywdzić. Potem odciągnął od nich ogarniętych żądzą mordy pacjentów.

Miał długie czarne włosy, był ubrany w jedwabną szatę i przez cały czas milczał.

Surina.

Nikt więcej już jej nie widział.

– Przesłuchaliśmy wszystkich, którzy byli na statku – mówił Painter. – Jeden z lekarzy WHO ukrył się na pokładzie, a ponieważ miał lornetkę, obserwował waszą ucieczkę na Morskiej strzale. Widział, jak Monk spada do wody, jak zwała się na niego sieć i wpycha go pod powierzchnię. – Przerwał, aby zaczerpnąć powietrza, po czym dodał: – Nie wypłynął.

Lisa zamknęła oczy. Jakaś jej cząstka przez cały czas miała nadzieję, że mimo wszystko Monkowi udało się przeżyć. Właśnie dlatego klęczała dziś rano przed jednym z posążków Buddy w ogrodzie szpitalnym.

– Odszedł – szepnęła i mocniej przytuliła się do Paintera. Jej łzy przesiąkały mu przez koszulę. – Mówiłeś już o tym Kat?

Nie odpowiedział.

Czuła, że cały drży.

– Nigdy mnie w taki sposób nie opuść – poprosił po chwili schrypniętym szeptem.

Zgłosiła się do tej misji, aby sprawdzić, jak wygląda życie poza cieniem Paintera. Chciała spojrzeć z perspektywy na ich coraz bardziej splatające się ścieżki – zarówno zawodowe, jak i osobiste.

Dowiedziała się wszystkiego, czego chciała się dowiedzieć.

Wiedziała już, że jest wystarczająco silna, aby stanąć na własnych nogach.

I właśnie dlatego...

Uniosła głowę i pocałowała Paintera w usta.

– Należę do ciebie – szepnęła.

Godzina 12.02

Gray szedł ścieżką szpitalnego ogrodu. Przebrał się w dzinsy, wygodne buty i luźną koszulę z kolorowym nadrukiem. Przyjemnie było nie tylko pozbyć się szpitalnego stroju, ale także wyjść na zewnątrz – mimo że nadal jeszcze czuł ucisk w płucach, a jego oczy były wrażliwe na światło. Nie zakończył jeszcze rekonwalescencji, lecz kumulowana przez tydzień

bezczynności energia powoli zaczynała przemieniać się w irytację.

Przyspieszył kroku i obszedł cały budynek. Nie chciał żadnych niespodzianek.

Przygotowywał się do tego od trzech dni.

Pacjentom wolno było wychodzić poza teren szpitala, ale nie mogli opuszczać wioski.

Minął róg żywopłotu i znalazł się na wysokości niszy z tłustym Buddą odzianym w czerwony jedwab. Na ziemi leżały resztki kadzidełek, ale unoszący się w powietrzu dym pochodził z innego źródła.

O posążek opierał się Kowalski. Kiedy zobaczył Graya, wyjął z ust cygaro i wydmuchał gęstą chmurę dymu.

– Jesteś wreszcie... – mruknął.

– Skąd wzięłeś... zresztą nieważne. Udało ci się zdobyć to, o co prosiłem? – zapytał Gray.

Były komandos zdusił cygaro na barku Buddy i Gray aż się skulił na takie świętokradztwo.

– Udało, ale po co ci to wszystko? – Wyciągnął zza pleców owiniętą papierem paczkę. – Przekupiłem pielęgniarza, kiedy mnie mył. Dlaczego nie mogą tego robić kobiety?

Gray wziął paczkę i odwrócił się na pięcie.

Kowalski skrzyżował ramiona na piersi, zmarszczył czoło i burknął coś pod nosem.

– Co jest? – spytał Gray, odwracając się do niego.

Olbrzym otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

– No co?

Kowalski zamachał dłońmi.

– Przez cały czas ani razu nie strzelałem... Ani z karabinu, ani z pistoletu, ani nawet z korkowca!

Równie dobrze mogłem stać przed domem na warcie.

Gray popatrzył na niego ze zdumieniem. Była to najdłuższa przemowa, na jaką wielkolud kiedykolwiek się zdobył. Musiał być naprawdę rozgoryczony.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– No dobrze. Chodź ze mną.

– Dokąd idziemy?

Kiedy przechodzili przez bramę, stojący przy niej wartownicy skinęli im głowami. Gray wsadził sobie paczkę pod pachę, wyjął portfel i wyciągnął z niego dziesięciodolarowy banknot. Podał go Kowalskiemu.

– Co mam z tym zrobić?

Gray wskazał drogę, przy której pracowali robotnicy. Czterech ludzi i dwa słonie.

– Widzisz te olbrzymy?

Twarz Kowalskiego rozjaśnił szeroki uśmiech. Zrobił trzy kroki, zatrzymał się i odwrócił do Graya, aby mu podziękować, a potem szybkim krokiem ruszył w stronę robotników.

– O tak! Przejażdżka na słoniu! Hej, ty! Gunga Din!

Gray wrócił na teren szpitala.

Godzina 12.15

Vigor odpoczywał, leżąc w łóżku. Na stoliku nocnym piętrzyły się książki, niemal spychając z niego kuliste akwarium. Po drugiej stronie łóżka leżał plik artykułów o anielskim piśmie, Marcu Polo, historii Khmerów i ruinach Angkoru.

Po raz czwarty czytał tekst, który przyniósł mu Gray. Był to opublikowany w 1994 roku przez „Science” artykuł przedstawiający i analizujący analogie między ludzkim językiem i kodem genetycznym.

Jakiś ruch za otwartymi drzwiami kazał mu podnieść wzrok znad lektury.

– Komandorze Pierce! – zawołał.

Gray zatrzymał się, popatrzył na zegarek i wszedł do pokoju.

– Tak, monsignore?

Ten formalny zwrot zaskoczył Vigora.

– Wejdź na chwilę!

– Jestem trochę zajęty... Jak się czujesz?

– Dobrze – odparł Vigor. Szkoda mu było czasu na zajmowanie się tak mało ważnymi sprawami. – Przeczytałem ten artykuł. Nie wiedziałem, że aktywnych jest tylko trzy procent naszego genomu. Dziewięćdziesiąt siedem procent to śmieci i do niczego nieprzydatne kody, ale jeżeli przepuścimy te śmieci przez program deszyfrujący, sprawdzający obecność języka, okazuje się, że one również zawierają w sobie język. Zdumiewające, prawda? – Vigor zdjął okulary. – Co by było, gdybyśmy potrafili ten język zrozumieć?

– Niektóre rzeczy na zawsze pozostaną poza możliwościami naszego umysłu.

Vigor zmarszczył brwi.

– Nie sądzę. Bóg nie po to dał nam takie wielkie mózgi. Zostaliśmy stworzeni, aby zadawać pytania, badać i dążyć do pełniejszego zrozumienia wszechświata, zarówno zewnętrznego, jak i wewnętrznego.

Gray dyskretnie zerknął na zegarek i Vigor to zauważył.

– Nie będę cię przetrzymywał, przejdę od razu do sedna – powiedział. – Pamiętasz, jak w krypcie pod świątynią Bayon zasugerowałem, że anielskie pismo może być pisemną formą nieznanego języka genetycznego, Słowem Bożym zawartym właśnie w tych dziewięćdziesięciu siedmiu procentach naszego kodu genetycznego, które uważamy za śmieci? A jeżeli to nie są śmieci? Może udało nam się zajrzeć do lepszej, doskonalszej części ludzkiego umysłu?

– To znaczy?

– Mówię o Susan. Może jej przemiana miała ukazać nam nasze prawdziwe możliwości? – Widząc w oczach Graya niedowierzanie, uniósł dłoń. – Rozmawiałem o tym dziś rano z Lisą. Opowiedziała mi, jak bardzo pobudzony był energią bakterii mózg Susan po wystawieniu na światło. Według niej uaktywniły się w nim obszary, które zwykle pozostają uśpione. Czy to nie zastanawiające, że tylko znikoma część ludzkiego kodu genetycznego jest aktywna i wykorzystujemy jedynie niewielki procent naszego mózgu? Nie wydaje ci się to dziwne?

Gray wzruszył ramionami.

– Może.

– A jeżeli pismo anielskie pokazuje cały nasz potencjał, to, co jest w nas ukryte i czeka na przebudzenie? Według Księgi Rodzaju Bóg stworzył nas na swój obraz i podobieństwo. A jeżeli to podobieństwo jest ukryte w uśpionych obszarach naszego mózgu, zakodowane w anielskim piśmie naszego śmieciowego DNA i trzeba je dopiero odnaleźć? Może napisy, które

widzieliśmy na ścianach pod Bayon, były próbą zrozumienia przez kogoś tego potencjału? Sam mówiłeś, że muszą być niekompletne, że prawdopodobnie brakuje w nich wielu fragmentów.

– Na pewno są to zagadnienia warte zbadania, ale wątpię, czy kiedykolwiek dowiemy się prawdy. Susan wróciła do normy, a od Paintera wiem, że ekipie geologów udało się dotrzeć do najniższej krypty pod Bayon. Niektóre ściany ocalały, jednak bomba kwasowa Nassera dokładnie je wyczyściła. Nic nie pozostało z napisów.

– Wielka szkoda. Ale w dalszym ciągu najbardziej zastanawia mnie to, czego nie znaleźliśmy w krypcie...

– Czyli co?

– Żółw. Podejrzywałeś, że w krypcie może kryć się jakaś głębsza tajemnica, coś reprezentującego wcielenie Wisznu...

– Pewnie chodziło o wirusa Judasza. O świecąca wodę. Sam mówiłeś, że starożytni Khmerzy prawdopodobnie natknęli się na świetlistą jaskinię i uznali, że to miejsce zamieszkania jakiegoś boga. Może nawet właśnie Wisznu.

– A może to Susan była objawieniem tej głębszej tajemnicy, rzutem oka na boski lub anielski potencjał ukryty w każdym z nas?

Gray ponownie wzruszył ramionami, najwyraźniej zamierzając zakończyć tę dyskusję, ale Vigor zauważył, że ma lekko ściągnięte brwi, co oznaczało u niego zaniepokojenie. Zależało mu na tym, aby zachował otwarty umysł, więc dał mu dłonią znak, że może już iść.

– Pozdrowienia dla Seichan – powiedział, kiedy jego gość wychodził.

Gray popatrzył na niego ze zdziwieniem.
Vigor ponownie założył okulary.
Ech, ta młodość...

Godzina 12.20

Gray podał filiżankę z kawą stojącemu pod drzwiami Seichan strażnikowi.

- Obudziła się? – zapytał.
- Nie wiem – odparł tamten.

Pacjentka po drugiej operacji przez cały czas była na środkach nasennych. Podczas zajść w świątyni Bayon rana postrzałowa się rozerwała i Seichan dostała krwotoku wewnętrznego.

Stało się to wtedy, kiedy go ratowała.

Pamiętał, jak go niosła, pamiętał jej pokrytą pęcherzami twarz i opuchnięte oko. Nie wiedział jednak, że powrót po niego mógł kosztować ją życie.

Wszedł do pokoju.

Seichan leżała na plecach, a jej rozkrzyżowane ręce były przykute kajdankami do poręczy łóżka.

Miała na sobie tylko cienką szpitalną koszulę i była przykryta prześcieradłem.

Jedyne umeblowanie sterylne i zimnego pomieszczenia stanowiły łóżko oraz przysunięty do ściany stojak na kółkach. Wysokie, wąskie okno zasłaniały metalowe żaluzje.

Kiedy Gray wszedł do środka, Seichan drgnęła i odwróciła głowę w jego stronę. Gdy poznała gościa,

spuściła oczy i zacisnęła zęby, zawstydzona, że widzi ją unieruchomioną. Po chwili w jej oczach zapłonęła złość. Szarpnęła kajdankami.

Gray podszedł do łóżka i usiadł na nim.

– Choć moi rodzice żyją, nie znaczy to, że ci wybaczam – oświadczył. – I że kiedykolwiek wybaczę. Ale jestem ci coś winien, więc nie pozwolę ci umrzeć. Nie w ten sposób.

Wyciągnął z kieszeni kluczyki do kajdanek. Kiedy unosił nadgarstek Seichan, poczuł, że jej puls przyspiesza.

– Rano mają przewieźć cię do Guantanamo.

– Wiem.

Podobnie jak Gray zdawała sobie sprawę, że jest to równoznaczne z wyrokiem śmierci. Nawet jeżeli ten wyrok nie zostanie wykonany, każe ją zabić Gildia albo któraś z agencji wywiadowczych. Izraelski Mossad nie zawiesił wydanego na nią wyroku.

Gray przekręcił kluczyk i kajdanki otworzyły się z cichym trzaskiem.

Seichan usiadła, ale podejrzliwość nie zniknęła z jej oczu.

Próbując go wybadać, wyciągnęła dłoń po kluczyk.

Podał go jej.

Kiedy otwierała drugą obręcz, położył na łóżku paczkę z rzeczami, które zdobył Kowalski.

– Masz tu trzy zestawy: uniform pielęgniarki, strój lokalny i coś kamuflującego. Są też miejscowe pieniądze. W tak krótkim czasie nie mogłem załatwić dokumentów.

Seichan zaczęła masować nadgarstki. Zza drzwi rozległ się stłumiony dźwięk przypominający uderzenie worka kartofli o podłogę.

– Podałem też środek nasenny wartownikowi – dodał.

Popatrzyła na drzwi, a potem znowu na Graya. Jej oczy błysnęły. Zanim zdążył się poruszyć, złapała go za kołnierzyk i przyciągnęła do siebie, a potem pocałowała go mocno. Jej usta smakowały jakimś słodkim lekarstwem.

Chciał się cofnąć. Nie przyszedł tu, żeby...

A niech to!

Objął ją i przyciągnął do siebie. Wpiła się w jego usta i próbowała się na niego wspiąć. Przekręcił się i opadł na plecy.

Trzasnął metal.

Odepchnęła się od niego.

Jego prawy nadgarstek został przykuty do łóżka.

Kiedy spojrział w górę, zobaczył mknący w stronę swojej twarzy łokieć.

Głowa odskoczyła mu do tyłu i poczuł na ustach smak krwi.

Seichan usiadła na nim okrakiem i uniosła pięść. Kiedy zablokował cios wolnym ramieniem, przekrzywiła głowę i powiedziała:

– To musi wyglądać przekonująco, inaczej to ty trafisz do Guantanamo.

Miała rację, więc opuścił ramię.

Uderzyła tak mocno, że z jego warg trysnęła krew i zadzwoniło mu w uszach.

Potrząsnęła dłonią, która musiała ją zabołeć, i znowu się zamachnęła.

– A to za to, że mi nie ufałeś – syknęła, uderzając go ponownie.

Tym razem krew poleciała mu z nosa. Poczuł, że odpływa, ale po chwili oprzytomniał.

Pochyliła się i przysunęła usta do jego ucha.

– Pamiętasz, co ci obiecałam na początku?

Przekręcił głowę na bok i wypluł krew.

– O co chodzi?

– Obiecałam, że po wszystkim powiem, kto jest kretem.

– Przecież nie było żadnego kreta.

– Jesteś pewien?

Wpatrywała się w niego tak intensywnie, że po chwili nie był już tego tak bardzo pewien.

Cofnęła się i błyskawicznym ruchem uderzyła go łokciem w oko.

– Jezu... – jęknął.

– To bardzo ładnie napuchnie – stwierdziła i popatrzyła na niego jak malarz przygotowujący się do rozpoczęcia portretu. – Ja jestem kretem.

– Co?

– Jestem kretem umieszczonym w Gildii.

Uderzyła go pięścią w drugie oko i świat pociemniał mu przed oczami.

– Jestem dobrą dziewczynką, Gray. Jeszcze się tego nie domyśliłeś?

– Podwójna agentka? – zapytał po chwili otumaniony zarówno ciosami, jak i jej słowami. – Dwa lata temu strzeliłaś do mnie. Prosto w klatkę piersiową!

Ponownie zacisnęła pięść.

– Wiedziałam, że masz na sobie kamizelkę kuloodporną.

Jej pięść spadła na jego twarz. Ujęła w palce jego nos, jakby rozważała, czy ma go złamać.

– No dobrze... a bomba z węglikiem w Fort Detrick?

– Była wysterylizowana. Niegroźna. Zamierzałam skompromitować tego, kto ją zrobił.

– A kurator w Wenecji? Zabiłaś go z zimną krwią.

Przejechała paznokciami po jego lewym policzku.

– Gdybym tego nie zrobiła, byłoby więcej ofiar... wyrżnięto by całą jego rodzinę.

Miała odpowiedź na każde pytanie.

Odchyliła się do tyłu i znowu zaczęła przyglądać się nosowi Graya.

– Nie zamierzam się wycofywać... nie teraz, po pięciu latach, kiedy tak mało brakuje mi do odkrycia, kto jest przywódcą Gildii.

Zamachnęła się, jednak tym razem zdążył złapać ją za nadgarstek.

– Seichan...

Cała spięta patrzyła mu prosto w oczy. Czegoś w nich szukała, ale najwyraźniej tego nie znalazła, bo dostrzegł w jej wzroku rozczarowanie, żal, może także smutek.

Kiedy uderzyła go drugim łokciem w ucho, puścił ją. Odchyliła się do tyłu i zaczęła z niego schodzić.

– Wystarczy – stwierdziła.

Rozpakowała przyniesioną przez niego paczkę, ściągnęła szpitalną koszulę i włożyła uniform pielęgniarki. Cały czas stała odwrócona do Graya plecami.

– Seichan?

Podeszła do drzwi, obejrzała się i powiedziała cicho:

– Zaufaj mi choć trochę, Gray. Zasłużyłam na to.

Wyszła, zanim zdążył otworzyć usta.

„Zaufaj mi...”.

Ufał jej.

Podciągnął się na łóżku. Cała twarz mu pulsowała, oko puchło.

Minęło piętnaście minut. Wystarczająco długo, aby zdążyła uciec.

Do pokoju wszedł Painter Crowe.

– Ma pan wszystko? – spytał go Gray.

– Nagrało się każde słowo.

– Czy to możliwe, żeby mówiła prawdę?

Painter popatrzył na drzwi.

– Jest doskonałym kłamcą.

– Może musi. Aby przeżyć w Gildii.

Painter rozpiął Grayowi kajdanki.

– Tak czy owak, urządzenie, które umieściliśmy jej w brzuchu, pozwoli nam ją śledzić.

– A jeżeli wykryje je Gildia?

– Jest wykonane z polimeru niewidocznego dla promieni rentgenowskich. Nigdy go nie odkryją.

Chyba że otworzą jej brzuch, pomyślał Gray.

Wstał.

– To nie powinno się w ten sposób zakończyć.

– Tylko pod tym warunkiem rząd zgodził się na jej uwolnienie.

Gray wciąż widział przed sobą wpatrujące się w niego oczy Seichan.

Wiedział już, że nie kłamała.

I wcale nie została uwolniona.

Epilog

Takoma Park, Maryland

11 sierpnia, godzina 8.32 czasu miejscowego

– Świetna robota – stwierdził Gray.

Ojciec przeciągnął po masce thunderbirda szmatką nasączoną płynnym woskiem. Kiedy zabrali kabriolet z parkingu policyjnego i przywieźli do domu na lawecie, Painter załatwił jego naprawę w najlepszym warsztacie zajmującym się starymi samochodami w Dystrykcie Columbii. Ojciec odebrał stamtąd auto już przed tygodniem, ale Gray widział je po raz pierwszy.

Jack Pierce cofnął się i oparł dłonie na biodrach. Miał na sobie poplamiony olejem podkoszulek i spodnie do kolan odsłaniające jego nową protezę. Była to kolejna uprzejmość ze strony Sigmy. Została skonstruowana w laboratoriach DARPA i wyglądała jak prawdziwa noga.

– Co sądzisz o tych oponach? – zapytał. – Brzydsze od starych kelsey'ów, prawda?

Gray podszedł do thunderbirda. Według niego poprzednie i obecne opony niczym się od siebie nie różniły.

– Masz rację – przyznał. – Te są do bani.

– No cóż, za to były za darmo. Ten twój Painter okazał się bardzo hojny.

Gray domyślał się, do czego prowadzi ta rozmowa.

– Tato...

– Przedyskutowaliśmy to z twoją matką – oświadczył ojciec, nie odrywając wzroku od samochodu. – Uważamy, że powinieneś zostać w Sigmie.

Gray podrapał się po głowie. Miał w kieszeni wypowiedzenie. Kiedy wrócił z Kambodży, ojciec leżał w szpitalu z klatką piersiową poparzoną taserem. Matka miała złamany nadgarstek i wielkiego siniaka pod okiem.

Przez niego.

Jak mógłby zapewnić im bezpieczeństwo, jeżeli pozostanie w Sigmie? Gildia wiedziała, kim jest, i wiedziała, gdzie znaleźć jego rodziców, więc jedynym sposobem zapewnienia im bezpieczeństwa była rezygnacja z dotychczasowej pracy. Painter próbował go przekonać, że Gildia nie stanowi zagrożenia, bo nigdy nie szuka odwetu. Zapewnił go też, że w przyszłości przed każdą akcją jego rodzice byliby zabezpieczani.

Czasem jednak akcje zaczynają się w niezaplanowany sposób. Udowodniła to Seichan, wpadając na motocyklu na podjazd domu jego rodziców.

– To, co robisz, jest ważne – powiedział ojciec. – Troska o nas nie może cię powstrzymywać.

– Tato...

Jack uniósł dłoń.

– Powiedziałem już swoje, a ty podejmiesz taką decyzję, jaką uznasz za najwłaściwszą. Muszę się zastanowić, czy te opony mi się podobają...

Zanim Gray się odwrócił, ojciec uścisnął go lekko i odsunął od siebie.

– Idź teraz do domu i sprawdź, co matka przypalała na śniadanie.

Ale Harriet właśnie wyszła z domu.

– Gray, przed chwilą rozmawiałam z Kat! Powiedziała, że zamierzasz do niej wpaść.

– Na werandzie jest kilka rzeczy Monka, które chciałem jej oddać. Tata pożyczy mi samochód, więc po wyjściu z biura będę mógł załatwić dla niej kilka spraw.

– Wiem, że pogrzeb odbędzie się za dwa dni... Mam dla Kat ciasto. Mógłbyś je zawieźć?

– Upiekłaś ciasto?

– Nie, kupiłam je w piekarni na rogu. Aha, mam też kilka zabawek dla Penelope. Znalazłam również taki miłutki kombinezon w słońce...

Gray słuchał i kiwał głową.

– Jak ona się czuje? – spytała w końcu matka.

– Ma lepsze i gorsze dni.

Zazwyczaj gorsze, dodał w myśli.

– Chodź po to ciasto. Gdy ostatni raz ją widziałam, biedna dziewczyna była chuda jak szczapa.

Kiedy dała mu wielką papierową torbę z ciastem, wziął ją i wyszedł na werandę, gdzie stała sterta pudeł, w których znajdowały się rzeczy Monka.

Jeden z tych kartonów miał zabrać do domu pogrzebowego. Ryder Blunt oddał im protetyczną dłoń Monka, którą uwolnił, każąc przeciąć podpórkę skrzydła swojego łodzio-samolotu. Kat nawet nie chciała na nią spojrzeć i trudno było jej się dziwić, poprosiła jednak, aby włożyć protezę do pustej trumny, która miała zostać złożona na Cmentarzu Narodowym w Arlington. Każdy

z przyjaciół Monka miał przynieść jakąś pamiątkę po nim, aby można ją było umieścić w trumnie.

Gray znalazł kasetę z jego ulubionym filmem, którą przyjaciel zostawił kiedyś u niego po wieczorze spędzonym przy pizzy i prażonej kukurydzy. Były to Dźwięki muzyki. Monk znał słowa wszystkich piosenek i śpiewał je, bujając Penelope na kolanie.

Gray nigdy w życiu nie spotkał człowieka o lepszym sercu.

Na pewno byłby też wspaniałym ojcem.

Wyjął z kieszeni swoje podanie o zwolnienie z pracy, wyprostował jego zagięte rogi i usiadł na huśtawce. Bardzo chciałby porozmawiać o tym z Monkiem.

Kiedy siadał, usłyszał dochodzące z któregoś z kartonów skrobanie.

Pewnie wiewiórki od sąsiada dobrały się do ciasta, pomyślał.

Wstał i poszedł je ratować, ale okazało się, że drapanie dobiega z innego miejsca. Przez chwilę szukał właściwego pudła, po czym zdjął pokrywę.

Painter nie tylko zlecił naprawę thunderbirda i skonstruowanie nowej nogi dla ojca Graya, nie chciał także, żeby proteza dłoni Monka trafiła do grobu spalona. Dlatego zrekonstruowano ją starannie i teraz leżała w eleganckim pudle w zagłębieniu wyłożonym gąbką.

Jeden z palców drapał w wyściółkę.

Gdy Gray wyjął protezę z pudełka, palec wskazujący pomachał w powietrzu i Gray aż się wzdrygnął. Dobrze, że Kat tego nie widzi.

W mechanizmie musiało dojść do jakiegoś spięcia.

Położył dłoń na krześle, ale palec dalej się poruszał, stukając rytmicznie w siedzisko. Gray odwrócił się z niesmakiem. Wyjął telefon, aby zadzwonić do Sigmy i zbesztać technika odpowiedzialnego za fuszerkę.

Wybierając numer, zauważył, że palec porusza się w określonym rytmie.

Proteza wystukiwała alfabet Morse'a.

Trzy krótkie ruchy, trzy długie, znowu trzy krótkie.

SOS.

– Monk... – jęknął.

Góry Kardamonowe, Kambodża Godzina 14.45 czasu miejscowego

Susan Tunis wspinała się na strome zbocze porośniętej drzewami góry, idąc obok okrytego delikatną mgiełką wodospadu. Kiedy przechodziła w pobliżu zwisającego z liany gibona czapnika o czarnej mordzie otoczonej szarym futrem, zaprotestował wrzaskliwie.

Szła zdecydowanym krokiem, jakby wyraźnie widziała cel, do którego dążyła. Góry Kardamonowe tworzą naturalną granicę między Kambodżą i Tajlandią, a gęsty las i strome wzgórza sprawiają, że cały ten teren jest bardzo niegościnnie.

Pod koniec czwartego dnia swojej wędrówki, leżąc w przykrytym moskitierą hamaku, zobaczyła zagrożonego wyginięciem indochińskiego tygrysa

o pręgowanym futrze. Ogromne zwierzę warknęło basowo i zniknęło w dżungli.

Poza tym nie widziała nic większego od gibona.

Nie widziała także ani jednego człowieka.

Z powodu ukształtowania terenu i oddalenia od osad ludzkich często ukrywali się tu ostatni Czerwoni Khmerzy, należało więc uważać na pozostawione przez nich miny przeciwpiechotne.

Susan była przekonana, że już kilka dni temu minęła granicę obszaru, na który zapuszczali się Khmerzy. Weszła na grań i ruszyła wzdłuż rzeki porośniętym lasem płaskowyżem. Na jej widok z wystających z wody pni ześlizgnęło się do wody kilka małych azjatyckich żółwi wodnych.

Batagur baska.

Jeden z najbardziej zagrożonych gatunków na naszej planecie.

Nazywano je także żółwiami królewskimi i uważano za boskich strażników.

Tuż za ich błotnymi gniazdami i jamami stały okrągłe gliniane naczynia mniej więcej metrowej wysokości, pokryte porostami i skomplikowanymi ornamentami. Były to starożytne urny, w których przechowywano kości królów i królowych. W górach znajdowało się wiele takich miejsc, a każde z nich uważane było za święte.

Ale tego miejsca – najstarszego ze wszystkich – najwyraźniej nikt nie odwiedzał.

Susan weszła między gęsto ustawione urny. Po kilkudziesięciu metrach zaczęły się przerzedzać, a przy idącej pionowo w górę ścianie kolejnego klifu cmentarz się kończył.

Wiedziała, dokąd musi się udać. Wiedziała to już od chwili, gdy doktor Cummings przywróciła ją do życia. Zdobyła coś więcej niż lekarstwo na wirusa Judasza, ale nikomu o tym nie powiedziała.

Jeszcze nie nadszedł na to czas.

Zatrzymała się przy biegnącym w górę pęknięciu w skale przypominającym zygzak błyskawicy i mającym u podstawy jakieś pół metra szerokości. Zdjęła plecak, obróciła się bokiem i wsunęła w szparę. Stawiała maleńkie kroczki i wsuwała się coraz głębiej w skałę. Robiło się coraz ciemniej.

Kiedy przestała cokolwiek widzieć, wyciągnęła rękę w bok. Jej palce zajaśniały bladym światłem, które rozeszło się aż do barku. Trzymała rękę w górze niczym lampę i szła dalej.

Był to kolejny sekret, który zachowała dla siebie.

Ale wcale nie największy.

Oświetlając sobie drogę, wchodziła coraz głębiej w szczelinę.

Wkrótce straciła rachubę czasu, jednak wiedziała, że już dawno musiała zapaść noc.

W końcu zobaczyła światło.

Takie samo, jakim świeciła jej ręka.

Zapraszało ją.

Szła ciągle w tym samym tempie, nie musiała się spieszyć.

W końcu weszła do wielkiej jaskini.

Na jej podłodze płonęły niezliczone światła, co wyglądało, jakby pospadały na nią wszystkie gwiazdy. Setki, tysiące.

Zaczęła iść między ognikami.

Każdy z nich był rozświetloną od wewnątrz postacią o rozłożonych szeroko na boki rękach. We wnętrzu wszystkich postaci płonął ogień, zamieniając ciała w półprzezroczyste twory. Widać było ciemniejsze zarysy układu nerwowego: mózg, rdzeń kręgowy, płataninę nerwów obwodowych. Rozłożone na boki ramiona wyglądały jak skrzydła, a pęczki nerwów sprawiały wrażenie piór.

Anioły jaśniejące w mroku.

Spały. Czekwały.

Susan szła dalej. Po chwili dotarła do postaci, u której jeszcze nie nastąpiła całkowita przemiana: w jej wnętrzu widać było pracujące serce i kontury kości.

Położyła się na wolnym kawałku podłogi obok niej i rozpostarła ramiona, czubkami palców dotykając palców sąsiada.

Po chwili usłyszała słowa wypowiedziane w starym włoskim dialekcie, który doskonale rozumiała.

Czy wszystko zostało zrobione?

Westchnęła.

Tak, jestem ostatnia. Źródło zostało zniszczone.

Odpuść więc teraz, dziecko.

Jak długo mam odpoczywać? Kiedy świat będzie gotów?

Odpowiedziano jej, że sen będzie bardzo, bardzo długi.

Co mam robić?

Wróć do domu, moje dziecko. Teraz wróć do domu.

Zamknęła oczy i poczekała na odejście tego w niej, co chciało spać, a reszcie pozwoliła wpłynąć do tworzącego całe jej życie bąbla i przeszła przez niego.

Oślepiło ją światło, jakby patrzyła prosto w słońce. Opuściła powieki, zamrugła i świat dookoła niej ponownie się wypełnił. Czuła pod bosymi stopami lekkie kołysanie pokładu jachtu. Słyszała krzyk mewy, fala plusnęła o kadłub, a wiatr owiał jej skórę.

Czy to sen, wspomnienie, czy może coś innego?

Wciągnęła w płuca słone powietrze.

Jaki piękny dzień...

Podeszła do relingu i popatrzyła na szmaragdową wodę. Na horyzoncie majaczyły zielone kropki wysp. Po niebie sunęły pojedyncze chmury.

Na schodkach zatupały czyjeś stopy.

Kiedy się odwróciła, w łuku pojawił się Gregg. Miał na sobie szorty i T-shirt. Wchodząc, podciągał się na poręczy. Gdy ją zauważył, rozpromienił się cały.

– O! Tu jesteś!

Podbiegła do męża i objęła go.

Na dole zaszczekał Oscar.

Susan przytuliła się do męża i wsłuchiwała w bicie jego serca.

– Co się stało, Susan?

Popatrzyła mu w oczy i dotknęła jego trzydniowego zarostu. Wspięła się na palce, aby sięgnąć do jego ust.

Pochylił się i ich wargi się spotkały.

Wreszcie była w domu.

NOTA OD AUTORA

Prawda czy fikcja

Ponownie dziękuję za towarzyszenie mi w tej podróży. Jak zwykle pomyślałem sobie, że wykorzystam ostatnie strony na oddzielenie faktów od fikcji. Podzieliłem tę autopsję na kilka tematów.

MARCO POLO: Najważniejsza tajemnica, czyli losy floty Marca Polo podczas jego podróży powrotnej do Wenecji, pojawia się już we wstępie do powieści. Do dziś nie wiadomo, co się stało z jego statkami i ludźmi. Krążyły plotki o romansie Marca Polo z księżniczką Kokejin, zwłaszcza że kiedy umierał, miał jej diadem. Jeśli chodzi o losy jego ciała, to rzeczywiście zniknęło z kościoła w San Lorenzo i nie wiadomo, co się z nim stało.

PISMO ANIELSKIE I INNE ZAGADNIENIA JĘZYKOWE: Anielskie pismo zostało stworzone przez Johanna Trithemiusa i Heinricha Agrippę, którzy twierdzili, że studiując je, można kontaktować się z aniołami. Pismo to zostało stworzone na podstawie starożytnego alfabetu hebrajskiego. Adepti kabały żydowskiej uważają, że studiowanie kształtów i krzywizn hebrajskich liter może

otworzyć drogę prowadzącą do naszej wewnętrznej wiedzy. Często zadajemy sobie pytanie, czy w naszym kodzie genetycznym jest ukryty język. Według autorów opublikowanego w 1994 roku w „Science” artykułu – zdecydowanie tak. Nie wiadomo jednak, co nim zapisano.

PLAGI: Podczas wielkiej zarazy londyńskiej (1665–1666) w angielskim miasteczku Eyam, w którym połowa mieszkańców wykazywała pewną anomalię genetyczną, rzeczywiście dżumę przeżyło znacznie więcej ludzi niż gdziekolwiek indziej. Jeżeli zaś chodzi o wąglika, to jedyną różnicę między śmiertelnościami postacią tej bakterii i jej dobrotliwym kuzynem występującym w ogródkach stanowią dwa krążki kodu genetycznego zwane plazmidami. Nasuwa to oczywiście pytanie, skąd owe plazmidy się w nich wzięły.

FAUNA: Czerwone kraby z Wyspy Bożego Narodzenia naprawdę odbywają co roku migrację, podczas której miliony osobników maszerują w kierunku morza. Znane są również przypadki, że ich szczypce przebijały opony. Jeżeli chodzi o motyliczkę *Dicrocoelium dendriticum*, opis jej cyklu życiowego jest zgodny z prawdą. Natomiast drapieżne kałamarnice stworzyłem na wzór gatunku *Taningia danae*, którego przedstawiciele osiągają nawet do dwóch metrów długości, polują całymi stadami i mają na ciele świecące punkty, a na przyssawkach haczyki. To zdecydowanie ostre kalmary.

KANIBALE I PIRACI: Piractwo jest w Indonezji w dalszym ciągu kwitnącą dziedziną gospodarki. Formularze zgłoszeniowe proszę pobrać w recepcji. Jeżeli chodzi o kanibali, można ich spotkać na wyspach indonezyjskich nawet dzisiaj, ale należy przywieźć ze sobą przyprawy. Natomiast zespół Pradera-Williego (którego objawem jest nienasycony apetyt) jest rzeczywiście istniejącą straszliwą chorobą, lecz nie ma nic wspólnego z kanibalizmem. Czy byliśmy kiedyś kanibalami? Współczesne badania genetyczne wykazały, że jesteśmy nosicielami zestawu genów mających nas uodpornić na choroby, których można się nabawić jedynie przez spożycie ludzkiego mięsa.

ANGKOR: Wszystkie szczegóły dotyczące ruin – od mitów o ubijaniu oceanu mleka po dwieście twarzy bodhisattw – są prawdziwe, łącznie z tym, że świątynie rozmieszczano w taki sposób, aby ich układ przypominał konstelacje gwiazd. Szczególnie chętnie odwzorowywano gwiazdozbiór Smoka. Więcej szczegółów na ten temat można znaleźć w książce Grahama Hancocka i Santhy Faiia *Zwierciadło nieba. Zaszyfrowane przesłanie tajemniczej cywilizacji sprzed 12 000 lat.*

BAKTERIE: Rzeczywiście istnieją mlecze jeziora świecących alg, które od czasu do czasu zakwitają. Jeżeli wierzyć serii niepokojących artykułów opublikowanych w „Los Angeles Times”, naszym morzom w coraz większym stopniu grozi rozpowszechnianie się prastarych śluzorośli, trujących meduz, parzących

wodorostów i wybuchów toksycznych substancji pochodzących z wykwitów alg. Jeśli zaś chodzi o najbardziej zaskakujące twierdzenie w tej książce, że jedynie 10 procent znajdujących się w naszych organizmach komórek stanowią komórki ludzkie (a resztę bakterie i pasożyty), również jest to prawdą! Zagadnieniami tymi zajmuje się wspaniała książka, przerażająca i zabawna zarazem – jest to Human Wildlife doktora Roberta Buckmana. Nie czytajcie jej przed jedzeniem!

Przypisy

- ¹ Po polsku wydana została w 1954 roku pod tytułem *Opisanie świata*.
- ² Jarhead (dosłownie: łeb jak słoń) – określenie żołnierza Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych w amerykańskim slangu wojskowym.
- ³ Biblia Tysiąclecia, Mt 28, 2.